

*Kolejna powieść bestsellerowego cyklu
o MAJOR KAMIEŃSKIEJ*

ALEKSANDRA
MARININA
ŻYCIE
PO ŻYCIU



ALEKSANDRA
MARININA
ŻYCIE
PO ŻYCIU

Przekład
Aleksandra Stronka



Tytuł oryginału: Жизнь после жизни

Copyright © Aleksandra Marinina, 2010

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Stronka, 2017

WYDANIE ELEKTRONICZNE 2017

Redaktor prowadzący: Patryk Mierzwa

Redakcja: Magdalena Wójcik

Korekta: Alicja Laskowska

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

978-83-7976-663-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

SPIS TREŚCI

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE POLECA

PROLOG

5 MARCA 2009 ROKU

Dzwonek telefonu komórkowego brzęczał alarmująco i natarczywie. Milkł na parę sekund, a potem znowu zaczynał swoją natrętną melodię. Fiedułow nachylił się nad torebką leżącą koło zabitej kobiety i zerknął na eksperta. Ten skinął głową przyzwalająco. Fiedułow rozpiął suwak i wyjął telefon, nacisnął przycisk z zieloną słuchawką, przyłożył do ucha, ale się nie odezwał.

– Galino Iljicicno! – Ze słuchawki dobiegł przestraszony i zdenerwowany głos młodej dziewczyny. – Galino Iljicicno, gdzie pani jest? Wszystko w porządku? Dlaczego pani nie odbiera?

Fiedułow odchrząknął i powiedział głucho:

– Halo. Proszę mówić.

– Ojej, to chyba pomyłka! – lękliwie zawołał głos w słuchawce. –
Przepraszam.

Krótki sygnał przerwanej połączenia rozległ się tak samo lękliwie i niespokojnie. No cóż, teraz znają przynajmniej imię i patronimik ofiary, a to już coś. Trzeba by się jeszcze dowiedzieć nazwiska i adresu. Fiedułow opuścił rękę z telefonem i niemal od razu ją podniósł. Telefon znowu się odezwał.

– Dzwoni pani do Galiny Iljiczynej? – zapytał. – Kim pani jest? Proszę się przedstawić.

– Mówi Rita. A co się stało? Gdzie jest Galina Iljiczyzna?

– Kim pani jest dla Galiny Iljiczynej, Rito? Krewną?

– Jestem jej... sublokatorką. A co z Galiną Iljiczyzną?

– Galina Iljiczyzna miała wypadek. Gdzie mogę panią znaleźć?

– Jaki wypadek? Co się stało? Źle się poczuła? Jest w szpitalu?

– Nie żyje. Gdzie pani jest, Rito? W domu? Niech mi pani poda adres.

Słuchawka milczała, jakby telefon wyłączono.

– Rito! – znowu zawołał Fiedułow. – Słyszysz mnie pani, Rito? Muszę natychmiast z panią porozmawiać. Proszę podać adres.

– Jak to... – Głos był zdławiony i niepewny. – Co to znaczy, że nie żyje? Kim pan jest? Lekarzem?

– Major Dmitrij Wadimowicz Fiedułow, starszy oficer śledczy – przedstawił się sucho. – Galina Iljiczyzna została zabita. Grupa operacyjna pracuje na miejscu zdarzenia. Dowiem się w końcu, jak do pani trafić?

– Jestem... jestem w domu... – Głos Rity brzmiał słabo, dziewczyna niemal szeptała. – U Galiny Iljiczynej.

– Niech pani poda adres, zaraz przyjadę.

– Nagornaja dwanaście, mieszkanie czterdzieści osiem. Wie pan, gdzie to jest? Między Federacyjną a Profsojuzną.

– Wiem – krótko odparł Fiedułow. To całkiem blisko, dwa, trzy domy dalej. Wygląda na to, że kobietę zabito niedaleko miejsca

zamieszkania. – Będę u pani za parę minut. Iljucha – zwrócił się do drugiego wywiadowcy, otyłego, z nalaną twarzą – mam adres, chyba ustaliliśmy tożsamość ofiary. Pójdę sprawdzić.

– Iść z tobą? – zapytał Ilja Wtoruszyn.

– Nie, zostań tutaj. Zaraz zwali się zwierzchnictwo, trup to w końcu poważna sprawa. Gdyby coś się działo, jestem pod telefonem.

Fiedułow szybkim krokiem przeciął pogrążone w ciemności przechodnie podwórze, na którym znaleziono ciało, po czym znalazł się na rozświetlonej neonami ulicy Nagornej i skierował w stronę domu numer dwanaście. W czasach, gdy Dima Fiedułow jeszcze nosił koszulę w zębach, ulica Nagornaja nie istniała, w latach siedemdziesiątych wybudowano tutaj parę eleganckich domów dla lokalnych notabli – pracowników miejskiej rady deputowanych ludowych oraz komitetu partii w Tomilinie – no i oczywiście całą ulicę wybrukowano, żeby mieszkańcy nie grzęzli w błocie i mogli podjeżdżać służbowymi albo prywatnymi samochodami; otwarto też parę sklepów, które były wspaniale zaopatrzone. Mieszkanie na ulicy Nagornej stało się wyznacznikiem prestiżu, po pieriestrojce ulica zachowała swój status, mimo że w porównaniu ze współczesną zabudową dawne elitarne domy wyglądały prostacko, a nawet mizernie. Teraz na Nagornej mieściły się najdroższe sklepy, dwa salony samochodowe i najlepsza w mieście restauracja, która nigdy nie świeciła pustkami. Równolegle ciągnęła się słynna ulica Parkowa, obsadzona lipami, która z jednej strony dochodziła do rzeki Tominki, a z drugiej do niedawno wyremontowanego starego dworu. Tuż za Parkową, nad

malowniczym brzegiem rzeki, zaczynało się osiedle willowe, wybudowane i zasiedlone przez ludzi bynajmniej nie biednych. Robienie zakupów na ulicy Nagornej i odwiedzanie restauracji bardzo im odpowiadało.

Dom pod numerem dwunastym okazał się ośmiopiętrowym wieżowcem z pięcioma klatkami. Między zaparkowanymi samochodami i blaszanymi garażami wciśnięty był plac zabaw dla dzieci. Fiedułow obrzucił fasadę wprawnym okiem, policzył okna przypadające na jedną klatkę schodową, pomnożył i podzielił coś w pamięci, po czym zdecydowanie ruszył ku drugim drzwiom. Nie pomylił się, mieszkanie numer czterdzieści osiem znajdowało się rzeczywiście tutaj.

Gdy otworzyły się drzwi, zobaczył poważną kobietę z zatroskaną twarzą, na oko czterdziestoletnią, a obok niej młodą dziewczynę, bladą, wystraszoną i, jego zdaniem, koszmarnie brzydką. Brązowe włosy z krzywym przedziałkiem były zaplecione w dwa cienkie, żałosne warkoczyki. Sprany szary golf, wypchany na łokciach, i nieświeże dresowe spodnie dopełniały wizerunku Rity, dziewczyny zabiedzonej, a w dodatku niezdrowej: oczy miała czerwone, a na czole błyszczały krople potu.

Fiedułow jeszcze raz się przedstawił i ruszył do pokoju, dyskretnie rozglądając się wokół. Okazało się, że mieszkanie nieżyjącej Galiny Iljiczynej było całkiem przyzwoite – trzypokojowe, duże, choć dawno nieremontowane. Tak, nieźle się powodziło członkom partii za czasów władzy radzieckiej. Dmitrij znowu przypomniał sobie swoje ciasne M-

2, w którym przez długie lata gnieździł się z rodzicami, żoną, dwójką dzieci, młodszą siostrą, jej mężem i synem. Spali niemal sobie na głowach, w mieszkaniu nie mieściło się nic innego prócz łóżek, jedli w kuchni na trzy zmiany, do łazienki połączonej z toaletą zawsze stała kolejka. Co za szczęście, że Dima ma już to za sobą i kwestia mieszkaniowa w końcu została rozwiązana! Ale do tej pory pamiętał życie w dwupokojowym mieszkaniu, widział je w sennych koszmarach, budził się zlany potem i uspokajał dopiero wtedy, gdy przywidzenie mijało, a on zaczynał dostrzegać wokół siebie inne ściany, okna i meble.

Dziewczyna, która przedstawiła się jako Margarita Nieczajenko, pracowała w pralni chemicznej i była sublokatorką Galiny Iljiczy Koriaginy. Nie płaciła za mieszkanie, tylko pomagała właścicielce. Robiła zakupy, prała, prasowała, sprzątała, właściwie była kimś w rodzaju pomocy domowej, która pracowała za utrzymanie. Nie miała swojego kąta w Tomilinie, przyjechała ze wsi Pietunino w rejonie kostrowskim. Kostrowsk to duże miasto położone w odległości sześćdziesięciu kilometrów od Tomilina, nie tak duże oczywiście jak stolica obwodu, a jednak... Nie brak tam uczelni, na których można studiować, rozwija się też prywatny biznes, są firmy, w których można znaleźć pracę. Ale z jakiegoś powodu Rity nie zatrudniono w żadnej firmie, więc dziewczyna musiała zadowolić się skromniejszym, choć całkiem sporym Tomilinem, wybudowanym w połowie lat pięćdziesiątych koło zakładów chemicznych.

Galina Iljiczyzna udała się na wieczór artystyczny znanej niegdys

aktorki, która przyjechała z Moskwy. Rita chciała odprowadzić swoją chlebowczynię do filharmonii znajdującej się w dawnym domu partii, ale Galina Iljiczna kategorycznie odmówiła, oznajmiając, że nie jest niedołączna ani zgrzybiała. Mimo to Rita martwiła się o nią i zamierzała wyjść na spotkanie Galiny Iljiczny przynajmniej na plac Majowy niedaleko filharmonii, ale... W tym miejscu opowieści nieszczęsne dziewczę oblało się mocnym rumieńcem i odwróciło wzrok, a siedząca obok niej kobieta, która okazała się sąsiadką, wtrąciła się i wyjaśniła, że tuż przed ósmą Ritoczka przybiegła do niej z pytaniem, jakie lekarstwo powinna zażyć, bo dopadła ją okropna biegunka. Albo się czymś struła, albo jelita odmówiły posłuszeństwa. Sąsiadka nie jest oczywiście lekarzem, ale nie brak jej życiowego doświadczenia, więc dała Ricie parę rzeczowych rad, a pół godziny później odwiedziła dziewczynę w mieszkaniu Koriaginy. Rita wciąż biegała do toalety i wracała zlaną potem. Była na siebie zła i powtarzała, że zachorowała zupełnie nie w porę, że chciałaby jednak się pozbierać i wyjść na spotkanie Galiny Iljiczny, ponieważ teraz, na początku marca, panuje odwilż, chodniki pokryły się cienką warstwą lodu, jest bardzo ślisko, więc żeby czasem Galina Iljiczna się nie przewróciła. Jednakże doświadczona sąsiadka poradziła jej, by nie wychodziła z mieszkania i trzymała się blisko toalety. Panie napiły się razem herbaty, pooglądały telewizję, a od dziesiątej zaczęły czekać na Koriaginę, która powinna była zjawić się lada chwila. O wpół do jedenastej Rita zaniepokoiła się nie na żarty i zaczęła wydzwaniać na jej komórkę. Nikt nie odbierał. Może koncert się jeszcze nie skończył?

Kto wie, jak długo trwają takie wieczory artystyczne... Rita zapytała w informacji o telefon dyrektora filharmonii, zadzwoniła i dowiedziała się, że benefis słynnej aktorki skończył się dziesięć po dziewiątej. Żeby dotrzeć pieszo z placu Majowego na ulicę Nagorną, potrzeba jakichś piętnastu minut, i to zakładając, że idzie się spacerkiem dobrze oświetloną, szeroką ulicą Profsojuzną, natomiast jeśli iść na skróty przez podwórza między Profsojuzną i Federacyjną, to wychodzi się wprost na dom Galiny Iljiczynej, a droga zajmuje najwyżej osiem minut. Innymi słowy, Koriagina już od godziny powinna być w domu. Rita zaniepokoiła się na dobre, poprosiła sąsiadkę, żeby została, bo ona się boi, i zaczęła wydzwaniać do Galiny Iljiczynej co dwie, trzy minuty. Dzwoniła tak, póki major Fiedułow nie odebrał telefonu.

Dmitrij spędził z Ritą Nieczajenko jeszcze pół godziny, wypytał ją, czy chlebodawczyni nie miała wrogów, czy ktoś jej nie groził, czy ostatnio nie weszła z kimś w zatarg... Dima Fiedułow dowiedział się wielu rzeczy o zabitej kobiecie, ale nie rzuciło to ani odrobiny światła na tożsamość zabójcy. Przestępca był prawdopodobnie nietuzinkowy i miał zawikłany, głęboko ukryty motyw. Dlaczego Dmitrij doszedł do takiego wniosku? Dlatego że na piersi uduszonej ciepłym szalem kobiety leżało rozbite lustro, a obok ciała poniewierał się kolczyk wyrwany z ucha.

Czyżby w ich spokojnym osiemdziesiątym mieście pojawił się szaleniec? To byłaby prawdziwa katastrofa!

22 WRZEŚNIA 2009 ROKU

Kapitan milicji Ilja Wtoruszyn prawie nigdy nie spóźniał się do pracy, przeciwnie, lubił przyjść wcześniej, póki w komisariacie nie było jeszcze nikogo z wyjątkiem dyżurnych, przejrzeć notatki, uporać się w ciszy z papierkową robotą i ustalić plan działania na cały dzień. Ilja lubił planować, wszystko szczegółowo zapisywał, numerował i stopniowo zakreślał na czerwono to, co już zrobił. Jeżeli pod koniec dnia czerwonych kółeczek było mniej niż niezakreślonych punktów, Ilja tracił humor, był z siebie niezadowolony i wpadał w złość. Natomiast w chwilach szczęścia, gdy udawało mu się zakreślić wszystkie cyfry czerwonym długopisem, cieszył się jak dziecko, uważając, że dzień nie poszedł na marne.

Dzisiaj kapitan Wtoruszyn przyszedł do pracy wcześniej, ale w gabinecie zastał już starszego wywiadowcę Dimę Fiedułowa, z poszarzałą twarzą i chorobliwie błyszczącymi oczami.

– Ktoś zabił Aidę – rzucił Fiedułow zamiast powitania.

– Aidę? – Wtoruszyn ze zdziwieniem uniósł brwi. – Jaką Aidę?

– No tak, ty jej nie znasz, nie miałeś z nią do czynienia. – Dmitrij machnął ręką. – Jesteś za młody. Dziesięć lat temu odeszła na emeryturę, miałem okazję z nią pracować. Co to była za kobieta... Aida Borisowna Pawłowa, śledcza prokuratury, starszy radca prawny.

Ilja Wtoruszyn nie znał żadnej Pawłowej, miał zaledwie trzydzieści dwa lata, więc dziesięć lat temu, gdy jakaś tam Pawłowa odchodziła na emeryturę, skończył akurat szkołę milicyjną i zaczął pracę w wydziale kryminalnym w Kostrowsku, swoim rodzinnym mieście, gdzie do tej pory mieszka jego babcia. Rodzice Ilji dawno

przeprowadzili się z Kostrowska do Tomilina, oboje byli inżynierami chemikami i pracowali w zakładach. Wtoruszyn dorastał tutaj, a karierę służbową zaczął tam, gdzie się urodził. Dopiero siedem lat temu przeprowadził się do Tomilina.

Ilja zauważył, że Dimka Fiedułow jest wytrącony z równowagi, i nie wiedział, jak powinien się zachować – milczeć smętnie na znak solidarności czy dać sobie spokój z udawaniem i rozmawiać jak gdyby nigdy nic.

– Mamy kłopoty, Iljucha – nagle powiedział Fiedułow, a jego słowa niemile zaskoczyły Ilję.

– Zawsze mamy kłopoty – odparł niefrasobliwie. – Jakie tym razem?

– Na piersi Aidy leżało rozbite lustro. A obok poniewierał się kolczyk wyrwany z ucha. Pamiętasz ciało Koriaginy?

Jak mógłby zapomnieć! Serce podskoczyło Wtoruszynowi do gardła. A więc to takie buty...

– Teraz z całą pewnością można stwierdzić, że w mieście grasuje szaleniec – ciągnął tymczasem Fiedułow posepnie. – No to marny nasz los.

*

„Kurier Tomiliński” z 17 października 2009 roku

NIESAMOWITY DWÓR

Już od trzech tygodni mieszkańcy naszego miasta nie mogą spać spokojnie. W Tomilinie zapanowało przerażenie, nieznany szaleniec morduje starsze kobiety, bywalczynie klubu Złoty Wiek. Czy to przypadek? Co stoi za zabójstwami dwóch niewinnych ofiar związanych ze starym dworem na obrzeżach miasta? Obie zabite kobiety łączyło to, że należały do klubu Złoty Wiek, założonego dwa lata temu przez moskiewskiego oligarchę Andrieja Biegorskiego w odrestaurowanym jego staraniem dworze. Niemal od pierwszej chwili klub zdobył popularność wśród tomilińskich emerytów, którzy wypowiadają się o nim ciepło i z sympatią. Okazało się jednak, że nie wszystko przebiega tam tak gładko i przyjemnie, jak by się wydawało na pierwszy rzut oka.

Dziennikarskie śledztwo, które przeprowadziliśmy, ujawniło wiele mrocznych tajemnic i rzuciło światło na zagadki przerastające siły i możliwości naszej dzielnej milicji.

Cofnijmy się o dwa i pół stulecia i skierujmy naszą uwagę ku wydarzeniom z przeszłości. Tym, którzy pamiętają lekcje historii, nieobca jest postać księcia Aleksandra Aleksiejewicza Wiaziemskiego, jednego z najbliższych współpracowników i zauszników Katarzyny II. Tymczasem o jego dalekim krewnym, księciu Andrieju Iwanowiczu Wiaziemskim, wspomina się znacznie rzadziej. W czasach Katarzyny był rzeczywistym radcą

tajnym, generałem gubernatorem Niżnego Nowogrodu i Penzy, a w czasach imperatora Pawła został senatorem. Nasze zainteresowanie wzbudziły jednak nie jego zasługi polityczne, ale historia drugiego małżeństwa.

W 1786 roku drugą żoną księcia Andrieja została Irlandka Eugenia O'Reilly. Księżę poznał ją podczas podróży za granicę, odbił mężowi i przywiózł do Rosji. Proces rozwodowy Eugenii był długi i wyczerpujący, ale w końcu kochankowie połączyli się i pobrali. Mimo że stanowili kochającą się i szczęśliwą parę, krewni Andrieja Iwanowicza nie zaakceptowali jego decyzji i nie przyjęli młodej żony do rodziny. Małżonkowie Wiaziemscy zaczęli szukać ustronnego zakątka, w którym mogliby się ukryć przed plotkami i gniewem otoczenia. Wtedy właśnie księżę Andriej kupił dwór Nikolskoje-Tomilino, znajdujący się dzisiaj na obrzeżach naszego miasta.

Jednakże Wiaziemscy się nie przeprowadzili. Księżę przywiózł świeżo upieczoną żonę do posiadłości, ale już parę godzin później Eugenia oznajmiła, że źle się tutaj czuje. Nawet nie chciała przenocować we dworze, powiedziała, że się boi, że w powietrzu unosi się coś dziwnego i przyprawia ją o dreszcze, więc za żadne skarby świata nie będzie tutaj mieszkać. Na nic się zdały namowy księcia, małżonkowie wrócili do domu, a miesiąc później Andriej Iwanowicz znalazł nowe miejsce – Ostafjewo, położone siedem wiorst od Podolska. Ostafjewo pozostawało w rękach Wiaziemskich przez ponad sto lat, a

posiadłość Nikolskoje-Tomilino sprzedano hrabiemu Michaiłowi Fiodorowiczowi Rumiancewowi.

W połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku teren majątku stał się częścią odbudowanego Tomilina i nikt nie wie, dlaczego okazały dwór na obrzeżach miasta zaczęto nazywać „dworem Wiaziemskiego”, który był jego właścicielem niecały miesiąc i nie spędził w nim ani jednego dnia. Fakt pozostaje jednak faktem: za czasów radzieckich dwór Rumiancewów nazywano „dworem Wiaziemskich” i nazwa przetrwała do dzisiaj. Ale z rodziną Rumiancewów, władającą majątkiem Nikolskoje-Tomilino aż do rewolucji 1917 roku, wiążą się mroczne tajemnice, których znajomość może wyjaśnić dzisiejsze zagadkowe wydarzenia.

Hrabia Michaił Fiodorowicz miał córkę Olgę, piękną, wykształconą i mądrą pannę, która nie mogła się opędzić od kawalerów. Olga Michajłowna oddała serce Aleksiejowi Łobanowowi, którego poślubiła w 1808 roku. Małżeństwo było nader szczęśliwe, pełne miłości i wzajemnego zaufania. Zanim młody hrabia Łobanow wyruszył na wojnę z Napoleonem, Olga urodziła mu dwoje dzieci. Przed rozstaniem hrabia Aleksiej podarował ukochanej żonie drogie i niezwykle piękne kolczyki, mówiąc jej: „Te kolczyki wyobrażają ciebie i mnie. Symbolizują nasz związek. Jeżeli zgubisz albo zniszczysz jeden kolczyk, drugiego nie wyrzucaj, lecz dbaj o niego tak, jak dbałabyś o swoje i moje życie, jak dbałabyś o naszą miłość”.

Minęło parę miesięcy. Olga Michajłowna codziennie nosiła

podarowane przez męża kolczyki, nawet nie zawsze zdejmowała je na noc. Pewnego dnia okazało się, że jeden kolczyk zaginął. A nazajutrz przyszła wiadomość o śmierci hrabiego Aleksieja Łobanowa. Od tej pory Olga Rumiancewa-Łobanowa nosiła kolczyk w lewym uchu, blisko serca. Długo nie zdejmowała żałoby, rozpaczając po ukochanym mężu i ojcu swoich dzieci, i nie przekonywały jej słowa matki, żeby nie nosiła jednego kolczyka, bo to nie wypada.

Półtora roku po śmierci hrabiego Aleksieja o rękę Olgi Michajłowny zaczął się starać Piotr Bolszakow, syn właściciela sąsiedniego majątku. Mężczyzna był znany w całej okolicy z porywczego charakteru, braku wstrzemięźliwości podczas biesiad, skłonności do awantur oraz upodobania do zabaw w towarzystwie Cyganów i wędrownych aktorek. Ponieważ miał okropną reputację, młoda i piękna wdowa unikała sąsiada i starała się go nie spotykać. Młodszy Bolszakow jednak nie rezygnował, prześladował Olgę, nie dawał jej spokoju, składał nieustanne wizyty i na wszelkie sposoby ją adorował. W końcu doszło do oświadczyn, Bolszakow wyznał swoje uczucia i zażądał odpowiedzi. Tamtego dnia był mocno wstawiony i zachowywał się agresywnie. Olga próbowała zatuszować nietakt i delikatnie wyjaśnić Piotrowi, że nie odwzajemnia jego afektu i zamierza pozostać wierna nieżyjącemu mężowi aż do śmierci. Żeby udobruchać kawalera, opowiedziała mu nawet o podarowanych przez męża kolczykach i o tym, że zgubiła jeden akurat w

przededniu otrzymania wiadomości o jego śmierci. Opowieść jeszcze bardziej rozdrażniła Bolszakowa, słowa Olgi go rozjuszyły i wzbudziły niepohamowaną zazdrość, a wypite wino uderzyło do głowy. Rozwścieczony mężczyzna wyrwał kolczyk z ucha młodej kobiety, po czym chwycił nóż i parę razy przeciągnął nim po jej twarzy.

Dwa dni później Piotr Bolszakow został aresztowany i przewieziony do więzienia. Lekarz zrobił dla Olgi wszystko, co było w jego mocy, ale od tej chwili jej piękną twarz szpeciły okropne blizny. Gdy Olga zobaczyła się w lusterku, z przerażeniem cisnęła je na podłogę. Odłamki szkła rozsypały się po izbie sypialnej. Kobieta zażądała, żeby usunąć z domu wszystkie lustra. Nie chciała widzieć swojej niegdyś pięknej, a teraz okaleczonej twarzy. Żądanie młodej właścicielki zostało spełnione, lustro zdjęto i schowano w komorze.

Jakiś czas później lekarz Rumiancewów zaczął zauważać u Olgi oznaki nadchodzącego obłądzenia. Kobieta bywała zamyślona, bez przerwy milczała i z nikim nie rozmawiała, innym razem nagle zaczynała się śmiać i dokazywać z dziećmi, później znowu ogarniał ją smutek i zastygała w bezruchu. Pewnego mroźnego zimowego wieczoru Olga Michajłowna w ataku szaleństwa zaczęła rozbijać szyby w oknach i wołać, że odbija się w nich jej szpetota, której nie chce widzieć. Krzyki ściągnęły domowników, którzy próbowali uspokoić Olgę, ona jednak zaczęła szarpać się za włosy i rwać na sobie ubranie, powtarzając w kółko, że

wszyscy zmówili się przeciwko niej, że nawet w samowarze odbija się jej twarz i że wszyscy widzą jej odrażające blizny. Udało się związać i jakoś uspokoić nieszczęsną kobietę, ale rozum już jej nie powrócił. Od tej pory choroby psychiczne zaczęły prześladować potomków Rumiancewów. Najdziwniejszą rzeczą było jednak to, że Olga Michajłowna Rumiancewa-Łobanowa okazała się ostatnią naprawdę piękną kobietą w rodzie. Jej córka, a także dziewczynki w następnych pokoleniach rodziny Rumiancewów-Łobanowów były potwornie brzydkie. Dzięki sporemu majątkowi prędej czy później wychodziły za mąż i rodziły dzieci, ale żadna z nich nie była szczerze kochana. Mężczyźni oświadczali im się wyłącznie z wyrachowania.

W 1898 roku, po ponad osiemdziesięciu latach od tragedii hrabiny Olgi, pozostawiony przez nią kolczyk został wyjęty ze szkatułki, w której przeleżał przez wszystkie te lata, i trafił do ucha Anny Rumiancewej-Łobanowej. Anna, podobnie jak wiele jej przodkiń, nie wyróżniała się atrakcyjną powierzchownością, ale marzyła o prawdziwej miłości, nieopartej na pieniądzu i wyrachowaniu. Na pamiątkę nieszczęsnej Olgi Michajłowny, którą mąż kochał namiętnie i z oddaniem, Anna zaniósła kolczyk do jubilera, zamówiła drugi do pary i zaczęła je nosić. Dziewczyna miewała już adoratorów, ale wszystkim zależało na majątku, o czym Anna oczywiście wiedziała.

Wkrótce pojawił się młody mężczyzna, w którym Anna zakochała się bez pamięci, a co najważniejsze, w którego uczucie

uwierzyła bez wahania. Rodzice go nie zaaprobowali. Mężczyzna nie pochodził ze znakomitego rodu, był mieszczaninem, w dodatku niezbyt bogatym. Anna twardo obstawała przy swoim i powtarzała, że wyjdzie za niego za wszelką cenę, nawet jeśli zostanie pozbawiona spadku i posagu, bo ich miłość nie zna przeszkód i nic nie może zakłócić ich szczęścia. Jej słowa okazały się prorocze. Na wieść, że Anna i jej narzeczony pobrali się po kryjomu, ojciec pozbawił krnąbrną córkę posagu oraz spadku i zostawił bez kopiejki. To wystarczyło, żeby czuły i kochający małżonek w jednej chwili zamienił się w zgryźliwego i bezwzględnego gbura. Anna próbowała go przekonać, że ich miłość wznosi się ponad materialne i przyziemne sprawy, że oboje zaczną pracować i będą żyli wprawdzie skromnie, ale szczęśliwie. W odpowiedzi mąż złapał ją za rękę i zaciągnął do lustra. „Jaka miłość? – zawołał z pianą na ustach. – O jakiej miłości mówisz? Spójrz na siebie! Sądzisz, że kogoś takiego jak ty można pokochać całym sercem? Tobą można jedynie straszyć dzieci! Wyglądasz jak upiór z sennego koszmaru! Twój widok napawa mnie obrzydzeniem! Gotów byłem cię znieść tylko ze względu na pieniądze twojego tatusia! Bez nich nie jesteś mi potrzebna. Jeśli chcesz, żebym z tobą został, idź do ojca, padnij mu do nóg i proś, żeby zmienił decyzję”. Słyszając to, Anna chwyciła kryształową wazę i z całej siły cisnęła ją w lustro, w którym odbijał się jej mąż, poblady z wściekłości i gniewu, a także ona sama, kredowobiała, z końską twarzą, zbyt pełnymi

ustami i wyblakłymi malutkimi oczami. W tej sekundzie zrozumiała, że najładniejsze w odbiciu są kolczyki w jej uszach. Lustro rozbiło się na skutek uderzenia, odłamki szkła posypały się na podłogę. Anna wyrwała z uszu kolczyki i cisnęła je w kąt.

Tamtego dnia zaniemogła, a miesiąc później utopiła się w rzece, nad którą wznosił się dwór.

Siostra Anny została szczęśliwą mężatką, wniosła mężowi olbrzymi posag i urodziła mu dwie córki oraz trzech synów, z których jeden okazał się obłąkany... Klątwa nadal ciążyła nad rodziną Rumiancewów-Łobanowów.

W 1917 roku mieszkańcy majątku Nikolskoje--Tomilino emigrowali do Europy. Ale czy wszyscy wyjechali? Współcześni twierdzili, że nie. Dzisiaj też mamy poważne podstawy przypuszczać, że potomkowie obciążonego klątwą rodu żyją jeszcze w Tomilinie. Żyją, wydając na świat szaleńców co dwa, trzy pokolenia. Obie ofiary regularnie odwiedzały dwór, który potomkowie Rumiancewów-Łobanowów uważają zapewne za swoją własność, odebraną im nieprawnie przez bolszewików. Obu ofiarom wyrwano kolczyk z ucha. I w obu przypadkach na ciałach leżało rozbite lustro.

Nic ci to nie mówi, szanowny czytelniku?

Natalia Malec

ROZDZIAŁ 1

W gabinecie Rodisława Jewgienjewicza Romanowa było gęsto od tytoniowego dymu, więc Biegorski, ledwie otworzywszy drzwi, mimo woli się skrzywił. Nie palił i z trudem tolerował dym.

– Rodka, kiedy przestaniesz wpędzać się do grobu? Nie ma tu u ciebie czym oddychać – powiedział z niezadowoleniem.

– W naszym wieku już za późno na zmiany – odparł żartobliwie Rodisław Jewgienjewicz, imponujący mężczyzna z arystokratycznymi manierami.

Obaj skończyli sześćdziesiąt sześć lat, znali się i przyjaźnili od wczesnego dzieciństwa, byli jednak zupełnie różni, więc wyrażenie „w naszym wieku” zirytowało Biegorskiego. Romanow sądził, że to, co najważniejsze, już zrobił, a teraz nadszedł czas, żeby spocząć na laurach i zbierać owoce uczciwej pracy. Natomiast Andriej Siergiejewicz Biegorski uważał, że jest na tyle młody, by nie tolerować stagnacji i podążać do przodu, w stronę tego, co nowe i dotąd niewypróbowane.

Biegorski był właścicielem dużego holdingu, a Romanow jego przyjacielem i zastępcą, którego główne zadanie polegało na „rozwiązywaniu problemów”. Tak się przyjęło od samego początku, gdy Andriej Siergiejewicz wiele lat temu zatrudnił odnoszącego sukcesy

oficera milicji z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Biegorski nie miał bowiem daru „rozwiązywania problemów”, nie potrafił dogadywać się z ludźmi z uwagi na swoją bezceremonialność i brak elastyczności, nie miał też szerokiego kręgu niezbędnych znajomości. Wszystkie te przymioty były silną stroną Rodisława Romanowa, który od razu zgodził się zostać jego zastępcą jeszcze w czasach, gdy Biegorski był właścicielem tylko jednego zakładu produkującego aparaturę dla przemysłu spożywczego. Teraz obaj byli ludźmi bajecznie bogatymi, z tym że Rodisław Jewgienjewicz wydawał pieniądze na zapewnienie sobie komfortu i przyjemności, natomiast Andriej Siergiejewicz inwestował je w nowe projekty, nawet takie, które nie przynosiły zysku, lecz były czystą filantropią. Wybierając kierunki inwestowania, kierował się nie względami materialnymi, ale wyłącznie kategoriami „to mi się wydaje ciekawe” albo „to mnie nudzi”.

Klub Złoty Wiek Biegorski wymyślił parę lat temu. Wymyślił, znalazł miejsce, gdzie można wypróbować nowy pomysł, kupił i odrestaurował stary dwór w Tomilinie i rozpoczął eksperyment. No a teraz ten sam eksperyment, który sprawdził się już w pierwszych miesiącach, był zagrożony.

– Rodka, znajdź mi jakiegoś prywatnego detektywa.

Rodisław Jewgienjewicz otworzył szeroko okno, wpuszczając do gabinetu potężny strumień lodowatego styczniowego powietrza, i ostentacyjnie zapalił.

– Co ci strzeliło do głowy? – zapytał kpiąco. – Po co ci prywatny

detektyw?

– Wyraziłem się nieprecyzyjnie – poprawił się Biegorski. – Detektyw nie musi być prywatny. Masz jeszcze sporo znajomości w milicji, więc znajdź rozzagniętego wywiadowcę, któremu można powierzyć prywatne śledztwo. Wynagrodzenie, jak się domyślasz, będzie bardzo atrakcyjne, nie pożałuję pieniędzy. Chcę, żeby sprawy w Tomilinie doprowadzono wreszcie do końca. Mój klub wisi na włosku, wśród członków panuje zamęt i wrzenie, wciąż słyhać rozmowy o szaleńcu, który zabija emerytów odwiedzających dwór. Siedmiu członków klubu przestało przychodzić, bo uwierzyli i obleciał ich strach. Zresztą co tam członkowie! Zwolniły się już trzy osoby z obsługi!

– Jak to trzy? – Romanow się zdziwił. – Mówiłeś, że dwie.

– Dzisiaj rano zadzwoniła Wiera i powiedziała, że księgowa złożyła wymówienie. Nie mogę dłużej siedzieć z założonymi rękami. Muszę coś zrobić, Rodka.

– Ale przecież w Tomilinie działa milicja, miejscowi gliniarze szukają zabójcy. – Rodisław Jewgienjewicz próbował zaoponować. – Jestem pewien, że prędzej czy później go znajdą.

– O to właśnie chodzi, że prędzej czy później. Dla mnie ich „później” to już katastrofa, klub lada chwila się rozpadnie, wszyscy członkowie uciekną razem z personelem. Chcę, żeby do Tomilina przyjechał sensowny, znający się na rzeczy detektyw, który pomoże milicji.

– To niedozwolone. – Romanow się uśmiechnął. – Niepowołanych osób nie dopuszcza się do czynności operacyjno-rozpoznawczych i

śledczych.

– Tylko mi tu nie opowiadaj, co jest dozwolone, a co nie! – zachnął się Biegorski. – Gdyby było dozwolone, sam bym sobie poradził. Zatrudniam cię właśnie po to, żebyś organizował to, co niedozwolone. Zadzwoń do komendanta miejskiego komisariatu, a jeszcze lepiej jedź tam i porozmawiaj, niech pozwolą naszemu człowiekowi pracować. A najważniejsze, znajdź takiego człowieka. I zapewnij go, że to mu się opłaci.

Właściwie zadanie Biegorskiego nie należało do niewykonalnych. Naczelnik GOWD¹ w Tomilinie miał dług wdzięczności wobec Rodisława Romanowa, który kontaktował się z nim regularnie podczas negocjacji w sprawie nabycia przez Biegorskiego starego dworu i parceli. Romanow nieźle się wtedy przysłużył szefowi milicji, rozwiązał parę jego problemów w Moskwie, więc teraz mógł bez obaw zwrócić się do niego z błahą prośbą, której spełnienie nie wymagało przecież żadnego zachodu. Pomysł Andrieja był oczywiście absurdalny, ale Rodisław Jewgienjewicz nigdy nie zapominał, że obecny dobrobyt zawdzięcza staremu przyjacielowi, więc czuł się w obowiązku rozwiązywać wszystkie problemy Biegorskiego – nawet te, które uważał za wysrane z palca.

No cóż, porozumie się z szefem milicji w Tomilinie, znajdzie też bystrego detektywa, który zgodzi się wziąć urlop w styczniu. To żaden problem.

*

Puszysty śnieg prószył cicho za oknem i sprawiał, że w domu było przytulnie i spokojnie. Jak to dobrze, że nie trzeba iść do pracy, można spać, nie nasłuchiwać przez sen dzwonka telefonu i nie martwić się, że zaraz ktoś zadzwoni i każe gdzieś jechać, bo ktoś kogoś zabił. Można wyciągnąć się błogo pod kołdrą, odwrócić na drugi bok i znowu się zdrzemnąć, można też sięgnąć po pilota, włączyć telewizor i coś sobie obejrzeć, nie wstając z łóżka. I nie jest to tylko szczęśliwa chwila podczas urlopu wolnego od przestępstw i śledztw, ale stały stan rzeczy, którego nic nie może zakłócić. Nastia Kamińska jest teraz panią swojego czasu.

Takie radosne myśli nawiedzały ją każdego ranka, gdy się budziła. Rodziły się w umyśle pogrążonym jeszcze we śnie i wprowadzały Nastię w stan chwilowej euforii, jednak gdy tylko strząsała z powiek resztki snu, ogarniał ją smutek.

Już od miesiąca jest na emeryturze. Tak, tak, kto by pomyślał, że ona, nawykła uważać się za młodą i niezbyt doświadczoną dziewczynę, odsłużyła ponad dwadzieścia siedem lat, a gdy dodano do tego połowę okresu studiów na wydziale prawa, wyszło niemal trzydzieści lat nienagannej służby. Ale nie to jest najważniejsze. W czerwcu 2010 roku skończy pięćdziesiąt lat, jest pułkownikiem milicji, żeby kontynuować służbę, będzie musiała napisać podanie o jej przedłużenie. Dobrze, jeśli zostanie przyjęte. A jeśli nie? Nastia wyobrażała sobie upokorzenie, które przeżyje, czytając odmowną decyzję i słysząc oficjalne słowa: „Dłużej pani nie potrzebujemy, wypracowała pani emeryturę, nie ma dla pani miejsca, proszę odejść i

pozwolić pracować młodym”. Na samą myśl o tym Nasti Kamieńskiej robiło się niedobrze. Postanowiła nie czekać na feralny dzień i odejść wcześniej na własną prośbę. Szef nie namawiał jej, żeby została, zresztą praca z nim nie układała się gładko. Poprzedni naczelnik – młody Bolszakow z mądrymi oczami – dawno został awansowany, a jego miejsce zajął typowy służbista, głoszący na prawo i lewo, że kura nie ptak, a baba nie człowiek.

Nastia złożyła rezygnację. Odeszła w stan spoczynku. Dostała legitymację emerycką. I zaczęła snuć entuzjastyczne plany, jak to będzie dbała o męża, gotowała mu zupy i smażyła kotlety, prała, prasowała i sprzątała mieszkanie. Ale jej plany spełzły na niczym.

Wyspała się w ciągu trzech dni. Na czytanie nie miała ochoty. W telewizji nie było nic do oglądania, same programy typu talk show dla gospodyń domowych, przypominające raczej pustą gadaninę, no i seriale, które emitowane są tak długo, że nie sposób zorientować się w zagmatwanej fabule. Wysiłki, żeby zostać wzorową panią domu, skończyły się fiaskiem, ponieważ nie mając doświadczenia ani wprawy, Nastia robiła wszystko bezładnie, niezręcznie i długo, więc Loszka tracił cierpliwość, wysyłał żonę „na kanapę, żeby odpoczęła” i sam wszystko kończył. Musiał pracować, potrzebował komputera i spokoju, więc siedząca w domu żona próżniaczka najzwyczajniej w świecie mu przeszkadzała. Ani Nastia, ani Aleksiej nie mieli swojego kąta, bo przecież mieszkanie było jednopokojowe. Żeby więc nie przeszkadzać mężowi, Nastia zaszywała się z książką w kuchni, ale wtedy on czuł się niezręcznie, że żona siedzi przez niego w kuchni i się

nudzi. Starał się ją rozweselić, proponował, żeby obejrżeli razem film albo poszli na spacer, albo odwiedzili jej rodziców czy brata. Nastia zdawała sobie sprawę, że Losza gotów jest poświęcić swoją pracę, byleby tylko sprawić jej przyjemność. Wówczas ogarniał ją jeszcze większy smutek i rozgoryczenie. Nikomu nie jest potrzebna. Na Pietrowce pozbyto jej się z ulgą, zwalniając stanowisko pułkownika dla młodszego oficera. W domu też nie jest potrzebna, ponieważ przeszkadza Loszce w pracy. Jest starą, nienadającą się do niczego, spracowaną chabetą.

Nastia snuła się po mieszkaniu, połykając łyzy, wszystko wypadło jej z rąk, książki nie cieszyły, lenistwo męczyło, ale jednocześnie nie miała ochoty niczym się zająć i wciąż była nie w humorze. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy nagle do niej dotarło, że mąż zaczął spędzać więcej czasu w Żukowskim, gdzie znajdował się jego instytut, i coraz częściej nocował u mieszkających tam rodziców. Zrozumiała, że nie chce niczego prócz pracy, którą wykonywała przez ćwierć wieku i którą pokochała. Zresztą nie potrafi robić nic innego.

Zadzwoiła do Władysława Stasowa, szefa prywatnej agencji detektywistycznej, która specjalizowała się, jak lubił mówić Stasow, we wspieraniu procesów sądowych. Owo wspieranie polegało na tym, że na polecenie adwokatów prowadzących zarówno sprawy karne, jak i cywilne, ludzie Stasowa szukali świadków i dowodów, które mogły w istotny sposób zmienić oczywisty i przewidywalny wyrok sądu albo przynajmniej podważyć argumenty przeciwnej strony.

Jej telefon ogromnie ucieszył Stasowa.

– Nie śpieszyłaś się – zadudnił wesoło do słuchawki – czekam na ciebie już od miesiąca. Odkąd złożyłaś podanie o zwolnienie. A więc się doczekałem?

– Doczekałeś – odparła Nastia z westchnieniem. – Przyjmiesz mnie do siebie?

– Co za pytanie! To przecież oczywiste! Dam ci najlepszą grzędę w moim kurniku, obok twojego ulubieńca Miszy Docenki. Będziecie mogli sobie pogdakać w czasie wolnym od pracy.

Michaił Docenko pracował kiedyś z Nastią w tym samym wydziale, był jednym z najlepszych wywiadowców, ale gdy się ożenił i urodziło mu się dziecko, musiał zdjąć mundur i pomyśleć o utrzymaniu rodziny. Już od paru lat pracował u Stasowa i był całkiem zadowolony z życia.

– Jesteś pewien, Władik, że sobie poradzę? – z wahaniem zapytała Nastia. – Przecież zajmowałam się głównie zabójstwami, a wy macie inny profil. Wiesz, czego się boję? Że mnie zatrudnisz, po czym się okaże, że do niczego się nie nadaję, a ty w imię starej przyjaźni nie zechcesz się mnie pozbyć i będziesz znosił w milczeniu moją niekompetencję.

– Nie bój się, staruszko – oznajmił Stasow wesoło – nasza robota bywa nudna, ale w dziewięćdziesięciu pięciu procentach polega na zbieraniu informacji, a to przecież twój konik. Żeby pogodzić cię z gorzką rzeczywistością, powiem uczciwie, że dochody mamy spore, więc nie umrzesz z głodu. Krótko mówiąc, nie ociągaj się, przyjedź, napiszesz podanie, zaniemiemy je do kadr, pokażę ci twoje biurko i możesz brać się do roboty choćby jutro, albo nawet dziś wieczorem.

Widok biura Stasowa napełnił Nastię smutkiem. W ciągu długich lat pracy na Pietrowce przyzwyczała się do okazałego budynku w centrum Moskwy, wysokich pokoiów i szerokich schodów. A także do poczucia potęgi, które dawał zarówno budynek, jak i przynależność do systemu, który Nastia miała za sobą. Tymczasem agencja detektywistyczna Władysława Stasowa mieściła się w kilku pokojkach – dwóch połączonych mieszkaniach na parterze zwykłego wieżowca gdzieś w Pierowie. Owszem, wszystko zostało wyremontowane według europejskiego standardu, meble wyglądały na drogie, nadal był to jednak dom mieszkalny, okna wychodziły na podwórze, po którym biegały dzieci i przechadzały się mamy z pociechami w wózkach, wszystko było zwyczajne, swojskie i dlatego wydawało się niepoważne, nieprawdziwe i sztuczne. Nastię zalała kolejna fala smutku i przygnębienia. Teraz nadaje się tylko do takiej nudnej, nieprawdziwej pracy, odtąd jest nikim, nie ma żadnej rangi, bo brak jej magicznej legitymacji i tamtej siły, która za nią stała.

Mimo to podjęła pracę i dokładała starań, żeby Władik Stasow nie pożałował, że ją zatrudnił.

*

– Właściwie to nie nasza specjalność – powiedział Władisław Stasow z niezadowoleniem, wysłuchawszy dobrze ubranego szpakowatego mężczyzny o dystygnowanych manierach. – Przyjąłem pana tylko dlatego, że rekomendował pana...

– Gdyby to było waszą specjalnością, szanowny Władisławie Nikołajewiczu, nie potrzebowalibyśmy rekomendacji, tylko przyszedłbym do pana prosto z ulicy – łagodnie zaproponował Romanow. – Rozumiem, że proszę o swego rodzaju przysługę. Nie chciałbym jednak zwracać się do innej agencji, bo słyszałem, że pańscy detektywi mają duże doświadczenie i są w pewnym sensie najlepsi.

– W pewnym, to znaczy w jakim? – Stasow czujnie zmrużył oczy.

– O ile mi wiadomo, pracują u pana przynajmniej dwie osoby, które były przedtem zatrudnione w wydziale zabójstw na Pietrowce, więc mają duże doświadczenie w wykrywaniu zabójców, a moja sprawa dotyczy przecież dwóch morderstw. Proszę mi nie odmawiać, Władisławie Nikołajewiczu. Mój szef gwarantuje, że honorarium będzie bardzo wysokie.

Stasow wciąż się wahał, ponieważ doskonale wiedział, jak milicjanci mogą zareagować na widok osoby cywilnej, która spróbuje zrobić to, czego oni nie potrafili albo, co gorsza, nie chcieli. Kto wie, jakie układy panują w cichym, prowincjonalnym Tomilinie, może gliniarze stworzyli sobie fałszywy obraz sytuacji i nie zauważają rzeczy oczywistych. To się często zdarza, gdy sprawa ciągnie się zbyt długo. A może dobrze znają zabójcę albo podejrzanego, ale z jakichś względów go nie zatrzymują ani nie posyłają za kratki. Powodów może być co niemiara, zaczynając od bliskiego pokrewieństwa ze zwierzchnikiem, lokalnym albo nawet z obwodu, a kończąc na najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach. Nietrudno więc sobie wyobrazić, jak potraktują nieproszonego gościa ze stolicy, który

tylko wszystko zepsuje. Zresztą w pierwszym przypadku, jeżeli nie chodzi o umyślne osłanianie przestępcy, ale jedynie o to, że nie potrafili rozwiązać sprawy, pojawienie się prywatnego detektywa wywoła jedynie złość, rozdrażnienie i usprawiedliwione oburzenie. Nie mówiąc już o tym, że udział osób postronnych w czynnościach operacyjno-śledczych nie mieści się w granicach prawa oraz stanowi naruszenie instrukcji służbowych.

Stasow natychmiast podzielił się swoimi wątpliwościami z klientem i otrzymał niezwłoczną odpowiedź, której towarzyszył uśmiech pełen zażenowania.

– O to może się pan nie martwić, Władisławie Nikołajewiczu. Naczelnik miejskiego OWD udzieli wszelkiej pomocy, już z nim rozmawiałem. Niech mi pan wierzy, że za nic nie pakowałbym pana w kłopoty i nie powierzał zadania, które byłoby z góry skazane na fiasko. Najpierw ustaliłem wszystko z komendantem, otrzymałem jego zgodę, a dopiero potem przyszedłem do pana. Więc co pan na to? Jak brzmi pańska odpowiedź?

Stasow westchnął. Coś go kusiło, żeby odprawić z kwitkiem tego zapobiegliwego mężczyznę, odpowiadając mu ostro i uszczypliwie, ale musiał przyznać, że Romanow mu się podoba. Miał w sobie jakiś urok albo charyzmę, więc Władisław nie potrafił mu odmówić.

– Rozpatrzę pańską sprawę i jutro dam odpowiedź – powiedział.

– Proszę, niech mi pan nie odmawia. I powierzy pracę jakiemuś bystremu chłopakowi.

Nie, pomyślał Stasow. Chociaż jesteś w porządku, nie dam się

wodzić za nos. Pokażę ci, kto tu rządzi. Zerknął na leżącą przed nim wizytówkę gościa. Co za wymyślne imię, trudno je zapamiętać.

– Szanowny Rodisławie Jewgienjewiczu, ustalmy podział ról. Pan jest klientem, więc określa pan zadanie i składa zlecenie. Ja zaś wybieram wykonawcę, który sobie z tym najlepiej poradzi. Więc chyba się pan na mnie nie pogniewa, że zamiast bystrego chłopaka wyślę do Tomilina kobietę w średnim wieku – powiedział złośliwie i wlepił oczy w Romanowa, wypatrując reakcji.

Na reakcję nie trzeba było oczywiście długo czekać. Wysokie czoło Rodisława Jewgienjewicza natychmiast przecięły dwie głębokie zmarszczki, których jeszcze przed chwilą nie było.

– Kobieta w średnim wieku? Chyba pan żartuje?

– Bynajmniej. Niezwykle bystra, ma też dodatkowy atut: dwadzieścia siedem lat pracy w wydziale zabójstw na Pietrowce.

– Wolałbym jednak mieć do czynienia z mężczyzną – niepewnie rzekł Romanow.

– Żaden mężczyzna w mojej agencji nie ma takiego – Stasow zaakcentował ostatnie słowo – doświadczenia. Chciał pan przecież najlepszego pracownika, a mój najlepszy pracownik to właśnie kobieta w średnim wieku. Jeżeli woli pan, żeby pańską sprawą zajął się mniej doświadczony detektyw, powierzę ją młodemu mężczyźnie. Domyślam się, że młodym mężczyznom ufa pan bardziej niż starszym kobietom.

Romanow uśmiechnął się zmieszany.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie wierzyłem w siłę kobiecego umysłu.

– Chyba nie miał pan szczęścia do kobiet. – Stasow się uśmiechnął.

– Za to ja dość często trafiałem na mądre kobiety, jedna z nich jest moją żoną, a druga współpracownicą. No więc jak? Jest pan gotów przyjąć moje warunki?

– Tak, oczywiście. – Romanow skinął głową z roztargnieniem. – Pan tutaj rządzi, więc wie lepiej. Skoro nie da się powierzyć sprawy mężczyźnie... No cóż, przyjmuję pańską propozycję. Ale może pan jeszcze przemyśli kandydaturę? Może znajdzie się detektyw płci męskiej, który zna się na dochodzeniach w sprawach zabójstw?

– Znajdzie się. – Stasow nawet nie ukrywał szyderstwa. – Nazywa się Anastazja Pawłowna Kamieńska.

Na twarzy Romanowa odmalowała się nieskrywana ulga.

– Kamieńska? Mówi pan o Kamieńskiej z wydziału Gordiejewa?

– Z dawnego wydziału Gordiejewa – poprawił go Stasow. – Wiktor Aleksiejewicz jest od dawna na emeryturze, a jego wydziałem kieruje już trzeci naczelnik.

– No tak, no tak – wybąkał Romanow. – Dużo się nasłuchałem o Kamieńskiej, mam jeszcze sporo znajomych w milicji. Ma bardzo dobrą reputację.

– Niewątpliwie – odparł zadowolony Stasow. – No to jak? Nie ma pan nic przeciw Kamieńskiej?

– Będę szczęśliwy, jeśli zajmie się moją sprawą.

– Nie zajmie się, póki jej tego nie powierzę. – Stasow znowu przywołał klienta do porządku. – A zatem postanowione. Zastanowię się nad pańską propozycją, a jutro, jeżeli przyjmę sprawę, sporządzimy umowę.

– Liczę na to, że mi pan nie odmówi. – Rodisław Jewgienjewicz uśmiechnął się rozbrajająco.

– Niczego nie mogę obiecać, zastanowię się – wymijająco odparł Stasow, chociaż w głębi duszy już postanowił przyjąć zlecenie i powierzyć je Nasti. Robota jest co prawda w delegacji, a Nastiucha nie lubi wyjeżdżać, zwłaszcza na nie wiadomo jak długo, ale ta praca jest akurat tym, czego jej potrzeba. Nastia potrafi i lubi to robić.

*

– Dokąd? – zawołała Nastia z przerażeniem. – Do Tomilina? Gdzie to jest?

– Osiem godzin samochodem albo siedem i pół pociągiem – spokojnie wyjaśnił Stasow. – Czego się boisz? Nie wysyłam cię przecież na biegun północny. Ciche, przyzwoite miasteczko wokół dużego przedsiębiorstwa, które kształtuje rynek pracy. A w mieście grasuje szalenię. Niezła robótka, co?

– Władik, nie gorzej od ciebie znam te ciche prowincjonalne miasteczka. Świat zabity dechami, w hotelu pluskwy, nie ma ciepłej wody, toaleta z prysznicem na korytarzu, jedna na całe piętro, żeby napić się herbaty, trzeba mieć kubek i grzałkę. No i dokąd mnie wysyłasz? Do jakiegoś domu starców? Gdziekolwiek spojrzeć, zgrzybiali staruszkowie, niedołęstwo, choroby, cierpienia, samotność i ubóstwo. Ledwie się otrząsnęłam z depresji, tylko tego mi jeszcze brakowało w moim stanie! Zlituj się, Stasow – poprosiła. – Niech

pojedzie ktoś inny.

Ale Stasow nie znał litości.

– Nie przesadzaj, to nie jest dom starców, tylko klub emerytów. Poza tym nie mogę dawać ci forów. Jest zlecenie i trzeba je wykonać, a wszyscy prócz ciebie są teraz zajęci. Musisz zabrać się do pracy – rzekł surowo Stasow. – Chyba nie chcesz dostawać pieniędzy za darmo?

– Nie chcę – odparła Nastia z przygnębieniem.

– No widzisz. Za robotę w Tomilinie dostaniesz bardzo wysokie honorarium. Uczciwie na nie zapracujesz. W dodatku klient obiecał, że dostaniesz je bez względu na wynik, no a jeśli sobie poradzisz i wyświetlisz sprawę dwóch zabójstw, facet dołoży coś ekstra.

Nastia pograżyła się w myślach. Motywacja materialna w czystej postaci była dla niej czymś nowym, dotąd za swoją pracę dostawała tylko wynagrodzenie, i to niezbyt wysokie. Tymczasem teraz ma okazję zająć się tym, co lubi i kocha, w dodatku za nieźle pieniądze... Było w tym coś niewłaściwego, chyba nawet niemoralnego, lecz zarazem niezwykle pociągającego. A może powinna spróbować? No ale hotel z pluskwami... I miejscowa milicja, która będzie jej rzucać kłody pod nogi i szukać sposobności, żeby zdyskredytować nieproszonego gościa... I staruszkowie emeryci przypominający jej swoim widokiem o własnych problemach...

– Losza, nie mam wcale ochoty jechać do Tomilina – powiedziała Nastia mężowi po powrocie z pracy. – Miejscowi gliniarze będą próbowali utopić mnie w łyżce wody. Zaczną mnie obrażać i zachowywać się po chamsku, a ja poczuję się dotknięta i puszczą mi

nerwy. To nie będzie praca, tylko nieustanna walka z czyimiś humorami i urażoną dumą. No i jeszcze ci emeryci. Sama jestem emerytką, do tej pory nie pogodziłam się z nowym statusem, więc ich problemy związane z samotnością i nieprzydatnością będą mnie kłuć w oczy.

Czistiakow słuchał żony i metodycznie siekał cebulę oraz zieleninę do sałatki, nie podnosząc głowy. Nastia nie była pewna, czy mąż słyszy jej słowa.

– Moim zdaniem dramatyzujesz – powiedział spokojnie. – Masz nową pracę, musisz nauczyć się ją wykonywać, i to jako osoba prywatna, która nie ma za plecami maszyny państwowej. Nigdy się tego nie nauczysz, jeśli nie zaczniesz czegoś robić. Sama wiesz, że bez pracy nie ma kołaczy. Martwisz się, że nie ułożą ci się relacje z lokalną milicją? No to naucz się je tworzyć. Samo nic się nie zrobi. Mam dodać imbiru?

– Dodaj – odruchowo odparła Nastia, zastanawiając się nad słowami męża.

Była pewna, że Loszka zrozumie jej męczarnie, zrozumie, że ona nie ma ochoty jechać do Tomilina i zajmować się tą dziwną „starczą” sprawą, nie chce też, żeby Stasow pomyślał, że postanowiła wykorzystać ich dawną przyjaźń i wytargować korzystniejsze warunki pracy. Stasow ma rację. Nastia nie chce dostawać przyzwoitego wynagrodzenia tak po prostu, nie może sobie na to pozwolić. Loszka też ma rację. Jeżeli będzie siedziała z założonymi rękami, niczego się nie nauczy. Ale na myśl o wyjeździe dostaje gęziej skórki...

Loszka woli, żebym wyjechała, pomyślała nagle Nastia. Ma dość mojego narzekania, wiecznego kręcenia nosem i snucia się po domu. Chce, żebym zajęła się w końcu pracą i wzięła w garść. Nie potrzebuje moralnego potwora. Zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby wyciągnąć mnie z depresji, zmarnował mnóstwo sił i czasu, no i w końcu stracił cierpliwość. Chce zostać sam.

– Masz rację, Loszyk – powiedziała półgłosem – muszę jechać. Masz całkowitą rację.

Wyjęła z torebki wizytówkę Andrieja Siergiejewicza Biegorskiego, którą Stasow otrzymał od Romanowa, i wybrała podany na niej numer telefonu.

– Wyjazd jutro rano – rzeczowo oznajmił Biegorski. – Niech pani podyktuje adres, o siódmej samochód będzie czekał pod domem.

– Dobrze – posłusznie odparła Nastia, po czym rzuciła się do pakowania.

Czistiakow wyszedł z kuchni z nożem w ręce i ze zdumieniem popatrzył na żonę, która wyciągała z pawlacza dużą torbę podróżną.

– A może byśmy najpierw zjedli kolację? Sałatka gotowa, ryba usmażona.

– Rano wyjeżdżam, Losza. – Nastia zeskoczyła z taboretu z torbą w rękach i rzuciła ją na podłogę. – Muszę się pakować, bo nie zdążę.

– Masz jeszcze sporo czasu. Pomogę ci. Chodź do stołu.

Szybko zjedli kolację i zaczęli się zastanawiać, co Nastia powinna ze sobą zabrać. Główny problem polegał na tym, że nie można było określić warunków ani czasu pobytu. Nie wiadomo na przykład, czy

wziąć ciepły szlafrok. Jeżeli w hotelu jest zimno i wieje od okien, to tak, Nastia będzie w nim spać, tyle że szlafrok zajmuje dużo miejsca, warto by więc wiedzieć, czy na pewno się przyda. Czy wziąć ręczniki, bo może miejscowy hotel je zapewnia? Czy pakować dużą butelkę dobrego szamponu, do którego Nastia się przyzwyczaiła, bo może jest dostępny w tamtejszym sklepie? I tak dalej. Pytań było mnóstwo, a odpowiedzi żadnej. Podczas gdy małżonkowie zastanawiali się, czy przyda się cienki bawełniany dres, który wyjęli z szafy, zadzwoniła komórka Nasti.

– Tu Biegorski. – W słuchawce rozległ się głos klienta. – Niech pani siada i zapisuje.

Nastia chwyciła notes i długopis i ulokowała się przy biurku z komputerem, pewna, że Andriej Siergiejewicz zaraz przekaze jej ważne informacje. Ale pomyliła się, Biegorski dzwonił w zupełnie innym celu.

– Niech pani weźmie trzy swetry – cienki, średniej grubości i bardzo ciepły. Cienki i średni z golfem, ciepły z wycięciem pod szyją, rozmiar, a najlepiej dwa rozmiary większy niż pozostałe – dyktował miarowo. – Dżinsy albo spodnie, dwie pary, wąskie, w żadnym wypadku nierozkloszowane. Dalej: buty na wysokiej podeszwie...

Nastia zdrętwiała. Czyżby Biegorski sądził, że skoro płaci, ma prawo wtykać nos w jej sprawy? Ten ponurak z milionami w kieszeniach chce jej rozkazywać, jakie ma nosić dżinsy, szerokie czy wąskie? Może nie podobają mu się rozkloszowane, które wróciły do łask? Trudno, będzie musiał to ścierpieć.

Parę razy próbowała się wtrącić, ale mężczyzna jej nie słuchał i nie przerywał metodycznego dyktowania. Przy szóstym punkcie Nastia przestała zapisywać i w ogóle słuchać, jedną ręką przyciskała słuchawkę do ucha, drugą wyjmowała i podawała mężowi rzeczy, które ten starannie układał w torbie. Wreszcie udało jej się wpaść Biegorskiemu w słowo.

– Może mi pan jeszcze doradzi, jaki mam wziąć szampon? – wypaliła.

Nie ukrywała ironii, ale z tonu klienta nie domyśliła się, czy ją uchwycił.

– Szampon może pani wziąć ten, którego pani używa, ale w mieście są dobrze zaopatrzone drogerie, a w nich to samo co w Moskwie. Albo weźmie pani swój, albo kupi na miejscu, według własnego uznania. Wszystko pani zapisała?

– Oczywiście – skłamała bez mrugnięcia okiem.

– Teraz proszę powiedzieć, jaki system odżywiania pani preferuje?

– Co takiego?

Nastia nie miała zielonego pojęcia, o co Biegorski ją pyta.

– Chodzi mi o to, co pani zwykle jada. Jak przygotowuje pani posiłki?

– Jem to, co jest pod ręką, nie jestem kapryśna.

– Co mają do tego kaprysy? – Nastia odniosła wrażenie, że Biegorski całkiem szczerze się zdziwił. – Każdy człowiek, zwłaszcza w pani wieku, musi dbać o zdrowie, a nie jeść byle co.

– Niech pan posłucha – ze złością odparła Nastia. – Człowieka,

który przez dwadzieścia pięć lat od rana do wieczora ugania się za przestępcami, cieszy nawet suchy kawałek chleba, jeżeli w ogóle znajdzie czas, żeby go zjeść. Słusznie pan zrobił, zwracając uwagę na mój wiek. Za pół roku stuknie mi pięćdziesiątka, wszystkie te lata przeżyłam, polegając na własnym rozumie, pracowałam, jadłam, ubierałam się i wyjeżdżałam w delegacje. I jak pan widzi, jakoś żyję, nie zginęłam. Więc niech pan pozwoli, że sama zdecyduję, w co się ubiorę i co będę jadła. Płaci mi pan za pracę, a nie za to, żebym nosiła spodnie tego fasonu, który się panu podoba.

Biegorski roześmiał się wesoło do słuchawki.

– Muszę przyznać – powiedział, gdy pohamował śmiech – że jest pani drugą kobietą po mojej żonie, która ośmiela się mi przeciwstawić. Już za to jestem gotów panią szanować. Zrobimy tak: niech się pani spakuje według listy, którą podyktowałem, a jutro punktualnie o siódmej czekam na panią w samochodzie przed domem.

Nastia stropiła się. Była pewna, że dostanie samochód z kierowcą, żeby dotrzeć na miejsce, a tymczasem okazuje się, że klient zamierza z nią jechać. Co by to miało znaczyć? Że facet zamierza zostać w Tomilinie i rygorystycznie kontrolować jej pracę, żądając sprawozdania z każdego drobiazgu i bez przerwy udzielając ważnych wskazówek? To możliwe, jeśli wziąć pod uwagę, że przed chwilą dyktował jej listę i zawracał głowę systemem odżywiania. System odżywiania! Też pomyśl! Jedz, co ci dają, i bądź wdzięczny, że cokolwiek dostałeś i nie siedzisz głodny.

– Pan też jedzie? – zapytała ostrożnie.

– Oczywiście. Po drodze wszystko pani opowiem, żeby nie tracić czasu na miejscu. Zorientuje się pani w sytuacji. Do jutra, Anastazjo Pawłowno. Aha, niech pani zje porządne śniadanie, bo pierwszy postój zrobimy dopiero koło południa.

Niech lichy porwie tego Biegorskiego! Nastia z irytacją cisnęła telefon na kanapę i wróciła do pakowania.

– Czego chciał? – zapytał Czistiakow, wkładając do torby reklamówkę z szamponem i lakierem do włosów. – Bierzesz suszarkę?

– Biorę – odparła Nastia z westchnieniem. – W końcu jest zima, strach wyjść na ulicę z mokrą głową, a czekać, aż włosy same wyschną, szkoda czasu. Czego chciał? Żeby tańczyła, jak mi zagra. No i zobacz, co znaczy klient w mojej nowej pracy. Płaci i uważa, że może mi dyktować, jak mam się ubrać i co jeść, myśli, że jestem upośledzona umysłowo. Nawiasem mówiąc, teraz tak będzie zawsze. Na Pietrowce byłam człowiekiem, a teraz jestem nikim i każdy, kto ma pieniądze, może mną pomiatać. A ty mnie tak namawiałeś, żebym się zatrudniła u Stasowa! Wygląda na to, że będę służącą, dziewczyną na posyłki.

Nastia dała się ponieść nerwom i nie zauważyła, że podnosi głos i mówi z coraz większym rozdrażnieniem i zaciekłością.

– Słuchaj, Losza, a może lepiej odejdę od Stasowa, póki nie jest za późno? Zaraz do niego zadzwonię, zrezygnuję z pracy w Tomilinie i w ogóle z posady. Będę siedzieć w domu i nikt nie będzie mi rozkazywał...

Czistiakow objął żonę, głaszcząc i przytulając jej głowę do swojego ramienia.

– No co ty, Asieńko, uspokój się, nie gorączkuj. Co się takiego stało? Myślałby kto, zadzwonił jakiś dureń i podyktował ci listę. No i co z tego? Wyrzuć ją i zapomnij o niej, spakuj się według własnego uznania, weź tylko to, co uważasz za potrzebne, nikogo nie słuchaj. Jesteś profesjonalistką, będą ci płacić za to, co umiesz i lubisz robić, tylko to się liczy. A kto, o czym i jakim tonem z tobą rozmawiał, nie ma znaczenia. Twoje zadanie to rozwiązać sprawę zabójstw, a nie zabiegać o sympatię klienta. Nie zawracaj sobie tym głowy. Każdy ma jakieś dziwactwa. Ty też nie jesteś aniołem, a i tak cię kocham.

– Naprawdę? – Nastia podniosła głowę i popatrzyła na męża przez łzy. – Naprawdę mnie kochasz?

– Oczywiście – przytaknął Aleksiej.

– Mimo dziwactw?

– Nie „mimo”, ale właśnie z uwagi na nie – poprawił Losza z uśmiechem. – Dziwactwa dodają ci uroku. Bez nich byłabyś nudna i nieatrakcyjna.

Nastia uspokoiła się, a piętnaście minut później była już spakowana do podróży. W ramach terapii Czistiakow zaproponował, żeby obejrzelili razem jakiś film z kasety. Wybrali amerykańską komedię *Płytki facet*, którą Nastia bardzo lubiła i mogła oglądać na okrągło, po czym ulokowali się na kanapie przytuleni.

Ale przedtem Nastia podarła niedokończoną listę, którą podyktował jej Biegorski, i z ulgą wyrzuciła do kosza.

¹ GOWD (*Gorodskoj oddiel wnutriennich diel*) – Miejski Wydział Spraw Wewnętrznych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

ROZDZIAŁ 2

Pierwsze wrażenie, jakie wywarł na Nastii Andriej Siergiejewicz Biegorski, było dziwne. Sądząc z wczorajszego telefonu, powinien to być człowiek, delikatnie mówiąc, osobliwy. Nastia sądziła, że zobaczy dziwnie ubranego i niechlujnego mężczyznę, któremu niespodziewane bogactwo odebrało rozum, otoczonego tabunem ochroniarzy, chamowatego, marudnego i odpychającego. Okazało się, że jest inaczej. Tylnie siedzenie drogiego luksusowego samochodu zajmował elegancko ubrany mężczyzna, schludny i wysportowany, z brzydką twarzą o nieregularnych rysach, ale bardzo pociągający. Z przodu obok kierowcy siedział postawny, barczysty ochroniarz. Tylko jeden. Co prawda kierowca też nie był ułomkiem, więc równie dobrze mógł pełnić rolę drugiego ochroniarza, mimo to obraz okazał się zupełnie inny niż ten, który Nastia stworzyła sobie wczoraj. Była pewna, że Biegorski od razu zapyta, czy zabrała wszystkie rzeczy z listy, a może nawet sprawdzi zawartość jej torby, tymczasem Andriej Siergiejewicz w ogóle nie poruszył tego tematu i nawet nie zaszczycił spojrzeniem torby sportowej, którą kierowca włożył do bagażnika. Drugą torbę, z komputerem, Nastia troskliwie umieściła na kolanach.

Andriej Siergiejewicz Biegorski najwidoczniej nie lubił tracić czasu, ponieważ zaraz po tym, jak przywitał się z Nastią, przystąpił do

opowieści.

Klub Złoty Wiek otworzył dwa lata temu, ale na pomysł wpadł znacznie wcześniej, znalazł miejsce – stary, opuszczony dwór, który wszyscy nazywali „dworem Wiaziemskiego” i w którym za czasów władzy radzieckiej mieściło się sanatorium przeciwgruźlicze. Sanatorium dawno zamknięto, ale dworem nikt się nie zajął i nie zainteresował, bo wymagał sporych nakładów, a władze miasta nie miały pieniędzy. Biegorski wykupił dwór razem z ziemią, wyremontował go i otworzył w nim klub, którego głównym zadaniem było szerzenie wiedzy komputerowej wśród starszych mieszkańców.

– Mówimy o ludziach, którzy przestali być aktywni zawodowo, gdy zaczęła się era komputerów, więc nie zdążyli się niczego nauczyć i są teraz oderwani od życia, a przecież posługiwanie się komputerem pozwoliłoby im odnowić kontakty, na których brak zwykle narzekają. Mogliby korespondować ze sobą drogą mailową, pisać do krewnych w innych miastach, a nawet do własnych wnuków mieszkających na sąsiedniej ulicy. Wnuki raczej niechętnie odwiedzają dziadków, ale wysyłanie maili to dla nich frajda, dzieci lubią komputery i mogą przy nich siedzieć godzinami. Poza tym Internet otwiera okno na świat, można tam znaleźć dowolne informacje oraz przyjaciół z tym samym hobby, i to w każdej dziedzinie. Znaleźć, napisać list, a później nawet się spotkać. Krótko mówiąc, zrozumiałem, że umiejętność obsługi komputera ułatwi emerytom życie – z płonącymi oczami wyjaśniał Biegorski. – W tym miejscu pojawiają się jednak dwa problemy: trzeba nauczyć emerytów posługiwania się komputerem, pamiętając o

ich wieku, słabym wzroku i słuchu, sztywności palców oraz powolności reakcji, no i trzeba umożliwić im dostęp do komputerów, ponieważ nie każdego emeryta stać na jego kupno. Mój klub miał rozwiązać te problemy. Zacząłem od dwóch klas komputerowych oraz sali komputerowej. W klasach odbywało się szkolenie według specjalnie opracowanego programu, który był skierowany do ludzi starszych, konsultowałem się z gerontologami, oftalmologami, laryngologami, jednym słowem, zaangażowałem do pracy rzeszę specjalistów. A w sali komputerowej urządziłem coś w rodzaju kawiarenki internetowej, gdzie mogli pracować ci, którzy umieli już posługiwać się komputerem. Nauka bezpłatna, korzystanie z Internetu płatne, ale odpłatność czysto symboliczna, bardzo skromna.

– I co, projekt się opłaca? Jest rentowny? – zainteresowała się Nastia.

– Chyba pani żartuje! – Biegorski roześmiał się wesoło. – To przecież nie jest projekt biznesowy, tylko czysta filantropia, na którą na szczęście mogę sobie pozwolić.

Klub Złoty Wiek rozszerzał powoli swoją działalność, odwiedzający go emeryci zajmowali się nie tylko komputerami, na lekcje zaczęli przyjeżdżać mieszkańcy sąsiednich miast, a nawet stolicy obwodu. Biegorski zawczasu zadbał o to, żeby goście mieli się gdzie zatrzymać.

– Zresztą szczegóły pozna pani na miejscu, teraz nie będę się nad nimi rozwodził, sama pani wszystko zobaczy. Przejdę do tego, co najważniejsze. Jakiś rok temu zabito kobietę, która odwiedzała mój klub, a pół roku później jeszcze jedną. Obie miały rozbite lusterka na

piersi, z ucha wyrwano im kolczyk, obie zostały uduszone, jedna wełnianym szalem, druga jedwabnym, więc schemat zabójstw jest identyczny. Sprawców nie wykryto, ale w lokalnej gazecie pojawił się zupełnie niedorzeczny artykuł, który pokrzyżował mi szyki. Proszę, niech pani przeczyta, zabrałem go ze sobą. Gdy pani skończy, opowiem, co stało się później.

Biegorski podał Nastii cienką zieloną teczkę, w której był artykuł wycięty z gazety. Nastia wyjęła z torebki okulary do czytania i pogrążyła się w lekturze. Czytanie sprawiało jej kłopot, skąpe szare styczniowe światło ledwie przedostawało się przez hartowane szyby samochodu. Nastia krzywiła się, mrużyła oczy, przysuwała kartkę do okna, aż wreszcie dobrnęła do końca sentymentalnej historii rodu Rumiancewów-Łobanowów. Zwróciła teczkę Biegorskiemu, schowała okulary do torebki i z uwagą zaczęła słuchać dalszego ciągu opowieści.

Okazało się, że wiele osób uwierzyło w treść artykułu i, co gorsza, wyciągnęło daleko idące wnioski: w dworze albo gdzieś niedaleko przebywa chory psychicznie potomek dawnych właścicieli, który chce zniszczyć klub i doprowadzić do jego zamknięcia. Liczba członków klubu, którzy przestali odwiedzać dwór, zaczęła się powiększać, trzy osoby z personelu zwolniły się w obawie, że mogą zostać kolejnymi ofiarami obłąkanego zabójcy. Biegorski nie wierzy w szaleńca z rodu Rumiancewów, raczej skłonny jest sądzić, że wydarzenia mają zupełnie inne wytłumaczenie. Jakiś czas temu zaproponowano mu, żeby zamknął klub albo przeniósł go w inne miejsce i sprzedał posiadłość, która po wyremontowaniu stała się łakomym kąskiem. Do

Biegorskiego dotarły informacje, że dwór upatrzyły sobie osoby związane z rodziną mera. Chcą tam urządzić coś w rodzaju elitarnego burdelu albo domu schadzek z ekskluzywną restauracją i hotelem, krótko mówiąc, zarabiać pieniądze. Gdy Biegorski odrzucił propozycję sprzedaży, usiłowano go zastraszyć. Andriej Siergiejewicz nie należy do ludzi podszytych tchórzem, w dodatku jest przezorny, więc obmyślił wszystko tak, żeby jego śmierć niczego nie rozwiązywała. Zostawił testament, zgodnie z którym po jego śmierci dwór przechodzi na własność holdingu, a nie krewnych. Odebranie go holdingowi to bardzo skomplikowany proces, więc zabicie Biegorskiego nie ma sensu. Testament był otwarty i Andriej Siergiejewicz postarał się, żeby jego treść dotarła gdzie trzeba. Właśnie dlatego osoby zainteresowane kupnem dworu próbują go zmusić, żeby dobrowolnie z niego zrezygnował.

– Nie wykluczam, że oba zabójstwa są dziełem osób, które chcą zniszczyć mój klub i wykurzyć mnie z dworu oraz z Tomilina. Zwłaszcza że później nastąpiły kolejne wydarzenia, świadkowie opowiedzą pani o nich na miejscu – zakończył opowieść.

– Musi pan zdawać sobie sprawę, że stoi przede mną trudne zadanie. Znalezienie przestępcy w obcym mieście nie jest łatwe – uprzedziła Nastia. – Milicja w Tomilinie pewnie poruszyła niebo i ziemię, żeby znaleźć zabójcę, a ma znacznie więcej środków i możliwości niż ja. Pański pomysł wydaje mi się, proszę wybaczyć, mocno wątpliwy.

– Precyzuję zadanie: nie oczekuję, że znajdzie pani zabójcę i

doprowadzi go w kajdankach na komisariat. Chcę, żeby rozwiała pani pogłoski, że zabójstwa łączą się bezpośrednio z dworem i z moim klubem. Chcę, żeby ludzie przestali się bać, żeby personel się nie zwalniał, a członkowie klubu nadal go odwiedzali i przyprowadzali nowych gości. Jeżeli wykona pani to zadanie, będę w pełni usatysfakcjonowany. Polecono mi panią jako znakomitą profesjonalistkę, więc nie zamierzam narzucać się ze swoimi radami, sama pani zdecyduje, co i jak trzeba zrobić. Uprzedziłem w klubie o pani przyjeździe, więc może pani liczyć na wszelką pomoc.

Bardzo ciekawe! O czym Biegorski uprzedził współpracowników? Że przywiezie prywatnego detektywa, który będzie szukał zabójcy? Niezły pomysł, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że zabójca może się okazać kimś z personelu albo członkiem klubu.

– I co konkretnie pan powiedział? – zapytała Nastia.

– Tak jak się umówiłem z pani szefem: że jest pani socjologiem, który bada problemy adaptacji społecznej po ustaniu aktywności zawodowej. Będzie pani mogła rozmawiać, z kim zechce, zadawać dowolne pytania, przeglądać dokumenty.

Na szczęście Biegorski poszedł po rozum do głowy. Nastia odetchnęła z ulgą. Ale Stasow też jest dobry, mógł ją uprzedzić, a nie ustalać coś z klientem za jej plecami. I znowu zalała ją fala mdlącego, bezsilnego oburzenia: oto i on, kawałek chleba zarobiony w prywatnej firmie! Żeby na niego zapracować, będzie musiała znosić ciągłe upokorzenia!

– Czy ktoś w dworze wie, kim naprawdę jestem?

– Oprócz mnie tylko dwie osoby.

– Kto to taki? Pańscy zastępcy?

– Moje żony – odparł Biegorski z lekkim uśmiechem, którego znaczenia Nastia w pierwszej chwili nie zrozumiała.

Uznała, że się przesłyszała. A może Biegorski ma takie specyficzne poczucie humoru?

– Przepraszam, kto?

– Moje żony – powtórzył cierpliwie. – Wiera Aleksiejewna Biegorska, pierwsza żona, pracuje jako kadrowa i główna księgowa. Musi pani wiedzieć, że jestem gorącym zwolennikiem łączenia stanowisk, co pozwala nie rozbudowywać nadmiernie etatów, a przy względnie niewielkim zakresie obowiązków ludzie nie są przeciążeni pracą i nie siedzą bez zajęcia. Uważam, że bezczynność jest najgorszym wrogiem człowieka. A Tamara Nikołajewna Winogradowa jest moją czwartą żoną.

– Na jakim stanowisku pracuje?

– Na żadnym. – Biegorski niefrasobliwie machnął ręką. – Tamara jest znakomitą fryzjerką, zwyciężczynią międzynarodowych konkursów, poza tym projektuje ubrania, opracowuje nowe fasony, zajmuje się krojem i szyciem. Prowadzi w klubie salon fryzjerski.

Wszystko jasne, z pewną odrazą pomyślała Nastia. Czwarta żona! Coś podobnego! Pewnie droga od pierwszej do czwartej żony wiodła po opadającej krzywej wieku, każda kolejna partnerka była młodsza i ładniejsza od poprzedniej. Znany obrazek. Wielu starzejących się bogaczy, tracąc wigor, próbuje go odzyskać, rozglądając się za coraz

młodszyimi panienkami. No i oczywiście ostatnia żona, w odróżnieniu od pierwszej, nie musi zarabiać na życie. Pierwsza żona, Wiera Aleksiejewna, jest zależna od pensji, a czwarta – młoda długonoga ślicznotka z obfitym biustem i apetycznym tyłeczkiem – prowadzi salon i zajmuje się typowo kobiecymi przyjemnościami: fryzurami, strojami. Może też manikiurem i pedikiurem albo depilacją. Po co emerytom depilacja? To jakaś kpina.

Sympatia, którą Nastia zaczęła darzyć Andrieja Siergiejewicza, błyskawicznie się ulotniła. Jej miejsce zajęła lekka pogarda. Facet jest taki sam jak inni bogacze, nie ma w nim nic niezwykłego. Oligarcha, jakich wielu. Pieniądze uderzyły mu do głowy.

Równy w południe samochód zatrzymał się koło przydrożnej restauracyjki stylizowanej na chłopską chatę. Wypadł z niej młody, ogolony na zero mężczyzna o kaukaskiej powierzchowności, podbiegł do samochodu i otworzył szeroko drzwi od strony Biegorskiego.

– Jak miło, że nas pan odwiedził, Andrieju Siergiejewiczu! I jak zwykle punktualnie, o dwunastej, tak jak pan uprzedzał. Wszystko gotowe, zapraszamy. Czym chata bogata.

No proszę, facet ma też swoją zaprzyjaźnioną restaurację, w której się zatrzymuje, gdy jedzie do Tomilina. Niechęć Nasti do Biegorskiego przybrała na sile.

Gości zaprowadzono w najdalszy róg sali, gdzie były nakryte dwa sąsiadujące stoliki, każdy na dwie osoby. Przy jednym usiedli Biegorski z Nastią, przy drugim kierowca z ochroniarzem. Kelnerzy od razu postawili przed nimi talerze z połówkami grejpfruta, który okazał

się tak kwaśny, że Nastia aż się krzywiła. Wygląda na to, że Andriej Siergiejewicz odżywia się korzonkami, pomyślała. Połówka grejpfruta i filiżanka kawy to cały obiad. Dlatego pytał o system odżywiania! Sam pewnie dba o wygląd i liczy każdą kalorię, a taki obiad to zero kalorii. I co teraz, mam umrzeć z głodu?

Po grejpfrucie podano jednak sałatkę warzywną z oliwą z oliwek i sokiem z cytryny, a do niej chleb razowy. Nastia nieco się rozchmurzyła. To już wygląda lepiej, da się żyć! Później przyniesiono coś żółtego z kolorowymi składnikami. Smakowało wybornie.

– Co to takiego? – zapytała Nastia z pełnymi ustami, zapominając o dobrych manierach.

– Kuskus i warzywa „imam *bayildi*”.

Nastia знаła tylko słowo „warzywa”, o kuskusie słyszała, ale nigdy go nie jadła, nie było okazji, a o „imamie” w ogóle nie miała pojęcia. Okazało się, że zagadkowa nazwa oznacza „zemdlonego imama” – imam tak się zachwyił potrawą z bakłażanów i pomidorów, że zemdlął z wrażenia.

Zanim podano kawę, Nastia poczuła się objedzona jak bąk. Z przyzwyczajenia wrzuciła do filiżanki dwie kostki cukru i plasterki cytryny. Biegorski pił kawę bez cukru i bez mleka.

– Kawa bez cukru jest przecież gorzka – zdziwiła się Nastia.

– Jestem przyzwyczajony. – Andriej Siergiejewicz uśmiechnął się nieznacznie.

– A czemu musiał się pan przyzwyczaić? Lekarz zabronił panu słodzić?

– Cukier nikomu nie służy. Wszyscy to rozumieją, ale nie każdy się z tym liczy. Najadła się pani?

– I to bardzo. Szczerze mówiąc, sądziłam, że ludzie pańskiego pokroju zamawiają na obiad jakieś wyszukane mięso albo drogie ryby.

– Mięso i ryby to białko, podobnie jak twaróg i jajka, można to jeść tylko wieczorem, na kolację. Na obiad węglowodany i warzywa, a na kolację białko i warzywa. Nie inaczej.

– Tak? – Nastia uniosła brwi ze zdumieniem. – Pierwszy raz o tym słyszę.

– Nie przypadkiem pytałem panią o system odżywiania. Wiedziałem, że nie ma pani żadnego systemu. To niedobrze.

– Chyba nie muszę dbać o linię. – Nastia się uśmiechnęła. – Nadwaga mi nie grozi.

– Co ma do tego nadwaga? – Biegorski się skrzywił. – Chodzi o dobre samopoczucie i wysoką wydajność pracy. To nie fanaberie ani hołdowanie modzie, ale nieodzowny warunek funkcjonowania każdego mechanizmu, bez względu na to, czy mamy do czynienia z przedsiębiorstwem, czy z żywą istotą. Gdy człowiek odżywia się prawidłowo, będzie pracował długo i owocnie, nie czując zmęczenia. Natomiast gdy odżywia się niewłaściwie, dokuczają mu mdłości, palpacje serca oraz inne nieprzyjemne dolegliwości. Jest senny, słaby, nie może pracować. I tyle. Stanowczo nalegam, żeby odżywiała się pani zgodnie z moimi zaleceniami, póki pani dla mnie pracuje, bo to zapewni pani dobre samopoczucie. W końcu płacę za pracę, a nie za to, żeby wynajęty przeze mnie pracownik czuł się źle, chorował i nic

nie robił.

– A jeśli nie będę miała ochoty na jedzenie, które pan proponuje? – zainteresowała się Nastia. – Jeśli nie będzie mi smakowało?

– Będzie pani jadła to, co dostanie, a jeśli nie będzie pani smakowało, uda się pani do restauracji w mieście i zamówi jakieś świństwo, po którym będzie pani miała niestrawność i zgagę. Albo kupi pani mleko i parę bułek w sklepie, naje się w swoim pokoju do syta, aż nie będzie mogła się ruszyć, i od razu pani zaśnie. W obu przypadkach okaże się, że miałem rację.

Nastia wyjęła papierosy i zapaliła. Nie paliła od chwili wyjazdu i z niecierpliwością czekała, aż będzie mogła się znowu zaciągnąć.

– Odnoszę wrażenie, że ma pan zawsze rację. Chyba wspominał pan, że nikt prócz żony nie ośmiela się panu sprzeciwić i powiedzieć „nie”. Którą żonę miał pan na myśli? Pierwszą czy ostatnią?

– Ostatnią, Tamarę. Ale czuję, że zamierza pani do niej dołączyć. – Biegorski uśmiechnął się promiennie. – A więc będziecie dwie.

W samochodzie znowu wrócili do rozmowy o posiadłości i klubie. Nastię interesował artykuł, który Biegorski dał jej do przeczytania.

– Jak pan sądzi, skąd dziennikarka wzięła tę historię? – zapytała. – A może to wszystko prawda?

Biegorski wzruszył ramionami.

– Możliwe. Całkiem możliwe. Ale to dla mnie żadna pociecha. Ludzie ode mnie odchodzą – oto co mnie martwi. Wiem, że jeżeli szalenciec snuje się po mieście, sama go pani nie złapie. Ale jeżeli siedzi w klubie, będzie go pani w stanie namierzyć. Albo znaleźć, albo

udowodnić, że nie ma go w klubie, więc personelowi i gościom nic nie grozi. A jeśli chodzi o tę dziennikarkę, Natalię Malec, to zasięgnąłem języka. Dziewiętnastoletnia smarkula, pewnie zarozumiała gęś, która postanowiła zdobyć sławę, opisać wyssane z palca okropności i zrobić gorący materiał. No cóż, właściwie dopięła swego, w mieście nie ma człowieka, który nie przeczytałby artykułu. W dodatku materiał przedrukowano w lokalnych gazetach Kostrowska i stolicy obwodu.

Nastia drgnęła.

– Kostrowska?

– Tak, to sześćdziesiąt kilometrów od Tomilina. A czemu? Była tam pani?

– Byłam. – Nastia skinęła głową z roztargnieniem.

Była, i owszem. Ale wolałaby nigdy się tam nie znaleźć. Ile minęło lat? Piętnaście? Nie, chyba szesnaście. Pojechała do sanatorium w Kostrowsku i wdepnęła w paskudną historię związaną z zabójstwami i nielegalną wytwórnią filmów porno. Właśnie w Kostrowsku poznała Eduarda Pietrowicza Denisowa, lokalnego „ojca chrzestnego”, który namówił ją do udziału w dochodzeniu... Ciekawe, czy jego dawny szef ochrony Starkow jeszcze tam mieszka, czy może gdzieś się przeprowadził? Ile lat się nie widzieli? Chyba od dziewięćdziesiątego szóstego roku. Albo od dziewięćdziesiątego siódmego. Co prawda od tamtej pory Starkow przysyła jej regularnie życzenia z okazji Dnia Milicjanta, ani razu nie zapomniał. Można spróbować do niego zadzwonić, jeśli oczywiście nie zmienił numeru komórki. Zadzwonić, pojechać do Kostrowska i się z nim zobaczyć. Tylko właściwie po co? Po

co jej Starkow, który zawsze traktował ją z szacunkiem, a nawet z pewnym onieśmieniem? Po to, żeby po raz kolejny się przekonać, że ludzie się starzeją i zmieniają, nie zawsze na lepsze, i nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki?

Nastia potrząsnęła głową i wróciła do rozmowy z Biegorskim.

– Jak pan sądzi, czy to możliwe, że artykuł został opłacony przez ludzi, którzy próbowali wyrzucić na pana nacisk?

– Owszem – przytaknął. – Zabójstwo dwóch kobiet z mojego klubu było im na rękę, chcieli wykorzystać sytuację do swoich celów. Wolałbym nie myśleć, że maczali palce w dwóch zabójstwach, ale nie mogę tego wykluczyć.

Nastia patrzyła na pokryte śniegiem gałęzie drzew stojących wzdłuż drogi. Drzewa, wszędzie drzewa, nie ma na czym zawiesić oka. Co to za przyjemność jechać samochodem tak daleko? Stasow mówił, że można też podróżować pociągiem.

– Zawsze jeździ pan do Tomilina samochodem? – zapytała.

– Gdy jestem z Tamarą, wybieram pociąg, ona nie lubi za długo siedzieć w samochodzie.

– A pan lubi? – zapytała Nastia z niedowierzaniem.

– Pociąg jedzie w nocy, a ja źle śpię w pociągach, więc przez cały następny dzień jestem niezdolny do pracy. Ze względu na Tamarę znoszę tę uciążliwość, ale gdy jadę bez niej, robię tak, jak mi wygodnie. W drodze zajmuję się bieżącymi sprawami, rozwiązuję różne problemy przez telefon, przeglądam dokumenty. Dzisiaj wyłączyłem komórkę, żeby mi nikt nie przeszkadzał w pracy z panią,

ale zwykle telefon się urywa.

„W pracy z panią”! Niesłychane! A więc Andriej Siergiejewicz traktuje ich rozmowę jak pracę. No cóż, podejście godne prawdziwego biznesmena.

– Moim zdaniem nie ma tu dobrych warunków do przeglądania dokumentów – sceptycznie zauważyła Nastia, przypominając sobie, z jakim trudem udało jej się dobrnąć do końca artykułu wydrukowanego drobną czcionką.

– Zgadza się. – Biegorski przytaknął skwapliwie. – Ale w tym samochodzie nie przeglądam dokumentów. W dłuższe, wielogodzinne podróże wybieram się specjalnie wyposażonym minivanem, jest w nim dobre oświetlenie, faks i wszystko, czego potrzebuję do pracy.

Biegorski przeprosił Nastię, włączył telefon i pogрузzył się w niekończących się rozmowach, a Nastia odchyliła głowę i przymknęła oczy, starając się uporządkować to, co usłyszała. Wyłoniły się dwie główne hipotezy: zabójstwa są dziełem przeciwników Biegorskiego albo popełnił je szaleniec, który może przebywać w starym dworze. Pierwsza hipoteza wydawała się wątpliwa, bo przecież gdyby zabójstwa obu kobiet zaplanowano, żeby zasiać panikę wśród personelu i gości klubu, przerwa czasowa między nimi byłaby znacznie krótsza, parę dni, najwyżej parę tygodni. Tymczasem minęło pół roku. Nie, nie pasuje. A więc jednak szaleniec.

*

Koło wpół do czwartej znaleźli się na obrzeżach Tomilina. Nastia czuła ból w plecach, zdrętwiały jej nogi i miała ogromną ochotę na papierosa i kawę. Gdy jechali przez miasto, Biegorski udzielał wyjaśnień, które wydały się Nasti zupełnie nieciekawe, a nawet zbędne.

– Zbliżamy się do kostrowskiego zbiornika wodnego, tuż obok znajdują się zakłady chemiczne, wokół których rozłożyło się miasto – mówił. – Początkowo wznoszono je nad brzegiem Tominki, po obu stronach zakładów, później budowa prawej części, jeśli stanąć twarzą do rzeki, została wstrzymana i przesunięto się w lewo, wzdłuż rzeki. Nasz dwór jest na granicy miasta. Centrum znalazło się bliżej rzeki, a z dala od niej, w głębi, znajdują się teraz nowe osiedla mieszkaniowe. Mówię to dlatego, że jedna z kobiet została zabita w centrum, a druga na osiedlu wielkopłytowym. Proszę spojrzeć, właśnie przejechaliśmy przez tamę, po lewej stronie są zakłady chemiczne i zbiornik wodny, a my pojedziemy w prawo prospektem Zwycięstwa... teraz skręcamy w prawo w ulicę Radyszczewa... a teraz w lewo, jesteśmy na ulicy Parkowej, która zaprowadzi nas prosto do dworu...

Nastia słuchała piąte przez dziesiąte, szczegóły topograficzne mało ją obchodziły, wiedziała, że w razie potrzeby weźmie mapę i znajdzie wszystko, co trzeba, nie zgubi się. Jej zdaniem ulica Parkowa niewiele różniła się od drogi, którą przyjechali z Moskwy: takie same zaśnieżone drzewa po obu stronach, tylko jezdnia węższa. Latem pewnie jest tutaj naprawdę ładnie, ale zimą nie ma nic ciekawego.

– A gdzie jest komisariat? – zapytała, przypominając sobie, że jutro rano musi się tam zjawić.

– Na ulicy Federacyjnej. Gdybyśmy nie skręcili z prospektu Zwycięstwa w ulicę Radiszczewa, tylko pojechali dalej, dotarlibyśmy do skrzyżowania Zwycięstwa z Federacyjną, na którym trzeba skręcić w lewo. To taki długi budynek, od czasów władzy radzieckiej mieści się tam GOWD, prokuratura i sąd. Kiedyś był tam też miejski wydział KGB. Niech się pani nie martwi, dam pani samochód z kierowcą, kierowca zna dobrze miasto i cały obwód, zawiezie panią, gdzie tylko sobie pani zażyczy. No i jesteśmy na miejscu.

Samochód wjechał przez ażurową kutą bramę, a w głosie Biegorskiego znowu dało się słyszeć podniecenie, a nawet radość. W jego oczach pojawił się błysk – tak bardzo kochał swoje dzieło i był z niego dumny.

– Tutaj jest bardzo ładny *cour d'honneur*, ale zimą go prawie nie widać. Gdyby przyjechała pani latem, wtedy co innego. Sadzimy tutaj kwiaty, urządzamy nawet konkursy na najbardziej oryginalny klomb.

Nastia wyteżyła pamięć, starając się odszukać w niej jakieś pojęcia związane z architekturą, i przypomniała sobie, że *cour d'honneur* to nazwa dziedzińca reprezentacyjnego przed dworem, otoczonego zwykle oficynami albo skrzydłami budynku. Tak, Biegorski ma rację, zasypany śniegiem dziedziniec nie robił żadnego wrażenia.

Gdy samochód się zatrzymał, Nastia wysiadła i rozejrzała się dokoła. Typowy przykład architektury klasycystycznej, charakteryzujący się przejrzystością i prostotą form oraz oszczędnym zdobnictwem. Zdobnictwo jest tak minimalistyczne, że wydaje się bezduszne. Jediną ozdobą gładkich powierzchni murów są pionowe

występy. Noszą chyba nazwę lizen, ale Nastia nie była pewna. Wzdłuż budynku ciągnęły się krużganki, które kończyły się parą oficyn, po jednej z każdej strony.

– Niech pani zobaczy, co za belwedery! – z niemal dziecięcym zachwytem mówił Biegorski. – A te okna w ścianach bębna! Gdy zobaczy pani fasadę parkową, będzie pani mogła sobie wyobrazić, jak kiedyś było tutaj pięknie.

– Nie znam się na tym – nieśmiało zauważyła Nastia, zerkając na całkiem zwyczajne jej zdaniem wejście do głównego budynku.

Biegorski podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i roześmiał się głośno.

– Gdzie pani patrzy, Anastazjo Pawłowno? Fasada parkowa jest po przeciwnej stronie. Wychodzi na park, a nie na bramę wjazdową.

– Tak? – Nastia szczerze się zdziwiła. – A ja myślałam, że fasada parkowa jest tam, gdzie dziedziniec reprezentacyjny. Sądziłam, że dziedziniec reprezentacyjny to swego rodzaju park.

– Ależ skąd, prawdziwy park jest dalej, za budynkiem, a *cour d'honneur* to wizytówka dworu. Chodźmy, pokażę, gdzie panią zakwaterowaliśmy.

Kierowca wyjął z bagażnika torbę Nasti i ruszył z nią w kierunku prawej oficyny.

– Będę tutaj mieszkać?

– No a gdzie? – Tym razem Biegorski się zdziwił.

– Sądziłam, że w hotelu.

– Tego jeszcze brakowało! Będzie pani pracować w klubie, więc

musi pani być w pobliżu. W głównym budynku mamy pokoje gościnne dla tych, którzy przyjeżdżają z innych miast na szkolenia, ale pani będzie mieszkać w oficynie, w apartamencie. Proszę za mną.

Biegorski wspiął się po stopniach i otworzył drzwi. Nastia weszła do środka i znalazła się w prostokątnym holu z czworgiem drzwi. Biegorski otworzył kluczem jedno z nich i wpuścił Nastię do małego przedpokoju, z którego prowadziło troje drzwi. Mężczyzna otwierał każde po kolei.

– Tutaj jest salon i mała kuchnia, może sobie pani przygotować coś niewyszukanego albo zaparzyć herbatę, tutaj jest sypialnia, a tu łazienka. W salonie podłączyliśmy Internet, więc może pani z niego korzystać.

Nasti ledwie udało się powstrzymać śmiech. W sypialni zobaczyła łóżko z baldachimem. Przy oknie, które zdobiła firana z lambrekinem, stała urocza sofa z rzeźbionym oparciem, a przy ścianie konsola z szufladkami. Tapety były w kwiatki koloru starego złota. Nastia aż bała się wejść do salonu.

– Śmieje się pani? – Biegorski się zachmurzył. – Coś nie tak?

– Nie, nie, wszystko w porządku – powiedziała Nastia, tłumiąc śmiech. – Przyszło mi tylko do głowy, że jeszcze wczoraj wieczorem wyobrażałam sobie hotel z pluskwami, bez ciepłej wody i zastanawiałam się, czy powinnam wziąć szlafrok, bo w pokoju może być zimno. Szkoda, że nie uprzedził mnie pan wcześniej, w jakich zamieszkałam warunkach, wzięłabym koronkowy peniuar, bo będę się teraz czuła niezręcznie, paradując w dresie po tak pięknym wnętrzu.

Biegorski, o dziwo, zupełnie poważnie potraktował jej słowa.

– Jeśli czegoś pani brakuje, proszę uprzedzić męża, że kierowca wpadnie po rzeczy. Wszystko pani przywiezie.

Nastia zmieszała się.

– Nie trzeba, żartowałam. Bardzo mi się tutaj podoba. Nigdy nie mieszkałam w tak luksusowym apartamencie.

Opuściła sypialnię i nieśmiało precyzyjnie się koło Andrieja Siergiejewicza do salonu. Narożna kanapa, dość długa, można na niej spać, dwa fotele, niska, szeroka ława, przy oknie biurko, na ścianie panel telewizyjny. Wszystko funkcjonalne, eleganckie, wygodne, nie ma nic zbędnego.

– Wspaniale! – szczerze powiedziała Nastia, po raz pierwszy czując coś na kształt sympatii do Biegorskiego.

– Chce się pani od razu rozpakować? – zapytał mężczyzna.

– A jakie są opcje?

– Może się pani rozpakować, a ja wpadnę po panią za chwilę, albo może pani odłożyć rozpakowywanie na później, teraz pójdziemy do Tamary, poznam was ze sobą i dalej ona się panią zajmie. Zna tutaj wszystko i wszystkich.

Znowu uwielbiana Tamara, dla której oligarcha Biegorski gotów jest znieść bezsenne noce na niewygodnej leżance w pociągu. Czwarta żona, młoda ślicznotka z długimi nogami i farbowanymi włosami, może nawet z silikonowym biustem i sztucznymi rzęsami. Ale nie ma wyjścia, trzeba się z nią spotkać.

– Chodźmy do pańskiej żony – zdecydowała Nastia.

Gdy znaleźli się w holu, dopiero teraz zauważyła schody prowadzące na piętro.

– Na parterze są apartamenty dla gości, a na piętrze moje i Tamary – wyjaśnił Andriej Siergiejewicz, energicznie maszerując po schodach.

– Nie mieszka pan razem z żoną? – na wszelki wypadek uściśliła Nastia.

– Jeszcze się nie pobraliśmy. Uważam Tamarę za żonę, ale ona nie śpieszy się, żeby nazwać mnie swoim mężem. Mam jednak nadzieję, że to nie potrwa długo.

Pchnął jedno z drzwi na piętrze i w tej samej chwili na ich spotkanie wybiegła niepokazna, drobna kobieta w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat, krótko ostrzyżona, w niezwykle ekstrawaganckim stroju. Biegorski objął ją i pocałował.

– Poznajcie się, to Tamara Nikołajewna Winogradowa, moja prawie żona, a to Anastazja Pawłowna Kamieńska.

– Socjolog – dodała Tamara, patrząc na Nastię z uśmiechem.

– No tak, coś w tym guście – wybąkała speszona Nastia.

Powiedzieć, że była w szoku, to mało. Nie mogła wyjść z osłupienia. Coś podobnego, snuła tyle różnych przypuszczeń na temat czwartej żony Biegorskiego, a okazało się, że trafiła jak kulą w płot. Jej dawny szef, Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, nie mylił się, mówiąc, że Nastia nie ma nosa. Nie ma i nigdy nie miała.

Była pewna, że zobaczy młodą laskę ze wszystkimi przynależnymi jej atrybutami, a przed nią stała zwyczajna kobieta, rówieśnica Biegorskiego, z nieładną twarzą, długim nosem, cienkimi ustami i

siwymi włosami. Kobieta niezwykle atrakcyjna dzięki szczeremu uśmiechowi i zawadiackiemu błyskowi w oczach, stylowej fryzurze i ubraniu, które było niepodobne do jakiegokolwiek stroju prezentowanego w witrynach sklepowych. Mimo swojej zwyczajności Tamara Nikołajewna wydawała się bardzo niezwykła.

– Dobrze, Tamaro, przekazuję ci Anastazję Pawłownę, zaprowadź ją do klubu, pokaż wszystko i odpowiedz na jej pytania. Gdybyście czegoś potrzebowały, będę w gabinecie.

To mówiąc, Andriej Siergiejewicz jeszcze raz pocałował Tamarę i lekko zbiegł na dół.

Przez chwilę Tamara nasłuchiwała oddalających się kroków, a potem uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Chce pani coś zjeść, Anastazjo? Mogę się do pani zwracać po imieniu? Jest pani przecież ode mnie młodsza.

– Oczywiście.

– Pani też niech się do mnie zwraca zwyczajnie. Co pani powie na herbatę i ciasteczka? Wyobrażam sobie, czym Andriej karmił panią w drodze. Może się pani nie martwić, jedzenie serwujemy normalne, ale dopiero po wyjeździe Andrieja. Dopóki tutaj przebywa, obowiązuje jego jadłospis. Ale proszę się nie obawiać, zawsze będzie pani mogła do mnie wpaść na podwieczorek.

Nastia roześmiała się z ulgą. Wygląda na to, że znajdzie wspólny język z Tamarą.

– A pani nie stosuje systemu odżywiania Andrieja Siergiejewicza?

– Kto? Ja? Uchowaj Boże! Tego tylko brakowało, żebym chodziła u

niego na pasku. Zawsze żyłam tak, jak uważałam za stosowne, nikomu się nie podporządkowywałam.

Nastia uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dziękuję, Tamaro, doceniam pani chęć uratowania mnie od śmierci głodowej. Ale jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałabym obejrzeć dwór, zanim napijemy się herbaty i porozmawiamy. Łatwiej jest zadawać pytania, gdy wiadomo, jak wygląda miejsce, w którym należy szukać przestępcy.

– Dobrze. Chwileczkę, tylko się ubiorę.

Tamara narzuciła krótki futrzany żakiet, włożyła wysokie kozaki na płaskim obcasie, po czym obie z Nastią ruszyły na obchód dworu.

– Co mieści się w drugiej oficynie? – zapytała Nastia.

– Apartamenty, ale mniej wystawne, dla pracowników, którzy tutaj mieszkają – wyjaśniła Tamara.

– Są tacy? – zdziwiła się Nastia. – To znaczy, że klub zapewnia im lokum?

– Zgadza się. Nie całkiem bezpłatnie, ma się rozumieć, ale wysokość czynszu jest skromna, na ich kieszeń. W każdym razie wypada o wiele taniej niż wynajmowanie pokoju w mieście, no i mają blisko do pracy.

– Dużo osób tam mieszka?

– Teraz dwie. W sumie oficyna jest przewidziana na osiem osób.

A zatem dwie osoby z personelu są stale na miejscu. Może od nich zacząć? Od czegoś przecież trzeba.

– A kto konkretnie? – zapytała Nastia.

– Kostia Jeriemiejew, nasz komputerowy geniusz, oraz Walerij Wasiljewicz Połosuchin, złota rączka, fachowiec od wszystkiego.

– Dlaczego nie mają własnego mieszkania w mieście? Są przyjezdni?

– Tak. Każdy przeżył jakąś tragedię. Kostia był świadkiem, jak jego żonę i córkę śmiertelnie potrafił samochód, i postanowił opuścić tamte okolice, dowiedział się o naszym klubie i o tym, że zapewniamy mieszkanie, więc przyjechał, żeby się zatrudnić. Powiedział, że specjalnie wybrał miejsce, w którym jest niewiele młodych kobiet i w ogóle nie ma dzieci, bo nie chce, żeby cokolwiek przypominało mu o tragedii.

– To zrozumiałe. – Nastia kiwnęła głową. – A Połosuchin?

– Razem z żoną emigrował do Niemiec, spędził tam parę lat, później żona zmarła, a on wrócił. Nie miał gdzie się zatrzymać, bo przed wyjazdem sprzedali mieszkanie. No więc zaczepił się u nas, pomaga tym, którzy czegoś potrzebują, a to coś naprawi, a to zmontuje od nowa. Ma smykałkę do majsterkowania, jest prawą ręką kierownika działu gospodarczego, Sani. No i robi coś jeszcze: prowadzi kółko miłośników haftu.

– Żartuje pani?

– Bynajmniej. Bardzo dobrze haftuje i lubi to robić. Zgromadził wokół siebie ludzi z taką samą pasją, haftują wspólnie całe obrazy i *panneau*, którymi ozdabiamy dwór. Pasują do dawnego stylu. – Tamara się uśmiechnęła. – Jesteśmy na miejscu. Proszę do środka, Anastazjo.

Weszły do przestronnego holu. Po prawej stronie Nastia zobaczyła szatnię i ladę recepcji, za którą stała sympatyczna kobieta najwyraźniej w wieku emerytalnym i rozmawiała przez telefon.

– Muszę przyznać – powiedziała zdziwiona Nastia – że przyzwyczaiałam się do widoku młodych atrakcyjnych pań w recepcji.

– To know-how Andrieja. Słusznie uznał, że starsi ludzie przeważnie wstydzą się kontaktów z młodzieżą. Wydaje im się, że są już zgrzybiali, głusi, ślepi, bezradni i głupi. Starszy człowiek woli zwrócić się z prośbą albo pytaniem do osoby w podobnym wieku, zamiast do młodej sympatycznej dziewczyny albo młodego mężczyzny z długimi włosami i słuchawkami w uszach. Cały personel odpowiada w miarę możliwości temu kryterium. Andriej wynajmuje również wykładowców w zaawansowanym wieku. Specjaliści dyżurujący przy komputerach też nie są wyrostkami.

– A wasz komputerowy geniusz? Ma chyba na imię Kostia?

– To jeden z rzadkich wyjątków, ale i on jest po trzydziestce. Chodźmy tędy. – Tamara ruszyła ku szeroko otwartym drzwiom. – Tutaj jest salon. Nazywamy go „zielonym”.

Naprawdę jest zielony, pomyślała Nastia na widok tapet, zasłon, dywanów, foteli i kanap w turkusowych i malachitowych tonacjach, rozjaśnionych kremowymi odcieniami. I rzeczywiście ładny. Mogłabym tutaj siedzieć godzinami i rozmawiać, gdybym miała z kim, albo czytać. Przytulnie tutaj i spokojnie.

Na ścianach wisiały obrazy w rzeźbionych ramach, a w fotelach

przy dwóch stolikach siedzieli goście i prowadzili ożywioną dyskusję. Atmosfera wydała się Nasti przyjazna, a nawet idylliczna. Aż trudno sobie wyobrazić, że ci sami ludzie uwierzyli w sensacyjny artykuł o szaleńcu i boją się teraz przychodzić do klubu. Na ich twarzach nie było widać żadnych oznak niepokoju czy strachu.

Gdy wróciły do holu, Nastia przyjrzała mu się dokładniej. Szerokie schody prowadziły na piętro, przy ścianach stały ławy i krzesła, a nad nimi wisiały lustra. To rozsądne, pomyślała, przecież większość gości to ludzie w podeszłym wieku, którzy wciąż gdzieś przysiadają. Tamara ruszyła korytarzem, który skręcał w lewo.

– Tutaj mamy restaurację, można w niej zjeść obfity posiłek albo wypić herbatę z czymś słodkim. Menu jest przewidziane na różne kieszenie, bo przecież niektórzy goście nie są zamożni, a nie chcemy, żeby czuli się gorsi. Można więc dosłownie za kopiejki dostać jakiś skromny deser. Ale można też zamówić wyborny obiad. Zresztą – dodała Tamara z uśmiechem – sama się pani zorientuje przy kolacji. Ale niech się pani nie martwi, podczas nieobecności Andrieja będzie pani mogła sobie pofolgować.

Po drugiej stronie „zielonego” salonu i restauracji znajdowało się pomieszczenie noszące nazwę salonu muzycznego oraz garderoba. W salonie muzycznym, który wyglądał jak niewielka sala koncertowa z niewysoką sceną, odbywały się wieczory artystyczne, pokazy filmów połączone z dyskusją, a także przedstawienia teatru amatorskiego, który działał w klubie. Przeznaczenie garderoby było oczywiste.

– Lewe skrzydło obejrzałyśmy – powiedziała Tamara, prowadząc

Nastię ponownie do holu. – Teraz skręcimy w prawo.

Po jednej stronie korytarza mieściły się dwie sale komputerowe oraz kawiarenka internetowa, a po drugiej biblioteka, pokój miłośników haftu, salon fryzjerski Tamary i gabinet, w którym dwa razy w tygodniu przyjmowali lekarze: psychoterapeuta, gerontolog oraz internista. Nastia zajrzała z ciekawości do jednej z sal i zobaczyła na ścianach powiększone schematy sieci komputerowych.

– Andriej zamawiał schematy specjalnie dla wykładowców – z dumą wyjaśniła Tamara. – Proces nauczania został opracowany na zamówienie Andrieja z uwzględnieniem psychofizycznych właściwości naszych uczniów.

Po obejrzeniu parteru panie wspięły się na piętro. Tutaj również były dwa skrzydła. Po lewej stronie znajdował się sekretariat, a za nim gabinety Biegorskiego i Wiery Aleksiejewny, jego pierwszej żony, która zajmowała się kadrami i księgowością. Naprzeciw sześć pokoi współpracowników i wykładowców. Z prawej strony siedem pokoi hotelowych i pomieszczenie służbowe pokojówek.

– Czy ktoś teraz mieszka w tych pokojach? – zapytała Nastia, spoglądając w głąb długiego korytarza i zastanawiając się, jak będzie szukała tajemniczego szaleńca w tych niekończących się pomieszczeniach.

– Trzy osoby. Pani profesor ze stolicy obwodu, od dwudziestu lat jest już na emeryturze, więc proces komputeryzacji ją ominął, a poza tym dwaj starzy przyjaciele, uroczy staruszkowie. Syn jednego z nich jest przedsiębiorcą, opłacił pobyt ojca i jego towarzysza. Hotel nie jest

bezpłatny, ale koszty są niewysokie. Andriej płaci za wiele rzeczy, byleby tylko klub się rozwijał. No a teraz pokażę pani naszą dumę – ogród zimowy.

Zeszły znowu na parter i przecięły hol, idąc ku szklanym dwuskrzydłowym drzwiom po przeciwnej stronie od wejścia. Za nimi był szeroki półokrągły występ, który zamieniono w ogród zimowy. Choć było już ciemno, Nastia dostrzegła duże kamienne schody, przy których rosły olbrzymie stare drzewa. Łagodne stopnie schodziły do parku.

– Latem jest tutaj bardzo ładnie – powiedziała Tamara. – Lipy cudownie pachną! W parku jest kaplica, stara rotunda, oranżeria i schronisko dla zwierząt. A także garaż. Jutro wszystko pani zobaczy podczas spaceru. Teraz jest za ciemno. Zresztą chyba jest pani zmęczona. Andriej pewnie zerwał panią bladym świtem, wiem, że zwykle wyjeżdża o szóstej.

– O siódmej – poprawiła Nastia.

– Zabrał panią o siódmej, ale z domu wyjechał o szóstej. Ranny ptaszek. Ojej – Tamara zreflektowała się i zerknęła na zegarek – już dziesięć po szóstej, zamęczyłam panią tą wycieczką. O szóstej Andriej kazał być na kolacji.

– Gdzie? – Nastia się przestraszyła.

Myśl o „zdrowym” jedzeniu z jakiegoś powodu wprawiła ją w przerażenie, mimo że obiad pozostawił całkiem przyjemne wspomnienie.

– W restauracji. Dla pani jest gotowana ryba z warzywami.

Mówiąc to, Tamara roześmiała się dźwięcznie.

– A pani nie będzie jadła ryby?

– Kto? Ja? Za nic w świecie! Andriej wie, że ze mną nie warto wojować, bo i tak będę żyła zgodnie ze swoimi przyzwyczajeniami. Ale panią spróbuje jeszcze urobić i zwerbować w swoje szeregi. A przy okazji, powiedział mi wczoraj przez telefon, że stanęła pani okoniem w jakiejś sprawie. To prawda?

– Nie pamiętam. – Nastia się zmieszała. – Rzeczywiście mówił coś podobnego, ale nie zwróciłam uwagi.

– Jest pani na dobrej drodze – stwierdziła Tamara, podążając w stronę restauracji. – Niech mu pani nie ustępuje i nie pozwala sobą pomiatać. Nic się nie stanie, nie zabije pani. Przez pewien czas będzie szalał, ale później się uspokoi. Mówię to z własnego doświadczenia. Właściwie nietrudno sobie z nim poradzić, ale jak dotąd nikt oprócz mnie nie próbował.

Tamara miała rację. Nasti i Biegorskiemu podano rybę gotowaną na parze z brokułami, których Nastia nie znosiła. Na sam widok jaskrawozielonych różyczek dostawała mdłości. Markotnie podłubała widelcem w talerzu, zjadła jedną trzecią niesmacznej jej zdaniem ryby i na pytanie Biegorskiego skłamała, że nie jest głodna. Ten pokręcił głową z wyrzutem, ale nic nie powiedział, a siedząca naprzeciw Tamara uśmiechnęła się i mrugnęła porozumiewawczo, jakby przypominając, że zawsze jest gotowa uraczyć Nastię herbatą i ciastkiem.

Myśl o herbacie i ciastku była bardzo kusząca i Nastia już miała

zwrócić się do Tamary z propozycją uciecia miłej pogawędki po kolacji, gdy nagle poczuła, że jest śmiertelnie zmęczona. Nie ma siły o czymkolwiek rozmawiać ani stawiać pytań dotyczących dwóch zabitych kobiet, musi się zastanowić i przemyśleć wszystko, co powiedział jej Biegorski podczas ośmiogodzinnej podróży, musi przypomnieć sobie rozkład pomieszczeń w dworze, musi chociaż z grubsza zaplanować proces zbierania informacji. Jutro rano czeka ją spotkanie z komendantem miejskiego komisariatu, później z jego zastępcą do spraw kryminalnych, a na końcu z wywiadowcami, którzy prowadzili sprawy zabitych kobiet odwiedzających klub Złoty Wiek. Wszystkie te czynności wymagają jasnego i świeżego umysłu.

Nastia Kamińska była głodna, kawałek gotowanej ryby jej nie nasycił, mimo to wolała wziąć prysznic i się położyć. I pomilczeć. Dobrze byłoby też się rozpakować, bo odkąd rzuciła torbę w apartamencie, całkiem o niej zapomniała. No i musi jeszcze zadzwonić do Stasowa, żeby się zameldować. I do Loszki, on też się denerwuje, jak żona radzi sobie podczas pierwszej delegacji w nowej pracy.

Zupełnie się zestarzałam, pomyślała Nastia ze smutkiem. Dopiero wpół do ósmej, a ja ledwie żyję. Wprawdzie wstałam o piątej, ale kiedy ostatnio się zdarzyło, żebym się położyła przed ósmą? Dawniej mogłam nie spać całymi nocami i pracować, a teraz... Niepotrzebnie zawracałam głowę Stasowowi, nie będzie miał ze mnie żadnego pożytku, jestem stara, powinnam siedzieć w domu i nikomu nie przeszkadzać.

ROZDZIAŁ 3

Po wyjściu z salonu Relax Ilja Wtoruszyn wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i zadzwonił do babci. Doskonale wiedział, że na niego czeka, mimo to zadzwonił. Taki miał zwyczaj. We wszystkim musi być porządek: jedziesz do domu – zadzwoń, uprzedź o swojej wizycie, nawet jeśli to dom, w którym się urodziłeś i wychowałeś, a osoba, którą zamierzasz odwiedzić, to twoja krewna, ukochana babcia, jedyna bliska krewna, która została Ilji po śmierci rodziców.

Mężczyzna wybrał jak zwykle dłuższą drogę, chciał, żeby zapach salonu ulotnił się z jego ubrania, a nawet z ciała. Z usług salonu korzystał regularnie, raz w tygodniu, gdy przyjeżdżał z Tomilina do babci w Kostrowsku. Właścicielka salonu Tatiana знаła go od dawna, był stałym i ulubionym klientem. Wtoruszyn wybierał te same dziewczęta, był przewidywalny, spokojny, nigdy nie zjawiał się pijany, nie urządzał awantur i skandalicznych scen, bez szemrania płacił rachunek, zostawiając dziewczętom spore napiwki, nigdy ich nie kaleczył i nie miał dziwacznych wymagań. Krótko mówiąc, był klientem idealnym, o jakim można tylko marzyć. Babcia Rimma Pietrowna wiedziała, że wnuk odwiedza Relax, Ilja nie miał przed nią sekretów, chociaż wolałaby, żeby chłopak w końcu się ożenił, założył rodzinę i żył jak wszyscy. Właśnie dlatego odmawiała przeprowadzki z

Kostrowska do Tomilina i zamieszkania u wnuka, do czego Ilja już od dawna ją nakłaniał.

– Martwię się, że jesteś tak daleko – mówił. – Byłoby lepiej, gdybyśmy mieszkali razem. Skoro nie chcesz przeprowadzić się do Tomilina, jestem gotów przenieść się do komisariatu w Kostrowsku, ale ty tego przecież też nie chcesz.

– Nie chcę. – Rimma Pietrowna uśmiechała się w odpowiedzi. – Nie powinniśmy mieszkać razem, bo to pokrzyżuje ci plany osobiste.

Tymczasem plany osobiste Ilji nie istniały, mężczyzna niemal panicznie bał się kobiet, nie umiał budować z nimi relacji, nie wiedział, jak podejść, jak zacząć rozmowę, jak skierować ją na właściwe tory, a co dopiero sprawić, żeby wybranka go nie odrzuciła przy pierwszej próbie nawiązania kontaktu cielesnego. Ilja był zbyt masywny, tęgi, nalany – wdał się w matkę i babcię – i uważał, że jest niezgrabny i zupełnie nieatrakcyjny, więc nie może liczyć nawet na cień zainteresowania ze strony młodych kobiet. W ciągu trzydziestu dwóch lat życia miewał oczywiście romanse, ale wszystkie kończyły się tym, że kobiety go porzucały, co jeszcze bardziej umacniało w nim przekonanie o niemożności ułożenia sobie życia osobistego, o którym tak marzyła Rimma Pietrowna.

Rimma Pietrowna, tak samo tęga i masywna jak jej wnuk, czekała na Ilję z kolacją. Lubiała gotować i zawsze podsuwała mu coś smacznego i pożywnego, czego sam sobie nie przygotowuje ani nie zje w żadnej restauracji.

– Byłeś u Tatiany? – zapytała życzliwie, nie pozwalając sobie

choćby na nutkę przygany.

Ilja skinał głową w milczeniu.

– No i co tam? Wciąż nie wiadomo, kto zabił jej matkę?

Właścicielka salonu Relax Tatiana Koriagina była córką tej samej Galiny Iljiczy Koriaginy, której ciało ze stłuczonym lusterkiem na piersi i wyrwanym z ucha kolczykiem znaleziono w marcu ubiegłego roku w Tomilinie, o czym babcia Ilji Wtoruszyna oczywiście wiedziała. Salon masażu Relax był tak naprawdę zwyczajnym domem publicznym, co prawda bardzo przyzwoitym i niedrogim, a jego właścicielka, w przeszłości prostytutka, była burdelmama, to jednak wcale nie przeszkadzało Rimmie Pietrownie współczuć Tatianie z powodu tragicznej śmierci matki. Byłoby przesadą powiedzieć, że Tatiana Koriagina bardzo przeżywała ten fakt – śmierć Galiny Iljiczy potraktowała obojętnie, w każdym razie takie sprawiała wrażenie. Nie wyrywała sobie włosów z głowy, nie dostawała ataków hysterii, nie płakała i nie odwiedzała cmentarza w Tomilinie, ograniczyła się jedynie do obecności na pogrzebie.

Po kolacji babcia z wnukiem zajęli się zdjęciami. Rimma Pietrowna wyjęła opasłą kopertę z fotografiami, które zrobili podczas ostatniej wyprawy: tuż przed Nowym Rokiem pojechali razem na trzy dni do Amsterdamu, spacerowali wzdłuż kanałów i podziwiali w muzeum płótna wielkich Holendrów. Mimo tuszy, wieku i wielu chorób Rimma Pietrowna była zagorzałą podróżniczką, chciała zobaczyć i piramidy egipskie, i Opactwo Westminsterkie, przespacerować się po Polach Elizejskich, dotknąć murów Koloseum, zobaczyć słynne Rondo i

posiedzieć na ławeczce w parku Güell, a Ilja był gotów wozić ukochaną babcię, dokądkolwiek pragnęła. Nigdy nie puszczał jej samej, towarzyszył na każdej wycieczce, a gdy podróż okazywała się wyczerpująca, wynajmował samochód, bo Rimma Pietrowna cierpiała na bóle w nogach. Jeszcze w czasach, gdy Ilji nie powodziło się za dobrze, jeździli na tanie wycieczki autobusami. Wnuk siedział obok babci i ani przez chwilę nie czuł rozdrażnienia czy niezadowolenia. Piękne zabytki w ogóle go nie interesowały, nie lubił podróżować, ale sama myśl, że babci się to podoba, że cieszy się i czerpie z tego przyjemność, sprawiała, że był szczęśliwy.

Rozłożyli odbitki na dużym stole i zaczęli je tematycznie segregować, później z każdej grupy wybierali najlepsze i wkładali do albumu, uzgadniali opisy, zaglądając do notesu, w którym Ilja zapisywał uwagi przewodników, żeby niczego nie zapomnieć i nie pomylić. Później wnuk ładnym wyraźnym pismem opatrywał zdjęcie datą, nazwą miejsca i komentarzem. Każdą podróż ilustrowali w nowym albumie i nie martwili się, gdy zostawały w nim puste strony – zdjęcia były ułożone w idealnym porządku i w razie potrzeby łatwo można było znaleźć dowolną fotografię. Należy jednak podkreślić, że puste karty w albumie zdarzały się rzadko. Oboje robili bardzo dużo zdjęć, starali się utrwalić każdy szczegół i oddać swoje wrażenia. Patrząc na Rimmę Pietrowną pochyloną nad fotografiami rozłożonymi na stole, Wtoruszyn myślał z czułością, że los dał mu w prezencie wspaniałą babcię – najcudowniejszą kobietę na świecie. Gdyby spotkał kobietę taką jak ona, natychmiast by się z nią ożenił.

– Iljuszeńka, pora na ciebie. – Rimma Pietrowna zerknęła na zegarek i ruszyła do kuchni. – Niczego nie będę tu ruszać, dokończymy, gdy przyjedziesz następnym razem. Ubieraj się, a ja tymczasem zapakuję ci to i owo na jutrzejsze śniadanie.

Ilja nie miał ochoty wyjeżdżać, lubił ten dom, lubił nocować wśród mebli i przedmiotów, które pamiętał z dzieciństwa. Poza tym kochał babcię i starał się spędzać z nią jak najwięcej czasu. Wyobraził sobie zaśnieżoną drogę z Kostrowska do Tomilina, sześćdziesiąt kilometrów pustki i ciemności, ubogie drewniane chatki i nagie drzewa na poboczu, swoją kawalerkę, sterylnie czystą, pedantycznie posprzątaną i beznadziejnie pustą, i aż się wzdrygnął. Tutaj jest tak miło, ciepło i przytulnie, zdjęcia na stole przypominają niedawną podróż i tamto szczęście, które zawsze ogarniało Ilję na widok podniecenia i zachwytu w oczach Rimmy Pietrowny, a łagodny głos babci szemrze, przynosząc ukojenie.

– Zostanę – powiedział, wkładając kolejne zdjęcia do albumu. – Pojadę jutro rano.

– Nie wyśpisz się – dobrodusznie zauważyła Rimma Pietrowna, podchodząc bliżej. – Masz ciężką pracę, musisz się dobrze wysypiać.

– Przy tobie śpię lepiej.

– Ale za mało – rzuciła ze śmiechem. – Oboje jesteśmy zapaleńcami, potrafimy rozmawiać w nieskończoność. Wiem, że jeśli zostaniesz, znowu będziemy siedzieli do drugiej albo nawet do trzeciej. A ty musisz odpocząć.

Ilja wziął ją za rękę, przyłożył miękką i pulchną, pokrytą

brązowymi plamami dłoni do swojego policzka, przycisnął usta do palców.

– Uwielbiam cię, Rimmula. Tak mi tutaj dobrze i lekko na duszy. Zostanę, a ty podasz mi rano gorące, smaczne śniadanie i pojedę do pracy bezgranicznie szczęśliwy.

W tym momencie Wtoruszyn nie był całkiem szczery. Jutro na pewno nie pojedzie do pracy w dobrym humorze. Wczoraj naczelnik wydziału kryminalnego uprzedził jego i Dimę Fiedułowa, że z Moskwy przyjeżdża jakaś malowana lala, która zamierza ich pouczać, jak prowadzić dochodzenie. Pół biedy, gdyby to był facet, kompetentny i doświadczony wywiadowca z ministerstwa, który pomógłby im w sprawie tajemniczych zabójstw dwóch kobiet, ale to przecież nie facet, tylko baba, w dodatku nie z ministerstwa, ale z prywatnej agencji. Do czego to podobne? Co ona zamierza tutaj robić? Wsadzać nos w nie swoje sprawy? Dawać im zbawienne, za przeproszeniem, rady? Zadawać szyku? Jej zegarek jest pewnie wart tyle co trzy samochody. Paniusia będzie cedzić słowa, patrzeć na nich z góry i pleść takie bzdury, aż im uszy zwiędną.

Dwa zabójstwa w cichym Tomilinie to oczywiście nie przelewki, zwłaszcza że sprawcy do tej pory nie znaleziono. Ale baba, prywatny detektyw, to już za wiele. Czy nie można się bez niej obejść? Naczelnik sekcji powiedział, że dostał polecenie od zastępcy szefa GOWD do spraw kryminalnych, a ten z kolei z samej góry. Kto naciskał na górę, nie wiadomo, ale pewnie nacisnął dość mocno, ponieważ dopuszczanie osób prywatnych do dochodzenia, a tym bardziej do pracy operacyjnej

jest niedozwolone. Zresztą co ci cywile mogą wykryć, skoro miejscowi wywiadowcy nie potrafią uzgodnić ze śledczym hipotez, każdy dmie w swoją dudkę i ciągnie kołdrę na siebie. Dimka Fiedułow, na przykład, jest w stu procentach pewien, że to robota szaleńca, kompletnego świra, dla którego zabicie starszej pani to najwyższa rozkosz. Ilja się z nim nie zgadza, bronił zupełnie innej hipotezy i do tej pory ją podtrzymuje. Jego zdaniem Koriaginę zabili ci, którzy próbują wyrugować z miasta właścicieli dworu, zniszczyć klub i wykupić za bezcen odrestaurowaną posiadłość, natomiast Aidę Borisownę Pawłową zlikwidowano za jakąś sprawę, którą prowadziła, będąc śledczą w prokuraturze. To, że obie sprawy są do siebie podobne jak dwie krople wody, można z łatwością wyjaśnić. Koriagina została umyślnie zabita w tak przerażający sposób, żeby zasiać panikę wśród członków klubu oraz mieszkańców miasta i zniechęcić ich do odwiedzania dworu, a ten, kto zaplanował morderstwo Pawłowej, nie wiedział, że nie ma żadnego szaleńca i że zabójstwo Koriaginy to zwyczajna inscenizacja, i skopiował schemat przestępstwa, żeby zamaskować własne motywy i sprowokować wywiadowców do zrzućcia drugiego zabójstwa na szaleńca. W gruncie rzeczy wszystko jest więc bardzo proste. Ilja Wtoruszyn wiele razy przedstawiał swoją koncepcję, ale Dima Fiedułow go nie słuchał, upierał się, że to robota szaleńca i koniec. Hipoteza związana z szaleńcem nie podobała się Ilji. Ani trochę. Chociaż tutaj sytuacja też się komplikowała. Szefostwo miejscowej milicji nie było zachwycone szaleńcem, no bo przecież to istny koszmar: w mieście grasuje szaleniec, zabija emerytki, kładzie

im na piersiach rozbite lustерko, wyrywa z ucha kolczyk, a milicja nie potrafi nic zrobić, okazuje się zupełnie bezsilna i nie podejmuje żadnych działań, żeby uciszyć niepokojące pogłoski i nastroje paniki wśród mieszkańców. Szaleniec to poważna sprawa, a nieschwytany szaleniec to powód do wyciągnięcia konsekwencji służbowych. Właśnie dlatego szefostwo sekcji i całego pionu kryminalnego popierało argumenty Ilji Wtoruszyna, ale też niezbyt mocno naciskało na podwładnych w sprawie niewyjaśnionych przestępstw, zwłaszcza pierwszego zabójstwa, którego ofiarą padła Galina Iljiniczna Koriagina. Sytuacja była oczywista i dla nikogo nie stanowiła tajemnicy. Jeżeli Koriaginę rzeczywiście zabili ci, którzy mieli na celu dwór, to nikt nie chciał wchodzić im w drogę, ponieważ byli to ludzie związani z merem i administracją Tomilina, tymczasem kto wie, do czego doprowadzi zapal milicjantów w poszukiwaniu sprawcy. Nikt nie wątpił, że może to się odbić czkawką. Na razie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby rzucić zabójstwa na szaleńca, zwierzchnictwu nic nie grozi. W każdej chwili mogą jednak zacząć napływać pełne zdziwienia pytania z obwodu, a nie daj Boże i z ministerstwa, co tam się dzieje na waszym podwórku, łaskawi panowie, zbyt niemrawo szukacie szaleńca, a może go wcale nie szukacie. Ale na razie góra się nie połapała, nic nie zakłóca względnego spokoju. Panuje delikatna równowaga między interesami grupy przestępczej związanej z merem a interesami organów ścigania.

Wtoruszyn cieszył się, że zwierzchnicy podzielają jego punkt widzenia i nie szukają szaleńca. Irytowało go jednak, że starszy

wywiadowca major Fiedułow miał inne zdanie i za wszelką cenę przymierzał jakiegoś przypadkowego psychopatę do dwóch niewyjaśnionych zabójstw. Wyprowadzało to z równowagi kapitana Ilję Wtoruszyna.

A teraz jeszcze panusia ze stolicy zwali im się na głowę. Dimka, ma się rozumieć, od razu zacznie ją urabiać i przeciągać na swoją stronę, uda mu się, bo baby mdleją na jego widok, chociaż wcale nie jest przystojny, ale widocznie ma w sobie to coś. Natomiast Ilja nie robi wrażenia na kobietach, w ogóle go nie zauważają i traktują jak powietrze, więc musi podejmować gigantyczne wysiłki, żeby ktokolwiek zwrócił nań uwagę, nie mówiąc już o tym, żeby go poważnie traktował. A jemu bardzo zależy, żeby i jego, i hipotezę potraktowano poważnie. Bardzo. Musi się o to postarać.

*

Po wczorajszej libacji Fiedułowowi kręciło się i huczało w głowie, chciało mu się spać, a nie pracować, mimo to zerwał się bladym świtem, włożył gruby sweter na wełniany podkoszulek z długimi rękawami i wyszedł z domu. W nocy napadało sporo śniegu, więc musiał oczyścić chodnik prowadzący od drzwi wejściowych do furtki i wiaty, pod którą stał samochód. Wszystkie prace wokół domu był gotów wykonywać na okrągło, bez względu na samopoczucie, czy to z kaczem, czy też z wysoką temperaturą.

Własna willa była szczytem marzeń Dimy – drewniana, podobna do

herbacianego domku, malinowoczerwona, z rzeźbionymi jaskrawożółtymi zdobieniami, plastikowymi niebieskimi dachówkami i z kogucikiem na wieżyczce, też jaskrawożółtym. Fiedułow sam wybrał farbę. Gdy kupił willę, była zwyczajna, drewniana, w naturalnym kolorze ciepłego beżu, ale Dmitrij pragnął, żeby dom był ciemnoczerwony i koniecznie z jaskrawożółtymi zdobieniami. Chciał też mieć kogucika na dachu. Zdobienia zamówił w sąsiedniej wsi u miejscowego majstra, który wziął za robotę zupełnie niedrogo, tylko parę butelek wódki. Teraz dom wydawał się Fiedułowowi doskonały, uwielbiał go i starał się jak najczęściej zapraszać gości, rekompensując w ten sposób długie lata życia w ciasnocie, kiedy nie tylko nie miał gdzie kogokolwiek zaprosić, ale i pomieścić rodziny.

Do nowego domu przeprowadził się z dwiema córkami, żoną, która była w ciąży z synem, a także z rodzicami. W starym dwupokojowym mieszkanku została młodsza siostra z mężem i dzieckiem. Razem z matką, energiczną i niezmordowaną Zoją Michajłowną, dawną pielęgniarką, Dima zagospodarował nie tylko dom, ale i parcelę wokół niego, posadził ozdobne krzewy, założył klomby, wytyczył ścieżki, wyłożył je niedrogimi, ale bardzo ładnymi płytkami, zbudował wiatę na samochód. Parcela nie była duża, zaledwie szesnaście arów, ale Fiedułow pragnął, żeby wyglądała tak samo pięknie jak dom. O dom i parcelę dbali wyłącznie Dmitrij i Zoja Michajłowna, ponieważ żona Swietłana nie miała do tego głowy, całkowicie pochłaniały ją dzieci – dziesięcioletnia Ksiusza, siedmioletnia Warieńka i trzyletni Waniuszka, który urodził się w trzy tygodnie po przeprowadzce do

willi. O ojcu Wadimie Aleksandrowiczu nie warto nawet wspominać, ma już siedemdziesiąt trzy lata, jest schorowany, słaby, boi się spacerów, nawet z domu wychodzi rzadko, jeśli nikt mu nie towarzyszy. Wadim Aleksandrowicz ma typową fobię sercowca – strach przed nagłym zawałem, w dodatku wbił sobie do głowy, że cierpi na wiele innych chorób, więc niczego nie wolno mu robić: chodzić, dźwigać, bawić się z wnukiem, nawet odrabiać lekcji z wnuczkami. Całymi dniami siedzi przed telewizorem albo czyta gazety, które Dima codziennie przywozi mu z pracy, o pomaganiu w domu nie ma mowy. Ale Dimie to nie przeszkadza, razem z matką wspaniale sobie radzą, zresztą troska o własny dom sprawia im radość.

Tegoroczna zima okazała się wyjątkowa mroźna i śnieżna, ale Fiedułow pracował z przyjemnością, po obu stronach chodnika usypując starannie kopce, spod których sterczały nagie wzruszające gałązki młodych krzewów, i napawając się dźwiękiem szufłowania. Przypominało mu ono dzieciństwo, gdy zimy nie były tak ciepłe jak ostatnio, a jego co rano budziło nie terkotanie budzika, ale dobiegające z ulicy szuranie łopat, którymi dozorca odgarniali śnieg.

Po oczyszczeniu chodnika Dmitrij wrócił do domu, żeby nakarmić psy. Dick i Jerry spały jak zabite w holu przed drzwiami do sypialni rodziców. Psy same wybrały sobie to miejsce i nie zamierzały go zamieniać na posłanie, które zrobił im Dima przy wejściu. Gdy trafiły w ubiegłym roku do Fiedułowa, były jeszcze szczeniakami. Ktoś zabrał je pozostawione na ulicy i przyniósł do schroniska dla bezdomnych

zwierząt, które działało przy klubie Złoty Wiek. Nierasowe, bezdomne, głodne i brudne, były tak żalosne, że Fiedułowowi drgnęło serce. Wziął oba. Było to akurat wtedy, gdy zabito Koriaginę, a on zjawił się w dworze, żeby przesłuchać ludzi, którzy znali zabitą. Wtedy pokazano mu schronisko, w którym zobaczył dwie przytulone do siebie znajdy. Były już oczywiście umyte, nakarmione i odrobaczone, ale gdy jakaś entuzjastka klubu pokazała mu zdjęcia szczeniaków zrobione tamtego dnia, gdy je przywieziono, Dmitrij nie wytrzymał. Mimo ciężkiego dzieciństwa i wszelkich niewygód, a może akurat z tego powodu, Dick i Jerry nienawidziły zimna i bały się braku snu, często drzemały i nie przepadały za bieganiem w głębokim śniegu, w dodatku na piętnastostopniowym mrozie.

– Kompania, pobudka! – szeptem, żeby nikogo nie zbudzić, wydał komendę Fiedułow, wsuwając prawą dłoń w sierść na łbie Dicka, a lewą lekko poklepując Jerry’ego po karku. – Do miski biegiem marsz!

Psy ziewnęły i ociągając się, wstały. Niemal od razu otworzyły się drzwi do sypialni rodziców i w holu zjawiła się Zoja Michajłowna, ubrana i uczesana. Wyglądało na to, że na przywódcę stada psy wybrały właśnie ją, a nie Fiedułow, który zabrał je ze schroniska, bo natychmiast się ożywiły i zamerdały ogonami, a w ich oczach pojawił się blask. Zoja Michajłowna ruszyła do kuchni, Dick i Jerry radośnie za nią potruchtały, a Fiedułow zamykał procesję.

– Idź pod prysznic, Mitia, bo jesteś cały spocony – poleciła Zoja Michajłowna. – Gdy wrócisz, śniadanie będzie akurat gotowe.

– Ale... – zaczął, ale matka mu przerwała:

– Nakarmię twoje bezcenne psy, nie martw się. I obudź dziewczynki, już czas, bo spóźnią się do szkoły.

Dmitrij udał się posłusznie najpierw do pokoju córek, nachylił nad ich ciepłymi, pachnącymi snem twarzyczkami, zaczekał, aż wstaną, a później długo i z przyjemnością stał pod gorącym prysznicem, puszczając co chwila strumień zimnej wody, i się golił. Gdy wrócił do przestronnej kuchni, dziewczynki już siedziały przy stole i z apetytem pochłaniały zapiekankę z konfiturami i ryż na mleku.

– Kup mi nową komórkę, tato – poprosiła dziesięcioletnia Ksiusza.

– Przecież masz telefon – zdziwił się Fiedułow. – Dałem ci swój, dobry, z różnymi funkcjami, akurat przed pierwszym wrześniem. Już się zepsuł?

– No wiesz, tato – dziewczynka pogardliwie zmarszczyła nosek – twoja komórka to zupełny obciach. Chcę różową, z kryształkami, taką, jaką ma Natka Kuzowlowa. Różowa jest teraz na topie! I futerał z serduszkami, na rzemyczku, żebym mogła powiesić na szyi. No kuup mi, proooszę!

– Jeszcze czego – surowo odparł Fiedułow, odsuwając na bok pusty kubek i wstając od stołu. – Jesteś jeszcze za mała, żeby się uganiać za modą.

Ksiusza się nadała, usta jej zadrżały, ale to nie przstraszyło ani nie poruszyło Dmitrija. Umiał liczyć pieniądze i dobrze wiedział, jak ciężko przychodzą. Za nic nie wyda ich na zbytki, prędzej odmówi sobie czegoś, niż kupi rzecz, bez której można się obejść.

Matka wyszła w ślad za nim i przyglądała się w milczeniu, jak syn

się ubiera.

– Kupiłbyś jej ten telefon, Mitia – powiedziała, gdy Fiedułow chwycił już za klamkę. – Żal ci paru rubli?

– Gdyby chodziło o coś ważnego, nie pożalowałbym, ale nie będę wyrzucał pieniędzy na fanaberie – odparł.

– Boże – Zoja Michajłowna westchnęła – ależ z ciebie sknera, w kogo ty się wdałeś? Przecież to jeszcze dziecko, nowa komórka jest dla niej wszystkim! Ksiusza nie chce być gorsza od innych, to ją rani. Wiesz przecież, jakie teraz są dzieci. Jeśli nie masz tego, co modne, nikt nie będzie się z tobą zadawał. Z twoim skąpstwem dziewczynka straci wszystkie koleżanki. Czemu nie sprawisz jej radości? Co z ciebie za ojciec!

– Jestem gliniarzem i żyję z pensji, która nie jest z gumy. Nie będę rozpieszczał dziewczyny, niech zna swoje miejsce w życiu i od dzieciństwa przyzwyczajają się do myśli, że pieniądze nie spadają jak manna z nieba, tylko trzeba je zarobić.

– No tak, pewnie. – Matka ze złością zacisnęła usta. – Telefonu jej nie kupisz, ale na wódkę masz. Ile wczoraj wypiliśmy z kumplami? A w ubiegłą niedzielę? A dwa tygodnie temu? Co weekend siedzisz w łaźni, składacie się tam na alkohol, za darmo nikt go nie daje. Wygląda na to, że na pijaństwo nie żal ci pieniędzy.

– Przestań mi suszyć głowę, kobieto. – Fiedułow machnął ręką. – Muszę jakoś odreagować, bo inaczej zacznę się rzucać na ludzi.

Wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i pojechał do pracy. Dobry humor, który go ogarnął, gdy na świeżym mroźnym powietrzu ustąpiły

objawy ciężkiego kaca, przestała boleć głowa i rozjaśnił się umysł, teraz całkowicie się ulotnił. I jeszcze ta baba z Moskwy, o której wczoraj uprzedził komendant... Co za pech! Z drugiej strony, całe szczęście, że nie pracuje w ministerstwie, nie jest upoważniona, żeby kontrolować ich pracę, a jeśli przypadkiem otworzy gębę i coś chlapnie, on, major Fiedułow, szybko jej tę gębę zamknie, i to tak, że raz na zawsze odechce jej się odzywać. To jasne, że Biegorski ma forsy jak lodu, ale klub ledwie przedzie, staruszkowie uciekają z niego gdzie pieprz rośnie, nawet personel zaczął się zwalniać, tak się wszyscy boją szaleńca grasującego w Tomilinie. Zresztą, szczerze mówiąc, ostatnimi czasy Fiedułow zaczął przez niego coraz częściej zaglądać do kieliszka, dręczy go niepokój, przecież matka też bywa w dworze, chodzi do salonu fryzjerskiego kochanki Biegorskiego, czy kim tam ona jest. To jasne, że Zoi Michajłowny nie interesują wszystkie te bzdury z komputerami czy amatorskimi przedstawieniami, ma na głowie dom i trójkę wnuków. Przyzwyczaiała się jednak wyglądać jak spod igielki, dba o siebie, nawet w domu maluje sobie oczy. Strzyże się więc u Tamary i mówi, że w Tomilinie nie ma lepszego fryzjera. Może to prawda, ale Dima Fiedułow wolałby, żeby mama wyglądała mniej atrakcyjnie, ale nie bywała w tym przeklętym dworze. Ma przecież sześćdziesiąt dziewięć lat, a po okolicy kręci się szaleniec, który zabija związane z dworem emerytki w podobnym wieku. Wtoruszyn ma szczęście, jego babka mieszka w Kostrowsku i nie zagląda do klubu Złoty Wiek, więc facet może ignorować szaleńca, robić mądre miny, zaglądać zwierzchnikom w oczy i upierać się, że żaden szaleniec nie

istnieje. Nie musi się o nikogo martwić. A Dmitrij nie potrafi znaleźć sobie miejsca, niepokoi się o matkę. Może ta baba z Moskwy podsunie im coś mądrego, spojrzy na sprawę świeżym okiem i dostrzeże jakiś szczegół, który przeoczyli z Wtoruszynem i śledczym. Byłoby dobrze... Złapać by już tego wszawego maniaka – i kłopot z głowy.

*

Z gabinetu komendanta komisariatu w Tomilinie Nastia Kamieńska wyszła całkiem uspokojona. Wczoraj, leżąc już w łóżku, próbowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało spotkanie, co powie komendant, co ona powinna mu odpowiedzieć, i doszła do wniosku, że nawet gdy mężczyzna potraktuje ją z góry, uprzejmie, lecz chłodno, nic strasznego się nie zdarzy, świat się nie zawali, nie nastąpi trzęsienie ziemi, Nastia pozostanie cała i zdrowa, nawet gdy sprawdzi się najgorszy wariant. Rozmowa z naczelnikiem GOWD przebiegła tak, jak się spodziewała, nie usłyszała nic, co by się nie mieściło w granicach zdrowego rozsądku. Główny sens wypowiedzi naczelnika sprowadzał się do tego, że nie jest zachwycony pomysłem, ale ponieważ ma dług wdzięczności wobec Rodisława Jewgienjewicza Romanowa, gotów jest służyć mu pomocą i poleci funkcjonariuszom z sekcji kryminalnej, żeby zapoznali Kamieńską z materiałami, które zebrali. Do materiałów sprawy karnej, które znajdują się u śledczego, nie będzie miała oczywiście dostępu, ale wywiadowcy zreferują jej to, co uznają za możliwe. Trzeba bowiem zaznaczyć, że wywiadowcy w Tomilinie to

świetni fachowcy, więc skoro z jednym zabójstwem męczyli się niemal rok, a z drugim pół roku i nic nie wskórali, to nie ma żadnych podstaw, by sądzić, że przyjazd damy z Moskwy cokolwiek zmieni. O tym, że dama jest pułkownikiem milicji i ma za sobą dwadzieścia siedem lat nienagannej służby, naczelnik nawet się nie zająknął. Krótko mówiąc, całe te korowody to tylko strata czasu, ale skoro Romanow go poprosił, to w porządku, nie ma sprawy. Nastia spodziewała się, że usłyszy coś podobnego, więc ucieszyła się i pogratulowała sobie w duchu. Najważniejsze, że cel został osiągnięty.

Naczelnik od razu wezwał do gabinetu zastępcę do spraw kryminalnych i polecił mu, żeby przedstawił Kamieńską szefowi sekcji kryminalnej i wydał stosowne instrukcje. Nastia płynnie przemieściła się do gabinetu zastępcy, w którym niemal w tej samej chwili stawił się naczelnik sekcji. Jeszcze raz wysłuchała gniewnej tyrady o doskonałych wywiadowcach i o tym, że nie ma żadnych podstaw, by sądzić, że potrafi zrobić to, czego oni nie potrafili, po czym zaprowadzono ją wreszcie długim korytarzem do małego pokoiku i przedstawiono kapitanowi Wtoruszynowi i majorowi Fiedułowowi.

Fiedułow spodobał jej się od razu, był barczysty i krępy, sprawiał wrażenie silnego i wytrzymałego, miał wspaniałą muskulaturę i ładny tors, obciągnięty cienkim wełnianym golfem. Nawet ogolona głowa nie upodobniała go do pospolitego bandziora, przeciwnie, dodawała męskości i brutalności, a oczy, wprawdzie nieduże, żeby nie powiedzieć małe, wcale nie szpeciły grubo ciosanej twarzy. Fiedułow miał wyjątkowo miły uśmiech, nie okazywał krztyny nieufności wobec

Nasti, nie powątpiewał w jej umiejętności i nie krył nadziei, że jeszcze jedna głowa może się przydać, a jeszcze jedna para oczu zauważy coś ciekawego i ważnego. Poza tym zjednał Nastię tym, że od razu powiedział:

– Mam osobisty stosunek do sprawy. Po pierwsze, dobrze znałem zabiłą Pawłową, parę razy pracowałem z Aidą Borisowną i wiele się od niej nauczyłem, za co jestem jej niezmiernie wdzięczny. Po drugie, moja mama ma sześćdziesiąt dziewięć lat i lubi odwiedzać dwór. Nie mogę spać spokojnie, wiedząc, że po ulicach naszego miasta włóczy się obłąkany zabójca. Może więc pani na mnie liczyć w poszukiwaniach szaleńca, zrobię, co będę mógł – zbiorę informacje, pojedę gdzie trzeba, przekażę dyspozycje. Sprawa jest wprawdzie umorzona, ale ułożę się ze śledczym, tak więc każde pytanie, każdy dokument z sądu, o cokolwiek pani poprosi – wszystko będzie zrobione.

Natomiast drugi wywiadowca, Ilja Wtoruszyn, z jakiegoś powodu wzbudził w Nastii antypatię. Tęgi, z czerwoną twarzą i dużymi wyłupiastymi oczami, bladoniebieskimi i jakimiś wodnistymi, przypominał jej żabę, a to, że nie był w dzinsach i golfie jak Fiedułow, ale w garniturze, koszuli z krawatem i spinkami, tylko potęgowało wrażenie, że Wtoruszyn próbuje ukryć swoją brzydotę pod oficjalnym strojem, zamiast pogodzić się z nieatrakcyjną powierzchownością i przestać ją tuszować. Nastia nie mogła wprawdzie nie zauważyć zdrowych i gęstych włosów oraz ładnych dłoni z długimi palcami i zadbanymi paznokciami, ale i to pasowało jej zdaniem jak pięść do nosa: żaba z ładnymi dłońmi też jest szpetna, to takie samo

szyderstwo z harmonii jak kakofonia wykonana na stradivariusie.

Wtoruszyn miał własny punkt widzenia na zabójstwa, inny niż Fiedułow, ale całkowicie pokrywający się ze stanowiskiem zwierzchnictwa, o czym major Fiedułow nie omieszkał oznajmić Nasti, nawet nie próbując ukryć pogardliwego uśmiešku.

– Nasz kapitan jest jeszcze młody – powiedział, podsuwając kobiecie popielniczkę – i z racji wieku wielce zatroskany o karierę, więc nie odważy się przedstawić opinii niezgodnej z opinią przełożonych. Prawda, Iljucha? Przyznaj się, na czyje miejsce masz chrapkę. Na moje? Czy może mierzysz wyżej i myślisz o stołku naczelnika sekcji? Uważaj, żebyś tylko nie przesadził, bo z twoją chęcią dogodzenia szefom wykrywalność spadnie nam do zera.

Wtoruszyn był jednak niewzruszony i przesadnie uprzejmy, wciąż akcentował stopień służbowy Nasti, którego do niedawna używała, oraz jej imponujący staż.

– Anastazjo Pawłowno, nigdy nie ukrywałem, że hipotezę szaleńca uważam za niezasadną – odparł spokojnie. – Zwierzchnicy przyznają mi rację. Kłopot w tym, że sprawdzanie mojej hipotezy może się dla nas skończyć przykrymi konsekwencjami. Mimo to nadal ją podtrzymuję.

– Dlaczego? – zapytała Nastia. – Przecież i pan, i major Fiedułow, i śledczy dysponujecie tymi samymi informacjami, więc dlaczego wyciągnęliście odmienne wnioski? A może wie pan o czymś jeszcze?

– Wiem to samo co inni. To raczej kwestia przecucia.

– Oho! – włączył się Fiedułow. – Słyszała pani? Kwestia przecucia.

Nasz chłopak ma intuicję. My wszyscy jesteśmy jej pozbawieni, przyszedliśmy z ulicy i nie mamy pojęcia o robocie, natomiast on jest krzyżówką Sherlocka Holmesa ze Stirlitzem.

– Chwileczkę – przerwała mu Nastia. – Mam pytanie. Szczegóły obu zabójstw są identyczne?

– Owszem. – Dmitrij skinął głową. – Nie ma wątpliwości, że to robota tego samego człowieka.

– Skąd w takim razie przypuszczenie, że drugie zabójstwo było imitacją pierwszego? Musiał zatem znaleźć się człowiek, który znał wszystkie szczegóły pierwszego zabójstwa, żeby je dokładnie odtworzyć. Skąd o nich wiedział? Czyżby drobiazgowe informowanie społeczeństwa było u was na porządku dziennym? Łamiecie powszechnie przyjętą praktykę? Czy powiedział mu o tym jakiś milicjant?

Pytanie było uzasadnione. Od dawna wiadomo, że gdy tylko pojawia się złoczyńca popełniający podobne przestępstwa i społeczeństwo się o tym dowiaduje, natychmiast pojawiają się naśladowcy oraz osobnicy, którzy uderzają się w pierś i biorą na siebie odpowiedzialność za przestępstwa, których nie popełnili. Żeby uniknąć naśladowców i rzekomych przestępców zwykle nie rozgłasza się szczegółów zbrodni. Jak więc człowiek, który zabił Aidę Borisownę Pawłową, poznał szczegóły zabójstwa Galiny Iljiczyzny Koriaginy?

– Niczego nie łamiemy – burknął Fiedułow. – Po zabójstwie Koriaginy do mediów przedostały się informacje wyłącznie o jej wieku oraz o tym, że była aktywnym członkiem Złotego Wieku. Ani słowem

nie wspomniano o lusterku czy o kolczyku. Napisano o tym dopiero po drugim zabójstwie. A przy okazji, czytała pani artykuł?

– Czytałam – odparła Nastia z westchnieniem. – Bardzo ciekawy, przerażający, ale zupełnie nieprawdopodobny.

– Tak pani sądzi? – obruszył się Dmitrij. – Bo ja na przykład myślę, że to całkiem możliwe. Wie pani, ile czasu spędziłem w klubie, próbując namierzyć potomka rodu Rumiancewów? Mam wrażenie, że wiem już wszystko o klubowiczach, łącznie z imionami ich domowych pupili.

– O ile dobrze zrozumiałam, nikogo pan jednak nie namierzył – zauważyła Nastia. – A moje pytanie pozostało bez odpowiedzi. Ilja, niech mi pan wyjaśni, jak sprawcy drugiego zabójstwa udało się tak dokładnie skopiować pierwsze przestępstwo, skoro nie nagłośniono szczegółów?

Wtoruszyn spojrzał na nią uważnie i lekko się uśmiechnął.

– Sama pani zna odpowiedź, Anastazjo Pawłowno. Chce pani, żebym ją ubrał w słowa?

– No nie, niech go pani tylko posłucha! – Fiedułow podniósł głos. – Do czego zmierzasz, Iljucha? Do tego, że szaleniec zagnieździł się w naszej sekcji? Czy może w wydziale? Albo w dyżurce? Masz pojęcie, co wygadujesz?

Wtoruszyn wzruszył ramionami.

– Ty to powiedziałaś. Nie sądzę, żeby wśród nas był szaleniec. Uważam, że pierwsze zabójstwo było wymierzone w Biegorskiego, a drugie w Pawłową, bo Pawłowa jako śledcza mogła mieć wrogów w

naszym środowisku. Dlaczego nie?

– Dlatego, że nie wierzę, żeby wśród nas...

– A czym my się różnimy od reszty społeczeństwa? Jesteśmy takimi samymi ludźmi, też bywamy słabi psychicznie i nerwowi, wśród nas też są przestępcy, to żaden sekret. Więc dlaczego w innych wydziałach mogą być odmieńcy, a u nas nie? W czym jesteśmy lepsi?

– Ach, ty...

– Tak – twardo powiedziała Nastia – już wszystko rozumiem. Teraz powiedzcie mi, proszę, co wiecie o ofiarach.

Wywiadowcy sięgnęli po notesy i przystąpili do opowieści.

*

Po powrocie do dworu Nastia włączyła laptopa i zaczęła skrupulatnie notować to, czego się dowiedziała od Fiedułowa i Wtoruszyna, analizując jednocześnie informacje.

A zatem Galina Iljicznina Koriagina, lat sześćdziesiąt osiem, uduszona należącym do niej wełnianym szalem w drodze z filharmonii do domu. Mieszkała z niejaką Margaritą Nieczajenko, rezydentką albo lokatorką, która nie płaciła za pokój, ale pomagała Koriaginie w pracach domowych. Margarita zamierzała wyjść na spotkanie Galiny Iljicznej po koncercie, ale nagle rozbolał ją żołądek i dostała biegunki, więc musiała zostać w domu. Sąsiedzi to potwierdzają, dziewczyna prosiła ich o lekarstwo, ani na krok nie ruszała się z mieszkania i martwiła się, że nie może wyjść po Galinę Iljiczną. To

znaczy, że Nieczajenko ma żelazne alibi. Zachodziło podejrzenie, że była w zмовie z zabójcą i symulowała chorobę, żeby Koriagina znalazła się sama ciemnym wieczorem na pustym przechodnim podwórzu, ale hipoteza okazała się bezpodstawna. W jakim celu by to zrobiła? Nie miała motywu, żeby zabić Koriaginę. Dopóki Galina Iljiniczna żyje, dziewczyna ma dach nad głową, a po jej śmierci będzie musiała wynajmować pokój, co w istotny sposób odbije się na jej dochodach, i tak niewysokich – Rita obsługuje klientów w pralni chemicznej.

Zabójstwo z chęcią zysku, żeby otrzymać spadek, też nie wchodziło w rachubę. Parę lat temu Koriagina zapisała mieszkanie i cały znajdujący się w nim majątek muzeum krajoznawczemu w Tomilinie. W ten sposób córka Galiny Iljinicznej, Tatiana, została pozbawiona spadku. Ale zabójstwo raczej nie było aktem zemsty ze strony córki. Po pierwsze, Tatiana Koriagina ma alibi, przez dłuższy czas nigdzie nie wyjeżdżała z Kostrowska, w którym mieszka od wielu lat. Po drugie, nawet jeśli przyjąć, że Tatiana była w zмовie z zabójcą albo zleciła morderstwo, dlaczego tak długo zwlekała z zemstą? Galina Iljiniczna powiadomiła córkę o testamencie, gdy tylko go sporządziła, to znaczy w 2002 roku. Minęło siedem lat i nagle zemsta? Niby czemu? Po trzecie, Tatiana Koriagina nie martwiła się decyzją matki, ponieważ jest właścicielką ekskluzywnego burdelu działającego pod przykrywką salonu masażu i stać ją na to, żeby co roku kupować dwa albo nawet trzy takie mieszkania. Właśnie dlatego Koriagina zapisała majątek muzeum, a nie córce; w swoim czasie bardzo przeżyła fakt, że córka

zajmuje się prostytutką w Kostrowsku, powiedziała, że od tej pory nie wpuści jej za próg, wyrzekła się Tatiany i twierdziła, że nie ma już córki. Matka i córka nie kontaktowały się od dwudziestu lat, nie pisały do siebie listów i nie dzwoniły. Jedyny wyjątek zdarzył się wtedy, gdy Koriagina wzięła od sąsiadki adres Tatiany i napisała do niej, oznajmiając, że sporządziła testament na korzyść muzeum krajoznawczego, a córka „obejdzie się smakiem i nie ma na co liczyć”. Okazało się, że Tatiana martwiła się jednak o matkę i zostawiła swoje zamiary sąsiadce z prośbą, żeby ta natychmiast ją powiadomiła, gdy konieczna będzie pomoc albo wydarzy się coś alarmującego.

Nie znaleziono innych ewentualnych spadkobierców, którym mogło się nie spodobać, że Galina Iljiczna ich pominęła. Koriagina miała siostrzeńca w Irkucku, ale mężczyzna nie utrzymywał z ciotką kontaktów, a ponieważ istnieli spadkobiercy w pierwszej linii, to znaczy córka Tatiana, siostrzeniec nie mógł rościć żadnych praw. Jednym słowem, hipoteza zabójstwa w celu otrzymania spadku albo z chęci zemsty za sporządzenie tak dziwnego testamentu upadła.

Z wykształcenia Koriagina była nauczycielką historii, ukończyła instytut pedagogiczny w stolicy obwodu, a następnie uniwersytet marksizmu i leninizmu i pracowała jako instruktor w wydziale propagandy komitetu miejskiego KPZR w Tomilinie. Po 1991 roku, gdy partię komunistyczną rozwiązano i organy partyjne wydały ostatnie tchnienie, Galina Iljiczna wróciła do zawodu i aż do emerytury uczyła historii w szkole wieczorowej.

Sąsiedzi i znajomi charakteryzują Galinę Iljiczną jako osobę

kłamliwą i podejrzliwą, przyzwyczajoną do rządzenia, która wskutek braku realnej władzy stała się drobną manipulatką, usiłującą za wszelką cenę postawić na swoim. Nikomu nie może już niczego nakazywać, nikt się jej nie boi, mimo to uparcie prze do celu, posługując się głupim kłamstwem, śmiesznymi, błahymi intrygami i pozorantwem. Sąsiedzi opowiedzieli na przykład taką historię: ich córka spotykała się z pewnym chłopakiem, który wieczorem odprowadzał ją pod dom, palił papierosy, rzucał niedopałki przy drzwiach wejściowych, w dodatku zdarzało się, że sfluwał. Galina Iljinična zwróciła mu uwagę, chłopak zareagował grubiańsko i nadal zachowywał się niekulturalnie. Koriagina spróbowała porozmawiać z dziewczyną, ale ta tylko machnęła ręką i poprosiła, żeby sąsiadka nie wtykała nosa w nie swoje sprawy. Galina Iljinična nie potrafiła jednak pogodzić się z nieporządkiem przy drzwiach, poszła do sąsiadów i powiedziała, że ich córka spotyka się z podejrzanym młodzieńcem i że ona widziała go w mieście z inną panną, którą wzmiankowany młodzieniec obejmował poniżej pasa i obściskiwał, krótko mówiąc, zachowywał się zupełnie niedwuznacznie, poza tym słyszała też, że podobno ma konszachty z bandytami. „Ostrzeżcie swoją córkę – powiedziała przestraszonym rodzicom – bo jej dobro leży mi na sercu i obawiam się, że to się może źle skończyć”. Sąsiedzi urządzili córce awanturę i kazali zerwać z łajdakiem. Córka nie przestała jednak się z nim spotykać, chłopak nadal ją odprowadzał, tyle że teraz nie pod dom, zakochana para co najmniej dwadzieścia minut żegnała się za rogiem, więc chłopak rzucał niedopałki i sfluwał

w innym miejscu, nie przy drzwiach, a o to właśnie chodziło Galinie Iljinicznie. Jakiś czas później prawda wyszła na jaw, chłopak nigdy nie obściskiwał innej panny i nie miał nic wspólnego z bandytami, ale już nie wystawał z dziewczyną przed wejściem. Koriagina dopięła swego.

Żądza władzy, choćby niedużej, i chęć dyrygowania innymi tak owładnęły Koriaginą, że na zebraniu mieszkańców sama zgłosiła swoją kandydaturę na gospodarza domu. Przyszło niewielu lokatorów, nikt nie miał do tego głowy, wszyscy byli zajęci własnymi problemami, no więc wybrano ją, długo się nie namyślając. Galina Iljicznina chętnie chodziła po mieszkaniach, zbierała pieniądze a to na zieleń, a to na plac zabaw dla dzieci, a to na domofony, namawiała lokatorów do społecznego sprzątnięcia terenu wokół budynku, podpisania skargi do DEZ² na sprzątaczkę, że źle myje schody, z żądaniem, żeby ją zwolnić, albo pisma do milicji, żeby natychmiast aresztowano i przywołano do porządku wszystkich wyrostków, którzy wystają na klatce schodowej, hałasują i śmieją. Bezceremonialnie wpadała do mieszkań, instruowała lokatorów, jak mają wychowywać dzieci, ustawiać meble i posługiwać się windą, wyklócała się z właścicielami psów, bo zwierzaki brudziły na klombach i koło placu zabaw dla dzieci, a także z właścicielami samochodów, bo stawiali auta pod oknami, huczeli silnikami, trzaskali drzwiami i przeszkadzali spać. Nikomu nie dawała spokoju. Mieszkańcy nie wiedzieli, jak pozbyć się Koriaginy, ale pokornie ją znosili, bo nikt inny nie chciał zostać gospodarzem domu.

Co mogło wzbudzić tak wielką nienawiść zabójcy, że udusił kobietę i wyreżyserował jej śmierć w taki sposób, żeby wyglądała na rytualny mord? A może szaleńcowi nie chodziło o Galinę Ilijniczną, zaczął się na ciemnym podwórzu na przypadkową starszą panią, bo wewnętrzny głos powtarzał mu uparcie: „Zabij! Spraw sobie przyjemność!”?

Drugą ofiarę, Aidę Borisownę Pawłową, lat siedemdziesiąt, znaleziono na niestrzeżonej budowie wczesnym rankiem, gdy zjawili się pierwsi robotnicy. Została uduszona jedwabnym szalem, który – jak twierdzą ci, co ją znali – należał do niej. Zdaniem lekarza medycyny sądowej śmierć nastąpiła około godziny dwudziestej drugiej poprzedniego dnia.

Aida Borisowna miała wykształcenie wyższe prawnicze i była śledczą w prokuraturze w Tomilinie, w stan spoczynku przeszła z uprawnieniami starszego radcy prawnego. Nie miała krewnych w mieście, była wdową, młodszy brat dawno wyjechał do Kanady, gdzie prowadził jakąś lakiernię czy farbiarnię. Parę lat temu zaprosił do siebie syna Aidy Borisowny, który też był chemikiem i pracował w Tomilinie. Syn wyjechał do wujka na PMŻ³ razem z żoną i dwójką dzieci. Relacje między Aidą Borisowną a synem i jego rodziną były bardzo dobre, często do siebie dzwonili, a gdy Pawłowa kupiła komputer i skończyła kurs komputerowy, pisali maile. Syn się dorobił i często wysyłał matce pieniądze, w dodatku niemałe, więc Aida Borisowna niczego sobie nie odmawiała, nie czuła presji finansowej i nie musiała liczyć się z wydatkami. Poleciała też do Kanady, spędziła tam miesiąc, po czym powiedziała synowi, że będzie szczęśliwa, mogąc

gościć u siebie i jego, i synową, i wnuki, ale do nich już więcej się nie wybierze. Pobyt za granicą nie przypadł jej do gustu, nudziła się tam, czuła nieswojo i obco. Wszystko to prowadziło do wniosku, że jeżeli Pawłową zabito z przyczyn osobistych, leżą one poza rodziną. Spadek po Aidzie Borisownie stanowiła kawalerka na nowym osiedlu mieszkaniowym, której wartość w porównaniu z dochodami syna była po prostu śmieszna. A innych spadkobierców Pawłowa nie miała.

Aidę Borisownę opisywano jako osobę nieustępliwą i zasadniczą, a jednocześnie tolerancyjną, aprobującą zdanie i stanowisko innych. Jej credo życiowe brzmiało mniej więcej tak: „Nie mogę i nie będę robić pewnych rzeczy, ale pana/panią to do niczego nie zobowiązuje, może pan/pani postępować zgodnie z własnym wyobrażeniem”. Nie narzucała więc nikomu swojej opinii i nigdy nikogo do niczego nie zmuszała, nie ukrywała jednak swojego punktu widzenia i nie szła na żadne ustępstwa czy kompromisy.

Była osobą pogodną, kochała życie, z przyjemnością i pasją oddawała się temu, czym się zajmowała, we wszystko wkładała duszę. Korespondowała przez Internet z hodowcami kwiatów, miłośnikami i znawcami sztuki kulinarnej, wyszukiwała nowe przepisy, gotowała, przyjmowała u siebie sąsiadów, dzieliła się zdobytą wiedzą z szefem kuchni w restauracji Złotego Wieku, wiosną i latem zadrzewiała dwór i przez okrągły rok krzątała się w ogrodzie zimowym oraz oranżerii.

Osobny rozdział w jej codziennym życiu stanowiły relacje z dziećmi. Jednym z pierwszych przedsięwzięć Andrieja Biegorskiego było opracowanie portalu internetowego *Moi Krewni* z kwestionariuszami

emerytów i dzieci z domu dziecka. Pomysł się sprawdził, między niektórymi dziećmi i członkami klubu nawiązały się trwałe przyjaźnie, emeryci poznawali wychowanków domu dziecka najpierw korespondencyjnie, a później osobiście, zaczęli się z nimi spotykać, chodzić na spacer, jeść lody w kawiarni i bawić w parku. Aida Borisowna też zamieściła swój kwestionariusz, ale niespodziewanie otrzymała z domu dziecka list nie z propozycją korespondencji, ale z prośbą, by przyszła w odwiedziny i opowiedziała coś ciekawego o przestępstwach. No więc przyszła, opowiedziała parę historii ze swojej praktyki i wywarła na dzieciach tak silne wrażenie, że piętnaścioro z nich zapragnęło zostać jej przybranymi wnukami. Pawłowa roztoczyła nad nimi opiekę, zabierała całą grupę na spacer i wycieczki po mieście, opowiadała o historii i architekturze, uczyła przechodzenia przez ulicę i właściwego zachowania się w miejscach publicznych, czytała im na głos książki i szczegółowo je omawiała, przynosiła słodycze i kupowała prezenty. Poza tym wciąż zapraszano ją do szkoły, prosząc o pogadanki na temat bezpieczeństwa osobistego. Aida Borisowna tłumaczyła, jak nie stać się ofiarą chuliganów, rabusiów i zbrojnych seksualnych, bardzo poważnie traktując tę część swojej działalności. Przed każdą pogadanką konsultowała się z nauczycielami i szkolnymi psychologami, ustalając sposób przekazania tego czy innego materiału, żeby nie zaniepokoić ani nie przestraszyć dzieci.

Aida Borisowna Pawłowa pisała też bajki filozoficzne, które chętnie opowiadała dzieciom z domu dziecka, później zaczęła szyć lalki

przedstawiające postaci z bajek oraz urządzała przedstawienia, które dzieci uwielbiały i w których same występowały. Znalazł się sponsor, który w ramach akcji filantropijnej zaproponował, że wyda bajki Aidy Borisowny w niewielkim nakładzie i podaruje je dzieciom z domu dziecka oraz szkolnym bibliotekom w mieście. Pomysł przyjęto z entuzjazmem, Pawłowa przygotowała teksty, napisała parę nowych bajek, a Tamara Nikołajewna Winogradowa zrobiła ilustracje. Książki się ukazały i zostały przekazane w prezencie, Aida Borisowna promieniała szczęściem.

Czy mogła mieć wroga, który pragnął zabić dawną śledczą, udając pozostającego na wolności szaleńca? Mogła. A czy ów szaleniec mógł ją zabić? Mógł.

Co się tyczy podobieństwa obu zbrodni, polegało ono na sposobie popełnienia zabójstwa (uduszenie szalem ofiary), pozostawieniu rozbitego lusterka na ciele i wyrwaniu z ucha kolczyka, który leżał obok. Lusterka były zwyczajne, w plastikowej oprawie, jedno owalne, drugie okrągłe, jedno niebieskie, drugie czerwone, jedno używane, drugie całkiem nowe. Można je nabyć w każdym supermarkecie. Oba starannie przetarto spirytusem albo wódką, nie ma na nich żadnych odcisków palców. Wyglądało na to, że za pierwszym razem przestępca zabrał lusterko z domu, a za drugim je kupił. Wywiadowcy zrobili, co tylko w ich mocy, żeby się dowiedzieć, gdzie kupiono drugie lusterko, ale w żadnym sklepie nikt nie przypomniał sobie klienta, bo nie ma tam sprzedawców, a kasjerzy patrzą nie na twarze płacących, ale na taśmę z towarem, no a kto by zwrócił uwagę na zwyczajne lusterko w

natłoku jogurtów, konserw, serów, owoców, tubek pasty do zębów i rulonów papierowych ręczników. Tak więc ślad lusterka prowadził donikąd.

Jeśli chodzi o kolczyki, były one różne. Koriagina nosiła tanią biżuterię na długich drucikach, a Pawłowa złote kolczyki z ametystami i zapięciem typu angielskiego, dlatego ślady na uszach nie były takie same – drucik lekko się rozchylił i zostawił jedynie zadrapanie, natomiast zapięcie typu angielskiego spowodowało głębokie skaleczenie. Ale w obu przypadkach kolczyki wyrwano na siłę.

Wywiadowcy wykonali kawał dobrej roboty, analizując materiały z poradni neuropsychologicznej oraz obwodowego szpitala psychiatrycznego, przepytali wszystkich (!) psychiatrów prowadzących prywatną praktykę w mieście oraz w promieniu stu kilometrów, próbując znaleźć osobę, której choroba mogłaby doprowadzić do tak niebezpiecznych i przykrych następstw. Ale na próżno. Pretendenci do roli szaleńca od czasu do czasu się pojawiali, Wtoruszyn z Fiedułowem ich sprawdzali, brali pod lupę i się przyglądali, lecz za każdym razem musieli przyznać, że trop jest fałszywy. Jeżeli więc szaleniec naprawdę istniał, nie postawiono mu oficjalnej diagnozy psychiatrycznej, przynajmniej w placówkach medycznych w rejonie Tomilina i Kostrowska. Kostrowsk też znalazł się w polu poszukiwań, ponieważ leży zaledwie sześćdziesiąt kilometrów od Tomilina, samochodem to godzina jazdy, autobusem półtorej godziny. Nie, to nieprawda, że w sprawach zabójstw Koriaginy i Pawłowej nic nie zrobiono albo zrobiono za mało, choć przecież wywiadowcy nie mają jednej sprawy

na warsztacie, spraw jest dużo, a oni muszą się zajmować wszystkimi.

Nie bacząc na poszukiwania szaleńca, Ilja Wtoruszyn uparcie forsował swoją teorię i próbował znaleźć dowody, że zabójstwo Koriaginy zostało zleczone przez osoby pragnące doprowadzić do upadku klubu i wyrugowania Biegorskiego z dworu. Niespodziewana choroba, która złożyła lokatorkę Koriaginy Margaritę Nieczajenko w tak stosownej chwili, zaintrygowała Wtoruszyna, więc dwoił się i troił, żeby znaleźć potwierdzenie, że dziewczynę łączy coś z ludźmi mera i lokalną administracją. Niestety nie udało mu się trafić na ślad kompromitujących kontaktów zwyczajnej pracownicy pralni chemicznej. Rita pochodziła ze wsi Pietunino w rejonie kostrowskim, po skończeniu szkoły przyjechała do Kostrowska na studia, ale oblała egzaminy do instytutu, przez jakiś czas tułała się po ulicach z bezdomnymi, później jakoś się pozbierała i znalazła pracę, ale nie ułożyła sobie życia osobistego, była niepozorna i mało atrakcyjna. Nie chciała wracać do domu i przyznać się do porażki, więc kłamała matce, że ma dobrą pracę i przyzwoitego, miłego chłopaka, który lada dzień zostanie jej narzeczoną, a później może nawet mężem, i bardzo rzadko zaglądała do rodzinnej wsi. Przypadkiem trafiła w Internecie na portal Moi Krewni, poznała Koriaginę i poskarżyła się jej na swój pechowy los, tamta zaś zaproponowała Ricie, żeby przyjechała do Tomilina i zamieszkała u niej jako pomoc domowa oraz osoba do towarzystwa, i obiecała pomoc w znalezieniu pracy. Jakkolwiek patrzeć, Rita Nieczajenko nie pasowała do roli współniczki zabójcy.

Jednakże uparty kapitan Wtoruszyn nie ograniczył się do

prześwietlenia Rity, uruchomił wszystkie swoje źródła, żeby ujawnić związki osób zainteresowanych kupnem dworu ze światem przestępczym i sprawdzić każdy „element” kryminalny pod kątem ewentualnego udziału w zabójstwie Koriaginy. Stracił mnóstwo sił i czasu, ale nic nie wskórał. Praca w pojedynkę nie była łatwa, bo przecież Dima Fiedułow nie podzielał jego punktu widzenia, gorliwie szukał obłąkanego zabójcy i prawie się nie angażował w weryfikację innych hipotez. Natomiast śledczy, jak domyśliła się Nastia z wymijających wypowiedzi kapitana i majora, zajął pasywne, neutralne stanowisko. Nie podlegał milicji, reprezentował inny resort, więc grasujący po mieście szaleniec nie zagrażał jego karierze, tymczasem mer i lokalna administracja stanowili poważne zagrożenie. I chociaż w głębi duszy zgadzał się z opinią Wtoruszyna, hipoteza Fiedułowa wydawała mu się bezpieczniejsza. Profesjonalista walczył w nim z urzędnikiem, a wynik walki przybrał postać apatii i braku inicjatywy w śledztwie.

*

Nastia przeczytała to, co napisała, po czym wyłączyła komputer i poszła na górę do Tamary. Teraz może zadawać pytania. Drzwi były jednak zamknięte. Wróciła więc do siebie, żeby włożyć kurtkę, i ruszyła do głównego budynku na poszukiwania Tamary Nikołajewny.

Znalazła ją w salonie fryzjerskim, akurat kończyła czesać miłą starszą kobietę. Nastia usiadła w rogu i postanowiła cierpliwie

zaczekać. W końcu klientka wyszła, rozplywając się w podziękowaniach i chwając kunszt mistrzyni. Kamieńska ze zdziwieniem odnotowała, że Tatiana nie wzięła od niej pieniędzy. Może członkowie klubu płacą w recepcji? Chyba widziała na ladzie kasę...

– Obsługuje pani klientów za darmo? – zapytała.

– Członków klubu tak. – Tamara kiwnęła głową, wkładając przybory do ładnego skórzanego futerału. – Ci, którzy przychodzą, jak my to mówimy, „z miasta”, płacą według cennika.

– I dużo jest tych „z miasta”? – zainteresowała się Nastia.

– Nie, pojedyncze osoby.

– Z czego więc pani żyje? A może dostaje tu pani pensję?

– Też coś! – Tamara się obruszyła. – Tego jeszcze brakowało, żeby Andrusza mi płacił. Znamy się ponad pięćdziesiąt lat i nie uważamy za stosowne wiązać się finansowo. Mam własne pieniądze, wystarczą na godne i spokojne życie. Kiedyś prowadziłam własny interes, później go sprzedałam i przeprowadziłam się do ojca, bo się postarzał i nie mógł już sam mieszkać. Poszłam do pracy, dobrze zarabiałam, a pieniądze ze sprzedanego biznesu odłożyłam. Później tato umarł, a ja postanowiłam przyjechać do Tomilina i sprzedałam moskiewskie mieszkanie. Tak więc na własne niewyszukane potrzeby pieniędzy wystarczy mi do samej śmierci. A w salonie pracuję wyłącznie dla przyjemności, przez całe życie lubiłam swój zawód, już w dzieciństwie o nim marzyłam. No co, Nastiu, napije się pani herbaty? A może kawy?

– Kawy – odparła Nastia z uśmiechem.

– Zjemy też po ciasteczku?

– A co na to powie Andriej Siergiejewicz? Jego dieta z pewnością wyklucza rzeczy mączne, tłuste i słodkie.

– Ależ on wyjechał! – Tatiana się roześmiała. – I to wcześniej rano. Teraz jest już pewnie w Moskwie. Więc proponuję pani kawę i ciastka, których on zabrania, i normalną kolację. A poza tym obiecuję smaczne jedzenie, ale tylko do czasu, póki Andriej nie wróci. Wtedy będzie pani musiała przystąpić do otwartej walki albo jeść to co on. Chodźmy.

W restauracji Tamara i Nastia zajęły miejsca na miękkiej narożnej sofie z bordowym obiciem. Kelner, który przyniósł kawę i ciastka, wyglądał tak, jakby pracował nie w prowincjonalnej niedrogiej restauracji, ale w ekskluzywnym lokalu na Rublowce. Tamara pochwyciła zdziwione spojrzenie Nasti i się uśmiechnęła.

– To też pomysł Andrieja. Chodzi o to, żeby udowodnić, że życie na emeryturze nie tylko się nie kończy, ale pod wieloma względami dopiero zaczyna. Człowiek wkracza w tak zwany złoty wiek, doświadczenie życiowe sprawia, że potrafi nie przejmować się głupstwami i ze wszystkiego cieszyć, a siły fizyczne pozwalają mu jeszcze korzystać z uciech życia.

– A co ma do tego wygląd kelnera? – Nastia nie zrozumiała.

– No jak to! Emerycy niezwykle rzadko bywają w restauracji, dla nich to droga rozrywka, a przecież wyjście do restauracji jest pewnym symbolem, prawda? Symbolem, że człowiek uczestniczy w życiu ogółu, że wychodzi w świat, że może sobie na coś pozwolić. Jeśli ktoś nie chce

się szybko zestarzeć, musi koniecznie bywać w restauracji. Właśnie dlatego Andriej urządził w klubie restaurację, w której za niewielkie pieniądze można coś zjeść albo napić się herbaty, ale oprawa odpowiada lokalowi najwyższej klasy. Zwróciła pani uwagę na kelnera, a czy zerknęła pani na menu?

– No... tak – odparła stropiona Nastia. – Przeczytałam nazwy potraw oraz ich ceny.

– Ależ ja mówię o czym innym! O okładce. Zwróciła pani uwagę, jak zostało opracowane menu? Skóra, tłoczone litery, winietki. Wszystko jest tutaj w najlepszym gatunku. A jak było w czasach radzieckich? Ludzie w podeszłym wieku dostawali najgorsze rzeczy. Wygodne buty dla starszych osób wyglądały tak, że aż się zbierało na płacz. Ubrania wołały o pomstę do nieba. Oprawki okularów – czysta rozpacz! To oczywiste, że emeryci nie mogą sobie pozwolić na drogie rzeczy, jeśli nikt im nie pomaga, ale kto powiedział, że to, co tanie, musi być brzydkie? Niech będzie z niedrogiego, ale ładnego materiału. Ojej, Nastieńko, powinna mnie pani przywołać do porządku, bo zupełnie panią zagadam. Gdy tylko rozmowa dotyczyka tematu klubu i pomysłów Andrieja, nie potrafię się powstrzymać. Chyba chciała pani nie tylko napić się kawy, ale też o coś zapytać. Więc proszę pytać.

Nastia wsunęła do ust łyżeczkę z kawałkiem ciastka. Tak, może zrobiono je z tanich składników, ale było bardzo smaczne i co najważniejsze – bardzo ładne, różnokolorowe, ozdobione jagodami i płynną czekoladą.

– Po pierwsze, chciałam poznać pani opinię na temat Koriaginy i

Pawłowej.

– A po drugie?

– Poprosić o nazwiska członków klubu, którzy najlepiej znali zabite kobiety i mogliby o nich coś powiedzieć.

– Jasne. Jeśli chodzi o mnie, to oczywiście powiem pani wszystko, co wiem, choć nie wiem zbyt dużo, jestem tutaj zaledwie pół roku, od sierpnia. Aidę Borisownę zabito pod koniec września, więc znałam ją tylko półtora miesiąca. Ale podzielę się oczywiście z panią swoimi uwagami. Natomiast Koriaginy w ogóle nie znałam, zginęła w marcu, o ile się nie mylę?

– Szkoda – wycedziła Nastia ze smutkiem. – A ja na panią liczyłam.

Tamara pocieszającym gestem poklepała Nastię pod dłoni i uśmiechnęła się łobuzersko.

– Wielu rzeczy nie widziałam, Nastieńko, ale mój salon to miejsce, gdzie można dowiedzieć się o wszystkim z trzeciej ręki. Przekażę pani plotki, które krążyły i krążą po klubie. A później sama pani zdecyduje, co jest prawdą, a co wymysłem.

Z relacji Tamary Nastia dowiedziała się, że w klubie Złoty Wiek powstała nieduża grupa towarzyska składająca się z trzech kobiet i mężczyzny. Taki czworokąt, tyle że nierównoboczny. Do grupy należała Galina Iljicznina Koriagina, Aida Borisowna Pawłowa, dawny emigrant i złota rączka Walerij Wasiljewicz Połosuchin, a także pewna dama, Jelena Stanisławowna Murawjowa. O dziwo, w centrum zainteresowania znalazł się niepozorny i słabo wykształcony Połosuchin, który mieszkał na stałe w oficynie dla personelu.

Mężczyzna kochał się po kryjomu w Aidzie Borisownie i niezdarnie do niej zalecał. Gdy tylko Pawłowa gdzieś się pojawiała, natychmiast wyrastał koło niej Połosuchin. A za nim schodziły się Koriagina i Murawjowa, którym wpadł w oko owdowiały, jeszcze nie stary i niepijący mężczyzna – w dzisiejszych czasach wielka rzadkość. Nic więc dziwnego, że żadna z nich nie lubiła Aidy Borisowny, widziały w niej rywalkę i były nieprzytomnie zazdrosne. Sobie też nie ufały i nie omijały żadnej okazji, żeby rzucić jakąś złośliwą uwagę pod adresem koleżanki, zwłaszcza za jej plecami.

Ze słów klientek salonu fryzjerskiego wynikało, że Koriagina bała się Aidy Borisowny i uważała ją w pewnym sensie za równą sobie, ponieważ Pawłowa miała odpowiedzialną pracę i odeszła na emeryturę z wysokiego stanowiska. Galina Iljiniczna nie ośmielała się stawiać do otwartej konfrontacji z rywalką, ale czasami, zwłaszcza zaocznie, dawała upust emocjom i pozwalała sobie na nieprzychylne uwagi, ostro krytykując dawną śledczą za zbyt młodzieżowy, jej zdaniem, styl ubierania się, za jaskrawe bluzki, pulowery i nieodłączne apaszki, za wąskie dopasowane spodnie i nadmiar drogiej biżuterii. Koriagina nie czuła natomiast respektu wobec Jeleny Stanisławowny i otwarcie ganiła ją za przywiązanie do zachodniej kultury i do „kapitalistycznego stylu życia”. Szczególnie gorliwie atakowała Murawjową w obecności Walerija Wasiljewicza Połosuchina, wtedy nie przebierała w słowach i wypowiadała swoje zdanie głośnym, apodyktycznym tonem.

– Czyżby Aida Borisowna naprawdę ubierała się niestosownie do

wieku? – zapytała zaciekawiona Nastia.

Tamara dziwnie na nią popatrzyła i przez chwilę się nie odzywała.

– Aida Borisowna była piękną kobietą – odparła półgłosem. – Wysoka, szczupła, miała pani typ urody. Młoda twarz, prawie bez zmarszczek, gęste siwe włosy, nie farbowała ich, siwizna jej nie szpeciła. Odwiedziła mnie raz w salonie, dbała o siebie. Podobało mi się, jak się ubiera, gdybym wyglądała tak jak ona, ubierałabym się podobnie. Aida Borisowna mawiała: „Póki pracowałam, nie wypadało mi nosić takich rzeczy, choć zawsze chciałam. Teraz wreszcie mogę sobie na to pozwolić”.

– Dlaczego spojrzała pani na mnie tak znacząco? – wyrwało się Nasti. – Czy zadałam niewłaściwe pytanie?

– No cóż, Nastieńko, wrócimy do tej rozmowy innym razem. Nie zbaczajmy z tematu. Musi pani zebrać jak najwięcej informacji o Koriaginie i Pawłowej. Jak już wspomniałam, nie zastałam Koriaginy w dworze, więc nie poznałam jej osobiście, ale utkwiło mi w pamięci pewne zdarzenie związane z Aidą Borisowną. Akurat parę dni przed jej śmiercią...

... Aida Borisowna zapisała się do Tamary na strzyżenie. Zbliżała się umówiona godzina, a Pawłowej wciąż nie było, więc Tamara ruszyła na jej poszukiwania. Recepcjonistka w holu powiedziała, że Aida Borisowna jest w gabinecie lekarskim.

– Dzisiaj przyjmuje Ała Iwanowna – oznajmiła. – Wpadły na siebie z Aidą Borisowną akurat koło recepcji i poszły razem do gabinetu.

Ała Iwanowna Jarcewa była psychoterapeutką, dwa razy w tygodniu przyjmowała członków klubu, emeryci chętnie zwierzali jej się ze swoich niepokojów, opowiadali o bezsenności, złym samopoczuciu i rozpaczliwej samotności, a także o tym, dlaczego dzieci zupełnie o nich zapomniały, a wnuki nie przyjeżdżają.

Gabinet lekarski sąsiadował z salonem fryzjerskim. Po chwili zastanowienia Winogradowa postanowiła zapukać, zajrzeć do środka i zapytać, kiedy Aida Borisowna będzie wolna i czy warto na nią czekać. Zza drzwi gabinetu dobiegły wzburzone głosy Pawłowej i Jarcewej.

„Nie rozumie pani...” – mówiła Ała Iwanowna.

„Nie – przerwała jej Pawłowa – to pani nie rozumie, jakie mogą być konsekwencje. Jest pani przecież psychoterapeutką, specjalistką od ludzkich dusz, kto, jak nie pani, powinien rozumieć...”

Tamara cofnęła się i już miała wrócić do salonu, nie odważając się przerwać tak emocjonalnej rozmowy, gdy drzwi gabinetu szeroko się otworzyły i na korytarz wypadła Aida Borisowna, zdenerwowana, a jednocześnie oburzona i przejęta.

„Akt trzeci, scena nad rzeką...” – mamrotała pod nosem, szybkim krokiem zmierzając w kierunku holu i w ogóle nie zauważając Tamary.

„Aido Borisowno! – zawołała Tamara. – Byłyśmy umówione, zapomniała pani?”

Pawłowa zatrzymała się na chwilę i odwróciła w jej stronę.

„Przepraszam, Tamaroczko, muszę odwołać wizytę. Wypadło mi coś bardzo pilnego... przepraszam, moja droga, umówimy się innym

razem...”

I poszła...

– Akt trzeci, scena nad rzeką – w zamyśleniu powtórzyła Nastia. – Nie wie pani, co to oznaczało?

– Nie mam pojęcia. – Tamara pokręciła głową. – Tak mnie to wytrąciło z równowagi, że stanęłam jak wryta, a tymczasem z gabinetu wyszła Ałła Iwanowna z mężem, który, jak się okazało, też tam był. Na mój widok chyba się trochę zmieszali. Zapytałam, co się stało Aidzie Borisownie i dlaczego odwołała wizytę w salonie. Ałła Iwanowna wyjaśniła, że przepisała Pawłowej lekki środek antydepresyjny, a tamta uznała, że dawka jest niewłaściwa, za duża, wie pani, są pacjenci, którzy bardzo uważnie czytają ulotki załączone do lekarstw i dyskutują z lekarzami na temat dawkowania i możliwych efektów ubocznych. I właśnie z tego powodu się pokłóciły. No i to właściwie wszystko. Pomyślałam jednak, że powinna pani o tym wiedzieć, bo nie mogę pojąć, jak niewłaściwie przepisane lekarstwo może się łączyć ze sceną nad rzeką w trzecim akcie.

– Ja też – przyznała Nastia. – Ale będę o tym pamiętać. Czy mąż Ałły Iwanowny też jest lekarzem?

– Nie, to biznesmen, kiedyś pracował jako lekarz, a teraz handluje lekami.

– Chciałabym się z nimi spotkać...

– To raczej będzie trudne, Nastieńko, bo wkrótce po śmierci Aidy Borisowny Ałła Iwanowna się zwolniła i przeprowadziła z mężem do stolicy obwodu, on przeniósł tam swoją firmę.

– Wkrótce po śmierci? – Nastia drgnęła. – Tak od razu?

– Nie, jakiś miesiąc później.

– Czemu tak nagle?

– Wcale nie nagle, od dawna to planowali. Gdy przyjechałam w sierpniu, już krążyły pogłoski, że Ała Iwanowna zamierza wyjechać.

Nie, to na nic, pomyślała Nastia. Połączenie nagłego wyjazdu pary Jarcewów ze śmiercią Aidy Pawłowej jest oczywiście bardzo kuszące, ale wyjazd nie był niespodziewany. Zresztą po co mieliby zabijać emerytkę Pawłową? Może odkryła jakieś machinacje z lekarstwami, w które mąż Ały Iwanowny był zamieszany? I właśnie dlatego brał udział w burzliwej rozmowie? Możliwe, że handlował lekami kiepskiej jakości, przeterminowanymi albo fałszywymi, a Pawłowa się o tym dowiedziała...

Trzeba poprosić Fiedułowa albo Wtoruszyna, żeby poszli tym tropem.

– Pokaże mi pani Jelenę Stanisławownę Murawjową? – zapytała.

– Oczywiście. Zwykle przychodzi koło szóstej, pije herbatę w restauracji, później idzie na próbę przedstawienia. A Walerija Wasiljewicza Połosuchina można znaleźć po siódmej w pokoju, w którym zbierają się członkowie koła miłośników haftu, to obok mojego salonu.

Bardzo dobrze, powiedziała sobie w duchu Nastia. Teraz zadzwonię do Fiedułowa, zaskoczę go pytaniem o męża Ały Iwanowny i pójdę zawrzeć znajomość z Murawjową. A później zajmę się Połosuchinem.

Telefon Fiedułowa oznajmił, że „abonent jest poza zasięgiem sieci”,

widocznie major był w jakichś podziemiach bez okien. Gdy Nastia wybrała numer Wtoruszyna, kapitan odebrał od razu.

– Mąż Jarcewej? – zapytał ze zdziwieniem. – Dobrze, dowiem się i do pani oddzwonię.

Tamara wróciła do swojego salonu, a Nastia postanowiła spacerować się jeszcze raz po głównym budynku, tym razem bez towarzystwa, żeby się rozejrzeć i sprawdzić, czy dobrze zapamiętała układ pomieszczeń. To może jej się przydać, jeżeli właśnie tutaj, w posiadłości, będzie musiała szukać tajemniczego zabójcy.

² DEZ (*Direkcija po eksploatacii zdaniij*) – kierownictwo administracji.

³ PMŻ (*postojannoje miasto żytielstwa*) – pobyt stały.

ROZDZIAŁ 4

Jelena Stanisławowna Murawjowa, niewysoka, pulchna kobieta ze starannie ułożonymi, rozjaśnionymi włosami, skwapliwie zgodziła się porozmawiać z socjologiem z Moskwy. Parę minut później Nastia już wiedziała, że Jelenę Stanisławownę skusiła raczej okazja znalezienia słuchacza niż chęć pomocy w badaniu problemów adaptacji socjalnej po przejściu na emeryturę. No cóż, stwierdziła Nastia, to nawet lepiej, można będzie sprowokować Murawjową do wypowiedzi na różne tematy bez obawy, że się zorientuje.

Zanim Nastia mogła jednak przystąpić do delikatnego wypytywania o Koriaginę i Pawłową, musiała wysłuchać tego, co Jelena Stanisławowna uznała za konieczne opowiedzieć o sobie.

Murawjowa uważała się za potomkinię hrabiego Nikołaja Nikołajewicza Murawjowa-Amurskiego, najbardziej znanego przedstawiciela młodszej gałęzi rodu Murawjowów, który w 1847 roku decyzją cara został gubernatorem Syberii Wschodniej. Przedtem był gubernatorem w Tule i wystosował do cara pismo o konieczności zniesienia prawa pańszczyźnianego. Liberalizm hrabiego nie przypadł carowi do gustu, więc podjął decyzję o odsunięciu go od władzy centralnej. Hrabia Nikołaj Nikołajewicz wsparł wyprawę Niewielskiego zorganizowaną w celu zagospodarowania ujścia Amuru

i zlewiska Oceanu Spokojnego, zagospodarowywał Kraj Ussuryjski, był założycielem Władywostoku, Chabarowska, Nachodki i Błagowieszczenska. Prowadził konsekwentną, przemyślaną politykę, w wyniku której udało się przyłączyć drogą pokojową tereny Przyamurza i Kraju Nadmorskiego do Imperium Rosyjskiego. Jelena Stanisławowna była bardzo dumna ze swojego przodka.

– Nikołaj Nikołajewicz ożenił się z Francuzką, Jekatieriną Richemont – wyjaśniła Nasti, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu.

– Byli ze sobą bardzo szczęśliwi, ale niestety Pan Bóg nie obdarzył ich dziećmi. Ostatnie lata życia hrabia spędził razem z małżonką w Paryżu i miał nieślubnego syna z Francuzką. Uznał go i dał mu swoje nazwisko. To właśnie był mój przodek. Może to sobie pani wyobrazić? Płynie we mnie nie tylko krew Murawjowów, ale i francuska. Mam zachodnioeuropejskie geny, a gdzieś we Francji mieszkają moi krewni, których mogłabym odszukać, gdybym tylko chciała. Nic dziwnego, że z taką siłą odzywa się we mnie orientacja prozachodnia, umiłowanie wiedzy i duch wolności. – Jelena Stanisławowna uśmiechnęła się z dumą. – To wyróżniało wszystkich Murawjowów. W dodatku wszyscy byli ściśle związani z nauką, edukacją, kulturą i postępowymi ideami przebudowy społeczeństwa. Weźmy choćby Michaiła Nikiticza Murawjowa. Czyba pani o nim słyszała?

Nastia drgnęła. Znowu jest egzaminowana. Wczoraj Biegorski bombardował ją terminami architektonicznymi, zmuszając do wysiłku umysłowego, a dzisiaj odpowiada z historii. Kolejny raz musiała poszperać w pamięci.

– O ile dobrze pamiętam, Katarzyna II mianowała go guwernerem swoich starszych wnuków – powiedziała niepewnie. – Mam rację?

– Całkowitą. – Murawjowa pokiwała głową z aprobatą. – Jego rozległa wiedza z zakresu literatury, historii i filozofii niezmiernie zadziwiła cesarzową. Po jego śmierci wdowa prowadziła otwarty dom na Fontance w Petersburgu. Wielu pisarzy, poetów i artystów znalazło w nim schronienie. Wokół wdowy i synów Michaiła Nikiticza skupiały się najwybitniejsze umysły Petersburga, przyjaźnili się z nimi Puszkina, Wiaziemski, Turgieniew. Zwracam pani szczególną uwagę, dziecko, na Wiaziemskiego. Pewnie pani słyszała, że ten dwór nazywany jest dworem Wiaziemskich?

Nastia skinęła głową w milczeniu, była o tym mowa w artykule, który Biegorski dał jej do przeczytania. Cierpliwie czekała, aż Jelena Stanisławowna przestanie się chwalić swoimi znakomitymi przodkami. W gruncie rzeczy Nastia podejrzewała, że korpulentna paniusia ma niewiele wspólnego ze słynną rodziną Murawjowów.

– Więc musi pani zdawać sobie sprawę, że nie przypadkiem los przywiódł mnie do tego dworu, skoro łączy się on z rodem Wiaziemskich. To więzy krwi, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

– Rozumiem. – Nastia znowu posłusznie skinęła głową.

Przypomniała sobie, że Tamara nazwała Murawjową zagorzałą zwolenniczką orientacji prozachodniej. Jakimś cudem Jelenie Stanisławownie udało się spędzić miesiąc we Włoszech i od tej pory uważała, że płynie w niej błękitna krew. Była też przekonana, że Walerij Wasiljewicz Połosuchin właśnie jej powinien przypaść w

udziale, ponieważ on również mieszkał za granicą i potrafi docenić europejski styl życia oraz europejską kulturę. Tamara nawet zacytowała pewną swoją klientkę, która rzekomo słyszała na własne uszy, jak Murawjowa mówiła: „Walerij Wasiljewicz pasuje do mnie, a nie do tych dwóch prowincjuszek, które nie wiedzą, co to wielki świat”.

Wspominając o dwóch prowincjuszkach, miała oczywiście na myśli Koriaginę i Pawłową. Siebie nie uważała za prowincjuszkę, mimo że urodziła się w stolicy obwodu i przez pięćdziesiąt lat mieszkała w Tomilinie. Miesiąc spędzony we Włoszech z nawiązką tuszował geograficzne szczegóły z jej życia. Pobyt Pawłowej w Kanadzie z jakiegoś powodu się nie liczył, pewnie dlatego, że Kanada to jednak nie stara Europa.

W końcu rozmowa zeszła na temat, który interesował Nastię. Jeszcze raz wyłożyła cel swojego przyjazdu i zaczęła delikatnie wypytywać o życie Jeleny Stanisławowny po przejściu na emeryturę. Dość szybko, bez zbędnego wysiłku, udało jej się sprowokować Murawjową do opowieści o innych członkach klubu, również tych, którzy przestali odwiedzać Złoty Wiek po publikacji w „Kurierze Tomilińskim”.

– Muszę pani powiedzieć, że nie wierzę w żadne upiory – kategorycznie stwierdziła Jelena Stanisławowna. – Jacyś szaleńcy, jakieś legendy... To wszystko kompletne bzdury, dziecko. Gdyby chodziło o starą Anglię albo zamki nad Loarą, rozumiałabym, ale u nas? O jakich legendach i szaleńcach może być mowa? Nasze życie jest zwyczajne i szare. Nie, nie i jeszcze raz nie. Gala i Aida same są sobie

winne, że je zabito, widocznie nadepnęły komuś na odcisk. Co w tym dziwnego? Obie były takie... konfliktowe, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Wspomni pani moje słowa, na pewno zaszły komuś za skórę. A ci, co się denerwują i wierzą w głupie legendy, to zwyczajny motłoch, który ma sieczkę zamiast mózgu. My obie jesteśmy inteligentnymi kobietami, dziecko, więc wiemy, o co w tym wszystkim chodzi. Była pani za granicą? A gdzie? We Włoszech? I w Niemczech? A więc tym bardziej powinna mnie pani rozumieć.

Następnie rozmowa w naturalny sposób zeszła na temat Galiny Iljiczy i Aidy Borisowny, ponieważ Jelena Stanisławowna musiała przecież wyjaśnić, na czym polegała „konfliktowość” zabitych kobiet i czym mogły się komuś narazić.

Murawjowa czuła wobec Galiny Iljiczy pogardę, której nawet nie próbowała tuszować.

– Okropna osoba, doprawdy okropna – mówiła. – Przyzwyczała się wszystkim dyrygować, a sama była niewykształcona i zacofana, przez całe życie nie przeczytała ani jednej przyzwoitej książki. Taka, wie pani, jazgotliwa, wszystkich brała na krzyk, na demagogię, tak jak to mieli w zwyczaju aparatczycy. I wszędzie się pchała, wciąż narzucała swoje zdanie i nie pozwalała dojść do głosu normalnym inteligentnym kobietom, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Ale czego się po niej spodziewać? Prostaczka i tyle. W tym, co mówiła, ujawniała się jej mentalność, co chwilę powtarzała: „A jednak wyszło na moje...”, „Dawniej bywało inaczej...”, „Za czasów władzy radzieckiej...”, „Stalin by się tutaj przydał, on by wprowadził porządek!”, „Szkoda, że nie

mamy tu sto pierwszego kilometra⁴, jak w Moskwie, tam by was wysłać, rozpustnice”.

– Rozpustnice? – ze zdziwieniem powtórzyła Nastia. – Czyli kogo?

– Jak to kogo? Mnie i Aidę. Gala potępiała Aidę za europejski styl ubierania się.

– A panią za co?

– Za umiłowanie kultury europejskiej – prychnęła Murawjowa. – Zdaniem Gali kultura europejska to sama pornografia. Chociaż na czym ona się znała? Wciąż powtarzała: „W malarstwie rosyjskim panuje skromność, żadnych gołych bab, a ten wasz Rubens ma w głowie tylko rozpustę”. Nie potrafiła wymienić innych nazwisk z wyjątkiem Rubensa! No i taka ograniczona babina zakochała się w naszym Waleriju Wasiljewiczu. Nie dawała mu chwili spokoju, wystarczy, że się zjawiał, a Gala nie odstępowała go na krok. Nie wiem, jak ten biedak to wytrzymywał. Proszę tylko pomyśleć, taki spokojny i uprzejmy, wdowiec, człowiek przyzwoity pod każdym względem, jeśli rozumie pani, co mam na myśli, potrafi docenić europejski styl życia i kulturę europejską, a co Gala o nim mówiła?

– No właśnie, co? – zainteresowała się Nastia.

– Że ma w życiu ciemną plamę w postaci emigracji, że zdradził ojczyznę, skusiły go zagraniczne frykasy, ale zdał sobie sprawę, że czarny rosyjski chleb jest smaczniejszy, więc nie wszystko jeszcze stracone i da się go zmienić. Może to sobie pani wyobrazić? Zagięła na niego parol i sądziła, że uda jej się przerobić naszego Walerija Wasiljewicza na odpowiedniego męża. Też mi się znalazła narzeczoną!

Gdzie jej tam do niego! Nie ma żadnego porównania!

No oczywiście, pomyślała Nastia, Koriagina nie jest godna Połosuchina, ty to co innego.

– Czym mogła kogoś tak bardzo zirytować, że ją zabił?

– Ojej, ależ pani jest naiwna! – Murawjowa wymownie uniosła ręce, poprawiając jednocześnie kokieteryjnym gestem kosmyk włosów nad uchem. – Gala była oszustką i intrygantką. Nie wiem, czy pani wiadomo, że miała lokatorkę. No więc Gala zapewniała, że nie bierze od niej pieniędzy, ja jednak jestem pewna, że kłamała. Brała pieniądze, a przed nami udawała bezinteresowną, żeby przypodobać się Walerijowi Wasiljewiczowi. Ale poważnych ludzi nie była w stanie oszukać. Opowiem pani pewną historię...

... Zbliżały się urodziny Jeleny Stanisławowny, solenizantka zorganizowała przyjęcie, włożyła najlepszą suknię i zapisała się na wizytę u fryzjera. Tamaroczka pracuje w posiadłości zaledwie pół roku, a zakład fryzjerski był tutaj od samego początku, pracowała w nim inna kobieta, nie tak utalentowana jak Tamaroczka, ale też bardzo miła. No więc Jelena Stanisławowna zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby olśnić otoczenie urodą i elegancją. W pewnej chwili podeszła do niej Galina Iljniczna, mówiąc, że szuka jej Andriej Siergiejewicz. Murawjowa wpadła w popłoch, bo była pewna, że Biegorski chce osobiście złożyć jej życzenia i wręczyć prezent. Pobiegnęła na piętro do jego gabinetu, ale drzwi były zamknięte. Wpadła do Wieroczki, głównej księgowej, ale ta powiedziała, że Andriej Siergiejewicz dwadzieścia minut temu wyjechał do Moskwy. Jelena

Stanisławowna nie uwierzyła i uznała, że Wieroczka się myli, ponieważ Galina Iljicznina równo dziesięć minut temu powiedziała, że Biegorski jej szuka. Murawjowa miotła się jak szalona po całym dworze, zaglądając do wszystkich pomieszczeń i pytając napotkane osoby o Biegorskiego. W końcu wpadła na pomysł, żeby pobiec do bocznej bramy, przez którą wjeżdżały i wyjeżdżały samochody, i zapytać ochroniarza. Mężczyzna uniósł brwi ze zdumieniem i bez wahania potwierdził informację Wieroczki, że szef rzeczywiście wyjechał. Jakąś godzinę temu. W tym momencie wzburzona Jelena Stanisławowna przypomniała sobie o wizycie u fryzjera, pobiegła do salonu i zobaczyła Galinę Iljiczną, która dumnie zasiadała w fotelu. Stropiona fryzjerka zaczęła wyjaśniać, że ma dzisiaj komplet klientek, nawet pokazała zeszyt z zapisami, więc nie może przyjąć solenizantki o innej godzinie, a Galinę Iljiczną zajęła się tylko dlatego, że Murawjowa nie zjawiała się o umówionej porze. W rezultacie Jelena Stanisławowna miała nieufarbowane i nieułożone włosy na swoich urodzinach, a „ta jędba” obnosiła się z nową fryzurą.

– Ale to jej oczywiście nie uratowało – ciągnęła swoją gorzką opowieść Jelena Stanisławowna. – Nawet z nową fryzurą wyglądała groteskowo, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Proszę sobie tylko wyobrazić piersiaste babsko z ordynarną gębą, przy kości, z olbrzymim tyłkiem, wrzaskliwe. Co za okropność! A fryzura? Poszła do fryzjera, żeby zrobić mi na złość, przedtem miała siwe, nieufarbowane włosy, upinała je z tyłu plastikowym grzebieniem i gotowe. Plastikowym grzebieniem! Ciekawe, skąd go wytrzasnęła, bo chyba nasze babcie

tak się czesały. A jak się ubierała? Żakiety, spódnice i bluzki, może to sobie pani wyobrazić? I te straszne pantofle, podobne raczej do kaloszy.

– Może bolały ją nogi? – zasugerowała Nastia, usiłując wstawić się za nieszczęsną, bezlitośnie zamordowaną kobietą.

– A kogo nie bolą w naszym wieku? – zaproponowała Murawjowa. – Mnie też bolą. Mimo to staram się wyglądać przyzwoicie i dbam o siebie, w odróżnieniu od Gali, która uważała, że kobieta radziecka nie powinna zaprzętać sobie głowy wyglądem zewnętrznym, tylko troszczyć się o moralne oblicze, zarówno swoje, jak i innych.

Jeśli chodzi o Aidę Borisownę Pawłową, to tutaj Jelena Stanisławowna okazała się o wiele bardziej powściągliwa. Widocznie nie mogła powiedzieć nic złego, a słowa pochwały w stosunku do rywalki, nawet wymyślonej, nie przechodziły jej przez gardło. Nastia usłyszała tylko, że Aida Borisowna „była zarozumiała, miała o sobie zbyt wysokie mniemanie, ubierała się nieodpowiednio do wieku i zadzierała nosa”. Murawjowa czuła do Aidy Borisowny o wiele większą nienawiść niż do Koriaginy i było to wyraźnie widać.

– Tak dużo mówiła pani o Waleriju Wasiljewiczu, że muszę się z nim koniecznie spotkać – powiedziała Nastia. – Może to istotnie bardzo ciekawy człowiek.

– Zdumiewający – z entuzjazmem podchwyciła Murawjowa. – Sama pani zobaczy. Na pewno się pani spodoba. Chodźmy, przedstawię panią i pobiegnę na próbę. Jak długo pani u nas zostanie?

– To zależy – wymijająco odparła Nastia. – Zbieram materiał do pracy naukowej, nigdy nie wiadomo, ile to zajmie czasu.

– Jeśli zatrzyma się pani dłużej, zdążymy przygotować przedstawienie. Wystawiamy *Dziwną Miss Savage*. Kostiumy są już prawie gotowe.

– Przyjdę z przyjemnością, jeśli jeszcze tu będę – obiecała Nastia.

Murawjowa ruszyła przodem zadziwiająco lekkim krokiem przy swojej tuszy. Obie z Nastią przecięły hol, skrzyły w korytarz po przeciwległej stronie, po czym Jelena Stanisławowna pchnęła drzwi do pokoju, który Tamara poprzedniego dnia nazwała biblioteką. Była to rzeczywiście biblioteka, wyglądała jednak inaczej niż współczesne instytucje kultury, które odwiedzała Nastia, przypominała bibliotekę klasyczną. Wysokie, sięgające sufitu, przeszklone szafy z książkami, wypełnione tomami różnej wielkości, miękkie fotele i niskie stoliki z ozdobnymi nóżkami. Wszędzie świeczniki, dwa okna przystrojone ciężkimi ciemnymi zasłonami.

W dwóch fotelach siedziały panie, jedna czytała, druga przeglądała czasopismo, a przy szafie krzątał się, naprawiając drzwi, niewysoki, krzepki mężczyzna z ciemnymi, przyprószonymi siwizną włosami i z twarzą o grubych rysach.

– A oto i nasz Walerij Wasiljewicz – wesoło i dźwięcznie oznajmiła Murawjowa. – Proszę o łaskawe względy. Waleroczka, poznaj Nastię, jest socjologiem, chce z tobą porozmawiać. Bądź tak miły i odpowiedz na jej pytania.

Połosuchin wyprostował się, odruchowo przykładając rękę do

pleców, i skinął głową przyjaźnie.

– Dzień dobry.

– Jeśli jest pan zajęty, przyjdę później... – pośpiesznie powiedziała Nastia, ale Połosuchin jej przerwał:

– Drzwi nie uciekną, są drewniane. Z przyjemnością zrobię sobie przerwę. Tylko chodźmy do salonu, żeby nie przeszkadzać gościom.

Czytające panie jak na komendę uniosły głowy i odezwały się zgodnie:

– Ależ skąd, nie będziecie nam wcale przeszkadzać.

Pragnienie, żeby asystować przy rozmowie i jej posłuchać, było tak oczywiste, że Nastia mimo woli się uśmiechnęła.

Murawjowa pobiegła na próbę przedstawienia, a Nastia i Walerij poszli do salonu, który Tamara nazwała „zielonym”. Było tutaj o wiele więcej gości niż w bibliotece, ale Nasti i Połosuchinowi udało się znaleźć zaciszny kąt, w którym stała niewielka sofa, dwa fotele, stolik i lampa. Nastia jeszcze raz posłużyła się historyjką o badaniach socjologicznych dotyczących adaptacji emerytów i poprosiła Walerija Wasiljewicza, żeby opowiedział o swoim życiu po przejściu na emeryturę.

Opowieść Połosuchina była krótka i gorzka. Mieszkał z żoną w Niemczech, ona była z pochodzenia Niemką, oboje przeszli na emeryturę i żyli z zasiłku socjalnego, który jest na tyle wysoki, że można nie pracować i się z niego utrzymać. Żona chorowała na żołądek, musiała przestrzegać ścisłej diety, ale lubiła dobrze sobie podjąć, jadła z takim apetytem, że aż przyjemnie było na nią patrzeć.

Połosuchinowie spędzili w Niemczech osiem lat. Co Walerij Wasiljewicz miał zrobić po śmierci żony? Języka się nie nauczył, wystarczyło, że żona go znała – gdy trzeba było załatwić jakieś urzędowe sprawy, szli razem, żona wszystko wyjaśniała i tłumaczyła. Bez niej nie mógł nawet zrobić zakupów – nic nie rozumiał. W telewizji oglądał jedynie rosyjskie kanały, nie tylko nie nauczył się mówić po niemiecku, ale też nie rozumiał najprostszych zwrotów. W Niemczech nie miał żadnych znajomych ani przyjaciół. Dlatego wrócił. A z żoną żyli zgodnie, całymi dniami siedzieli w domu, on lubi haftować, ona oglądała telewizję, chodzili na spacer do lasu, wynajmowali tanie mieszkanie, na obrzeżach miasta, tuż przy domu był las, szkoda tylko, że nie rosną w nim nasze rosyjskie grzyby, bo on przez całe życie lubił zbierać grzyby, bardzo lubił...

– Ile lat przeżył pan z żoną? – zapytała Nastia ze współczuciem.

– Ano osiem – odparł Połosuchin z jakimś dziecięcym zdziwieniem.

– Wyjechaliśmy zaraz po ślubie.

– To był pański pierwszy ślub?

– Pierwszy. W młodości nie paliłem się do żeniaczki, w wieku trzydziestu lat zakochałem się w mężatce i bardzo długo się z nią spotykałem, wciąż czekałem, aż dzieci dorosną i będzie mogła odejść od męża. Ale wyszło inaczej. A później spotkałem Elżę i się z nią ożeniłem.

– A co pan robił w Rosji?

– Nic nadzwyczajnego. – Zmieszany Połosuchin wzruszył ramionami. – Zajmowałem się ślusarką, pracowałem w autoserwisie.

Moje życie jest proste.

– A jak pan znalazł klub Złoty Wiek? Jak pan wrócił?

– Pomógł mi stary przyjaciel – odparł z uśmiechem Walerij Wasiljewicz. – W Rosji niczego z żoną nie mieliśmy, przed wyjazdem wszystko sprzedaliśmy, mieszkanie też. W Niemczech czuję się nieswojo, ale wracać do Rosji – dokąd? Nie miałem gdzie mieszkać, ale bardzo chciałem wrócić, więc gdy tylko pochowałem Elżę, zacząłem myśleć o powrocie. No i akurat dzwoni mój stary przyjaciel i mówi: w mieście otwarto klub, dobroczynny, można tam pracować w zamian za mieszkanie. Więc się z nimi skontaktowałem, wszystko omówiłem i podjąłem decyzję. Dali mi tu pokój w oficynie, widziała pani tam dwie oficyny? Jedną zajmuje kierownictwo, a drugą tacy pracownicy jak ja. Pomagam Saszce Bielakowowi, naszemu kierownikowi działu gospodarczego, w robotach hydraulicznych, w razie potrzeby naprawię coś albo przybiję, nie mam dwóch lewych rąk. No i prowadzę koło.

– Jakie?

Połosuchin zaczerwienił się i spuścił oczy, a gdy je podniósł, na jego twarzy malowało się wyzwanie.

– Miłośników haftu. Przecież mówiłem pani, że lubię haftować. No więc prowadzę koło. A może sądzi pani, że to zajęcie niegodne mężczyzny?

– Ależ skąd – pośpiesznie zapewniła go Nastia. – Nawet mi to nie przyszło na myśl.

Walerij Wasiljewicz nie był tak wylewny jak jego przyjaciółka Murawjowa, więc Nastia potrzebowała znacznie więcej czasu, żeby

sprowadzić rozmowę na odpowiednie tory i przejść do tematu zabitych kobiet.

O Aidzie Borisownie mężczyzna wypowiadał się z zachwytem i podziwem: była piękna i mądra, w dodatku miała złote serce. Dużo widziała i umiała. A jakie pisała bajki! A jak gotowała! A jakie szyła lalki! Świetnie radziła sobie z dziećmi, a one nie odstępowały jej na krok. Jedyna wada Aidy Borisowny, zdaniem Połosuchina, polegała na tym, że nie lubiła i bała się psów. W schronisku dla bezdomnych zwierząt odwiedzała koty, nawet robiła im czasem zastrzyki, ale do psów nawet się nie zbliżała. Walerij Wasiljewicz bardzo nad tym ubolewał, bo lubi psy i gdyby miał własne mieszkanie, na pewno wziąłby ze schroniska dwa albo i trzy. Ze wzrokiem wbitym w ziemię wyznał, że kochał Aidę Borisownę, ale bez wzajemności. Aidoczka była bardzo serdeczna i życzliwa, ale traktowała go z dystansem, przyjmowała oznaki zainteresowania, nie zachęcała go jednak, litowała się nad nim i mu współczuła. Walerij Wasiljewicz trzeźwo oceniał sytuację i zdawał sobie sprawę, że nie jest jej potrzebny.

– Nie miałem u niej szans – zakończył z westchnieniem. – Rozumiałem to. No ale serce nie sługa, prawda? Szczerze ją opłakiwałem. Naprawdę szczerze. Ale życie toczy się dalej, nic na to nie można poradzić.

Jeśli chodzi o Galinę Iljiničną Koriaginę, Nastia nie usłyszała nic nowego – relacja Połosuchina niemal w całości pokrywała się ze słowami Jeleny Stanisławowny Murawjowej, była tylko bardziej powściągliwa, bez sugestywnych epitetów. Połosuchin potwierdził, że

Koriagina nie lubiła Aidy Borisowny.

– Może była zazdrosna? – zapytała Nastia.

Połosuchin wyraźnie się zmieszał, zaczerwienił i wymamrotał, że skromność i przyzwoitość nie pozwalają mu tak mówić... ale chyba coś było na rzeczy. Nastia postanowiła kuć żelazo póki gorące, w końcu co ma do stracenia? To jej zadanie, praca, którą musi wykonać.

– Waleriju Wasiljewiczu, czy nie odniósł pan wrażenia, że Jelena Stanisławowna też była zazdrosna o pozostałe panie?

Połosuchin nie wiedział, gdzie oczy podziąć.

– Można by pomyśleć, że jestem jakimś... Niech pani nie sądzi... Przecież żaden ze mnie... Ale chyba ona też... Przemawia przeze mnie próżność...

– Niech pan da spokój, Waleriju Wasiljewiczu. – Nastia uśmiechnęła się i machnęła ręką. – Jest pan interesującym mężczyzną w kwiecie wieku, więc nic dziwnego, że wpadł pan w oko paru kobietom. To normalne i nie powinien się pan wstydzić. Rozmawiałam już z Jeleną Stanisławowną i poznałam jej opinię na temat zabitych kobiet. A czy pan mógłby mi powiedzieć, jak one traktowały Jelenę Stanisławownę?

– Czemu to panią interesuje? – Połosuchin nagle się zaniepokoił. – Jest pani przecież socjologiem i zbiera dane o adaptacji...

– To też dotyczy adaptacji – bardzo poważnie odparła Nastia. – Praca zawodowa się skończyła, więc człowiek koncentruje się na sferze wzajemnych kontaktów. Teraz najważniejsze jest to, co kto zrobił, co powiedział, jak popatrzył. Muszę się dowiedzieć, jak zmienia się przy

tym stosunek do innych ludzi.

Nastia kłamała jak najęta, mając jedynie nadzieję, że jej pewność siebie i upór nie pozwolą Połosuchinowi zwątpić w jej słowa.

Okazało się, że Galina Iljicznina nazywała Murawjową zwolenniczką Zachodu i mówiła, że przydałoby się wysłać ją do stalinowskiego obozu, że Jelena Stanisławowna nie kocha swojej ojczyzny, tylko zachodnią kulturę, w której panuje wyłącznie rozpasanie i moralny upadek, i uważała ją za starą rozpustnicę. Natomiast Jelena Stanisławowna za plecami nazywała Koriaginę zacofanym wytworem radzieckiego systemu, twierdziła, że Galina Iljicznina zrobiła karierę po linii partyjnej, przywykła mydląć wszystkim oczy i rozkazywać, przywykła, że ludzie się jej boją i robią wszystko, co powie, ponieważ sprzeciwianie się jej woli prowadzi do kłopotów. Że jest tępa i niewykształcona i ubiera się jak wiedźma. Gdy wypowiadała się w ten sposób w obecności Aidy Borisowny, ta odpowiadała ugodowo: „Niech pani zostawi Galę w spokoju. To nieszczęśliwy człowiek. Jedyna rzecz, która daje jej radość, to władza i możliwość podporządkowania sobie ludzi. Nic innego nie sprawia jej przyjemności. Można jej tylko współczuć”.

O Aidzie Borisownie Murawjowa też nie wypowiadała się dobrze...

– Wie pani, że Aidoczka była w Kanadzie? – zapytał Walerij Wasiljewicz.

Owszem, Nastia o tym słyszała, ale udała, że nic nie wie na ten temat. No bo skąd niby miała wiedzieć, skoro jest socjologiem?

– Proszę sobie wyobrazić – ciągnął Połosuchin – że nigdy nie

opowiadała o Kanadzie z własnej inicjatywy, nie chęłpiła się, tak jak Lenoczka, która przy każdej okazji napomykała, że była we Włoszech. Czasami Lenoczka zaczynała wychwalać pod niebiosa uroki życia na Zachodzie i apelowała do Aidoczki, żeby przyznała, że tam jest lepiej. Mówiła: „Widziałas przecież na własne oczy, więc potwierdź, że mam rację”.

– A co odpowiadała Aida Borisowna?

– „Ach, Lenoczko, ludzkie namiętności i przywary są wszędzie takie same”.

– A co na to Jelena Stanisławowna?

– Obrażała się, zaciskała usta i mówiła: „Oczywiście, Aidoczko, ty wiesz lepiej, przez całe życie miałas do czynienia wyłącznie z ludzkimi przywarami i niegodziwością, skąd miałabyś wiedzieć, czym jest prawdziwa kultura”. No i tak się wciąż sprzeczały.

Po rozmowach z Murawjową i Połosuchinem Nastia pomyślała, że znalazła się w gnieździe żmij. Emerycy żywili do siebie głęboką niechęć, a jednocześnie zwracali się do siebie, używając pieśczotliwych zdrobnień: Lenoczka, Gałoczka i Aidoczka. Młodzi nie dorastają im do pięt!

Co się tyczy Walerija Wasiljewicza, po krótkim zastanowieniu Nastia doszła do wniosku, że mężczyzna jest zwyczajnym pasożytem. Ożenił się z kobietą tuż przed jej wyjazdem do Niemiec, to jasne, że nie zrobił tego z czystych pobudek, ale wyłącznie po to, żeby dostać zasiłek socjalny i nie pracować. Trudno uwierzyć, że naprawdę ją kochał, skoro wiedział, że jest ciężko chora i pozwalał jej powoli i

systematycznie rujnować sobie zdrowie, nie tylko przyglądał się obojętnie, jak nie przestrzega diety, ale ją do tego zachęcał i zacierał ręce. Leżał sobie na kanapie, haftował i oglądał telewizję. Czy nie przyszło mu do głowy, że ona może umrzeć, prowadząc takie życie? Nie zastanawiał się, co się z nim stanie, gdy jej nie będzie? Krótko mówiąc, ten „wspaniały, spokojny, uprzejmy i przyzwoity pod każdym względem” Walerij Wasiljewicz Połosuchin jest człowiekiem biernym, bez inicjatywy, leniwym i niezbyt mądrym. A Jelena Stanisławowna nie może wyjść z podziwu! Gdzie ona ma oczy?

Nastia wróciła do swojego pokoju, przebrała się, włączyła komputer, żeby zapisać nowe informacje, i znalazła na komodzie cienką książkę dużego formatu w jaskrawej okładce. Okazało się, że to zbiór bajek Aidy Pawłowej. Obok leżała kartka od Tamary: „Przepraszam, Nastieńko, że wpadłam bez zaproszenia. Pomyślałam, że to panią zaciekawi. T.W.”

No cóż, to rzeczywiście ciekawe. Nastia chciała zdobyć jak najwięcej informacji o dwóch zabitych kobietach, żeby wyrobić sobie zdanie na temat ich charakteru. W końcu nawet szalenciec może kierować się nie wyglądem zewnętrznym, ale osobowością ofiary, a jeśli oba zabójstwa popełniono z powodów osobistych, poznanie charakteru poszkodowanych jest nieodzowne.

Nastia niechętnie zerknęła na pulpit komputera i doszła do wniosku, że zdąży jeszcze wszystko zapisać. Teraz położy się na sofie, nakryje puszystym pledem i przeczyta bajki Pawłowej. Może nie wszystkie, ale przynajmniej jedną. Otworzyła książkę na chybił trafił.

Może być ta. Bajka o porcelanowym gąsiorze.

BAJKA O PORCELANOWYM GĄSIORZE

Dawno, dawno temu w gęstym bawarskim lesie żyła sobie Czapla. Była bardzo ładna, szarobiała, wytworna, miała długą, smukłą szyję i żółty dziób. Spała na dużym drzewie z rozłożystą koroną, a gdy była głodna, leciała nad rzekę, żeby nałowić ryb. Niedaleko, na brzegu, stał dom, a w jego oknie widać było Porcelanowego Gąsiora. Czapla kochała go całym sercem.

Często siadała na parapecie od strony ulicy, a gdy przychodziło lato i okna były szeroko otwarte, wlatywała do środka i stawała obok swojego ukochanego.

– Dzień dobry, mój najdroższy – zwracała się do Gąsiora.

On jednak milczał i nawet nie odwracał głowy w jej stronę.

– Tak się cieszę, że cię widzę, stęskniłam się za tobą – mówiła Czapla.

Ale Gąsior milczał i nie odzywał się słowem.

Czapla dotykała go skrzydłem, gładziła piórami jego śnieżnobiałą głowę, przesuwiała dziobem po zimnym czerwonym dziobie Gąsiora, ale on ani razu nie odwzajemnił jej czułości. Był martwy.

Mijały dni i nieodwzajemniona miłość znużyła Czapkę. Poleciała więc do Wróżki i poprosiła ją o pomoc.

– Zrób, proszę, tak, żeby Porcelanowy Gąsior ożył – błagała. –

Chcę, żeby mnie widział, słyszał moje słowa i ze mną rozmawiał. Szczerze go kocham i jestem pewna, że on też mnie pokocha i będziemy bardzo, bardzo szczęśliwi. Polecimy na moje drzewo i będziemy żyli razem przez długie lata.

Wróżka zachmurzyła się.

– Dobrze się zastanowiłaś, Czapło? – zapytała surowo. – Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? Jesteś pewna, że będzie lepiej, gdy Porcelanowy Gąsior ożyje?

– Oczywiście, że jestem pewna – z przejęciem odparła Czapla. – Czy to coś złego, że dwa kochające serca się spotkają? Porcelanowy Gąsior już od wielu lat stoi na parapecie i nie widzi nic prócz pokoju oraz swoich gospodarzy. A ze mną zobaczy rzekę, trawę, drzewa, słońce i śnieg, dowie się, co to takiego wiatr i deszcz, zaprzyjaźni się z innymi ptakami i zwierzętami. Zobaczy świat! Przepiękny, różnorodny, cudowny świat! Będzie żył, a nie wegetował!

– A czy jesteś pewna, że Porcelanowy Gąsior tego chce? Może podoba mu się to, że jest porcelanowy i wcale nie chce ożyć? Pomyślałaś o tym?

– Po co mam o tym myśleć! Jak można chcieć być martwym, skoro jest szansa, żeby stać się żywym? Tu nie ma nad czym dyskutować!

– Ale może najpierw go spytasz?

– Jak mam go spytać, skoro mnie nie słyszy i nie może rozmawiać? – zdziwiła się Czapla. – Ja zaś jestem przekonana,

że nie ma niczego lepszego od życia. Życie jest najważniejsze. I na pewno lepsze od śmierci. Lepiej jest żyć, niż być nieruchomą figurką w oknie domu dwojga staruszków.

– Wiesz to na pewno? – zapytała Wróżka.

– Na pewno! Na pewno!

Wróżka pokręciła głową.

– Musisz wiedzieć, Czaplo, że robienie czegoś dla kogoś, gdy się nie wie, czy ten ktoś tego chce, może być niebezpieczne. Wszystko może okazać się inne, niż myślisz. Niewykluczone, że pożałujesz swojej decyzji.

– Nie masz racji, Wróżko! – zawołała Czapla. – Nigdy nie pożałuję, że Gąsior ożyje! Będę z nim bardzo szczęśliwa.

– No to uważaj – powiedziała Wróżka zagadkowo – bo jeśli coś pójdzie nie tak, miej pretensje do siebie. Zrobię, o co prosisz. Ale pamiętaj, że cię uprzedzałam.

W domu na brzegu rzeki, na skraju gęstego bawarskiego lasu, mieszkali Martha i Günter. Żyli bardzo skromnie, ledwie wiązali koniec z końcem, byli jednak ludźmi dobrymi i bardzo przyzwoitymi, więc wszyscy ich szanowali i pomagali im, jak tylko mogli. Martha i Günter mieli dzieci i wnuki, które mieszkały w dalekim mieście i bardzo rzadko ich odwiedzały. Każdy ich przyjazd był świętem dla staruszków.

Tamtego roku dzieci i wnuki wybierały się do nich na Boże Narodzenie. Günter poszedł do lasu po chrust, żeby rozpalić w piecu, i po świerkowe gałązki, żeby przyozdobić dom, a Martha

miała przygotować poczęstunek. Spizarnia była pusta, więc kobieta poszła prosić sąsiadów o pomoc. Jeden dał jej cebulę, inny dwie marchewki, jeszcze inny kilka ziemniaków, a rzeźnik Friedrich, który mieszkał w domu położonym najdalej, podarował jej kość z resztkami mięsa. Martha wróciła do domu szczęśliwa. Teraz miała na czym ugotować polewkę. Powinna oczywiście przygotować bogatszy poczęstunek na Boże Narodzenie, ale to nie jej i Güntera wina, że żyją w biedzie, a jedyne ich bogactwo to Porcelanowy Gąsior na parapecie, śnieżnobiały, z czerwonym dziobem, ozdoba całego domu.

Günter wrócił z lasu i rozpałił w piecu, Martha ugotowała smaczną zupę, razem ozdobili dom świerkowymi gałązkami i usiedli przy oknie wypatrywać rodzinę. Niebawem przyjechały dwie córki z mężami i dziećmi, przywieźli niedrogie, ale szczerze prezenty i zaczęli zajmować miejsca przy stole. Martha już stała na progu z garnkiem polewki w rękach, gdy Porcelanowy Gąsior machnął skrzydłami i zrobił kilka niepewnych kroków po parapecie.

– Babciu, zobacz, nasz gąsior ożył! – zawołał młodszy wnuk.

– On mówi prawdę, babuniu – podchwyciła starsza wnuczka.

– Gąsior żyje! To bożonarodzeniowy cud! Teraz można go upiec i będziemy mieli najprawdziwszy świąteczny stół, jak bogacze!

Martha stropiła się i omal nie upuściła garnka z gorącą polewką, a Günter poderwał się z miejsca, chwycił gąsiora, zaniósł do kuchni i jednym zręcznym ruchem ukreślił mu szyję.

Martha i jej córki, otrząsnąwszy się ze zdumienia, wybiegły z pokoju i szybko oskubały gąsiora, nafaszerowały go przywiezionymi jabłkami i wstawiły do pieca. Dwie godziny później duża rodzina Marthy i Güntera zasiadła do prawdziwej świątecznej uczyty i wszyscy cieszyli się, że Boże Narodzenie nie jest u nich gorsze niż u innych, a dzieci najedzą się wreszcie do syta.

Radowali się, śpiewali bożonarodzeniowe pieśni, świętowali i nie widzieli, że za oknem, na zaśnieżonym zimnym parapecie stoi piękna białoszara Czapla i płacze. Czy o tym mówiła Wróżka? O tym ją uprzedzała? Dlaczego tak się stało? Przecież ona, Czapla, chciała jak najlepiej dla Gąsiora. No i dla siebie oczywiście też. Wcale nie chciała, żeby stało się to, co się stało. Pragnęła życia dla Porcelanowego Gąsiora, życia pełnego miłości, radości, podróży i odkryć, tymczasem okazało się, że swoją decyzją sprowadziła na niego bolesną śmierć. Ale dlaczego, dlaczego tak się stało?

Czapla machnęła skrzydłami i poleciała do Wróżki.

– Wiedziałam, że do mnie wrócisz – powiedziała zaszępiiona Wróżka. – Pewnie wszystko poszło nie tak, jak się spodziewałaś.

– To prawda. – Czapla westchnęła gorzko. – Wszystko skończyło się źle. A nawet okropnie. Nie mogłabyś tego cofnąć? Niech Gąsior znowu będzie porcelanowy, wolałabym kochać go bez wzajemności, niż wiedzieć, że nie ma go na świecie.

– To niemożliwe. – Wróżka uśmiechnęła się ze smutkiem. –

Niczego nie da się cofnąć. W każdym razie ja tego nie potrafię. Nie znam też żadnego czarodzieja na naszej planecie, który by to potrafił.

– Wobec tego powiedz mi, co zrobiłam nie tak – poprosiła Czapla. – Gdzie się pomyliłam? Dlaczego wszystko źle się skończyło?

– Dlatego że każda istota, żywa czy martwa, ma swoją drogę, którą zmierza i która jest jej przeznaczona. Przeznaczeniem twojego Gąsiora było stanie na parapecie i przynoszenie radości dwojgu ubogim staruszkom, którzy przymierają głodem, za to mają ładną porcelanową figurkę cieszącą oczy i duszę. Po to los zesłał Gąsiora na ziemię, a nie po to, żeby został twoim mężem i latał z tobą nad rzekę. Bycie twoim mężem nie było jego przeznaczeniem. Nie chciałaś się z tym liczyć i oto rezultat.

Od tej pory Czapla nigdy więcej nie przylatywała łowić ryb tam, gdzie stał dom Marthy i Güntera. Widok pustego okna przypominał jej o straszliwym błędzie. Poleciała bardzo daleko, znalazła sobie nowe drzewo i nową rzekę, a w gęstym bawarskim lesie nikt jej więcej nie widział.

*

Nastia zamknęła książkę i odchyliła się do tyłu, opierając głowę o ścianę. A więc takie bajki pisała Aida Borisowna Pawłowa... Jaka była osobą? Komu stanęła na drodze? W kim obudziła nieodpartą

żądę mordu? A może nikomu nie stanęła na drodze, ale stała się ofiarą obłąkanego potomka rodu Rumiancewów, który zabija osoby związane z klubem znajdującym się na terenie jego rodowej posiadłości? A może ten szaleniec nie ma żadnego związku z Rumiancewami, to po prostu osoba dotknięta obłędem? Tej ewentualności też nie można wykluczyć.

Może to knowania zażywej miłośniczki Zachodu, Jeleny Stanisławowny, która postanowiła pozbyć się rywalek? Czemu nie? Ta hipoteza ma ręce i nogi. Łatwo znaleźć motyw, i to jaki: miłość, zazdrość. Co prawda Walerij Wasiljewicz Połosuchin nie należy do mężczyzn, dla których popełnia się takie, za przeproszeniem, szaleństwa, żaden z niego milioner, geniusz czy amant. Ale kto zrozumie niektóre kobiety... Jelena Stanisławowna nie jest też dość silna fizycznie, żeby popełnić tak wyrafinowane zabójstwa, bo przecież żeby udusić szalem na przykład tęgą i energiczną Galinę Iljiczną, potrzeba niemało siły, i to zdecydowanie męskiej. Ale Murawjowa nie musiała tego robić sama, mogła zorganizować i zlecić dwa zabójstwa. To znaczy wynająć zabójcę i kazać mu zainscenizować zbrodnię tak, żeby wyglądała na morderstwo rytualne, niech sobie milicjanci szukają szaleńca. Na to potrzeba jednak pieniędzy, bez nich nikt nie podjąłby się likwidacji rywalek Jeleny Stanisławowny. Czy Murawjowa ma pieniądze? Dobre pytanie. Do tej pory nikt go nie zadał. Trzeba pociągnąć za język Tamarę.

Nastia niechętnie wstała z sofy i wróciła do laptopa. Szybko zanotowała to, czego się dowiedziała od Tamary, Murawjowej i

Połosuchina, ułożyła pytania, na które musiała poszukać odpowiedzi w najbliższym czasie, i zabrała się do pisania raportu dla Stasowa, polecił jej bowiem robić to codziennie.

Pisanie raportu było nudne, więc Nastia zrobiła sobie przerwę i zadzwoniła do Loszy.

– Co porabiasz? – zapytała, gdy mąż odebrał.

– Tęsknię.

– Ja też – przyznała się.

– Ale ja tęsknię za tobą, a ty?

– A ja za nicnierobieniem. Piszę wypracowanie dla swojego nowego szefa. Czuję się tak, jakbym nadal pracowała na Pietrowce, z każdego posunięcia muszę się pisemnie tłumaczyć.

– A co z twoimi staruszkami? Spuścili nosy na kwintę?

Nastia parsknęła śmiechem.

– Akurat! Tutaj kipią takie emocje, o jakie trudno podejrzewać nas, młodych! Zresztą ja jestem niewiele młodsza, najwyżej o dwadzieścia lat. Niebawem my też będziemy tacy sami. Czego tu nie ma! Miłość, zazdrość, stare legendy, upiory i obłąkani arystokraci. Nie przymierasz tam czasem głodem?

– Chyba żartujesz! – obruszył się Czistiakow. – Niby kiedy przymierałem głodem? Całe życie sam sobie gotuję i dbam o ciebie. A co z tobą? Gdzie się stołujesz? Mówiłaś wczoraj, że twój klient jest bardzo rygorystyczny, jeśli chodzi o jedzenie, trzęsie się nad swoim zdrowiem. Dzisiaj też ci dokuczał?

– Nie, dzisiaj się wymigałam – odparła Nastia z uśmiechem. –

Wyjechał, a gdy go nie ma, nikt tutaj nie przestrzega żadnych zasad.

Nastia nie miała ochoty kończyć rozmowy, pogawędka z Loszką była miła i przynosiła ukojenie, tak samo uspokajał ją ten urządzony w stylu klasycystycznym pokój. Dobrze było pomyśleć, że za oknem jest ciemno i zimno, ale Nastia nie musi nigdzie biec, może siedzieć sobie w fotelu albo nawet położyć się na szerokim wygodnym łóżku przykrytym satynową narzutą, albo może zagotować wodę i zrobić sobie kawę, albo nawet pójść na górę i wypić ją w towarzystwie sympatycznej starszej pani, która obiecała ciastka i inne przysmaki. Nastia może też nie iść do Tamary, ale usiąść wygodnie z filiżanką kawy i poczytać ciekawe bajki Aidy Borisowny Pawłowej.

W końcu pożegnała się z mężem i wróciła do raportu. A jeśli za wszystkimi zabójstwami stoi nie kto inny jak Połosuchin? Zabił Koriaginę, ponieważ była natarczywa i nieznośna, a Pawłową za to, że nie odwzajemniała jego uczuć. Byłoby całkiem logiczne, gdyby zabił też Murawjową, bo obgadywała uwielbianą Pawłową. Może Jelena Stanisławowna będzie następną ofiarą? Załóżmy, że Połosuchin jest niezrównoważonym psychicznie potomkiem Rumiancewów. Jeżeli opracował ten szatański plan, to logiczne, że wybiera ofiary z najbliższego otoczenia, to znaczy spośród kobiet, z którymi się spotyka. Dlaczego? Ano dlatego, że wie o nich co nieco i łatwiej mu dopasować się do ich harmonogramu zajęć – opowiadają mu, gdzie bywają i dokąd się wybierają. Z tego wynika, że kolejną ofiarą powinna być Murawjowa. Czy Połosuchin mógł popełnić oba zabójstwa? Oczywiście, że mógł. Jest zdrowym i jeszcze niestarym mężczyzną w pełni sił. Czy

sprawia wrażenie osoby niepoczytalnej? Nie. Ale to o niczym nie świadczy. Czikałiło⁵ też nie wyglądał na psychopatę, a ilu ludzi ma na sumieniu...

Gdy tylko Nastia skończyła raport i wysłała go do Stasowa, zadzwonił Wtoruszyn.

– Przepraszam, że pani prośba zajęła mi tyle czasu – powiedział oschle. – Mam dużo pracy.

– Nie szkodzi – spokojnie odparła Nastia. – Rozumiem.

Naprawdę rozumiała sytuację miejscowych milicjantów i była przygotowana na to, że jej prośby będą spełniali na samym końcu.

– Jeśli chodzi o męża Ałły Iwanowny Jarcewej, to rzeczywiście facet zaczynał interes od sprzedaży leków, ale od ponad dwóch lat już się tym nie zajmuje. Teraz handluje urządzeniami sanitarnymi. Czy mogę wiedzieć, czemu to panią interesuje?

Nastia postanowiła niczego nie ukrywać. To nie miało sensu. Im szybciej przestępca zostanie znaleziony, tym lepiej, nie ma znaczenia, kto pierwszy go złapie.

– Pomyślałam, że Pawłowa mogła się dowiedzieć o jakichś jego przekrętach i to stało się motywem zabójstwa. Pamięta pan zeznania Tamary Winogradowej dotyczące kłótni między Pawłową a małżeństwem Jarcewów?

– Coś sobie przypominam, ale mgliście – odparł Ilja niezadowolonym tonem. – Uznałem to za zupełnie nieistotne i nieciekawe.

– A ja przeciwnie. – Nastia mimo woli podniosła głos i w tej samej

chwili się zreflektowała. – W każdym razie pomyślałam, że warto to sprawdzić. Szwindle z lekarstwami to poważne przestępstwo.

– No dobrze. – Głos Wtoruszyna niespodziewanie złagodniał. – Porozmawiam z chłopakami z wydziału przestępczości gospodarczej, może znaleźli coś na Jarcewa jeszcze w czasach, gdy handlował lekami. Czy to wszystko?

– Na razie wszystko. Dziękuję.

Nastia chciała jeszcze zapytać Wtoruszyna o dochody Jeleny Stanisławowny Murawjowej, ale pomyślała, że to już byłaby przesada. Z pewnością nie zbierali wcześniej takich informacji, a teraz Nastia sama sobie poradzi.

Spojrzała w zamyśleniu na włączony wciąż komputer, po czym postanowiła jednak odwiedzić Tamarę. Pora nie jest jeszcze późna, za kwadrans dziesiąta, można popracować.

*

Apartament Tamary Winogradowej był duży i komfortowy. Na parterze oficyny znajdowały się cztery dwupokojowe mieszkania, a na piętrze tylko dwa, za to przestronniejsze. Salon okazał się znacznie większy niż ten w apartamencie Nasti, był też jeszcze jeden pokój, który Tamara nazywała pracownią. Nastia krępowiała się zapytać, co to za pracownia. Kuchnia nie była malutka, jak w apartamentach gościnnych, ale normalnej wielkości.

Tamara ucieszyła się na widok Nasti i od razu pobiegła nastawić

wodę na herbatę.

– Znalazła pani książkę? – zapytała, nalewając do cienkich porcelanowych filiżanek żółtozielony napar, od którego bił zapach gorącego mleka.

– Tak, dziękuję, nawet to i owo przeczytałam.

– I co, ciekawe?

– Bardzo – całkiem szczerze odparła Nastia.

– Ja też lubiłam bajki Aidy Borisowny – wyznała Tamara. – Są niezwykle, zmuszają do myślenia, a nawet przewartościowania życia.

– To prawda – potwierdziła Nastia. – Tylko nie wiem, czy morał jest zrozumiały dla dzieci. Wydaje mi się, że to dla nich zbyt trudne.

– A skąd! Dzieci są o wiele mądrzejsze, niż zwykle sądzimy. Ja też z początku uważałam, że bajki są dla nich zbyt trudne, a później uświadomiłam sobie, że popełniam typowy błąd kobiety, która nigdy nie miała własnych dzieci. A pani ma dzieci?

Nastia pokręciła głową przecząco.

– A więc dobrałyśmy się jak w korcu maku – podsumowała Tamara. – Cieszę się, że pani do mnie wpadła, muszę pani o czymś opowiedzieć.

Nastia zamierzała wypytać Tamarę o Murawjową i Połosuchina, ale pomyślała, że się nie pali. Niech lepiej Tamara powie to, co zamierzała.

– Muszę od razu zaznaczyć, że nie wierzę w żadne upiory i legendy – zaczęła Tamara. – Więc niech pani nie traktuje tego, co powiem, jak urojen śłodkiej idiotki.

Nastia uśmiechnęła się mimo woli. Cokolwiek by mówić o Tamarze Nikołajewnie Winogradowej, na pewno nie można jej nazwać słodką idiotką.

Pewnego listopadowego dnia Tamara przyszła rano do swojego salonu i zobaczyła, że lustro na ścianie jest stłuczone. Rama nadal wisiała, wystawały z niej kawałki szkła, a pozostałe odłamki poniewierały się na podłodze.

– Nie przejęłam się tym, chociaż wydało mi się to trochę dziwne. Gdyby lustro spadło, co przecież mogło się zdarzyć, rama leżałaby na podłodze, tymczasem ona wciąż wisiała na ścianie. A więc lustro rozbito specjalnie. Ale kto to zrobił? Nie mam zielonego pojęcia – mówiła Tamara. – Czytałam wcześniej artykuł w „Kurierze”, ale nie skojarzyłam obu rzeczy.

– A drzwi? – zainteresowała się Nastia. – Były otwarte?

– W tym problem, że zamknięte. Otworzyłam je swoim kluczem, doskonale pamiętam. Artykuł mówił oczywiście o rozbitych lustrach i zamkniętych drzwiach, ja jednak nie wierzę w zjawiska nadprzyrodzone.

– Powiedziała pani o tym Andriejowi Siergiejewiczowi?

– Niezwłocznie. Wzruszył tylko ramionami, ale się zachmurzył. Nie warto przecież wzywać milicji z powodu takiego głupstwa, prawda? Spróbowałam dowiedzieć się na własną rękę, kto mógł wejść w nocy do salonu i rozbić lustro, ale oczywiście nic nie wskórałam.

– A kto ma zapasowe klucze?

– Kierownik działu gospodarczego, Sania Bielakow. Zięć Andrieja.

– Zięc? – powtórzyła Nastia.

– No tak, mąż Leny, córki Andrieja z pierwszego małżeństwa.

– Chwileczkę. – Nastia zmarszczyła czoło, starając się zrozumieć skomplikowane relacje rodzinne pracowników klubu. – Mówiła pani, że pierwsza żona Andrieja Siergiejewicza pracuje tutaj jako główna księgowa.

– Tak, jest też zatrudniona na stanowisku kadrowej. Wiera Aleksiejewna Biegorska. Lena to jej córka. A raczej jej i Andrieja, odpowiada za kontakty zewnętrzne. Pełni funkcję reprezentacyjną, chodzi po urzędach, wyciera w nich krzesła, kontaktuje się ze sponsorami, pisze teksty na strony internetowe. A nasz kierownik działu gospodarczego Sania Bielakow to mąż Leny.

– Teraz wszystko jasne. A więc klucze ma tylko Sania, tak?

– Zgadza się. Trzyma je na tablicy w swoim pokoju na piętrze, pamięta pani, pokazywałam?

– Pamiętam. A kto sprząta klub?

– Sprzątaczkki. Chodzi pani o klucze, którymi otwierają drzwi?

– Owszem. – Nastia kiwnęła głową.

– Jest jeszcze jeden komplet kluczy w pokoju ochrony, właśnie tych kluczy używają sprzątaczkki. A właściwie odbywa się to tak: sprzątaczkki zjawiają się o szóstej, ochroniarz idzie z nimi do głównego budynku, otwiera wszystkie pomieszczenia z wyjątkiem pokoiów gości, a gdy sprzątaczkki skończą pracę, ochroniarz przychodzi znowu, ogląda pomieszczenia i je zamyka.

– A co z pokojami dla gości? – zainteresowała się Nastia. – Są

sprzątane o innej porze?

– Naturalnie. Robią to też sprzątaczkі, ale w ciągu dnia, gdy pokoje są puste. Biorą klucze od Sani.

– A kto sprząta oficyny?

– Sprzątaczkі. Ale tylko pokoje zajmowane przez gości. Pracownicy sprzątają sobie sami, przecież to ich mieszkania. A przy okazji, jeśli nie chce pani, żeby ktoś wchodził podczas pani nieobecności do apartamentu, proszę się nie krępować i powiedzieć. Zorganizuję sprzątanie tak, żeby się pani nie denerwowała.

– A swoją drogą, jak pani do mnie weszła? – zapytała Nastia. – Ma pani klucze do wszystkich pokojów gościnnych?

– Nie. – Tatiana się roześmiała. – Wzięłam klucz od ochroniarzy. To chyba zrozumiałe, że muszą mieć klucze do każdego pomieszczenia, może przecież wybuchnąć pożar albo zdarzyć się, że ktoś zasłabnie.

No proszę, poszła i wzięła od ochroniarzy klucz do pokoju zajmowanego przez gościa. Bardzo ciekawe.

– Czy ochrona wydaje klucze każdemu, kto o nie poprosi? To znaczy, że pierwsza lepsza osoba może je wziąć?

– Ależ skąd. – Tamara próbowała rozwiać wątpliwości Nasti. – Ochroniarze Andrieja są zdyscyplinowani. Ale dla mnie robią wyjątek, bo mam takie same prawa jak on. Wtedy, w listopadzie, pytałam ich, czy ktoś nie prosił o klucz do salonu fryzjerskiego albo do pokoju Sani, ale stwierdzili, że nikogo nie było.

– A sprzątaczką? Rozmawiała z nią pani?

– Oczywiście. – Tamara skinęła głową. – Zaklinała się na wszystkie

świętości, że gdy o siódmej weszła do salonu, lustro było całe, inaczej zmiotłaby kawałki szkła. A więc ktoś rozbił lustro już po tym, jak sprzątaczką wyszła, a ochroniarz obejrzał i zamknął główny budynek. Między wpół do dziewiątej a jedenastą. Bo ja weszłam tam po jedenastej.

W grudniu doszło do jeszcze jednego incydentu, członkowie klubu przygotowywali akurat przyjęcie noworoczne. Dwa dni przed imprezą w holu głównego budynku ktoś rozsypał ścinki włosów na podłodze. Klub jest otwierany dla gości o dziesiątej, wtedy zaczynają też pracę wszyscy pracownicy, z wyjątkiem tych, którzy są zatrudnieni w restauracji. Kucharze i kelnerzy przychodzą oczywiście wcześniej, podobnie jak recepcjonistka, żeby w chwili pojawienia się pierwszego gościa wszystko było gotowe. Pracownicy restauracji nie wchodzi głównym wejściem przez hol, mają osobne drzwi, a zatem nie byli w holu. Podłogę pokrytą włosami zobaczyła najpierw recepcjonistka. Zupełnie straciła głowę, zamiast szybko wszystko posprzątać, stanęła jak wryta. Gdy zjawili się goście, włosy wciąż jeszcze zaściełały podłogę. Od razu posłano po Tamarę, która podczas nieobecności Andrieja Siergiejewicza Biegorskiego zastępowała go na prawach „prawie żony”. Tamara przybiegła z oficyny, chwyciła miotłę i szufelkę i zabrała się do sprzątanania. Zauważyła, że włosy pochodziły z jej salonu, w dodatku zbierano je przez parę dni. Poznała pasma włosów marchewkowego koloru, należały do pewnej damy, która z oszczędności postanowiła ufarbować włosy w domu, kupiła Bóg raczy wiedzieć gdzie oszukaną farbę kiepskiej jakości, a ponieważ nie miała

doświadczenia, za długo trzymała ją na głowie, w efekcie włosy przybrały okropny marchewkowy kolor, więc musiała przyjść do Tamary, zapłacić, ponieważ nie była członkiem klubu i nie miała prawa do darmowych usług, i przefarbować, a zarazem ostrzyć włosy. Wydarzyło się to siedem, osiem dni wcześniej. Natomiast jasne, lekko kręcone pukle należały do Leny Bielakowej, córki Biegorskiego, która była u Tamary poprzedniego dnia.

– Wygląda na to, że ktoś przychodził do salonu i zbierał włosy. Albo wyjmował je z worków na śmieci. Tak czy inaczej, nie zrobił tego tylko raz, przygotowywał się i planował.

– Planował albo planowała – zauważyła Nastia. – I co pani o tym sądzi?

– Myślę, że to zamierzone działanie – stanowczo odparła Tamara. – Jestem gotowa przyznać, że w naszym dworze zagnieździł się szaleniec, który nie przebiera w środkach, żeby wyrugować stąd klub, ponieważ czuje się znieważony, że po posiadłości rodu Rumiancewów kręcą się teraz obcy ludzie. Choroba nie pozwala mu ocenić właściwie sytuacji, więc sądzi, że jeśli klub zostanie zamknięty, dwór znowu będzie należał do niego. Jego działania wymierzone są we mnie, ponieważ nie może uderzyć w Andrieja, który często wyjeżdża, a zatem nie da się w stosunku do niego czegokolwiek zaplanować. Ja zaś zawsze jestem na miejscu, więc to łatwiejsze. Jeżeli się załamie, wystraszę i wyjadę, Andriej też tutaj nie zostanie, wszyscy to wiedzą. Wystarczy się mnie pozbyć i klub przestanie istnieć.

– Czyli że wierzy pani w legendę – powiedziała z przekąsem Nastia.

– Nie, nie wierzę, ale całkiem możliwe, że obłąkany potomek Rumiancewów w nią wierzy, nie sądzi pani? Legenda mówi i o rozbitych lustrach, i o pękach włosów. Wprawdzie mamy tutaj do czynienia nie z pękami wyrwanych włosów, lecz ze ścinkami, mimo to...

Tamara dołała sobie gorącej herbaty i wypła ją jednym haustem. Później podwinęła pod siebie nogi, chwyciła miękką poduszkę z kanapy, przycisnęła ją do piersi i nachyliła się ku Nasti.

– On jest gdzieś niedaleko – powiedziała cicho. – Gdzieś koło nas. Jestem pewna, że albo pracuje w klubie, albo mieszka w posiadłości, albo jest członkiem klubu, w każdym razie bywa tutaj stale. I wie o wszystkim. Doskonale się orientuje w rozkładzie pomieszczeń, w naszych zwyczajach oraz uroczystościach. Omal nie zniweczył noworocznego wieczoru, wiele osób się wystraszyło i nie przyszło. Musi pani przyznać, Nastiu, że to nie napawa optymizmem i nie wróży spokoju. Andriusza oczywiście nie chce wierzyć w obłąkanego potomka, śmieje się ze mnie i z moich obaw, ale podziela mój niepokój. Nie ma wątpliwości, że klubowi grozi niebezpieczeństwo, a przecież klub to życiowa pasja Andriuszy.

– Rozumiem – tak samo cicho odparła Nastia. – Sądzi pani, że sprawca incydentu z lustrem i włosami to morderca?

– A co innego mam myśleć? Wszystko się przecież zgadza. I nieważne, czy robi to potomek Rumiancewów, a tak sądzę, czy ludzie, którzy chcą wyrzucić nacisk na Andrieju, jak on podejrzewa. Liczy się efekt: goście opuszczają klub, a pracownicy się zwalniają. Trzeba to

powstrzymać za wszelką cenę. Właśnie dlatego znalazła się pani tutaj.

– Rozumiem – powtórzyła Nastia. – Mogę o coś jeszcze zapytać? Czy woli się pani już położyć?

– Niech pani pyta, o co tylko chce – pośpiesznie odrzekła Tamara. – A przy okazji, dlaczego nie była pani na kolacji? Pytałam w restauracji i powiedziano mi, że się pani nie zjawiała. Jadła coś pani w mieście?

– Nie miałam czasu – przyznała zmieszana Nastia, która w tej samej chwili poczuła, że jest straszliwie głodna.

Tak się złożyło, że naprawdę zapomniała o jedzeniu, bo najpierw rozmawiała z Murawjową i Połosuchinem, potem czytała bajkę, zapisywała informacje w komputerze i sporządzała raport, a później pobiegła do Tamary, póki nie zrobiło się jeszcze strasznie późno. Tamara poczęstowała ją oczywiście domowymi herbatnikami i małymi ptysiami, ale z jakiegoś powodu Nastia nie miała dzisiaj ochoty na ciasto. O dziwo, wolałaby gotowane ziemniaki z kwaszoną kapustą i chlebem razowym. Taki dziwny kulinarny kaprys.

– Mam naleśniki z twarogiem i z mięsem, chce pani? – zaproponowała Tamara.

Nastia nie miała ochoty na naleśniki. Ale przecież nie pójdzie spać głodna... Nie wypada pytać o ziemniaki, to zakrawa na bezczelność. Trudno, nie pozostaje nic innego, jak tylko się zgodzić. Ale nie pożałowała swojej decyzji, bo naleśniki okazały się niezwykle smaczne.

– Chciałam panią zapytać, Tamaro, o Jelenę Stanisławownę Murawjową – powiedziała Nastia, odkładając serwetkę. – Nie wie

pani, czy ma pieniądze?

– W jakim sensie? – Tamara nie zrozumiała. – Chodzi o majątek?

Spadek? Czy codzienne wydatki?

– Zastanawiam się, czy stać ją na wynajęcie zabójcy.

Tamara zachmurzyła się, jej czoło przecięły głębokie zmarszczki.

– A o jaką sumę chodzi? Nie znam stawek na tego rodzaju usługi.

– Sądzę, że w warunkach Tomilina i biorąc pod uwagę osobowości ofiar, jakieś pięć tysięcy dolarów. Może trochę mniej albo więcej. Ale nie tysiąc i nie dwadzieścia tysięcy.

– Pięć tysięcy dolarów – mruknęła w zamyśleniu Tamara. – Tylko tyle... Coś takiego, jak tanio można kupić...

– To tylko pani wydaje się tanio – zaproponowała Nastia. – Jest pani zamożna. Dla mnie to niebotyczna suma, nie mam takich pieniędzy. A Murawjowa?

– Nie wiem. – Tamara pokręciła głową. – Biorąc pod uwagę to, jak się ubiera i co zamawia w naszej restauracji, jej dochody są znacznie wyższe od przeciętnej emerytury. Ale Jelena Stanisławowna ma też dzieci, które się o nią troszczą. Z drugiej strony, zachowuje się tak, jakby przez całe życie świetnie jej się powodziło. Kto wie, może ma spore oszczędności albo cenną biżuterię.

– A widziała pani, żeby nosiła jakieś kosztowności?

– Owszem, nosiła, ale nie zawsze. Czyżby pani podejrzewała, że to ona zabiła Galinę i Aidę?

W głosie Tamary nie było ani strachu, ani niezadowolenia, tylko dziecięca ciekawość.

– Muszę rozpatrzyć wszystkie ewentualności, na tym polega moja praca – wymijająco odparła Nastia. – Proszę sobie przypomnieć, którzy członkowie klubu i pracownicy najzagorzalej bronili tezy, że w posiadłości grasuje szaleniec i pozostawanie tutaj jest niebezpieczne.

Tamara znowu zmarszczyła czoło i zaczęła wymieniać nazwiska, które Nastia natychmiast notowała.

Rozmawiały niemal do północy. Żegnając się z Nastią, Tamara uprzedziła:

– Jutro rano wpadnie po panią nasz informatyk Kostia Jeremiejew, żeby oprowadzić panią po terenie posiadłości. O dziesiątej zaczyna pracę i musi być w sali komputerowej. U pani zjawi się więc o wpół do dziewiątej, tak żeby mógł wszystko pokazać i odpowiedzieć na pytania. Proszę nie zaspać.

– Postaram się. – Nastia ponuro skinęła głową.

O wpół do dziewiątej ma być gotowa do wyjścia na dłuższy spacer, a więc musi nie tylko wstać i się umyć, ale też zjeść śniadanie. O której powinna zatem zerwać się z łóżka? Najdalej o siódmej. A już za pięć dwunasta. Ładne porządki! Kobieta w jej wieku powinna spać przynajmniej osiem godzin, w przeciwnym razie będzie wyglądała jak z krzyża zdjęta i tak się też będzie czuła. Jeżeli praca nie pozwala mi wstawać później, wezmę się w garść i zaplanuję dzień tak, żeby kłaść się wcześniej, przekonywała się w duchu Nastia Kamieńska, schodząc na parter i wracając do swojego pokoju. Dzisiaj po raz ostatni grozi mi niewyspanie. To się więcej nie powtórzy. Dlaczego uznano, że będę wstawać o siódmej i rozpoczynać pracę o wpół do dziewiątej? Bo tak

postanowił Biegorski, ranny ptaszek, który zrywa się o piątej, a o szóstej wychodzi już z domu, i który uważa, że wszyscy muszą żyć według jego widzimisię? Dlaczego nie zaprotestowałam i nie powiedziałam, że to dla mnie za wcześnie? Nie zdobyłam się na odwagę? Krępowalam się? Licho wie. Dawnego szefa zastąpił nowy. Zamienił stryjek siekierkę na kijek... Całe szczęście, że Tamara się domyśliła, że nie kupiłam sobie niczego na śniadanie, i wsunęła mi paczkę herbatników. Będę miała do kawy.

W pokoju Nastia wsypała herbatniki do ładnej miseczki, którą znalazła w kuchni, przez chwilę podziwiała jutrzejsze śniadanie, po czym wzięła prysznic i padła na łóżko jak nieżywa. To dziwne, przez cały dzień właściwie nic nie robiła, prowadziła jedynie rozmowy, siedząc w fotelu, po mieście poruszała się tylko samochodem, a czuje się tak zmęczona, jakby harowała od rana do wieczora na Pietrowce. Czy to normalne?

⁴ Sto pierwszy kilometr – nieoficjalne określenie oznaczające brak prawa do osiedlenia się w strefie stu kilometrów od Moskwy i innych większych miast. Na umowny sto pierwszy kilometr wysyłano byłych więźniów łagrów, dysydentów oraz osoby uznane za społecznie szkodliwe.

⁵ Andriej Czikałiło (1936–1994) – seryjny morderca nazywany Rzeźnikiem z Rostowa.

ROZDZIAŁ 5

Informatyk Kostia Jeriemiejew, wysoki, szczupły mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu – trzydziestu ośmiu lat, zrobił na Nastii dziwne i niemal odpychające wrażenie. Niezgrabny, z długimi nogami i rękami, drobną ascetyczną twarzą, zapadniętymi policzkami i długim, wydatnym nosem, miał włosy ściągnięte w koński ogon i cały był jakiś kanciasty. Ciasno przylegająca do głowy czarna czapka była zsunięta nisko na czoło i prawie zasłaniała oczy, podniesiony kołnierz czarnej kurtki nie pozwalał zobaczyć całej twarzy, widać było jedynie nos i policzki. Mocno przygarbiony, jakby zmarznięty, trzymał ręce w kieszeniach i wydawał się nerwowy, wręcz rozedrgany. Może to narkoman? – niechętnie pomyślała Nastia, idąc za nim odśnieżoną ścieżką przez dziedziniec.

– Tutaj jest oranżeria – powiedział głucho Kostia. – Nasi goście mogą przez cały rok przeprowadzać eksperymenty z roślinami albo zwyczajnie je pielęgnować.

Nastia z ciekawością przyjrzała się budynkowi, zwracając uwagę na szereg dużych i wysokich okien.

– A tam co się mieści? – zapytała, pokazując na masywny budynek z cegły.

– Garaż, trzymamy w nim autokar, dwa mikrobusy i trzy

samochody osobowe.

– A po co wam autokar i mikrobusy? – zdziwiła się Nastia.

– Autokar przydaje się w razie zbiorowego wyjazdu, na przykład na wycieczkę albo piknik. A mikrobusy wysyłamy po gości, którzy ze względu na stan zdrowia nie są w stanie samodzielnie dotrzeć do posiadłości.

Nastia przypomniała sobie, że Biegorski wspominał coś na ten temat, ale w natłoku informacji zupełnie o tym zapomniała. Od garażu prowadziła szeroka droga, którą samochody wyjeżdżały przez boczną bramę. Cała posiadłość była ogrodzona, do środka można się było dostać przez dwie bramy: przez główną wchodziłi goście, a boczna była przeznaczona dla samochodów.

W pobliżu garażu Nastia zobaczyła jeszcze jeden budynek, nie tak okazały, ale w odróżnieniu od garażu z oknami.

– Tutaj jest schronisko dla zwierząt – wyjaśnił Kostia.

Nastia wiedziała o schronisku. Biegorski mówił jej, że zwierzęta traktowane są poważnie i odpowiedzialnie, nieszczęsne podrzutki poddaje się leczeniu i otacza opieką. Żeby znaleźć im dom, uruchomiono specjalną stronę internetową Kot i Pies. Tomilin, na której umieszcza się i uaktualnia informacje o znajdach, stanie ich zdrowia i przebiegu leczenia, a także zdjęcia i szczegółowe dane osób pomagających schronisku finansowo, dostarczających karmę i lekarstwa albo pracujących jako wolontariusze. Stronę odwiedza wielu internautów, nie tylko z Tomilina, ale również z Kostrowska, ze stolicy obwodu oraz z pobliskich wsi, więc dość często udaje się znaleźć

dobrych opiekunów dla zwierząt.

– Mogę zajrzeć do środka? – zapytała Nastia.

Tak naprawdę bezdomne zwierzęta mało ją interesowały, pragnęła jedynie się ogrzać. Zmarzła na kość w modnej krótkiej kurtce i nowych botkach. Wczoraj nie czuła zimna, bo albo siedziała w ciepłym samochodzie, albo szybko przebiegała między oficyną i głównym budynkiem, a dzisiaj już od dwudziestu minut Jeremiejew oprowadzał ją po parku, podczas gdy na dworze panował trzaskający mróz. Dopasowane dzinsy, pod którymi Nastia miała tylko cienkie rajstopy, były na dole rozkloszowane, zgodnie z wymogami obecnej mody, więc szerokie nogawki szybko przemokły. A przecież Biegorski mówił jej przez telefon, żeby spakowała ciepłą kurtkę z kapturem. A ona, głupia, zżymała się i obrażała, nie rozumiała, po co te wymysły, skoro ma ubrania, które sprawdzają się w Moskwie. Okazało się, że szybki marsz z domu do autobusu i przejazd do metra, w którym brzydka pogoda nikomu niestraszna, to nie to samo co nieśpieszny spacer nad rzeką, od której wieje chłodem i wilgocią, gdy na dodatek sypie gęsty, puszysty śnieg, niezwykle piękny, jeśli podziwiać go z okna, i okropnie irytujący, gdy wpada za kołnierz kurtki. Kaptur byłby teraz jak znalazł! Nogi w podarowanych przez Loszkę botkach okropnie marzną, Nastia prawie nie czuje już palców. Biegorski uprzedzał przecież, że spodnie powinny być wąskie! Teraz wiadomo dlaczego: wąskie nogawki można wsunąć do wysokich, ciepłych kozaków, a co Nastia ma teraz zrobić ze swoimi dzwonami? Nawet jeśli kupi kozaki, nie włoży nogawek do środka. Chyba będzie musiała

kupić też nowe dzinsy. Swetry w różnych rozmiarach i z różnym wykończeniem pod szyją również przestały ją dziwić, przy pierwszych oznakach zimna zaczęła się zastanawiać, jak powinna się ubrać następnym razem. Okazało się, że choćby nie wiem jak się starała, nie uda jej się ubrać ciepło – wszystkie trzy swetry, które zabrała ze sobą, były obcisłe i miały wysokie stójki, a więc nie da się włożyć paru naraz. A gdyby posłuchała Biegorskiego i nie podarła listy, to... Trudno, co się stało, to się nie odstanie.

Kostia wyjął z kieszeni klucz, przekręcił w zamku, pchnął ciężkie drzwi i puścił Nastię przodem. A ona odruchowo odnotowała, że informatyk ma klucz do schroniska. Ciekawe, czy na stałe, czy wziął go tylko dzisiaj, w razie gdyby Nastia chciała wejść do środka? Zresztą bezdomne zwierzęta nie mają nic wspólnego z poszukiwaniami tajemniczego szaleńca. Jeszcze nie mają. Kto wie, co jutro strzeli mu do głowy. Co prawda w legendzie nie było ani słowa o kotach czy psach, ale...

W dość dużym, jasnym i bardzo ciepłym pomieszczeniu wzdłuż ścian ciągnęły się boksy, w których leżały, siedziały, przechadzały się albo bawiły koty i psy wszelkich możliwych maści i ras, i w różnym wieku.

– Tutaj jest gabinet zabiegowy. – Kostia pokazał jedne z dwojga drzwi tuż przy wejściu. – W tym pomieszczeniu weterynarz zajmuje się zwierzętami, a tutaj jest magazyn, karma, lekarstwa i takie tam rzeczy.

Nastia z trudem rozróżniała słowa Jeriemiejewa, musiała wyteńczyć

słuch i wyobraźnię, bo dykcja geniusza komputerowego pozostawiała wiele do życzenia. Informatyk mówił bełkotliwie, jakby od niechcienia, rzucał krótkie, urywane zdania, które Nastia musiała sobie dopowiadać. W dodatku podniesiony kołnierz i gruby szalik okręcony wokół szyi tłumiły głos.

– Czemu niektóre zwierzęta są same, a inne mają towarzystwo? – zainteresowała się.

– To zależy od tego, jak zostały znalezione – wyjaśnił Kostia niezbyt jasno. – Gdy zwierzak był sam, siedzi też sam. Kto wie, czy się pogodzi z innymi... A gdy było ich parę w jednym miejscu, trzymamy je razem, żeby czuły się rażniej. Znają się, więc się nie pobijają, będą się razem bawiły. Zwłaszcza jeśli są z jednego miotu.

– To znaczy, że młode też tu trafiają?

– Różnie bywa – filozoficznie stwierdził Kostia. – Gdy są rozdzielane, bardzo tęsknią, a nawet płaczą. Dobrze, jeśli znajdą jednego właściciela.

– A to się zdarza?

– W ubiegłym roku facet z milicji wziął dwa szczeniaki z jednego miotu znalezione w piwnicy. Suka zdechła z głodu, dwa szczeniaki też zdechły, ale dwa zostały, więc je zabrał.

– Coś takiego – mruknęła Nastia. – I w milicji trafiają się dobrzy ludzie.

– Uhm – ochoczo przytaknął Kostia. – W ubiegłym roku zabito tu starszą kobietę, a ten facet przyszedł, wypytywał o nią, oglądał pomieszczenia, zajrzał do schroniska, no i zobaczył szczeniaki. Aż się

zmienił na twarzy, tak mu się ich zrobiło żal. Więc je zabrał.

Wtoruszyn albo Fiedułow, pomyślała Nastia. Ciekawe, który z nich ma miękkie serce?

– Nie pamięta pan, jak się nazywał?

– A czemu pani pyta? – Kostia nagle się zaniepokoił.

Gdy w jego oczach pojawił się niezyczliwy błysk, w pierwszej chwili Nastia się przestraszyła: co w jej pytaniu mogło go zirytować? No bo właściwie po co jej nazwisko milicjanta, który zabrał szczeniaki? Przyjechała do Tomilina po raz pierwszy w życiu, nie zna tutaj żadnego milicjanta, no i jest przecież socjologiem, w ogóle nie powinna interesować się milicją. Ale co stoi na przeszkodzie, żeby zainteresowała się zabójstwem starszej kobiety? Musi tylko załagodzić niezręczną sytuację, którą bezmyślnie sprowokowała. Kostia jest bystry, od razu wyczuł, że coś się nie zgadza, i posądził Nastię o kłamstwo, stąd jego złość. A może się czegoś boi i dlatego nawet niewinny drobiazg wydaje mu się podejrzany? Może naprawdę jest narkomanem i stąd te nagłe zmiany nastroju? A jeśli nie narkomanem, to osobą chorą psychicznie? Tego tylko jeszcze brakowało!

– Musi pan wiedzieć, Kostia – zaczęła ugodowo – że troska o naszych braci mniejszych to jeden ze sposobów adaptacji psychologicznej po przejściu na emeryturę, a to akurat temat, którym się zajmuję. Jestem więc ciekawa, czym może się kierować w miarę młody mężczyzna, który decyduje się przygarnąć od razu dwa szczeniaki. Przecież będzie musiał się nimi opiekować przynajmniej

przez piętnaście lat. Szczeniaki były duże?

– Zwyczajne kundle – burknął Kostia. – Sądząc po matce, spore.

– No widzi pan. Może temu milicjantowi groziło zwolnienie? Wiedział, że wkrótce straci pracę, więc pomyślał, że wolny czas wypełni opieką nad dwoma psami. Albo może czuł niebezpieczeństwo zagrażające jego rodzinie i chciał zapewnić jej ochronę? W sumie to bardzo interesujące, chętnie porozmawiałabym z nim w ramach prowadzonych badań.

– Nie pamiętam, jak się nazywał. – Kostia odwrócił się i ruszył wzdłuż boksów.

Nastia szła za nim, przyglądając się zwierzętom. Jej uwagę przyciągnął duży kudłaty pies, który leżał apatycznie w głębi boksu, z pyskiem opartym na łapach.

– Jak się wabi? – zapytała, nie wiedzieć czemu.

– Na razie nijak, jeszcze go nie nazwaliśmy. – Głos Jeremiejewa brzmiał głucho, jakby dobiegał spod ziemi. – Niedawno go przywieziono, był w wagonie kolejki podmiejskiej. Jest nowy.

– To suka?

– Zgadza się – potwierdził Kostia. – Jest już stara, weterynarz powiedział, że ma ze trzynaście albo czternaście lat. Trudno będzie jej znaleźć dom, żeby doczekać śmierci.

– Doczekać śmierci?

– No tak. To jasne, że nie pożyje długo, a kto weźmie starego psa w sytuacji, gdy szuka wiernego przyjaciela? Na co komu taki przyjaciel, którego lada chwila trzeba będzie pochować? Nikt nie chce narażać się

na przykrości. Bywają jednak ludzie, którzy świadomie biorą stare psy, rozumieją, że zbliża się ich koniec, ale chcą, żeby zwierzę spędziło ostatnie dni w ciepłe i najedzone. Niewiele jest takich osób. Ale się zdarzają.

– Rozumiem – powiedziała Nastia. – A ten pies ma jakąś szansę?

– Raczej niewielką. Stare psy zabierają przeważnie ludzie w podeszłym wieku, a on jest dla nich zbyt duży. Więc chyba zostanie tutaj.

– Jakiej jest rasy?

– Weterynarz powiedział, że to krzyżówka kundla z terierem rosyjskim.

– Pewnie jest mądry.

– Wszystkie kundły są mądre. – Kostia się uśmiechnął. – Odpocznie przez parę dni, naje się do syta, ogrzeje, zrobimy mu zdjęcie i umieścimy w Internecie, ułożymy łzawy tekst, może będzie miał szczęście i znajdzie się jakaś dobra dusza. Chociaż wątpię.

Nastia znowu się zatrzymała, tym razem przy boksie, w którym dokazywały czarno-białe kocięta.

– Ależ one są miłe!

– Z nimi nie będzie problemu. – Kostia machnął ręką. – Chętni znajdują się błyskawicznie, są ładne, zdrowe, nawet nie trzeba ich leczyć, wystarczy tylko odpchlić i odrobaczyć.

Zawrócili i już mieli wychodzić, gdy Nastia raptem się zatrzymała i obejrzała na boks ze starym psem.

– Proszę chwileczkę zaczekać – poprosiła i ruszyła w tamtą stronę.

Bezimienny pies wciąż leżał z pyskiem na łapach, ale gdy Nastia podeszła, podniósł głowę i popatrzył jej prosto w oczy smutnymi ciemnoorzechowymi ślepiami. Po co przyszłaś? – pytało jego spojrzenie. – Żeby dać mi nadzieję, która się nie spełni? Nastia zrobiło się przykro i szybko opuściła budynek.

Idąc wąską ścieżką prowadzącą ze schroniska, dotarli do alei, która zaczynała się przy fasadzie parkowej koło głównego budynku i ciągnęła aż do rzeki.

– Latem jest tutaj ładnie. – Głos Kosti nieco się ożywił. – Lipy są bardzo gęste. I dobrze widać ogród zimowy. A także kaskadę stopni. Czasami usiłuję sobie wyobrazić, jak damy w krynolinach schodziły w dół do rotundy, a później sobie przypominam, że za czasów władzy radzieckiej wszystko tutaj odrestaurowano i przerobiono.

– Ale schody są pewnie te same – niepewnie zasugerowała Nastia.
– A więc jest tutaj rotunda?

– Tak, właśnie tam idziemy.

W miarę zbliżania się do rzeki powietrze stawało się coraz zimniejsze i wilgotniejsze.

– Proszę spojrzeć, z lewej strony jest rotunda, a z prawej kaplica. Za czasów władzy radzieckiej całkowicie ją zburzono, a teraz odbudowano.

– A po co? Andriej Siergiejewicz jest wierzący?

– Tego nie wiem – szorstko stwierdził Kostia – ale wielu naszych gości chętnie tutaj zagląda. Jeden, żeby się pomodlić, inny, żeby побыć w błogiej ciszy.

– Odpowiada panu ta praca? – zapytała Nastia. – Przecież ma pan do czynienia wyłącznie z emerytami. Nie mógł pan sobie znaleźć ciekawszego zajęcia, żeby otaczali pana rówieśnicy, żeby miał pan z kim porozmawiać?

– Nie narzekam na nudę – odburknął Jeremiejew.

Zdawkowa odpowiedź nie zadowoliła Nasti Kamieńskiej. Musiała skierować rozmowę na gości klubu, żeby zdobyć dodatkowe informacje, które mogły umknąć uwadze Tamary. Winogradowa jest tutaj od niedawna, zaledwie parę miesięcy, a Kostia mieszka w dworze znacznie dłużej. Należało też trzymać się twardo historyjki, że Nastia jest socjologiem, a więc zadawać pytania, zachowując pozory wiarygodności.

– Ma pan rację, tutaj też bywa pewnie ciekawie – powiedziała, udając, że się zastanawia. – Wspomniał pan, że w ubiegłym roku zabito u was starszą kobietę, a ja wczoraj słyszałam, że nie jedną, lecz dwie. Z jakiego powodu?

– Wszyscy chcieliby wiedzieć. – Kostia nie wydawał się zainteresowany tematem. – Jak dotąd nikt nie ma pojęcia, dlaczego je zabito i kto to zrobił. Chce pani wstąpić do kaplicy?

– Chcę. – Nastia zdecydowanie skinęła głową, bo zdążyła na nowo zmarznąć. – Chociaż nie znam się na cerkiewnych zwyczajach. Muszę zdjąć czapkę?

– Tylko mężczyźni zdejmują nakrycie głowy.

– To nie szkodzi, że mam na sobie spodnie?

– Jest zima, mróz. Pan Bóg wybaczy.

Nastia zerknęła na niego z ciekawością.

– Chodzi pan do cerkwi?

– Ja? – Kostia wydawał się szczerze zdziwiony. – Skąd ten pomysł?

– Bo powiedział pan, że Bóg wybaczy.

Jeremiejew zmieszał się i odwrócił wzrok.

– Nie, ja też słabo orientuję się w tych sprawach. Po prostu często tutaj zaglądam, żeby zapalić świecę i pomilczeć. Ja...

– Tak – powiedziała pośpiesznie Nastia – wiem, słyszałam, że przeżył pan tragedię.

– A więc tym bardziej powinna pani rozumieć, czemu tutaj pracuję.

– Wszedł do kaplicy pierwszy i zatrzymał się przy drzwiach, opierając o ścianę. – Tutaj nie ma dzieci i nie widuję młodych kobiet, więc nic nie przypomina mi... Chyba pani rozumie.

– Tak – powtórzyła – oczywiście.

Nastia miała nadzieję, że się ogrzeje, ale nic z tego nie wyszło. Szybko poczuła się nieswojo, jak zwykle w świątyniach, i zapragnęła wyjść. To pewnie dlatego, że nie jestem ochrzczona, pomyślała. Gdyby mnie ochrzczono, czułabym się w świątyni dobrze i spokojnie, a nie jak złodziejka, która włamała się do cudzego domu. Nie mam prawa tutaj być. A może chodzi o to, że jestem niewierząca? Albo moja wiara jest jakaś inna?

Po wyjściu z kaplicy ruszyli dalej aleją w stronę rzeki. Powietrze stawało się coraz zimniejsze, aż zatykało oddech.

– A gdzie się można zabawić w mieście po pracy? – zapytała.

Kostia wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nigdy nie sprawdzałem.

– Nie szuka pan żadnych rozrywek? – Nastia się zdziwiła.

– Nie, cały czas spędzam tutaj, w posiadłości. Nie mam ochoty bywać tam, gdzie toczy się normalne życie, gdzie są kobiety, dzieci, rodziny... Nie potrafię na to spokojnie patrzeć. A tutaj pracuję, czytam, grzebię w komputerach, oglądam telewizję albo ściągam sobie jakiś film. Nie czuję niepokoju. Zresztą nie mam dużo wolnego czasu, klub jest czynny od dziesiątej rano do dziesiątej wieczorem, więc przez cały dzień jestem zajęty. Siedzę albo w sali komputerowej, albo w pokoju na piętrze, goście wciąż mają problemy, nie radzą sobie, zapominają, jak to czy tamto się robi...

– I sam pan wszystkim pomaga?

– Nie, mam do pomocy trzech konsultantów, po jednym w każdej sali.

– A więc jest pan głównym informatykiem? – uściśliła Nastia.

– Nie, głównym informatykiem jest Michaił Lwowicz, on odpowiada za kupno i naprawę komputerów, instalowanie oprogramowania i tego rodzaju rzeczy. Ja mu podlegam. Nie zajmuję się kupowaniem i opłacaniem rachunków, dbam o to, żeby członkowie klubu i goście mogli swobodnie korzystać ze sprzętu, pomagam im, podpowiadam, instruuję. Chce pani z bliska zobaczyć rotundę?

Nastia zatrzęsa się z zimna. Miała ochotę jak najszybciej zakończyć spacer, wrócić do ciepłego apartamentu, wziąć gorący prysznic i wypić kawę.

– Stąd też jest doskonały widok. A co to za budynek po lewej? –

Nastia machnęła ręką w stronę ogrodzenia.

– Drugi posterunek ochrony i boczny wjazd, przecież pani mówiłem.

– W głosie Kosti zabrzmiało zniecierpliwienie. – W ogóle mnie pani nie słucha?

– Przepraszam – odparła Nastia ze skrucą. – Nie pomyślałam.

Daleko stąd do rzeki?

– Dwie, trzy minuty. Zmęczyła się pani?

– Zmarzłam – przyznała się. – I to strasznie.

Kostia krytycznym wzrokiem zlustrował jej ubranie i odchrząknął.

– No tak, no tak... Może lepiej nie idźmy nad rzekę, tylko zawróćmy.

– O nie – zdecydowanie odparła Nastia. – W żadnym razie. Tylko może przyspieszmy trochę, dobrze?

Obeszli posiadłość i zawrócili. Droga powrotna wydała się Nasti krótsza i pogodniejsza, bo w perspektywie majaczyła wizja przyjemnego ciepła. Gdy mijali główny budynek, nagle poprosiła:

– Mogę jeszcze raz zajrzeć do psa?

Kostia wzruszył ramionami w milczeniu i kiwnął głową. Gdy weszli do schroniska, Nastia niemal biegiem ruszyła w stronę boksu.

– Będiesz moją kumpelką, póki nie wyjadę, zgoda? – odezwała się czule, wsuwając dłoń między kraty. – Odtąd będę cię tak nazywać: Kumpelka. Codziennie będę cię odwiedzać i opowiadać o swoim życiu, a ty mi opowiesz o swoim. Tylko nie umieraj, póki tutaj jestem, dobrze?

Pies wstał powoli, zbliżył się do krat i polizał palce Nasti.

Kamieńska poczuła dławienie w gardle i ledwie się powstrzymywała, żeby nie rozplakać się ze wzruszenia i litości nad starym, nikomu niepotrzebnym psem.

– Kostia, czym mogę sprawić mu przyjemność? Co mu wolno?

– Stare psy mogą już wszystko – odparł półgłosem Jeremiejew. – Na tym polega zaleta starości. Nie istnieją żadne ograniczenia. Tylko niech pani nie przynosi kości, bo zęby ma już całkiem słabe. Można mu dać kawałek kiełbasy albo kotlet, parówkę, ciastko. A jeśli naprawdę chce pani zrobić coś pożytecznego, proszę go wyprowadzać na spacer. Ruch zawsze jest zdrowy, świeże powietrze też.

– A nie ucieknie?

– Weźmie go pani na smycz. W magazynie wiszą smycze na takie okazje, bo goście często wyprowadzają psy. Nie zauważyła pani?

Nastia nie zwróciła uwagi, bo przecież wczoraj nie była w parku, połowę dnia spędziła w towarzystwie wywiadowców, a popołudnie i wieczór z Tamarą, Murawjową, Połosuchinem i swoim komputerem. Kiedy więc miała zauważyć?

Postanowiła twardo, że gdy tylko wpadnie na pomysł, jak się zabezpieczyć przed zimnem, od razu zabierze Kumpelkę na spacer.

*

Dziennikarka Natalia Malec, autorka artykułu *Niesamowity dwór*, wbrew oczekiwaniom okazała się bardzo miłą i sympatyczną dziewczyną, najwyżej dziewiętnastoletnią, która sprawiała jednak

poważne i solidne wrażenie. Chociaż była ubrana zgodnie z młodzieżową modą, to znaczy w rozciągnięty, zsuwający się z ramion sweter, wytarte džinsy i ciężkie glany, jej bystre oczy patrzyły uważnie zza okularów, sposób wyrażania się był, o dziwo, poprawny, pozbawiony określeń slangowych i elementów nowomowy. Natalia chętnie zgodziła się na spotkanie z Anastazją Pawłówną Kamieńską – socjologiem, którego zainteresował obserwowany w klubie od pewnego czasu fenomen, polegający na zaniechaniu odwiedzania Złotego Wieku przez wielu jego członków.

– Czy zdaje pani sobie sprawę, że wszystkiemu winien jest artykuł, który zasiał panikę nie tylko wśród emerytów będących członkami klubu, ale też wśród pracowników, którzy zaczęli się zwalniać? – surowo zapytała Nastia.

– Ale ja tego nie chciałam – odparła wystraszona Natalia. – Nie myślałam o skutkach. Materiał wydał mi się ciekawy, więc jako dziennikarka nie mogłam go nie wykorzystać.

Natalię odwiedził pewien naukowiec z Petersburga, doktor historii, zafascynowany historiami rodzinnymi i legendami rosyjskiej szlachty. Od dawna znał historię Rumiancewów-Łobanowów, więc na wieść o dwóch zabójstwach w Tomilinie, pośrednio związanych ze starą posiadłością rodu, przyjechał, żeby poznać szczegóły. Milicja odesłałaby go oczywiście z kwitkiem, więc postanowił nie pchać się na komisariat, tylko porozmawiać z dziennikarką, która napisała krótką notatkę o przestępstwach. Natalia opowiedziała mu wszystko, co wiedziała, a historyk podzielił się z nią informacjami o rodzinnych

tragediach rodu Rumiancewów i o tym, że nie wszyscy członkowie rodziny opuścili kraj po rewolucji. Co to za naukowiec? Jak się nazywa? Natalia nie pamiętała nazwiska, mężczyzna zostawił jej wprawdzie swoją wizytówkę, ale dziewczyna gdzieś ją wsunęła, a może nawet wyrzuciła. Gubienie albo wyrzucanie wizytówek źródeł informacji świadczy, rzecz jasna, o braku profesjonalizmu, ale... Mężczyzna nazywa się Arkadij Woldemarowicz, to akurat Natalia Malec doskonale pamiętała.

– Imię jest dość charakterystyczne – stwierdziła w zamyśleniu Nastia. – Można spróbować go znaleźć.

– A po co? – Natalia ze zdziwieniem spojrzała na Nastię znad wąziutkich okularów. – Nie wierzy mi pani i sądzi, że wymyśliłam całą historię? Nagrałam rozmowę na dyktafon, może pani posłuchać.

– Ależ skąd, wierzę, że ktoś to pani opowiedział.

– Więc myśli pani, że historia jest nieprawdziwa? Że Arkadij Woldemarowicz mnie oszukał?

– Znowu muszę zaprzeczyć. Moim zdaniem to nieistotne, czy historia jest prawdziwa, ważne jest to, że w Tomilinie mieszka spadkobierca Rumiancewów, niewykluczone, że niespełna rozumu, i wierzy, że ma prawo do posiadłości. To właśnie wymaga gruntownego sprawdzenia. Arkadij Woldemarowicz może znać więcej szczegółów, między innymi obecne nazwisko potomka.

– A dlaczego to panią interesuje? – Dziewczyna się zachmurzyła. – Czy to rodzaj dziennikarskiego śledztwa? Chce pani wykryć sprawcę dwóch zabójstw na złość naszej milicji?

Straciłaś czujność, Kamieńska, skarciła się w myślach Nastia. Zobaczyłaś młodą dziewczynę i uznałaś, że możesz się nie wysilać, bo ona jest jeszcze naiwna i niczego się nie domyśli. Owszem, nie ma jeszcze dwudziestu lat, ale kto powiedział, że to nic nie znaczy? Wystarczy, żeby się poznać na twoim kłamstwie.

– Nie jestem dziennikarką – Nastia uśmiechnęła się ugodowo – ale tak jak inne kobiety, cechuje mnie niezdrowa ciekawość. Mówiłam pani, że zajmuję się psychologią społeczną, podczas zbierania materiału w klubie Złoty Wiek zetknęłam się z nastrojami paniki, więc zaczęłam się zastanawiać, czy są ku temu podstawy. A ponieważ mam dużo znajomości w Moskwie i w Petersburgu, mogłabym spróbować odszukać Arkadija Woldemarowicza. I to wszystko. Jeśli jego opowieść stanie się kluczem do rozwiązania zagadki zabójstw, mogę obiecać, że pani dowie się o tym pierwsza. Nie zależy mi na sławie, jestem szeregowym pracownikiem naukowym, ale pani może zdobyć rewelacyjny materiał.

Mimo że Natasza Malec była bardzo inteligentna i poważna, myśl o dziennikarskiej sławie połechtła jej ambicję. Wyteżyła pamięć i zaczęła opisywać Arkadija Woldemarowicza: szczupła inteligentna twarz bez znaków szczególnych, średniego wzrostu, proporcjonalnie zbudowany, sympatyczny, koło pięćdziesiątki, w okularach, przystojny.

– I co, żadnych cech charakterystycznych? – zapytała Nastia z rozczarowaniem po wysłuchaniu opisu, do którego pasował co czwarty osobnik płci męskiej zamieszkały w Rosji.

– Żadnych. Chociaż chwileczkę – dziewczyna się zreflektowała – coś

sobie przypomniałam. Sposób, w jaki mówił...

– Tak? – zapytała Nastia z nadzieją.

– Podczas naszej rozmowy ktoś zadzwonił do niego na komórkę, więc zaczął rozmawiać, a ja pogrążyłam się w myślach, nie zamierzałam podsłuchiwać, i nagle do mnie dotarło, że Arkadij Woldemarowicz nie mówi po rosyjsku. Wsłuchałam się – nie, słowa są rosyjskie. Ale intonacja przypomina niemiecką, na końcu zdania się wznosi. Nie zawsze, nie stale, tylko czasami, ale razi ucho. Tak mógł mówić człowiek, dla którego język rosyjski jest językiem ojczystym, ale który spędził wiele lat za granicą i posługuje się przeważnie obcym językiem. Bardzo się wtedy zdziwiłam, zaczęłam słuchać uważniej, gdy przystąpił do dalszej opowieści o Rumiancewach, i doszłam do wniosku, że gdy słucham, co mówi, nie zwracam uwagi na dziwną intonację. Żeby uchwycić ten fenomen, trzeba słuchać nie słów, ale modulacji głosu. Zebrałam się na odwagę i go o to zapytałam.

– I co powiedział? – z ciekawością zapytała Nastia.

– Roześmiał się i wyjaśnił, że przygotowuje się do długiego kontraktu w Austrii, zaproszono go na cykl wykładów z historii, więc teraz intensywnie szkoli swój niemiecki, codziennie po parę godzin, sam na sam z korepetytorem, a także w grupie, no i pewnie to widać, zbyt głęboko zanurzył się w środowisku językowym.

Spostrzegawczość młodej dziennikarki przyjemnie zdziwiła Nastię, ale dziewczyna niestety nie przypomniała sobie żadnych innych ciekawych szczegółów dotyczących historyka z Petersburga.

– Nie wspominał, gdzie się zatrzymał? W hotelu?

– Nie mówił, a ja nie pytałam.

Byłoby oczywiście idealnie, gdyby Arkadij Woldemarowicz zatrzymał się w hotelu, wtedy zdobycie jego nazwiska i adresu nie stanowiłoby żadnego problemu. Jednakże Nastia Kamińska nigdy nie liczyła na uśmiech losu, teraz też była pewna, że mężczyzna nie zatrzymał się w hotelu i trzeba będzie pogłównkować nad tożsamością doktora nauk historycznych.

Przed restauracją, w której spotkała się z Natalią Malec, czekał na nią samochód. Kamińska wsiadła do środka i auto ruszyło w stronę dworu. Po drodze zadzwoniła do Fiedułowa. Z jakiegoś powodu czuła do niego większą sympatię niż do ostentacyjnie uprzejmego Ilji Wtoruszyna. Tym razem Dmitirj odebrał od razu, ale ton jego głosu powiedział Nasti, że jest bardzo zajęty.

– Może pan rozmawiać czy oddzwoni później? – zapytała.

– Jestem na miejscu rozboju – odparł major z irytacją. – Przeprowadzam oględziny.

No tak, teraz na pewno nie ma głowy do Nasti, a tym bardziej do jakiegoś mitycznego historyka z Petersburga. Napad rabunkowy to poważna sprawa, a oględziny miejsca przestępstwa to też nie żarty. Nastia westchnęła i zadzwoniła do Wtoruszyna, który, sądząc z beztroskiego tonu, siedział w swoim pokoju na komisariacie.

– Niech pan powie, Ilja, czy nie próbowaliście ustalić, skąd dziennikarka wzięła materiał do artykułu? – zapytała okrężną drogą.

– Nie, naszym zdaniem to niepotrzebne. Co za różnica, skąd to wszystko wzięła? Ja na przykład jestem pewien na sto procent, że

wszystko wymyśliła, wyssała z palca, chciała się wykazać. Ważne jest to, że ludzie jej uwierzyli i wpadli w popłoch.

– Ale potomek Rumiancewów...

– Bzdury – przerwał jej Ilja. – Nie wierzę w żadnego obłąkanego spadkobiercę. Zasięgałem języka o dziennikarce, to jeszcze smarkata pannica, niedawno siedziała w szkolnej ławce, ma bujną wyobraźnię i marzy o sławie. Tego tylko jeszcze brakowało, żebyśmy ją traktowali poważnie.

– Mimo to – głos Nasti stał się ostrzejszy – proszę złożyć zapytanie w Petersburgu i poszukać doktora nauk historycznych, niejakiego Arkadija Woldemarowicza. Mężczyzna może mieć dla nas ciekawe informacje.

– Ciekawe dla pani – złośliwie uściślił Wtoruszyn.

– Dla nas – powtórzyła Nastia. – Proszę zrobić to, o co proszę.

To jasne, że z Wtoruszynem się nie dogada. Ani z Fiedułowem, bo facet albo ma huk roboty, albo w ogóle nie odbiera telefonu, albo jest „poza zasięgiem”. Wygląda na to, że obaj panowie dostali ciche polecenie, żeby tylko pozorować pomoc dla Nasti, a tak naprawdę nic nie robić, nie wrywać sobie rękawów i się nie przykładać. No cóż, można zrozumieć zarówno ich, jak i milicyjne władze. Dzisiejszy napad rabunkowy jest o wiele ważniejszy niż zabójstwo sprzed niemal roku.

A przecież jeśli obłąkany potomek Rumiancewów rzeczywiście istnieje, musi się kręcić w pobliżu klubu, to znaczy, że albo jest jego członkiem, albo pracuje w posiadłości. Trzeba by się dowiedzieć czegoś

więcej o pracownikach.

*

W drodze do dworu Nastia poprosiła kierowcę, żeby zatrzymał się koło delikatesów, i kupiła dla Kumpelki ser oraz paszteciki z mięsem. Chciała jeszcze kupić kiełbasę, ale widok wędlin leżących w ladzie chłodniczej nie wzbudził jej zaufania.

Znalazłszy się w swoim apartamencie, Nastia spróbowała ciepło się ubrać. Z trudem włożyła dwa swetry, przeklinając i rozciągając wysokie stójki, które z powrotem się kurczyły i niemiłosiernie uciskały szyję. Zrezygnowała z czapki, okręcając głowę i szyję długim, grubym szalem, wsunęła do kieszeni aparat fotograficzny, żeby zrobić zdjęcie Kumpelce i pokazać później Czistiakowowi, chwyciła torbę z serem oraz pasztecikami i ruszyła do schroniska.

Kumpelka leżała wciąż w głębi boksu, ale na widok Nasti wstała i niepewnie pomachała ogonem, po czym podeszła do krat. Nastia wsunęła rękę do środka i dotknęła gęstej, skołtunionej sierści.

– Cześć – powiedziała cicho. – Co słychać?

Pies podniósł łeb i spojrzał na Nastię.

– Rozumiem. – Anastazja westchnęła. – A więc niewesoło. To tak jak u mnie. Przyniosłam ci trochę sera i paszteciki z mięsem. Lubisz ser?

Odłamała kawałek i pokazała Kumpelce. W oczach psa pojawił się błysk, a wilgotny aksamitny nos w jednej chwili znalazł się między

prętami.

– Nie uciekniesz, gdy otworzę boks? Umówmy się, że ja otworzę kratę, dam ci coś do jedzenia i pogłaszczę, a ty nigdzie nie czmychniesz i nie będę musiała za tobą biec. Co ty na to?

Pomysł chyba przypadł Kumpelce do gustu, bo najpierw usiłowała dotknąć nosem upragnionego przysmaku, a później nagle zrobiła krok w tył i znieruchomiała. Nastia ostrożnie odrygłowała zasuwę i przykucnęła, wyciągając rękę z kawałkiem sera w kierunku psa. Ten wyciągnął powoli szyję, delikatnie chwycił zębami poczęstunek i polizał Nastię w rękę.

– A więc umowa stoi – z satysfakcją stwierdziła Nastia.

Kumpelka kończyła ostatni pasztecik, gdy za plecami Nasti rozległy się kroki. Kamieńska odwróciła się i zobaczyła informatyka Kostię Jeremiejewa z drogim aparatem fotograficznym w rękach.

– Wpadła pani w odwiedziny? – zapytał.

Pytanie miało życzliwy charakter, ale wyraz twarzy mężczyzny daleki był od życzliwości. A jednak facet jest dziwny, z niechęcią pomyślała Nastia.

– Sam pan przecież pozwolił odwiedzać psa, przynosić mu jedzenie i wyprowadzać na spacer.

– Ależ oczywiście. Smycz może pani wziąć z magazynu.

– Pamiętam, dziękuję.

Nastia w milczeniu zamknęła boks i poszła do magazynu, który był wyładowany workami z suchą karmą i opakowaniami leków, znalazła smycze wiszące na haku i wybrała jej zdaniem najbardziej

odpowiednią. Wzięła też większą obrozę z półki, po czym wróciła do psa. Ten posłusznie pozwolił włożyć sobie obrozę i stał nieruchomo, podczas gdy Nastia przypinała smycz. W tym czasie Kostia otworzył inny boks i wypuścił na wybieg brzydkiego psa o gładkiej sierści z poparzonymi bokami. Zwierzę stało bez ruchu i trzęsło się na całym ciele, patrząc na Kostię, Nastię i Kumpelkę wystraszonym i żalonym wzrokiem.

– Boże! – jęknęła Nastia. – Co mu się stało? Kto to zrobił?

– Chyba oblano go kwasem – głucho wyjaśnił Kostia. – Trafił do nas dziś rano. Weterynarz już go zbadał i powiedział, że leczenie będzie długotrwałe i drogie. Przyszedłem zrobić mu zdjęcie, umieszczę je w Internecie, może znajdą się dobrzy ludzie i podrzucą trochę gotówki. A pani na spacer?

– Owszem – przytaknęła.

Spacer był jednak krótki, dwa swetry nic nie pomogły, nogi w cienkich botkach i ręce w delikatnych skórzanych rękawiczkach szybko zmarzły, poza tym Nastia miała wrażenie, że psu też jest zimno. Kumpelka posłusznie trzymała się blisko niej, nigdzie nie zbaczała, z wyjątkiem miejsc, które wykorzystywała jako toaletę. Szybko dotarli do rotundy, gdzie Nastia zrobiła psu parę bardzo ładnych zdjęć na tle zasp i zaśnieżonych krzewów, po czym wrócili do schroniska, w którym komputerowy geniusz Kostia nadal męczył się nad fotografią nowego podrzutka.

– To niełatwe, bo zdjęcie musi chwytać za serce, żeby ludzie dawali pieniądze na leczenie, ale musi też pokazywać, że po leczeniu to

będzie piękny pies – poskarżył się, gdy Nastia zaprowadziła Kumpelkę do boksu i przechodziła koło niego, odnosząc smycz i obrozę do magazynu. – Tymczasem wciąż wychodzi mi tak, że aż zgroza bierze. Widać rany, a nie piękno. Nie mam pojęcia, jak wybrać odpowiednie ujęcie.

Nastia spojrzała na rannego psa i nagle pomyślała, że wie, jak trzeba go sfotografować, żeby wyglądał ładnie, a zarazem budził współczucie. Wyjęła aparat.

– Mogę spróbować?

Kostia prychnął z kpina.

– Czemu nie?

Nastia pstryknęła parę fotek, zmieniając za każdym razem kadr, i przez cały czas mówiła coś łagodnie do nieszczęsnego psa. Ten słuchał z łbem przechylonym na bok i obserwował Nastię.

– Proszę, niech pan spojrzy. – Nastia podała Kosty swój aparat. – Chyba coś mi wyszło.

Ten spojrzał uważnie i gwizdnął.

– Nieźle! Uczyła się pani fotografii?

Nastia uśmiechnęła się słabo. Robieniem zdjęć zajmowała się na uniwersytecie, na zajęciach z kryminalistyki, ale to było po pierwsze trzydzieści lat temu, a po drugie miało dość szczególny charakter. Fotografia metryczna, skalowa, panoramiczna – tyle trzeba wiedzieć przy oględzinach miejsca zdarzenia. Natomiast nikt nie uczył Nasti robienia wyrazistych portretów, zwłaszcza zwierząt.

– Ma pani talent! – Kostia nie ustawał w zachwytach. – Dar od

Boga! Nie wolno go zaprzepaścić. To wielki grzech – nie korzystać z tego, co człowiekowi dano.

W jego oczach pojawił się gorączkowy blask, na ustach błędził dziwny uśmiech. Wszystko to bardzo nie spodobało się Nasti. No i te uwagi o darze od Boga, o grzechu i o tym, co „człowiekowi dano”... Wygląda na to, że informatykowi brakuje piątej klepki. Albo to typowy narkoman z nagłymi zmianami nastroju, reagujący histerycznie, albo... Czemu nie? Dlaczego to niemożliwe? Przeciwnie, to całkiem możliwe. Kto powiedział, że obłąkany spadkobierca Rumiancewów musi być koniecznie w podeszłym wieku i mieć wykształcenie humanistyczne? Równie dobrze może się okazać młodym informatykiem.

Tymczasem Kostia z entuzjazmem rozprawiał na temat przeznaczenia każdego człowieka, jakichś nieznanych Nasti dróg i kosmicznych sił. Ogólny sens jego wypowiedzi sprowadzał się do tego, że człowiek musi słuchać i wypatrywać sił, które mu podpowiadają, jakie jest jego przeznaczenie i jaką drogą powinien zmierzać. Nastia słuchała piąte przez dziesiąte, robiąc jednocześnie zdjęcia wybranych zwierząt.

Wreszcie Kostia umilkł i chyba się nieco uspokoił.

– Pokaże mi pani swoje zdjęcia? – Jego głos stał się przymilny.

– Proszę. – Nastia wręczyła mu aparat.

– Świetnie! Po prostu znakomicie! Po co pani socjologia? Pani przeznaczeniem jest fotografia. Zdobędzie pani sławę, zarobi pieniądze i przyniesie ludziom radość.

Nastia nie miała ochoty wdawać się w dyskusję.

– Zastanowię się – powiedziała wymijająco, obserwując dużego, puszystego kota, którego jeszcze nie sfotografowała.

Kot był niezwykle piękny, szaroniebieski, z wyrazistymi pomarańczowymi oczami oraz istic królewską miną. Jednak gdy tylko Nastia podnosiła aparat, natychmiast się odwracał i udawał, że to, co się dzieje, w ogóle go nie interesuje. Wysiłki, by go sfotografować, kończyły się fiaskiem, cały kadr zajmował albo jego szeroki grzbiet, albo gruba, puszysta szyja i jedno ucho z wytwornym frędzelkiem sierści wystającym ze środka.

– Mogę otworzyć boks? – zapytała Nastia. – Chcę utrwalić to piękno. Proszę wziąć kota na ręce.

– To kotka, a nie kot – burknął Kostia, otwierając zasuwę.

Oczy znowu mu przyblakły, gorączkowy blask zgasł, głos brzmiał monotennie i niewyraźnie. Kotka natychmiast zauważyła, że boks jest otwarty, i majestatycznym krokiem wyszła na zewnątrz.

– Niech ją pani fotografuje.

Nastia podjęła parę prób, ale zwierzę z uporem nie chciało pozować i wciąż się poruszało, uniemożliwiając zrobienie zdjęcia, które pokazywałoby jego urodę.

– Niech ją pan weźmie na ręce, Kostia – powtórzyła Nastia.

Jeremiejew niechętnie spełnił jej prośbę.

– I proszę ją przytrzymać, żeby się nie kręciła.

Nastia znowu zaczęła szukać odpowiedniego ujęcia i nagle zauważyła, że Kostia próbuje ukryć twarz. Albo się odwraca, albo

opuszcza głowę tak nisko, że twarz zasłania wysoko podniesiony kołnierz kurtki i nasunięta na oczy czapka. Dziwne... Zresztą może wcale nie dziwne, jeśli wziąć pod uwagę inne osobliwości jego zachowania. Przed chwilą był ożywiony, z pasją i płonącymi oczami o czymś rozprawiał, a teraz raptem stracił werwę.

Udało jej się w końcu zrobić ładne zdjęcia ślicznotki z pomarańczowymi oczami, po czym kotka trafiła z powrotem do boksu.

– Anastazjo Pawłowno, może dałaby mi pani swoją kartę pamięci?
– poprosił Kostia.

– Po co? – zdziwiła się.

– Zgram zdjęcia na swój dysk, a później umieszczę w Internecie. Pani fotografie są o wiele lepsze niż te, które zrobiliśmy do tej pory.

– W takim razie proszę, oto one.

Nastia wyjęła kartę i podała ją Kostii. Ciekawe, czy rzeczywiście chodzi mu tylko o zdjęcia zwierząt, czy raczej chce się przekonać, że jego twarz nie znalazła się w kadrze? A jeśli się znalazła, podjąć odpowiednie kroki. Trudno, niech facet robi, co chce, Nastia zdążyła zgrać sobie wszystkie zdjęcia. Tak jest bezpieczniej.

Gdy tylko opuściła schronisko, zaczęła szukać Tamary. Chciała ją wypytać o Kostię. Okazało się, że narzeczona Andrieja Siergiejewicza Biegorskiego była w garderobie sąsiadującej z salonem muzycznym. Stała pochylona nad wykrojem rozłożonym na stole.

– Umie pani szyc? – Nastia nie potrafiła ukryć zdziwienia.

– A czemu to panią dziwi? Przez wiele lat byłam żoną mistrza krawieckiego, w dodatku niedoścignionego. Szyć nauczyła mnie

jeszcze babcia, a przy mężu nabrałam wprawy.

– I co to będzie?

– Suknia na nasze przedstawienie – odparła Tamara z uśmiechem.

– Dla Jeleny Stanisławowny, a raczej dla jej bohaterki. Nasza Jelena Stanisławowna tak się obnosi ze swoimi europejskimi korzeniami, że nawet we śnie widzi się na scenie w stroju niemającym nic wspólnego z Rosją. Pragnie poczuć się obywatelką Europy. No to niech się poczuje i pęka z radości. A czemu pani mnie szukała? Czegoś pani trzeba?

– Chciałam zapytać o Kostię.

– O Kostię? Coś się stało? Był wobec pani nieuprzejmy?

Ciekawe, skąd to pytanie? Czyżby komputerowy geniusz dał powody, żeby tak o nim myśleć?

– Był niezwykle uprzejmy – zapewniła Nastia. – Ale sprawił na mnie bardzo dziwne wrażenie. Osoby niestabilnej psychicznie. W pewnej chwili pomyślałam nawet, że może to narkoman.

Tamara wyprostowała się, zdjęła okulary i położyła je na kalce, na której rysowała wykrój.

– Raczej tego nie zauważyłam – powiedziała w zamyśleniu. – Chociaż nie jestem ekspertem. W czasach mojej młodości narkomani byli rzadkością, więc nie miałam okazji ich spotkać, a teraz, gdy są ich całe rzesze, jestem już w wieku, w którym nie utrzymuje się kontaktów z młodzieżą. Nie wiem, może ma pani rację. Myślę, że warto o tym porozmawiać z Ałłą Iwanowną.

– Z Ałłą Iwanowną? – powtórzyła Nastia. – Tą, o której mi pani

opowiadała?

– No tak, z Jarcewą. Jest w końcu specjalistką, a poza tym przyjaźniła się z Kostią.

– Przyjaźniła? – powtórzyła Nastia podejrzliwie.

– Doskonale pani wie, Nastieńko, co mam na myśli. Owszem, byli kochankami, cały klub i wszyscy pracownicy o tym wiedzieli. Na pierwszy rzut oka ich związek był oczywistym mezaliansem, ale jeśli się zastanowić, wszystko da się wytłumaczyć.

– Opowie mi pani?

– Nie znam szczegółów, widziałam ich razem krótko, przyjechałam w sierpniu, a na początku listopada Ała Iwanowna już się zwolniła. Sporo się jednak nasłuchiłam, nasi goście lubią plotkować.

Tamara przyłożyła dłonie do pleców, odchyliła się do tyłu i westchnęła.

– No dobrze, pora na przerwę, nie czuję pleców. Usiądźmy.

Wskazała dwa niepozorne foteliki między oknem a długim stojakiem z gotowymi kostiumami teatralnymi.

– Czy to pani je wszystkie uszyła? – z podziwem zapytała Nastia, oglądając imponujące suknie o starych fasonach, a także nowsze modele.

– Ależ skąd, sama nie dałabym rady! – Tamara roześmiała się, siadając w fotelu i podwijając pod siebie nogi. Była filigranowa, więc nie potrzebowała dużo miejsca. – Mamy tutaj prawdziwe talenty. Ja tylko wymyślam fason, a wykrój robię wyłącznie w skomplikowanych przypadkach, całą resztę wykonują uczestnicy przedstawienia i chętni.

Pomagają nam nie tylko członkowie klubu, ale też wolontariusze, jak o nich mówimy, „z miasta”. Nie wyobraża sobie pani, jak wielu emerytów umie szyc i nie potrafi spożytkować swoich umiejętności. A tutaj nie brakuje im ani pracy, ani towarzystwa. Gdy zjawiają się później na przedstawieniu, mają poczucie, że są jego współtwórcami. Zapraszamy ich nawet na scenę, wychodzą razem z aktorami i reżyserem. Kwiaty, owacje, krótko mówiąc, oni też mają swoją chwilę sławy. A wracając do Jarcewej i Kosti...

Latem 2007 roku Ała Iwanowna Jarcewa straciła córkę. Dwunastoletnia Alisa utonąła w Tomince. Wtedy Ała Iwanowna nie pracowała jeszcze w klubie, ponieważ dwór był wciąż w remoncie i klub nie działał, ale gdy tylko otwarto Złoty Wiek, to znaczy wiosną 2008 roku, Ała od razu się zatrudniła i dwa razy w tygodniu udzielała konsultacji. W tamtym okresie potrafiła mówić wyłącznie o córce, chociaż od śmierci dziewczynki minął niemal rok. Była pogrążona w smutku i czuła tak wielką potrzebę, by o nim opowiadać, że większość gości i pracowników zaczęła jej unikać. A gdy jesienią 2008 roku w posiadłości zjawił się Kostia Jeriemiejew, oboje szybko znaleźli wspólny język. On też stracił bliskich w tragicznych okolicznościach, więc rozumiał Ałę, w każdym razie był gotów jej słuchać i podtrzymywać rozmowę. Ona pewnie też stała się dla niego jedyną osobą, z którą mógł się podzielić swoim nieszczęściem, ponieważ z nikim innym o tym nie rozmawiał i nie rozmawia do tej pory. Spędzali dużo czasu razem, więc nic dziwnego, że się do siebie zbliżyli. Widocznie mąż Ały Iwanowny nie podzielał jej potrzeby wspomnień i

ciągłego omawiania tego, co się wydarzyło, a w Kosti znalazła bratnią duszę. Więc jeśli ktoś zna niuanse jego psychiki, to tylko Ała Iwanowna Jarcewa.

– A czemu pani powiedziała, że ich związek był oczywistym mezaliansem? – zapytała Nastia.

– Och, Nastieńko, gdyby pani widziała naszą Ałę Iwanownę, toby pani nie pytała! – Tamara uśmiechnęła się wesoło i mrugnęła porozumiewawczo. – Poznała pani Kostię, prawda? Nikomu nie przejdzie przez gardło stwierdzenie, że to przystojny albo choćby interesujący czy ujmujący mężczyzna.

– Nie wiem – przyznała Nastia. – Właściwie nie udało mi się zobaczyć jego twarzy. Widziałam czapkę i podniesiony kołnierz, ale nie twarz. Jedyne nos. Moim zdaniem jest długi i wydatny.

– Zgadza się. Gdy zobaczy pani Kostię bez czapki i kurtki, dojdzie pani do wniosku, że cały jest nijaki. Natomiast Ała... To bardzo ładna, atrakcyjna, zgrabna i ponętna kobieta. Taka, wie pani, o wydatnych kształtach, z wysoko uniesionym biustem, cienką talią, długimi nogami. Ma pełne i ładnie zarysowane usta. Jednym słowem, cukiereczek. Co prawda w niestosownym opakowaniu.

– Co pani ma na myśli?

– Proszę sobie wyobrazić kobietę, którą opisałam, ale z długimi włosami ufarbowanymi na platynowy blond, z jaskrawo uszminekowanymi ustami, w ciasnym sweterku z mnóstwem koralików i w spódnicy z dużym rozcięciem. I jak?

Nastia uruchomiła wyobraźnię. Obraz wyszedł dość nieciekawym,

nawet wulgarny, o czym nie omieszkała powiadomić Tamary.

– No właśnie. – Winogradowa skinęła głową z zadowoloną miną. – To jeszcze delikatnie powiedziane. Gdyby trafiła w ręce dobrego stylisty, zrobiłby z niej boginię. Mój zawód nie pozwalał mi spokojnie patrzeć na jej platynowe włosy z ciemnymi odrostami. Ała nie zawsze dbała o włosy i nie rozjaśniała ich regularnie. Z jakiegoś powodu nie korzystała z moich usług, pewnie była zdania, że moje umiejętności nadają się tylko dla emerytów. Zresztą styl, w jakim się ubierała, odzwierciedlał jej gust, a ten pokrywał się z gustem wielu mężczyzn w mieście. Ja mam nieco inny gust, ale to o niczym nie świadczy. Uważam, że człowiek ubiera się w sposób oddający jego wyobrazenie o sobie samym. Jeśli jest szczerzy i zachowuje się jak osoba, za którą się uważa, jego stonowany ubiór powinien pasować do zachowania. Gdy tak nie jest, wyczuwam rozdźwięk, mam wrażenie, że stykam się z kłamstwem albo oszustwem. Rozumie pani?

– Nie bardzo – przyznała Nastia.

Coraz bardziej interesowała ją ta niepokąźna, szczupła kobieta, energiczna i prostolinijna, niepodobna do żadnej ze znanych jej osób.

– Postaram się wyjaśnić. Ała wyglądała na osobę pogrążoną w smutku, a ubierała się jak kobieta szukająca przygód. Wizerunek nie pasował do zachowania. Ale Kosti to chyba nie przeszkadzało. Może nie było między nimi żadnej miłości, tylko jedna nieszczęśliwa dusza rwała się do drugiej, tak samo zranionej. Może nie chodziło o miłość, ale o wzajemne zrozumienie i wsparcie w nieszczęściu, to też wiele znaczy, może nawet więcej niż utarte pojęcie miłości. Tak czy inaczej,

ich romans się skończył, zanim Jarcewowie wyjechali.

– Ała pokłóciła się z Kostią?

Tamara rozłożyła ręce.

– Tego nie wiem, nikt nie chodził za nimi jak cień. Ale wszyscy zauważyli, że ich związek się wypalił. Kostia przestał wpadać do gabinetu Aidy podczas przyjęć i nie spacerowali już razem po parku. A przy okazji, Nastienko, mam pewne pytanie dotyczące ubioru. Co pani chce powiedzieć otoczeniu swoimi wytartymi džinsami, chociaż są modne i bardzo drogie? Że ma pani piętnaście lat?

Nastia zmieszała się na skutek nagłej zmiany tematu. Co ona chce powiedzieć? W ogóle o tym nie myśli, gdy się ubiera! Wybiera strój, w którym czuje się dobrze i swobodnie. I to wszystko. Do tego, żeby coś powiedzieć, służy język, ubranie spełnia inną funkcję.

– Ależ skąd...

– Może chce pani powiedzieć, że jest pani biedną studentką?

– Nie. – Nastia się uśmiechnęła.

Poczuła ciekawość, więc chętnie przystąpiła do gry zaproponowanej przez Tamarę.

– Że jest pani emerytką, która czuje się młodo?

– Tym bardziej nie.

– Że szuka pani młodych kochanków?

– To już na pewno nie wchodzi w rachubę. – Nastia parsknęła dźwięcznym śmiechem. – Mam wspaniałego męża i jestem ze wszystkiego zadowolona. Skok w bok mnie nie interesuje.

– Chce pani zatrudnić się tam, gdzie przyjmowane są wyłącznie

młode dziewczyny?

– Też nie. Mam pracę i na razie nie szukam nowej.

– A więc co chce pani powiedzieć swoim wyglądem? Dlaczego tak się pani ubiera? Jest pani ładną kobietą, która przeżyła większą część życia, więc czemu próbuje pani powiedzieć nieprawdę o sobie? Lubi pani oszukiwać, wprowadzać innych w błąd?

– Zapewniam panią, że nie! Nikogo nie oszukuję, żyję tak, jak lubię, i przyzwyczaiłam się przez lata. Co w tym złego?

– Nic. Ale widzę tu brak wyobraźni i niedorzeczność. Pamięta pani, jak opowiadałam o Aidzie Borisownie? Ze względu na swoje stanowisko i zawód przez całe życie musiała ubierać się skromnie i niewyzywająco, co można zrozumieć. Ale gdy przeszła na emeryturę, pojawiła się wyjątkowa okazja, żeby zaczęła wyglądać tak, jak się czuła. Aidoczka ją wykorzystała. Miała pani szczególną profesję i ubierała się zgodnie z jej specyfiką. Ale teraz jest pani na emeryturze i otwiera się przed panią cudowna możliwość stworzenia obrazu kobiety. Po tylu latach spędzonych w pracy może sobie pani wreszcie pozwolić na wszystko, więc proszę wykorzystać nadarzającą się sposobność! Zwłaszcza że tutaj nie jest pani detektywem, tylko socjologiem, pracownikiem naukowym. Niech pani będzie piękna, elegancka, atrakcyjna, a sama pani zobaczy, jak zmieni się pani samopoczucie i postrzeganie świata. Dobór ubrania to sztuka, część otaczającej panią kultury. Ładny i oryginalny strój da pani poczucie spełnienia i radości życia, nie wolno tego lekceważyć. Mogę uszyć pani coś oryginalnego. Praca idzie mi szybko, więc przed odjazdem będzie

pani miała nową kreację, w której poczuje się inną osobą. Co pani na to?

Propozycja i wywody Tamary nie przypadły Nasti do gustu. Zawsze była nastawiona na pracę, zadanie oraz wyniki, więc zastanawianie się nad tym, jaką włożyć spódnicę, co do niej pasuje i którą wybrać bransoletkę, wydawało jej się babską fanaberią. Nastia przypomniała sobie Daszeńkę, żonę brata, i jej podekscytowane wypowiedzi na temat strojów i sztuki ubierania się. Ale Daszka miała wtedy zaledwie dwadzieścia lat, była jeszcze niemal dzieckiem, więc nic dziwnego, że myślała wyłącznie o ładnych strojach. Tamara jest już jednak po sześćdziesiątce! Nastia zerknęła na nią i nagle sobie uświadomiła, że patrzy z przyjemnością. Całym swoim wyglądem, fryzurą i strojem Tamara Nikołajewna Winogradowa sprawiała wrażenie niemłodej, kochającej i kochanej kobiety, dla której słowa o spełnieniu i radości życia nie są pustymi frazesami. Czy to źle? Przeciwnie, to wspaniale, i dobrze, że wszyscy wokół to widzą. Jej wizerunek jest przekonujący, budzi szacunek i podziw.

Ale Tamara to jedno, ona, Nastia Kamieńska, jest zupełnie inna, to wszystko nie dla niej. W ogóle jej to nie interesuje. A zwłaszcza nowa oszałamiająca suknia. W dzinsach i swetrze też świetnie się czuje. Szkoda tylko, że marznie. Ale nowa suknia na pewno jej nie ogrzeje.

*

Resztę dnia Nastia spędziła w głównym budynku na rozmowach z

członkami klubu Złoty Wiek. Pod pretekstem prowadzenia wywiadu socjologicznego pytała, jak zmieniło się ich życie po przejściu na emeryturę, później zadawała pytania o klub, zajęcia, komputery, hobby i znajomości, stąd zaś było już bardzo blisko do Galiny Iljinićny Koriaginy i Aidy Borisowny Pawłowej, a zarazem do skandalicznego artykułu w lokalnej gazecie. Losy i charaktery rozmówców były różne, ale informacje interesujące Nastię okazywały się nużąco podobne i potwierdzały to, co już wiedziała. Koriagina była masywna i wstrętna, natomiast Pawłowa atrakcyjna i fascynująca, w kwestii artykułu i możliwości istnienia potomka rodu Rumiancewów opinie były podzielone: jedni uważali, że wszystko jest bardzo wiarygodne i są podstawy do niepokoju, inni byli zdania, że żaden potomek nie istnieje i nie ma się czego bać. O rozbitym lustrze w salonie Tamary na szczęście nikt nie wiedział, Tamara nie nagłośniła tego wydarzenia, natomiast włosy rozrzucone na podłodze w holu zrobiły duże wrażenie, nikt jednak nie potrafił powiedzieć, kto mógł to zrobić.

Niekończące się rozmowy na ten sam temat wprowadziły Nastię w stan całkowitego otępienia, więc udała się do schroniska, żeby pospacerować z Kumpelką na świeżym powietrzu. Po paru godzinach spędzonych w ciepłym pomieszczeniu zapomniała, jak marzła na dworze, i sądziła, że godzinna przechadzka jej nie zaszkodzi. Wystarczyło jednak, że znalazła się z psem w parku i ruszyła zaśnieżoną aleją w stronę rzeki, a od razu wszystko sobie przypomniała, w dodatku z jak najgorszej strony. Musiała zawrócić do

schroniska.

– Idziemy do domu – oznajmiła Kumpelce z westchnieniem. – Inaczej przeziębienie murowane.

Trudno powiedzieć, czy Kumpelka rozumiała ludzką mowę, chyba jednak potrafiła rozróżnić intonację, ponieważ stanęła jak wryta na środku alei, kategorycznie odmawiając powrotu. Wążyła sporo, więc choć Nastia ciągnęła za smycz, nic nie wskórała – uparty pies nawet nie drgnął. W ogóle nie szczekał, tylko stał i patrzył smutnym, pełnym wyrzutu wzrokiem.

– Ejże – zawołała Nastia ze zdziwieniem. – O co chodzi? Chodźmy do domu, bo jest straszliwie zimno. No dalej, moja kochana, ruszaj się, idziemy.

Nie pomagało ani użycie siły, ani namowy, ani pochlebstwa, ani groźby. Kumpelka stała jak przykuta. Po chwili zastanowienia Nastia podjęła decyzję, wyjęła z kieszeni kurtki komórkę i wybrała numer Tamary.

– Jak pani sądzi, czy mogę przyprowadzić do swojego pokoju psa z waszego schroniska?

– A czemu nie? – zawołała Tamara ze śmiechem. – Tylko niech go pani nie zostawia na noc, bo nie będzie chciał później wrócić do boks.

– Nie zostawię – obiecała ucieszona Nastia. – A o której zamykacie schronisko?

– O dziesiątej. Ale klucze są u ochrony przy bocznej bramie, zawsze ktoś otworzy, jeżeli nie zdąży pani odprowadzić psa przed zamknięciem. A którego pani wybrała?

– Takiego dużego i kudłatego, jest tutaj nowy.

– Aha, wiem. To duży pies, powinien chodzić na długie spacery.

– Uprzedzano mnie – odparła Nastia ze skruczą. – Nawet chciałam pobyć z nim na dworze, ale jest okropnie zimno. Chyba źle się ubrałam. Ale szkoda mi się z nim rozstawać. Ma takie smutne oczy...

– Doskonale rozumiem. Wszystko w porządku, niech go pani zabierze.

Nastia schowała telefon i znowu pociągnęła za smycz.

– Idziemy do mnie, zostało mi jeszcze trochę sera i parę pasztecików, więc cię poczęstuję. No jak, idziesz?

Tym razem pies nagle ustąpił i potruchtał żwawo koło Nasti. Szybko dotarli do oficyny, w której mogli się wreszcie ogrzać. W apartamencie Nastia wytarła psu łapy szmatką znaną w łazience i ulokowała się w salonie. Pies zjadł podsunięte mu przysmaki i wyciągnął się na podłodze przy jej nogach, opierając łeb na łapach.

– A więc sprawa wygląda tak – zaczęła głośno Nastia. – Jest kilka hipotez. Pierwsza: oba zabójstwa popełnił szaleniec związany z klubem Złoty Wiek. Jest albo członkiem klubu i jego stałym gościem, albo pracownikiem, albo wolontariuszem, który często tutaj bywa. Ta hipoteza nie budzi zastrzeżeń, sprawdzenie jej to moje zadanie, bo jestem na miejscu, w centrum wydarzeń. Nie wiadomo, ile czasu mi to zajmie, krąg osób, mimo że dość spory, jest jednak ograniczony, więc prędzej czy później namierzę tego świra. Mam rację?

Pies uniósł lekko głowę, sapnął cicho, po czym przyjął poprzednią pozycję.

– A więc się zgadzasz – skonstatowała Nastia. – Idziemy dalej. Druga hipoteza: oba zabójstwa popełnił szaleniec, który jednak nie ma żadnego związku z klubem, wybiera emerytki według własnego widzimisię i wyprawia je na tamten świat, a to, że obie kobiety odwiedzały Złoty Wiek, stanowi zwyczajny zbieg okoliczności. Milicja wykonała ogrom pracy, żeby zweryfikować tę hipotezę, nic do niej nie wniosę, bo jeśli szaleniec nigdzie się nie leczył i nie ma kartoteki, nie uda się go znaleźć. Szczerze mówiąc, tę hipotezę najtrudniej zweryfikować. Im więcej zdarzeń, tym większe prawdopodobieństwo, że zabójca zostanie namierzony. Ale mamy tutaj do czynienia zaledwie z dwoma zdarzeniami, więc widoki są marne. Praca z informatorami nic nie dała i nie da, jeśli nasz świr nie pochodzi z Tomilina, tylko z innej miejscowości, która może nawet znajdować się w pobliżu, ale tomilińscy wywiadowcy nie mają tam swojej agentury. Słuchaj, Kumpelko, pewnie nie wiesz, co to takiego agentura? Nie przejmuj się, nie musisz wiedzieć.

Nastia wstała, przyniosła torbę z przedpokoju, wyjęła z niej paczkę papierosów, zapaliła i popatrzyła na siebie z boku. Siedzi i rozmawia z psem. Idiotka. Chora na umyśle. I w dodatku zajmuje się szukaniem szaleńca.

Uśmiechnęła się, po czym wsunęła palce w gęstą sierść na szyi psa. Kumpelka zamruczała z radością, podniosła łeb i się oblizała.

– Czemu się oblizujesz? Przecież nie daję ci cukierka, tylko cię głaszczę. To dla ciebie żadna różnica?

Pies zręcznie się uchylił, usiadł i polizał Nastię w rękę. Później

otrząsnął się, pokręcił chwilę w kółko i znowu położył.

– Aha, teraz rozumiem. – Nastia skinęła głową. – Dobrze, kontynuujmy nasze rozważania. Hipoteza trzecia: pierwsze zabójstwo popełnił szaleniec, którego nie mamy szans złapać, a drugie jest imitacją, naśladownictwem. Z tej hipotezy wyłaniają się dwie kolejne. Pierwsza: Pawłowa została zabita przypadkiem, jakiś dureń wpadł na pomysł, żeby powtórzyć zabójstwo Koriaginy. Pawłowa go nie interesuje, niczym mu się nie naraziła, pojawiła się na jego drodze w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie. Po co to zrobił? Może się z kimś założył, przechwalając się, że zabicie starej baby to dla niego bułka z masłem. Żeby pokazać, jaki z niego chojrak, i jak sprytnie wyprowadził milicję w pole. Może z chęci zdobycia sławy, choćby nawet anonimowej, bo sprawa zabójstwa zostanie opisana w gazecie i całe miasto będzie o niej trąbić. Może zadziałał syndrom Raskolnikowa, to znaczy sprawca chciał sprawdzić, czy jest zdolny do zabójstwa. Wszystkie rodzaje motywacji oprócz zakładu mają oczywiście charakter patologiczny, ale przestępca jest poczytalny i prawdopodobnie nie jest pacjentem żadnej placówki medycznej. Istnieje jeszcze możliwość, że zabójstwa popełniono z pobudek chuligańskich, ale to można zaliczyć do kategorii „zakładu”. Do weryfikacji tej hipotezy potrzebna jest agentura, sama nic tu nie wskóram. To robota Wtoruszyna i Fiedułowa, ale pewnie będę musiała długo ich przekonywać. Jak sądzisz, Kumpelko, dadzą się przekonać?

Pies nie miał chyba zdania na ten temat, bo nawet się nie poruszył

w odpowiedzi na pytanie.

– I ja tak myślę. – Nastia westchnęła. – Przechodzimy do drugiej ewentualności: komuś zależało na zabiciu Aidy Borisowny Pawłowej i postanowił wykorzystać wcześniejsze zabójstwo Koriaginy, sugerując, że drugie zabójstwo jest również dziełem szaleńca. Niech drugie zabójstwo spadnie na sprawcę pierwszej zbrodni. Jeśli oczywiście zostanie złapany. A jeśli nie, to nawet lepiej. W tej sytuacji trzeba prześwietlić życie osobiste Pawłowej, tym razem będzie to moje zadanie, ponieważ większość jej kontaktów i związków można prześledzić tutaj, w posiadłości. Nie ma sensu rozgrzebywać jej spraw służbowych, kobieta od dawna jest na emeryturze, gdyby ktoś chciał wyrównać z nią rachunki, zrobiłby to już lata temu, nie czekałby tak długo. Mam rację?

Tym razem Kumpelka, o dziwo, przyznała Nasti rację, co wyraziła energicznym machnięciem ogona.

– Idziemy dalej. Hipoteza czwarta: pierwsze przestępstwo było wymierzone w Koriaginę, ale popełniono je w sposób sugerujący robotę szaleńca. Natomiast drugie zabójstwo, którego ofiarą stała się Pawłowa, popełnił obłąkany naśladowca. A jeśli nie obłąkany, to na pewno zwyrodniały. Może nie pamiętasz, Kumpelko, więc przypomnę ci listę motywów z hipotezy numer trzy. Syndrom Raskolnikowa i temu podobne. Myślę, że jednak pamiętasz. Koriagina, tak jak Pawłowa, od dawna jest na emeryturze, a zatem motyw jej zabójstwa wiąże się z niedawnymi sprawami osobistymi. To znowu moja działka. Współczujesz mi, Kumpelko? Zobacz, ile pracy mnie czeka. W dodatku

nie wiadomo, czy moja harówka przyniesie jakikolwiek efekt.

Kumpelka pożałowała oczywiście Nasti, natychmiast wysunęła język i usiłowała dosięgnąć nim dłoni. Nie dała rady, więc musiała zadowolić się nogą. Smak dzinsowego materiału chyba jej się nie spodobał, ale niczego nie dała po sobie poznać i nawet się nie skrzywiła.

– Kontynuujmy naszą zabawę. Jest jeszcze jedna hipoteza, piąta, najbardziej niedorzeczna i najmniej wiarygodna, ale będąc kobietą uczciwą, nie mogę jej odrzucić. Muszę ją przeanalizować choćby z grubsza. Przystępstwa popełniły różne osoby, ale obie naśladowały działanie szaleńca. To oczywiście kompletna bzdura z punktu widzenia teorii prawdopodobieństwa, ale nie wolno mi niczego pomijać. A zatem pierwszy przestępca wyrównuje rachunki z Koriaginą, naśladując psychopatę, natomiast drugi sprawca wierzy, że Koriaginę zabił szaleniec i mordując Pawłową z powodów osobistych, naśladuje pierwsze zabójstwo, żeby drugie również zrzucano na szaleńca. Logiczne, prawda?

W tej wypowiedzi Kumpelka nie dopatrzyła się żadnej logiki, o czym wymownie świadczyły jej uszy, które przestały się poruszać i jak gdyby oklapły.

– No jasne – powiedziała Nastia z westchnieniem – wiedz ci uszy, gdy słyszysz, co plotę. Zauważ jednak, moja droga, że weryfikowanie tej hipotezy będzie należało do mnie. Podobnie jak w przypadku hipotez numer trzy i cztery. A więc nic nowego... No i wreszcie hipoteza szósta, ostatnia: oba zabójstwa popełniła ta sama osoba z

powodów osobistych, ale w sposób sugerujący robotę świra. Tutaj będę musiała podzielić się obowiązkami z naszymi dzielnymi wywiadowcami. Założmy, że uda mi się przeanalizować sprawy Koriaginy i Pawłowej w klubie oraz ustalić, w którym momencie stanęły komuś na drodze. Mogę na przykład zająć się rozpracowaniem Jeleny Stanisławowny Murawjowej. Albo kogoś innego. Ale jeśli Koriagina i Pawłowa jako przedstawicielki organów władzy radzieckiej naraziły się komuś jeszcze w tamtych czasach, sama nic tutaj nie wskóram. To działka Wtoruszyna i Fiedułowa. Jakoś nie chce mi się wierzyć w zapał Fiedułowa, chociaż wspominał, że nie może spokojnie spać, póki po mieście krąży szaleniec, jego mama odwiedza klub, więc się o nią boi, ale w gruncie rzeczy facet pozoruje tylko robotę i właściwie wszystko jest na mojej głowie. Widzisz, jak mi wciąż przybywa zadań?

Kumpelka najwyraźniej to dostrzegła, bo polizała welwetowe kapcie i stopy w cienkich rajstopach.

– Współczujesz mi, moja kochana – powiedziała z wdzięcznością Nastia. – Ale przeoczyłyśmy jeszcze jedną bardzo ważną rzecz, z którą sobie nie poradzę i którą też będę musiała obciążyć wywiadowców. Jeżeli oba przestępstwa popełniły różne osoby, to skąd drugi zabójca znał szczegóły pierwszego morderstwa? Nasuwają się tylko dwa rozwiązania, jedno gorsze od drugiego pod względem ogromu pracy. Rozwiązanie pierwsze: drugi zabójca znajdował się wśród ludzi, którzy zobaczyli pierwsze ciało. Może to ten sam człowiek, który znalazł martwą Koriaginę i wezwał milicję. Może przechodził obok i się

zatrzymał, czekał razem z innymi gapiami na milicję, obserwował oględziny miejsca zdarzenia. Miejsce oczywiście oznakowano i niepowołane osoby nie mogły się zbliżyć, ale przecież zanim przyjechała milicja, każdy mógł podejść do ciała i wszystko dokładnie obejrzeć. Jak znaleźć tego człowieka? Milicja ma dane osoby, która wezwała patrol, a także świadków, ale jak zidentyfikować resztę, tych, co stali obok i wszystkiemu się przyglądali? I rozwiązanie drugie: szczegóły zabójstwa Koriaginy wyciekły od osoby związanej z dochodzeniem. Śledczy, wywiadowcy, technik kryminalistyki, eksperci, w tym również lekarz sądowy, dyżurni milicjanci, szefostwo wydziału kryminalnego, kierujący dochodzeniem – wszystkich nie sposób wymienić. Każdy mógł powiedzieć coś w domu, rodzinie albo znajomym. Właściwie oba rozwiązania są nieciekawe, pracy jest co niemiara i nie wiadomo, czy Wtoruszyn i Fiedułow się do niej zabiorą, zwłaszcza że Fiedułow dał jasno do zrozumienia: nie wierzy, że „swoi” mają z tym coś wspólnego i gotów jest skoczyć do gardła każdemu, kto spróbuje podważyć reputację organów ścigania. Odnoszę wrażenie, że obaj nie palą się do rozwikłania zagadki zabójstw. Wolą, by sprawy pozostały umorzone, ponieważ codziennie popełniane są nowe przestępstwa, którymi też muszą się zająć, a jeśli mieliby prowadzić jednocześnie stare sprawy, doba okaże się za krótka. Jeśli chodzi o mnie, zrobię oczywiście, co w mojej mocy, choć nie wiem, jak i kiedy. Ale się wpakowałam! A przecież jest jeszcze hipoteza, że oba zabójstwa popełnili ludzie, którzy chcą przejąć dwór Biegorskiego. Ja jednak nad nią nie pracuję, bo przerwa czasowa między

przestępstwami jest za duża. Poza tym wyraźnie mnie uprzedzono, że mam się trzymać z daleka, milicja sobie z tym poradzi, jeżeli zechce, a ja mam ochotę jeszcze pożyć. Co za licho podkusiło Stasowa, że mnie tu wysłał!

W jej głosie było widocznie tyle rozpaczy i błagania, że serce psa nie wytrzymało. Kumpelka wstała płynnym ruchem, oparła przednie łapy na kolanach Nasti i zaczęła ją lizać po twarzy. Nastia omal się nie rozpląkała ze wzruszenia.

– Dziękuję ci, moja dobra Kumpelko, że mi współczujesz i że mnie rozumiesz – mówiła, głaszcząc psa po szyi i grzbiecie. – Nie mam w tym mieście nikogo prócz ciebie. Dam ci teraz serdelka, a później wrócisz do schroniska, dobrze? Szczerze mówiąc, zabrałam serdelka z restauracji, żeby cię nim uraczyć jutro, ty jednak bez szemrania wysłuchałaś dzisiaj takiego potoku bredni, że należy ci się nagroda za cierpliwość. Właściwie bardzo mi pomogłaś, w głowie miałam zupełny mętlik, a gdy wypowiedziałam wszystko na głos, myśli się nieco uporządkowały. Chodźmy do kuchni, mam tam dla ciebie schowaną kiełbasę, bardzo smaczną, grubą i soczystą!

Serdelek został pochłonięty z mlaskaniem, postękiwaniem i wyraźnym zadowoleniem, po czym Kumpelka posłusznie pozwoliła przypiąć smycz do obroży i odprowadzić się do schroniska. Nastia zdążyła przed dziesiątą, więc nie musiała prosić ochrony o klucze.

– Idź spać, Kumpelko – powiedziała czule do psa, zamykając zasuwę. – Jutro znowu do ciebie przyjdę. Wybierzemy się na spacer, a później pójdziemy do mnie i dam ci coś smacznego.

Pies stał przy kracie i nie zamierzał nigdzie iść. Wcisnął głowę między pręty i usiłował polizać Nastię w rękę.

– Boże, trzeba mieć serce z kamienia, żeby cię zostawić – jęknęła Nastia. – Przy tobie tracę siłę woli. No, Kumpelko, moja kochana, puść mnie, ja też muszę się położyć, podobnie jak ty. Zobaczymy się jutro.

Pies zaskomlał żałośnie i nieśmiało szczechnął, patrząc oddanym, smutnym wzrokiem. Nastia nie wytrzymała, odsunęła zasuwę i otworzyła kratę, a Kumpelka tak szybko, jak jej na to pozwalał podeszły wiek, wypadła na wybieg i z radością zaczęła krążyć koło Nasti, unosząc łeb do góry i usiłując pochwycić jej spojrzenie. Nastia przykucnęła i objęła psa za szyję.

– Ja też cię kocham. Ale nie mogę zostać do jutra ani cię zabrać. Musimy się liczyć z okolicznościami. Bądź mądra, kochanie, wracaj do siebie i się połóż. Obiecuję, że wpadnę do ciebie jutro z samego rana.

Kumpelka chyba jednak nieźle rozumiała ludzką mowę. Poza tym kundle są bystrzejsze niż ich rasowi bracia, czasami muszą sobie radzić w trudnych do wyobrażenia warunkach. Pies sapnął, polizał Nastię po twarzy i powłókł się do boks, całym swoim wyglądem manifestując smutek i posłuszeństwo.

Nastia otarła łzy, które stanęły jej w oczach, zamknęła boks i opuściła schronisko. Była już na ścieżce prowadzącej do oficyny, gdy nagle zauważyła jakieś cienie obok pobliskiego garażu. Poczowała ciekawość, więc przekradła się w stronę masywnego murowanego budynku i ukryła za grubym pniem drzewa.

Koło garażu stały trzy osoby i rozmawiały o czymś cicho. Chociaż

Nastia wyteżęła słuch, udało jej się rozróżnić tylko oddzielne słowa. Dwa głosy były męskie, a trzeci należał do kobiety.

– ...milicja... dowiedzą się... nikomu nie mówcie... dobrze... katastrofa...

Nastia słyszała lepiej, niż widziała, więc musiała zaryzykować i podkraść się bliżej, żeby cokolwiek zobaczyć. Na szczęście w pobliżu znajdowało się jeszcze jedno drzewo, za którym mogła się schować, i teraz udało jej się dostrzec, że kobieta przekazała jednemu z mężczyzn jakąś paczkę, którą ten natychmiast schował pod kurtkę. Z bliższej odległości Nastia w końcu go rozpoznała: był to Kostia Jeremiejew.

Trójca się pożegnała, Kostia został na miejscu, oparty plecami o ścianę garażu, a pozostali ruszyli ścieżką w stronę alei prowadzącej od głównego budynku do bramy. Nastia przywarła do drzewa, gdy ją mijali. Teraz ich też rozpoznała, byli to Putilinowie, starsze małżeństwo, z którym dzisiaj rozmawiała. Przez pewien czas Kosti nie było widać, Nastia musiała poczekać jeszcze z dziesięć minut, dygocząc z zimna, zanim od ściany garażu oderwała się niewyraźna postać i zniknęła w ciemności.

To, co zaobserwowała, było bardzo dziwne, a nawet zatrważające. Jakie tajemnicze sprawy łączyły informatyka Kostię z Putilinami? Zwyczajnych spraw można było wymyślić tysiące, ale przecież spotkanie odbywało się późnym wieczorem, w mroku, koło garażu, a nie w salonie głównego budynku, wszyscy mówili półgłosem albo szeptali, Putilina przekazała Kosti jakąś paczkę... Nie ma wątpliwości, że z Kostią coś jest nie tak. Trzeba się temu przyjrzeć.

Może jedno z Putilinów jest potomkiem rodu Rumiancewów, a Kostia został zwerbowany do pomocy? Albo na odwrót, Kostia jest potomkiem, a Putilinowie mu pomagają?

Gdy Nastia dotarła do swojego apartamentu, okazało się, że chowając się za jednym, a później drugim drzewem, stała w głębokim śniegu, czego w ferworze śledzenia w ogóle nie zauważyła. Teraz jej wspaniałe, modne i drogie dzinsy były mokre do kolan, nogi zaś miała lodowate i prawie straciła w nich czucie. Tego tylko jej brakowało! Umieściła dzinsy na grzejniku i naląła gorącej wody do wanny. A przecież musi jeszcze napisać raport... Do diabła, i to ma być życie?!

ROZDZIAŁ 6

Poranek rozpoczął się od miłej niespodzianki. Najpierw wszystko układało się jak zwykle nie po myśli – dzinsy na grzejniku nie wyschły, ponieważ były źle ułożone, a przez otwarty lufcik do pokoju napłynęło wilgotne powietrze, więc Nastia musiała je suszyć suszarką do włosów. Za to później, gdy ulokowała się w wygodnym fotelu, piła drugi kubek kawy i jadła drożdżówkę z serem kupioną poprzedniego dnia w klubie, wydarzyło się coś niespodziewanego.

Rozległo się pukanie do drzwi i w apartamencie zjawił się Dmitrij Fiedułow z pudełkiem ciastek w rękach.

– Proszę nam wybaczyć, Anastazjo Pawłowno, że panią zaniedbaliśmy – powiedział ze skruchą, zdejmując ciepłą puchową kurtkę i wysokie, ciężkie buty. – Niech pani nie myśli, że zapomnieliśmy, po prostu jesteśmy zawałeni robotą. Poczęstuje mnie pani herbatą?

Nastia od razu przestała się gniewać i na niego, i na Wtoruszyna, mimo że ten nie oddzwonił jednak w sprawie dawnych problemów biznesowych Romana Jarcewa. Czyżby potrzebował aż tyle czasu, żeby skontaktować się z kolegami z OBEP-u⁶ i zasięgnąć języka? Jednakże Dmitrij nie pozwolił jej, żeby podsycala w sobie słuszny gniew.

– Ilja prosił, żeby pani przekazać, że pytał w OBEP-ie o męża

Jarcewej. Nic na niego nie mają. Prowadził interesy uczciwie, nigdy nie wysunięto wobec niego żadnych zarzutów ani podejrzeń. Tak więc Aida Borisowna raczej nie mogła czegoś się o nim dowiedzieć, bo nie robił nic nielegalnego. Jest czysty jak łąza. Właściwie dziwię się, jak ze swoją patologiczną uczciwością udaje mu się prowadzić interesy. Jakoś sobie jednak radzi, skoro do tej pory nie splajtował.

No właśnie, pomyślała Nastia. Jakoś sobie radzi. Ciekawe jak? Możliwe, że tu właśnie leży pies pogrzebany.

Podawała gościowi herbatę i otworzyła pudełko z cukierni. Ciastka były malutkie, jak to się mówi, na jeden kęs, ale było ich dużo, i to różnych. Świetnie! W końcu jakaś miła rzecz tego ranka.

– Właściwie przyszedłem do pani z jeszcze jedną sprawą – ciągnął Fiedułow. – Nie mogę przestać myśleć o szaleńcu... Minęło dużo czasu, mamy pełne ręce roboty, codziennie coś się dzieje, człowiek przestaje myśleć o jednej sprawie i zajmuje się kolejną, więc niektóre rzeczy kojarzy dopiero po czasie. Gdy pani przyjechała i zaczęła wypytywać o tamte dwa zabójstwa, znowu powróciłem do nich myślami. I doszedłem do następującego wniosku: szukaliśmy szaleńca wśród osób mieszkających w Tomilinie, uruchomiliśmy informatorów. A jeśli ten człowiek nie żyje? Na przykład odebrał sobie życie w akcie szaleństwa. Albo zwyczajnie umarł na jakąś chorobę. Albo trafił za kratki za jakieś przestępstwo. Albo nie za kratki, ale do zamkniętego szpitala na przymusowe leczenie. Albo padł ofiarą morderstwa na tle obyczajowym i tak dalej... Co pani na to?

– Rozumowanie wydaje się logiczne – musiała przyznać Nastia.

Właściwie już dawno należało o tym pomyśleć, ale Fiedułow ma rację, że tylko w dużych metropoliach są wydziały zabójstw, a w osiemdziesięcioletnim mieście wydział kryminalny zajmuje się wszystkimi czynami noszącymi znamiona przestępstwa. Nie można skupić się wyłącznie na poszukiwaniach seryjnego zabójcy, skoro codziennie dochodzi do kradzieży z włamaniami, rozbojów, gwałtów, chuligańskich wybryków, bójek na tle obyczajowym albo innych ekscesów.

– Zamierzam nad tym popracować – powiedział Fiedułow, sięgając po kolejne ciastko. – I pomyślałem, że pani jako specjalistka od wyjaśniania zabójstw mogłaby mi coś doradzić, podpowiedzieć. Proszę pamiętać, Anastazjo Pawłowno, że jestem bardzo interesowny, przyzwyczailem się czerpać korzyść ze wszystkiego, co mi wpadnie w rękę, więc skoro los dał mi możliwość współpracy ze stołecznym specem, w dodatku z tak dużym stażem, nie zmarnuję okazji. W swoim czasie miałem szczęście pracować z Aidą Borisowną Pawłową, wiele się od niej nauczyłem, a teraz chcę się nauczyć od pani. Co pani na to?

Nastia poczuła się nieswojo. Ten wielki, barczysty facet z potężnymi bicepsami i silnymi dłońmi, major, który ma pewnie z piętnaście lat stażu, zamierza się od niej czegoś nauczyć? Bzdura! Czego ona może go nauczyć? Ona, która nie zajmowała się niczym innym, jak tylko zabójstwami i gwałtami, będzie uczyć jego, wywiadowcę, który zjadł zęby na prowadzeniu spraw o przestępstwa z połowy artykułów kodeksu karnego! Koń by się uśmieł. A może on po

prostu z niej szydzi?

– Nie piszę się na to – surowo odparła Nastia. – Nie przyjechałam tutaj, żeby kogokolwiek pouczać i opowiadać, jak należy wykrywać przestępstwa, zna się pan na tym nie gorzej ode mnie, a może nawet lepiej. Przyjechałam wyłącznie dlatego, że zlecono mi zbadanie sprawy dwóch zabójstw, bardzo liczę na pańską pomoc, ponieważ to leży również w pańskim interesie. I tyle.

– Niech pani da spokój, Anastazjo Pawłowno. – Fiedułow roześmiał się, błyskając białymi, mocnymi, ale niezbyt równymi zębami. – Co pani wygaduje? Obraziła się pani, że nie rzuciliśmy się z Iljuchą od razu do pomocy? Musi nas pani zrozumieć, mamy roboty po uszy, gonią nas terminy, śledczy naciska, zwierzchnicy stoją nad głową, poszkodowani wysiadują w poczekalni i płaczą rzewnymi łzami. Ale to chyba dla pani nic nowego.

– Owszem. – Nastia uśmiechnęła się ugodowo. – Nie chowam urazy. A czemu Ilja nie przyszedł z panem? Jest zajęty? Czy nie ma ochoty uczyć się od stołecznego specy?

Fiedułow sposepniał i odwrócił wzrok. Wszystko jasne, z Ilją Wtoruszynem są jakieś problemy. Pewnie ma za nic ekspertkę ze stolicy. Chociaż trzeba przyznać, że prośby Nasti wykonuje sumiennie... Więc co z nim nie tak?

– Chyba się pani domyśla – zaczął wolno Fiedułow, nie odrywając oczu od swojego kubka – że Iljucha absolutnie się ze mną nie zgadza. Szukam szaleńca. I mam w nosie, co na ten temat sądzą moi zwierzchnicy. Jestem człowiekiem trzeźwo myślącym, więc rozumiem,

że nie potrzebują szaleńca w mieście, wolą, żeby motywy zabójstw były osobiste, bo to upraszcza sprawę i pozwala uniknąć zarzutów dotyczących niewłaściwej profilaktyki. Natomiast Ilja chodzi na pasku przełożonych, spija z ust każde ich słowo i robi karierę, więc nie będzie się wysilał nad hipotezą o szaleńcu. To go nie interesuje. Woli dostarczyć szefowi jednego lub dwóch poczytalnych zabójców. Więc nie liczyłbym na jego pomoc w tym względzie. Przykro mi, ale taka jest prawda.

Nastia nie usłyszała nic nowego, już pierwszego dnia powiedziano jej o odmiennych stanowiskach dwóch wywiadowców. Nie myślała jednak, że sprawa zaszła tak daleko.

– Rozumiem, że nie mogła się pani do mnie dodzwonić i dlatego poprosiła o pomoc Iljuchę – ciągnął Dmitrij. – Obiecuję jednak, że od tej pory będę zawsze dostępny, w razie potrzeby proszę natychmiast telefonować i rozkazywać. Zrobię, co w mojej mocy. Proszę mi wierzyć, że jestem bardzo zadowolony z pani przyjazdu. Ten szalenciec już prawie od roku nie daje mi spokoju, źle sypiam, wciąż o nim myślę. Moja mama...

– Tak – Nastia kiwnęła głową – mówił pan, pamiętam.

– W takim razie powinna mnie pani zrozumieć. Swietka, moja żona, też ma matkę w Tomilinie. Nie zaznam spokoju, póki on włóczy się po mieście.

Podniósł na Nastię oczy, w których dostrzegła ból i wołanie o pomoc. Czyżby naprawdę tak bardzo się martwił? Coś takiego, z pozoru brutalny osiłek, tymczasem okazuje się, że ma delikatną,

wrażliwą naturę.

– Czy mówi panu coś nazwisko Konstantin Jeriemiejew? – zapytała.

– Konstantin Jeriemiejew – powtórzył w zamyśleniu. – Gdzieś już słyszałem... To chyba pracownik klubu, prawda? Wydaje mi się, że spotkałem to nazwisko wśród świadków.

– Zgadza się – potwierdziła Nastia. – To informatyk z klubu Złoty Wiek.

– No tak! – zawołał Fiedułow z radością. – Teraz sobie przypominam. Zaprowadził mnie do schroniska, wziąłem stamtąd dwa szczeniaki. Taki szczupły, małomówny. A czemu pani o niego pyta?

– Nie podoba mi się.

– Dlaczego? – Fiedułow się zaniepokoił. – Mogę zapalić?

– Oczywiście. – Nastia podsunęła mu popielniczkę i też sięgnęła po papierosy. – Sprawia wrażenie narkomana, nie sądzi pan?

Fiedułow wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem? Dobrze mu się nie przyglądałem, był świadkiem, nie miałem żadnych podstaw, żeby go podejrzewać. A co panią zaniepokoiło?

– Zmiany nastroju, bełkotliwa mowa, próby ukrycia twarzy... Trudno to ubrać w słowa, chodzi raczej o odczucia, rozumie pan?

– Rozumiem, to się zdarza. Więc sądzi pani, że jest zabójcą?

– Na razie nic nie sądzę – z irytacją odparła Nastia. – Widzi pan, jaki się wyłania obraz? Ktoś uważa się za potomka rodu Rumiancewów posiadającego prawo do starego dworu. Przyjmijmy to

za punkt wyjścia do rozważań. Ten ktoś chce, żeby klub został zamknięty, a dwór opustoszał. Z jakiegoś powodu sądzi, że likwidacja klubu rozwiąże jego problem. Człowiek zdrowy na umyśle nigdy by tak nie pomyślał, ale on jest niespełna rozumu, więc mógł to sobie wmówić. No więc postanawia zadać druzgocący cios klubowi i zabija Galinę Koriaginę, aktywistkę klubową, w dodatku robi to w sposób demonstracyjny, sugerując, że jej śmierć wiąże się ze starą legendą. Rozbite lustro, kolczyk wyrwany z ucha. Rozumie pan?

– Oczywiście – przytaknął Fiedułow. – Niech pani mówi dalej.

– Zamierzony cel nie został jednak osiągnięty, morderstwo wstrząsnęło miastem, ale nie zniszczyło reputacji klubu. Zbrodniarz odczekał więc pół roku i popełnił jeszcze jedno zabójstwo, którego ofiarą padła Aida Pawłowa. I znowu mamy demonstracyjny związek z legendą, lustro i kolczyk. Tym razem zabójca posunął się jednak dalej. Sprawił, że legenda dotarła do ogółu.

– Niby jak? – Fiedułow od razu jej przerwał. – Dziennikarka wszystko wymyśliła, to przecież oczywiste. A może pani zdaniem była z nim w zмовie?

– Całkiem możliwe – przyznała Nastia. – W każdym razie nie odrzucam tej hipotezy. Spotkałam się z Nataszą Malec, a pan?

Fiedułow zachmurzył się i spuścił głowę.

– No właśnie – skonstatowała Nastia. – Nie znalazł pan wolnej chwili, bo był pan pewien, że wszystko już wie. Tymczasem Natasza opowiedziała mi ciekawą historię o niejakim Arkadiju Woldemarowiczu, historyku z Petersburga, który po zabójstwach

Pawłowej i Koriaginy przyjechał, żeby zebrać materiał, a zarazem opowiedzieć starą legendę rodu Rumiancewów. Znał ją pan przedtem?

– Nie, przeczytałem dopiero w gazecie.

– A widzi pan. Żadna z osób, z którą rozmawiałam, nie miała o niej zielonego pojęcia, póki nie pojawił się artykuł. Wysnuwam z tego w pełni uzasadniony wniosek, że żadnej legendy nie było, że wszystko jest częścią uknutego planu, choć u jego podstaw leży rzeczywisty obłąd Rumiancewów. Najpierw zostaje popełnione pierwsze zabójstwo i przestępca wprowadza rytualne szczegóły odpowiadające legendzie. Inna sprawa, że zgodnie z planem legenda miała być nagłośniona od razu po zabójstwie Koriaginy. Ale z jakiegoś powodu do tego nie doszło.

– Z jakiego? – Dmitrij podniósł wzrok.

– Któż to może wiedzieć? – Nastia się uśmiechnęła. – Prawdopodobnie chodzi o Arkadija Woldemarowicza, który miał przyjechać i spotkać się z dziennikarką. Ale nie wiedzieć czemu tego nie zrobił. Może zachorował, a może coś mu przeszkodziło. Fakt pozostaje jednak faktem: historyk nie zjawił się po pierwszym zabójstwie. Minęło trochę czasu, klub Złoty Wiek nadal prosperuje, nie ma mowy o jego zamknięciu. Co robi nasz obłąkany spadkobierca?

– Popełnia jeszcze jedno zabójstwo.

– Zgadza się. Ale wcześniej upewnia się, że tym razem Arkadij Woldemarowicz nie zawiedzie, przyjedzie i wykona swoją misję. Nie wykluczam też, że nasz świr i historyk mogą być krewnymi albo bliskimi znajomymi. Początkowo podejrzewałam nawet, że Arkadij

Woldemarowicz jest zabójcą, ale później doszłam do wniosku, że to byłoby możliwe w wielomilionowej Moskwie, w waszym osiemdziesiątysięcznym mieście istnieje zbyt duże ryzyko, że zostałby rozpoznany. Jeżeli zabójca jest związany z klubem, nie będzie udawał przed dziennikarką historyka z Petersburga choćby dlatego, że dziewczyna w każdej chwili może zjawić się w posiadłości, żeby omówić jakieś szczegóły potrzebne do artykułu, i się na niego natknie.

– Ma pani rację. Co dalej?

– Dalej znowu nic się nie dzieje. W mieście nadal huczy od plotek, niektórzy członkowie klubu przestają go odwiedzać, ale ogólnie rzecz biorąc, nie ma to większego wpływu na jego funkcjonowanie. I nagle właścicielka salonu fryzjerskiego znajduje w swoim salonie rozbite lustro.

– Co?! – Fiedułow wybałuszył oczy. – Co pani powiedziała?

– To, co pan słyszał. Tamara Nikołajewna Winogradowa przyszła rano do swojego salonu, otworzyła drzwi i zauważyła rozbite lustro na ścianie. Nie wszczęła alarmu, tylko zapytała dyskretnie sprzątaczkę, czy to ona je stłukła. Okazało się, że nie.

– Do licha, nic o tym nie wiedziałem – z irytacją oznajmił Dmitrij. – Dlaczego nie zgłosiła tego na milicję?

– Niech pan tylko posłucha, co pan wygaduje, Dima! – Nastia parsknęła śmiechem. – Jak by pan zareagował, gdyby ludzie zaczęli pana nachodzić z powodu stłuczonych luster? Posłałby pan takich petentów do wszystkich diabłów, to oczywiste.

– Też racja – wybąkał przygnębiony Fiedułow. – Ale tutaj zachodzi

szczególny przypadek, mamy do czynienia z szaleńcem, więc każdy dowód...

– Proszę pamiętać, Dima – o tym, że chce pan za wszelką cenę znaleźć szaleńca, wie tylko pan. Dla całej reszty, wy, wywiadowcy, a także wszyscy milicjanci, jesteście łapówkarzami i wałkoniami, którzy nienawidzą ludzi za to, że przeszkadzają wam się byczyć. Nie będziemy teraz roztrząsać, kto jest temu winien, że społeczeństwo tak myśli, ale to fakt, z którym będziemy musieli się liczyć. Wróćmy do naszej sprawy, bo później znowu coś się wydarzyło.

– Co jeszcze?

W głosie Fiedułowa zabrzmiała prawdziwa desperacja. To zrozumiałe, dowody i fakty ma pod nosem, a nic o nich nie wie. Przykra sprawa.

– W grudniu, tuż przed Nowym Rokiem, ktoś porzucił w holu głównego budynku pukle włosów. A raczej ścinki, które zostały ukradzione z salonu Tamary Nikołajewny Winogradowej. Niech pan sobie przypomni legendę, pojawiły się tam wyrwane włosy.

– Ładna historia! Co tu się wyprawia? Dlaczego nic o tym nie wiem? Teraz to oczywiste, że szaleńca trzeba szukać w klubie albo w jego pobliżu. Wygląda na to, że nasz świr najpierw zamordował dwie kobiety, a później zadbał o odpowiednią scenerię?

– Ogólnie rzecz biorąc, tak. – Nastia skinęła głową. – Chociaż brak w tym logiki, zwykle zaczyna się od tworzenia scenerii, a dopiero później przystępuje do tego, co najważniejsze. W tej sytuacji nie możemy jednak odwoływać się do logiki, ponieważ chodzi o szaleńca.

Może zamordował dwie osoby i uświadomił sobie, że kolejne zabójstwo przerasta jego siły. Albo jest zbyt niebezpieczne. Albo nie jest już potrzebne, dwa morderstwa wystarczą, żeby później stopniowo, krok po kroku, dopiąć swego. Niech pan zwróci uwagę, że oba niewinne zdarzenia tak czy inaczej wiążą się z Tamarą Nikołajewną.

– A to ma jakieś znaczenie? – Fiedułow nie zrozumiał.

– Ogromne. Tamara jest kochanką Biegorskiego, właściciela klubu.

– Tak, pamiętam, ktoś mi o tym wspominał.

– A pan nie zwrócił uwagi – przygadała mu Nastia. – No więc Biegorski jest niezwykle przywiązany do Tamary i bardzo ją kocha, jeśli ona wyjedzie z Tomilina, on też tutaj nie zostanie, zamknie klub i już nie wróci. A zatem przestępca specjalnie uderza w Tamarę, żeby puściły jej nerwy. A teraz niech mi pan powie, czy Konstantin Jeremiejew pasuje do roli takiego drania?

Nastia umyślnie nie wspomniała Fiedułowowi o tajemniczym spotkaniu przy garażu. Niech się zastanowi i odpowie na podstawie tego, co od niej usłyszał, ponieważ jej opowieść jest oparta wyłącznie na domysłach, a wczorajsze spotkanie z małżeństwem Putilinów to już fakt, którego nie da się zignorować.

– Czy ja wiem? – powoli odparł Dmitrij. – Może i tak. Gdyby zrobił na mnie wrażenie szaleńca, zwróciłbym na to uwagę jeszcze wtedy, rok temu. A skoro nie zwróciłem, to znaczy, że nie odniosłem takiego wrażenia. Może się pani myli?

– Pewnie tak – odparła Nastia z westchnieniem. – Pewnie się mylę. Ale trzeba to sprawdzić. Bo sprawdzać trzeba wszystko, Dima. Mój

szef uczył mnie przez wiele lat, że zajmowanie się tylko jedną hipotezą jest bardzo niebezpieczne. Mówię panu o tym wszystkim, bo mam do pana prośbę: proszę odszukać Ałłę Iwanownę Jarcewą.

– Jarcewą? – Fiedułow zmarszczył czoło, wyęzając pamięć. – A kto to taki?

– Psychoterapeutka, dwa razy w tygodniu przyjmowała pacjentów w klubie, parę miesięcy temu przeprowadziła się z mężem do stolicy obwodu. Co z panem, Dima? Przecież przed chwilą przekazał mi pan informacje na temat Jarcewa, a teraz nie pamięta pan nazwiska?

– A więc chodzi o jego żonę? – Fiedułow się domyślił. – Do licha, że też od razu nie skojarzyłem. Iljucha powiedział mi, że interesuje się pani jakimś Romanem Jarcewem w związku z Aidą Borisowną, i prosił, żebym pani przekazał... A ja nie wnikałem, poprosił, no to przekazałem.

I dlatego sprawy zabójstw pozostają nierozwiązane, ze smutkiem pomyślała Nastia. Nie wnukacie, nie kojarzycie faktów, niczego nie zapamiętujecie i niczym się nie interesujecie.

– Odkryłam, że Ałłę Iwanownę łączył bliski związek z Jeriemiejewem – powiedziała oschle. – A poza tym z racji swojego zawodu powinna była rozpoznać u Jeriemiejewa cechy osobowości psychopatycznej, jeśli facet rzeczywiście jest chory. Może pan ją znaleźć i mnie z nią skontaktować?

– Tak, oczywiście – smętnie wybąkał Dmitrij. – Zajmę się tym.

Nasti nagle zrobiło się żal tego potężnego, silnego mężczyzny, który był teraz zbity z tropu i przygnębiony własnymi potknięciami. Tym

chyba różnią się funkcjonariusze na prowincji od detektywów w stolicy: cokolwiek by tamtym wytknąć, popełnione błędy czy naruszenie przepisów, w ogóle ich to nie wzrusza, patrzą rozmówcy śmiało w oczy i uśmiechają się, jakby nic się nie stało.

Nastia i Dmitrij wypili jeszcze po dwa kubki kawy, dokończyli ciastka, wymienili się różnymi informacjami, podzielili refleksjami i rozstali całkiem zadowoleni. Tak się przynajmniej zdawało Nasti Kamińskiej.

*

W południe Nastia przypomniała sobie, że rano miała odwiedzić Kumpelkę. I w tej samej chwili skarciła się w myślach. Boże, co jej chodzi po głowie? Czy pies może tak dobrze rozumieć ludzką mowę, żeby czekać na nią od wczesnego rana? Pewnie wyczuwa tylko intonację, nic poza tym. Mimo to było jej wstyd za mimowolne oszustwo, więc postanowiła wpaść do schroniska chociaż na parę minut. Pogłaszczę ją tylko, mówiła sobie Nastia, pośpiesznie wciągając kurtkę i buty, pogłaszczę i zaraz wracam do pracy.

Na dworze sypał śnieg. Był jak koronkowa zasłona przed oczami, przeszkadzał patrzeć, osiadał na rzęsach, spływał mokrymi kroplami po policzkach i szyi niedokładnie okrytej szalikiem. Nastia szła aleją, myśląc, że tylko w dzieciństwie widziała tak dużo białego, puszystego i czystego śniegu. W Moskwie nie wiedzieć czemu ulice są zawsze zabłocone, nawet jeśli jest sporo śniegu, więc człowiek nie

widzi prawdziwej zimy, ma tylko przykre wrażenie brudu, a po głowie snują mu się uporczywe myśli, że z powodu korków nigdzie się nie dostanie. W Moskwie Nastia nie lubi, gdy pada śnieg, i się go boi, a tutaj, w cichym prowincjonalnym mieście, w starym dworze, wydaje jej się, że nie ma nic piękniejszego niż sypiący w ciszy puszysty śnieg.

Kumpelka czekała na nią, stojąc przy kratkach boksu. Na widok swojej nowej znajomej pomachała ogonem, a Nastia nawet odniosła wrażenie, że się uśmiechnęła. Ale psy nie potrafią się przecież uśmiechać. Pewnie jej się przywidziało.

– Przepraszam – powiedziała Nastia ze skruchą, wypuszczając Kumpelkę na wybieg. – Zajęłam się pracą, zagadałam i nie zdążyłam do ciebie wpaść. A ty na mnie czekałaś, tak? Czekałaś na mnie, moja dobra, mądra Kumpelko. Jesteś najlepszym psem na świecie...

Nastia przykucnęła, a pies łąsił się do niej, ocierał o nogi i usiłował polizać po twarzy. W kieszeni kurtki odezwała się komórka – dzwonił Wtoruszyn, który oznajmił, że w Petersburgu nie znaleziono żadnego Arkadija Woldemarowicza, doktora nauk historycznych.

– Tak właśnie myślałam – wycedziła Nastia. – Dziękuję. A szukał go pan w hotelach w Tomilinie?

– Naturalnie. – W głosie Wtoruszyna pojawiły się nutki wyższości. – Mamy tylko dwa hotele, więc to nie było trudne. Nie mam dla pani dobrych wieści. Arkadij Woldemarowicz zatrzymał się prawdopodobnie u znajomych. Albo ma dowód na inne nazwisko.

Nastia już miała wracać, ale Kumpelka tak mocno przywarła do niej gorącym, kudłatym ciałem, że musiałyby nie mieć serca, żeby ją

odepchnąć. W porządku, i tak miała zadzwonić, równie dobrze może to zrobić tutaj. Nieszczęsny pies zasłużył na chwilę szczęścia.

Wybrała numer Czistiakowa.

– Loszyk, jesteś jeszcze członkiem WAK-u⁷?

– Na razie mnie nie wyrzucili – żartobliwie odparł mąż. – A czemu pytasz? Ktoś ma problemy ze zrobieniem doktoratu?

– Nie, to raczej ja mam problem. Ze świadkiem. Możesz wejść do bazy danych?

– Oczywiście. A czego potrzebujesz?

– Szukam pewnego doktora nauk historycznych. Nazywa się Arkadij Woldemarowicz, nazwiska nie znam.

– Aleś wymyśliła! Czyżby facet był strasznym zabójcą i gwałcicielem nieletnich?

– Nie, jest raczej współnikiem. Pomożesz mi, Losza?

– Mam inne wyjście? Zrobię, co będę mógł. A czemu tak sapiesz? Przeziębłaś się?

W głosie Aleksieja zabrzmiał niepokój i Nastia się uśmiechnęła. Jak to dobrze, że ma takiego męża, kochanego, troskliwego i niezawodnego.

– Siedzę w kucki i jest mi niewygodnie – wyjaśniła. – Dlatego ciężko oddycham.

– A czemu siedzisz w kucki? – surowo dociekał Aleksiej.

– Bo bawię się z psem.

– Z psem? To coś nowego. Skąd on się wziął?

– Jest bezdomny, więc go pocieszam. A w ogóle to ona, nie on.

– Aha, w takim razie w porządku. – Czistiakow się uspokoił. – To zmienia postać rzeczy. Na kiedy potrzebujesz informacje?

– Im prędzej, tym lepiej. Szczerze mówiąc, jestem pewna, że żaden historyk Arkadij Woldemarowicz nie istnieje, ale muszę to wiedzieć na sto procent.

– Dobra, rozumiem. Miałem zamiar poleżeć sobie na kanapie z książką, ale będę musiał się ubrać i wlec do WAK-u.

– Dziękuję, Losza, jesteś prawdziwym przyjacielem.

Nastia wysiłkiem woli zmusiła się do rozstania z Kumpelką, która posępnie powlokła się w kąt boksu i patrzyła stamtąd z niemym wyrzutem, i wróciła do głównego budynku. Na dzisiaj zaplanowała spotkanie z główną księgową, a zarazem kadrową, Wierą Aleksiejewną Biegorską.

Pokój Wiery Aleksiejewny znajdował się obok gabinetu Biegorskiego, mieli wspólny sekretariat, w którym nie było jednak żadnej sekretarki, i to chyba nigdy. Miękkie fotele dla interesantów, dużo kwiatów w doniczkach i żadnych biurków czy sejfów.

Wiera Aleksiejewna okazała się bardzo miłą osobą, ale najbardziej zdziwiło Nastię to, że wyglądała na znacznie młodszą od Tamary i Andrieja Siergiejewicza. Kamińska z jakiegoś powodu sądziła, że pierwsza żona musi być starsza od czwartej.

Wiera wiedziała wszystko o wszystkich, pracowała w klubie od pierwszego dnia, więc wyczerpująco odpowiadała na pytania. Tak, po publikacji artykułu w „Kurierze Tomilińskim” zwolniły się trzy osoby: księgowy, sprzątaczką i kucharką. Wiera była przekonana, że

wszystko jest wymierzone w Biegorskiego, że ktoś próbuje wykurzyć go z posiadłości i że oba zabójstwa wiążą się właśnie z tym, a nie z usiłowaniami zwrócenia dworu prawnym spadkobiercom. Trzej pracownicy, którzy się zwolnili, bali się, że wkrótce zaczną ginąć nie tylko członkowie klubu, ale też osoby zatrudnione w Złotym Wieku. Uwierzyli w artykuł i w delikatną aluzję dotyczącą spadkobiercy, który walczy o swoją posiadłość. Jeśli chodzi o samą Wierę Aleksiejewną, nie wierzyła w szaleńca i uważała, że to, co się dzieje, jest rozmyślnym działaniem skierowanym przeciwko jej eksmężowi.

Nastia zadała jej dużo pytań, starannie zanotowała odpowiedzi i wstała, żeby się pożegnać.

– Podoba się pani nasz dwór? – niespodziewanie zapytała Wiera.

– Bardzo – szczerze odparła Nastia. – Jest piękny, a zarazem funkcjonalny.

– Teraz jest piękny – przytaknęła Wiera z zadowoleniem. – Ale gdyby pani widziała, jak go zdewastowano za czasów władzy radzieckiej! To wręcz nie do wiary, że można było doprowadzić do zupełnej ruiny perełkę starej architektury. Nawiasem mówiąc, wie pani, kto prowadził prace restauracyjne? Drugi mąż trzeciej żony Andrieja Siergiejewicza.

Nastia spojrzała na Wierę Aleksiejewną w osłupieniu, nie rozumiejąc tego, co powiedziała. Jaki drugi mąż? Jakiej trzeciej żony? Wiera zauważyła minę Nasti i się roześmiała.

– Tak, tak, wszyscy żyjemy tutaj razem – żony, mężowie, krewni. Czyżby Tamara pani nie opowiadała?

– Opowiadała, ale nie wdawała się w szczegóły.

– W takim razie ja je pani zdradzę. Jestem pierwszą żoną Andrieja, a Tamara najstarszą.

– Ma pani na myśli wiek? – uściśliła Nastia.

– Nie, mądrość życiową – poprawiła ją Wiera Aleksiejewna. – Tamara jest jedyną spośród kobiet Andrieja, która potrafi utrzymać go w ryzach i powiedzieć „nie”. Ani ja, ani dwie następne żony tego nie umiały, bardzo kochałyśmy Andrieja, nadal go szanujemy i jesteśmy z nim w dobrych stosunkach, ale nie potrafiłyśmy z nim żyć. Jedna z nas była z nim dłużej, inna zrezygnowała szybciej, ale wszystkie odeszłyśmy same, dobrowolnie.

– A dlaczego? Czy może to niedelikatne pytanie? – zainteresowała się Nastia, nie kryjąc ciekawości.

– Zamęczył nas swoim rozkazywaniem. Uważał, że nie mamy o niczym pojęcia, nie wiemy, co i jak robić, jak gotować, jakiej użyć patelni, w co się ubrać w kuchni. To było okropne! Pomijając jednak te kwestie, życie z Andriejem dawało duże poczucie komfortu, jest wspaniałym mężem, nie zdradzał, nie pił, rozwiązywał wszystkie problemy. Zachodzę w głowę, jak Tamaroczka Nikołajewna sobie z nim radzi, skąd w niej tyle siły i odporności psychicznej! Ale widocznie jakoś jej się udaje. Dla dobra Andrieja chciałabym, żeby ten związek przetrwał. Pod warunkiem że ona wyjdzie za niego za mąż – uściśliła Wiera.

– A może nie wyjść?

– Oczywiście! Rozmyśli się i koniec. Ale jeśli to zrobi, będzie mi

naprawdę przykro, bo życzę Andriejowi szczęścia, zasługuje na nie, jest bardzo dobrym, uczciwym i przyzwoitym człowiekiem.

– Jak to się stało, że zarówno pani, jak i Tamara Nikołajewna pracujecie tutaj?

– Andriusza otacza się grupą sojuszników – wyjaśniła Wiera Aleksiejewna. – Potrzebuje ludzi, którym może zaufać, właśnie dlatego zatrudnił i mnie, i naszą córkę Lenę, i jej męża Sanię, to znaczy mojego zięcia. Ściągnął też Tamaroczkę.

– A gdzie się podziały pozostałe żony? – zapytała żartem Nastia. – Mówiła pani, że były trzy.

– Druga żona wyjechała z nowym mężem za granicę, a trzecia, Anieczka, bywa tutaj regularnie. Jej drugi mąż prowadzi firmę budowlaną i właśnie jego Andriej poprosił o pomoc w odrestaurowaniu dworu. Andriej ma z Anieczką syna Filipa, nawet sobie pani nie wyobraża, jakie to cudowne dziecko! Przedtem Anieczka nie pozwalała Andriejowi widywać się z synem, bała się, że Andriusza ze swoją skłonnością do dyrygowania innymi stłamsi chłopaka tak jak ją, ale teraz Filip często u nas gości, a razem z nim Anieczka.

– Dużą macie rodzinę. – Nastia się uśmiechnęła. – To już wszyscy?

– A gdzie tam! – Wiera wesoło machnęła ręką. – Latem przyjadą jeszcze Denis i Jula.

– A kim oni są?

– Denis to nieślubny syn Rodisława Jewgienjewicza, więc prawie członek rodziny.

– Rodisław Jewgienjewicz też jest z wami spokrewniony? – zdziwiła się Nastia.

– A jakże! Był mężem siostry Tamary Nikołajewny.

– Dlaczego był? Rozwiedli się?

– A skąd, siostra Tamary Nikołajewny nie żyje, Rodisław Jewgienjewicz jest wdowcem. Więc sama pani widzi, że jesteśmy jedną rodziną, stoimy za sobą murem.

To akurat mnie wcale nie cieszy, pomyślała Nastia. Gdy wszyscy są spokrewnieni i wobec siebie lojalni, prawda nigdy nie wyjdzie na jaw. Wszyscy wzajemnie się osłaniają. Omertà. Zmowa milczenia. Dobrze przynajmniej, że Kostia Jeremiejew nie jest niczym krewnym. Ale na wszelki wypadek trzeba zapytać...

– Nie. – Wiera pokręciła głową. – W tym sensie Kostia jest obcy. Chociaż wszyscy mu oczywiście współczują i kochają jak kogoś bliskiego. Bo to naprawdę bardzo dobry i miły człowiek, przez cały ten czas nikomu nie powiedział złego słowa. Nasi klubowicze też go lubią, ma w sobie nieprzebrane pokłady cierpliwości. To żadna tajemnica, że z biegiem lat ludzie stają się mniej lotni, tymczasem Kostik zawsze wszystko cierpliwie wyjaśnia, pokazuje, podpowiada, pomaga, nigdy się nie irytuje i nie podnosi głosu. Złoto, nie człowiek. Ale jeśli chce pani dowiedzieć się czegoś więcej, proszę porozmawiać z Leną, moją córką.

– Przyjaźni się z Kostią? – zainteresowała się Nastia.

– Skąd, Kostia właściwie z nikim się nie przyjaźni, ale Lenka często z nim pracuje, zajmują się wspólnie wieloma sprawami.

– A gdzie znajdę teraz Lenę?

– Przykro mi – Wiera Aleksiejewna rozłożyła ręce – ale dzisiaj jej pani nie spotka. Lenka wyjechała do Kostrowska na spotkanie ze sponsorami, to należy do jej obowiązków, nikt nie potrafi jej odmówić. Ma dar przekonywania. – Na twarzy pierwszej żony Biegorskiego odmalowała się duma. – Ale jutro będzie na miejscu. Jej pokój jest po drugiej stronie korytarza. Trafi pani?

– Oczywiście – zapewniła ją Nastia.

Trudno, z Jeleną Bielakową, żoną Sani, kierownika działu gospodarczego, zobaczy się jutro, a dzisiaj może przeprowadzić parę kolejnych niezobowiązujących rozmów z członkami klubu i poudawać ważną panią socjolog. Chociaż jest też inna możliwość...

Nastia wyjęła telefon i szybko znalazła w nim numer dziennikarki Natalii Malec.

– Wspominała pani, że ma nagranie rozmowy z Arkadijem Woldemarowiczem.

– Owszem – potwierdziła dziewczyna. – Jeszcze go nie skasowałam. Chce pani posłuchać?

– Jeśli to nie kłopot.

– A jednak mi pani nie wierzy? Sądzi pani, że nie było żadnej rozmowy i wszystko sobie wymyśliłam?

W głosie Natalii dały się słyszeć gniew i uraza.

– Wierzę pani, Nataszo, ale chciałabym posłuchać. Proszę się nie gniewać.

– Dobrze – z westchnieniem odparła dziennikarka. – Spotkajmy się

za dwie godziny w tej samej restauracji co poprzednio.

Za dwie godziny. Droga samochodem zajmie najwyżej piętnaście minut, więc jest jeszcze czas, żeby wyprowadzić Kumpelkę. Co prawda na dworze panuje ziąb, w dodatku przez noc i poranek napadało tyle śniegu, że trzeba będzie brnąć przez zaspę, ale pies musi wyjść na dwór, nie może męczyć się w nieskończoność.

Nastia wpadła do restauracji w klubie, kupiła parę kanapek z pastą mięsną i popędziła do schroniska, chwyciła w magazynie smycz i obrozę, otworzyła boks Kumpelki i ze zdziwieniem stwierdziła, że pies ma mokrą sierść na łapach i brzuchu.

– Co to ma znaczyć? – zapytała surowo. – Czemu jesteś mokra? Zsiusiałaś się?

Pies popiskiwał radośnie, opierając przednie łapy na ramionach Nasti i lizając ją po twarzy.

– Byłaś na spacerze! – domyśliła się Nastia. – No oczywiście, ktoś cię wyprowadził! To świetnie. A już się o ciebie martwiłam.

Jak Nastia mogła w ogóle pomyśleć, że jeśli nie wyprowadzi psa, ten będzie tkwił w boksie? Wszystko jest tutaj pewnie zorganizowane, wolontariusze mają dyżury i wyprowadzają psy znajdujące się w schronisku. Chociaż to dziwne, że nie spotkała żadnego z nich... A zresztą nie ma w tym nic dziwnego, nie spacerowała koło schroniska, raczej biegała od głównego budynku do oficyny i z powrotem, tymczasem wolontariusze wyprowadzają psy do parku po tamtej stronie domu. A może wychodzą nawet poza teren posiadłości. Nie na darmo w magazynie przechowuje się smycze, a także obroże w różnych

rozmiarach.

– No to jak, idziemy na spacer? – zapytała Kumpelkę. – Czy masz już dosyć?

Zachowanie starego psa wskazywało, że jest mu wszystko jedno, byleby tylko mógł zostać z Nastią.

– A może wstąpimy do mnie, jeśli nie musisz iść za potrzebą? – zaproponowała Nastia. – Chodźmy, ja trochę popracuję, muszę to i owo zanotować, a ty ze mną posiedzisz. Później wypiję kawę, a ty zjesz kanapki z pastą mięsną, które kupiłam specjalnie dla ciebie.

Pomysł przypadł Kumpelce do gustu, więc ruszyła zważnym truchtem koło Nasti w kierunku oficyny.

⁶ OBEP (*Otdiel po borbie s ekonomiceskimi priestuplenijami*) – wydział do walki z przestępczością gospodarczą.

⁷ WAK (*Wysszaja attiestacionnaja komissija*) – Najwyższa Komisja Atestacyjna.

ROZDZIAŁ 7

Nastia obudziła się wczesnym świtem i ze zdziwieniem zerknęła na zegarek: nie ma jeszcze siódmej, a sen ulotnił się na dobre. Przez chwilę przewracała się z boku na bok w miękkim łóżku pod baldachimem, próbując się zdrzemnąć, ale bezskutecznie – do głowy cisnęły się myśli, jedna dziwniejsza i niedorzeczniejsza od drugiej, a wszystkie dotyczyły szaleńca, który zagnieździł się w dworze Rumiancewów-Łobanowów. Niedługo dostanę bzika od tych rodzinnych podań. I trafię do wariatkowa, stwierdziła z niepokojem Nastia, przyłapując się na obmyślaniu kolejnej hipotezy, w której główną rolę odgrywała Jelena Stanisławowna Murawjowa jako spadkobierczyni Rumiancewów. Co za brednie snują mi się po głowie.

Zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby wstać i wyjść na spacer z Kumpelką, skoro i tak już nie śpi, ale przypomniała sobie, że schronisko jest otwierane o dziesiątej. Tamara oczywiście wspominała, że można wziąć klucz od ochroniarzy... Tak, postanowiła Nastia, tak właśnie zrobię: wstanę, wezmę prysznic, wypiję kawę, ubiorę się i pójdę na spacer. Pies się ucieszy, a ja zażyję trochę ruchu. Szkoda tylko, że na zewnątrz jest tak zimno. A jednak jestem ciężko myśląca, przyznała samokrytycznie, stojąc pod gorącym strumieniem wody. Byłam przecież wczoraj w mieście na spotkaniu z dziennikarką,

mogłam wpaść do jakiegoś sklepu i kupić ciepłą, długą kurtkę. Biegorski co prawda uprzedzał, że w przystępnych cenach są tylko chińskie podróbki, a na rzeczy sprzedawane w butikach nie mam pieniędzy, jeszcze ich nie zarobiłam, ale mogłam kupić nawet chińską podróbkę... Co z tego, że jest marnej jakości, wystarczyłaby na parę tygodni, bo dłużej chyba tutaj nie zabawię. Dzisiaj muszę to załatwić. Warto by też kupić cieplejsze buty albo nawet jakieś zwyczajne kozaki, bo wciąż mam mokre nogi – śniegu jest dużo, a botki są krótkie. I jakiś sweter, najlepiej narciarski, gruby. To jasne, że nie będę się prezentowała jak wielkowiejska dama, ale mam to w nosie, zdrowie jest ważniejsze. Jeśli chodzi o kozaki, chyba się jednak pośpieszyłam, nie wcisnę do nich szerokich nogawek moich wspaniałych dżinsów. Biegorski uprzedzał przecież: dwie pary dżinsów, i to koniecznie wąskich, dopasowanych. Teraz już wiem czemu. A ja wykazałam się oślim uporem, nie posłuchałam go i podałam listę. Z jednej strony rozumiem, dlaczego wszystkie żony od niego odeszły, ale z drugiej muszę przyznać, że to łebski facet.

Nastia zbliżała się już do budki ochrony, gdy nagle boczna brama się otworzyła i wyjechał przez nią samochód. W ciemności nie widziała koloru, ale zauważyła, że to stary ford. Nie znała się na samochodach, więc nie potrafiła stwierdzić, jaki to model. Kto wyjeżdża z posiadłości bladym świtem?

– Dzień dobry – przywitała się z ochroniarzami, z których jeden oglądał telewizję, a drugi kartkował jakąś sfatygowaną książkę. – Chciałabym wziąć psa na spacer. Dostanę klucze od schroniska?

Miłośnik literatury oderwał się od książki i sięgnął do szuflady.

– A pani jest pewnie socjologiem, tak? Tamara Nikołajewna nas uprzedzała. Proszę, oto klucze.

– Dziękuję – odparła Nastia. – A kto tak wcześniej wyjechał?

– Sania.

– Bielakow? – zdziwiła się. – Nocuje tutaj? Myślałam, że nie mieszka w dworze.

– Zgadza się. – Drugi ochroniarz ściszył dźwięk w telewizorze, bo zaczęła się reklama. – Musieliśmy go wezwać. W nocy mieliśmy tu wypadek.

– Jaki wypadek?

– Ktoś wybił szyby w dwóch oknach głównego budynku. Nie zauważyliśmy tego od razu, dopiero podczas obchodu o szóstej. Zadzwoniliśmy do Sańki, obudziliśmy go, a on natychmiast przyjechał, stwierdził, co i jak, i pojechał na giełdę budowlaną po szyby.

Tak, zaczyna się. A raczej nadal trwa. Dwa okna. Wybite szyby. A w szybach odbicie... Znowu wszystko jak w legendzie.

– Ale wy przecież pilnujecie posiadłości, więc jak ktoś obcy mógł się tutaj dostać?

– A czemu pani nas tak egzaminuje? – zripostował bibliofil. – Zrobią to nasi zwierzchnicy. Zaraz zjawi się szef ochrony i wtedy złożymy stosowny raport.

No tak, oczywiście, dlaczego mieliby odpowiadać na pytania jakiegoś socjologa. Trzeba spróbować z innej beczki.

– Ciekawe, jak tam teraz wygląda – odezwała się Nastia

przymilnie. – Mogłabym rzucić okiem?

– Nie ma tam nic do oglądania. Wybite szyby i tyle.

– A czym je wybito?

– Kamieniem, a niby czym? A raczej dwoma kamieniami. Pewnie gdzieś tam się poniewierają.

Nastia zrozumiała, że nic sensownego już nie usłyszy, więc poszła odwiedzić Kumpelkę. Pies jeszcze twardo spał, a gdy się obudził, przez chwilę patrzył na gościa mętными, zdziwionymi oczami, bo o tej porze nigdy go tutaj nie budzono. Później dotarło do niego, że nadeszło święto, ziewnął i pomachał ogonem.

– Idziemy? – Nastia pociągnęła za smycz. – Załatwisz swoje potrzeby, a jednocześnie obejrzymy rozbite okna. Nie chcą nam ich pokazać, ale od czego mamy oczy, sami je znajdziemy.

Przespacerowali się do rotundy, a później zawrócili w stronę głównego budynku i ruszyli wzdłuż oficyny. Wszystkie okna od strony parku były całe, Nastia zauważyła, że dwa od strony dziedzińca są rozbite. Były to okna „zielonego” salonu. Ciekawe, skąd rzucono kamienie, z zewnątrz do środka czy odwrotnie?

– Poszukajmy kamieni – zaproponowała Kumpelce. – Może rzucono je z salonu.

Pies nie był zainteresowany szukaniem jakichś kamieni, wolał obwąchać dwa sąsiednie okna należące do restauracji. Pewnie poczuł stamtąd przyjemny zapach. Zaczynało już świtać, ale widoczność nadal była kiepska, więc mimo starań Nastia nie znalazła kamieni, którymi rozbito okna. Dziwna sprawa, powinny się przecież wyróżniać

na białym śniegu. Pod warunkiem, że rzucono je ze środka. A jeśli z zewnątrz? Wtedy powinny leżeć na podłodze w salonie. Nastia przysunęła głowę do ramy, z której wystawały kawałki szkła, i spróbowała zajrzeć do środka. W salonie było jednak całkiem ciemno, poranne oświetlenie nie wystarczało.

Nastia przeniosła wzrok na parapet i wtedy je zobaczyła – owe intrygujące kamienie. Były zwyczajne, polne. Ktoś je podniósł i pieczołowicie ułożył jeden obok drugiego. Pewnie kierownik działu gospodarczego, uznała Nastia. Dobrze, teraz i tak nie da się z tym nic zrobić, trzeba poczekać, aż wróci Bielakow.

Zaprowadziła Kumpelkę do swojego apartamentu, wypić dwa kubki kawy, poczęstowała psa przyniesioną wieczorem kanapką, napisała i wysłała długi mail do męża, od czasu do czasu spoglądając przez okno, z którego widziała główny budynek. Gdy w oświetlonej szczelinie jednego z rozbitych okien pojawiła się męska postać, Nastia szybko się ubrała, odprowadziła Kumpelkę do schroniska i poszła porozmawiać z Bielakowem.

Zięć Biegorskiego i Wiery Aleksiejewny, Sania Bielakow, był wysokim sympatycznym mężczyzną z prostymi włosami w kolorze ciemnoblonde. Nie miał lewej górnej trójki, ale brak zęba nie szpecił jego szerokiego uśmiechu, przeciwnie, dodawał nawet pewnego uroku szczerzej twarzy.

– Ojej, a co się tutaj stało? – Nastia udała pierwszą naiwną. – Myślałam, że klub jest otwierany dopiero o dziesiątej, a raptem patrzę – ktoś już pracuje.

– Dzień dobry – przywitał ją wesoło Bielakow. – Wiem, kim pani jest. Socjologiem, rozmawia pani z naszymi starszami, Lenka mi wspominała.

– Lenka? To znaczy kto? – Nastia nie przestawała błaznować.

– Moja żona, ona też tutaj pracuje. A ja mam na imię Sania, jestem kierownikiem działu gospodarczego, ale tak naprawdę majstrem do wszystkiego – wykonuję obowiązki ślusarza, cieśli, elektryka, a w razie potrzeby nawet kierowcy. Wszystko klecę i naprawiam. Teraz na przykład wstawiam szyby. Jakiś łobuz wybił je w nocy.

– Co też pan mówi! – jęknęła Nastia. – Jak to się stało?

– Nie mam pojęcia. Spałem w tym czasie u siebie. Ale kamienie rzucono z salonu, znalazłem je na śniegu pod oknami.

– Chce pan powiedzieć, że ktoś dostał się na teren posiadłości i wślizgnął się do domu?

– Na to wygląda. – Sania wzruszył ramionami. – A jak inaczej?

Jak, jak... zwyczajnie. Na piętrze głównego budynku są pokoje gościnne, o ile Nastia dobrze pamięta, zajmują je trzy osoby. Jedna z nich mogła zejść na dół i rozbić okna. Poza tym klucze są u ochrony, więc to żaden problem otworzyć drzwi głównego budynku i wejść do środka. Zwłaszcza że ochroniarze mają wszystkie klucze, w tym do salonu, podczas gdy zamiejscowi goście muszą jakoś zdobyć klucz. W posiadłości nocują też osoby, które mieszkają w oficynach: Tamara Winogradowa, Nastia Kamieńska, Konstantin Jeremiejew i Walerij Wasiljewicz Połosuchin. Nastia nie ma kluczy, zresztą dobrze pamięta, że w nocy spała i nie rozbijała żadnych okien. Tamara? W zasadzie ma

dostęp do wszystkich kluczy, ale po co miałyby wybijać szyby? Bez powodu? Kocha Andrieja Biegorskiego i chce, żeby mu się układało, nie jest zainteresowana likwidacją klubu Złoty Wiek. Pozostają Jeremiejew i Połosuchin. Łącznie siedem osób: dwaj ochroniarze, troje gości, informatyk i niezrównany hafciarz emigrant. A właśnie, myśl o ochroniarzach jest całkiem niezła, czemu wcześniej nie przyszła Nasti do głowy? Jeśli przyjąć, że zabójca krąży wokół dworu, nie należy ograniczać się do członków klubu i pracowników głównego budynku. Czemu to nie może być ochroniarz? Nawiasem mówiąc, Nastia zupełnie zapomniała o ochronie przy głównej bramie, tam przecież też dyżurują dwaj mężczyźni, a więc podejrzani są nie dwaj, ale czterej ochroniarze. Chociaż nie, klucze ma tylko ochrona przy bocznej bramie. Mimo to kwestię ochroniarzy należy uważnie przemyśleć. Nastia zupełnie ją przeoczyła.

Tymczasem Sani Bielakowowi taki pomysł nawet nie wpadł do głowy, sądzi, że okna mógł rozbić jedynie złoczyńca, który przekradł się na teren posiadłości, jednym słowem, ktoś obcy.

– Ciekawe, skąd drań wytrzasnął kamienie? – zapytała Nastia w zamyśleniu. – Dokoła tylko śnieg, polnych kamieni ze świecą szukać, nie poniewierają się na ulicy.

Sania zerknął na kamienie leżące na parapecie, po czym się uśmiechnął.

– Chyba wiem, skąd się wzięły. Takimi samymi kamieniami wyłożona jest górka alpejska w naszym ogrodzie zimowym. Takimi albo bardzo podobnymi.

– Sprawdźmy? – Nastia poderwała się ochoczo.

– Czemu nie? – podchwycił natychmiast Sania.

Idąc szybkim krokiem, dotarli do ogrodu zimowego, w którym Sania pokazał Nasti górkę alpejską. Była niewielka i bardzo zadbana, więc brak dwóch dużych kamieni od razu rzucał się w oczy.

– No proszę, zgadłem. – Bielakow był bardzo zadowolony ze swojej spostrzegawczości. – Jakbym wiedział. Trzeba odłożyć kamienie na miejsce, bo bez nich górka traci na wyglądzie.

Wrócili do salonu, Sania zajął się oknami, a Nastia, niby od niechcienia, kręciła się koło niego i podtrzymywała luźną pogawędkę. Im dłużej rozmawiała z Bielakowem, tym bardziej podobała jej się jego otwartość, opanowanie i pozytywne nastawienie. Jednak im bardziej mężczyzna jej się podobał, tym mniej zaufania budził. Zgodnie ze sprawdzoną zasadą: ten, kto wzbudza największe zaufanie, okazuje się w końcu bezwzględny zabójcą. Bo niby czemu ten sympatyczny i miły Sania, zięć Biegorskiego, nie może być potomkiem Rumiancewów, domniemanym albo prawdziwym? Albo na przykład szaleńcem? Albo prymitywnym naśladowcą prawdziwego przestępcy? Owszem, nie wybił szyb, chociaż i to nie jest do końca pewne, przecież zadzwoniono do niego dopiero po zdarzeniu, kto wie, ile minęło czasu, może dwadzieścia minut, a może nawet dwie godziny, więc mógł bez problemu dotrzeć do domu i zdążyć odebrać telefon. A jeżeli dzwoniono na jego komórkę, mógł stać niedaleko bramy do posiadłości. Kłopot w tym, że Sania ma dostęp do wszystkich kluczy, może wejść wszędzie o każdej porze, mógł też z łatwością

dorobić choćby i po dziesięć kluczy do dowolnego pomieszczenia, żeby je przekazać zainteresowanej osobie. Czego się nie robi dla pieniędzy! Myśl o górce alpejskiej przysłała mu do głowy podejrzenie szybko, jakby wiedział wcześniej. Krótko mówiąc, Bielakowem też trzeba się zająć. Jeśli szukać szaleńca, głównym podejrzanym jest oczywiście Kostia Jeremiejew ze swoimi dziwactwami i ekscentrycznym zachowaniem, ale jeśli wziąć pod uwagę hipotezę mówiącą o umyślnym nacisku wywieranym na Biegorskiego, nikt nie pasuje tutaj lepiej niż Sania Bielakow. Poważni ludzie nie będą wiązali się ze świrem, ale ktoś taki jak Sania, opanowany, sympatyczny, budzący zaufanie, potrzebujący pieniędzy i mający dostęp do wszystkich pomieszczeń w posiadłości, będzie idealny.

*

Zdaniem Tamary Lena Bielakowa odziedziczyła po rodzicach to, co najlepsze, i nie przejęła ich wad. Andriej Siergiejewicz jest człowiekiem zdecydowanym, błyskotliwym, przedsiębiorczym i energicznym, ale gwałtownym, czasami nawet impertynenckim, nie potrafi się dogadywać, iść na kompromis i ustępować. W dodatku nie uważa za stosowne tłumaczyć się ze swoich decyzji, jedynie informuje o nich zainteresowanych, raniąc w ten sposób ich dumę. Tymczasem Lena ma wszystkie pozytywne cechy ojca, ale potrafi się też dogadywać i rzeczowo wyjaśnić, jakie są jej oczekiwania i jak to osiągnąć, potrafi słuchać, analizować, wczuć się w argumenty

rozmówcy i go zrozumieć. Po matce, Wierze Aleksiejewnie, odziedziczyła łagodność, anielską cierpliwość i opanowanie, których brakuje Biegorskiemu.

Lena nie lubiła Konstantina Jeriemiejewa i nawet nie próbowała ukryć swojej niechęci do niego. Nastia pamiętała, że na pytanie, kto w posiadłości wie o jej prawdziwym zadaniu, Biegorski odparł: „Moje żony”, to znaczy, że Lena nie została wtajemniczona i uważała Nastię za socjologa. Dlatego Kamieńska musiała niepostrzeżenie przejść do pytań o Kostię.

– On mi się nie podoba. – Lena uśmiechnęła się ze skruchą, ale jej głos brzmiał zdecydowanie. – Mam wrażenie, że jest dwulicowy.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Tata wybierał do pracy w klubie ludzi o podobnych poglądach, mama jako kadrowa realizowała jego politykę – z każdym, kto przychodził, długo rozmawiała, żeby znalazły się tutaj tylko te osoby, które podzielają punkt widzenia taty, że po przejściu na emeryturę człowiek wkracza w złoty wiek. Z Kostią też musiała długo rozmawiać, więc skoro podjęła decyzję, żeby go zatrudnić, to znaczy, że jej się spodobał, wywarł korzystne wrażenie. Prawda jest jednak taka, że Kostia nie lubi starszych ludzi.

– Jest pani pewna? – zapytała Nastia, szybko zapisując jej słowa w notesie.

– Oczywiście. Nie wspominałabym o tym, gdybym nie była pewna. Doskonale to wyczuwam. Kostia pozwala sobie na lekceważące uwagi i bardzo niestosowne żarty pod ich adresem. Ale jedynie w rozmowach

ze mną. Przy naszych gościach jest uroczy i niewinny. To znaczy, że udaje. Tymczasem starsi ludzie są ufni jak dzieci, biorą wszystko za dobrą monetę i uwielbiają Kostię. Zwłaszcza Putilinowie. Nie mogą się bez niego obejść.

No proszę, na horyzoncie mającą Putilinowie. Ciekawe, co ich łączy z Jeremiejewem?

– Putilinowie? – Nastia zrobiła taką minę, jakby słyszała o nich po raz pierwszy. – Kim oni są?

– To członkowie naszego klubu. Kostia stale się koło nich kręci. A oni wciąż go wołają: „Kostia, komputer nam się zawiesił, Kostia, pokaż, Kostia, nie możemy włączyć, nie możemy wyłączyć, złapaliśmy wirusa, nie radzimy sobie” i tak dalej.

– A co w tym złego? – zdziwiła się Nastia. – To chyba dobrze, że mimo trudności nie rezygnują z nauki, trwają przy swoim i wykazują upór.

– Pewnie tak. – Lena kiwnęła głową w zamyśleniu. – Ale zauważyłam coś jeszcze. Kostia nigdy nie pozwala sobie na złośliwości wobec Putilinów. Wobec innych owszem, ale nie wobec nich. Chyba coś kombinuje.

– Co takiego? – Nastia nie zrozumiała.

– Może planuje przejąć spadek. – Młoda kobieta się uśmiechnęła. – Putilinowie nie należą do biedaków, mają pieniądze, więc Kostia próbuje ich sobie zjednać. Nie wiem, na co liczy, na spadek czy jedynie na finansowe wsparcie, ale jego zabiegi łatwo zauważyć, są żenujące. Nie zdziwię się, gdy się okaże, że staruszkowie już teraz podsuwają

mu pieniążki.

Pieniążki albo jakieś zagadkowe paczki, dokończyła w myślach Nastia.

A jeśli sytuacja jest nieco bardziej złożona? Może jedno z Putilinów jest potomkiem Rumiancewów, a Kostia to ich wspólnik? Pytania się mnożą, a odpowiedzi nie przybywa.

Na koniec Nastia zapytała Lenę o gości zajmujących pokoje na piętrze głównego budynku. Okazało się, że wszyscy troje – dwaj przyjaciele i pani profesor – przyjechali do posiadłości już po Nowym Roku, a więc nie mieli nic wspólnego z rozbitym lustrem i rozrzuconymi włosami. No i dobrze, jeden kłopot z głowy, zostają zatem ochroniarze, Jeremiejew, emigrant Połosuchin i kierownik działu gospodarczego Bielakow.

*

– Proszę – dobiegł zza drzwi głos Tamary – otwarte.

Nastia weszła do apartamentu i się rozejrzała. Właścicielki nie było widać.

– Zapraszam tutaj – rozległo się gdzieś z prawej. – Jestem w pracowni.

Tego pokoju Nastia jeszcze nie widziała, dotychczas Tamara przyjmowała ją w salonie. Drzwi po prawej stronie od wejścia były szeroko otwarte. Tamara stała przy sztalugach i malowała. Pokój był niezwykle jasny, narożny, z czterema oknami wychodzącymi na

południe i wschód.

– Potrafi pani też malować?! – Nastia nie ukrywała podziwu. –
Mogę zobaczyć?

– Oczywiście.

Tamara cofnęła się parę kroków, żeby przyjrzeć się pracy. Nastia podeszła bliżej, przyglądając się niedokończonemu portretowi kobiety w staroświeckiej sukni i z kunsztownie ułożonymi włosami.

– Ładne – powiedziała szczerze.

– Dziękuję, cieszę się, że się pani podoba. To szkic do nowego przedstawienia, które będziemy wystawiać.

– Będzie też pani szyła kostiumy?

– Oczywiście.

– Aż trudno uwierzyć, że potrafi pani i szyć, i malować...

Nastia obejrzała się i zobaczyła na ścianach haftowane obrazki w ramkach.

– ...i haftować. Jak się to pani udaje?

Tamara popatrzyła na nią ze zdziwieniem i z niedowierzaniem.

– Ależ Nastieńko, człowiek nie może zajmować się tylko swoją profesją. Czyżby pani nie miała żadnych zainteresowań poza pracą?

– Nie – przyznała Nastia ze śmiechem. – Kiedyś wykorzystywałam znajomość języków obcych, dorabiałam tłumaczeniami podczas urlopu, ale już od dawna się tym nie zajmuję.

– Dlaczego?

– Dlatego że tłumaczy nie brakuje, dzisiaj znajomość języków to żaden problem, inaczej niż na początku lat dziewięćdziesiątych.

– No a szycie? – Tamara nie ustępowała. – Haftowanie? Robienie na drutach? Gotowanie? Robi pani coś dla przyjemności?

– Nie. – Nastia pokręciła głową. – Przez całe życie pracowałam dla przyjemności, nic innego nie potrafię.

– No a teraz, gdy odeszła pani z pracy?

– Znalazłam sobie następne zajęcie, bardzo podobne.

– A gdy i ono się skończy? Nie może pani wykrywać przestępstw aż do śmierci, są granice fizycznych oraz intelektualnych możliwości człowieka, których nikt nie jest w stanie przekroczyć. Owszem, może pani jeszcze przez wiele lat zachować wspaniałą kondycję, daj Boże, żeby tak było, ale kto wie, co się wydarzy. A jeśli nie będzie pani mogła zajmować się tym, co lubi i umie? Co wtedy?

Rzeczywiście, co Nastia robi, jeśli nie będzie mogła wykonywać ukochanej pracy? Dobre pytanie. Odpowiedź jest bardzo smutna.

– Chyba po prostu umrę – odparła cicho.

Tamara starannie odłożyła pędzle i wytarła ręce w szmatkę.

– To akurat nie jest dobre podejście – powiedziała surowo. – Żyje pani, Nastieńko, na jednej nodze.

– Na jednej nodze? – powtórzyła zdumiona Nastia. – To znaczy jak?

– A tak, że jedyną pani oporą w życiu, jedyną nogą, jest praca detektywa. Gdy ktoś ją pani zabierze, straci pani równowagę i się wywróci. Zawsze trzeba mieć dwie nogi, wtedy pani nie upadnie, a najlepiej trzy albo cztery. Musi pani koniecznie znaleźć sobie coś poza pracą.

– Na przykład co? Mam zająć się haftowaniem?

Nastia nie zauważyła, że jej głos przybrał lekceważący ton.

– A czemu nie? Co w tym złego? Sądzi pani, że to drobnomieszczaństwo? Też tak myślałam, gdy byłam młodą dziewczyną. Wtedy prawie wszystko wydawało mi się drobnomieszczaństwem, z wyjątkiem czytania, malowania i fryzjerstwa. Ale po wielu latach zrozumiałam, że szycie, haftowanie, robienie na drutach, gotowanie i fotografowanie to coś wspaniałego. Można pisać wiersze albo prozę, można malować, zajmować się muzyką, występować w teatrze amatorskim, śpiewać w chórze, być wolontariuszem w jakiejś organizacji, zaczynając od hospicjum, a kończąc na schronisku dla zwierząt. Do wyboru, do koloru, byleby tylko się chciało. A pani powinno się chcieć, to bardzo źle, że tak nie jest. Gdy człowiek ma jakieś zajęcie, nie załamie się, tracąc ukochaną pracę. Na pewno doskonale pani wie, że uwielbiana praca ma jedną wadę: bywa bezduszna i za wszelką cenę usiłuje pozbyć się tych, którzy zbyt mocno się do niej przywiązują. Nie znosi popisywania się i zazwyczaj okrutnie mści się na tych, którzy uczynili z niej swoje bożyszcze. Taka już jest. Niech pani sobie tylko wyobrazi, jak by to było cudownie: przychodzi pani do domu, gotuje coś smacznego, podaje mężowi... A właśnie, co lubi pani mąż?

– W jakim sensie? – Nastia nie zrozumiała.

– Co lubi jeść? Co mu pani zwykle gotuje, jakie są jego ulubione dania?

– Ojej, nie wiem – bąknęła zmieszana Nastia. – Ja właściwie nie gotuję... Nie umiem...

– Niesłychane! – Tamara klasnęła w rękę. – Jak więc sobie radzicie?

– Mąż sam gotuje – wyjaśniła Nastia, po raz pierwszy w życiu czując nagle niedorzeczność swoich słów. – Jem to, co upichci, nie jestem wybredna.

– Wybrzydzenie nie ma tu nic do rzeczy, jako żona i towarzyska życia musi pani wiedzieć, co pani mąż lubi jeść.

– No dobrze, przyznaję, że nie umiem gotować! – z rozpaczą zawołała Nastia. – I co teraz, mam się powiesić z tego powodu? Nie wszyscy mają ten dar.

Tamara nagle się roześmiała.

– Proszę się nie gniewać, Nastieńko, nie mówię przecież o gotowaniu, skoro pani nie umie, trudno. Ale ma pani obowiązek znać gust i upodobania ukochanego męża, jeżeli naprawdę jest tym jedynym.

– Owszem, jest – odparła Nastia z westchnieniem. – Tylko że ja jestem chyba złą żoną.

– W porządku, mąż ugotował coś smacznego, pani chętnie to zjadła, zadowolona, że mąż tak świetnie radzi sobie w kuchni, sprzątnęła pani naczynia ze stołu, zmyła je... Umie pani zmywać naczynia?

– Umie. – Nastia się uśmiechnęła. – I to całkiem nieźle. Czasem zbieram nawet pochwały.

– Świetnie. – Tamara kiwnęła głową z aprobatą. – No więc zmyła pani naczynia, usiadła na kanapie, włączyła telewizor, wzięła koszyk z robótkami i zaczęła haftować...

Tamara omiotła wzrokiem porozwieszane na ścianach robótki i uśmiechnęła się łobuzersko.

– ...zaczęła haftować zająca z marchewką. Zajac jest szaroniebieski, puszysty, ma duże i bystre oczy, okrągły ogonek z pomponika oraz długie uszka, a marchewka jest pomarańczowa, soczysta, słodka, duża, z jaskrawozieloną nacią. Mąż siedzi obok pani, czyta coś albo ogląda telewizję, albo przegląda dokumenty, albo majsterkuje, albo opowiada pani o wspólnych przyjaciółach, których dzisiaj spotkał, albo o niedbałych kolegach z pracy, albo streszcza pani artykuł przeczytany w gazecie, a pani haftuje... A wokół cisza i błogi spokój! Naprawdę pani tego nie pragnie? A później, gdy skończy pani zająca z marchewką, rozłoży pani swoją robótkę, wyprasuje ją, umieści w ramce i powiesi na ścianie, a ona będzie się mieniła kolorami i w mieszkaniu pojawi się jeszcze jeden pogodny punkt. Za każdym razem, gdy pani na niego spojrzy, przypomni sobie tamten błogi spokój i będzie czuła radość. Niech mi pani wierzy, Nastieńko, że w rękodzielnictwie i innych pasjach nie ma nic drobnomieszczańskiego, śmiesznego, nieprzyzwoitego czy wstydliwego. Wszystko, co przynosi człowiekowi spokój i szczęście, jest dobre. Ale widzę, że pani posmutniała – dodała. – Zagadałam panią, tak? Pewnie nie przyszła pani do mnie bez powodu, ma pani jakąś sprawę, a ja tu prawię komunały. Chodźmy napić się herbaty, upiekłam wyborne ciasteczka według przepisu babci. Na pewno będą pani smakowały.

Nastia ruszyła za nią do drugiego pokoju i ulokowała się na

kanapie. Polubiła to miejsce. Tamara przyniosła herbatę i duży półmisek z ciasteczkami, które rzeczywiście okazały się wyjątkowo smaczne, delikatne, pulchne i rozpływały się w ustach.

– Chętnie nauczę panią piec – wesoło zaproponowała Tamara.

– Może innym razem – odparła Nastia z uśmiechem. Perspektywa zgłębiania tajników sztuki kulinarnej jakoś jej nie pociągała. – Lepiej niech mi pani powie, jaki stosunek do swojego teścia ma kierownik działu gospodarczego Bielakow.

– Sania? – ze zdziwieniem zapytała Tamara. – Do Andriuszy?

– No tak, do Biegorskiego.

– Wspaniały. A o co chodzi?

– Właściwie o nic. – Nastia postanowiła wykręcić się od odpowiedzi.

– Sprawdzam jedynie to, co mi wpadnie do głowy. A nuż się przyda. Rozumiem, że jeśli wyjdzie pani za mąż za Andrieja Siergiejewicza...

– No właśnie, jeśli... – przerwała jej Tamara.

– ...to Sania automatycznie zostanie pani krewnym. Może niezręcznie pani o nim mówić? Wiera Aleksiejewna uprzedziła mnie, że wszyscy tu stoicie za sobą murem. Proszę zrozumieć, Tamaro, że nie potrzebuję kłamstwa ani półprawdy. Jeżeli nie może mi pani powiedzieć, jak jest w rzeczywistości, przyjmijmy, że o nic nie pytałam. Bez urazy. I tak dowiem się tego, co mnie interesuje, ale nie postawię pani w kłopotliwej sytuacji.

Tamara zjadła jeszcze jedno ciasteczko i popatrzyła na Nastię w zamyśleniu.

– Słuchając pani, po raz pierwszy zaczynam się zastanawiać, czy

mam coś do ukrycia w związku z Sanią albo na przykład z Lenoczką czy Wierą. Zapewniam panią, że nie. Wyznam całą prawdę. Ale muszę zacząć nie od Sani, tylko od Andriuszy, wtedy lepiej pani zrozumie pewne rzeczy. Widzi pani, Andriej dorastał w dużej rodzinie, miał cztery starsze siostry, których już w dzieciństwie nie znosił i nadal nie znosi.

– Nie znosi? Dlaczego?

– Uważa, że są ograniczone, interesowne i prymitywne. Nie obchodziło je nic innego jak tylko małżeństwo i majątek, który owo małżeństwo miało im przynieść. Relacje między rodzeństwem nie układały się od samego początku. Gdy Andriej się usamodzielił, pomagał materialnie rodzicom, a kontakty z siostrami ograniczył do minimum, wszystkie ich aluzje i bezceremonialne prośby o załatwienie dobrej pracy puszczał mimo uszu, doskonale wiedział, że ani siostry, ani ich mężowie i dzieci nie będą dobrymi pracownikami. Trzymał się z dala od rodziny, a po śmierci rodziców zerwał kontakt z rodzeństwem. Nawiasem mówiąc, nie wszystkie jego siostry jeszcze żyją, dwie zmarły. Ale to nie ma związku ze sprawą. Jak pani wiadomo, Andriej był trzykrotnie żonaty i wszystkie jego małżeństwa skończyły się rozwodem. Parę lat temu zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma żadnej rodziny, że jego obcesowe i bezkompromisowe postępowanie odstręczyło od niego wszystkich bliskich, więc zostali mu tylko przyjaciele z dzieciństwa – Rodik oraz ja z siostrą, a także pewna nasza wspólna znajoma.

– Rodik to Rodisław Jewgienjewicz?

– Tak, ożenił się z moją siostrą. Wtedy właśnie Andriusza postanowił, że musi zebrać „swoich” i znowu stanąć na czele rodziny. Miał już bardzo dużo pieniędzy, więc myślał, że pozwolą mu one ułożyć życie ekszonom oraz ich wspólnym dzieciom, no a jak je ułożyć, doskonale wiedział. Zdążyła się już pani przekonać, że nasz Andriej Siergiejewicz zawsze wie, co jest słuszne, a co nie.

– Owszem. – Nastia uśmiechnęła się na myśl o nieszczęsnej liście, którą wyrzuciła. – Co było dalej? Wymyślił klub i zaczął ściągać tutaj rodzinę?

– Niezupełnie. Najpierw pojechał do Wieroczki, wrócił tutaj, do Tomilina, ona jednak dała mu grzeczną odprawę. Nie chciała korzystać z pieniędzy Andrieja i żyć pod jego dyktando, bo już wcześniej tego zaznała. Jeśli chodzi o Lenkę, była dorosła, studiowała w instytucie poligraficznym, wyszła za mąż za Sanię i władczy tatuś dyktator obojgu się nie uśmiechał – ich życie nie było usłane różami, ale wydawało się stabilne, więc nie zamierzali niczego zmieniać. W tamtej chwili – uściśliła Tamara z uśmiechem – Andriusza był zupełnie oszołomiony ich odmową, długo krążył po mieście, aż trafił na zrujnowany dwór Wiaziemskich. Po głowie chodziły mu wówczas myśli, że ma dosyć prowadzenia holdingu, który zbudował od podstaw własnymi rękami. Holding był potężny, rentowny, przynosił ogromne zyski i działał jak dobrze naoliwiony mechanizm, żadnych niespodzianek. Andriusza potrzebował czegoś nowego, frapującego, niezwykłego i oryginalnego, czego nikt wcześniej nie robił. Nie chciał korzystać z cudzego doświadczenia, wolał zdobyć własne, pragnął

popęłniać błędy i się na nich uczyć. To cały Andriuszka! – Tamara lekko się roześmiała. – Nie zmienił się od dzieciństwa, a znamy się już ponad pięćdziesiąt lat. Czuł się znudzony, w dodatku zaczął myśleć, że z wiekiem człowiek staje się coraz mniej potrzebny innym. Z tych refleksji zrodził się pomysł, żeby kupić dwór, odrestaurować go i przekształcić w miejsce, w którym emeryci mogliby się uczyć obsługi komputerów. Żeby dotrzymywali kroku swoim dzieciom i wnukom, nie czuli się zacofani, poza nawiasem życia, no i żeby dać im możliwość rozszerzania kontaktów. Andriusza zdążył też odwiedzić swoją trzecią żonę Aniutkę oraz ich syna, przekonał się, że Aniutka jest bardzo szczęśliwa z drugim mężem, solidnym właścicielem firmy budowlanej, że ich rodzina nie potrzebuje żadnych porad dotyczących wychowania chłopca i nie przyjmie od niego pomocy. No więc kupił dwór i zaproponował nowemu mężowi Aniutki zawarcie umowy na odrestaurowanie posiadłości. Mężczyzna wyraził zgodę, rozpoczęły się prace i wtedy nagle zjawił się Sania Bielakow, był wtedy jeszcze narzeczoną Leny, ale wyznaczono już datę ślubu. W tamtym czasie Sania gorączkowo szukał pracy, objął się po budowach i dorabiał, gdzie się dało, ma złote ręce i potrafi wszystko zrobić. Marzyła mu się jednak stabilizacja, pewna i stała praca, bo przecież zamierzał założyć rodzinę. Sania zapytał Andrieja, czy nie znajdzie się dla niego jakieś zajęcie. Andriej od razu go zatrudnił i wyznaczył wysoką pensję. Chłopak spędzał dni i noce na budowie, jest bardzo oddany i wdzięczny Andriejowi, podczas restauracji dworu stał się oczami i uszami Biegorskiego. Andriej mógł siedzieć w Moskwie i nie martwić

się o przebieg prac, Sania wszystkiego dopilnował. A gdy Andriej zaczął tworzyć klub i potrzebował tekstów do Internetu, zaproponował Sani, żeby porozmawiał z Lenoczką, która zdobyła w swoim instytucie specjalność redaktora. Lenka od razu zgodziła się pomóc, ponieważ Sania przez cały czas nie przestawał sączyć jej do ucha, że ma wspaniałego ojca, dziewczyna szukała więc tylko pretekstu, żeby przyjść do Andrieja, nie tracąc przy tym twarzy. A gdy doszło do obsadzania etatów, Lena przyprowadziła swoją matkę, Wieroczkę, którą Andriej chętnie przyjął na stanowisko głównej księgowej i kadrowej. Chyba więc nie da się znaleźć osoby bardziej oddanej Andriejowi od Sani. A teraz, jeśli ma pani jeszcze pytania, jestem gotowa na nie odpowiedzieć.

No cóż, w tej sytuacji Nastia nie miała już pytań. Doprowadzenie klubu do ruiny nie leży w interesie Bielakowa, bo ze swoim wykształceniem i kwalifikacjami nigdzie nie znajdzie tak dobrze płatnej pracy. A zresztą nie wolno zapominać, że Bielakow przyczynił się do powstania Złotego Wieku, miał znaczny udział w odbudowaniu i odrestaurowaniu dworu, który stał się jego pasją, więc będąc osobą o normalnej psychice, nie wyda go na łup jakimś bogaczom, którzy chcą tutaj urządzić lichy wiec. A zatem z podejrzeniami wobec kierownika działu gospodarczego trzeba dać sobie spokój.

Nastia wróciła do siebie, położyła się na kanapie w salonie, zwinęła w kłębek i zamknęła oczy. Rozmowa z Tamarą wytrąciła ją z równowagi, po głowie snuły się myśli o drobnych rodzinnych radościach, o konieczności tworzenia i podtrzymywania stałych i

serdecznych relacji z krewnymi, o zającu z marchewką, o siedzeniu we dwoje przed telewizorem... Nie, to nie dla niej.

A jednak jakiś czas później zadzwoniła do męża.

– Mam tutaj dużo pracy, Losza, chyba nie zdążę przed igrzyskami.

Igrzyska Olimpijskie zaczynały się czternastego lutego, dzisiaj był dopiero drugi, ale Nastia wiedziała, że do czternastego na pewno nie uda jej się rozwikłać historii związanej z potomkiem Rumiancewów-Łobanowów.

– Nie martw się – uspokoił ją Czistiakow. – Masz tam pewnie telewizor, więc obejrzysz zawody w Tomilinie.

– Nie, Loszyk, nie rozumiesz. Między nami a Kanadą jest duża różnica czasu, wszystkie transmisje będą nadawane w nocy.

– No i co z tego? – zdziwił się Aleksiej. – Rzeczywiście nie rozumiem.

– Wyobraź sobie, jak by to było wspaniale: głęboka noc, miasto śpi, za oknem cisza, a my siedzimy obok siebie na kanapie, pijemy herbatę, pałaszujemy kanapki, oglądamy igrzyska i kibicujemy naszym. I tak nam dobrze, miło...

– Asiu – Aleksiej zaniepokoił się nie na żarty – u ciebie wszystko w porządku? Nic się nie stało?

– Wszystko w porządku. A czemu się przestraszyłeś? Powiedziałam coś nie tak?

– To do ciebie niepodobne... – Czistiakow uśmiechnął się do słuchawki. – Jesteś pod czyimś wpływem?

– Ależ skąd, Loszyk, pomyślałam jedynie... – Nastia się zawahała.

– Jesteś najbliższą mi osobą... Właściwie nie potrafię tego wyrazić... Po prostu mi powiedz: chciałbyś, żebyśmy siedzieli razem na kanapie i oglądali w nocy olimpiadę?

– Nie wiem, Aśka – wyznał szczerze Losza. – Nigdy nie próbowałem. W nocy albo śpimy, albo pracujemy, nie oglądamy telewizji. W każdym razie tak było do tej pory. Masz ochotę na coś nowego? Potrzebujesz mocniejszych wrażeń? Znudziło ci się życie, które prowadzimy?

No i masz, tego tylko brakowało! Nastia wcale nie chciała, żeby Loszę zaczęły dręczyć niepokojące myśli. Ależ z niej kretynka, po co go przestraszyła!

– Przepraszam, słoneczko coś mi się ulęło w głowie – powiedziała ze skruchą. – Nasze życie bardzo mi odpowiada, daję słowo! Pomyślałam tylko, że skoro odeszłam z pracy i zaczęłam nowy etap w życiu, może powinniśmy urozmaicić jakoś naszą codzienność, żebyś się ze mną nie nudził. Bo inaczej zechcesz mnie rzucić, znajdziesz sobie kogoś młodszego i ciekawszego, a co ja wtedy zrobię sama, stara, brzydka, chora i nikomu niepotrzebna?

– I tu cię mam! – wesoło odparł Czistiakow. – Pobyt w środowisku emerytów źle na ciebie wpływa. Nie poznaję cię, Aśka. Co się z tobą dzieje? Rozmawiamy już od dziesięciu minut, a ty do tej pory nie zapytałaś o moją wizytę w WAK-u. Już nie potrzebujesz informacji?

A niech to, całkiem zapomniała. Coś podobnego, Tamara doszczętnie zawróciła jej w głowie!

– Potrzebuję, Losza, oczywiście, że potrzebuję – powiedziała

pośpiesznie. – Udało ci się czegoś dowiedzieć?

– Niestety nie. – W głosie Czistiakowa nadal pobrzmiwał śmiech, widocznie słowa Nasti na temat ożywienia ich relacji nieźle go ubawiły. – Nie znalazłem wzmiankowanego doktora nauk. Nie figuruje w żadnej bazie Najwyższej Komisji Atestacyjnej.

Nastia wcale się nie zdziwiła, bo w gruncie rzeczy takiej właśnie odpowiedzi się spodziewała.

*

Wiera Aleksiejewna Biegorska chętnie udostępniła Nasti kwestionariusze i akta osobowe wszystkich pracowników ochrony – kierownika i szesnastu podwładnych, którzy pracowali w systemie 24 h na 72 h po dwie osoby w ciągu zmiany na dwóch posterunkach: przy bramie głównej oraz bocznej. Nastia uważnie studiowała dokumenty, przyglądała się twarzom na fotografiach, tępo wpatrywała w odręcznie wypełnione kwestionariusze, ale nie znalazła nic ciekawego. Każdy z siedemnastu mężczyzn wyglądał bardzo przyzwoicie i nie wzbudzał żadnych podejrzeń, a jednocześnie z łatwością mógł się okazać albo potomkiem Rumiancewów, który uroił sobie, że jest prawdziwym właścicielem dworu, albo jego wynajętym współnikiem.

Nastia z westchnieniem zamknęła notes, schowała go do torby i zeszła na dół w poszukiwaniu małżeństwa Putilinów. Już z nimi rozmawiała, ale wypytywała ich głównie o Koriaginę i Pawłową, natomiast teraz interesowało ją zupełnie co innego.

Oboje Putilinowie siedzieli w sali komputerowej i przeglądali Internet. Czas był gorący, dużo gości, więc po sali krążyli Kostia Jeremiejew i jeszcze jeden spec od komputerów koło trzydziestki, udzielając pomocy, instruując i podpowiadając.

– Czy mogliby państwo odpowiedzieć jeszcze na parę pytań? – uprzejmie zapytała Nastia, podchodząc do Putilinów i znowu wcielając się w rolę socjologa. – Jestem ciekawa, czy starszym ludziom odpowiada młody personel w sali komputerowej, czy może czulibyście się bardziej komfortowo, gdyby pomagały wam osoby starsze, w podobnym wieku?

– Nie, nie! – Putilinowie zgodnie zamachali rękami. – Nie mamy żadnych zastrzeżeń. Młodzi ludzie, którzy tutaj pracują, są bardzo mili, wszystko nam odpowiada, na przykład Kostieńka...

Podczas pierwszej rozmowy Nastia odniosła wrażenie, że małżonkowie są miłymi i spokojnymi ludźmi, naznaczonymi piętnem ni to smutku, ni to z troskania. Putilin był kiedyś pracownikiem naukowym w laboratorium zakładów chemicznych, a jego żona zajmowała stanowisko docenta w filii instytutu technologicznego. Oboje byli wykształceni, spełnieni zawodowo, dobrze ubrani, zadbani, elokwentni. Co tacy ludzie mogli robić późnym wieczorem za garażem w towarzystwie Kosti Jeremiejewa? Może Lena Bielakowa ma rację, że łączą ich jakieś osobiste relacje, z których Kostia czerpie korzyść? Ale dlaczego należy utrzymywać je w tajemnicy? I kto wymyślił, że należy się ukrywać – Putilinowie czy Kostia?

Tymczasem małżonkowie nie mogli się nachwalić Kosti, ach, jaki to

uczynny, dobry i sympatyczny chłopak, spotkało go wielkie nieszczęście, jest im bardzo przykro. W ich oczach malowało się ciepło, a twarze nabrały łagodnego wyrazu. Nie, to pewne, że coś ich łączy z Kostią. Trzeba by się dowiedzieć, kim są spadkobiercy Putilinów, może to prawda, że Kostia poluje na ich majątek.

– Przepraszam, czy macie państwo dzieci?

Putilinowie w jednej chwili sposepniali i długo się nie odzywali. Później Putilina powiedziała:

– Mamy syna, ale niestety straciliśmy z nim kontakt. Nie wiemy, gdzie jest ani czy żyje. Wyjechał daleko stąd, bo nie układało mu się w interesach, i do nas nie dzwoni.

– To znaczy, że się ukrywa? – uściśliła Nastia.

– Wolelibyśmy tak nie myśleć, to dobry i przyzwoity chłopak, ale wygląda na to, że chyba tak... niestety... Nawet nie wiemy, czy żyje. Musimy dźwigać nasz krzyż. Może nasze dziecko wpadło w kłopoty i potrzebuje pomocy. Nie wiemy.

Jasne. Kwestia spadku pozostaje otwarta, w każdym razie póki się nie potwierdzi, że syn Putilinów nie żyje.

– Proszę wybaczyć, nie chciałam państwa denerwować. Wróćmy do moich pytań. Czy spotykają się państwo z Kostią poza salą komputerową? Może wytworzyły się między wami bliskie relacje i Jeremiejew was odwiedza? Albo wy jego? Nie? Może wybieracie się gdzieś razem, na przykład do kina, na koncerty albo na spacer?

– Nie, nie – szybko i zdecydowanie odparł Putilin. – Nie łączy nas żadna szczególna więź, to po prostu bardzo miły i uczynny młody

człowiek. Szczerze mu współczujemy w nieszczęściu.

I ani słowa o tym, że omawiali coś szeptem za garażem, a nawet przekazali Kosti jakąś paczkę. A przecież Nastia widziała na własne oczy. Ani słowa o dziwnym zachowaniu Kosti Jeriemiejewa. Albo facet świetnie udaje, albo rzeczywiście nie ma z tym nic wspólnego i wszystkie podejrzzenia wobec niego są bezpodstawne. Nie zaszkodzi sprawdzić Jeriemiejewa, Nastia ma jeszcze w planie rozmowę z detektywami oraz z Ałłą Iwanowną.

Zadzwoniła do Fiedułowa, który zgodnie ze swoją obietnicą tym razem natychmiast odebrał telefon.

– Tak, znalazłem Ałłę Iwanownę i nawet z nią rozmawiałem. Jest pewna, że Jeriemiejew nie ma żadnych poważnych zaburzeń psychopatologicznych, jedynie lekką nerwicę wywołaną urazem psychicznym. Po tragedii zaczął unikać ludzi, z trudem nawiązuje nowe kontakty, stara się z nikim nie rozmawiać i nikomu nie zwierzać. Jarcewa nie zauważyła też żadnych oznak narkomanii.

Ciekawe, kiedy Fiedułow zamierzał przekazać Nasti informacje, gdyby do niego nie zadzwoniła? Zapewnienia, że jest do jej całkowitej dyspozycji, to tylko czcza gadanina. Choć właściwie Nastia nie ma powodu do narzekań, zrobił przecież to, o co go prosiła, nie zapomniał o jej prośbie, więc chyba można mu wybaczyć, że nie zadzwonił. Na miejscu Fiedułowa postąpiłaby tak samo, gdyby jakiś prywatny detektyw zajął się wykrywaniem przestępstwa, którego ona nie potrafiła wykryć w swoim czasie. Robiłaby to, o co by ją poprosił, ale za nic nie zadzwoniłaby pierwsza – czekałaby, aż on się odezwie. Skoro

potrzebuje, niech zadzwoni pierwszy. Co za dziecinada, pomyślała z irytacją.

– Chciałabym z nią porozmawiać – powiedziała głośno.

– Uprzedziłem ją, czeka na pani telefon. Nawiasem mówiąc, może się pani z nią skontaktować przez Internet, ma w komputerze kamerę wideo. Pani też?

– Owszem.

– No to świetnie. Wolę widzieć rozmówcę, a pani?

– Ja również. Dziękuję, Dima, proszę dyktować, zanotuję. A co pan powiedział Alle Iwanownie? Jak pan wyjaśnił moje zainteresowanie Kostią?

– Powiedziałem, że jest pani socjologiem z Moskwy, zbiera materiał o emerytach oraz ich problemach psychologicznych, no a o Jeremiejewie, że zrobił na pani wrażenie narkomana. A co? Niedobrze?

– Nie, skąd, wszystko w porządku – pośpieszyła z zapewnieniem Nastia. – Skontaktuję się z Jarcewą i sama ją o wszystko wypytam. Jeszcze raz dziękuję.

*

Nawet na ekranie komputera Ała Iwanowna Jarcewa wyglądała olśniewająco. Patrząc na nią, Nastia przypomniała sobie słowa Tamary i nie mogła nie przyznać jej racji. Długie utlenione włosy zakręcone w loki, oczy starannie pomalowane, wydatne usta pokryte

pomadką w bardzo intensywnym kolorze, a odcień cery wyraźnie poprawiony kremem tonującym. W uszach długie kolczyki mieniące się wszystkimi kolorami tęczy. Głęboki dekolt odsłaniający obfity, jędrny biust, który zdobiła jaskrawa biżuteria. Nastia nie widziała, jak psychoterapeutka wyglądała poniżej dekoltu, ale ekscytująca góra pozwalała domyślać się minispódniczki ciasno opinającej biodra i pośladki.

– Dmitrij Wadimowicz powiedział, że interesuje się pani Kostią Jeremiejewem – zaczęła bez wstępu. – Pewnie już pani o nas nagadano niestworzonych rzeczy.

– Nic złego nie mówiono, słyszałam tylko, że często się spotykaliście, więc postanowiłam panią zapytać...

Ała Iwanowna z niezadowoleniem zmarszczyła zgrabny nosek i zniżyła głos.

– No dobrze, byliśmy kochankami. Mój mąż nie ma o niczym pojęcia, ale przed panią nie będę tego ukrywać, bo Dmitrij Wadimowicz i tak się orientuje. Zbliżyło nas nieszczęście, nie znalazłam zrozumienia u męża, a Kostia...

– Tak, wiem – odparła Nastia. – A więc jako specjalistka nie dopatrzyła się pani żadnych zaburzeń w jego zachowaniu?

– Najmniejszych. To prawda, że Kostik jest trochę dziwny, różni się od innych, ale to objawy nerwicy. Zresztą niech pani nie zapomina, że już w młodości zajmował się komputerami.

– A jakie to ma znaczenie? – zdziwiła się Nastia.

– Jak to jakie? Komputer jest jego najlepszym i jedynym

przyjacielem, Kostia się z nim spotyka, rozmawia, leczy, oprogramowuje, zmienia zawartość. Ktoś taki jak Kostia postrzega ludzi inaczej niż na przykład pani czy ja. Dla niego istnieje tylko obudowa i zawartość. Osobnicy podobni do Kosti nie wykazują potrzeby kontaktów. Nie są więc szczególnie elokwentni. Zdarzają się oczywiście wyjątki, ale Kostia Jeremiejew to typowy maniak komputerowy, nieprzystosowany do życia w społeczeństwie.

– Założył przecież rodzinę – zauważyła Nastia. – Jak mógł więc mieć żonę i dziecko, skoro nie nadaje się do życia społecznego?

– Ależ to bardzo proste! – Twarz Ałły Iwanowny się ożywiła. Nietrudno było się domyślić, że wsiadła na swojego konika. – Mężczyzna skupiony na obudowie i zawartości nawet nie zauważy, gdy trafi w łapy jakiejś cwaniary, która zaciągnie go do ołtarza, a kiedy zajdzie w ciążę, nie raczy go o tym poinformować, urodzi dziecko i tyle. Nawiasem mówiąc, czasami faceci tacy jak Kostia zauważają, że kobieta jest w ciąży dopiero parę tygodni przed rozwiązaniem. Żyją w innym świecie. Ale co my tak ciągle o Kosti? Dmitrij Wadimowicz mówił, że interesują panią problemy psychologiczne gości klubu. Nie wiem, czy potrafię pomóc, w końcu to tajemnica lekarska...

– Nie zamierzam pytać, kto i z jakich problemów się pani zwierzał. Interesuje mnie, że tak powiem, ogólny obraz, typowe przypadki, najczęstsze skargi.

Ałła Iwanowna chętnie opowiadała o narzekaniach na bezsenność, na uczucie samotności i nieprzydatności, na brak zrozumienia ze strony dzieci i wnuków, a Nastia wciąż łamała sobie głowę, jak

zgrabnie przejść do tematu zabitych kobiet – Koriaginy i Pawłowej. O ile w rozmowach z członkami klubu nie nastęczało to żadnych trudności, ponieważ emeryci chętnie o wszystkim opowiadali, o tyle z Ałłą Iwanowną ta sztuczka mogła się nie udać.

– Interesuje mnie jeszcze jedna kwestia: jeśli chodzi o kontakty ludzi w wieku produkcyjnym, z grubsza się orientuję, na czym się opierają, ale co mają ze sobą wspólnego emeryci, których nie łączy praca? Co leży u podstaw ich związków? Jak tworzą się trwałe przyjacielskie relacje?

Ałła Iwanowna znowu wdała się w rozważania, a Nastia czekała na stosowną chwilę, żeby zadać przygotowane wcześniej pytanie.

– Słyszałam, że w klubie powstała grupa składająca się z trzech kobiet oraz jednego mężczyzny, wszyscy tak się różnili charakterem i mentalnością, że ludzie do tej pory dziwią się, co ich mogło łączyć. Później dwie kobiety z tego towarzystwa zostały zabite. Nie znała ich pani przypadkiem?

– Pyta pani o Aidę Borisownę? – Twarz Jarcewej lekko się zachmurzyła.

– O nią i o Galinę Iljiczną Koriaginę. Znała je pani?

– Aidę Borisownę trochę lepiej, parę razy mnie odwiedziła, przepisałam jej nawet słaby antydepresant. Ale tamtej, drugiej, w ogóle nie znałam, nie korzystała z moich porad.

– A Jelena Stanisławowna Murawjowa? Bywała u pani?

– Ta, która uważała się za arystokratkę w setnym pokoleniu? – Jarcewa westchnęła i sięgnęła po papierosa. Właściwie Nastia nie

widziała, po co sięgnęła, po prostu ręka, która do tej pory podpierała podbródek, na chwilę gdzieś znikła, a później pojawiła się z papierosem. – Owszem, bywała. Bardzo chciała, żebym stwierdziła u niej jakąś niezwykłą przypadłość, która świadczyłaby o jej arystokratycznym pochodzeniu. Uskarżała się na wiele dolegliwości, ale były to czcze wymysły. Potrzebowała uwagi i akceptacji, nic więcej. Absolutnie zdrowa psychika i stuprocentowe przekonanie o swojej wyjątkowości.

– Jasne. A Połosuchin? Podobno Jelena Stanisławowna była w nim zakochana.

– Dlaczego była? – Ała Iwanowna uniosła brwi podkreślone czarną kredką. – Czyżby przestała go kochać? A może coś jej się stało?

– Przepraszam, źle się wyraziłam. Z Murawjową wszystko w porządku, z Połosuchinem też, oboje mają się znakomicie. A wracając do uczuć...

– Owszem, wrzały. – Ała Iwanowna nieznacznie się uśmiechnęła. – W każdym razie, póki tam pracowałam. Murawjowa patologicznie nienawidziła Aidy Borisowny i była zazdrosna o Połosuchina. Zresztą Koriaginy też nienawidziła, ale nie była o nią zazdrosna, nie widziała w niej rywalki. Nie znałam osobiście Koriaginy, więc jak to się mówi, pozostawię to bez komentarza, ale jeśli chodzi o Pawłową, to Jelena Stanisławowna uważała ją za groźną rywalkę. Niebezpodstawnie, rzecz jasna. Aida Borisowna miała osobowość silną, głęboką i niezwykłą, a Murawjowa stosowała swoje gierki, i to tanie, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

W tym miejscu Ała Iwanowna roześmiała się, a Nastia jej zawtórowała – ulubione powiedzenie Jeleny Stanisławowny Murawjowej zostało użyte trafnie i zabrzmiało bardzo zabawnie.

– Więc co może pani powiedzieć o Połosuchinie?

– No cóż – ręka z papierosem zakreśliła w powietrzu wymyślną figurę – gamoń i ofiara losu, tyle można o nim powiedzieć. Nie przychodził do mnie, więc znam go jedynie z opowieści Murawjowej, czasami Kostik o nim wspominał. Baba w spodniach, oto cały Połosuchin. Kochał się potajemnie w Aidzie Borisownie, ale nie potrafił dać do zrozumienia Murawjowej i tamtej drugiej, Koriaginie, żeby nie ostrzyły na niego zębów. W każdej wolnej chwili facet chwyta tamborek i całymi godzinami haftuje.

– Jestem bardzo ciekawa, jak ludzie o tak odmiennych charakterach tworzyli zgrane towarzystwo. Ma pani jakąś koncepcję?

Jarcewa wzruszyła okrągłymi, pulchnymi ramionami.

– Żadnej. Chyba że...

– Tak? – czujnie zapytała Nastia.

– Przypuszczam, że wszyscy lubili szukać dziury w całym. Ale to tylko moje domysły, bo osobiście znałam tylko dwie osoby, Murawjową i Pawłową, całą resztę kojarzę wyłącznie z opowieści. Murawjowa krytykowała wszystko, co rosyjskie, wychwalała kulturę Zachodu. Koriagina była zajadłą stalinistką i zwolenniczką twardej ręki, obecny liberalizm stał jej kością w gardle. Połosuchin sądzi, że ojczyzna go skrzywdziła, bo nie przyjęła z powrotem, nie dała mieszkania i pracy.

– A Pawłowa? Z czego była niezadowolona?

– Nie miała o nic pretensji, ale uważała się za najmądrzejszą, pozostali byli w jej oczach zupełnymi dyletantami. Aida Borisowna powtarzała, że obecnie wykształcenie się zdewaluowało, że uczelnie nie uczą tak jak kiedyś, że gdy ma się pieniądze, można sobie kupić dyplom, więc nie wolno teraz wierzyć żadnym specjalistom, wszędzie są sami ignoranci i oszuści.

Ała Iwanowna miała chyba na myśli tamtą burzliwą rozmowę, której świadkiem stała się mimo woli Tamara. Aida Borisowna uznała, że lekarz, specjalista z dyplomem, przepisał jej niewłaściwą dawkę leku. Pawłowa, rzecz jasna, wiedziała lepiej, ile razy dziennie powinna przyjmować lekarstwo. Nastia miała ogromną ochotę zapytać o szczegóły rozmowy, ale nie potrafiła znaleźć pretekstu – Ała Iwanowna nie poruszała tego tematu, a Nastia nie chciała powoływać się na Tamarę. Nawet nie umiała wyjaśnić dlaczego. Nie chciała i już.

– No więc gdy tylko się zbierali, zaczęli krytykować obecne porządki, każdy oczywiście rozwodził się na swój temat, ale w sumie tworzyli zgrany chór. W każdym razie stale razem imprezowali – ciągnęła Jarcewa.

Nastia słuchała psychoterapeutki i zastanawiała się, jaką studentką była Jarcewa. Czy uczyła się tak, jak dawniej wymagano? A może tak, jak nie podobało się Aidzie Borisownie Pawłowej? Z jednej strony niby nie ma powodu, żeby podważać kompetencje Ały Iwanowny. Ale z drugiej, ten jej wygląd, który żadną miarą nie sprzyja zbliżeniu z pacjentem, zwłaszcza ze starszym, i te słówka: „gierki”, „imprezować”... Ała Iwanowna twierdzi, oczywiście, że Jeremiejew

jest zdrowy psychicznie i nie zabawia się narkotykami, ale czy można dać wiarę jej profesjonalnej ocenie? Nastia zaczęła mieć wątpliwości.

ROZDZIAŁ 8

Tak, Stasow miał rację, praca detektywa, czy to na służbie państwowej, czy to prywatnej, polega na zbieraniu i opracowywaniu informacji. Przez parę dni Nastia od rana do wieczora prowadziła rozmowy i studiowała dokumenty, szukając wzmiankowanej informacji, zapisywała wszystko najpierw w notesie, później porządkowała i przenosiła do komputera, syntetyzowała i sporządzała raporty dla Stasowa. W końcu zaczęło jej się wydawać, że zna na pamięć biografie i charakterystyki osób, które mają jakikolwiek związek z klubem Złoty Wiek. Tyle że nic z tego nie wynikało. Natłok informacji dawał wrażenie błota, w którym coraz bardziej grzęzła.

W sobotę, 6 lutego, wreszcie się wyspała, wstała dopiero o dziesiątej, wzięła prysznic, wypła kawę i postanowiła przejść się z Kumpelką przed otwarciem restauracji w klubie, w której zamierzała zjeść pożywne, smaczne śniadanie. Nie wybrała się dotąd do sklepu, kupno nietrwałego, ale ciepłego ubrania pozostawało wciąż w sferze marzeń – Nastia nadal strasznie marzła, ale mężnie spacerowała ze starym psem aleją od głównego budynku do rzeki i z powrotem, wdychając wilgotne, lodowate powietrze i usiłując powstrzymać dreszcze. Pies nigdzie się nie śpieszył, starannie wyszukiwał krzaczki i drzewa, obwąchiwał je, ale z jakiegoś jemu tylko znanego powodu

rezygnował, po czym rozpoczął poszukiwania na nowo, przysiadł, rozmyślał się i biegł dalej.

– Kumpelko, moja kochana, zrób wreszcie to, co masz do zrobienia, i pójdziemy się ogrzać – biadoliła Nastia.

Pies podnosił głowę, patrzył na nią mądrymi, smutnymi oczami i wzdychał, jakby chciał powiedzieć: „Nic na to nie poradzę. To nie moja wina, że organizm mnie nie słucha. Kieruje się instynktem. Chciałbym ci pomóc, ale...”.

W kieszeni kurtki rozdzwoniła się komórka. W słuchawce rozległ się zdyszany głos Tamary Winogradowej.

– Gdzie pani jest, Nastiu?

– Spaceruję z psem. Coś się stało?

– Tak. Czekam na panią w holu koło restauracji. Proszę się pośpieszyć.

Nastia schowała telefon i surowo popatrzyła na Kumpelkę.

– Koniec zabawy, moja miła, czas perswazji minął. Rób, co do ciebie należy, bo później nie będziesz miała okazji.

Pies zwiesił łeb i od razu przysiadł. Coś takiego, jakby rozumiał, ze zdziwieniem pomyślała Nastia. Czy powinna odprowadzić Kumpelkę do schroniska? A może zabrać ją ze sobą? Postanowiła nie tracić czasu i weszła do holu z psem na smyczy.

– Siedź tutaj, tylko cicho i spokojnie – powiedziała, zostawiając Kumpelkę przy drzwiach.

Tamara już do niej śpieszyła, blada, z drżącymi ustami.

– Chodźmy, coś pani pokażę.

Nastia ruszyła za nią posłusznie, skręcając w korytarz na lewo.

– Proszę spojrzeć – powiedziała Winogradowa, pokazując ręką podłogę.

Nastia podążyła wzrokiem za jej dłonią i zobaczyła porozrzucane skrawki materiału.

– Co to jest? – zapytała zdziwiona.

Pamięć podsunęła jej fragment artykułu z „Kuriera Tomilińskiego”: „Krzyki ściągnęły domowników, którzy próbowali uspokoić Olgę, ona jednak zaczęła szarpać się za włosy i rwać na sobie ubranie...”. Czyżby znowu?

– To kostium stylizowany na dziewiętnastowieczny, uszyłam go na noworoczne przedstawienie.

Głos Tamary wibrował i trudno było powiedzieć, czy ze strachu, czy dlatego, że żal jej było włożonej pracy.

– Gdzie go pani trzymała?

– W garderobie, za salonem muzycznym. Była tam pani, prawda?

– Pamiętam. – Nastia skinęła głową. – Wchodziłam przez salon muzyczny. Jest inne wejście?

– Nie, tylko przez salon.

– A okna?

– Jest jedno, było zamknięte od wewnątrz, już sprawdziłam.

– Kiedy to pani odkryła?

– Dwie minuty przed telefonem do pani. Przyszłam specjalnie na dziesiątą, chciałam popracować nad kostiumem do nowego przedstawienia... I wtedy zobaczyłam... Jak długo to jeszcze potrwa,

Nastiu? Umiem trzymać nerwy na wodzy, ale wszystko ma swoje granice.

Nastia obejrzała się. W holu nie było nikogo, na korytarzu też.

– Czy ktoś oprócz pani to widział? – zapytała Tamarę.

– Chyba nie. Weszłam, gdy tylko otworzono główny budynek, czekałam parę minut przed wejściem na ochroniarza z kluczami. Weszłam, zostawiłam futro w szatni i ruszyłam w stronę salonu muzycznego. I wtedy zobaczyłam... Nikogo jeszcze nie było. Właściwie powinna zjawić się już recepcjonistka, ale z jakiegoś powodu jej nie ma, spóźnia się.

– To znaczy, że sprzątaczkę były tutaj między szóstą a ósmą – uściśliła Nastia.

– Albo dłużej, do wpół do dziewiątej. Gdyby zastały bałagan, toby go posprzątały. I zadzwoniły do mnie albo powiadomiły ochronę.

– A więc ten, kto to zrobił, był tutaj między wpół do dziewiątej a dziesiątą. Czyżby nikt nie zauważył, jak ktoś wchodził do domu i go opuszczał? Przecież to się działo w biały dzień, słońce już dawno wstało. Dziwne.

– To znaczy, że ta osoba nocuje w domu – stanowczo stwierdziła Tamara. – W pokoju gościnnym.

– Nie. – Nastia pokręciła głową. – To zbyt niebezpieczne. W części hotelowej przebywają tylko trzy osoby, namierzenie jednego podejrzanego spośród trzech to żadna filozofia. Poza tym wszyscy troje przyjechali tutaj dopiero po Nowym Roku, nie mogli brać udziału w incydencie z lustrem i włosami. Sprawdzalam.

– W takim razie jak to się mogło stać? – zapytała zbita z tropu Tamara.

– Pomyślmy – odparła Nastia z westchnieniem. – Trzeba tutaj wszystko posprzątać, póki nikt nie zobaczył.

Przypomniała sobie, że miała zamiar zjeść porządne śniadanie. A właśnie, co z pracownikami restauracji? Nastia przeczytała ich akta osobowe, a nawet wykuła je na pamięć. No i co? Ustaliła, że pracownicy restauracji – kucharze i kelnerzy – przychodzą wcześniej, kucharze na ósmą, a kelnerzy na dziewiątą, ale główne wejście pozostaje zamknięte, wszyscy korzystają z bocznych drzwi, przez które dostarcza się artykuły spożywcze, a także obrusy i serwetki z pralni. Na korytarz, na którym poniewierały się skrawki materiału, pracownicy nie wychodzą aż do chwili otwarcia restauracji, a ona jest czynna tak jak klub – od dziesiątej. Ale co to znaczy, że nie wychodzą? Tak mówi regulamin. A co się stanie, gdy ktoś otworzy drzwi i wyjdzie? Nic! Wystarczy, że restauracja będzie pusta, a nikt nie zobaczy.

A co ze sprzątaczką? Co by się stało, gdyby posprzątała pomieszczenia, umyła podłogę na korytarzu i przed odejściem rozrzuciła gałganki? Też nic. Ile sprzątarek pracuje na jedną zmianę? Chyba pięć. Dlatego sprzątanie zajmuje niewiele czasu. A więc wystarczy sprytnie to zorganizować, wyjść na końcu i mieć pewność, że żadna koleżanka nie wróci. Chociaż podobno po wyjściu sprzątarek ochroniarze kontrolują pomieszczenia, zanim je znowu zamkną... No cóż, to znaczy, że należałoby jeszcze raz zastanowić się nad pracownikami ochrony.

Na wszelki wypadek Nastia postanowiła się upewnić – ostatnio przestała ufać swojej pamięci, z której kiedyś była tak dumna i która nigdy jej nie zawiodła.

– Jak pracują sprzątaczk?

– Od szóstej sprzątaję parter i pomieszczenia służbowe na piętrze, później wychodzą i wracają o jedenastej, żeby posprzątać pokoje gościnne – odparła Tamara z roztargnieniem.

– Ile macie sprzątaczek?

– Pięć.

A więc tym razem pamięć jej nie zawiodła. To już coś.

– Gdzie jest zmiotka i szufelka? Posprzątajmy szybko, póki nikogo nie ma.

Tamara obrzuciła Nastię dziwnym spojrzeniem i uśmiechnęła się drżącymi wargami.

– A po co zmiotka? Poradzę sobie bez niej.

To mówiąc, nachyliła się i ruszyła wzdłuż korytarza, zręcznie zbierając skrawki materiału. Nastia patrzyła na nią z zazdrością. Z chorym kręgosłupem musi zapomnieć o tej sztuczce, nie może tak zwinnie i szybko się schylać, nie trzymając się obiema rękami za plecy.

– Brawo! – powiedziała z podziwem. – Ja bym tak nie potrafiła.

Tamara zacisnęła w dłoni ostatni skrawek, po czym się wyprostowała.

– Proszę mi nie zazdrościć, Nastieńko, ja też nie daję rady zrobić wielu rzeczy. Gdyby to było możliwe, od rana do wieczora zajmowałabym się stryżeniem i układaniem włosów, jak w młodości,

ale nie mogę – puchną mi nogi i drętwieją ręce. Zdążyła pani chociaż zjeść śniadanie? Czy chciała to pani zrobić po spacerze, a ja popsułam pani szyki?

– Zamierzałam wpaść do restauracji. Zaraz pójde coś zamówić i zanim w kuchni przygotują jedzenie, zdążę odprowadzić psa.

– Widzę, że się pani do niego przywiązała – zauważyła Tamara. – Nie myślała pani, żeby go zabrać?

– Na stałe? – Nastia się przestraszyła. – Nie zastanawiałam się nad tym. To raczej niemożliwe.

– Dlaczego?

– Nie mamy z mężem stałego rozkładu zajęć, on pracuje pod Moskwą, tam mieszkają jego rodzice, dosyć często zostaje u nich na noc, gdy ma dużo pracy. Ja też nie jestem panią swojego czasu, czasami wracam do domu wcześniej, a niekiedy w środku nocy. No a o psa trzeba przecież dbać, wyprowadzać go o stałej porze i regularnie karmić. Nie, pies nie pasuje do naszego trybu życia. Moglibyśmy przygarnąć najwyżej kota, on nie wymaga takich starań.

– No to niech pani weźmie kotka, mamy ich dużo – zaproponowała Tamara. – Proszę wybrać tego, który przeszedł już leczenie, najładniejszego, młodego i zdrowego.

Winogradowa powoli dochodziła do siebie po wstrząsie, jej uśmiech znowu stał się ciepły i serdeczny.

– Dziękuję, zastanowię się – obiecała Nastia.

Wpadła do restauracji, nie rozbierając się, poprosiła o przygotowanie jajecznicy na szynce i pomidorach oraz racuchów z

miodem, wzięła na wynos trzy paszteciki z mięsem i pomknęła do wyjścia, gdzie posłusznie czekała na nią Kumpelka.

– Zuch z ciebie – pochwaliła ją Nastia. – Umiesz być cierpliwa i czekać. Za to należy ci się nagroda.

Gdy tylko paszteciki zostały spałaszowane, Nastia odprowadziła psa do schroniska i wróciła na śniadanie.

Jak zatem wygląda sytuacja? Nie istnieje żaden doktor nauk historycznych Arkadij Woldemarowicz. Jest ktoś, kto się za niego podaje i kto zjawił się u młodej naiwnej dziennikarki Natalii Malec, żeby opowiedzieć jej straszną historię o posiadłości Rumiancewów-Łobanowów. Dziennikarka w nią uwierzyła i napisała wszystko, co usłyszała. A później należało uwiarygodnić opisaną historię. Wszyscy w dworze mieli się przerazić i uwierzyć, że gdzieś niedaleko krąży upiorny morderca, obłąkany potomek rodu Rumiancewów, który w każdej chwili może sobie wybrać następną ofiarę. Tutaj wszystko jest jasne. Co innego nie daje Nasti spokoju. Czy zabójstwa Koriaginy i Pawłowej to ogniwa tego samego łańcucha, czy może nic ich nie łączy, a historyk Arkadij Woldemarowicz wkroczył do akcji później?

Zagadkowy Arkadij musi mieć współnika w dworze, w ciągu ostatnich dni Nastia próbowała go namierzyć. Na razie się nie udało.

Jadła racuchy, smarując je miodem, i przyglądała się sympatycznej kelnerce przy barze, która składała bawełniane serwetki, żeby wyglądały efektownie. Palce dziewczyny poruszały się szybko i zwinnie, nawet nie zerkała na dłonie, bo przez cały czas nie odrywała oczu od ekranu telewizora – akurat szedł jakiś poranny program o

modzie. Coś w tym obrazie poruszyło Nastię, poczuła pewien dyskomfort, a nawet niepokój, jak podczas egzaminu, gdy jest już za późno, by się odwrócić i wyjść, trzeba wylosować pytania, ale póki się ich nie wylosuje, nie wiadomo, czy będą szczęśliwe.

Nastia odwróciła wzrok, próbując zająć myśli czym innym – to zawsze pomagało. Później znowu spojrzała na kelnerkę i nagle przypomniała sobie Walerija Wasiljewicza Połosuchina zajętego wyszywaniem, jego zręczne palce operujące igłą. Zaledwie parę dni temu rozmawiała z nim w pokoju, w którym zbierali się miłośnicy haftu, i była zdumiona widokiem mężczyzny, który jedną ręką przewlekał igłę na lewą stronę robótki, a drugą przeciągał ją od spodu na prawą i bezbłędnie trafiał w tę samą dziurkę. Spec od samochodów zatrudniony w autoserwisie... Nie do wiary.

Nastia była jedyną klientką w restauracji, więc mogła zadzwonić i porozmawiać bez potrzeby podnoszenia głosu. Wybrała numer Siergieja Zarubina, swojego dawnego kolegi z Pietrowki.

– Sierioża, mówi ci coś nazwisko Połosuchin? – zapytała.

– Połosuchin, Połosuchin... – powtórzył w zamyśleniu Zarubin. – Chyba tylko Lerka Szop. Pasuje?

– Walerij Wasiljewicz – uściśliła Nastia.

– Zgadza się, Lerka Szop. A gdzie się pokazał? Już z dziesięć lat nie było o nim słyhać, myśleliśmy, że przeszedł w stan spoczynku. A może chodzi o jakiegoś innego Połosuchina?

– Nie wiem, Sierioża – przyznała Nastia. – Mam tu niejakiego Walerija Wasiljewicza Połosuchina, który mi się nie podoba.

– A co ci się w nim nie podoba? – zainteresował się Siergiej. – Jego szpetna facjata?

– Facjata jak facjata, podejrzane są raczej jego ręce. Zbyt zręczne jak na mechanika samochodowego.

– Zręczne, mówisz? W takim razie to na pewno Lerka Szop. Na sto procent. W całym naszym pięknym, rozległym kraju facet nie ma sobie równych, jeśli chodzi o zwinność palców.

– A kim on jest? Możesz mówić jaśniej?

– Och, Nastiu Pawłowno – Zarubin się roześmiał – całe życie spędziłaś na Pietrowce w sekcji zabójstw i zajmowałaś się wyłącznie sztywniakami, tymczasem ja pracuję w terenie, więc mam lepsze rozeznanie. Walerij Wasiljewicz Połosuchin to cała legenda, kradł od trzynastego roku życia, wyróżnia go niezwykła zręczność rąk, mógłby występować w cyrku. Pracował w fachu doliniarza i kieszonkowca, ale mówiono o nim, że w każdym palcu ma oczy i uszy, to znaczy, że ręce ma nie tylko zręczne, ale też delikatne – potrafił otworzyć każdy, najbardziej skomplikowany zamek, i to nie tylko wytrychem, lecz zwykłym drutem. Parę razy go zatrzymywaliśmy, ale musieliśmy wypuścić, bo niczego nie dało mu się udowodnić. Oficjalnie jest więc niekarany, chociaż ma na sumieniu tyle kradzieży, że na wołowej skórze by nie spisał. Ale jak już wspomniałem, przez ostatnie dziesięć lat zapadł się jak kamień w wodę. Już nawet myśleliśmy, że nasz Lerka Szop przeniósł się na łono Abrahama.

– A dlaczego Szop? – zainteresowała się Nastia.

– Dlatego że szop ma ogon w paski⁸ – odparł wesoło Zarubin. – A

gdzie na niego trafiłaś?

– W Tomilinie.

– Gdzie?!

– W Tomilinie – cierpliwie powtórzyła Nastia. – Stasow wysłał mnie tutaj w delegację.

– A co tam robi Połosuchin?

– Mieszka. Wrócił z emigracji.

– Skąd? – z niedowierzaniem zapytał Siergiej.

– Z Niemiec. Masz rację, ostatnimi laty wycofał się z interesu, wziął ślub i wyjechał z żoną, z pochodzenia Niemką, do Niemiec. Żył tam jak u Pana Boga za piecem z zasiłku socjalnego, nic nie robił, liczył muchy na suficie i zajmował haftowaniem, nie nauczył się języka, bo żona mówiła płynnie po niemiecku. A gdy zmarła, zaczęło się robić nieciekawie. Do pracy, takiej, jaka wymagana jest w Niemczech, nie był przyzwyczajony, po niemiecku ani be, ani me, a siedzenie w domu mu się znudziło, nie miał do kogo otworzyć ust, nie potrafił rozwiązać żadnego problemu. No więc przyjechał z powrotem do kraju.

– Z czego się utrzymuje? Wrócił do dawnego zajęcia?

– Wyobraź sobie, że pracuje, ale nie wrywa sobie rękawów, ma dużo wolnego czasu, no i może mówić w ojczystym języku. Popracuje trochę, a później siedzi sobie, haftuje i wdaje się w pogawędki. Podejrzewam jednak, że znalazł sobie dodatkowy zarobek i wykorzystuje dawne umiejętności. Więc możesz się spodziewać, Sieriożeńka, że niebawem zadzwoni do ciebie ktoś z komisariatu w Tomilinie. Albo Fiedułow, albo Wtoruszyn. Zapamiętasz?

– Zapamiętam. Niech dzwonią, powiem im wszystko, co wiem. Aha, nie zapominaj, że w GIC-u⁹ są odciski palców Połosuchina, więc jeśli dojdzie do identyfikacji, nie będzie z tym żadnego problemu.

– Nie zapomnę.

W restauracji nadal było pusto, nawet kelnerka ze zręcznymi dłońmi skończyła układać serwetki i poszła z nimi do magazynu, więc Nastia postanowiła zadzwonić jeszcze raz. Tym razem do Fiedułowa, którego telefon okazał się jednak bez przerwy zajęty, więc po paru nieudanych próbach musiała zadzwonić do Wtoruszyna. Ten niezwykle uważnie wysłuchał jej opowieści o porannym incydencie oraz wniosków dotyczących Połosuchina.

– Właściwie sprawa dwóch zabójstw została już umorzona i dotychczas jej nie wznowiono, ale znajdę sposób, żeby zarządzić obserwację Połosuchina – obiecał. – Zwłaszcza że zwierzchnicy wiedzą o pani poszukiwaniach i polecieli nam panią wspierać. No to niech sami też przyłożą do tego rękę. Mam rację?

– Chyba tak – przyznała Nastia. – Dziękuję.

– Na razie nie ma za co. A za kontakt w Moskwie jestem bardzo wdzięczny, na pewno odezwę się do pani kolegi. Stołeczni zawodowi złodzieje nie są nam tu potrzebni, mamy dosyć swoich.

Ilja Wtoruszyn jest uprzejmy. Kulturalny. Eloquentny. Ale Nastia mu nie ufa. Jest w nim coś odpychającego. A może ona już wszędzie widzi świrów? Może myli się co do Połosuchina i facet nie ma z tym nic wspólnego, albo to wcale nie tamten Połosuchin, tylko jego imiennik? Więc kto? A może nie kto, lecz CO? Nastia wzdrygnęła się. Nie

wierzyła w zjawy, ale przecież tutaj... I rozbite lustro, i rozrzucone włosy, i wybite okna w salonie, i dzisiejsza podarta suknia – wszystko działo się w czasie, gdy główny budynek jest prawie pusty. I nikt nic nie widział. Jakby po pokojach i korytarzach przemykał bezcielesny duch. Licho wie, co o tym myśleć!

Jeżeli jednak domysły na temat Arkadija Woldemarowicza i Połosuchina są słuszne, można uznać, że zabójstwa Koriaginy i Pawłowej to dwie osobne sprawy niezwiązane z dworem, a ludzie zainteresowani zamknięciem klubu zwyczajnie je wykorzystali, wymyślili legendę, do której zręcznie wplekli wszystkie szczegóły popełnionych zabójstw, dodali nowe i straszą członków klubu różnymi incydentami, świetnie wpisującymi się w treść legendy. Tak więc zdemaskowanie Połosuchina będzie oznaczało, że Nastia wykonała swoje zadanie. A jeśli współnikiem Arkadija Woldemarowicza okaże się kto inny? Co za różnica, najważniejsze, żeby go znaleźć, a tym właśnie zajmowała się Nastia przez ostatnie dni, zbierając i analizując informacje o osobach związanych z klubem Złoty Wiek oraz z posiadłością. Właściwie najlepiej byłoby znaleźć owego mitycznego historyka i sprawdzić, z kim się kontaktuje. Wtedy potwierdzi się, że na terenie dworu nie ma i nigdy nie było żadnego szaleńca, członkowie klubu odetchną i poświęcą się swoim zajęciom, na czym zależy przecież Biegorskiemu. Bo jego wcale nie interesuje, kto zabił Koriaginę i Pawłową, facet chce jedynie ocalić swój projekt i utrzymać klub.

Tymczasem Nastia Kamieńska pragnęłaby wiedzieć, kto zabił

Galinę Iljiczną oraz Aidę Borisownę. Jeśli bowiem szalenciec naprawdę istnieje, nikt nie jest bezpieczny. Mało prawdopodobne, że maniak zaszył się z dala od posiadłości. Może jest całkiem blisko, może to ten miły kelner, który zbiera teraz brudne naczynia ze stolika Nasti i tak miło się uśmiecha. Szalenciec nie kieruje się wymyśloną legendą, nie chce przejąć dworu, ma jakąś inną teorię, zgodnie z którą wybiera sobie ofiarę. W tej sytuacji Biegorski nie może się jeszcze cieszyć. Nie, jakkolwiek patrzeć, zdemaskowanie Arkadija Woldemarowicza i jego współnika nie rozwiąże wszystkich problemów, należy doprowadzić sprawę do końca. Ile jeszcze upłynie czasu, zanim Nastia będzie mogła wrócić do domu?

Telefon zadzwonił akurat w chwili, gdy sympatyczny kelner przyniósł jej kawę. W słuchawce zadudnił bas Władysława Stasowa.

– Słuchaj, Kamieńska, nie zamierzasz czasem zostać pisarką?

– Dlaczego? – Nastia się zmieszała.

– Codziennie zarzucasz mnie raportami takiej objętości, że czytam je jak powieść. Potrafisz pisać zwięźle?

– Nie potrafię. Specjalnie piszę tak szczegółowo, żebyś popatrzył świeżym okiem, bo może coś pomijam albo niewłaściwie interpretuję. Poza tym staram się ograniczyć informacje do minimum. To nie moja wina, że jest ich tak dużo.

– Dobra – burknął Stasow – i tak przesyłam twoje raporty Tatianie, niech czyta, bo ja nie mam na to czasu.

– A co mówi Tania? – Nastia się ożywiła.

Żona Stasowa Tatiana była popularną pisarką, autorką wielu

kryminalów, a w przeszłości doświadczoną śledczą z dużym stażem, więc Nastia liczyła się z jej zdaniem chyba nawet bardziej niż ze zdaniem Stasowa.

– Mówi, że to ciekawe – odparł Władisław, uśmiechając się. – Dziwi się, że ci głowa nie pęka od natłoku informacji.

– A właśnie że pęka – przyznała się Nastia. – A przy okazji, musiałam dzisiaj poprosić o pomoc Sieriożkę Zarubina.

– No i? – Stasow nie rozumiał.

– No i nic – wyzywająco odparła Nastia. – Pomógł. Ale z jakiej racji ma pomagać twoim pracownikom za dziękuję?

– Aha, zrozumiałem przytyk. – Władisław się roześmiał. – Dobrze, moja wdzięczność dla Zarubina przybierze realną, namacalną formę.

Nastia trzymała jeszcze w dłoni telefon, gdy za jej plecami rozległ się głos Biegorskiego.

– Nadal prowadzi pani niewłaściwy tryb życia. Zamiast spokojnie jeść śniadanie, prowadzi pani rozmowę telefoniczną. To nie do przyjęcia.

– Dzień dobry, Andrieju Siergiejewiczu – wybąkała Nastia.

– Dzień dobry. To niedopuszczalne. – Biegorski nie dał się zbić z tropu. – Co pani jadła? Tylko niech pani nie zmyśla, już wiem, że zamówiła pani jajecznicę i racuchy z miodem. To przecież woła o pomstę do nieba.

– A co miałam zjeść? – oburzyła się Nastia. – Wszędzie uważa się jajecznicę za normalne śniadanie, podawana jest we wszystkich hotelach na świecie.

– Cały świat to dla mnie nie wyrocznia – surowo odparł Biegorski.
– Są przecież elementarne zasady, które pani wyłożyłem, gdy tutaj jechaliśmy. Nie należy jeść produktów zawierających białko na śniadanie, a tym bardziej łączyć ich z takimi węglowodanami jak potrawy mączne albo zawierające cukier. Czyżby pani zapomniała?

Nastia pamiętała, rzecz jasna, nauki Andrieja Siergiejewicza, ale nie przyszło jej do głowy, żeby jego słowa przekuć w czyn. Niech sobie facet mówi, co chce, Nastia Kamieńska ma swój rozum. A także swoje przyzwyczajenia, gusta i słabości.

– Na śniadanie powinna pani jeść owsiankę na wodzie, bez mleka i cukru. Może być z dżemem niskosłodzonym, jeżeli inaczej pani nie smakuje. A przed owsianką owoce. Już pani tłumaczyłem: gdy zatrudniam pracownika, chcę, żeby był wydajny, aktywny i dobrze wykonywał swoje zadanie. Niech pani da słowo, że począwszy od jutra, będzie się pani odżywiała jak należy.

– Nie dam – zuchwale odparła Nastia i się roześmiała. – Witamy w Tomilinie, Andrieju Siergiejewiczu.

– Niech się pani nie wykręca. Daje pani słowo? Proszę pamiętać, że i tak wydam dyspozycje w kuchni, żeby rano nie przynoszono pani żadnych świństw.

– Przyjechał pan bardzo wcześnie – powiedziała z uśmiechem Nastia. – Całą noc spędził pan w samochodzie?

– Jechałem pociągiem, kierowca przyprowadzi samochód jutro.

Co to za dziwactwa? Co za sens jechać pociągiem, a nazajutrz wysyłać do Tomilina samochód? A zresztą Biegorski przecież

zapewniał, że nie znosi pociągów i podróżuje nimi tylko ze względu na Tamarę. Nie, zachowanie Andrieja Siergiejewicza zdecydowanie odbiega od normy.

– Anastazjo Pawłowno, dowiedziałem się, że strasznie tu pani marznie.

No proszę, jeszcze i to... Czyżby Tamara mu doniosła? Chyba ona, bo któż by inny?

– Dlaczego mnie pani nie posłuchała? – ciągnął tymczasem Biegorski. – Mówiłem przecież, jak ma się pani ubrać i co ze sobą zabrać. Uznała pani, że wtykam nos w nie swoje sprawy?

Nie da się ukryć, że Nastia tak właśnie pomyślała, ale przecież nie może się do tego przyznać. Zwłaszcza że później uświadomiła sobie słuszność argumentów Biegorskiego.

– Niepotrzebnie poczuła się pani dotknięta, chciałem przecież jak najlepiej, doskonale wiem, że panuje tutaj dotkliwy chłód, powietrze ma podwyższoną wilgotność, więc jest nie tylko zimno, ale i mokro. Nie da się kupić czegoś z sensem, chyba że za grube pieniądze, pani jednak nie sprawia wrażenia zamożnej utracjuszki i miłośniczki biegania po sklepach. Umówmy się, że zadzwoni pani do męża z prośbą, żeby spakował dla pani to, co radziłem. Ma pani listę?

Nastia pokręciła głową w milczeniu.

– No oczywiście, tak myślałem – rzekł Biegorski. – Rozgniewała się pani na mnie, wyśmiała i ją wyrzuciła, tak? Będzie pani musiała wyteńczyć pamięć i przypomnieć sobie to, co dyktowałem. Niech mąż wszystko spakuje, a jeśli trzeba, kupi. Rano kierowca zabierze rzeczy i

je pani przywiezie. I niech małżonek koniecznie przyśle pani bieliznę termoaktywną. Czemu się pani krzywi?

– Określenie „bielizna termoaktywna” kojarzy mi się z żołnierskimi kalesonami sprzed pół wieku – wyznała Nastia. – Niech mi pan jeszcze poradzi, żebym ją włożyła.

– Pani chyba oszalała! Nigdy nie nosiła pani bielizny termoaktywnej? Nie ma jej pani w domu?

– Nie mam i nigdy nie miałam.

– Więc niech pani poprosi męża, żeby kupił. Albo proszę podać rozmiar, każę kierowcy kupić i przywieźć. Jest pani okropnie zacofana, Anastazjo Pawłowno, żyje pani jeszcze w ubiegłym wieku. To niedopuszczalne, trzeba iść z duchem czasu.

No proszę, tego jeszcze brakowało, żeby jakiś obcy facet kupował dla niej bieliznę. Lepiej już poprosić Czistiakowa, choć pewnie spadnie z krzesła ze śmiechu.

Tymczasem Biegorski uznał temat za wyczerpany i zaczął wypytywać Nastię o postępy w śledztwie, zwłaszcza o poranny incydent. Kelner przyniósł mu sałatkę owocową oraz owsiankę i Nastia z przerażeniem patrzyła na to, co miała odtąd jeść każdego ranka. A ona nie cierpi owsianki! Nie może też jeść owoców na czczo, bo powodują niestrawność i boli ją żołądek. Może z pomocą Tamary uda się namówić pracowników restauracji, żeby zignorowali polecenie szefa?

Czistiakow omal się nie zakrztusił, słysząc o bieliznie termoaktywnej.

– Mówisz poważnie? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak strasznie tutaj marznę, Losza, że jestem gotowa włożyć wszystko, byleby się w końcu rozgrzać. Biegorski zapewnia, że bielizna termoaktywna to bardzo dobre rozwiązanie. Może warto spróbować.

– Jak sobie życzysz. Zaraz oczywiście pojedę i kupię, ale... Moja żona w kalesonach! W głowie się nie mieści!

Długo jeszcze dziwił się i oburzał, ale obiecał, że spakuje rzeczy i przekaże je rano kierowcy.

Nazajutrz kierowca dostarczył Nasti opasłą torbę z rzeczami. Był wśród nich nowy gruby sweter z kaszmiru. Dziękuję, Loszyk, z wdzięcznością i rozrzewnieniem pomyślała Nastia, przymierzając jaskrawy i jedwabisty w dotyku prezent. W torbie była też gruba kurtka z kapturem, dwie pary dżinsów i buty „traktory”. I dwa kolorowe, urocze pudełka. Nastia ze zdziwieniem otworzyła jedno z nich i wyjęła jakąś ładną rzecz we wściekłym łososiowym kolorze, w kwiatki, podobną do bluzki z długimi rękawami, rozciągliwą i bardzo przyjemną. Boże, co to jest? Nadaje się raczej na lato. W drugim pudełku znalazła cienkie spodnie z takiego samego materiału. Dopiero wtedy dotarło do niej, że to właśnie jest bielizna termoaktywna, o której mówił Biegorski. Coś podobnego! Można się w tym pokazać na premierze w Teatrze Wielkim.

Nastia ostrożnie wciągnęła bieliznę i zerknęła do lustra. Zabawne. Włożyła dżinsy, trykotową koszulkę i nowy sweter, wsunęła nogi w „traktory” i narzuciła kurtkę z kapturem. No cóż, chyba musi

zaryzykować i wyjść. Nie ma rady.

Ruszyła do schroniska po Kumpelkę. Po raz pierwszy, odkąd znalazła się w Tomilinie, spacer sprawił jej przyjemność.

*

Gdy zadzwonił Wtoruszyn, Nastia wyszła akurat z restauracji klubowej i wkładała kurtkę w szatni.

– Anastazjo, jeśli nadal interesuje się pani Połosuchinem, dostałem cynk, że siedzi teraz w barze hotelu Zorza i pije piwo w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, który się zatrzymał w hotelu. Zajrzy tam pani?

– Oczywiście. – Nastia szybko zapięła suwak w kurtce i narzuciła kaptur. – Zaraz pobiegnę do garażu po samochód.

– Dobrze. W razie czego jestem pod telefonem. Tylko bardzo panią proszę...

– Wiem – przerwała mu Nastia, wypadając na dwór – nie jestem dzieckiem.

Wtoruszyn chciał jej oczywiście przypomnieć, żeby nie działała na własną rękę i nie próbowała nikogo zatrzymać. Ale Nastia w ogóle nie brała tego pod uwagę. Do niej należy zbieranie i analizowanie informacji, zatrzymanie podejrzanych to już nie jej robota. Przez chwilę zrobiło jej się przykro, ale szybko odpędziła smutne myśli, które owładnęły nią zupełnie nie w porę.

Kierowca, którego przydzielił jej Biegorski, był na miejscu, pił

herbatę w służbowym pomieszczeniu, więc już parę minut później wyjeżdżali przez bramę posiadłości i pędzili w stronę hotelu Zorza.

Nastia dostrzegła Połosuchina jeszcze z ulicy, na którą wychodziły okna baru. Walerij Wasiljewicz siedział przy ładnym stoliku za ażurowym drewnianym przepierzeniem, ozdobionym sztucznym bluszczem, w towarzystwie mężczyzny pasującego do opisu tajemniczego Arkadija Woldemarowicza. Żeby tak posłuchać, o czym rozmawiają... Nastia oceniła przez okno odległość między stolikami i doszła do wniosku, że może uda jej się zająć miejsce, z którego usłyszy coś, nie będąc zauważona.

Zostawiła kurtkę w szatni i pochwyciła nieprzychylne spojrzenie recepcjonistki, która obrzuciła wymownym wzrokiem jej „traktory”. W takich butach nie wchodzi się do przyzwoitego hotelu! To nie wypada. Nastia postanowiła zlekceważyć opinię społeczną i zdecydowanie ruszyła w stronę upatrzonego stolika. Połosuchin znalazł się tuż za jej plecami, za cienkim drewnianym przepierzeniem. Słowa dobiegały niezbyt wyraźnie, rozmówcy mówili ściszymi głosami, a z głośnika pod sufitem niosły się dźwięki ciężkiego rocka, mimo to Nasti udało się usłyszeć urywki wypowiedzi. Ogólnie rzecz biorąc, odniosła wrażenie, że rozmówca Połosuchina zaleca ostrożność i czujność, a Walerij Wasiljewicz uśmiecha się i zapewnia, że wszystko będzie w porządku. W pewnej chwili muzyka umilkła, pewnie zmieniano płytę, i Nastia usłyszała całe zdanie wypowiedziane przez nieznanego. A właściwie nie zdanie, tylko wznoszącą się intonację. Teraz nie miała żadnych wątpliwości, że rozmówcą Połosuchina jest zagadkowy Arkadij

Woldemarowicz. Zguba się znalazła!

No i co teraz począć? Do stolika, przy którym siedzieli mężczyźni, podszedł kelner i Nastia usłyszała, że przyjaciele znowu zamawiają piwo. A więc jeszcze nie wychodzą. Niepostrzeżenie opuściła swoje miejsce, wymknęła się do holu, gdzie znowu natknęła się na podejrzliwe spojrzenie recepcjonistki, i zadzwoniła do Wtoruszyna.

– Ilja, Połosuchin jest tutaj razem z Arkadijem Woldemarowiczem, którego bezskutecznie szukaliśmy. Ma pan jakiś pomysł?

– A jaki ja mogę mieć pomysł? – beznamiętnie odparł kapitan. – Nie ma podstaw do zatrzymania, nawet jeżeli się pani nie myli i to oni są sprawcami incydentów w dworze. Takie rzeczy nie są karalne, można to jedynie podciągnąć pod wybryki chuligańskie, w dodatku z trudem. Nie mamy dowodów, że faceci maczali palce w zabójstwach.

Nastia musiała przyznać rację Wtoruszynowi. Gdyby była na służbie, wymyśliłaby, jak i o czym porozmawiać z uroczymi panami, ale w tej sytuacji... Kim ona jest? Socjologiem ze stolicy? Nawet jako prywatny detektyw nie ma żadnych praw.

– I co, tak to zostawimy? – zapytała rozczarowana.

– Dlaczego mielibyśmy zostawić? – zapytał z uśmiechem Wtoruszyn.– Zawsze jest jakieś rozwiązanie. Jak długo pani zdaniem nasi panowie zostaną jeszcze w hotelu?

– Ze dwadzieścia minut, niedawno zamówili po kuflu piwa.

– W takim razie zaraz tam będę. Zatrzymamy, potrząśniemy i nastraszymy. Załatwimy to tak, że mucha nie siada. Gdyby chcieli wyjść, proszę ich zatrzymać. Da pani radę?

– Postaram się – odparła Nastia z westchnieniem.

Tak, miejscowi wywiadowcy nie palą się do rozwiązania zagadki dwóch zabójstw. Chociaż to dotyczy tylko Wtoruszyna, bo Fiedułow niby okazuje pełną gotowość... Ale kto go tam wie, może tylko udaje. Co ich obchodzą dwie emerytki? Pierwsze zabójstwo wydarzyło się prawie przed rokiem, a drugie niemal cztery miesiące temu. Jeśli do tej pory nikt im nie urwał głowy za opieszałość w śledztwie, po co mają się wysilać? Codziennie pojawiają się nowe sprawy i muszą się nimi zająć. Co prawda Fiedułow wspominał, że nie może spokojnie spać, póki szaleniec krąży po mieście, ale to tylko słowa. Rzeczywistość jest zupełnie inna. Albo nie można się do niego dodzwonić, albo nie uważa za stosowne podzielić się nowymi informacjami. Nikomu na niczym nie zależy.

Nastia wróciła do sali i podeszła do stolika Połosuchina.

– Dzień dobry, Waleriju Wasiljewiczu – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – Dobry wieczór, Arkadiju Woldemarowiczu. Czy może nazywa się pan inaczej?

– Nikołaj Siemionowicz, za pozwoleniem. – Rozmówca Połosuchina skinął głową w geście powitania. – My się znamy?

– Walerija Wasiljewicza znam osobiście, a pana ze słyszenia. Bo to przecież pan odwiedził dziennikarkę Nataszę? A ona na podstawie pańskiej opowieści napisała słynny artykuł, prawda?

– Nie wiem, o czym pani mówi. – Głos Nikołaja Siemionowicza stał się wyniosły i beznamiętny.

– Niech pan da spokój i nie udaje. – Nastia machnęła ręką. – Mogę

się przysiąc?

– Proszę bardzo.

– A pan, Szop, dlaczego milczy? – Nastia zwróciła się do Połosuchina. – Pan też nie wie, o czym mówię? Wciąż zachodziłam w głowę, jak to się stało, że ochroniarze nie widzieli, jak ktoś wchodził do głównego budynku, a później z niego wychodził. Schował się tam pan w nocy, prawda? Zdobycie kluczy nie stanowiło żadnego problemu. Na dobrą sprawę wcale ich pan nie potrzebował, otworzy pan każde drzwi nawet bez kluczy. Po prostu nie wyszedł pan z budynku, gdy zamykano go na noc. A przecież ochroniarze sprawdzają wszystkie pomieszczenia przed zamknięciem. Niezła łamigłówka, prawda?

Połosuchin milczał i spoglądał na Nastię z ironicznym uśmiechem.

– Ale łamigłówka okazała się prosta – ciągnęła. – Ochroniarze sprawdzają pomieszczenia klubu i gabinety na piętrze, lecz nie sprawdzają pokoi gościnnych. Po co mają je sprawdzać, skoro nikt ich nie zajmuje? Zaglądają do gości z innych miast, stwierdzają, że tamci są na miejscu, szykują się do snu, i na tym kończą sprawdzanie części hotelowej na piętrze. Zgadza się? Owszem, zgadza, sama się o tym przekonałam. Więc tuż przed zamknięciem klubu, mniej więcej za dziesięć dziesiąta, mógł pan, Waleriju Wasiljewiczu, z łatwością wślizgnąć się do jednego z pustych pokoi i zainstalować tam na noc. Istniała wprawdzie obawa, że rano do pokoju wejdzie sprzątaczką, żeby zetrzeć kurz, i zauważy zmiętą pościel, pan jednak jest człowiekiem przezornym, więc nie spał pan w łóżku, tylko na kanapie. A rano widział pan przez okno wychodzące sprzątaczkę. Gdy dom

ponownie zamykano, schodził pan na dół i realizował swój plan. To było dziecinnie proste. Później wracał pan do pokoju i czekał, aż klub ożyje i będzie pan mógł wyjść, udając, że jest pan w pracy. Najważniejsze, żeby nie zauważyli pana goście z innych pokojów. I to się panu świetnie udało.

– Jesteś za mądra jak na swój wiek, kobieto – burknął Połosuchin.
– Mogłabyś pracować w milicji.

Ciekawe, czy to rodzaj komplementu, pomyślała Nastia. Facet przeszedł już ze mną na ty, jakbym była młodą dziewczyną. A może to oznaka lekceważenia?

– Chyba nie. – Nastia pokręciła głową i uśmiechnęła się figlarnie, jakby akcentowała w ten sposób swój rzekomo młody wiek. – W milicji mało płacą. Nie mam tam czego szukać.

– Mój przyjaciel Walerij Wasiljewicz wspominał, że jest pani socjologiem. To prawda? – włączył się Nikołaj Siemonowicz vel Arkadij Woldemarowicz.

– Zgadza się. – Nastia uśmiechnęła się promiennie.

– O ile pamiętam, socjolodzy też dużo nie zarabiają.

– To prawda – ochoczo przyznała Nastia. – Ale jest mnóstwo możliwości, żeby sobie dorobić. Prace semestralne, dyplomowe, referaty, nawet rozprawy naukowe. Do wyboru, do koloru. Zapotrzebowanie jest duże.

– No i byłoby lepiej, gdybyś zajęła się pisaniem – burknął Połosuchin. – Po co wtykasz nos w nie swoje sprawy?

Można to było potraktować jako przyznanie się do winy. Nastia

zdawała sobie sprawę, że Połosuchin i jego koleżka czują się bezkarni. Niczego im nie udowodni. A jeśli nawet, to nie wykaże związku ze sprawą – każdy śledczy odmówi wznowienia dochodzenia karnego z uwagi na nieistotne dowody. Nic im nie grozi, więc nawet nie próbują zaprzeczać.

– Muszę panom powiedzieć, że jestem stuprocentową kobietą – odparła Nastia pogodnie. – To znaczy bardzo ciekawską. Zaintrygowało mnie, dlaczego wszyscy okropnie się denerwują, boją się zjaw i szaleńców, bez końca rozprawiają o jakiejś dawnej legendzie. Zabito dwie starsze kobiety. Chociaż właściwie można powiedzieć, że obie panie były w kwiecie wieku. Jedna miała sześćdziesiąt osiem lat, a druga siedemdziesiąt.

– Posłuchaj, dziewczyno – włączył się w końcu Nikołaj Siemonowicz, upijając duży łyk ciemnego piwa – wszystko to bardzo zabawne, chętnie pośmiałbym się razem z tobą, gdybym wiedział, po co nam to mówisz. Może nas z kimś pomyliłaś?

No proszę, ten też mnie tyka. Czyżbym tak młodo wyglądała? To raczej wątpliwe, przemknęło Nasti przez głowę. Tani chwyt, żeby podkreślić mój brak rozwagi w porównaniu z ich statecznością.

– Co też pan mówi! Czy Lerkę Szopa można z kimś pomylić? Znają go nie tylko wszyscy milicjanci w Rosji, ale nawet tacy socjolodzy jak ja. Co prawda trzeba mieć znajomych w milicji. Ale ja ich mam. Świetnie pamiętają pana Szopa.

– Uważaj no, młoda – wycedził przez zęby Walerij Wasiljewicz. – Nie wypieram się swojej przeszłości, co było, to było, ale jak to się

mówi, złodzieja trzeba złapać za rękę, a mnie nikt nie złapał. Z tamtym dawno skończyłem. Jestem na emeryturze, jasne? Mogę ci się teraz przyznać do czego chcesz, bo wszystkie moje numery się przedawniły. A nic nowego mi nie przykleisz, zapomnij.

– Niech pan da spokój, Waleriju Wasiljewiczu, kim ja jestem, żebym miała kopać dołki pod panem? Ale miejscowi funkcjonariusze nie będą mieli obiekcji i zapytają, kto zlecił panu przygotowanie wszystkich sztuczek w dworze. Ma pan całkowitą słuszność, nikt panu nie założy sprawy karnej, więc może się pan nie obawiać. Grozi panu najwyżej zwolnienie z pracy. Ale to nie byłoby straszne, prawda? Znajdzie pan sobie inną posadę, świadectwo pracy pewnie ma pan nienaganne, choć podejrzewam, że lipne. Co prawda może być krucho z mieszkaniem, ale jakoś pan sobie poradzi, rozwiąże problem. A przed panem, Arkadiju Woldemarowiczu, otwierają się wspaniałe perspektywy. Pan też został przecież wynajęty, prawda? Czy może jest pan osobiście zainteresowany likwidacją klubu i kupnem dworu? Nie, raczej nie – Nastia z powątpiewaniem pokręciła głową – nie ma pan dość pieniędzy, nie przypomina pan oligarchy. Jest pan zwykłym najemnikiem. Ale niestety macie, panowie, pecha. Miejskowa milicja szuka sprawcy dwóch zabójstw, a wy obaj jesteście idealnymi podejrzanymi, lepszych się tutaj nie znajdzie. Zwłaszcza pan, Połosuchin, ze swoim wyjątkowym życiorysem. Jak pan sądzi, trudno będzie pana zrobić w zabójstwa Koriaginy i Pawłowej?

Połosuchin zaczął się powoli podnosić ze swojego z miejsca.

– Słuchaj no, ty...

– Myślę, że wszystko pójdzie jak z płatka – powiedziała Nastia jak gdyby nigdy nic. Kątem oka zauważyła przez okno zatrzymujący się samochód, z którego wysiedli Fiedułow, Wtoruszyn i jeszcze jeden milicjant w mundurze i z bronią. – Wystarczy się przyłożyć. Niech pan siada, za wcześnie, żeby wstawać, nikt jeszcze nie przyjechał.

– Kto nie przyjechał? – W głosie Nikołaja Siemionowicza po raz pierwszy zabrzmiał niepokój. – Czekamy na kogoś?

– A jak pan myślał? Czekamy na milicjantów, którzy za wszelką cenę muszą rozwiązać zagadkę dwóch zabójstw. Bo oni, proszę pana, nie śpią po nocach, wciąż szukają, na kogo by to zwalić. No i w końcu znaleźli.

– Jak pani śmie... – zaczął Nikołaj Siemionowicz, ale urwał, widząc surowe spojrzenie Dmitrija Fiedułowa, który właśnie zbliżał się do stolika.

– W porządku, panowie. – Nastia wstała i schowała się za plecami Fiedułowa. – Chyba już pójdę, nie mam ochoty patrzeć, co będzie dalej.

Naprawdę nie miała ochoty. Jeżeli zabójstwa Koriaginy i Pawłowej były dziełem osób, które chciały przejąć dwór, Arkadij Woldemarowicz vel Nikołaj Siemionowicz nie może o tym nie wiedzieć. A skoro wie, to prędzej czy później się załamie i powie wszystko wywiadowcom, nie będzie miał wyjścia – jest zbyt inteligentny, żeby przeciwstawić się rosnącym milicjantom z prowincji, którzy bywają brutalni i bezceremonialni. Jeżeli natomiast zabójstwa nie mają związku z kupnem dworu, wtedy sprawa przestaje być ciekawa. Bo wszystko

trzeba zaczynać od początku.

⁸ Nazwisko Połosuchin pochodzi od słowa *połosa* – pasek.

⁹ GIC (*Główny informacyjny centr*) – Główne Centrum Informacyjne.

ROZDZIAŁ 9

Ilja Wtoruszyn zaprosił na swoje urodziny Nastię, która nie miała ochoty przyjść, ale nie wypadało jej odmówić. Oprócz Nasti i Fiedułowa w pokoju byli jeszcze dwaj wywiadowcy, którzy ochoczo wznosili toasty i sięgali po przekąski przyniesione przez Ilję. Wtoruszyn dość szybko się wstawił, w każdym razie po trzecim, wprawdzie sporym kieliszku kapitan wydał się Nasti mocno nietrzeźwy. Okrągła twarz zaczerwieniła się i pokryła kropelkami potu, spod rozpiętego kołnierzyka koszuli wyzierały kręcone jasne włosy, takie same gęste jasne włosy pokrywały też przedramiona Wtoruszyna, które odsłaniały podwinięte rękawy, usta błyszczące od tłuszczu wydawały się bezkształtne i co rusz rozpływały się w pijackim uśmiechu.

Początkowo rozmowa, jak zwykle bywa, obracała się wokół tematów służbowych, a zwłaszcza wokół Połosuchina i Nikołaja Siemionowicza, którzy niezbyt długo opierali się umiejętnemu naciskowi wywiadowców i w końcu wyznali, kto i za jakie pieniądze ich wynajął, żeby straszili gości klubu Złoty Wiek. Tak jak się spodziewano, okazało się, że są to ludzie związani z lokalną administracją, którzy robili, co mogli, żeby usunąć Biegorskiego z dworu. Połosuchin i Nikołaj Siemionowicz nie mieli jednak żadnego

związku z zabójstwami, ich zleceniodawcy postanowili wykorzystać popełnione przez kogoś zbrodnie. Legendę wymyślił Nikołaj Siemionowicz, który istotnie mieszkał w Petersburgu i tylko przyjeżdżał do Tomilina, starając się w miarę możliwości nie opuszczać hotelu, żeby nie spotkać przypadkiem oszukanej dziennikarki.

– A pani jednak wdała się z nimi w rozmowę – z wyrzutem powiedział Ilja – chociaż prosiłem, żeby ograniczyła pani twórcze zapędy. Miała pani siedzieć cicho. Co pani chciała osiągnąć swoim występem?

– Guzik rozumiesz – Dmitrij Fiedułow próbował wziąć Nastię w obronę. – Anastazja Pawłowna lepiej się na tym zna, możesz się od niej uczyć.

– Chętnie wyjaśnię, Ilja – spokojnie odparła Nastia. – Są ludzie twardzi i uparci, to znaczy nieelastyczni, i jeśli ich czymś nagle, niespodziewanie zaskoczyć, prawdopodobnie się załamią, bo nie będą potrafili szybko się przestawić i wypracować linii obrony. Gdybyśmy mieli do czynienia właśnie z takimi ludźmi, moja rozmowa z nimi byłaby nieroztropnym posunięciem, tutaj przyznaję panu rację. Ale w naszym przypadku byli to ludzie nie w ciemę bici, elastyczni i myślący. Przecież gdyby Lerka Szop był nierozgarnięty, nie uszłyby mu na sucho liczne kradzieże, na pewno by wpadł. A jeśli chodzi o Nikołaja Siemionowicza, to wiadomo: rozum i wykształcenie. Po takich ludziach można się spodziewać wszystkiego, są zdolni do nieprzewidywalnych posunięć, zwłaszcza w sytuacji nagłego ataku, jak szczury zapędzone w kąt. Ale jeśli dać im możliwość, żeby się

zastanowili i przygotowali, sami dojdą do wniosków, które chcemy im podsunąć: lepiej od razu przyznać się do drobnych przewinień, niż zostać oskarżonym o poważne sprawy. Rozumie pan?

Wkrótce tematy służbowe się wyczerpały, obecność Nasti nie pozwalała wywiadowcom omawiać ich w tym zakresie, w jakim by sobie życzyli, więc rozmowa zaczęła się toczyć wokół neutralnych kwestii – omówiono na przykład szanse naszych sportowców w zbliżającej się olimpiadzie w Vancouver, a także sposoby spędzania letniego urlopu. Solenizant z zapałem opowiadał o podróży do Egiptu, w którą zabrał swoją babcię, i wyglądało na to, że historia była przeznaczona specjalnie dla Nasti, bo reszta gości z trudem ukrywała znudzenie – widocznie słuchała jej nie po raz pierwszy.

– ...marzyła, żeby obejrzeć piramidy i przejechać się na wielbłądzie. Zawiozłem ją do piramid, wypożyczyłem samochód, ale gdy pojawiły się wielbłądy, zaczęła się istna heca. Babcia jest już niemłoda, chorowita, tęga, ale entuzjazmem i wigorem mogłaby obdarować z dziesięć osób. Udało jej się jakoś wdrapać na wielbłąda, ale okazało się, że jest niewłaściwie ubrana, obtarła sobie uda, a nawet pośladki. Pomagałem jej potem smarować kremem otarcia, zaklejałem je plastrem, biedaczka ledwie chodziła. Myśli pani, że ją to zniechęciło? Ani trochę! Każdy krok sprawiał jej okropny ból, a ona wciąż biegała zwiedzać zabytki. Taka jest właśnie moja babcia! Bardzo się cieszyła z tego wyjazdu! To dla mnie najważniejsza osoba na świecie! A jaka z niej kokietka! W jej wieku! Kupiliśmy tam kolczyki, ogromne, błyszczące, długie, wypatrzyła też sobie w sklepiku lusterko w

lokalnym stylu, no więc od razu założyła kolczyki i wciąż przeglądała się w lusterku, tak jej się podobały i kolczyki, i lusterko, i ona z tymi kolczykami. Ale trzeba przyznać, że było jej do twarzy, wyglądała naprawdę pięknie.

Nastia nawet nie wiedziała, dlaczego słowa Wtoruszyna napełniały ją odrazą. Podziw dla babci wydawał jej się nienaturalny, zbyt demonstracyjny, ckliwy, a przede wszystkim wstrętny i niezdrowy. Chyba zwariowałaś, beształa się w myślach, pogryzając wędzony ser pokrojony w słupki, dlaczego miłość i przywiązanie do babci wywołują w tobie tak wielką niechęć? Może dlatego, że sama nigdy nie miała babci i nie wiesz, jak bardzo można ją kochać? Nie zaznałaś tak silnego uczucia w stosunku do krewnych w podeszłym wieku, więc wydaje ci się, że to nie może być szczerze. Weź się w garść, Kamieńska, przemawia przez ciebie zwyczajna zazdrość. Tak, tak, przyznaj się: zazdrościsz Ilji Wtoruszynowi, ponieważ on ma to, czego ty nie masz, ma wspaniałą babcię, którą kocha. Argumenty jednak nie pomagały, Wtoruszyn coraz bardziej ją mierzył.

Pod pierwszym lepszym pretekstem Nastia opuściła pokój, wsiadła do samochodu i pojechała z powrotem do dworu. W drodze opadły ją zupełnie nieprzyzwoite myśli, że jeżeli drugie zabójstwo było naśladownictwem pierwszego, to kto, jak nie Wtoruszyn, mógł tak dokładnie znać i odtworzyć wszystkie detale. Fiedułow, rzecz jasna, też mógł to zrobić, podobnie jak każdy milicjant obecny przy oględzinach zwłok, ale Wtoruszyn najbardziej przypomina świra z obsesją na punkcie starszych kobiet. Nastia zaczęła sobie wyobrażać,

jak Ilja smaruje kremem i zakleja plastrem obtarte miejsca na pośladkach i udach ukochanej babci, i aż ją zemdliło. A ta jego opowieść o kolczykach i lusterku? Chociaż czemu miałyby się tak odsłaniać? Jeżeli Ilja Wtoruszyn jest naprawdę poszukiwanym szaleńcem, który popełnił oba zabójstwa albo przynajmniej jedno z nich, powinien robić wszystko, żeby nie padł na niego nawet cień podejrzenia. I na pewno nie będzie opowiadał o pośladkach babci, o kolczykach i lusterku. Ale z drugiej strony, był nietrzeźwy. A więc stracił nad sobą kontrolę.

Kamieńska, wymyślasz licho wie co, zbeształa się w duchu Nastia. Lepiej zastanów się nad jedną z dwóch rzeczy: jak szukać szaleńca, który popełnił dwa zabójstwa, albo za co zabito Koriaginę i Pawłową. Jednoczesne rozpatrywanie obu kwestii przerasta twoje siły, lata już nie te, umysł nie pracuje dość sprawnie.

Ta myśl ją zasmuciła i na dobre straciła humor. Miała wrażenie, że marnuje czas spędzony w Tomilinie, że właściwie z wyjątkiem zdemaskowania złodzieja, Lerki Szopa, nic jej się do tej pory nie udało, ale póki nie udowodni, że członkom klubu nic nie grozi, nie może uznać pracy za wykonaną. Droga do osiągnięcia celu wydaje się tak daleka jak w dzień przyjazdu. Na próżno Stasow posłał mnie w delegację, na próżno na mnie liczy, nic już nie potrafię, jestem stara, wyczerpana i do niczego się nie nadaję.

Nie potrafiła jednak zmusić umysłu do odpoczynku, więc zanim przyjechała do posiadłości, już chciała dzwonić do Fiedułowa z kolejnym zadaniem. Musiała jednak się powstrzymać i poczekać do

następnego ranka. Świetnie bowiem wiedziała, że po jej wyjściu z komisariatu urodzinowe pijaństwo nabierze nowego, o wiele szerszego wymiaru i Fiedułow na pewno nie będzie miał głowy do jej pytań i sugestii.

*

Nazajutrz rano Fiedułow sam do niej zadzwonił, co wprowadziło Nastię w szczere zdumienie.

– Wszystko w porządku, Anastazjo Pawłowno?

– Oczywiście, a czemu pan pyta? Coś się stało?

– Nie, nie, po prostu odniosłem wrażenie, że nie spodobało się pani u nas wczoraj. Tak szybko pani wyszła... Proszę się nie gniewać, czego się spodziewać po pijanych milicjantach? Mam nadzieję, że zachowywaliście się przyzwoicie? Nie naprzykrzaliśmy się pani?

– Niech się pan nie martwi, Dima – uspokoiła go Nastia. – Nie mam do was żadnych pretensji. Musiałam wracać, żeby wyprowadzić psa przed zamknięciem schroniska.

– Wybrała pani sobie jakiegoś pieska? – Głos Fiedułowa wyraźnie się ożywił i Nastia domyśliła się, że milicjant jest miłośnikiem psów.

– Starego kundla. Czasem zabieram go na spacer i dokarmiam.

– To świetnie! Ma pani dobre serce, nie to, co inni. A w Moskwie też ma pani psa?

– Nie.

– A ja mam dwa. Wziąłem je ze schroniska w ubiegłym roku.

– Pamiętam, wspominał pan. Dima, tak sobie myślę... Może Pawłowa prowadziła jakąś sprawę, w której Koriagina była na przykład świadkiem. Nie pamięta pan?

– N-nie – z zakłopotaniem odparł Dmitrij. – Ale mogę poszperać, poszukać. Czyżby pani sądziła...

– Czemu nie? Pawłowa prowadziła sprawę, Koriagina składała zeznania, ktoś dostał wysoki wyrok, a później wyszedł na wolność i zaczął się mścić na tych, którzy jego zdaniem posłali go za kratki. Myśli pan, że to niemożliwe?

– Ależ skąd... Szczerze mówiąc, jakoś nie przyszło mi do głowy. Właściwie pomysł jest całkiem niezły. – Dmitrij się ożywił. – Poszukam w archiwum sądowym, mam tam znajome dziewczyny, na pewno pomogą. Miałem jednak rację, mówiąc, że można się od pani czegoś nauczyć, a pani nie wierzyła.

Przygnębienie, które nie opuszczało Nasti od wczorajszego wieczoru, powoli zaczęło ustępować, choć komplementy nigdy nie robiły na niej szczególnego wrażenia. Ucieszyła się i tyle. Nie wnikała dlaczego. Zaskoczyła Fiedułowa i zaczęła się zastanawiać, gdzie jeszcze można poszukać potwierdzenia nowej hipotezy.

Jeżeli na byłej śledczej, Aidzie Borisownie Pawłowej, ktoś się mścił, całkiem możliwe, że nie od razu przystąpił do morderstwa, lecz zaczął od pogrózek. To przecież czysta przyjemność – zastraszyć ofiarę i obserwować, jak trzęsie się ze strachu. Rozmowy z osobami, które znały Pawłową, nie potwierdziły, że ktoś jej groził, ale przecież Aida Borisowna mogła o tym nikomu nie mówić. Po prostu nie traktowała

pogróżek poważnie i nie uważała za stosowne wspominać o nich w rozmowach.

Tak czy inaczej, trzeba przejrzeć skrzynkę pocztową Pawłowej. Może dostawała maile z pogrózkami?

Nastia natychmiast pobiegła do sali komputerowej, żeby odszukać Kostię Jeremiejewa. Pytanie o pocztę elektroniczną Aidy Borisowny z jakiegoś powodu bardzo mu się nie spodobało. A może Nasti się tylko wydawało?

– Nie, Pawłowa nie korzystała z poczty – odparł stanowczo.

– A z Internetu?

– Czemu to panią interesuje? – Jeremiejew zadał całkiem rozsądne pytanie.

Rzeczywiście, w ferworze dochodzenia Nastia zapomniała, że nie jest tutaj detektywem, lecz socjologiem.

– Pytam z ciekawości, chciałabym wiedzieć, które strony internetowe odwiedzają członkowie klubu. Zakres ich zainteresowań i temu podobne rzeczy.

– W każdej chwili może pani zobaczyć, co przeglądają ci, którzy tutaj siedzą – zaproponował Jeremiejew. – W czym problem?

– W niczym – wybąkała Nastia.

Palnęła piramidalne głupstwo, zupełnie zapominając o swojej historyjce. Nie miała jednak ochoty się wycofywać.

– Zastanawiam się, dlaczego Aida Borisowna nie korzystała z poczty i z Internetu? Po co w takim razie chodziła do pana na kurs komputerowy?

– Miała w domu własny komputer. Skończyła kurs i kupiła sobie komputer – oschle odparł Jeremiejew. – Zadaje pani dziwne pytania.

Też coś... To jasne, że pytania mu się nie spodobały, w ogóle nie były związane z pracą socjologa, a kto lubi, gdy robi się z niego idiotę i wciska jakieś wierutne kłamstwo.

– Z natury jestem bardzo ciekawska. – Nastia udała, że jest zmieszana i nawet spróbowała się zaczerwienić, ale niestety bezskutecznie. – Wiem, że to moja słabość. Powiedziano mi, że Aida Borisowna została zabita, więc poczułam nieprzepartą chęć, żeby przeczytać jej korespondencję. Muszę panu wyznać, że w listach nieżyjących osób jest coś... frapującego. Jakby się odkrywało jakieś tajemnice. Tylko niech pan nikomu nie mówi, dobrze? Wstydzę się swojego wścibstwa, ale nic nie mogę poradzić, ono jest jak kleptomania. Kradnę cudze sekrety. Wiem, że to nieładnie, ale nie mogę się powstrzymać.

Usta Kosti Jeremiejewa wygięły się w pobłażliwym uśmiechu.

– Dobrze, nikomu nie powiem. Ale powinna pani być ostrożniejsza ze swoją słabością, bo może się pani kiedyś wpakować w niezłe kłopoty!

– Wiem. – Nastia westchnęła ze skrucą. – Już tak bywało.

Opuściła salę komputerową i poszła szukać Biegorskiego. Humor znowu ją opuścił. Co za wstyd! Ona, wywiadowca z niemal trzydziestoletnim doświadczeniem, popełniła niewybaczalny błąd. Udawanie socjologa ją męczyło, no i zachowała się jak wywiadowca. Czyżby zawiódł ją umysł? Zupełnie się zestarzała? Może jej miejsce

jest odtąd przed telewizorem albo na kanapie z książką?

Znalazła Andrieja Siergiejewicza w garderobie, był z Tamarą, która założywszy okulary, fastrygowała wykrój.

– Muszę pana przeprosić – zaczęła od razu Nastia, postanawiając niczego nie ukrywać. – Popełniłam błąd i potrzebuję pańskiej pomocy, żeby go naprawić.

Niczego nie tając, opowiedziała smutną historię swojego błędu. Biegorski słuchał uważnie, od czasu do czasu kiwał głową, ale Nastia nie zauważyła na jego twarzy grymasu niezadowolenia. Całe szczęście.

– Jak temu zaradzimy? – zapytał, gdy Nastia umilkła.

– Muszę dostać się do pańskiego serwera. Ma pan chyba własny serwer?

– Owszem, mam.

– A więc są na nim pewnie umieszczone skrzynki pocztowe członków klubu. Byłam na zajęciach w sali komputerowej i słyszałam, jak informatyk uczył otwierać skrzynkę. Odsyłał wszystkich na serwer „zolotoyvek”. Chciałabym znaleźć skrzynki pocztowe Pawłowej i Koriaginy i przejrzeć ich korespondencję. Kostia Jeriemiejew powiedział, że Pawłowa nie korzystała z waszych komputerów, miała w domu własny, ale może otwierała skrzynkę tak, jak ją nauczono. W każdym razie mogłabym spróbować. Kiepski ze mnie haker, ale coś chyba potrafię.

– A co stoi na przeszkodzie?

– Pańscy informatycy w sali komputerowej. Byłam tam i

zauważyłam, że mogą śledzić strony otwierane przez użytkowników, macie tam przecież sieć. Będę musiała użyć swojego komputera, ale boję się, że zauważą próbę włamania. Zajmę się tym w nocy, gdy nie ma nikogo w sali. Ale jeśli rano informatycy odkryją ślady mojej aktywności, zrobi się nieciekawie.

– Rozwiążę ten problem – spokojnie odparł Biegorski. – Powie mi pani, kiedy planuje to zrobić, a ja wezmę wszystko na siebie. Znajdę odpowiednie wytłumaczenie. O to proszę się nie martwić. Coś jeszcze?

– Potrzebne mi są parametry pańskiego serwera. I adres domu dziecka, w którym bywała Pawłowa.

Ta myśl wpadła jej do głowy przed chwilą i Nastia pochwaliła się w duchu, uradowana, że potrafi jeszcze kojarzyć. Dzieci są nie tylko ciekawskie, ale też bardzo spostrzegawcze.

Następnym krokiem był telefon do Fiedułowa.

– Na razie nie mam dla pani żadnych wiadomości – oznajmił, gdy tylko usłyszał głos Nasti. – Nie dotarłem jeszcze do archiwum.

– Nie szkodzi – uspokoiła go Nastia. – Ja w innej sprawie. Czy mieszkanie Pawłowej jest opieczętowane?

– Ma się rozumieć.

– Muszę się tam dostać.

– Po co? Zamierza pani czegoś szukać?

– Potrzebuję jej komputera. A raczej korespondencji Pawłowej. Pomyślałam, że jeśli zabito ją z zemsty, najpierw mogły pojawić się pogróżki. Może napisała komuś o swoich obawach. A może nie dostawała pogróżek, ale spotkała kogoś albo zauważyła. Więc warto

zobaczyć. O ile dobrze pamiętam, nie sprawdzaliście jej poczty po zabójstwie?

– Nie – burknął Fiedułow – po co mieliśmy sprawdzać, skoro wszyscy byli pewni, że to robota szaleńca.

– A przeglądaliście pocztę Koriaginy?

– Też nie. Dobrze, zrozumiałem. Pójdę do śledczego i spróbuję go namówić, żeby wydał postanowienie. Do mieszkania Koriaginy też chce pani zajrzeć?

– Na razie nie, Galina Iljniczna korzystała z komputera w klubie.

– Proszę pamiętać, że z jej mieszkaniem nie pójdzie łatwo – uprzedził Fiedułow. – Zostało sprzedane. Nie mam pojęcia, gdzie szukać rzeczy osobistych.

Dobrze, rzeczy osobiste Koriaginy nie są tymczasem potrzebne, a pocztę Nastia spróbuje przejrzeć, jeśli jej plan się powiedzie.

*

Wieczorem niespodziewanie wpadła Tamara. Trzymała w rękach szkicownik.

– Ja na chwileczkę, Nastieńko. Chcę pani pokazać pewien rysunek.

Otworzyła szkicownik na założonej stronie i Nastia zobaczyła zgrabną postać w zwiewnej kreacji, jej zdaniem raczej bezkształtnej. Nie przepadała za podobnym stylem, ale ogólnie rzecz biorąc, strój dawał wrażenie elegancji i tajemniczości.

– Ładne – powiedziała niepewnie. – To do nowego przedstawienia?

– Nie, Nastieńko, dla pani.

– Dla mnie?

– No tak. Pomyślałam, w co można by panią ubrać, żeby wyglądała pani ładnie, oryginalnie i żeby strój oddawał pani wnętrze oraz charakter. Wyszło mi coś takiego. Jeśli pani zechce, chętnie uszyję taką kreację.

– O nie. – Nastia się przestraszyła. – Nie trzeba, dziękuję. Po co?

– Jak to po co? – Tamara nie kryła zdziwienia. – Żeby mogła ją pani nosić, cieszyć się nią i wywierać odpowiednie wrażenie.

– Za nic nie włożę czegoś takiego – stanowczo odmówiła Nastia. – Nigdy nie nosiłam i nie zamierzam nosić takich rzeczy.

Tamara roześmiała się.

– Zobacz pani, Nastieńko, że wyjdzie znakomicie, zwłaszcza gdy dobierzemy też odpowiednią fryzurę. Proszę się nie martwić, sama kupię materiał albo Andriej go przywiezie, powiem mu, o jaki mi chodzi, a on go znajdzie. Jeżeli suknia się pani nie spodoba, to ją pani wyrzuci, a jeśli się spodoba, proszę ją przyjąć ode mnie w prezencie. A przy okazji, co pani powie na to, żebym skróciła pani trochę włosy? Nie zawadziłoby też je ufarbować, bo zaczęły siwieć. Są oczywiście jasne, więc siwizna nie rzuca się w oczy, ale ja ją widzę.

Nastia zawahała się przez chwilę. Obcięcie włosów nie brała pod uwagę, podobnie jak nowego stroju, ale o farbowaniu warto by pomyśleć, bo siwych włosów wyraźnie przybywało.

Mimo to odmówiła.

– Może kiedyś przy okazji, dobrze? Teraz nie jestem gotowa do

radykałnych zmian.

– Proszę to jeszcze przemyśleć. – Tamara uśmiechnęła się łobuzersko. – Na wszelki wypadek zdejmę pani miarę, może się przyda.

Po wyjściu Tamary Nastia zerknęła na zegarek – za dwadzieścia dziesiąta, jeszcze pół godziny i można się zabrać do poszukiwania poczty elektronicznej Aidy Borisowny Pawłowej. Z grubsza już wszystko zaplanowała, więc próbowała skupić się na czekającym ją zadaniu, ale myśli co rusz wracały do niezwykłego szkicu Tamary. Może warto naradzić się z Loszką?

– Jak myślisz, czy w ekstrawaganckiej sukni będzie mi do twarzy? – zapytała męża, spodziewając się wybuchu śmiechu w odpowiedzi.

Ale Czistiakow z jakiegoś powodu był poważny jak nigdy przedtem.

– Sądzę, że to by było okropne.

– Ja też tak myślę. – Nastia westchnęła. – Pytam, bo Tamara proponuje mi nową suknię i nową fryzurę. Odmówiłam.

– Może się jeszcze zastanów – niespodziewanie dodał Aleksiej. – To będzie oczywiście okropne, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, ale może okaże się interesujące?

– Czy coś może być okropne, a zarazem interesujące?

– Oczywiście! Mogę ci podać tysiące przykładów. Weźmy choćby dowolny film Tarantino: zrobiony fatalnie, ale przykuwa uwagę – nie sposób się od niego oderwać. Więc może warto spróbować? Jak mówi pewien znany działacz, trzeba otwierać wszystkie drzwi, które napotykamy na swojej drodze.

W tym momencie Nastia nieco zwątpiła: i to wszystko? Choć, prawdę mówiąc, Loszka zawsze był mądrzejszy i dojrzałszy. Czy to jednak nie głupota mówić o dojrzałości w wieku pięćdziesięciu lat, bo przecież są z Loszką rówieśnikami? Tak się po prostu utarło, że przez trzydzieści pięć lat znajomości Nastia uważała Czisitiakowa za starszego i mądrzejszego, jeszcze w czasach, gdy siedzieli razem w jednej ławce w klasie matematyczno-fizycznej.

Przed jedenastą Nastia włączyła komputer i wyjęła z torby kartkę, na której Biegorski zapisał parametry serwera. Postanowiła pójść najprostszą drogą i otworzyła stronę Moi Krewni, bo wiedziała, że Aida Borisowna na nią zaglądała. Jakiś czas później Nastia знаła już adres skrzynki pocztowej Pawłowej, która, tak jak się spodziewała, była umieszczona na serwerze klubu Złoty Wiek. Pozostawało wejść na serwer i spróbować otworzyć skrzynkę. Ale do tego potrzebne było hasło. Jeśli jednak Aida Borisowna postępowała tak, jak radzono na kursie, prawdopodobnie uznała, że najlepszym hasłem będzie jej panięńskie nazwisko. Nastia poszperała w notatkach i niebawem znalazła to, czego szukała: Dobrowolska. A więc do dzieła!

Próba, o dziwo, się udała, hasło „Dobrowolska” było poprawne, więc Nastia mogła bez problemu przejrzeć korespondencję dawnej śledczej. Zaparzyła sobie kawę, przyniosła kubek do salonu i z przyjemnością przystąpiła do czytania listów. Ale jej zapał wkrótce zgasł, bo listów było niewiele, a cała korespondencja dotyczyła dzieci z domu dziecka. W dodatku Aida Borisowna korzystała ze skrzynki pocztowej niedługo, zaledwie dwa miesiące, pod koniec 2008 roku. Po życzeniach

noworocznych ani jednego listu. Wszystko jasne: zaraz potem Pawłowa kupiła sobie komputer i wykorzystując zdobyte umiejętności, założyła na innym serwerze nową skrzynkę, z której prowadziła dalszą korespondencję. To, że nadal pisała maile, nie ulegało wątpliwości, bo przecież o ile z dziećmi z domu dziecka mogła się spotykać osobiście, o tyle z synem i jego rodziną na pewno korespondowała. A skoro nie ma owej korespondencji na serwerze klubu, musi być w innym miejscu. Z całą pewnością można ją znaleźć w jej domowym komputerze, w tym wypadku nie trzeba się będzie włamywać, bo Pawłowa – o tym Nastia była przekonana – nie tylko czytała listy, ale też je gromadziła i przechowywała.

Na wszelki wypadek w podobny sposób, posługując się kolejnym panińskim nazwiskiem, znalazła korespondencję Koriaginy, ale jej nie przeczytała. Na wszystko przyjdzie czas. Przypomniała sobie nieprzychylną reakcję Kosti Jeriemiejewa, gdy zapytała go o korespondencję Aidy Borisowny Pawłowej, i znowu ogarnęły ją wątpliwości i podejrzenia w stosunku do informatyka. Do tej pory nie zwrócił jej jeszcze karty pamięci ze zdjęciami. Dlaczego tak długo zwleka? Czy naprawdę zamierzał opublikować na stronie zdjęcia kota i okaleczonego psa, czy był to wybieg, żeby się przekonać, że jego twarz nie znalazła się w kadrze?

Nastia otworzyła stronę Kot i Pies i niemal od razu zobaczyła szaroniebieski koci pyszczek z pomarańczowymi oczami, a nieco dalej fotografię psa oblanego kwasem. Pies wyglądał okropnie, ale dawało się zauważyć, że w przeszłości był naprawdę piękny, więc istniała

szansa, że znowu taki będzie po zakończeniu leczenia. Natomiast kot wyszedł doprawdy fantastycznie, zrobił iście królewską minę. Na zdjęciu Kostia trzymał go na rękach, ale w kadrze znalazły się tylko jego palce, które tonęły w gęstym futrze, i kawałek rękawa czarnej kurtki. Niezła jestem, ucieszyła się Nastia, z przyjemnością oglądając zdjęcia na monitorze, chyba rzeczywiście się popisałam. A przecież wcale się tego nie uczyłam. Może naprawdę mam smykałkę do fotografii? No proszę, nigdy nie wiadomo, co czeka człowieka na jego drodze.

*

Rano Nastia poszła na spacer z Kumpelką, która była dzisiaj cicha i osowiała, później zjadła śniadanie składające się z sałatki owocowej i owsianki (w restauracji oznajmiono jej, że póki Andriej Siergiejewicz nie wyjedzie, jego polecenia będą bezapelacyjnie respektowane) i ruszyła do domu dziecka.

Dyrektorka, osoba sympatyczna, ale wyglądająca na wyczerpaną i przemęczoną, długo nie mogła zrozumieć, dlaczego gościa z Moskwy interesują dzieci, które odwiedzały zmarłą Aidę Borisownę. Nastia musiała wymyślić kolejne kłamstwo i przedstawiła się jako dziennikarka, która zbiera materiał do artykułu o dwóch tajemniczych zabójstwach.

– A czy nasza milicja wie, że się pani tym interesuje? – surowo zapytała dyrektorka, nieufnie przyglądając się Nasti zza okularów w

dużych oprawkach.

– Oczywiście – zapewniła ją Nastia – zarówno funkcjonariusze, jak i komendant komisariatu, może pani zadzwonić i sprawdzić.

Widocznie okazała się jednak wystarczająco przekonująca, bo dyrektorka niczego nie sprawdzała. Zaprowadziła Nastię do sali zabaw i poprosiła, żeby zaczekała. Wróciła jakieś dwadzieścia minut później i powiedziała, że wszystkie dzieci są teraz w szkole, więc Nastia musi przyjść wieczorem. Kamieńska ofuknęła się w myślach: że też od razu na to nie wpadła, przecież to oczywiste, że dzieci chodzą do szkoły! Nie, wszystko wskazuje na to, że powinna w końcu dać sobie spokój z pracą detektywa, popełnia błąd za błędem. Czyżby na Pietrowce ostatnio też tak źle pracowała? Czy po prostu straciła czujność, bo sytuacja nie przypomina służbowej, i wciąż jej się wydaje, że pracuje nie na poważnie, nie naprawdę, że to tylko jakaś gra?

– A czy wielu pani podopiecznych koresponduje z klubem Złoty Wiek? – zapytała, stojąc już w drzwiach.

– Sporo. – Dyrektorka skinęła głową. – Właściwie prawie wszyscy. Chcą mieć rodzinę i wierzą, że znajdą sobie jeśli nie rodziców, to przynajmniej dziadków. To normalne dla samotnego dziecka, Andriej Biegorski się nie pomylił, gdy to przewidział.

– Biegorski?

– Tak. To był jego pomysł, kupił nam też komputery. Gdzie pani znajdzie dom dziecka z salą komputerową? Ale rezultat przeszedł najśmielsze oczekiwania, bo nie tylko Aida Borisowna nas odwiedzała, inni starsi ludzie też się zaprzyjaźnili z naszymi

dzieciakami. Zabierają ich do siebie na weekendy, chodzą z nimi do kina i tak dalej. Poznali się tylko dzięki portalowi Moi Krewni.

Gdy przed szóstą Nastia zjawiała się ponownie, zaprowadzono ją do pokoju, w którym zebrała się ósemka dzieci, chłopcy i dziewczynki. Wszyscy spotykali się z Aidą Borisowną, odwiedzali ją w domu, chodzili razem na spacer i wycieczki, słuchali jej wspaniałych bajek i nawet zamierzali wystawić przedstawienie kukielkowe. Ale nie zdążyli, bo ktoś zabił Aidę Borisownę.

– Szyła bardzo ładne lalki – chlipnęła jedna z dziewczynek. – Były już gotowe, robiliśmy próby do bajki o czarodziejskim młynie... Najpierw chcieliśmy wystąpić tutaj, a później w klubie Aidy Borisowny.

– Była super – zadudnił z kąta ponury pryszczaty wyrostek. – Znała mnóstwo historii i ciekawie je opowiadała.

– Dzieci, przypomnijcie sobie, proszę, wasze przechadzki po mieście. Zwłaszcza w ostatnim czasie przed jej... śmiercią. Może ktoś ją zatrzymywał? Rozmawiał z nią? Może spotkała jakichś starych znajomych? Zastanówcie się.

Ale nikt niczego nie pamiętał.

– Może ktoś przekazywał jej jakąś kartkę? Może Aida Borisowna nagle robiła się niespokojna, zmartwiona, posępna albo wystraszona? Może odbierała telefony, po których traciła humor?

Nastia zasypywała dzieci pytaniami, ale nie otrzymała żadnej sensownej odpowiedzi. Dzieci pamiętały mnóstwo szczegółów, przypomniały sobie nawet pewną kobietę w ładnej sukni, bo Aida

Borisowna zwróciła uwagę na suknię i ją pochwaliła, nawet nie tylko sobie przypomniały, ale też bardzo dokładnie opisały. Nie wypłynęło jednak nic, co mogło się wiązać z otrzymywaniem pogroźek. Dzieci były smutne, ubolewały z powodu śmierci swojej nauczycielki i bardzo starały się pomóc, ale... To posunięcie Nasti Kamieńskiej nie przyniosło żadnego rezultatu.

*

Za to kolejny dzień zaczął się bardzo obiecująco: u Nasti znowu zjawił się Fiedułow. Z rozpromienioną twarzą.

– Anastazjo, chyba znalazłem to, o co chodziło. Nie dzwoniłem do pani, uznałem, że będzie lepiej, gdy się spotkamy. Miała pani rację – wypalił jeszcze na progu – jest taka sprawa, którą prowadziła Pawłowa i w której Koriagina występowała jako świadek. Wszystko się zgadza! Jakby pani wiedziała!

Był tak uradowany i podniecony, że Nastia krępowała się powiedzieć, że nie jadła jeszcze śniadania i właśnie zamierzała pójść do restauracji. Mogła oczywiście zaprosić Fiedułowa, ale to nie byłoby rozsądne, gdyby pojawiła się w towarzystwie milicjanta. Musiała więc zostać w pokoju i zadowolić się kolejnym kubkiem kawy. Tym razem Dmitrij zjawił się z pustymi rękami, a Nastia nie miała nic prócz dwóch wczorajszych kanapek odłożonych dla Kumpelki, której zresztą nie zdążyła rano wyprowadzić.

– Nie mam czym pana poczęstować – powiedziała z poczuciem

winy.

– Nie musi mnie pani niczym częstować, zaraz sam poczęstuję panią taką historią, że palce lizać – wesoło odparł Fiedułow.

– Ale kawy pan nie odmówi?

– Nie odmówię.

Historia, którą opowiedział Dmitrij, rzeczywiście okazała się wspaniałą z punktu widzenia potwierdzenia hipotezy dotyczącej motywów zabójstw Pawłowej i Koriaginy, które w tym wypadku można byłoby już nazwać podwójnym morderstwem.

W 1996 roku Aida Borisowna prowadziła sprawę grupowego gwałtu popełnionego przez uczniów szkoły wieczorowej w murach tejże szkoły. Trzej młodzi chłopcy zgwałcili swoją koleżankę z klasy i tak ją przy tym pobili, że dziewczyna zmarła. Galina Iljniczna Koriagina, której kariera partyjna szczęśliwie dobiegła końca w 1991 roku, co wiązało się z jednoczesnym zakazem działalności partii komunistycznej, wróciła do swojego zawodu zdobytego jeszcze w instytucie i pracowała wówczas w szkole wieczorowej jako nauczycielka historii. Jej zeznania stały się podstawą aktu oskarżenia i wyroku, ponieważ tamtego tragicznego wieczoru widziała i słyszała ważne rzeczy. Wszyscy oskarżeni dostali po piętnaście lat, które w chwili obecnej jeszcze nie upłynęły, ale po to istnieje prawo, żeby umożliwić skazanym warunkowe i wcześniejsze wyjście na wolność. Co więcej, jeden z oskarżonych jeszcze w sali sądowej zachowywał się agresywnie, krzyczał na prokuratora i świadków oskarżenia, groził, że „wszystkich dopadnie i wykończy”. Materiały sprawy wskazywały, że

leczył się w poradni neurologiczno-psychiatrycznej, ekspertyza sądowo-lekarska wykazała, że jest poczytalny, ale stwierdzała pewne anomalie w psychice, które pojawiły się jeszcze w dzieciństwie: bawił się zapałkami i dręczył zwierzęta domowe, nie tylko swoje, ale i cudze. To właśnie on był prowodyrem gwałcicieli. Drugi oskarżony, jak wynikało z jego charakterystyki oraz zeznań świadków, był skryty, ponury i nietowarzyski, kiepsko się uczył i pracował, sprawiał wrażenie ociężałego umysłowo, chociaż ekspertyza tego nie potwierdziła. Natomiast trzeci przestępca był uległy i uzależniony od przyjaciół, nierozgarnięty i cherlawy.

– No i jak się pani podoba historia? – zapytał Fiedułow z błyszczącymi oczami.

– Rewelacyjna! – szczerze odparła Nastia.

– Potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby zebrać informacje, gdzie gwałciciele są teraz i czym się zajmują. Włączyłem w to Ilję, razem szybciej sobie poradzimy.

– Dobrze. – Nastia skinęła głową. – A co ze śledczym? Udało się panu przekonać go, żeby wyraził zgodę na oględziny mieszkania Pawłowej?

– Jeszcze nie, bo jest chory, leży w szpitalu z zapaleniem płuc. Ale jego żona mówi, że za parę dni go wypiszą.

– Dobrze, zaczekam. Minęło już tyle czasu, że parę dni nie ma znaczenia.

Nastia pożegnała się z Fiedułowem i poszła do restauracji. No cóż, skoro sprawa na pewien czas utknęła, można się zająć sprawdzeniem

jeszcze jednej hipotezy. W gruncie rzeczy oba zabójstwa mogły zostać popełnione z różnych powodów przez inne osoby, prawda? Skoro ktoś zabił Pawłową z zemsty, równie dobrze mogło się tak zdarzyć w przypadku Koriaginy, znalazł się ktoś, kto zapragnął wyrównać z nią rachunki, i to niezależnie od Aidy Borisowny. Koriagina nie przypominała anioła, mogła zająć komuś za skórę. Poza tym nikt nie podważył motywu zabójstwa z chęci osiągnięcia korzyści majątkowej. Owszem, mieszkanie zostało zapisane muzeum, ale jeżeli samotna kobieta ma wspaniałe trzypokojowe mieszkanie, które dostała, nadużywając stanowiska służbowego, gdzie gwarancja, że nie ma też innych wartościowych przedmiotów, które nie znalazły się w testamencie i przypadną prawnej spadkobierczyni, to znaczy córce? Trzeba skończyć ze sprawdzaniem hipotez jedną po drugiej, na Pietrowce nigdy by Nasti na to nie pozwolono. Trzeba badać wszelkie ewentualności. Jak mówił Loszka? Należy otwierać wszystkie drzwi, które napotykamy na swojej drodze. Dobrze powiedziane, warto zapamiętać te słowa.

Teraz Nastia musi jednak jechać do Kostrowska.

ROZDZIAŁ 10

Anatolij Władimirowicz Starkow bardzo się zdziwił, słysząc w telefonie głos Nasti Kamieńskiej. Na szczęście od lat nie zmieniał numeru, więc Nastia bez trudu się z nim połączyła.

– Cieszę się z naszego spotkania – oznajmił szczerze. – Co za miła niespodzianka! Wyjechać po panią na dworzec?

– Nie trzeba, przyjadę samochodem z Tomilina.

– Z Tomilina? – zdziwił się jeszcze bardziej. – Co panią sprowadza w nasze strony? Co pani tutaj robi? Rozwiązuje zagadkę kolejnego zabójstwa?

– Można i tak powiedzieć – odparła Nastia z uśmiechem. – Jestem już w połowie drogi do Kostrowska, kierowca mówi, że będziemy na miejscu za czterdzieści minut.

– Proszę go poprosić, żeby zawiózł panią do... – Przez chwilę się zastanawiał. – Spotkajmy się w restauracji, w której byliśmy kiedyś z Eduardem Pietrowiczem. Pamięta pani?

– Oczywiście, jak mogłabym zapomnieć? Zdaje się, że serwowano tam chińskie dania?

– Zgadza się, to była chińska restauracja. Teraz jej pani nie pozna, ale jest tam, gdzie przedtem. Niech pani powie kierowcy, żeby pojechał na ulicę Wiosenną. Będę na panią czekał.

Przez resztę drogi Nastia myślała nie o Galinie Iljicznie Koriaginie, o jej możliwych wrogach i ewentualnym spadku, ale o swoim dawnym pobycie w Kostrowsku i znajomości z miejscowym ojcem chrzestnym Eduardem Pietrowiczem Denisowem, o przestępstwach w sanatorium i swoich ówczesnych przeżyciach. Ależ to było dawno! Wspomnienia wydają się tak odległe, aż nieprawdziwe...

Nastia rzeczywiście nie poznała restauracji na ulicy Wiosennej, ulica też się zmieniła – wszystkie domy były odnowione i wyglądały jak z obrazka. Starkow czekał na nią przed wejściem.

– Zwariować można! – zawołał, otwierając drzwi samochodu i pomagając jej wysiąść. – Nie widziałem pani od tylu lat, spodziewałem się, że zobaczę elegancką damę w moim wieku, a pani wciąż wygląda jak młoda dziewczyna. Te same džinsy, ten sam sweter, ten sam koński ogon i nadal bez makijażu. Czas się pani nie ima?

Nastia odniosła wrażenie, że w jego głosie słychać dezaprobatę, jakby nie pochwalał tego, że widzi przed sobą kobietę, której wygląd się nie zmienił, choć przybyło jej lat. Właściwie jego słowa można potraktować jako komplement, choć był on raczej wątpliwy... Nastia przypomniała sobie to, co mówiła Tamara, a także swój sceptycyzm wobec jej słów, i posmutniała. Czyżby Tamara miała rację, że styl ubierania się Nasti jest nie do przyjęcia, że wygląda śmiesznie i niedorzecznie?

Starkow zapobiegliwie zarezerwował osobny gabinet.

– Tutaj nikt nam nie będzie przeszkadzał – powiedział, odsuwając

krzesło Nasti. – Proszę opowiadać, co u pani słyhać? Co panią sprowadza na naszą prowincję?

Złożyli zamówienie, po czym Nastia wyjaśniła, że odeszła na emeryturę, że pracuje w prywatnej agencji detektywistycznej i otrzymała zadanie zajęcia się sprawą dwóch zabójstw w Tomilinie.

– Tak – Starkow skinął głową – słyzałem o nich. Jeżeli mogę pani jakoś pomóc, jestem do dyspozycji. Znam wszystkich w tutejszym światku kryminalnym, więc mam dostęp do informacji. W sprawach Tomilina też się trochę orientuję.

– Szczerze mówiąc – powiedziała Nastia, sama się sobie dziwiąc – chciałabym zapytać o wywiadowców, z którymi się kontaktuję, o Fiedułowa i Wtoruszyna. Może słyzał pan o nich przypadkiem?

Interesował ją przede wszystkim Wtoruszyn, bo z Fiedułowem sprawa była jasna, ale nie chciała zdradzać swojego stanowiska. A nuż się myli?

– Co za pytanie! – Starkow się roześmiał. – Ja miałbym o czymś nie słyzeć? Co prawda o Wtoruszynie wiem niewiele, bo nie miałem z nim styczności, ale Dimkę Fiedułowa znam osobiście. Dobry chłopak, twardy gliniarz, wspaniały oficer prowadzący, ma swoich agentów w środowisku kryminalnym, zna przedstawicieli chyba wszystkich ugrupowań w obwodzie i się z nimi dogaduje.

– To znaczy? – Nastia się zaniepokoiła.

– Niech się pani nie denerwuje, robi to umiejętnie. Sam nie bierze udziału w przestępstwach, ale w razie potrzeby nie odrzuca wsparcia materialnego.

– W razie jakiej potrzeby?

– Czemu się pani tak wystraszyła? Zapewniam, że to nic kompromitującego. Opowiem pani jedną historię, a sama pani zrozumie. Pewien przedsiębiorca prowadził samochód po pijaku, no i zabił człowieka. Uciekł z miejsca zdarzenia. Dimka go szukał, w końcu zatrzymał. Odkryła się rozprawa, zapadł wyrok, wszystko zgodnie z prawem. No więc ten przedsiębiorca od siedmiu boleści, bardzo bogaty człowiek, poprosił Dimkę, żeby zajął się jego synem, który w wieku piętnastu lat zakochał się w narkomance i zaczął obracać w szemranym towarzystwie. To był przyzwoity chłopak, interesował się mikrobiologią, chciał zostać naukowcem, ale jak to w młodości: z głupoty popełnia się wiele błędów! Ubzdurał sobie, że uratuje ukochaną, zażywając razem z nią narkotyki. Nieszczęsny ojciec bał się, że już do tego doszło albo lada chwila dojdzie. A matka była zupełnie bezradna, nie potrafiła sobie poradzić z synem. Gdy tatuś trafił za kratki, Dimka Fiedułow zajął się poważnie chłopakiem i odciągnął go od towarzystwa ćpunów, chłopak skończył szkołę i dostał się na studia, a gdy tatuś wyszedł na wolność, syn był już na drugim roku. No więc tatuś przedsiębiorca w dowód wdzięczności podarował Dimce drogą terenową brykę. Towarzystwo źle skończyło: jeden umarł, drugiego zapuszkowano, jeszcze inny tak się naćpał, że omal się nie przekręcił. Nawiasem mówiąc, dziewczyna też zmarła z przedawkowania. Chłopak był jedyną osobą, która pozostała przy życiu i wróciła do normalności, nic dziwnego, że wdzięczność tatusia nie znała granic.

– O jakiej bryce pan mówi? – zdziwiła się Nastia. – Wydaje mi się,

że Fiedułow jeździ rozklekotanym żiguli. Może się mylę?

– Teraz jeździ żiguli – przyznał Starkow. – Tamten samochód spalili mu bandyci za to, że... Chyba pani rozumie, Anastazjo Pawłowno, że każdy milicjant może im się łatwo narazić. Tak naprawdę Dimka to dobry gliniarz, ma wspaniałe wyniki, jest rozgarnięty, energiczny, operatywny, a przy tym wyjątkowo uparty: gdy się czegoś podejmie, nie odpuści, póki nie udowodni, że ma rację.

No tak, pomyślała Nastia, coś w tym jest, jeśli wziąć pod uwagę zapał, z jakim przystępuje do weryfikacji każdej mojej hipotezy.

– A co pan powie o Wtoruszynie?

– Nie potrafię go w pełni scharakteryzować – powiedział w zamyśleniu Anatolij Władimirowicz – facet jest jakiś niewyraźny, bardzo skryty, nietowarzyski. Chyba ma poważne problemy z kobietami, nie jest żonaty i o ile mi wiadomo, nie ma stałej przyjaciółki. Regularnie bywa w naszym mieście, odwiedza babcię, a przy okazji burdel, który jeśli mierzyć naszą prowincjonalną miarą, jest najbardziej elitarny w okolicy. A co pani o nim myśli?

– Nie wiem. – Nastia wzruszyła ramionami. – Nie podoba mi się.

– Tak? A dlaczego?

– Budzi we mnie wstręt i wydaje mi się jakiś...

Nie potrafiła dobrać właściwego słowa, więc urwała.

– Śliski? – podpowiedział Starkow.

– Nie, nie śliski, tylko jakiś lepki, brudny.

Starkow roześmiał się.

– Chyba trafiła pani w sedno. Wtoruszyn rzeczywiście robi dziwne

wrażenie, chociaż raczej nie jest zamieszany w nic nieprzyzwoitego, skandalicznego czy kryminalnego. Ja w każdym razie o niczym nie wiem.

– A co z burdelem? – zaproponowała Nastia. – Przecież trzeba mieć na to pieniądze, i to spore. Skąd je bierze zwyczajny gliniarz, skoro jest uczciwy i przyzwoity?

– Naprawdę pani nie wie? – Starkow uniósł brwi. – To przecież żadna tajemnica. Banki i towarzystwa ubezpieczeniowe potrzebują informacji, muszą sprawdzać kredytobiorców, szukają dłużników oraz ich majątku, wyjaśniają przypadki podejrzanych ubezpieczeń. Żeby zdobyć potrzebne informacje, chętnie korzystają z usług funkcjonariuszy milicji, a Ilja Wtoruszyn jest jednym z nich. Pomaga wielu bankom, a one bardzo dobrze płacą. Pani kolega jest przy tym czysty jak łąza, załatwił sobie oficjalną zgodę na prowadzenie szkoleń, napisał wniosek, wszystko zgodnie z prawem, i figuruje w bankach jako pracownik zatrudniony na zlecenie, zapoznaje funkcjonariuszy służby ochrony z przepisami regulującymi użycie broni i środków samoobrony, omawia zasady odpowiedzialności karnej i tak dalej. Przeprowadza zajęcia dwu- albo trzykrotnie, urządza nawet zaliczenia i otrzymuje za to pieniądze, a resztę czasu poświęca na przeglądanie milicyjnych baz danych i gromadzi informacje przydatne dla banków. Wielu milicjantów tak robi, zwierzchnicy tolerują ten proceder, bo oficjalnie nie mają się do czego przyczepić: zgoda na prowadzenie szkoleń jest, a podatki z dochodów Wtoruszyn odprowadza sumiennie. Aha, niech pani zgadnie, do kogo należy tamten burdel, który

odwiedza Wtoruszyn.

– Nie mam pojęcia. Do kogo?

– Do córki Koriaginy, której zabójstwo zamierza pani wyjaśnić. Podobno matka ją przeklęła, wyrzekła się jej i przez wiele lat nie utrzymywała z nią kontaktu.

– Słyszałam – odparła Nastia – mówiono mi o tym. Właściwie dlatego przyjechałam, chciałam się spotkać z córką. Sprawa spadku nie daje mi spokoju.

– Ależ Nastiu, co to za spadek! – Anatolij Władimirowicz machnął ręką. – Mieszkanie? Słyszałem, że jest duże, chyba trzypokojowe. Ale nasza Tanieczka go nie potrzebuje, wyobraża pani sobie, ile wyciąga z burdelu?

– Nie za bardzo – przyznała Nastia. – Dużo?

– I to bardzo! W salonie masażu zarabia tyle, że żadne mieszkanie w Tomilinie nie jest jej potrzebne. Nawiasem mówiąc, ma młodego przystojnego kochanka, no i w ogóle jest bogata jak krezus. Zapewniam panią, że nie przyłożyła ręki do zabójstwa matki. Zresztą jeśli chce pani z nią porozmawiać, chętnie panią zarekomenduję, dobrze znam Tatianę.

– Dziękuję – odparła Nastia z wdzięcznością. – Będę zobowiązana. Jeśli to możliwe, chciałabym się z nią spotkać jeszcze dzisiaj, żeby nie tracić czasu.

– Zadzwoń do niej. – Starkow kiwnął głową. – Mam nadzieję, że nie odmówi.

– A opowie mi pan o niej?

– Czemu nie? – Starkow uśmiechnął się. – Tatiana Koriagina przyjechała do Kostrowska z Tomilina, gdy miała osiemnaście lat, było to mniej więcej w osiemdziesiątym piątym roku. Przyjechała, żeby studiować, w każdym razie tak twierdzi, ale oblała egzaminy. Wyglądała na urodziwą i lekkomyślną panienkę, ale tak naprawdę była nie w ciemną bita, więc w sprzyjających okolicznościach bardzo szybko została prostytutką i pracowała w łaźniach, z których korzystali mężczyźni na stanowiskach. Powoli wspinała się po szczeblach kariery, najpierw awansowała na burdelmame, a teraz jest właścicielką salonu masażu, który w gruncie rzeczy jest domem publicznym. Nie wyszła za mąż, nie ma dzieci. Ma za to młodego kochanka, o czym już wspominałem. Dlaczego pani nie je? Nie ma pani ochoty? Nie smakuje pani?

Nastia ocknęła się i spojrzała na stojący przed nią talerz. Rozmowa tak ją pochłonęła, że zupełnie zapomniała o swoich ulubionych grzybach mun z pędami bambusa.

– Nie, bardzo mi smakuje, po prostu się zasłuchałam. Zaraz dokończę.

– Ale przecież wszystko już wystygło – zauważył zmartwiony Starkow.

– Nie szkodzi, jest bardzo smaczne, to moje ulubione danie.

Szybko dokończyła grzyby, odsunęła talerz i zabrała się do krewetkowych chipsów z mąki ryżowej.

– Co jeszcze wiadomo o młodszej Koriaginie?

– A co panią interesuje?

– Na przykład co robi z pieniędzmi, skoro ma ich tak dużo?

– Wydaje na siebie. Na obrzeżach Kostrowska, na brzegu rzeki, zbudowała wielki dom, założyła sad, zatrudnia służbę – kucharza, pokojówkę, ogrodnika oraz kierowcę. Wypoczywa w drogich kurortach. Hojnie pomaga przyjaciołom, nasza Taniuszka nie jest chciwa, nie skąpi pieniędzy. Nawiasem mówiąc, kupiła mieszkanie kochankowi.

– A po co mu mieszkanie? – zdziwiła się Nastia. – Nie mieszkają razem?

– Proszę sobie wyobrazić, że nie. Tatiana woli mieszkać sama, dlatego nie wychodzi za męża. Myśli pani, że nie brakuje chętnych? Koriagina nie może się od nich opędzić! Bogata, mądra, bez dzieci, elegancka i z klasą, bardzo miła, więc gdyby chciała wyjść za męża, zrobiłaby to ze sto razy. Ale nie chce. Ma stałego kochanka, ale na przychodne. Rozpieszcza go na wszelkie sposoby: samochody, wycieczki, garnitury z Mediolanu, pieniądze na drobne wydatki. No jak, dzwonić do Tatiany?

– Niech pan dzwoni.

Starkow wyjął telefon i już parę minut później zapisywał Nasti na kartce adres salonu masażu, którego właścicielką była Tatiana Koriagina.

*

Córka Galiny Iljiniżny Koriaginy okazała się wysoką, postawną kobietą po czterdziestce ze wspaniałą cerą i ładnymi wesołymi oczami,

nieco obcesową w rozmowie, niepozbawioną poczucia humoru i autoironii, naprawdę miłą i całkiem niegłupią. O sobie mówiła szczerze i ze śmiechem – nie ma nic do ukrycia, cała milicja siedzi u niej w kieszeni, wszyscy o niej wszystko wiedzą, swojego fachu się nie wstydzi, a nawet uważa go za społecznie przydatny.

– Nie darmo Amerykanie mówią, że prostytutka jest rękojmnią stabilności rodziny. Mężczyzna nie potrzebuje zobowiązań, lecz seksu. I jeśli dostanie go bez zobowiązań, chętnie wykorzysta okazję, a później wróci do rodziny. Gdy seks łączy się z zobowiązaniami, sytuacja staje się niebezpieczna, ponieważ nowy związek zaczyna nieuchronnie konkurować z rodziną. A wtedy zwycięża ten, kto silniejszy – mówiła, łamiąc tabliczkę czekolady na małe kostki. – Proszę się częstować. Uwielbiam czekoladę, jem ją na okrągło.

Czekolada była biała, mleczna, Nastia nie lubiła takiej, jej zdaniem była za słodka i mdła, wołała gorzką.

– O spadku dowiedziałam się jakieś pięć lat przed śmiercią mamy, a może nawet wcześniej – opowiadała Tatiana. – To był jedyny przypadek przez te wszystkie lata, gdy matka do mnie napisała. Nie utrzymywałyśmy kontaktu od dawna, ale zdawałam sobie sprawę, że matka się starzeje, więc zostawiłam sąsiadce swój adres i wszystkie telefony, żeby zadzwoniła w razie potrzeby. Sąsiadka chyba powiedziała o tym matce, bo inaczej skąd by wzięła adres? No więc napisała, że mnie wydziedzicza i zapisuje wszystko muzeum. Wyobraża sobie pani? Mogła przecież zwyczajnie zadzwonić i powiedzieć – tymczasem napisała list, dając mi do zrozumienia, że

nawet nie chce słyszeć mojego głosu.

– Nie zachowała pani przypadkiem listu? – zapytała Nastia.

– Oczywiście, że nie, niemal od razu go wyrzuciłam. Po co miałam przechowywać?

Masz ci los, no i jak teraz udowodnić, że Tatiana rzeczywiście wiedziała o spadku? A jeśli kłamie? Może o niczym nie wiedziała? Nie wiedziała i zorganizowała zabójstwo matki, żeby dostać wreszcie mieszkanie i ewentualne kosztowności. Z drugiej strony, ile może być warte trzypokojowe mieszkanie w Tomilinie? Najwyżej piętnaście tysięcy dolarów, Nastia się dowiadywała. Co Tatianie Koriaginie po tych piętnastu tysiącach, skoro jej dochody parokrotnie przewyższają wartość mieszkania? Nawet jeśli sąsiadka Galiny Iljiczny potwierdzi, że rzeczywiście dała Koriaginie adres córki, nie ma pewności, że kobieta się nim posłużyła i wysłała list do Tatiany, a nawet jeśli wysłała, nie wiadomo, czy Tatiana go dostała. Może córka jednak nie wiedziała, że matka ją wydziedziczyła?

Siedziały w uroczym pokoju na pierwszym piętrze salonu masażu Relax, w gabinecie właścicielki, a raczej w jej buduarze – był bowiem kameralny i kobiecy, niczym nie przypominał oficjalnego czy służbowego pomieszczenia. Choć było w nim biurko, a także komputer, były półki wypełnione segregatorami, wszystko wyglądało niewinnie i niepoważnie, wesoło i beztrosko. Segregatory na półkach mieniły się jaskrawymi kolorami – szmaragdowym, niebieskim, pomarańczowym oraz intensywnie żółtym, a okazałe kwiaty zasłaniały biurko i monitor. Uwagę zwracały natomiast dwie niewielkie sofy z górą

miękkich atlasowych poduszek oraz dwa głębokie fotele, które cieszyły oko obiciem w różyczki. Tatiana Koriagina pasowała do tego pokoju, była tak samo wspaniała, białoróżowa, podobna do tortu z bitą śmietaną.

– Chciałabym porozmawiać z pani przyjacielem – powiedziała łagodnie Nastia. – Czy to możliwe?

– Na miłość boską! – Tatiana niefrasobliwie machnęła ręką. – Sądzi pani, że on coś wie?

– No cóż, różnie bywa.

– Proszę zapisać jego adres i telefon.

Tatiana nie zadała Nasti żadnego niezręcznego pytania, na przykład, czy jest z milicji, a jeśli nie jest, to kim właściwie jest i dlaczego interesuje się zabójstwem matki, natomiast jeśli jest, to dlaczego zadaje te same pytania, na które Koriagina odpowiadała w marcu ubiegłego roku. Nawet nie zapytała, o czym Nastia zamierza rozmawiać z jej młodym kochankiem. Dlaczego? Czyżby dlatego, że wizytę Nasti poprzedził telefon Starkowa, który od czasów Eduarda Pietrowicza Denisowa był w Kostrowsku osobą znaną i cieszył się autorytetem, czy może dlatego, że Tatiana była absolutnie pewna, że w pytaniach Nasti nie ma i nie może być nic niebezpiecznego? Jeśli chodziło o to drugie, na czym Koriagina opierała swoje przekonanie? Na tym, że naprawdę nie przyłożyła ręki do zabójstwa matki, więc niczego nie musi się obawiać? Czy na tym, że jest pewna zarówno swojego kochanka, jak i braku możliwości udowodnienia jej udziału w zbrodni?

Jeśli chodzi o stosunek do śmierci Galiny Iljiczny, Tatiana nie zamierzała udawać: owszem, nie kochała matki, ale gwoli sprawiedliwości chciałaby zauważyć, że matka też jej nie kochała.

– Urodziła mnie tylko dlatego, że tak wypadało: żeby rodzina była szanowana, musiało pojawić się w niej dziecko. Gdy tylko tatuś rzucił matkę, stałam się jej niepotrzebna, zawadzałam na każdym kroku – w karierze, w knuciu intryg w pracy, w pisaniu referatów i szukaniu kochanków. Matka wciąż mną dyrygowała, pokrzykiwała na mnie, miała przed sobą tylko jeden cel: sprawić, żebym jak najszybciej się usamodzielniała, nie wymagała jej uwagi i troski. Dlatego najmniejsza niesubordynacja z mojej strony, zbyt śmiały jej zdaniem strój albo, nie daj Boże, pomalowane tuszem rzęsy, albo telefon od chłopaka czy wieczorne randki doprowadzały ją do białej gorączki: przecież to oznaka zbliżającego się niepowodzenia, stąd niedaleko do rozpusty, jak ona ma spokojnie pracować i zarządzać ludźmi w wydziale propagandy, skoro sama ma dziecko z problemami, wymagające nieustannej uwagi. To niedopuszczalne, to jej złamie karierę. Wtedy oczywiście nie rozumiałam tego tak dobrze jak później, mimo to czułam, że ona mnie nie potrzebuje, że jestem tylko zawalidrogą i źródłem ciągłego zagrożenia. Marzeniem matki było zamknąć mnie w domu z książkami w objęciach i o nic się nie martwić, a później słyszeć, jaką to ma mądrą i zdolną córkę, szkolną prymuskę. A ja ją tego pozbawiłam, biegałam na randki, malowałam się, starałam ubierać modnie, całowałam z chłopcami przed domem, wcześniej zaczęłam palić. Matka mnie przyłapywała, wrzeszczała i przeklinała.

Tak minęło dzieciństwo.

Tatiana uśmiechnęła się i wsunęła do ust kolejną kostkę białej czekolady.

– Co było potem? – z ciekawością zapytała Nastia.

Znała z grubsza historię Tatiany, ale chciała ją usłyszeć z jej ust.

– Potem skłamałam, że jadę do Kostrowska zdawać egzaminy na studia.

– Skłamała pani? A co naprawdę pani zrobiła?

– Naprawdę przyjechałam tutaj, do Kostrowska, ale nie miałam najmniejszego zamiaru studiować. Mogłam oczywiście nie kłamać, tylko zwyczajnie wyjechać, bo nie brakowało mi tupetu, potrzebowałam jednak pieniędzy. Pojechałam do chłopaka, którego poznałam na dyskotecie i w którym zakochałam się bez pamięci. Byłam pewna, że gdy tylko się u niego zjawię, od razu weźmiemy ślub. Nic z tego oczywiście nie wyszło i moje życie potoczyło się zupełnie inaczej, zaczynałam na dworcu, później zauważył mnie pewien złodziej, był niezwykle elegancki! – Tatiana uśmiechnęła się marzycielsko i zrobiła zabawną minę. – Jeździł pociągami i ogrywał frajerów w karty. Pieniądzy miał, ile dusza zapagnie, więc spędziłam parę lat jak u Pana Boga za piecem, później mój opiekun trafił za kratki, a ja znowu wróciłam na ulicę. Był już jednak rok osiemdziesiąty siódmy, początek osiemdziesiątego ósmego, ruszyła pieriestrojka, również w naszej profesji. Ale chyba moja historia panią nudzi, nie po to pani tutaj przyszła, prawda?

– Słucham z ciekawością – zupełnie szczerze odparła Nastia. – A

jak Galina Iljiczna zareagowała na sytuację, w której się pani znalazła?

– Pewnie się pani domyśla, że takie rzeczy nie mogły się matce podobać, więc gdy dzwoniłam do domu, słyszałam tylko krzyki i przekleństwa. Można właściwie powiedzieć, że nie miałam matki. Na dobrą sprawę nie odczułam jej straty, nie widziałam się z nią prawie dwadzieścia lat.

– To znaczy, że po przeprowadzce do Kostrowska jednak się pani z nią spotkała?

– A jakże! Była taka chwila, gdy zamierzałam urodzić dziecko, i wtedy się u niej zjawiłam. Termin był jeszcze dość odległy. Wydawało mi się, że mogę zacząć wszystko od początku, chciałam zamieszkać razem z mamą, stworzyć z nią i z dzieckiem normalną rodzinę, nie gorszą niż u innych. Ale matka mnie wypędziła i powiedziała, że nigdy mi nie pomoże wychowywać bękarta, którego dorobiłam się nie wiadomo z kim. Nie powstrzymały jej nawet moje zapewnienia, że doskonale wiem, kto jest ojcem dziecka, i że bardzo go kocham. Krzyczała, że prostytutka i rozpustnica nie jest zdolna do normalnej miłości. Bałam się, że nie utrzymam się z dzieckiem, nie miałam gdzie mieszkać w Tomilinie, matka mnie nie wpuściła, odmówiła też zamiany mieszkania, więc musiałam wrócić do Kostrowska i zrobić skrobankę. Teraz oczywiście wiem, że utrzymałabym dziecko i je wychowała, nie byłoby gorsze niż inne dzieci, ale wtedy wydawało mi się, że sama sobie nie poradzę – czułam się fatalnie, bo ukochany mnie rzucił, a zaraz potem matka odmówiła mi pomocy i mnie

wypędziła. Krótko mówiąc, byłam głupia. Do tej pory tego żałuję. Ale matki mi nie żal. Nic do niej nie czuję. Może mnie pani za to ganić albo potępiać, jak sobie pani chce – Tatiana popatrzyła na Nastię z wyzwaniem – ale mówię wszystko szczerze, niczego nie upiększam i nie udaję.

– Naprawdę nie żal pani mieszkania w Tomilinie? W końcu jest trzypokojowe, w prestiżowej dzielnicy. To przecież żywa gotówka.

– Do diabła z nim! – Tatiana machnęła pulchną białą dłonią. – Mam w Kostrowsku i mieszkanie, i duży dom. Od matki niczego nie potrzebuję. Niech je sobie weźmie muzeum albo nawet jakiś bezdomny, wszystko mi jedno.

Umilkła i ze smutkiem spojrzała w kierunku okna z jedwabnymi, obficie marszczonymi zasłonami. Później uśmiechnęła się nagle nieśmiało i wstydliwie.

– Jedyne, czego mi żal, to lampa.

– Lampa? – ze zdziwieniem zapytała Nastia.

– No tak. Matka miała w mieszkaniu lampę stojącą, pretensjonalną, wielgachną, zupełnie bezguście. Biała rzeźbiona noga z połączanymi ozdóbkami, różowy abażur z brudnozielonym drapowaniem u góry i z frędzlami u dołu. Krótko mówiąc, drobnomieszczańskie marzenie. Za czasów władzy radzieckiej nikt nie miał takiej lampy, a gdy później pojawiły się w sprzedaży, matka od razu ją kupiła. Gdy byłam u niej ostatni raz, już ją miała. Obok stało krzesło przypominające fotel, matka siadała na nim i wykrzykiwała swoje uwagi o bękarcie i rozpustnicy. Chciałabym mieć tę lampę, żeby

patrzeć na nią i nie zapominać, jak matka mnie potraktowała. Pamiętam, jak krzyczała i żądała, żebym zrobiła skrobankę, a ja patrzyłam na lampę i myślałam, połykając łzy: jak to możliwe, przecież kupiłaś tę lampę – różową, urokliwą, może i pretensjonalną, ale swojską, dającą atmosferę domowego ładu i szczęścia – a teraz żądasz, żebym pozbyła się twojego wnuka i zesłała ci z oczu. Postawiłabym tę lampę w salonie, świetnie by tutaj pasowała. I nazwałabym, wie pani jak?

– Jak?

– Charłamp Akolutosjewicz Koriagin.

– Jak?!

– Charłamp Akolutosjewicz – z ciepłym i jakimś nieobecnym uśmiechem powtórzyła Tatiana. – Po grecku „chara” znaczy radość, „lampo” – świecić się, błyszczeć, „akolutos” – służący. Byłaby to lampa, której światło niesie radość. Pięknie, prawda?

*

Z kochankiem Tatiany Koriaginy, dwudziestoosmioletnim Leonidem Wieszniakiem, Nastia spotkała się w jego mieszkaniu. Wyglądało na to, że mężczyzna prowadził nocne życie, bo gdy Nastia zadzwoniła do niego koło czwartej, chyba dopiero się obudził, nawet ziewał do słuchawki.

Mieszkanie znajdowało się w centrum Kostrowska, dwie przecznice od salonu masażu. Małe, perfekcyjnie wysprzątane, umeblowane w

stylu high-tech, znacznie różniło się od wystroju pokoju jego przyjaciółki. Leonid okazał się mężczyzną jasnowłosym, przystojnym, eleganckim i wytwornym, z twarzą anioła i niebieskimi oczami. Choć miał czarujące maniery i aksamitny głos, wywarł na Nasi wrażenie niebezpiecznego, sprytnego drapieżnika, który może zaatakować z tyłu. Ten typ skacze nie do gardła, ale na plecy. Właściwie nic w tym dziwnego. Gdyby chłopak nie miał silnego charakteru, nie zdołałby zwrócić uwagi takiej kobiety jak Tatiana Koriagina.

Leonid bez wahania potwierdził słowa Tatiany, że od dawna wiedziała o niekorzystnym zapisie w testamencie i w ogóle się tym nie przejmowała. O Tatianie wypowiadał się tkliwie i z miłością, podkreślał, że jest nie tylko piękna, ale też mądra, po prostu prawdziwy skarb. Gdy o niej mówił, w jego oczach pojawiał się ciepły błysk, a głos nabierał łagodnego brzmienia. Tatianę nazywał Tata.

– Bardzo mi żal Taty, choć nigdy nie widziałem jej mamy.

– Dlaczego? – zapytała Nastia. – Przecież śmierć matki chyba jej nie przygnębiła.

– Właśnie dlatego mi jej żal! Dorastałem w zgodnej rodzinie i do tej pory mam bardzo dobre kontakty z rodzicami, ciepłe, pełne zaufania. Nadal się o mnie troszczą, chociaż niedługo stuknie mi trzydziestka, ja też staram się o nich dbać. Zawsze kochałem rodziców, oni też mnie kochali i wciąż kochają. Przykro mi, że Tatoczce ułożyło się inaczej i nie zaznała miłości, troski i ciepła. Dlatego staram się ją rozpieszczać, sprawiać jej przyjemność, jest dla mnie małą zaniedbywaną dziewczynką, czasami mam ochotę wziąć ją na ręce i utulić. –

Uśmiechnął się zmieszany. – Pewnie wydaje się to pani śmieszne, bo przecież jestem o wiele młodszy od Taty, mamy też inną budowę ciała.

– Ależ skąd – pośpiesznie zapewniła Nastia. – To wcale nie jest śmieszne.

Wieszniak zaproponował kawę, ale Nastia odmówiła, bo była już umówiona na spotkanie ze Starkowem – Anatolij Władimirowicz zaprosił ją na kolację.

*

Siedzieli w tej samej restauracji co przedtem. Nastia lubiła chińską kuchnię, a w Kostrowsku nie było innych lokali serwujących chińskie dania. Rozmowa była lekka, niezobowiązująca i miła. Przez chwilę wspominali zmarłego Eduarda Pietrowicza Denisowa, gawędzili o wspólnych znajomych, podzielili się opiniami na temat sytuacji w milicji i w świecie przestępczym, Nastia opowiedziała o swoich rozmowach z Tatianą Koriaginą i jej kochankiem Wieszniakiem.

– À propos Wieszniaka – Anatolij Władimirowicz uśmiechnął się przebiegle. – Widzi pani tamten stół, przy którym siedzą trzy dziewczyny? Jedna z nich to kochanka Wieszniaka. Tamta w niebieskiej bluzce.

Nastia odwróciła głowę we wskazanym kierunku i zobaczyła ładną dziewczynę z długimi kasztanowymi włosami, zbyt jasnymi, żeby je uznać za naturalne, z jaskrawym makijażem, ale nie wulgarnym, zrobionym bardzo umiejętnie. Dziewczyna była zgrabna, miała niezłą

figurę i sympatyczny, szczery uśmiech. Kochanka Wieszniaka! Coś takiego...

– Nie myli się pan? – zapytała. – W końcu Wieszniak to niemal mąż Tatiany.

– Jest pani rozbrajająca! – Starkow się roześmiał. – Nigdy nie wierzyłem w stabilność związku przy takiej różnicy wieku i położenia społecznego. Tatiana to herod-baba, stręczycielka, do wszystkiego doszła sama, stworzyła i postawiła na nogi salon, teraz na nim zarabia, a on? W przeszłości chłopak na telefon dla bogatych, znudzonych dam, próbował znaleźć sponsorkę w Moskwie, myślał, że uda mu się zbić kasę na wyglądzie, ale nic z tego nie wyszło, w stolicy są lepsi od niego. Więc musiał wrócić i zadowolić się miejscowymi sponsorami. Lonieczka chce występować w filmie albo zostać modelem, póki twarzyczka mu nie zwiędła i się nie roztył, bardzo dba o figurę: fitness, owijanie ciała folią, kapsuły, masaże i tak dalej. Nikt prócz Tatiany Koriaginy go nie potrzebuje, ponieważ jest biedny jak mysz kościelna, nie potrafi zarabiać ani rękami, ani głową.

– I co, Tatiana opłaca jego pogoń za urodą?

– Oczywiście. Facet uwielbia stroje, dobre restauracje, luksusowy wypoczynek, co pewien czas kompletuje portfolio w nadziei, że ktoś go zauważy, a Taniuszka na wszystko mu pozwala. Typowy alfons. Ale – Starkow podniósł palec – Lonia nie jest miernotą, wyczuwa się w nim pewien opór.

– Zgadza się – przyznała Nastia. – Odniosłam podobne wrażenie. Coś w nim jest, jakaś gotowość do ataku... Ale czy przy takiej

sponsorce nie boi się mieć jeszcze jednej kochanki? Przecież o ile dobrze rozumiem, Tatiana może go zetrzeć na miazgę, gdy się dowie o dziewczynie.

– Boi się, owszem – odparł Starkow z uśmiechem – dlatego się ukrywa. Jest bardzo ostrożny, nigdy nie przyprowadza dziewczyny do siebie, spotyka się z nią w zacisznych miejscach, żeby nikt przypadkiem ich nie zobaczył i nie doniósł Tańce.

– A jak się pan dowiedział, skoro się ukrywają? – z ciekawością zapytała Nastia.

– No cóż, Nastieńko, w tym mieście mało jest rzeczy, o których bym nie wiedział. – Anatolij Władimirowicz uśmiechnął się. – Przecież spędziłem tutaj całe życie i od lat pracuję w służbie ochrony, a to wiąże się ze zdobywaniem informacji. Nie we wszystkim się oczywiście orientuję i nie potrafię odpowiedzieć na każde pani pytanie, za to świetnie wiem, jak, gdzie i u kogo znaleźć odpowiedź.

– A wie pan coś o tej dziewczynie, kochance Wieszniaka?

– Nic. Nie interesuje mnie. Ale jeśli pani sobie życzy, mogę się dowiedzieć.

– Nie, na razie dziękuję – odparła Nastia w zamyśleniu. – Ale będę pamiętać o pańskiej propozycji w razie potrzeby. A swoją drogą, dziewczyna jest bardzo ładna, prawda?

– Nie widzę w niej nic szczególnego. – Starkow machnął ręką, lekko się krzywiąc. – Potrafi się sprzedać, dobrze się ubiera i maluje, a poza tym jest nijaka.

– Ale pewnie ma coś w sobie, skoro zwrócił na nią uwagę taki

przystojniak – zauważyła Nastia.

– Pewnie tak – przyznał Anatolij Władimirowicz. – Może chodzi o niezwykły charakter. Albo tęgi umysł.

Oboje zerknęli jednocześnie na dziewczynę i parsknęli śmiechem. Mimo czarującej powierzchowności nie wyglądała na intelektualistkę.

Nastia musiała rozwiązać jeszcze jeden problem: znaleźć lokatorkę Galiny Iljiczynej. Z akt sprawy karnej wynikało, że pochodziła ze wsi Pietunino, która znajdowała się w rejonie kostrowskim.

– To niedaleko, jakieś dwadzieścia minut samochodem – wyjaśnił Starkow. – Kiedy pani chce tam pojechać?

– Nawet dzisiaj, skoro już jestem w Kostrowsku. Tylko boję się, że mój kierowca zabłądzi, jest przecież z Tomilina.

– W takim razie narysuję pani drogę, nie powinna sprawić kłopotu.

Sądząc ze szkicu sporządzonego przez Starkowa, dojazd do Pietunina rzeczywiście nie był skomplikowany. Nastia podziękowała za kolację, pożegnała się ze Starkowem i wyruszyła do wsi, z której pochodziła Margarita Nieczajenko.

Dotarcie do Pietunina zabrało jednak nie dwadzieścia, lecz czterdzieści minut – drogę zasypał śnieg, przejezdny był tylko jeden pas, więc ruch odbywał się wahadłowo. Moskiewscy kierowcy nie czekali spokojnie w kolejce, pomyślała Nastia. Parliby do przodu, nie zważając na nic, zgodnie z zasadą: kto ma droższy samochód, ten ma rację. Na szczęście dom rodziny Nieczajenków znaleźli bez trudu. Rozpadający się, drewniany, z ogrodem i szopą, w której trzymano kury i prosiaka. Margarity od dawna już tu nie było, w obejściu zastali

tylko jej matkę, Walentinę Nikołajewnę. Kobieta dobiegała pięćdziesiątki, była zaniedbana i niegustownie ubrana. Wyglądała na chorą, na twarzy miała przedwczesne zmarszczki i była jakaś przygaszona.

– Ritoczka? Ojej, od dawna tutaj nie mieszka, teraz jest w Kostrowsku, ma tam pracę i mieszkanie. A czemu jej pani szuka?

Tym razem Nastia miała gotową odpowiedź.

– Przez pewien czas Rita mieszkała w Tomilinie...

– Mieszkała. – Walentina Nikołajewna skinęła głową. – Wynajmowała pokój u jakiejś starszej kobiety.

– Ta kobieta to moja ciocia Gala, Galina Iljicznina Koriagina.

– Coś podobnego! – Matka Rity klasnęła w ręce.

– Mieszkam na stałe za granicą, dawno nie widziałam cioci Gali, nie mogłam przyjechać nawet na pogrzeb. No a teraz przyjechałam i dowiedziałam się, że pani córka mieszkała z nią aż do jej śmierci. Dlatego chciałam się z nią spotkać, porozmawiać o cioci Gali. Może mi pani powiedzieć, jak znaleźć Ritę?

– Nie znam adresu, zresztą po co mi on? I tak do niej nie pojedę, muszę się zająć gospodarstwem, kurami, prosiakiem, a zdrowie szwankuje. Ale mam telefon, często dzwonię do Ritoczki, żeby z nią porozmawiać. Niech pani zapisze, skoro to ważne.

Walentina Nikołajewna nie widziała świata poza córką i mogła opowiadać o niej godzinami.

– Ritoczka ma w Kostrowsku dobrą pracę, dużo zarabia, więc przysyła mi pieniądze, pomaga. Co prawda przyjeżdża bardzo rzadko,

jest bardzo zajęta, ma trudną i odpowiedzialną pracę, nie dostaje urlopu. Skończyła też studia w Kostrowsku, zdobyła dyplom.

– A na jakim stanowisku pracuje?

– Jest menedżerem w jakiejś firmie – z dumą odparła Walentyna Nikołajewna.

Nieżyły awans, jeśli wziąć pod uwagę, że niecały rok temu dziewczyna pracowała w pralni chemicznej w Tomilinie, pomyślała Nastia. Ma też mieszkanie i dobrze płatną pracę. Niby skąd? Znalazła sobie dzianego faceta?

– W jakiej firmie? – zapytała.

– Bóg raczy wiedzieć, nie wyznaję się na tym, coś tam sprzedają czy kupują. Ale praca jest dobra, bez dwóch zdań. Ritoczka to kochane dziecko, wszystkie baby we wsi mi zazdroszczą, że córka o mnie dba. Innym dzieci podorastały, wyuczyły się za krwawicę rodziców, a później o nich zapomniały, urządziły się gdzieś daleko i się nie przejmują, a moja Ritusia to zupełnie co innego. Jak ją pani spotka, sama się pani przekona. Niech pani spojrzy, jaka z niej ślicznotka! Tam wisi zdjęcie.

Nastia podeszła do ściany obwieszanej fotografiami i przypomniała sobie zdjęcia zwierząt. Znowu przemknęło jej przez myśl, że wyszły całkiem nieźle. Kostia Jeriemiejew mówił coś o darze i przeznaczeniu. Może naprawdę powinna zająć się fotografowaniem?

Nastia z ciekawością przyglądała się zdjęciom rodziny Nieczajenków, próbując ocenić ujęcie oraz oświetlenie.

– Tutaj jesteśmy z mężem w dniu naszego ślubu – wyjaśniła

Walentina Nikołajewna. – Mąż dawno umarł, zapił się na śmierć, Panie, świeć nad jego duszą. A na tym zdjęciu Ritoczka ma sześć lat, zrobiono je na przedstawieniu w przedszkolu. A tutaj Ritusia jest na szkolnym balu absolwentów.

Dziewczynę, którą Nastia zobaczyła na zdjęciu, raczej trudno było nazwać piękną: zbyt wysokie czoło, które powiększały ściągnięte do tyłu włosy w mysim kolorze, twarz bez wyrazu i wielkie odstające uszy. Na pewno potrzebowały korekty! Usta też są raczej za duże. Ale ogólnie rzecz biorąc, dziewczyna niczym się nie wyróżniała, nie była ani ładna, ani brzydka. Oczy miała mądre, uważne, ale nieduże i blisko osadzone. Gdyby zmieniła fryzurę i trafiła w ręce dobrego stylisty... Gdyby na przykład zajęła się nią Tamara Nikołajewna! Ciekawe, w czym byłoby jej do twarzy? Jak Tamara by ją uczesała? Uszy i czoło należałoby ukryć, najlepsze byłoby chyba uczesanie na pazia albo na boba, z długą, gęstą grzywką, która zasłoniłaby to i owo. Oczy warto by odpowiednio pomalować, żeby odległość między nimi wydawała się mniejsza i żeby stały się wyrazistsze. Podkreślić brwi. Ufarbować włosy. No i proszę, co za laleczka! Nastia spróbowała sobie wyobrazić tę zmienioną, ulepszoną twarz i nagle zorientowała się, że gdzieś już ją widziała. Długą, gęstą grzywkę oraz intensywny kolor włosów, a także umiejętnie pomalowane oczy... Boże! To przecież kochanka Loni Wieszniaka, którą Starkow pokazywał jej dzisiaj w restauracji. A to ci spryciara, a to ci Ritusia!

– Walentino Nikołajewno, czy Rita nigdy nie wspominała o Leonidzie? – zapytała Nastia jak gdyby od niechcenia.

– O Leonidzie? Nie. A kim jest ten Leonid?

– Leonid Wieszniak. Nigdy pani o nim nie słyszała?

– Nie. – Matka Rity pokręciła głową. – Pierwszy raz słyszę. A kto to taki? Czemu pani sądzi, że Ritoczka go zna?

– To znajomy cioci Gali, myślałam, że może do niej wstępował – skłamała Nastia. – A jak się układa życie osobiste Rity? Ma narzeczonego?

– Ojoj, tego to ja nie wiem. – Walentina Nikołajewna westchnęła. – Ale myślę, że pewnie ma, jest przecież mądra i śliczna, powinna mieć więcej szczęścia w życiu niż ja. Byłoby dobrze, gdy jej się wszystko ułożyło, bo z moimi chorobami nie wiadomo, czy doczekam wnuków...

*

Przez całą drogę z Pietunina do Tomilina Nastia rozpaczliwie walczyła ze snem. Zapadała w drzemkę, zaczynały ją dręczyć niespokojne majaki, głowa nagle jej opadała, w jednej chwili budziła się, a potem znowu morzył ją sen. Czym się tak zmęczyła? Wstała przecież o normalnej porze, pracy miała niewiele, zresztą owa praca polegała głównie na obracaniu językiem i siedzeniu w restauracji albo w samochodzie, więc co ją tak zmęczyło? Czyżby zbliżała się starość? Czy już zawsze tak będzie?

Kolejny raz Nastia nie zauważyła, gdy się zdrzemnęła, i ocknęła się, kiedy zadzwonił telefon.

– Anastazjo Pawłowno, nie za późno dzwonię? Nie śpi pani jeszcze?

Coś takiego, wcześniej nie zauważyła, że głos Ilji Wtoruszyna brzmi bardzo przyjemnie przez telefon. Gdy się spotykali, nieprzyjemne wrażenie, które mężczyzna wywierał na Nastii, przyćmiewało barwę głosu, jednak gdy go nie widziała – odczucie było zupełnie inne.

– Nie, nie za późno – odparła. – Nie tylko nie śpię, ale nie jestem jeszcze u siebie. A co się stało?

– Mam pewne informacje. Możemy się spotkać?

– Jest pan w pracy?

– Tak, jeszcze tu tkwię.

– Mogę do pana wpaść. Jeżeli to panu odpowiada, będę za... – Wyteńczyła wzrok, wpatrując się w ciemność, żeby się zorientować, gdzie się znajduje. Samochód właśnie przejeżdżał przez tamę, dalej prosto prospektem Zwycięstwa, później na lewo w Federacyjną – i oto on, budynek, w którym mieści się siedziba organów ścigania. – Za jakieś dziesięć minut.

– Będę czekał – krótko odparł Wtoruszyn.

Ciekawe, jakie ma informacje. I dlaczego zadzwonił on, a nie Fiedułow? Zresztą co za różnica, pracują przecież razem.

O północy budynek był pusty, kroki Nastii niosły się echem po korytarzu. Dyżurny na parterze obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem i nie wpuścił dalej, póki nie otrzymał telefonicznego potwierdzenia od kapitana Wtoruszyna, że ten na nią czeka. Ilja zszedł po Nastię, po czym zaprowadził do pokoju, mimo że doskonale pamiętała drogę.

– Napije się pani herbaty? – zapytał, umieszczając kurtkę Nastii na wieszaku. – Okropny ziąb dzisiaj.

– Chętnie – odparła.

Kołysanie samochodu podziałało na Nastię usypiająco, wciąż nie mogła otrząsnąć się z odrętwienia i zebrać myśli.

Wtoruszyn zaparzył aromatyczną zieloną herbatę, nalał ją do ładnych filiżanek, które wyjął z szafy znajdującej się za nim, po czym otworzył gruby notes.

– Mam informacje na temat gwałcicieli, których sprawę prowadziła Pawłowa. – Przekartkował notes, szukając właściwej strony. – Dzisiaj prawie wszystko się wyjaśniło. A więc ten, który był gamoniowaty i pozostawał pod wpływem innych, zmarł podczas odbywania wyroku. Ostre zapalenie otrzewnej, zabrakło czasu, żeby go uratować. Pozostali dwaj.

Wtoruszyn umilkł na chwilę i zakreślił coś na czerwono w notesie.

– Obaj zostali zwolnieni warunkowo, jeden w dwa tysiące siódmym, a drugi w dwa tysiące ósmym roku. Pierwszy nie dotarł do Tomilina, po drodze z więzienia upił się, wdał w bójkę i zarobił nowy wyrok za ciężkie uszkodzenia ciała. Teraz go odsiaduje i zajmie mu to jeszcze sporo czasu.

– Którego ma pan na myśli? – uściśliła Nastia. – Tego, co był zarejestrowany w poradni neurologiczno-psychiatrycznej i lubował się w podpaleniach?

– Zgadza się.

Ilja znowu zagłębił się w swoim talmudzie, odszukał coś wzrokiem i zakreślił czerwonym długopisem.

– A trzeci?

– Trzeci wrócił do Tomilina, jest zameldowany pod adresem...
Zresztą pani chyba nie potrzebuje adresu?

– Nie potrzebuję – przyznała Nastia. – Adres jest potrzebny panu.
Dowiedział się pan, z czego facet się utrzymuje?

– Moje informacje są skąpe, ale nawet one rodzą podejrzenia. Gość jest mrukliwy i nietowarzyski. Mieszka samotnie pod Tomilinem. Ledwie znalazł pracę, pewien miejscowy farmer zatrudnił go jako oborowego. Dla człowieka bez wykształcenia, który został skazany na dziesięć lat z takiego artykułu, nic lepszego się u nas nie znalazło, z pracą w ogóle jest kłopot, sama pani rozumie.

– Jak on się nazywa?

– Odincow. Michaił Giennadjewicz Odincow, lat trzydzieści.

I znowu Ilja wykonał ten sam rytuał: zakreślił coś na czerwono.

– A co pan tam wciąż zaznacza? – Nastia nie wytrzymała.

Ilja zerknął na nią ze zdziwieniem, później potrząsnął głową i się uśmiechnął.

– Przepraszam, pani się nie orientuje... Moi koledzy od dawna wiedzą o moim nawyku, więc nikt mnie o nic nie pyta. Zapisuję wszystko, co mam do zrobienia, i po kolei odhaczam, gdy się z tym uporam. Dzięki temu zyskuję gwarancję, że o niczym nie zapomnę.

– To znaczy, że ma pan problemy z pamięcią?

– Na razie nie. Ale kto wie, czy by się nie pojawiły, gdybym wszystkiego nie zapisywał. O proszę, mam też zapisane, że muszę przekazać pani informacje na temat trzech podejrzanych. Wcześniej je zanotowałem i w miarę jak wszystko pani referowałem, zaznaczałem,

że to zrobiłem. Opowiedziałem o pierwszym facecie – zaznaczyłem, opowiedziałem o drugim – zaznaczyłem. Nawet sobie zanotowałem, że muszę do pani zadzwonić i umówić się na spotkanie. I zaznaczyłem, że to zrobiłem.

– O tym też bał się pan zapomnieć? – Nastia się roześmiała.

Śmiech Nasti okazał się zaraźliwy, Wtoruszyn chętnie się do niej przyłączył. Gdy się śmiał, jego oczy zamieniły się w wąskie szparki, które ginęły między gęstymi brwiami a pulchnymi, błyszczącymi policzkami.

– Muszę pani powiedzieć, Anastazjo Pawłowno, że te uwagi i notatki mają dla mnie specjalne znaczenie, nie chodzi tylko o przypomnienie. Zakreślałam na czerwono wykonane zadania i dzięki temu mam poczucie działania oraz wrażenie, że dzień nie poszedł na marne, że coś zrobiłem.

O dziwo, Ilja w ogóle się nie wstydził swojego dziwactwa i opowiadał o nim tak chętnie, jak rybak opowiada o udanym połowie.

– Muszę jednak się przyznać, że ogólnie rzecz biorąc, jestem przybity. – Niespodziewanie przestał się śmiać, twarz mu spoważniała. – Od początku nie wierzyłem w szaleńca, robiłem, co do mnie należy, ale raczej dla spokoju sumienia. Byłem pewien, że zabójstwo Koriaginy wiąże się z kampanią przeciw Biegorskiemu oraz jego klubowi, natomiast drugie zabójstwo, którego ofiarą padła Aida Borisowna, było naśladownictwem psychopatologii, lecz w gruncie rzeczy u jego podstaw znalazły się motywy osobiste. Nie wiedzieć czemu nikomu z nas nie przyszło do głowy, że motywy osobiste mogą

łączyć oba przestępstwa, nie widzieliśmy żadnego związku między tak różnymi kobietami jak Koriagina i Pawłowa. Nawet nie pomyśleliśmy o pracy zawodowej Pawłowej, bo przecież już z dziesięć lat była na emeryturze.

– Więc czym się pan martwi?

– Tym, że nie miałem racji. – Wtoruszyn wzruszył ramionami. – Teraz widzę, że Odincow jest najbardziej prawdopodobnym podejrzanym, który mógłby popełnić oba zabójstwa. Jest młody i dość silny fizycznie, mrukliwy, nietowarzyski i nie poddaje się procesowi socjalizacji, to znaczy istnieje pewna anomalia psychiczna i facet ma motyw. Wygląda na to, że rację miał Dimka Fiedułow, a nie ja.

– Pierwszy raz zdarza się, że to nie pan, tylko Dmitrij ma rację? Co w tym dziwnego?

– Nic – odparł Ilja z westchnieniem. – Wszystko w porządku. Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Dolać pani herbaty?

– Nie, dziękuję. – Nastia wstała. – Zrobiło się bardzo późno. Muszę wracać do siebie. Pan też musi odpocząć.

Wtoruszyn podał jej kurtkę i pomógł ją włożyć.

– Co pan zamierza zrobić z Odincowem? – zapytała Nastia z ręką na kłamce.

– Dimka rwie się do boju. – Ilja się uśmiechnął. – Jest zdania, że trzeba go zatrzymać i przycisnąć.

– A pan myśli inaczej?

– Poobserwowałbym go jeszcze przez parę dni i zebrałbym informacje. Ale mamy z Fiedułowem odmienne stanowiska, nie

potrafimy dojść do porozumienia. – Ilja uśmiechnął się rozbrajająco. – Dimka uważa się za prawdziwego gliniarza, a we mnie widzi tchórzliwego karierowicza. I nawet nie ukrywa swojej opinii.

– Jak więc udaje wam się razem pracować i nie skakać sobie do oczu?

– Jakoś sobie radzimy. Dziękuję, że pani wpadła, Anastazjo Pawłowno. Chodźmy, odprowadzę panią do samochodu.

Tak, pomijając nieatrakcyjną powierzchowność Wtoruszyna, trzeba przyznać, że facet jest dobrze wychowany.

– To bardzo miło z pańskiej strony. Ale nie musi mnie pan odprowadzać, nie zabłądzą – grzecznie wymówiła się Nastia.

– Ależ muszę. – Ilja wyjął pęk kluczy z zamka od wewnętrznej strony. – Dzisiaj siedzi na dole czepialski dyżurny, znowu zacznie pani zawracać głowę. A w ogóle kobieta nie powinna chodzić sama późnym wieczorem. Nigdy i nigdzie. Nawet po naszym budynku.

Ach tak! No proszę, jaki przezorny... A może raczej tchórzliwy? Może wie coś, o czym ona, Nastia, nie ma pojęcia?

Okazało się, że Wtoruszyn miał jednak rację, dyżurny rzeczywiście podjął próbę wylegitymowania Nasti. Ilja wsadził ją do samochodu stojącego tuż przed wejściem i obiecał, że zadzwoni i będzie informował na bieżąco.

Zaparzona przez Wtoruszyna herbata sprawiła, że serce Nasti zaczęło bić szybciej, więc gdy dotarła do apartamentu w oficynie, w ogóle nie czuła się już senna. Nie pomógł ani ciepły prysznic, ani Internet, ani próba wyciągnięcia się pod puszystym kocem na

miękkim materacu. O wpół do trzeciej w nocy Nastia jeszcze nie spała i nie była pewna, czy uda jej się zasnąć w najbliższym czasie. Nagle zapragnęła porozmawiać z mężem, już sięgała po telefon leżący u wezłowia, ale w porę się zreflektowała: chyba zupełnie zwariowała, jest środek nocy, Loszka twardo śpi, jej nocny telefon tylko go przestraszy. Niechby już prędzej nadeszło rano, Loszka wstaje o siódmej, wtedy będzie mogła zadzwonić.

Koło czwartej Nastia jednak zasnęła, ale zbudziła się za pięć siódma z jedną myślą: czy może już zatelefonować? Zaraz zadzwoni budzik, pomyślała, nie spuszczać oczu z zegarka. Loszka poleży jeszcze z pięć minut, powyciąga się, później wstanie i pójdzie do łazienki. Dam mu piętnaście minut na prysznic i golenie, no dobrze, powiedzmy, że dwadzieścia, bo lubi sobie postać pod prysznicem. Teraz myje zęby, właśnie wszedł pod prysznic, namydlił się, naciera się gąbką... Teraz myje głowę... Zaraz zastąpi gorący strumień wody zimnym, później puści z powrotem gorącą wodę i znowu zimną... Wyciera się... Nakłada piankę na twarz... Boże, czemu on się tak guzdrze! Jak długo można się doprowadzać do porządku! Teraz chyba już skończył, wyszedł z łazienki i ruszył do kuchni, żeby zrobić sobie śniadanie. Można dzwonić.

Czistiakow odebrał od razu, jak gdyby czekał na jej telefon i trzymał komórkę w ręce.

– Co porabiasz? – zapytała Nastia, starając się, żeby jej głos brzmiał beztrosko. – Szykujesz śniadanie?

– Aleś wymyśliła – Aleksiej uśmiechnął się dobrodusznie. – Siedzę

już w samochodzie i wyjeżdżam spod naszego bloku.

– Dlaczego tak wcześnie? – zdziwiła się. – Dopiero wpół do ósmej.

– Dzisiaj przecież środa, a w środy o dziesiątej mam posiedzenie rady naukowej. Zapomniałaś?

Zapomniała. O wszystkim: i o posiedzeniu rady w środy, i nawet o tym, że dzisiaj jest właśnie środa. Ależ z niej kretyńska! Mogła zadzwonić godzinę temu i porozmawiać z Loszką, a teraz... jakoś niezręcznie zwałać mu na głowę problemy, gdy siedzi za kierownicą.

– A czemu dzwonisz o tak dziwnej porze? – zapytał. – Coś się stało?

– Stęskniłam się, Losza. Okropnie się za tobą stęskniłam. I bardzo brakuje mi domu. Znudziło mi się tutaj, wszystko wokół jest obce: ludzie, ulice, budynki, nawet powietrze. Chcę do domu – powtórzyła żałośnie.

– Co ja mogę zrobić, Asieńko? Chcesz, to przyjadę i cię zabiorę. Tylko tak mogę ci pomóc.

– A możesz przyjechać, ale mnie nie zabierać?

– Co masz na myśli?

– Żebyś tu ze mną trochę pobyl.

– Teoretycznie mogę. Ale tylko teoretycznie. Bo najpierw musiałbym podgonić robotę i oszacować, kiedy i na jak długo mogę wyjechać. Co cię napadło? Naprawdę chcesz, żebym przyjechał?

No i co Nastia ma mu odpowiedzieć? Że to rzeczywiście konieczne? Zdenerwować Loszkę i zmusić go, żeby rzucił wszystko i przyjechał? To byłaby podłość z jej strony. Pewnie, że wolałaby, żeby był przy niej, i najlepiej w domu, a nie tutaj, ale czy można zaspokajać każdą swoją

zachciankę?

– Naprawdę bardzo mi ciebie brakuje. – Nastia westchnęła. – Ale nie zwracaj uwagi. Chyba coś mnie napadło...

To szczerą prawdą: coś ją napadło. W ciągu trzydziestu lat znajomości często bywało, że długo się z Loszą nie widywali, gdy z uwagi na obowiązki służbowe mieszkał u rodziców w Żukowskim, bliżej instytutu, albo gdy wyjeżdżał w długie delegacje na staż czy z wykładami, ale nigdy przedtem Nastia nie tęskniła za mężem tak bardzo jak teraz. Pewnie dlatego, że wtedy zostawała w domu, miała swoją pracę, otaczali ją znajomi, nic się wokół niej nie zmieniało, a to z kolei odwracało jej uwagę, uspokajało i nie wywoływało uczucia samotności. Teraz jest inaczej.

– Zauważ, Asieńko, że tęsknota za mężem to widoczna oznaka starości – bardzo poważnie oznajmił Czistiakow. – Gdybyś była młoda, cieszyłabyś się, że spędzasz czas beze mnie, a ty, myślałby kto, za mną tęsknisz.

– A niech cię! – Nastia w jednej chwili odzyskała humor i roześmiała się.

Loszka jak nikt inny potrafi ją nie tylko zrozumieć, ale też postawić do pionu.

No cóż, skoro tak wcześnie wstała i do dziesiątej ma jeszcze mnóstwo czasu, może zrobić coś pożytecznego. Pora zajrzeć do skrzynki pocztowej Galiny Iljiczny Koriaginy, póki w sali komputerowej nie ma żadnego informatyka.

Nastia zrobiła sobie kawę i włączyła Internet.

Dwadzieścia minut później z zapartym tchem czytała korespondencję Galiny Iljiczy z Ritą Nieczajenko.

„...znalazłam pani kwestionariusz na portalu Moi Krewni i postanowiłam napisać, ponieważ znam pani córkę Tatianę... Zrujnowała mi życie... Wiem, że ją pani wykleła i wykreśliła ze swojego życia, i chcę powiedzieć, że miała pani absolutną rację. Ta kobieta to potwór wykorzystujący brak doświadczenia i rozpaczliwą sytuację materialną dziewcząt, które przyjechały z prowincji, gdzie nie mogą dostać pracy i gdzie nie ma szkół, w których można nauczyć się zawodu... a ona zastawia na nie sidła, z których później nie mogą się wydostać...”

List był długi i zawierał szczegółowy opis przewinień Tatiany. W odpowiedzi Galina Iljiczyzna napisała: „Moja biedna dziewczyno, bardzo mi cię żal! Nie chcę słyszeć o swojej córce łajdaczce. Lepiej opowiedz mi więcej o sobie”.

Rita opowiadała, skarżyła się na życie, na niemożność znalezienia pracy w Kostrowsku. Wprawdzie zaproponowano jej dobrą pracę w Tomilinie, ale nie ma tutaj gdzie mieszkać, wynajęcie mieszkania czy nawet pokoju wiąże się z ogromnymi kosztami, pójdzie na to cała jej pensja, a z czego będzie się utrzymywać?

Sądząc z dat, korespondencja trwała dwa miesiące, po czym Galina Iljiczyzna zaproponowała Ricie, żeby u niej zamieszkała. Za darmo, w zamian za pomoc w pracach domowych. Kolejny mail Nieczajenko przyniósł szczere i głębokie wyrazy wdzięczności oraz zapewnienie niezwłocznego skorzystania z uprzejmości Galiny Iljiczy.

No cóż, teraz obraz stał się bardziej klarowny: wykorzystując informacje otrzymane od swojego kochanka, Leonida Wieszniaka, Rita wkradła się w zaufanie Koriaginy i u niej zamieszkała. No i co z tego wynika? Czemu to zrobiła? A może wymyślili to razem z Wieszniakiem? Tylko po co? Nie wiadomo też, dlaczego mieliby zabijać Koriaginę, której nigdy przedtem nie widzieli i która niczym im się nie naraziła. A może ją jednak znali, widywali się z nią i o coś pokłócili? No to dlaczego Koriagina nie poznała Rity, skoro widziała ją wcześniej? To znaczy, że na pewno jej nie znała. Więc może chodziło o Wieszniaka? Albo o jakąś osobę trzecią, która wynajęła Lonieczkę i Ritusię, żeby wcieliłi w życie perfidny plan?

Znowu pytania, mnóstwo pytań, a na to, żeby znaleźć odpowiedzi, potrzebny jest czas, siły i możliwości. Nastia ma tylko czas, i to w nadmiarze, nikt jej nie popędza, terminy nie cisną, zwierzchnicy nie walą pięścią w biurko. Natomiast jeśli chodzi o siły i możliwości, sprawa przedstawia się znacznie gorzej.

Jedno jest pewne: Tatiana Koriagina nigdy nie słyszała o Ricie Nieczajenko. W każdym razie tak stwierdziła, gdy prawie rok temu śledczy ją o to zapytał. Ale może to nieprawda? Tatiana odpowiedziała na pytanie i na tym koniec, nikt nie raczył zweryfikować jej słów. Może historia Rity, która trafiła w sidła zimnej i okrutnej stręczycielki, nie jest wyssana z palca? A może to od początku do końca kłamstwo?

Nastia wyłączyła komputer i poszła do restauracji na śniadanie. Zjadła znienawidzoną owsiankę, po czym udała się do muzeum krajoznawczego w Tomilinie.

ROZDZIAŁ 11

Muzeum mieściło się w skrzydle niedużego, piętrowego budynku i sprawiało wrażenie bezładnego zbioru eksponatów, ale Nastia usłyszała, że to z powodu remontu. Gdy tylko skończy się zamieszanie, eksponaty natychmiast zostaną uporządkowane. Dzięki Galinie Iljicznie, Panie, świeć nad jej duszą, dzięki jej dobroci i hojności muzeum stać w końcu na naprawę przeciekającego dachu i remont sal. Gdy minęło pół roku od śmierci Koriaginy, niezwłocznie sprzedano mieszkanie zapisane w testamencie, no i pojawiły się pieniądze.

– A co z rzeczami właścicielki? – zapytała Nastia. – One też zostały sprzedane?

– Niektóre sprzedano, parę zostawiono na pamiątkę, a także z myślą o przyszłych ekspozycjach.

– Mogę zerknąć na to, co zostało?

– Oczywiście, chodźmy do Agrippiny Fieodosowny, wszystko jest u niej.

Agrippina Fieodosowna, pracownik naukowy muzeum, niemłoda, ale żwawa i energiczna dama, chętnie zgodziła się pokazać dziennikarce z Moskwy przygotowującej artykuł na temat sponsorki Koriaginy, która sporządziła testament na rzecz muzeum, „spuściznę po Galinie Iljicznie”, jak nazywała umeblowanie oraz sprzęt

domowy. W jej gabinecie Nastia od razu dostrzegła różowo-zieloną lampę z białą rzeźbioną nogą, o której mówiła Tatiana Koriagina. Charłamp Akolutosjewicz Koriagin. No proszę, rzeczywiście trafne określenie.

– Zachowaliście tylko rzeczy? A może zostały też dokumenty?

– Ma się rozumieć. – Agrippina Fieodosowna z niezadowoleniem ściągnęła rzadziutkie brwi. – Wszystkie dokumenty są w nienagannym stanie. Każda kartka to świadectwo epoki, kiedyś ten zbiór będzie naprawdę bezcenny. Staram się ocalić, co tylko się da, bo za sto lat na pewno zostanie otwarta wystawa *Tradycje i obyczaje prowincjonalnego rosyjskiego miasta na początku dwudziestego pierwszego wieku*, to przecież ogromnie interesujące! W ekspozycji znajdą się meble, naczynia, sprzęt domowy, ubrania. A historycy, prowadząc badania, z pewnością sięgną po zachowane dokumenty. Mamy obowiązek zrobić wszystko, żeby nie powtórzyć błędów i tragedii z przeszłości, gdy podczas wojen oraz zawieruch dziejowych palono meble i książki, wszystko rozbijano, niszczone albo sprzedawano, i nic nie ocalało. Ta oto lampa – kobieta z dumą pokazała na Charłampa Akolutosjewicza – stanie się prawdziwą perłą ekspozycji jako odzwierciedlenie gustu i zapotrzebowania określonych warstw społeczeństwa. Nasze miasto ma zaledwie pół wieku, z punktu widzenia historii to tyle co nic, historyczna część naszej ekspozycji jest na razie skromna, ale musimy myśleć o przyszłości, o kolejnych pokoleniach muzealników, które przyjdą po nas...

Było widać, że Agrippina Fieodosowna dosiadła swojego

ulubionego konika i jeśli nikt jej nie powstrzyma, będzie się jeszcze długo rozwodzić. Nastia wybrała odpowiedni moment i przerwała tyradę pytaniem: czy można obejrzeć dokumenty Koriaginy? Pracownica muzeum posłała Nasti spojrzenie pełne dezaprobaty, po czym kiwnęła głową i zaprowadziła ją do magazynu.

Okazało się, że dokumentów jest niewiele, były to przeważnie książeczki opłat za mieszkanie, energię elektryczną i telefon pamiętające jeszcze dawne radzieckie czasy, mnóstwo rachunków, na przykład za usługi komunalne, z ostatnich lat, w tym czeki i asygnaty kasowe wystawione w klubie Złoty Wiek za opłatę różnych usług oraz uiszczenie comiesięcznych składek członkowskich. Była też legitymacja partyjna i orzeczenie o rozwodzie datowane na 1969 rok, a także pismo stwierdzające nabycie kwatery na miejscowym cmentarzu, gdzie pochowani są rodzice Galiny Iljiczny i gdzie ona również teraz spoczywa. Osobna opasła teczka wiązana tasiemkami zawierała dyplomy uznania za osiągnięcia w dziedzinie partyjnej propagandy. Ładne kartki z życzeniami otrzymane przez Koriaginę wiele lat temu z okazji urodzin, 8 marca i Nowego Roku. Dwa stare listy od siostrzeńca z Irkucka. I brudnopis testamentu.

Nastia już miała odłożyć go na bok, nie czytając, prześlizgnęła się wzrokiem po słowie TESTAMENT wydrukowanym dużymi literami i uznała, że nie ma sensu go czytać, ponieważ sprawa jest oczywista. Ale już w następnej chwili pomyślała, że coś tu się nie zgadza. Dokument nie wspominał o muzeum krajoznawczym, ale o Margaricie Władimirownie Nieczajenko, na którą z woli testatora przechodził cały

majątek osobisty Galiny Iljiczy, łącznie z mieszkaniem, znajdującymi się w nim rzeczami, umeblowaniem, biżuterią oraz kontem bankowym... Co to może być? Nowy testament, którego Galina Iljiczna nie zdążyła potwierdzić u notariusza? Nastia spojrzała na datę: połowa lutego ubiegłego roku, prawie miesiąc przed zabójstwem. Dlaczego Koriagina nie znalazła czasu, żeby pójść do kancelarii notarialnej, skoro zamierzała zmienić testament? Nie śpieszyła się? Była pewna, że jeszcze długo będzie żyła? A może chodziło o coś innego?

Nastia sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Dmitrija Fiedułowa.

– Z której kancelarii notarialnej korzystała Koriagina?

– Nie potrafię odpowiedzieć na poczekaniu. Chyba z tej koło domu.

Chwileczkę, zapytam Ilję, on wszystko zapisuje.

Głos Fiedułowa się oddalił, Nastia usłyszała przytłumiony aksamitny baryton Wtoruszyna, wywiadowcy o czymś rozmawiali, po czym w telefonie odezwał się Ilja.

– Druga kancelaria notarialna, notariusz Brazowkin.

– Czy to daleko od domu Koriaginy?

– Dwie, trzy minuty spacerem.

– Ilja, czy mógłby pan zadzwonić do notariusza i zapytać, czy Koriagina nie kontaktowała się z nim w ciągu ostatniego miesiąca przed śmiercią? Może spotkali się przypadkiem na ulicy?

– A czemu to panią interesuje?

– Jestem ciekawa, czy nie wspominała o zamiarze zmiany testamentu. Znalazłam w jej dokumentach brudnopis testamentu na

korzyść Nieczajenko, jej lokatorki.

– Naprawdę? – zdziwił się Ilja. – A gdzie pani trafiła na te dokumenty?

– W muzeum krajoznawczym. Dziwne, że nie znaleźliście brudnopisu wcześniej. – Nastia nie wytrzymała, żeby nie dociąć Wtoruszynowi.

– Nie przeszukiwaliśmy jej mieszkania, bo nie było miejscem przestępstwa. Nie szperaliśmy też w dokumentach. Byliśmy pewni, że zabójstwo jest dziełem szaleńca. Chwileczkę, Anastazjo Pawłowno, jakie znaczenie ma ten brudnopis, skoro stary testament pozostał w mocy? Nieczajenko nie mogła mieć motywu zabójstwa, ponieważ nowy testament nie został złożony u notariusza.

– A jednak – Nastia nie ustępowała – proszę do niego zadzwonić i się upewnić. Coś tu się nie zgadza. Nie rozumiem, dlaczego Koriagina nie przepisała testamentu, jeżeli miała zamiar to zrobić.

– Dobrze – Wtoruszyn westchnął do słuchawki – skontaktuję się z notariuszem i do pani oddzwonię.

Przez następne piętnaście minut Nastia przeglądała pozostałe dokumenty, wśród których nie znalazła już nic ciekawego. Gdy Wtoruszyn zadzwonił ponownie, zawiązywała akurat tasiemki grubej teczki, do której starannie włożyła dokumenty, zachowując kolejność ze spisu.

– Notariusz Brazowkin przypomniał sobie, że spotkał Galinę Iljiničną Koriaginę co najmniej trzy razy w ciągu miesiąca przed jej śmiercią, regularnie wybierała się na spacer do parku i przechodziła

koło kancelarii notarialnej. Brazowkin zjawiał się w pracy o dziesiątej, a gdy spóźniał się parę minut, spotykał Koriagine, która akurat w tym czasie udawała się na spacer. Ani słowem nie wspomniała o zmianie testamentu.

– To dziwne – mruknęła Nastia. – Dobrze, jeszcze się zastanowię. Ilja, mam do pana pytanie. Nie wie pan przypadkiem, czy Nieczajenko pracowała w salonie Tatiany Koriaginy?

W słuchawce zapadło milczenie. Nastia zdawała sobie sprawę, że jej pytanie jest w zasadzie nietaktowne, jeśli wziąć pod uwagę, że Ilja Wtoruszyn regularnie odwiedzał dom publiczny pod wyszukaną nazwą Relax. Powinna go była zapytać w cztery oczy, nie przez telefon, ponieważ był z pewnością w towarzystwie swojego kolegi Fiedułowa. Ale nie pora teraz na subtelności.

– O ile wiem, to nie – oschle odparł Wtoruszyn. – W każdym razie nic takiego nie wypłynęło, gdy sprawdzaliśmy Nieczajenko. A dlaczego pani pyta?

– Mam powód. Później panu wytłumaczę.

Nastia nie miała ochoty wdawać się w szczegóły swojej nielegalnej działalności z wykorzystaniem komputera. Zostawiła na biurku teczkę z dokumentami oraz dyplomami i wróciła do Agrippiny Fieodosowny, która już zaparzyła herbatę i z niecierpliwością czekała na gościa z Moskwy, pragnąc porozmawiać z nową osobą o perspektywach rozwoju muzealnictwa w Tomilinie. Nastia ją rozczarowała, bo odmówiła herbaty i się pożegnała. Musiała zostać sama, żeby wszystko przemyśleć.

Wróciła do posiadłości, włączyła komputer i otworzyła dokument, w którym zapisała zebrane informacje o Galinie Iljicznie Koriaginie. Uważnie je przeczytała. Musi być w nich coś, co tłumaczyłoby dziwny brudnopis tak samo dziwnego testamentu. No dobrze, fakt, że Koriagina postanowiła zmienić testament, można łatwo wyjaśnić. Kontakty z córką zerwała dawno i ostatecznie, nie miała innych bliskich krewnych. Nagle pojawia się miła, cicha dziewczyna, ofiara ohydnej stręczycielki i niesprawiedliwego życia po pieriestrojce, która dba o Galinę Iljiczną, robi jej zakupy, gotuje, sprząta mieszkanie, pierze, prasuje, chodzi z nią na spacer i odprowadza do teatru, czeka na przystanku, gdy tamta wraca z klubu późnym wieczorem. Tutaj wszystko jest jasne. Ale dlaczego Koriagina nie doprowadziła sprawy do końca? Przecież miała miesiąc na potwierdzenie testamentu u notariusza. Na co czekała? A może coś ją zaniepokoiło w zachowaniu Rity i nie śpieszyła się z testamentem, póki nie rozwieją się wątpliwości?

Nastia wciąż od nowa przebiegała wzrokiem tekst na ekranie i nagle doznała olśnienia. A więc o to chodzi! Koriagina była kłamliwą intrygantką, zauważał to prawie każdy, kto miał z nią do czynienia. Nie zamierzała zmieniać testamentu, oszukała swoją lokatorkę, pokazała jej brudnopis i powiedziała, że pójdzie z nim do notariusza i wszystko załatwi. Później powiedziała, że była u notariusza, że napisała nowy testament na korzyść Rity i złożyła go w drugiej kancelarii notarialnej. Po co? Żeby Rita z wdzięczności i strachu, że Koriagina znowu zmieni testament, lepiej o nią dbała. Boże, jakie to

prymitywne, wstrętne i głupie! Ale tylko tak można wyjaśnić pozostawiony w mocy stary testament, brudnopis nowego i śmierć Galiny Iljiczny mniej więcej miesiąc po sporządzeniu brudnopisu. A więc Nieczajenko. I możliwe, że Wieszniak.

Nastia zadzwoniła do Starkowa.

– Powiedział pan, że mogę zwrócić się do pana z każdą prośbą.

– Podtrzymuję propozycję. – Nawet nie widząc Starkowa, Nastia czuła, że mężczyzna się uśmiecha. – Niech pani rozkazuje, kobieto moich marzeń.

– Przepraszam, nie rozumiem – powiedziała stropiona, myśląc, że się przesłyszała.

– A czego tu można nie rozumieć, Nastieńko?! – Teraz Starkow śmiał się już w głos. – Był czas, że się w pani podkochiwałem. Naprawdę pani tego nie zauważyła?

– Nie – odparła zupełnie szczerze. – Chyba pan żartuje?

– Ani trochę – zapewnił ją Anatolij Władimirowicz. – Daję słowo. Byłem panią tak oczarowany, że nawet namawiałem Denisowa, żeby pani nie narażał i nie stawiał w niezręcznej sytuacji.

– A co on na to?

– Śmiał się i obiecał, że uwielbianej przeze mnie Kamieńskiej nie spadnie włos z głowy. Więc jaką ma pani prośbę?

– Nieprzyzwoitą – mruknęła Nastia do słuchawki. – Ma pan jakichś znajomych internautów?

– Nawet jeśli nie mam, to dla pani znajdę. A o co chodzi?

– Trzeba się dowiedzieć, gdzie jest komputer, z którego

otrzymywana i wysyłana jest poczta. Adres panu podam. Sądząc z nazwy domeny kostrowsk-net.ru, skrzynka pocztowa jest umieszczona na serwerze lokalnego dostawcy usług internetowych. Chciałabym namierzyć adres osoby, której dostawca przydzielił IP w celu korzystania z Internetu i zapewnił usługi pocztowe.

Nastia podyktowała Starkowowi adres elektroniczny, z którego wysyłano listy podpisane przez Ritę Nieczajenko do Galiny Iljiczy Koriaginy. Anatolij Władimirowicz go zapisał i obiecał, że zrobi, co w jego mocy.

– A teraz do Biegorskiego z raportem i po Kumpelkę do schroniska – poleciła sobie w myślach Nastia.

Po drodze z muzeum wstąpiła do sklepu i kupiła w dziale garmazeryjnym gotowanego kurczaka oraz duży osetyjski pieróg z serem. Pieróg był gorący, Nastia widziała, jak wyjmowano go z pieca, i wyobrażała sobie, jak będzie spacerowała z Kumpelką, łamała pieróg na kawałki i jak obie, wesole i zadowolone, będą go zajadały ze smakiem.

Złożenie raportu Biegorskiemu przebiegło szybko i sprawnie, Andriej Siergiejewicz nie czepiał się szczegółów, wysłuchał relacji z wyprawy do Kostrowska i Pietunina, uśmiechnął się z aprobatą i życzył dalszych sukcesów. Gdy Nastia wyszła z pokoju, natknęła się w sekretariacie na Jelenę Stanisławownę Murawjową w eleganckiej ciemnoróżowej garsonce i w koronkowej bluzce. Na twarzy kobiety malował się smutek i napięcie.

– Była pani u Andrieja Siergiejewicza? – Jelena Stanisławowna

drgnęła na widok Nasti. – Nie jest zajęty? Jak pani sądzi, mogę do niego wejść?

– To zależy, w jakiej sprawie. – Nastia wykręciła się od bezpośredniej odpowiedzi. – Ma dużo pracy papierkowej i prosił, żeby mu nie przeszkadzać. Chyba że to coś bardzo pilnego...

– Chciałam z nim porozmawiać na temat Walerija Wasiljewicza. Słyszała pani, że Biegorski go zwolnił?

Oczywiście, że Nastia o tym słyszała! Biegorski zwolnił pechowego złodziejaska nazajutrz po tym, gdy ten opuścił areszt. Andriej Siergiejewicz nie był człowiekiem bez serca, więc dał Połosuchinowi dwa tygodnie na znalezienie nowej pracy i nowego lokum. W tym czasie Walerij Wasiljewicz miał prawo pozostać w dworze, chociaż niezwłocznie odsunięto go od obowiązków.

– Coś mi się obilo o uszy – odparła Nastia całkiem neutralnie. – A panią to martwi?

Mogła sobie pozwolić na odgrywanie komedii, bo przecież Jelena Stanisławowna ani słowem nie zdradziła się ze swoimi uczuciami do Połosuchina.

– Oczywiście, że martwi – gniewnie odparła Murawjowa. – Do czego to podobne? Taki cudowny człowiek, wspaniały pracownik, dusza towarzystwa, szef kółka miłośników haftu – i raptem ni z tego, ni z owego zwolniony! To przecież nieludzkie! Oburzające! W końcu to jawne łamanie prawa pracy. Zwalniać można tylko zgodnie z przepisami albo w wyniku redukcji etatów, tymczasem żadnej redukcji nie było, wiem doskonale. Nie da się też postawić Walerijowi

Wasiljewiczowi zarzutu nienależytego wykonywania obowiązków służbowych, bo pracuje nienagannie i nie narusza dyscypliny pracy.

– O ile wiem, napisał podanie o zwolnienie – powiedziała Nastia.

Murawjowa zmieszała się i posmutniała.

– To niemożliwe – powiedziała z zakłopotaniem. – Czemu Walerij Wasiljewicz miałby się zwalniać na własną prośbę? Co mu tutaj nie odpowiada?

– Proszę go zapytać – odparła Nastia z uśmiechem.

Ale Jelena Stanisławowna nie mogła uwierzyć, że Połosuchin postanowił porzucić pracę, której głównym atutem była możliwość codziennego widywania się z nią, kobietą wyjątkową, szlachetnie urodzoną Murawjową, w której żyłach płynie francuska krew. Zaczęła usilnie przekonywać Nastię, że historia zwolnienia Połosuchina to wynik intryg oraz złych zamiarów i że ona na pewno zdemaskuje niegodziwe machinacje i ujawni prawdę, a Walerij Wasiljewicz wróci na swoją posiadłość, otrzyma należne mu przeprosiny i rekompensatę za przymusową bezczynność. Należy tylko porozmawiać z Biegorskim i powiedzieć mu, że Walerij Wasiljewicz Połosuchin to cudowny i przyzwoity pod każdym względem człowiek.

– Jak pani sądzi, kiedy mogłabym poprosić go o rozmowę? – Murawjowa wpatrywała się w twarz Nasti niespokojnymi oczami. – Pani często u niego przesiaduje, widziałam was też razem w restauracji, jesteście w zażyłych stosunkach, przyjaźni się pani również z Tamarą Nikołajewną, mieszkacie w tej samej oficynie, pewnie spotykacie się co wieczór na pogaduszkach. A może podjęłaby

się pani interwencji u Andrieja Siergiejewicza? Zapewniam panią, że przysłużyłaby się pani słusznej sprawie. Walerij Wasiljewicz został o coś oskarżony i nie mógł albo nie uznał za stosowne się wytłumaczyć, bo to człowiek dumny i ma poczucie własnej godności...

Murawjowa nie przestawała trajkotać, a Nastia przestępowała z nogi na nogę, zastanawiając się, jak się uwolnić od tej pseudoarystokratki i pójść wreszcie do schroniska. Dzisiaj jest tak słonecznie, że nie może doczekać się spaceru po białym śniegu, na rześkim, mroźnym powietrzu!

– Niech mi pani obieca, że porozmawia z Andriejem Siergiejewiczem!

Okazuje się, że Murawjowa zdążyła przejść od prośb do żądań. Szybko poszło, wystarczyło, że Nastia na chwilę odplynęła myślami – i proszę.

– Myli się pani, Jeleno Stanisławowno, pozostaję z Biegorskim w oficjalnych stosunkach, nie mogę zwracać się do niego z prośbą, która nie dotyczy mojej pracy – odparła surowo. – Niech pani sama spróbuje z nim porozmawiać. Chociaż dzisiaj Andriej Siergiejewicz najwyraźniej nie jest w humorze.

Kumpelka przywitała Nastię energicznymi machnięciami ogona, jakby chciała powiedzieć: „Wreszcie zrozumiałaś, że można mnie wyprowadzać na spacer nie tylko rano, gdy słońce jeszcze nie wstało, albo wieczorem, gdy już zaszło, ale w ciągu dnia, gdy wszystko wokół lśni radością. Jednak nie jesteś beznadziejna, a gdy się postarasz, będą z ciebie ludzie!”.

Idąc z psem aleją w kierunku rzeki, Nastia nagle zobaczyła ptaka siedzącego na jarzębinie i dziobiącego jagody ścięte mrozem. Miał olśniewająco biały kuper, czarne skrzydła, ogon i łebek oraz cynobrową pierś. Boże, to chyba gil, pomyślała oszołomiona Nastia. Nie była pewna, ponieważ nigdy nie widziała żywego gila, tylko w książkach, a i to w dzieciństwie. Mój Boże, niedługo stuknie mi pięćdziesiątka, a nigdy nie widziałam gila. Jak dotąd żyłam?

I nagle, chyba pierwszy raz w życiu, otworzyły jej się oczy i zobaczyła iskrzący się w słońcu śnieg, który wyglądał, jakby był pokryty milionem drobnych brylantów. W Moskwie wszystko wygląda inaczej, chodniki posypywane są chemikaliami, no i w ogóle zimy w stolicy bywają szare i przygnębiające. Nastia zobaczyła też drzewa i gałęzie w śniegowych czapach oraz lekkie, przejrzyste chmurki na błękitnym niebie...

– Chodźmy. – Pociągnęła za smycz. – Nie ociągaj się, nie wracamy do schroniska. Idziemy po aparat. Masz, zjedz ostatni kawałek.

Rzuciła psu pieróg i pośpieszyła w stronę oficyny. Kumpelka uznała, że została zaproszona w odwiedziny, więc gdy tylko znalazła się w apartamencie Nasti, otrząsnęła się, dała nurka do salonu i rozłożyła na dywanie.

– Ej, moja kochana, ruszaj się. – Nastia wsunęła aparat do kieszeni kurtki i stanęła przy drzwiach. – Spacer jeszcze się nie skończył. No dalej, wstawaj.

Pies spoglądał na nią łagodnym i zdziwionym wzrokiem. Nastia musiała mocno pociągnąć za smycz, żeby go przekonać. Pomogło.

Kumpelka wstała, choć z ociąganiem.

Nastia fotografowała wszystko, co wpadło jej w oko, nagle ovladnęła nią niepojęta pasja, pragnęła koniecznie utrwalić wszystko, co widziała: dwór z zabudowaniami, zasy, drzewa, dużego starego psa na olśniewająco białym śniegu. Gil wciąż jeszcze siedział na jarzębinie, on również znalazł się w kadrze. Nastia pstrykała aparatem i myślała, że pochłonięta pracą i codziennymi sprawami, nie zauważała tego, co istotne. Owszem, w ciągu minionych lat napatrzyła się na wiele rzeczy, ale przeważnie związanych z nikczemnymi uczuciami i niskimi pobudkami, takimi jak zawiść, zemsta, wyrachowanie, złość, śmierć, nienawiść... A przecież życie to również przyroda, ładne ubrania, nie wyłączając bielizny termoaktywnej, o której Nastia dowiedziała się dopiero przed pięćdziesiątką, miłość do bezdomnych zwierząt, fenomen fotografii oraz wiele innych rzeczy, których nie znała i nie dostrzegała. Dobrze, że ma jeszcze trochę czasu, żeby nadrobić zaległości.

Zauważyła, że Kumpelka odwróciła łeb w jej stronę i uważnie nasłuchuje. Wtedy zorientowała się, że mówi na głos. Ale sobie znalazłam powierniczkę, ofuknęła się gniewnie w myślach i w tej samej chwili się uśmiechnęła. W końcu rozmowa z psem to też nowe doświadczenie. Nie, to nieprawda, doświadczenie nie jest nowe, dawniej też rozmawiałam z psami. Tyle że nie zwracałam uwagi, jakby to było coś oczywistego. A przecież posiadanie psa, z którym można porozmawiać i który jest gotów słuchać, to coś wspaniałego. Można i trzeba się tym cieszyć, a nie traktować jako rzecz naturalną.

Zjedzony na spacerze pieróg w pełni zastąpił obiad, więc Nastia nie poszła do restauracji. Odprowadziła psa do schroniska, znalazła Kostię Jeremiejewa, odebrała od niego swoją kartę pamięci, wróciła do oficyny, zgrała zdjęcia z aparatu do komputera i wysłała Czistiakowowi. Niech zobaczy, w jakim pięknym miejscu upływa żonie pierwsza delegacja w nowej pracy. Prawie wszystkie zdjęcia okazały się udane, na monitorze prezentowały się świetnie. Najlepiej wyszedł gil z czerwoną piersią i czarny kudłaty pies. Może mam smykałkę do fotografowania zwierząt? – pomyślała Nastia z pewnym zdziwieniem. Najpierw okaleczony pies i niesforny kot, a teraz Kumpelka i cudowny, magiczny gil. Natomiast zabudowania i drzewa wyszły zupełnie przeciętnie, nic nadzwyczajnego. Zresztą nie znam się na tym, psa darzę uczuciem, a gil zrobił na mnie wrażenie, więc wydaje mi się, że zdjęcia są wspaniałe, tymczasem nie ma w nich nic szczególnego.

Nastia chyba naprawdę cieszyła się względami Anatolija Władimirowicza Starkowa, bo dawny znajomy spełnił jej prośbę szybciej, niż się spodziewała.

– Niech pani zapisze adres, pod którym zidentyfikowano interesujący panią komputer – odezwał się rześko w słuchawce. – Jest w Kostrowsku.

Nastia chwyciła notes i długopis.

– Czy nazwa ulicy coś pani mówi? – zapytał Starkow, gdy skończył dyktować.

Oczywiście, że mówiła! To adres Leonida Wieszniaka. Nie dalej jak

wczoraj Nastia tam była. Teraz wszystko zaczyna się układać. No, prawie wszystko.

– Anatoliju Władimirowiczu, chciałabym poprosić o coś jeszcze, jeżeli nie uzna pan tego za impertynencję.

– To zależy, o co pani poprosi – odparł żartobliwie Starkow. – Jeśli o moje życie, może nim pani rozporządzać, a jeśli o coś innego, będę musiał się zastanowić.

– Znowu potrzebuję informacji, tym razem dotyczących salonu Relax. To możliwe?

– Niech pani wali.

– Muszę wiedzieć, czy pracowała tam niejaka Margarita Nieczajenko. Ale nie teraz, parę lat temu albo jeszcze wcześniej.

– Zasięgnę języka. A kim jest ta kobieta?

– To prezent ode mnie dla pana. – Nastia się roześmiała. – Margarita Nieczajenko jest tą samą dziewczyną, którą pokazywał mi pan w restauracji.

– Niemożliwe! Chodzi o kochankę Lonieczki Wieszniaka?

– Zgadza się. I co, dobry prezent? Teraz będzie pan znał jej tożsamość, a nuż kiedyś się przyda.

– Czy ona mieszka pod adresem, który dla pani zdobyłem?

– Nie, to adres Wieszniaka.

– Dziwne – mruknął Starkow – przecież podała mi pani login, który, o ile dobrze pamiętam, zawierał słowo „Margo” albo coś w tym rodzaju. Czyżbym się mylił?

– Nie myli się pan. Lonieczka Wieszniak korespondował w imieniu

Rity Nieczajenko i posługiwał się jej kontem, żeby być bardziej przekonujący.

– Jakież machinacje?

– Tak to można nazwać. Podszywając się pod Ritę, Wieszniak oczarował naszą Galinę Iljiczną Koriaginę, udawał niewiniątko, które skrzywdziła potworna i bezduszna Tatiana. No więc chcę wiedzieć, czy Rita rzeczywiście pracowała w salonie Tatiany, czy to tylko łzawa historyjka w celu wzbudzenia litości.

– Dowiem się – obiecał Starkow.

Nastia poczuła przyływ dobrego humoru. No proszę, coś jej się jednak udało w tej dziwnej delegacji. Teraz wiadomo, że Wieszniak i Nieczajenko zaplanowali zabójstwo Koriaginy, a później je popełnili. Najpierw Rita z pomocą Lonieczki zdobyła zaufanie kobiety i u niej zamieszkała, później stała się niezastąpioną pomocą domową, a gdy tylko Koriagina oznajmiła, że zmieniła testament na korzyść Rity, doszło do zabójstwa. Nagła przypadłość żołądkowa lokatorki była jedynie pretekstem, żeby zostawić Koriaginę samą w nocy na pustym podwórzu, gdzie czekał na nią Wieszniak, który przyjechał z Kostrowska. Sprytna para nie uwzględniła tylko jednej rzeczy: patologicznej obłudy Galiny Iljicznicy, która bez zmrużenia oka okłamała „naiwną” pomoc domową.

Ale to tylko domysły. Trzeba zdobyć dowód, że Wieszniak był w Kostrowsku. A przecież facet z pewnością zadbał o alibi. Zresztą to nie jest problem Nasti, tym zajmą się etatowi detektywi i śledczy.

Jeśli przyjąć, że Galinę Iljiczną Koriaginę zabił Wieszniak, a Rita

Nieczajenko była jego współniczką, pojawia się kwestia zabójstwa Pawłowej. Inscenizując morderstwo Koriaginy, Wieszniak zrećcznie zasugerował, że popełnił je szaleniec, w każdym razie wszyscy od samego początku uwierzyli w tę hipotezę. A co z drugim mordercą, który zabił dawną śledczą Aidę Borisownę Pawłową? Drugi morderca też uwierzył w tę hipotezę i planując wyrównanie rachunków z Pawłową, powtórzył pierwsze zabójstwo, żeby zrzucić je również na szaleńca, który jak się okazało, nie istnieje. A więc wszystko, tak jak poprzednio, opiera się na motywach osobistych. A wśród nich na czoło wysuwa się znowu zemsta. Gwałciciel Odincow, ponury, zamknięty w sobie i nietowarzyski, jest nadal podejrzany. Ale jeśli wziąć pod uwagę, że zabójstwo Koriaginy nie miało żadnego związku z Pawłową, krąg potencjalnych mścicieli znacznie się rozszerza. Mało to spraw prowadziła Aida Borisowna? No właśnie. Zaraz Fiedułow z Wtoruszynem sprawdzą Michaiła Giennadjewicza Odincowa i będzie to wielki sukces, jeśli akurat on okaże się zabójcą Pawłowej. Nastia w to jednak mocno powątpiewała. Takie rzeczy się nie zdarzają.

Przeczenie jej nie zawiodło. Późnym wieczorem zadzwonił Fiedułow i znużonym, bezbarwnym głosem oznajmił, że Odincow został zatrzymany i dokładnie prześwietlony. Miał żelazne alibi na 22 września 2009 roku, to znaczy na dzień zabójstwa Pawłowej. Nie było go w Tomilinie, razem z agronomem pojechał do sąsiedniego obwodu po nawozy. To nie należy oczywiście do obowiązków oborowego, skoro go jednak poproszono, to pojechał. Jego słowa potwierdził nie tylko agronom, ale też kierowca, który ich wiozł, a także parę osób, w tym

pracownicy zajmujący się załadunkiem nawozów: dobrze zapamiętali Michaiła Odincowa, który przez cały czas nie wyrzekł ani jednego słowa, stał ze wzrokiem wbitym ponuro w ziemię i spluwał przez zęby.

No i proszę, upadła kolejna hipoteza. A wydawała się tak obiecująca! Zresztą to było do przewidzenia. Nastia nawet się nie zdenerwowała.

*

Ilja Wtoruszyn triumfował. Udało mu się jednak udowodnić, że oba zabójstwa zostały popełnione przez różne osoby. A przecież od samego początku forsował tę teorię, nie tak jak Dimka Fiedułow, który przyczepił się do hipotezy o szaleńcu i żadna siła nie mogła go od niej odwieść. Do całkowitego zwycięstwa jeszcze daleko, zabójstwo Pawłowej nadal pozostaje niewyjaśnione, ale z Koriaginą chyba się uporali. Chociaż początkowo wydawało się to zupełnie niemożliwe, bo przecież od piątego marca ubiegłego roku minął szmat czasu!

Po tym, jak Kamieńska opowiedziała o swojej wyprawie do Kostrowska i Pietunina, Wtoruszyn natychmiast odwiedził Leonida Wieszniaka, żeby zapytać go o alibi. Mężczyzna zrobił zdziwioną minę i stwierdził, że nie potrafi sobie przypomnieć, co robił akurat piątego marca ubiegłego roku, za to doskonale pamięta, że nie był w Tomilinie, ponieważ nie ma tam ani przyjaciół, ani krewnych, ani żadnych spraw biznesowych. Nie było najmniejszej szansy, żeby podważyć jego słowa.

Ilja Wtoruszyn nie należał jednak do osób, które wycofywały się w obliczu trudności. Śledczy, który umorzył sprawę zabójstwa Koriaginy i Pawłowej, był wciąż na zwolnieniu, ale Ilja uruchomił liczne kontakty i wykorzystał dobre układy z milicjantami w Kostrowsku, którzy w ciągu paru dni dość dokładnie ustalili krąg znajomych Wieszniaka. Na przeszkodzie stanął pewien drobiazg: należało spotkać się z nimi i porozmawiać. Lonia Wieszniak pochodził z Kostrowska, więc miał więcej niż pięciu czy nawet dwudziestu znajomych. W tej sytuacji Wtoruszyn zadzwonił do Kamieńskiej.

– Czy pani pracodawca Biegorski jest gotów zapłacić?

– Zależy za co – odparła Nastia.

– Oczywiście za pracę. Grono znajomych Wieszniaka jest bardzo duże, żeby wszystkich odszukać i przesłuchać, potrzeba sporo czasu, bo przecież oprócz mnie i Dimki nie ma się tym kto zająć. Chyba że nas pani wesprze. Ale to i tak nie uratuje sytuacji. Gliniarze z Kostrowska nam pomogą, jeśli im zapłacimy.

– Porozmawiam z Andriejem Siergiejewiczem – obiecała Nastia.

Wygląda na to, że rozmowa okazała się krótka i owocna, bo już pół godziny później Kamieńska oddzwoniła do Ilji i powiedziała, że Biegorski zapłaci za pracę wywiadowców. Wtoruszyn zabrał się do roboty i niebawem znaleziono niejakiego Pawła Szyriajewa, dawnego kolegę szkolnego Loni Wieszniaka, który w ubiegłym roku widział Lonię w Tomilinie. Mężczyzna nie potrafi podać dokładnej daty – nie pamięta jej, ale jest pewien, że było to na początku marca. Dlaczego jest pewien? Ano dlatego, że postanowił zrobić prezent swojej

ukochanej cioci z okazji Dnia Kobiet i kupił jej bilet na odbywający się w Tomilinie wieczór artystyczny słynnej aktorki. Zawiózł ciocię do Tomilina, zaczekał w restauracji, aż skończy się koncert, odebrał krewną spod filharmonii i odwiózł z powrotem do Kostrowska. No i właśnie wtedy, gdy czekał na placu koło filharmonii, zauważył Lońkę Wieszniaka. Chciał podejść, nawet ruszył w jego stronę, ale Lońka się odwrócił i znikł w zaułku. Nie było sensu za nim gonić, z filharmonii wysypał się już tłum ludzi, więc Paweł bał się, że przeoczy ciocię.

Chodziło o koncert, na którym była też Koriagina. A w drodze do domu została zabita. W tym czasie Lonia Wieszniak kręcił się gdzieś niedaleko... Wszystkie elementy układanki pasowały jak ulał. Co prawda zeznania Szyriajewa były jedynym ważkim dowodem ewentualnego udziału Wieszniaka w zabójstwie, pozostałe rzeczy – korespondencja Rity z Koriaginą oraz brudnopis testamentu – stanowiły jedynie poszlaki, ale Ilja nie miał wątpliwości: Wieszniak puści farbę na pierwszym poważnym przesłuchaniu, a gdy się przyzna, reszta to kwestia techniki.

Wtoruszyn postanowił zanocować u babci. Jutro rano do Kostrowska przyjedzie Fiedułow i razem zatrzymają Wieszniaka, dostarczą go na komisariat, a tam już zadecydują, co z nim zrobić. Jutro śledczy powinien wrócić ze zwolnienia i Dimka pobiegnie do niego z samego rana, żeby wszczął postępowanie przygotowawcze i wydał postanowienie o przeprowadzeniu czynności procesowych. A tymczasem nic nie stoi na przeszkodzie, żeby Ilja spędził miły i spokojny wieczór z najbliższą i najlepszą osobą na świecie – z

Rimmulą, która go wysłucha, pocieszy, podniesie na duchu i nakarmi. Ach, gdyby mu się udało spotkać taką kobietę jak Rimma Pietrowna, ożeniłby się z nią bez wahania.

*

Tego dnia, gdy Fiedułow i Wtoruszyn mieli zatrzymać w Kostrowsku Leonida Wieszniaka, Nastia postanowiła zrobić sobie wolne. W końcu teraz nic już od niej nie zależy.

– Anastazjo Pawłowno – powiedział jej przez telefon Fiedułow – dostałem od śledczego postanowienie o oględzinach mieszkania Pawłowej, ale będzie pani musiała zaczekać, aż wrócę z Kostrowska. Weźmiemy świadków i zrobimy wszystko jak należy, żeby później nikt się nie czepiał.

– Dobrze – odparła Nastia z westchnieniem. – Zaczekam.

– Niech mi pani życzy powodzenia – poprosił Dmitrij.

Nastia życzyła powodzenia również sobie. Jeżeli Wieszniak się przyzna, zdobycie przyznania się do winy Rity Nieczajenko nie sprawi większego problemu, a wtedy sprawę zabójstwa Galiny Iljiczny Koriaginy będzie można z czystym sumieniem zamknąć. Pozostaje Pawłowa. Kto panią zabił, Aido Borisowno? Od czego należałoby zacząć? Nastia miała ogromną nadzieję, że oględziny mieszkania Pawłowej dadzą jakiś punkt zaczepienia, ale wyglądało na to, że będzie musiała czekać przynajmniej do jutra.

Poszła na spacer z Kumpelką, później wróciła z nią do

apartamentu, długo i nieśpiesznie piła kawę, napisała rzetelny i szczegółowy raport dla Stasowa oraz serdeczny i czuły list do męża. Ale wciąż było jeszcze wcześnie, nawet nie nadeszła pora obiadu. Ciekawe, dlaczego człowiekowi wciąż brakuje czasu, gdy pracuje, a gdy na coś czeka, wydaje mu się, że ma go za dużo?

Zadzwoił Czistiakow, który przeczytał list.

– Aśka, czy ty tam czasem się nie zadurzyłaś? Nie poznaję cię. Napisałaś tkliwy list, zajęłaś się fotografowaniem. Co ci jest?

– A jak moje zdjęcia? – zapytała, zamiast odpowiedzieć na pytanie.

– Podobają ci się?

– Ładne. Zwłaszcza psa. Mam nadzieję, że nie przywieziesz go do domu? Zająłby nam pół mieszkania, jest przecież ogromny.

– Nie przywiozę. Ale się z nim zaprzyjaźniłam. Spacerujemy, podjadamy coś razem, odwiedza mnie też w apartamencie i wysłuchuje mojego narzekania. A nawet pociesza, jak może.

– Chyba zamiast mnie? – mruknął Aleksiej. – W Moskwie ja się tym wszystkim zajmuję. Znalazłaś godnego zastępcę.

– Ale o zdjęcia pytałam poważnie, Losza. Jak sądzisz, mam smykałkę do fotografii?

– Bez dwóch zdań. Czyżbyś się zastanawiała nad zmianą zawodu?

– Nie, obmyślam sobie zajęcie na wypadek, gdybym nie mogła dłużej pracować.

– Aha – stwierdził. – W takim razie w porządku. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że zamiast pracować, mogłabyś zwyczajnie pobyć żoną, ale to się nie sprawdziło. No więc niech będzie fotografia. Kupię

ci w prezencie profesjonalny aparat, chcesz?

– Dziękuję, Loszka! – Nastia się ucieszyła. – Przydałby mi się też jakiś podręcznik dla początkujących. Może powinnam zapisać się również na kurs fotografii.

– Poszukam czegoś – obiecał Czistiakow. – Jeśli będziesz chciała napisać jeszcze jeden miłosny list, nie mam nic przeciwko temu. Przysyłaj też zdjęcia, jestem ciekaw, czym się tam zajmujesz.

Po rozmowie z mężem Nastia dostała dreszczy i uświadomiła sobie, że przez cały czas próbowała odsunąć od siebie jedną jedyną myśl: a nuż się pomyliła i Wieszniak oraz jego kochanka Nieczajenko nie mają nic wspólnego ze śmiercią Galiny Iljiczynej? Tak, to pewne, że Leonid wysyłał ze swojego komputera listy do Koriaginy, podszywając się pod Ritę, nie ma też żadnych wątpliwości, że to on, a nie Rita, był autorem listów, ponieważ nie przyprowadzał Rity do swojego mieszkania – tak w każdym razie powiedział Starkow, a jemu można wierzyć. No i czego to dowodzi? Tylko tego, że Lonieczka i Ritoczka chcieli wkraść się w zaufanie Galiny Iljiczynej. Załóżmy, że im się udało, i to tak, że Galina Iljiczyzna zaproponowała Ricie, żeby się do niej wprowadziła. I co dalej? Jaki to ma związek z zabójstwem? Owszem, Koriagina napisała projekt testamentu na korzyść lokatorki. I co z tego? Testament nie jest prawomocny, notariusz go nie widział. To możliwe, że Lonieczka i Ritoczka usiłowali skłonić Koriaginę do napisania nowego testamentu, tyle że nic nie osiągnęli, po co więc mieli ją zabijać? To, że oszukała Ritę w kwestii nowego testamentu, stanowi jedynie domysł, na razie niczym niepotwierdzony.

Nastia spróbowała wyobrazić sobie jasnowłosego eleganckiego Wieszniaka w roli zabójcy. Próba się nie powiodła. Wyszło nieprzekonująco. W tej samej chwili przypomniała sobie jego napakowane mięśnie, grację drapieznika i swoje wrażenie, że gdyby miał się na kogoś rzucić, nie skoczyłby do gardła, lecz zaatakował z tyłu. A jednak można sobie wyobrazić, jak napada na starszą kobietę i dusi ją szalem, stojąc za jej plecami. Ale obraz stworzony w myślach nie stanowi dowodu w sprawie...

No i dlaczego nikt nie dzwoni?

Nastia odprowadziła Kumpelkę do schroniska, poszła na obiad i nie uspokoił jej nawet telefon od Starkowa z informacją, że żadna Rita Nieczajenko nigdy nie pracowała w salonie Tatiany Koriaginy. No dobrze, oboje nakłámali w listach, jakoby podła Tatiana złamała życie Ricie, i co dalej? Od kłamstwa w mailach do zabójstwa droga daleka. Wprawdzie jest jeszcze przyjazd Wieszniaka do Tomilina, o czym mężczyzna nie wiedzieć czemu nie wspomina, ale to też można wytłumaczyć na tysiące sposobów, używając argumentacji niezwiązanej z zabójstwem. Na przykład Wieszniak się nie przyznaje, bo był w Tomilinie u swojej kochanki Rity Nieczajenko i nie chce, żeby wiadomość o jego zdradzie dotarła do Tatiany, która natychmiast zakręci mu kurek z pieniędzmi.

Nastia coraz bardziej się denerwowała, zupełnie zapominając, że nie pracuje już na Pietrowce i nikt nie będzie robił jej wyrzutów z powodu błędu. O odpoczynku nie było już mowy, musiała zabić jakiś czas i zapanować nad nerwami. Poszła więc do sali komputerowej,

żeby poobserwować gości, którzy pisali maile, surfowali po Internecie albo grali w gry. Po sali przechadzał się Kostia Jeremiejew i jeszcze jeden informatyk. Nastia ukradkiem obserwowała Kostię, przymierzając go do roli zabójcy. A może naprawdę jest obłąkany? Może w Tomilinie zagnieździł się szaleniec, który zabija starsze panie, a wstrętnei faceci, którzy chcą zmusić Biegorskiego do zamknięcia klubu i sprzedania dworu, wykorzystali sytuację do swoich celów. Jeszcze wczoraj Nastia była przekonana, że tę hipotezę można odrzucić, ponieważ Galiny Iljiczny Koriaginy z pewnością nie zabił szaleniec, jednakże dzisiaj zaczęła powątpiewać w swoje wnioski. A jeśli się pomyliła i szaleniec jednak istnieje?

W środkowej części sali siedziało małżeństwo Putilinów, Kostia często do nich podchodził, a oni wciąż zwracali się do niego z jakimiś pytaniami. Jeremiejew zatrzymywał się, nachylał i cichym szeptem, żeby nikomu nie przeszkadzać, wyjaśniał coś i pokazywał. Na twarzach całej trójki malowały się łagodność i tkliwość pomieszane z lękiem, a nawet napięciem. Nie, między Putilinami a Jeremiejewem wyraźnie coś się dzieje. Ciekawe co? I czy to ma związek z zabójstwem?

Nastia ledwie wytrzymała do kolacji, szybko zjadła, co jej podano, po czym ruszyła do schroniska. Będę spacerować z Kumpelką, póki ktoś nie zadzwoni, postanowiła w duchu, przypinając smycz do obroży. Choćbym miała zamienić się w sopel lodu, nie przestanę chodzić, póki nie skończy się ta przekłeta niepewność. Siedzieć już nie mogę, leżeć tym bardziej, pozostaje tylko chodzenie.

Ambitne zamiary wystarczyły jednak nie na długo, pod wieczór temperatura gwałtownie spadła i chociaż nogi w „traktorach” teraz już Nasti nie marzły, twarz tak jej zdrętwiała z zimna, że się poddała i wróciła do apartamentu. Kumpelkę zabrała oczywiście ze sobą, bo gdy z nią rozmawiała, niepokój nieco ustępował, a przecież nie będzie mówiła do siebie. To zakrawałoby już na schizofrenię. Wprawdzie pies to nie człowiek, ale zawsze to żywa istota.

W apartamencie Nastia przebrała się w dres, wciągnęła ciepłe skarpety, zawinęła w pled, włączyła telewizor i zaczęła głośno komentować to, co się działo na ekranie. Nadawano jakiś tasiemcowy serial nakręcony za niewielkie pieniądze. Wymyślone na poczekaniu zajęcie pomogło Nasti i ją wciągnęło. Opowiadając o tym, co widziała i słyszała, zauważyła, że jej relacja to stek bzdur, co tylko dobitnie potwierdziło, że scenariusz filmu jest kiepski, a jego realizacja słaba i tandetna.

Serial się skończył, zaczął się talk show, jego uczestnicy krzyczeli, przerywając sobie wzajemnie, więc nie można było ustalić, kto jakie ma stanowisko. Nastia przełączyła kanał i trafiła na wyścigi narciarskie. Były to chyba mistrzostwa świata, a może coś innego...

– Pokibicujmy naszym – zaproponowała Kumpelce.

Pies pomachał ogonem na znak zgody. Nastia sumiennie przekazywała mu wyniki, które co chwila pojawiały się w rogu ekranu, i informowała go, jaką pozycję zajmują rosyjscy narciarze oraz ile mają sekund straty do liderów. Tak ją to pochłonęło, że mimo woli zaczęła się denerwować, zwłaszcza gdy kilometr przed metą dwaj

rosyjscy sportowcy zaczęli doganiać oczywistych faworytów. Pojawiła się nadzieja na medalowe miejsca, więc Nastia podbiegła do ekranu.

– No dalej, kochany, dalej, wytrzymaj jeszcze trochę, dasz radę, masz jeszcze siły, dalej!

Pies stanął obok niej, zadarł łeb do góry i zaczął cicho popiskiwać.

– Udało się! – zawołała Nastia z radością, gdy narciarz, któremu kibicowała, ukończył wyścig jako drugi i zdobył srebro. – Hura! Zwyciężyliśmy, Kumpelko!

Pies oparł przednie łapy o jej pierś i polizał ją po twarzy.

A później zadzwonił Fiedułow. Głos miał zmęczony i poirytowany.

– Piszą przyznanie się do winy – oznajmił. – Zaraz skończą i wtedy odstawimy ich do Tomilina.

– A więc przyznali się oboje? – Nastia odetchnęła z ulgą.

– Nie mieli wyjścia.

– Obejrzymy jutro mieszkanie Pawłowej?

– No... – W głosie Fiedułowa pojawiło się niezadowolenie. – Obejrzymy, jeśli się pani nie rozmyśliła.

Czemu miałyby się rozmyślić? Postanowiła nie zwracać uwagi na rozdrażnienie wywiadowcy, bo nie wiadomo, dlaczego był w złym humorze. Może jest zmęczony, a może go coś boli, to się też zdarza.

Nastia miała powód do radości. Ale jej nie czuła. Podobnie jak zmęczenia czy satysfakcji. Nie czuła po prostu nic. To pewnie ze stresu, pomyślała, wychodząc z psem z domu. To nic, zaraz odprowadzę Kumpelkę do schroniska, wrócę do siebie, wezmę gorący prysznic i się położę. Rano wszystko minie jak ręką odjął.

ROZDZIAŁ 12

Mieszkanie Aidy Borisowny Pawłowej było nieduże, jednopokojowe, ale z przestronną, jasną kuchnią i dużym balkonem. Świadkowie – młodzi małżonkowie z sąsiedniego mieszkania – siedzieli na kanapie, nieśmiało do siebie przytuleni, a Fiedułow oraz towarzyszący mu dzielnicowy ulokowali się w kuchni i z ożywieniem omawiali zmiany kadrowe w tutejszym komisariacie. Nastia od razu włączyła komputer, bo była pewna, że zaraz znajdzie coś bardzo ważnego i ciekawego. Czeką ją jednak rozczarowanie.

Korespondencja Aidy Borisowny była obszerna, kobieta wymieniała maile nie tylko z bratem mieszkającym w Kanadzie, z synem i jego rodziną, ale też z miłośnikami gotowania, hodowcami kwiatów, aktorami teatru amatorskiego ze stolicy obwodu, a nawet z osobami przygarniającymi bezdomne zwierzęta. Nastia szybko przejrzała listy i oczywiście niczego nie znalazła: ani skarg na pogróżki, ani samych pogróżek.

W osobnej teczce Aida Borisowna przechowywała bajki – zarówno te, które weszły w skład zbioru leżącego w pokoju Nasti, jak i późniejsze. Ostatnia bajka była niedokończona, a właściwie ledwie rozpoczęta, i zawierała komentarze Pawłowej. Nastia zwróciła uwagę na datę utworzenia pliku – 18 września, cztery dni przed śmiercią.

Trzeba uważnie przeczytać, może w bajce znalazła się aluzja do osobistych przeżyć autorki?

BAJKA O ŻÓŁWIKACH I PTASZKU

Dawno, dawno temu żyły w lasach Amazonii dwa żółwie, mąż i żona. Pewnego dnia żona złożyła jajo, zakopała je w ciepłym piasku i zaczęła czekać, aż z jaja wykluje się żółwik. Ale w tamtej okolicy mieszkał zły i wiecznie głodny krokodyl, który znalazł schowane jajo, ukradł je i zjadł. Oba żółwie, mąż i żona, bardzo się smuciły, bo gorąco pragnęły małego żółwika!

Któregoś dnia mąż znalazł w trawie gniazdo, które spadło z drzewa, a w nim jajo. Bardzo się ucieszył, przyniósł je do domu i powiedział żonie:

– Zakop to jajo, zaczekamy, aż wykluje się z niego młode. Wychowamy je jak własne dziecko. Będziemy je kochać, troszczyć się o nie, karmić, rozpieszczać, uczyć, jak skubać trawę, pełzać i chować główkę pod pancerz.

Żona również się ucieszyła i zakopała jajo. Oboje starannie przygotowywali się do chwili, gdy z jaja wykluje się młode, które uczynią swoim żółwikiem.

(Opisać w paru zdaniach przygotowania żółwi: co robiły, jak zabezpieczały miejsce, żeby krokodyl znowu nie ukradł jaja itd.).

Wreszcie nadszedł uroczysty dzień: z jaja wykuło się małe zabawne pisklę ze skrzydełkami i ostrym dziobkiem. Mąż i żona

wzruszyli się, pisklę wydało im się piękne i urocze, choć wcale nie przypominało żółwika. Ale zewnętrzne podobieństwo się dla nich nie liczyło. Najważniejsze było to, że pisklę z nimi pozostanie, będzie żywiło się tym co oni, poruszało tak jak oni, żyło życiem, którym oni żyją. Zrobią z niego wspaniałego żółwika, mimo że różni się od nich wyglądem.

(Opisać, jak żółwie wychowywały ptaszka, jak uczyły go skubać trawę, pełzać po ziemi i wciągać głowę).

Ptaszek urósł i zapragnął śpiewać, latać oraz jeść robaczki i muszki, a nie trawę.

(Podać przykłady jego nieposłuszeństwa i zachowania, którego żółwie nie rozumieją i nie akceptują. Przejrzeć literaturę albo skontaktować się przez Internet ze specjalistami, którzy mogą udzielić konsultacji w sprawie zachowania żółwi).

A wtedy mąż i żona powiedzieli:

– Nie jesteś tacy jak my, jesteś zły. Sądziliśmy, że zastąpisz nam naszego żółwika, którego zjadł krokodyl, ale ty nie spełniłeś naszych oczekiwań i nie stałeś się taki, jakiego pragnęliśmy. Musisz od nas odejść. Nie chcemy już, żebyśmy nadal byli rodziną...

Nastia przeczytała szkic parę razy. Nie, nic tutaj nie ma, żadnych aluzji do pogroźek albo wieści z odległej przeszłości czy niespodziewanego spotkania. Rozwiały się nadzieje, które pokładała w komputerze Aidy Borisowny.

Ale skoro już tutaj jest, obejrzy wszystko, postara się poczuć atmosferę, która otaczała zmarłą właścicielkę mieszkania, i spróbuje choć trochę zrozumieć tę kobietę. Na początek postanowiła przejrzeć półki z książkami. Bardzo dużo profesjonalnej literatury – komentarze do kodeksów postępowania karnego i karno-procesowego, zarówno starych, jak i nowych, które zaczęły obowiązywać w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, grube zbiory uchwał Plenum Sądu Najwyższego ZSRR i Federacji Rosyjskiej, *Poradnik śledczego*, monografie dotyczące kryminalistyki, roczniki „Praktyki Śledczej”. Nastia uśmiechnęła się mimo woli: te same publikacje stoją u niej na półkach.

Książki subskrybowane, też znajome z dzieciństwa, jeszcze z mieszkania rodziców – Stendhal, Maupassant, Szekspir, Ibsen, Romain Rolland, Balzak, Tołstoj, Dostojewski, Wieriesajew, Błok. Osobno stały kryminały, całe serie, a także wybrane egzemplarze. Nie było ich dużo w porównaniu z pozostałą literaturą, ale Nastia zwróciła uwagę na pełne wydanie utworów Agathy Christie. Powieści o Herkulesie Poirot stały z prawej strony i pachniały nowością, a utwory, których główną bohaterką była panna Marple, znajdowały się po lewej stronie i wyglądały na bardzo zaczytane – miały zniszczone grzbiety. Czyżby Aida Borisowna żywiła do nich słabość i czytała je wciąż na nowo? A powieści o Herkulesie Poirot chyba jej się nie podobały... Dlaczego? Ona, śledcza na emeryturze, czuła się jak owa przenikliwa staruszka, które rozwiązywała zawiłe zagadki kryminalne? Może tutaj kryje się rozwiązanie tajemnicy jej zabójstwa?

W drzwiach pojawił się Fiedułow.

– Długo jeszcze?

Nastia odniosła wrażenie, że w jego głosie pobrzmiwa niezadowolenie i rozdrażnienie.

– Nie wiem – odparła oględnie. – Zatrzymuję pana?

– Nie – odburknął Dmitrij. – Zajrzała pani do komputera?

– Zajrzałam. Nic tam nie ma.

– No to wszystko jasne. Czego pani jeszcze szuka?

– Czegokolwiek. Chcę albo coś znaleźć, albo się przekonać, że nic tutaj nie ma. Czemu zachowuje się pan jak dziecko, Dima? Nigdy nie brał pan udziału w oględzinach mieszkania? Nie rozumie pan, ile z tym roboty?

– No to może pani pomogę? – zaproponował niechętnie.

– Nie trzeba, poradzę sobie.

Nastia rozgniewała się nie na żarty, ale usiłowała zachować zimną krew i być uprzejma. W końcu to leży nie tylko w jej interesie, ale też w jego, bo przecież razem z Wtoruszynem nie rozwiązali sprawy dwóch zabójstw. Zresztą teraz już tylko jednego.

Nasti wydało się również, że czuje od Dmitrija zapach alkoholu. A przecież gdy weszli do mieszkania, nic nie czuła. Wygląda więc na to, że razem z dzielnicowym miło zabawiali się w kuchni, opróżniając zapasy nieżyjącej właścicielki. Jak mawiał dawny kolega Nasti, Sieriożka Zarubin: Oj, nie wypada, to nieładnie. Nie wypada spożywać alkoholu w czasie pracy. I nieładnie jest okradać ofiary, to już pachnie szabrem.

Nastia uznała jednak, że nie będzie teraz o tym myśleć, i zabrała się do książek Agaty Christie. Musi je przejrzeć, bo przecież skoro Aida Borisowna tak często do nich zaglądała, mogą się tam znaleźć jakieś interesujące karteczki, które wykorzystywała jako zakładki. List, notatka, widokówka, wydruk z Internetu, paragon ze sklepu.... W praktyce zawodowej Nasti zdarzały się takie przypadki, i to dość często. Poza tym w książkach trafiają się czasem odręczne notatki na marginesach, można się wtedy domyślić, która myśl albo słowo zwróciły uwagę czytelnika, dzięki temu można lepiej zrozumieć człowieka, którego już nie ma na świecie i którego już o nic się nie zapyta.

Nastia wyjęła na chybił trafił książkę z serii o pannie Marple i zaczęła ją kartkować. Chyba niezbyt troskliwie obchodzono się z nią podczas czytania, bo na niektórych stronach widniały tłuste plamy, a rogi były pozaginane. Czyżby Aidzie Borisownie obce były elementarne zasady obchodzenia się z książkami? To mało prawdopodobne, zwłaszcza jeśli opierać się na tym, co o niej opowiadano. To nie ona, przemknęło Nasti przez myśl. Pawłowa pożyczała komuś książki. To ktoś nie najlepiej wychowany i wykształcony, ale bardzo lubi opowieści o upartej i sprytniej staruszce. Trzeba koniecznie dowiedzieć się, kim jest ta osoba. To jakiś kontakt Pawłowej, który umknął uwadze milicji. Może ukrywa coś istotnego.

Nastia odłożyła książkę na miejsce i sięgnęła po następną. Później wzięła jeszcze jedną. I nagle z kolejnej powieści wypadła zakładka – pół kartki w kratkę wyrwanej z zeszytu uczniowskiego, na której ktoś

wykaligrafował starannie ołówkiem: „Polina Sołodko”, a pod spodem kilka razy nieporadnie się podpisał. Każdy podpis był inny, widocznie owa osoba dopiero przymierzała się do dorosłości. To zupełnie oczywiste, że jakaś dziewczynka, czytając kryminał o pannie Marple, zabrała się do ćwiczenia własnego podpisu. Pewnie w powieści była mowa o podobieństwie albo różnicy jakichś podpisów i to skłoniło młodą czytelniczkę do wypróbowania swoich sił w podpisywaniu się.

Nastia wyjęła z torby notes i go przekartkowała. Nie, nazwisko Sołodko nie pojawiło się w materiałach sprawy, nie było go też na liście dzieci z domu dziecka, które przyjaźniły się z Aidą Borisowną. Może Nastia nie poznała wszystkich podopiecznych Pawłowej? W pokoju mogły znaleźć się tylko te dzieci, który były pod ręką, może Polina Sołodko leżała chora w izolatce albo została dłużej w szkole, albo z jakiegoś powodu odmówiła udziału w spotkaniu z „ciocią z Moskwy”...

Kamieńska zerknęła na sąsiadów Pawłowej siedzących bez ruchu na kanapie. Czemu nie? Niezła myśl. Może to właśnie oni są rodziną Poliny?

– Czy mówi coś państwu nazwisko Sołodko? – zapytała młode małżeństwo.

Oboje zgodnie pokręcili głowami.

– Nie, nic. A kto to taki?

– Nie mam pojęcia – z westchnieniem przyznała Nastia. – Pomyślałam, że może chodzi o którąś sąsiadkę. A nie słyszeliście państwo o dziewczynce, która ma na imię Polina?

– Nie – powtórzyli znowu – nie słyszeliśmy. Znamy tu niewiele osób, przeprowadziliśmy się trzy miesiące temu, niech pani lepiej zapyta dzielnicowego.

– Na pewno zapytam.

Nastia nie miała jednak ochoty na rozmowę z dzielnicowym, czuła wstręt do mężczyzny, który w tej chwili degustował w kuchni wódkę nieżyjącej Pawłowej. Z tego samego powodu nie chciała rozmawiać z Fiedułowem. Wyjęła telefon i zadzwoniła do Wtoruszyna.

– Ilja, czy przypadkiem nie obilo się panu o uszy nazwisko Sołodko?

– zapytała niemal szeptem, żeby nie usłyszano jej w kuchni.

– Nie – odparł Wtoruszyn z lekkim zdziwieniem. – A gdzie pani na nie natrafiła?

– W mieszkaniu Pawłowej. To musi być raczej dziewczynka w wieku szkolnym, a nie dorosła kobieta. Polina Sołodko. Może chodzi do szkoły, w której Pawłowa wygłaszała pogadanki o bezpieczeństwie?

– Zaraz zobaczę.

Nastia usłyszała brzęk kluczy uderzających o metalowe drzwi sejfu: Wtoruszyn wyjmował swoje notatki. Później rozległ się szelest kartek.

– Nie – odezwał się znowu w słuchawce jego aksamitny baryton – nie mam takiego nazwiska w swoich rejestrach. Aida Borisowna spotykała się z całymi klasami, nie utrzymywała prywatnych kontaktów z uczniami, specjalnie to sprawdzałem na początku dochodzenia.

– Tutaj też fiasko... Ale przecież Polina Sołodko nie wzięła się znikąd. Może mieszkała kiedyś w domu dziecka, a teraz ją

adoptowano, więc jej tam nie ma? Albo dorosła i się usamodzielniała? A może nie żyje? Któż to wie?

Nastia spędziła w mieszkaniu Pawłowej jeszcze dwie godziny, przejrzała resztę książek, później poszperała na półce z płytami i zauważyła parę różnych nagrań *Aidy* Verdiego. Nic dziwnego, uśmiechnęła się w duchu, z takim imieniem trudno nie interesować się wielkimi dziełami operowymi. Nic innego nie przyciągnęło jej uwagi.

*

Dyrektorka domu dziecka przywitała Nastię niespodziewanie serdecznie, widocznie była w dobrym humorze.

– Polina Sołodko? – zapytała. – Pierwszy raz słyszę.

– To znaczy, że wśród waszych dzieci na pewno nie ma takiej dziewczynki? – uściśliła Nastia.

– Na sto procent – zdecydowanie odparła dyrektorka.

– A może była wcześniej?

– Kiedy wcześniej, kochana? Zawiaduję domem dziecka od osiemnastu lat. I przez te lata nigdy nie mieliśmy do czynienia z Poliną Sołodko. W ogóle żadnej Poliny tu nie było. To rzadkie imię, dzisiaj niemodne. Ale jeśli nie ufa pani mojej pamięci, sprawdźmy razem, wszystkie wykazy zostały przekazane do archiwum, przechowuję jednak ich kopie oraz zdjęcia wychowanków. W swoim prywatnym archiwum mam wszystko.

Obie przejrzały listy wychowanków z ostatnich osiemnastu lat. Polina Sołodko rzeczywiście na nich nie figurowała. Nie było sensu szukać dziewczynki wśród dzieci przebywających w domu dziecka przed rokiem dziewięćdziesiątym drugim, to znaczy przed przyjściem obecnej dyrektorki, bo książki Agaty Christie, które stały na półkach Aidy Borisowny, ukazały się po 2000 roku, a czytanie ich, zanim zostały wydane, było raczej niemożliwe.

Nastia zazwyczaj podejrzewała wszystkich bez wyjątku, więc na wszelki wypadek ubezpieczyła się i poprosiła dyrektorkę, żeby jeszcze raz zebrała dzieci z „grupy Pawłowej” pod pretekstem, że pojawiły się jakieś dodatkowe pytania dotyczące Aidy Borisowny. Może dyrektorka ukrywa jakieś informacje o Polinie? Z różnych względów. A nuż właśnie tutaj znajduje się rozwiązanie zagadki śmierci Pawłowej, kobieta wie o tym i osłania przestępcę? Tego nie można wykluczyć.

Jednakże dzieci, które zwołano, nigdy nie słyszały o Polinie Sołodko. Nastia uważnie zaglądała im w oczy, zwracała uwagę na mimikę, wsłuchiwała się w brzmienie głosów, ale nic nie stwierdziła. Żadnych oznak, że dzieci o czymś wiedzą i milczą.

Żeby niczego nie przeoczyć, należy też sprawdzić rzetelność Wtoruszyna. Facet gotów jest dać sobie głowę uciąć, że Polina Sołodko nie ma nic wspólnego ze szkołą, w której Pawłowa spotykała się z uczniami, ale kto wie, ile warte są jego zapewnienia. Trzeba szybko wymyślić jakiś wiarygodny powód zainteresowania Aidą Borisowną i jej znajomościami. W domu dziecka Nastia podała się za dziennikarkę i powiedziała, że zbiera informacje za zgodą milicji. Może powinna

użyć w szkole tego samego wybiegu? Czemu nie? Co prawda dyrektorka uwierzyła jej na słowo, a jeśli w szkole nie uwierzą i zadzwonią do Wtoruszyna, facet od razu się połapie, że Nastia go sprawdza. Sytuacja będzie niezręczna. Chociaż to raczej wątpliwe, żeby nauczyciele zadzwonili akurat do Ilji, pewnie nie mają nawet jego numeru. Jeżeli kompetencje Nasti wydadzą im się niewiarygodne, będą woleli zadzwonić do komendanta. A Wtoruszyn o niczym się nie dowie.

W szkole wszystko poszło jeszcze prościej niż w domu dziecka, nikt się nie zdziwił na widok Nasti, jakby to było całkiem normalne, że niemal codziennie w murach szkoły zjawiają się dziennikarze z Moskwy, w dodatku po to, żeby zebrać materiał do kolejnej hipotezy dotyczącej zabójstwa byłej śledczej. Nastia poprosiła o spotkanie z wychowawcami klas, w których Aida Borisowna wygłaszała pogadanki. Wszyscy jednogłośnie stwierdzili, że Polina Sołodko nigdy nie uczyła się w ich klasach.

Skąd w życiu Aidy Borisowny Pawłowej wzięła się tajemnicza dziewczynka o imieniu Polina? W poczcie Pawłowej nie było żadnych listów ani do Poliny Sołodko, ani od niej. Może ktoś znalazł przypadkiem tamtą kartkę i włożył ją do książki, którą pożyczył od Pawłowej. Pewnie właśnie tak było. Ale dla pewności trzeba sprawdzić wszystko do końca.

Nastia umierała z głodu, od śniadania, które zjadła koło jedenastej, nie miała nic w ustach, a teraz była już siódma. Wpadła więc do pierwszej lepszej kawiarni, wypila dwie filiżanki lurowatej kawy,

zjadła dwa kawałki zbyt słodkiego, mdlącego tortu i ruszyła tam, gdzie była rano – do domu Aidy Borisowny. Lokatorzy wracają już z pracy, warto przejść się po mieszkaniach i popytać, kto z sąsiadów pożyczał książki Agaty Christie od Pawłowej i kim jest Polina Sołodko.

Dom był względnie nowy, wielopiętrowy, ale na szczęście miał tylko jedną klatkę schodową. Trzy godziny później Nastia opuściła go, powłócząc nogami ze zmęczenia, i wsiadła do samochodu.

Porażka. Po-raz-ka. Nie mieszkała tutaj żadna Polina Sołodko, jej nazwisko nikomu nic nie mówiło. Sąsiedzi bardzo ciepło wspominali Aidę Borisownę, mówili, że jej pasją było gotowanie, zbierała przepisy, prowadziła obszerną korespondencję ze znawcami sztuki kulinarnej, wciąż pitrasiała nowe potrawy i zapraszała sąsiadów na degustację, a gdy chwalili danie, dzieliła się przepisem. Książki też chętnie pożyczała, miała duży i ciekawy zbiór, więc wiele osób z niego korzystało. Ale nikt nie pożyczał powieści Agaty Christie, po książki przychodzili przeważnie ludzie starsi, emeryci, których nie stać było na kupno, a do biblioteki mieli daleko, i prosili o wypróbowaną rosyjską i radziecką literaturę: *Wieczny zew* Iwanowa, *Rzekę posepną* Szyszkowa, powieści Wieniamina Kawierina i Jurija Bondariewa, pamiętniki marszałka Żukowa oraz inne podobne tytuły.

W drodze do domu Nastia zastanawiała się, kogo poprosić o odszukanie nieuchwytniej Poliny. Fiedułowa? Ale po porannej wizycie w mieszkaniu Pawłowej nie potrafiła pozbyć się niechęci do niego. Chyba postradałaś rozum, przekonywała się w duchu. Co niby się stało? Myślałby kto, milicjant strzelił sobie kielicha w pracy. Nigdy się

z tym nie spotykałaś? Owszem, spotykałaś, i to na każdym kroku. Nawet twój najlepszy przyjaciel Jurka Korotkow – on też sobie pozwalał, a ty nie traktowałaś go gorzej z tego powodu. To znaczy, że Korotkowowi wolno, a Fiedułowowi nie? Wszyscy milicjanci piją na służbie, to żadna nowość, tak zawsze było, jest i będzie. Co cię napadło? Jednakże argumenty nie pomagały. Nastia nie miała ochoty zwracać się do Fiedułowa. Doszła do wniosku, że chyba szybko się starzeje, robi apodyktyczna i nietolerancyjna. Niedobrze. A więc pozostaje Wtoruszyn, do którego też nie pała sympatią. Trudno, wybiorę mniejsze zło, uznała i wystukała numer Ilji.

Ten długo nie mógł pojąć, po co Nasti jakaś nieznana dziewczynka, która z uwagi na wiek nie może mieć nic wspólnego z zabójstwem Pawłowej.

– Nie może – przyznała Nastia. – Ale pewnie ma rodziców. Albo starsze rodzeństwo. Tak czy inaczej, to niesprawdzony kontakt Pawłowej. Ilja, musimy rozwiązać sprawę zabójstwa, nie chodzi o zaspokojenie ciekawości. Mamy obowiązek sprawdzić wszystko od a do zet.

– No dobrze – odparł Wtoruszyn z westchnieniem. – Znajdę pani tę dziewczynkę, skoro tak panią przypiliło. Tylko nie obiecuję, że od razu. Zajmę się tym, gdy będę miał czas.

Po powrocie do posiadłości Nastia nie miała już siły, żeby wyprowadzić Kumpelkę. Rozebrała się i padła jak nieżywa na łóżko.

ROZDZIAŁ 13

Ranek był pochmurny i posepny jak nastrój w czasie pogrzebu. Nastia parę razy podnosiła głowę z poduszki i próbowała wstać, ale szybko zrezygnowała z tego niefortunnego pomysłu i postanowiła spać, jak długo się da. Tyle że szybko miała dosyć i o wpół do dziesiątej jednak wstała. Biegorski wciąż jeszcze był w posiadłości, więc na horyzoncie majaczyło widmo owsianki na śniadanie. Nastia skrzywiła się na tę myśl i postanowiła nie iść do restauracji, wypić kawę w apartamencie, a później pojechać do miasta i zjeść niezdrowe śniadanie w jakimś barze. A co z Kumpelką?! – zreflektowała się. Pies czekał na ciebie przez cały wieczór, a ty go oszukałaś i nie przyszałaś. Dzisiaj też czeka od samego rana, jest smutny, bo nie wie, czy przestałaś go kochać, czy wyjechałaś bez pożegnania, czy umarłaś. Ale do restauracji w klubie i tak nie pójde, za nic. Wolę się pomęczyć z głodu jeszcze przez pół godziny.

Radość Kumpelki na widok Nasti była nie do opisanania. Pies machał ogonem, z impetem skakał na kraty boksu i wściekle ujadął, a w jego błyszczących ciemnych oczach malowały się miłość i podziw.

– Nawet nie mam dla ciebie żadnego przysmaku – powiedziała zawstydzona Nastia, zakładając mu obrozę i przypinając smycz. – Wczoraj nie zdążyłam nic kupić. Musisz mi wybaczyć.

Niczego nie potrzebuję! – mówiła mina psa. Tylko mnie odwiedzaj, nie zostawiaj i nie zapominaj, że na ciebie czekam!

Spacer okazał się prawdziwym wyzwaniem, dmuchał przenikliwy, wilgotny wiatr, od którego łzawiły oczy i drętwiała twarz, ale Nastia mężnie wytrzymała pół godziny, po czym ruszyła na poszukiwanie miejsca, w którym mogłaby zjeść przyzwoite śniadanie. Kierowca polecił jej małą kafejkę na rogu placu Majowego i ulicy Federacyjnej, tuż koło budynku merostwa, dwa kroki od komisariatu.

– Wszystko jest tam zawsze świeże, no i mają dobrych kucharzy – powiedział z miną znawcy. – Klientami są przecież urzędnicy z merostwa, prokuratorzy, sędziowie i gliniarze. Otwierają już o siódmej, bo goście, którzy pracują przez całą dobę, jedzą tam śniadanie.

Kafejka okazała się niespodziewanie sympatyczna, menu nie było bogate, ale urozmaicone. Prawie wszystkie stoliki były zajęte, ale Nasti udało się znaleźć zaciszne miejsce przy dużym oknie wychodzącym na plac. Niebawem już wiedziała, dlaczego taki, zdawałoby się, wygodny stolik nie cieszył się powodzeniem: od okna straszliwie wiało, więc musiała narzucić na ramiona kurtkę, a kolana przykryć szalikiem złożonym w kilkoro. Chwilę później z apetytem pochłaniała zapiekanekę twarogową z konfiturami, jadła chrupiące, ciepłe rogaliki, smarując je miodem, piła aromatyczną kawę i spoglądała na masywny budynek dawnego Domu Partii, obecnie filharmonii, tej samej, w której niecały rok temu odbywał się wieczór artystyczny popularnej aktorki. Po jej występie zabito Galinę

Iljinię Koriaginę. Gdzieś tutaj, po tym placu, przechadzał się Lonieczka Wieszniak, czekając, aż skończy się koncert. Pewnie się denerwował, bo musiał odszukać w tłumie mało znaną kobietę, którą widział najwyżej raz. Chyba nie posłużył się zdjęciem. Raczej przyjechał do Tomilina wcześniej i dzięki Ricie Nieczajenko obejrzał Koriaginę na żywo. Zresztą to nie ma już żadnego znaczenia... Stał gdzieś tutaj albo przechadzał się tam i z powrotem, możliwe, że siedział w tej kafejce na tym samym miejscu, na którym siedzi teraz Nastia i z którego tak dobrze widać wejście do filharmonii. Czekał i wiedział, że musi rozpoznać kobietę, pójść za nią na puste podwórze i zabić. W dodatku szybko i bez hałasu. Czy był na sto procent pewien, że potrafi to zrobić, że się nie zawaha? Jasnowłosy drapieznik, podobny do anioła, który atakuje z tyłu...

Nastia nie od razu się zorientowała, że ktoś puka w okno. Ocknęła się i zobaczyła, że na ulicy, tuż przed nią, stoi uśmiechnięty Ilja Wtoruszyn. Machnęła do niego przyjaźnie ręką, myśląc, że pewnie idzie do pracy, ale Ilja z jakiegoś powodu skinął jej głową i ruszył w stronę wejścia do kafejki.

– Dzień dobry. – Wyciągnął do niej dłoń o smukłych palcach. – A ja akurat miałem do pani dzwonić. Mogę się przysiąc?

– Oczywiście – odparła Nastia z uśmiechem. – Coś się stało?

– Znalazłem pani dziewczynkę. Zadanie okazało się niezwykle łatwe, wystarczyło parę telefonów. Polina Sołodko jest sierotą, ma trzynaście lat, mieszka u ciotki, która jest jej prawnym opiekunem. Proszę, oto adres. Ciotka nazywa się Nadieżda Andriejewna

Uszakowa, jest rozwiedziona, wychowuje dwójkę dzieci i córkę kuzynki, pracuje jako ekspedientka w supermarkecie. Dzisiaj ma drugą zmianę.

Ilja wyjął z torby znany już Nasti notes, przewertował go, znalazł właściwą stronę i z zadowoloną miną zakreślił kolejny punkt czerwonym długopisem.

– Bardzo dziękuję. – Nastia się ucieszyła. – Zaraz tam pojedę.

– Jestem pani potrzebny? Mam jechać z panią? – zapytał Wtoruszyn.

– Ależ nie, poradzę sobie, przecież to nic trudnego.

– Jest pani pewna? – Twarz Wtoruszyna przybrała zatroskany wyraz. – A nuż się pani nie myli i ktoś w tej rodzinie ma związek z zabójstwem?

– O czymś pan nie zapomniał, Ilja? – Nastia się uśmiechnęła. – W końcu nie jestem amatorką.

– Przepraszam – wybąkał, uśmiechając się ze skruchą. – Ale dobrze się pani zastanowiła? Na pewno nie jestem pani potrzebny?

– Na pewno, proszę się nie martwić – uspokoiła go.

Wtoruszyn wyszedł, a Nastia dopiła kawę i ruszyła pod pozostawiony przezeń adres.

*

Nadieżda Andriejewna Uszakowa była w domu i robiła pranie. Otworzyła drzwi z rękami po łokcie w mydlinach, w podwiniętych do

kolan starych spodniach dresowych i w czarnej koszulce z wymyślnym nadrukiem.

– Polinka jest w szkole – powiedziała zdziwiona. – Ale niebawem wróci. A jaką ma pani sprawę? Jest pani z opieki, tak? Znowu przeprowadzacie kontrolę?

– Nie, jestem dziennikarką z Moskwy, piszę o Aidzie Borisownie Pawłowej.

– Aha – Uszakowa z jakiegoś powodu poweselała – no to Polinka pani o niej opowie, bardzo się przyjaźniła z nieboszczką. Proszę do środka, może pani poczekać. Napije się pani herbaty?

Nastia nie miała chęci na herbatę, śniadanie było obfite i pożywne, ale przecież nie mogła zrezygnować z tak bezcennego źródła informacji jak rozmowa z Nadięzdą Andriejewną!

Usiadły w małej, ciasnej kuchni, w której nie sposób było swobodnie się poruszyć, nawet nieostrożny ruch łokciem mógł się okazać niebezpieczny: każdy wolny centymetr przestrzeni zajmowały naczynia, słoiki, torby i to, co nie mieściło się w pokojach.

Uszakowa wyznała, że Polina jest owocem wakacyjnego romansu jej kuzynki Kati, która urodziła dziewczynkę, gdy nie miała jeszcze dwiętnastu lat i z jakiegoś powodu była pewna, że gdy tylko powie ukochanemu o dziecku, ten natychmiast się z nią ożeni. Jej plan był następujący: urodzić, później pojechać do ojca Polinki, pokazać mu zdjęcie dziecka i wrócić triumfalnie do Tomilina już z obrączką na palcu.

– Wydaje się to nieco dziwne – zauważyła Nastia. – Czyżby

mężczyzna nic nie wiedział o ciąży?

– I tu jest właśnie pies pogrzebany! Katka poznała go w ośrodku wczasowym, facet pracował jako ratownik na plaży. Nie tylko nie znała jego adresu, ale też nie zapytała go o nazwisko, zakochała się po uszy i zupełnie straciła głowę, bez przerwy biegła do niego na plażę. A po powrocie do Tomilina okazało się, że jest w ciąży. Nie mogła ani do niego napisać, ani zadzwonić. No więc postanowiła, że najpierw urodzi dziecko, a później pojedzie do tamtego ośrodka i odszuka faceta.

– To rozsądne. – Nastia wzruszyła ramionami. – A co innego jej pozostało? Co się wydarzyło potem?

Jekatierina Sołodko zajmowała się córeczką, póki miała mleko, a po dwóch miesiącach, gdy je straciła, zostawiła Polinkę matce Aleksandrze Kiryłownie i pojechała szukać narzeczonego na plaży. Po czym przepadła jak kamień w wodę. Ani widu, ani słyhu. Pierwszy raz zadzwoniła parę miesięcy później, zapytała o Polinkę, a później oświadczyła, że nie znalazła jeszcze ojca dziewczynki, ale u niej wszystko w porządku, matka nie musi się o nią martwić. I się rozłączyła.

– Ciocia Szura nie mogła się doczekać, aż Katka wróci, ale ona tylko dzwoniła, w dodatku raz na trzy, cztery miesiące, a później oznajmiła, że wychodzi za mąż za jakiegoś bogatego faceta i wyjeżdża z nim do Surgutu czy Urengoju. Potem nie odzywała się przez cały rok. Ciocia Szura aż szerniała na twarzy ze zgrzyoty, ciągle się bała, że Katce przydarzyło się jakieś nieszczęście, w końcu zrozumiała, że córka podrzuciła jej dziecko i że będzie musiała sama wychowywać

Polinkę. Odczekała jeszcze rok, ale Katka wciąż się nie zjawiała, więc poszła do urzędników, żeby przyznali jej prawo do opieki nad Polinką. Odbyło się posiedzenie sądu, stwierdzono, że Katierina przepadła bez wieści, a ciocię Szurę zrobiono opiekunem. Ciocia Szura miała dobre serce, dbała o Polinkę, wcześniej nauczyła ją czytać i liczyć, wdrażała do samodzielności. A gdy Polinka miała osiem lat, ciocia Szura zmarła, wtedy przygarnęłam sierotę, chociaż nie mam męża i wychowuję dwójkę dzieci, ale gdzie dwoje, tam i troje, prawda? Nie oddam przecież dziewczynki do domu dziecka, w końcu to nasza krew. Chociaż oczywiście nie jest mi łatwo, no i ta ciasnota... – Nadieżda Andriejewna westchnęła. – A z Aidą Borisowną Polinka bardzo się przyjaźniła, często ją odwiedzała, pożyczała od niej książki i mówiła, że gdy dorośnie, zostanie śledczą jak babcia Aida, a babcia z kolei będzie kimś w rodzaju panny Marple. Bardzo jej się podobają książki o tej pannie Marple, czyta je na okrągło, nic innego nie bierze do rąk, oczywiście z wyjątkiem podręczników. Teraz, gdy Aida Borisowna nie żyje, Polinka nie może już od niej pożyczać książek, ale coś tam jej jeszcze zostało, więc sobie czyta na nowo. Polinka marzyła, że gdy dorośnie, zamieszka z Aidą i będzie jej pomagała wykrywać przestępstwa. Prawdziwa z niej marzycielka! Wbije sobie coś do głowy i w to wierzy. Zabawne dziecko! Ale bardzo ją kocham i muszę pani powiedzieć, że się do niej przywiązałam. Nawet się ucieszyłam, gdy sprawa z adopcją upadła.

– Z adopcją? – czujnie zapytała Nastia.

– No tak, pewne małżeństwo chciało adoptować Polinkę. Najpierw

przyszli do mnie, a ja im powiedziałam, że nie mam nic przeciw, mogę się zrzec opieki, bo mimo że kocham dziewczynkę, doskonale wiem, że u nich będzie jej lepiej, mają pieniądze i duże mieszkanie, zamierzali też przeprowadzić się do Moskwy, a tam szkoły są przecież o wiele lepsze niż u nas, no i można też studiować. Niechby Polinka dorastała w godziwych warunkach, życie jej nie rozpieszczało, nie znała ani swojego ojca, ani matki, wcześniej straciła babcię, więc zasługuje na odrobinę szczęścia.

– A dlaczego nic z tego nie wyszło? Urzędnicy się nie zgodzili?

– Skąd! – Nadieżda Andriejewna machnęła ręką. – Poszłam do nich zawczasu, wszystkiego się dowiedziałam, powiedzieli mi, że znają moje warunki lokalowe i materialne i rozumieją, że w zamożnej rodzinie Polince będzie lepiej, więc jeśli zrzeknę się opieki, żeby dziewczynka mogła zostać adoptowana, nie będzie żadnych problemów, mam do tego pełne prawo. Ale gdy tylko Polinka się dowiedziała, z miejsca uderzyła w krzyk: nie pójdę, mówi, do obcych ludzi i nie pojedę do Moskwy, tutaj jest mi dobrze, nie zostawię babci Aidy, skończę szkołę i u niej zamieszkać, będę jej pomagać. Ci ludzie proponowali mi nawet pieniądze, i to duże, żeby przekonała Polinkę, a ja próbowałam to zrobić, bo przecież pieniądze by się przydały, ale gdzie tam! Uparła się i ani rusz. Będę, mówi, mieszkać z babcią Aidą, gdy dorosnę. Tak bardzo kochała Aidę Borisownę. Gdy ją zabito, nie mogła się z tym pogodzić, do tej pory wciąż biega na cmentarz, odwiedza jej grób. Stoi tam i rozmawia na głos ze zmarłą, opowiada jej książki, które przeczytała, może to pani sobie wyobrazić?

Herbata u Nadieždy Andriejewny była niesmaczna, tania, ale Nastia mężnie ją popijała, żeby nie popsuć atmosfery miłej, szczerzej rozmowy. Uszakowa nagle zaczęła czegoś nasłuchiwać i się uśmiechnęła.

– Polinka wraca.

I rzeczywiście, chwilę później szcęknął zamek w drzwiach wejściowych.

– Jestem, ciociu! – rozległ się wesoły głosik.

Na progu stanęła promienna istota z gęstymi, lekko kręconymi rudymi włosami, bardzo jasną cerą, twarzą obsypaną piegami i zielonymi oczami. Jak na swoje trzynaście lat Polina Sołodko była raczej nieduża, za to dobrze zbudowana i krępa. Na widok Nasti uśmiechnęła się szeroko i radośnie.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, Polino – łagodnie odparła Nastia.

– Polinko, to jest ciocia z Moskwy, dziennikarka, pisze artykuł o twojej babci Aidzie – włączyła się Uszakowa. – Zjedz obiad, a później porozmawiacie.

– Nie, najpierw rozmawiamy – bardzo poważnie oznajmiła dziewczynka. – Rozmowa o babci Aidzie jest ważniejsza. Obiad zjem później.

Polina powiedziała Nasti, że bardzo kochała swoją babcię Szurę, Aleksandrę Kiryłownę, tęskniła za nią, gdy tamta zmarła, a gdy miała dwanaście lat, trafiła w Internecie na portal Moi Krewni i zaczęła analizować kwestionariusze emerytów, żeby znaleźć kogoś, kto byłby

podobny do babci.

– Czy Aida Borisowna ją przypominała? – zapytała Nastia z ciekawością.

Polina znowu się uśmiechnęła.

– Nie, skąd, ani trochę. Ale spodobała mi się, zawsze lubiłam czytać o przestępstwach, a ona była przecież śledczą. Znała tyle ciekawych historii i sama też była bardzo interesująca! Długo do siebie pisałyśmy, a później spotkałyśmy się i zaprzyjaźniły.

– A gdzie jest komputer, z którego do niej pisałaś? – zdziwiła się Nastia. – W domu?

Sądząc z umeblowania, rodziny raczej nie stać na komputer. Czyżby Nadieżda Andriejewna dawała Polinie pieniądze na kawiarenkę internetową? Ale Uszakowa chyba nie ma pieniędzy na zbytki. Ekspedientka w sklepie, trójka dzieci...

– Chodziłam do koleżanek – wyjaśniła dziewczynka. – Nie wszystkie oczywiście mają kompy, a niektóre, te, co je mają, nie pozwalają z nich korzystać. Ale są też takie, które pozwalają. Od nich pisałam do babci Aidy.

Robi się ciekawie. To znaczy, że Polina i Aida Borisowna ze sobą korespondowały. No to gdzie są listy? Dlaczego nie ma ich w komputerze Aidy? Ktoś je usunął? A może Aida nie pisała do Poliny z domowego komputera? Ale dlaczego?

Nastia zadała Polinie te same pytania o Pawłową: czy kobieta nie dostawała jakichś zagadkowych albo niespodziewanych listów, kartek, telefonów, czy nie odwiedzali jej jacyś dziwni albo niemili ludzie, czy

Aida Borisowna nie była zdenerwowana, zmartwiona albo przestraszona. I otrzymała te same odpowiedzi: nie, nie i jeszcze raz nie. Nic takiego się nie zdarzyło.

– A może pójdziemy na cmentarz? – nagle zaproponowała dziewczynka. – Pokażę pani, gdzie jest pochowana babcia Aida. Pewnie to panią ciekawi, skoro zamierza pani o niej napisać.

Właściwie grób Pawłowej nie interesował Nasti, ale dziewczynka tak się w nią wpatrywała swoimi niewiarygodnie zielonymi oczami, że nie potrafiła jej odmówić.

– Najpierw musisz zjeść obiad – zauważyła łagodnie Nastia. – A później odrobić lekcje.

– Głupstwo! Dam sobie radę. Tak naprawdę wcale nie jestem głodna, zjem coś po powrocie z cmentarza.

– A ciocia Nadia nie będzie się gniewać?

– Na pewno nie.

Uszakowa rzeczywiście ze spokojem przyjęła wiadomość, że Polina zje obiad później.

– Idźcie, idźcie. – Skinęła głową. – A ja tymczasem skończę pranie.

– Cmentarz jest daleko stąd – oznajmiła Polina, schodząc z Nastią po schodach. – Trzeba podjechać autobusem, ale to nic, autobusy często kursują.

– Pojedziemy samochodem. – Nastia się uśmiechnęła.

– Samochodem?! – Dziewczynka aż zachłysnęła się z wrażenia. – Naprawdę?

– Naprawdę.

Polina wpatrywała się w samochód jak w tęczę, pewnie autami rodzimej produkcji też rzadko jeździła, a tutaj zobaczyła prawdziwy zagraniczny wóz, wypucowany i błyszczący, w dodatku z kierowcą.

Przez całą drogę na cmentarz Polina wierciła się na siedzeniu, rozglądała dokoła i jednocześnie rozmawiała z Nastią, którą dosłownie zarzuciła pytaniami, kto zabił babcię Aidę, dlaczego i kiedy go w końcu złapią.

– Napisze pani w swojej gazecie, że babcia Aida wymyślała ciekawe bajki? A o tym, że szyla lalki do swoich bajek? A o mnie pani napisze? Zamieści pani moje zdjęcie? Czy mogę powiedzieć koleżankom w szkole, że przyjechała pani z Moskwy, żeby napisać artykuł o babci Aidzie?

Nie udało im się podejść pod samą bramę, wszystko było zasypane śniegiem, który utworzył zaspę nie do przebycia. Nastia i Polina wysiadły z samochodu i z trudem znalazły wydeptaną wąską ścieżkę, którą udało im się dobrać do wejścia. Widocznie w Tomilnie, tak jak wszędzie, nie było zwyczaju, żeby odwiedzać groby, ludzie pojawiali się tutaj tylko podczas pogrzebu. Pewnie w ciągu dwóch minionych dni, gdy padał puszysty, gęsty śnieg, nikogo nie grzebano.

Polina pewnym krokiem poprowadziła Nastię między grobami, rozgarniając butami śnieg, a Nastia jak zwykle spoglądała na nagrobne płyty i odruchowo obliczała długość życia pochowanych tu ludzi. Zawsze tak robiła i cieszyła się, gdy ktoś żył długo, bo to oznaczało, że na pewno zdążył się nacieszyć wnukami, a nawet prawnukami, i smuciła się, gdy zauważyła, że żył krótko. A ostatnimi

laty odczuwała lęk, gdy ktoś okazywał się od niej młodszy.

Na jednym z nagrobków Nastia zauważyła portret dziecka: z dużej, kolorowej fotografii umieszczonej na płycie uśmiechała się dziewczynka z rudymi kędziorami, zielonymi oczami i figlarnymi piegami, podobna jak dwie krople wody do Poliny Sołodko. Nastia drgnęła i rzuciła niespokojne spojrzenie na Polinę – nie chciała, żeby ta zauważyła fotografię. Z jakiegoś powodu Nastia sądziła, że dziewczynka przestraszy się i rozpłacze, a nawet jeśli tego nie zrobi, poczuje się nieswojo. Ale Polina zmierzała jak gdyby nigdy nic w kierunku grobu Aidy Pietrowny i się nie rozglądała. Nastia znowu przeniosła spojrzenie na nagrobek i zdążyła przeczytać napis: „Alisa Jarcewa. Lat 12”. Czyżby to była córka Ałły Iwanowny Jarcewej? Ta, która utonęła? W głowie natychmiast zaczęły się kłębić myśli, jedna dziwniejsza i osobliwsza od drugiej. Nastia nawet nie zauważyła, kiedy dotarły z Poliną na miejsce.

– Jesteśmy – uroczyście i ze smutkiem oznajmiła dziewczynka. – Tutaj leży babcia Aida. Widzi pani, jak wszystko ładnie wygląda? Na razie jeszcze nie ma pomnika, ciocia Nadia powiedziała, że jeszcze za wcześnie, musi minąć rok, żeby ziemia osiadła, później przyjdzie pora na pomnik. Zrobi pani zdjęcie?

Nastia nie zamierzała robić zdjęć, ale żeby uwiarygodnić swoją historyjkę, musiała wyjąć aparat i pstryknąć parę fotografii. Trzeba by znaleźć jakiś sposób, żeby utrwalić grób Alisy Jarcewej, ale to niemożliwe w obecności Poliny, bo gdy dziewczynka go zobaczy, od razu zwróci uwagę na fotografię. Trudno, innym razem. Nastia

postara się zapamiętać położenie grobu i w razie potrzeby przyjdzie tutaj bez Poliny.

Tymczasem dziewczynka mamrotała coś pod nosem ze wzrokiem utkwionym w fotografię Aidy Borisowny przymocowaną do prostego drewnianego krzyża. Nastia nie potrafiła rozróżnić słów, zresztą nawet nie próbowała, zatopiona w rozmyślaniach. Ona też spoglądała na poważną i subtelną twarz Pawłowej w ładnych drogich okularach i wciąż na nowo odtwarzała w pamięci umeblowanie jej mieszkania, zawartość komputera, książki, płyty, reprodukcje na ścianach. Jakaś myśl nie dawała jej spokoju, jak natrętna mucha, której nie można złapać. Książki, płyty, reprodukcje... Książki, płyty... Płyty...

Aida. Kilka płyt z różnymi nagraniami opery Giuseppe Verdiego. *Aida*, akt trzeci, scena nad rzeką? No oczywiście! W trzecim akcie *Aida* za namową ojca próbuje przekonać Radamesa, żeby zdradził ojczyznę, faraona, Egipt i uciekł z nią do Etiopii. A może nie? Nastia nie była pewna, czy dobrze pamięta. Musi uważnie posłuchać trzeciego aktu, żeby ustalić, które słowa miała na myśli Aida Borisowna Pawłowa, gdy wybiegła wzburzona z gabinetu Ałły Iwanowny Jarcewej. Nawiasem mówiąc, nie wiadomo, czy Aidzie Borisownie chodziło o operę, mogła mieć na myśli dowolną sztukę z arcybogatego światowego repertuaru. Co prawda nie w każdej sztuce jest trzeci akt, a jeśli nawet jest, jego akcja nie musi toczyć się nad rzeką, ale z pewnością znajdują się dziesiątki takich sztuk. Z drugiej strony, *Aida* musiała dobrze znać i lubić tę sztukę, a zatem na pewno ma w domu ów utwór. Nie może nie mieć. Więc jeśli nie powiedzie się z *Aidą*,

trzeba będzie ponownie udać się do mieszkania Pawłowej, tym razem uważnie przestudiować całą bibliotekę i znaleźć potrzebną sztukę.

Polina skończyła swój monolog i podniosła na Nastię oczy pełne łez.

– Strasznie mi bez niej smutno – powiedziała półgłosem. – Bardzo ją kocham. I tęsknię.

Nastia chwyciła mocno Polinę za rękę, po czym ruszyły razem w stronę wyjścia. Szły tą samą drogę, więc Nastia zeszywniała, gdy mijały grób Alisy Jarcewej, ale Polina wciąż patrzyła pod nogi, pogrążona w smutku, i niczego nie zauważyła.

Nastia odwiozła dziewczynkę do domu i wróciła do posiadłości. Po drodze uznała, że dzień rozpoczęty od niezdrowego śniadania należy doprowadzić do logicznego końca, więc zatrzymała się koło sklepu i kupiła ser, kiełbasę, chleb oraz ciastka, a w dziale gastronomicznym poprosiła o kotlety z kurczaka i dużą porcję sałatki Stoliczna. Do takiego jedzenia była przyzwyczajona, w jej wieku za późno na zmianę nawyków, nie będzie żyła według zasad jakiegoś oligarchy.

Gdy wysiadła z samochodu, poszła okrężną drogą, żeby zabrać Kumpelkę ze schroniska. To doskonały pomysł. Zaraz zjedzą razem obiad, a później Nastia włączy Internet, znajdzie jakieś nagranie *Aidy* i posłucha opery. Miejmy nadzieję, że nie zapomniałam jeszcze włoskiego, myślała, ściągając kurtkę i buty i uchylając się jednocześnie przed atakiem szalonej radości ze strony Kumpelki, która próbowała oprzeć na ramionach Nasti potężne, mokre od śniegu łapy i polizać ją po twarzy.

Zimne kotlety z kurczaka smakowały wybornie, zwłaszcza w

połączeniu z sałatką, której, jak się okazało, ogromnie jej brakowało! Kumpelka łapczywie pochłaniała ser i kiełbasę, leżąc u stóp Nasti. Nic nie mąciło sielskiej i spokojnej atmosfery.

– Chcesz ciastko? – zapytała Nastia, nalewając sobie kawy i otwierając pudełko. – Wolisz eklera czy babeczkę z kremem?

Psu było wszystko jedno, lubił i jedno, i drugie, no i w ogóle wszystko, co proponowała mu jego przyjaciółka. Poruszał nerwowo aksamitnym nosem, przełykał ślinę i popiskiwał cicho ze szczęścia.

– Chodźmy posłuchać opery. Lubisz operę?

Kumpelka nie miała wyrobionego zdania na temat opery, ale skoro jej ukochana Nastia ją lubi, ona też jest gotowa słuchać choćby do rana, byleby tylko leżeć obok swojej przyjaciółki, móc na nią patrzeć i oddychać tym samym powietrzem co ona.

Nastia dość szybko znalazła parę wersji *Aidy* i przez chwilę zastanawiała się, którą wybrać. W zasadzie nie miało to znaczenia, ale na wszelki wypadek wybrała tę z angielskimi napisami. Jeżeli zawiedzie ją pamięć i nie będzie rozumiała włoskiego śpiewu, z angielskim tekstem na pewno sobie poradzi. Początkowo chciała od razu przejść do trzeciego aktu, ale nie wytrzymała.

– Posłucham tylko pierwszych dziesięciu minut – obiecała sobie w myślach – a później od razu przejdę do sceny nad rzeką.

Ale dziesięć minut zamieniło się w dwadzieścia, po czym Nastia uznała, że nie będzie odmawiała sobie przyjemności, i słuchała dalej. Nic jej przecież nie goni... Nie, znajomość włoskiego nie wyparowała, zresztą dykcja śpiewaków była wyjątkowa dobra, więc angielskie

napisy w ogóle się nie przydały.

Pies drzemał spokojnie z głową opartą na stopach Nasti w ciepłych skarpetach i posapywał. Chyba nie był miłośnikiem opery klasycznej.

A oto i akt trzeci, scena nad rzeką. Nastia zamieniła się w słuch, chwyciła długopis, położyła przed sobą notes, gotowa zapisać każde słowo. Pół godziny później wyłączyła *Aidę*, wysiłkiem woli zmuszając się, żeby nie posłuchać opery do końca. Przed nią leżał fragment tekstu, który miała chyba na myśli Aida Borisowna Pawłowa: „Muszę uciekać z tobą do obcego kraju, porzucić ojczyznę i ołtarze naszych bogów, zapomnieć ziemię, na której zdobyłem pierwsze laury za męstwo, zapomnieć niebo, które było świadkiem mojej miłości”.

Tak, dawna śledcza Pawłowa była zdecydowaną przeciwniczką emigrowania z kraju w poszukiwaniu lepszego życia. Pozwoliła synowi wyjechać do Kanady, ale sama odmówiła wyjazdu mimo jego nalegań. Mówili o tym świadkowie, potwierdzenie znalazło się również w listach Aidy Borisowny do krewnych. Ale z jakiegoś powodu Pawłowa przypomniła sobie swoje stanowisko i postanowiła wyrazić je słowami Radamesa akurat po rozmowie w gabinecie Ałły Iwanowny Jarcewej. Rozmowa tak ją rozgniewała i wzburzyła, że zrezygnowała z wizyty w salonie fryzjerskim, chociaż dbała o siebie i starała się ładnie wyglądać.

No cóż, teraz przynajmniej wiadomo, w jakim kierunku należy zmierzać i jakich informacji szukać.

Nastia delikatnie pogłaskała Kumpelkę po szyi, wsunęła palce w długą splątaną sierść.

– Wstawaj, kochana, mamy robotę. Muszę iść do głównego budynku, a ty, jeśli zechcesz, zaczekasz na mnie na zewnątrz. Psom nie wolno wchodzić do klubu, dobrze wiesz. Nie zostawię cię przecież w holu, bo nie będziesz tam miała co robić.

Kumpelka ziewnęła przeciągle i oblizwała się, niedwuznacznie przymawiając się o resztę przysmaków.

– Dosyć, więcej ci nie wolno – surowo powiedziała Nastia. – Jesteś już stara, w twoim wieku nie można się przejadać. Wieczorem pójdziemy na spacer i dam ci wtedy chleba z serem. A na razie wystarczy.

Pies spojrzał na nią z wyrzutem i posłusznie ruszył ku drzwiom.

*

Nastia spotkała Kostię Jeremiejewa w holu, wychodził akurat z restauracji, trzymał kubek z parującą herbatą i poruszał ustami, coś dojadając. Właściwie Nastia szukała Tamary, ale skoro już trafiła na Kostię, postanowiła z nim porozmawiać.

– Kostia, czy psychoterapeutka Jarcewa nie wspominała panu, że chce adoptować jakąś dziewczynkę?

Kostia stanął jak wryty, a jego ręka z kubkiem wyraźnie zadrżała.

– Dlaczego p-pani mnie o to p-pyta? – Zaskoczony zaczął się zacinać. – Skąd m-mam wiedzieć?

– Niech pan nie udaje. – Nastia się skrzywiła. – O pańskim romansie z Ałłą Iwanowną ćwierkają wróble na dachu. Więc

pomyślałam sobie, że skoro ona tak przeżywała śmierć córki, może wpadła na pomysł, żeby przysposobić inne dziecko? Nie? Jeśli ktoś miałby o tym wiedzieć, to tylko pan, bo byliście sobie bardzo bliscy.

– Czy to wchodzi w zakres badań socjologicznych? – Jeremiejew się zirytował.

– Owszem, wchodzi – oświadczyła Nastia bez zmrużenia oka. – Interesują mnie sposoby adaptacji do stresujących sytuacji. Przejście na emeryturę to tylko jedna z nich. Strata dziecka to też stres, ta sytuacja też mnie interesuje. No więc, czy Ała Iwanowna myślała o innym dziecku?

Rozbiegane oczy i nerwowe drgnięcie grdyki właściwie powiedziały Nasti wszystko, Kostia nie musiał już nic dodawać.

– N-nie wiem, nic na t-ten t-temat nie mówiła – wybąkał.

– Nie to nie. – Nastia się uśmiechnęła. – Przepraszam, że pana niepokoiłam.

A więc mówiła. Dobrze, idziemy dalej.

Tym razem Nastia znalazła Tamarę nie w garderobie, ale w salonie fryzjerskim, gdzie Winogradowa odprawiała czary nad peruką.

– Nie jadła pani dzisiaj śniadania ani obiadu, Nastienko – zauważyła z uśmiechem, nie przerywając pracy. – Już doniesiono o tym Andriejowi, a on mnie zapytał, gdzie się pani stołuje, gdy nie korzysta pani z naszej restauracji.

– I co mu pani odpowiedziała? – Nastia się roześmiała.

– Nic. A co mogłam odpowiedzieć, skoro nie wiem? Andriej nie jest przecież głupcem, domyśla się, że skoro nie je pani tego, co zaleca, to

widocznie żywi się pani czymś niezdrowym i próbuje ukryć przed jego wszystkowidzącym okiem. Proszę mieć na uwadze, że w razie spotkania wygarnie pani, że płaci pieniądze za rzetelną pracę, a nie za kiepskie samopoczucie.

– Miałam już szczęście to słyszeć. Mam do pani pytanie, Tamaro, a właściwie dwa pytania. Pierwsze: czy słyszała pani, że podobno Ałła Iwanowna Jarcewa zamierzała adoptować dziewczynkę będącą w wieku jej zmarłej córki?

Tamara podniosła głowę, zdjęła okulary i odłożyła grzebień, którym układała loki na peruce.

– Nie – powiedziała z namysłem. – Nic o tym nie słyszałam. W każdym razie w moim salonie nie plotkowano na ten temat. Niech pani zapyta Kostię, on na pewno wie.

– Już pytałam. – Nastia westchnęła. – Milczy jak zaklęty. To znaczy przysięga, że nic nie wie. Ale tak naprawdę trzęsie się ze strachu.

– A co w tym strasznego? – zdziwiła się Tamara. – Dlaczego należy to ukrywać?

– Ja też jestem ciekawa. I drugie pytanie: proszę sobie dokładnie przypomnieć, którego dnia widziała pani Aidę Borisownę po rozmowie z Ałłą Iwanowną?

– Już pani mówiłam: niedługo przed zabójstwem.

– Muszę wiedzieć dokładniej. Wspominała pani, że Aida Borisowna zapisała się u pani na strzyżenie i nie zjawiła o wyznaczonej porze, więc poszła pani jej szukać.

– A tak, rzeczywiście. – Tamara się zreflektowała. – Zaraz zajrzę do

notesu. Pamięta pani datę zabójstwa?

– Dwudziesty drugi września.

– Chwileczkę. – Kobieta zaczęła przeglądać gruby zeszyt z poliniowanymi kartkami. – Zacznę od dwudziestego drugiego i się cofnę, dwudziesty pierwszy, dwudziesty, dziewiętnasty... Jest, osiemnasty września, czternasta trzydzieści.

– Dziękuję! – Nastia aż podskoczyła z radości.

Teraz wszystko układało się we względnie logiczny obraz, ale należało jeszcze zdobyć pewność – tutaj mogła pomóc tylko Nadieżda Andriejewna Uszakowa, która już dawno poszła do pracy w sklepie. Nastia ma dwa wyjścia: może pojechać do Poliny, zapytać ją, gdzie pracuje ciocia Nadia i odwiedzić kobietę w sklepie, albo spokojnie poczekać do wieczora, aż Nadieżda Andriejewna wróci. Nie, czekanie odpada, Nastia poczuła już trop jak pies myśliwski podczas polowania na dziką zwierzynę. Ofuknęła się w duchu, że nie poprosiła o telefon domowy Uszakowej. Teraz by zadzwoniła, zapytała Polinę i nigdzie nie musiałyby jechać. Ale od czego jest Ilja Wtoruszyn?

– Sklep Tominka znajduje się na ulicy Krasina – zdecydowanie oznajmił Ilja, zerknąwszy do notatek. – Znajdzie pani?

– Znajdę, mam bystrego kierowcę.

– Udało się pani czegoś dowiedzieć? – zainteresował się. – Czy niepotrzebnie się męczyłem, żeby znaleźć dziewczynkę?

– Dowiedziałam się wielu rzeczy. Później do pana zadzwonię, dobrze?

Okazało się, że sklep Tominka to duży i zupełnie pusty

supermarket na przeciwnym końcu Tomilina. Z czterech kas trzy były przykryte pokrowcami, a jedyna kasjerka polerowała sobie pilniczkiem paznokcie. Nastia bez trudu znalazła Nadieżdę Uszakową, kobieta stała smętnie za ladą działu mięsnego i wyglądała na znudzoną.

– Zawsze macie tak mało klientów? – zapytała Nastia, podchodząc.

– Ależ skąd, od ósmej do dziesiątej jest martwa pora, ci, co pracują do szóstej, wrócili już z pracy i zrobili zakupy po drodze, między szóstą a wpół do ósmej mieliśmy tutaj tłupy. Kolejna fala napłynie między dziesiątą a jedenastą, gdy pracownicy warsztatu samochodowego oraz okoliczni portierzy i ochroniarze przyjdą kupić sobie coś do jedzenia przed nocną zmianą. A co pani tutaj robi? W pobliżu nie ma chyba żadnych hoteli. Wynajęła pani mieszkanie?

– Przyjechałam do pani. Muszę o coś zapytać.

– Chodzi o Aidę? Chyba wszystko już powiedziałam. A może o Polinę?

– O małżeństwo, które chciało ją zaadoptować. Wie pani, jak się nazywali?

– Oj, nie, nie pamiętam. – Uszakowa pokręciła głową. – Przedstawili się, ale zapomniałam, po co mi ich nazwisko? Kobieta miała na imię Ała, to akurat pamiętam, była elegancka, drogo ubrana, miała bardzo jasne, długie włosy. Jej mąż był sympatyczny, szykowny, zaraz... jak on miał na imię? – zamyśliła się, później potrząsnęła głową. – Ależ tak, Roman, przypominam sobie. Ała i Roman.

– A ich patronimiki?

– Po co miałabym je zapamiętywać? – Nadieżda Andriejewna uśmiechnęła się smutno. – Wyglądali z dziesięć lat młodziej ode mnie. Albo ja wyglądam staro jak na swój wiek, albo bogaci inaczej się starzeją. W każdym razie w porównaniu ze mną wydawali się całkiem młodzi.

To właściwie Nasti wystarczyło. Nie potrzebuje żadnego nazwiska ani patronimików, bez nich też nie ma żadnej wątpliwości, że chodzi o małżeństwo Jarcewów.

Teraz może z czystym sumieniem zająć się rekonstrukcją zdarzeń.

Tak więc Ała Jarcewa, przybita po stracie córki, spotyka przypadkiem Polinę Sołodko i jest wstrząśnięta jej podobieństwem do Alisy. Gdy dowiaduje się, że Polina jest sierotą i mieszka u ciotki, postanawia za wszelką cenę ją adoptować i dzięki temu odzyskać córkę. Opiekunka nie oponuje, wychowanie trójki dzieci wymaga sporych nakładów, więc gotowa jest zrzec się opieki nad Poliną, mimo że się z nią zżyła. Ale Polina kategorycznie odmawia, uwielbia babcię Aidę i nie ma najmniejszego zamiaru wyjeżdżać z Tomilina. Tymczasem Ała i jej mąż otwarcie oznajmiają, że zamierzają przeprowadzić się do innego miasta, może nawet do stolicy, zresztą to całkiem zrozumiałe. Po pierwsze, dobrze prosperujący biznes potrzebuje więcej przestrzeni, w osiemdziesięciotysięcznym mieście zrobiło mu się ciasno, a po drugie, bardzo wiele rodzin z adoptowanymi dziećmi przeprowadza się tam, gdzie nikt ich nie zna. To normalne i da się łatwo wytłumaczyć.

A zatem Polina nie chce być adoptowana, nie potrafi znieść myśli o rozstaniu z Aidą Borisowną. Ała podejmuje zdecydowane działania, gotowa jest nawet zapłacić Uszakowej, żeby ta wpłynęła na dziewczynkę. Ale Polina się nie zgadza. Wtedy Ała decyduje się na rozmowę z Aidą, ponieważ wie, że zdanie Aidy jest dla Poliny najważniejsze. W rozmowie, która odbyła się 18 września, Ała prawdopodobnie niczego nie ukrywała i powiedziała Pawłowej o podobieństwie Poliny do swojej zmarłej córki, czym poruszyła Aidę Borisownę do żywego. „Nie rozumie pani, jakie mogą być konsekwencje...” Chyba te słowa usłyszała Tamara. Później jej wyjaśniono, że wymiana zdań dotyczyła dawkowania przepisanego leku, ale tak naprawdę chodziło o próbę zastąpienia jednego dziecka drugim. „Jest pani psychoterapeutką, specjalistką od ludzkich dusz, nie może pani nie rozumieć...” Tak, zgadza się, wszystkie wypowiedzi znakomicie wpisują się w zrekonstruowany obraz.

Wzburzona Aida wybiega z gabinetu, jest tak zdenerwowana, że rezygnuje nawet z wizyty w salonie fryzjerskim. Idąc, powtarza: „Akt trzeci, scena nad rzeką...”. Chyba szukała argumentów zrozumiałych dla trzynastoletniego dziecka, ponieważ pragnęła za wszelką cenę ustrzec Polinę przed Ałą Iwanowną i jej mężem, usiłującym odebrać ją ciotce i wywieźć do innego miasta. Jeśli ludzie przygarniają dziecko nie po to, żeby je uszczęśliwić, ale jedynie po to, żeby zapęłnić pustkę po własnej stracie, o żadnym szczęściu nie ma mowy. Przybrany syn czy córka będą musieli „pasować”, wyglądać i zachowywać się jak zmarłe dziecko. Stracą prawo i możliwość bycia sobą. To jednak zbyt

skomplikowane dla Poliny, więc Aida Borisowna szukała prostszych argumentów.

Czy Nastia jest pewna, że Aida tak właśnie myślała? Na sto procent, ponieważ tamtego dnia, 18 września, w komputerze Pawłowej pojawia się szkic bajki o Żółwikach i Ptaszku. Sytuacja jest identyczna.

A cztery dni później Aida zostaje zabita...

*

Pora była wracać, Kumpelka zrobiła, co do niej należało, i teraz przy każdym kroku podkulała zmarznięte łapy, co rusz błagalnie zaglądając Nasti w oczy, jakby mówiła: „A kiedy znowu pójdziemy do ciebie? W twoim domu jest ciepło i pamiętam, że zostało tam dużo przysmaków”. Nastia po raz ostatni dotarła do rzeki i zawróciła. Pograżona w rozmyślaniach o zabójstwie Pawłowej, nawet nie zauważyła, że spaceruje z psem już całą godzinę.

Podniosła głowę i nagle zobaczyła gwiazdy, olbrzymie, błyszczące, dalekie, takie, jakich nie widziała nawet latem na południu.

– Boże – powiedziała na głos – jak to dobrze, że tutaj przyjechałam! Umarłabym, nie wiedząc, że bywają takie olbrzymie, błyszczące gwiazdy. Czemu myślałam, że pojawiają się tylko latem i tylko w książkach? Okazuje się, że pojawiają się nie latem, lecz zimą. Coś podobnego, u progu pięćdziesiątki zaczynam dostrzegać otaczające mnie piękno. To niesamowite, prawda, Kumpelko?

Ale Kumpelka nie widziała w tym nic niesamowitego. Gwiazdy jej nie interesowały. Wolała ciepły pokój i ciastka.

*

Z okna swojego pokoju w oficynie Konstantin Jeriemiejew dobrze widział Nastię Kamieńską wracającą z psem do schroniska. Przyglądał się, jak wchodziła do środka, a parę minut później wyszła i skierowała się do swojej oficyny położonej naprzeciwko tej, w której mieszkał Kostia. W oknach jej apartamentu rozbłysło światło.

Jeriemiejew chwycił drżącą ręką telefon, znalazł w pamięci numer, zaczął na połączenie.

– To ja – powiedział głucho. – Boję się, oni są coraz bliżej, robi się niebezpiecznie... Jeżeli do mnie dotrą, nie będę milczał, powiem wszystko... Dłużej nie dam rady, nie wytrzymam! Mam dosyć tego strachu, nie panuję nad nerwami! Zrobisz, jak zechcesz, ale pamiętaj, że cię uprzedzałem.

Rozłączył się i padł na kanapę, wciskając twarz w poduszkę. Po co to wszystko? Za co? Przecież nie jest głupi, ma głowę na karku, jak to się stało, że wdepnął w tę paskudną historię i prowadzi takie życie?

*

– Więc sądzi pani, że Jarcewa zabiła Aidę, tak? Albo jej mąż?

Nastia miała wrażenie, że Ilja Wtoruszn patrzy na nią nieufnie i z

kpiną.

– I to dlatego, że obecność babci Aidy w życiu dziewczynki uniemożliwiła adopcję? To przecież kompletne bzdury, Anastazjo Pawłowno.

– To nie są bzdury – cicho i z uporem powiedziała Nastia. – Jeżeli kobieta wbije sobie coś do głowy, będzie gotowa na wszystko. Nigdy nie spotkał pan podobnych kobiet?

– Nie spotkałem. I nie sądzę, żeby istniały. W każdym razie na pewno jest ich niewiele.

– One istnieją i jest ich o wiele więcej, niż pan sądzi.

– No dobrze – Ilja westchnął – powiedzmy, że tak jest. Nie znam Jarcewej, nie przesłuchiwałem jej podczas śledztwa w sprawie zabójstw Koriaginy i Pawłowej, nie uznaliśmy tego za konieczne, ale pani, o ile wiem, długo z nią rozmawiała. I co, sprawia wrażenie osoby zdolnej do tego, żeby udusić starszą kobietę?

– Nie sprawia – przyznała Nastia. – Ale ma męża. A poza tym mogła przecież kogoś wynająć. Pytanie tylko, kto zdradził wykonawcy szczegóły zabójstwa Koriaginy, które ten mógł później wykorzystać, inscenizując zabójstwo Pawłowej. Trzeba sprawdzić, Ilja, gdzie była Jarcewa z mężem w chwili zabójstwa Aidy Borisowny. Zaczniemy przynajmniej od tego.

– A jednak nie wierzę. – Wtoruszyn pokręcił głową. – To brzmi zupełnie nieprawdopodobnie. Ale ma pani rację, od czegoś trzeba zacząć, a innych hipotez nie widać. Dimka Fiedułow spędza każdą wolną chwilę w archiwum, przegląda sprawę Pawłowej i próbuje

znaleźć powód, dla którego ktoś mógł się zemścić po latach.

– I jak mu idzie?

– Na razie marnie. Niczego nie znalazł. Ale nie traci nadziei.

Nastia pożegnała się z Ilją, a na korytarzu omal nie zderzyła się z Fiedułowem. Poczowała się niezręcznie, bo przecież ostatnio unikała Dmitrija i kontaktowała się wyłącznie z Wtoruszynem.

– Już pani wychodzi? – Mężczyzna z żalem rozłożył ręce. – Iljucha mówił, że nas pani odwiedzi, śpieszyłem się, ale wygląda na to, że jednak nie zdążyłem.

– Przepraszam – oschle odparła Nastia – nie wiedziałam, że mam na pana poczekać. Opowiedziałam wszystko Ilji Siergiejewiczowi, jeśli jest pan ciekaw, proszę go zapytać.

– Anastazjo Pawłowno – Fiedułow dotknął jej ramienia – coś nie tak? Wydawało mi się, że świetnie się dogadujemy. Wykonywałem pani polecenia, a pani była zadowolona. Coś się stało? Dlaczego teraz kontaktuje się pani tylko z Iljuchą?

Nastia postanowiła niczego nie ukrywać. Powie, co myśli. W końcu kim on dla niej jest? Przypadkowym znajomym, któremu pomaga wykonać, nawiasem mówiąc, jego pracę.

– Nie podobało mi się pańskie zachowanie w mieszkaniu Pawłowej – odparła ostro.

Fiedułow drgnął, zacisnął szczęki.

– Co się pani nie podobało? Że dałem pani wolną rękę i możliwość oglądania, czego tylko pani chciała, a ja w tym czasie nie plątałem się pod nogami?

– Nie podobało mi się, że pił pan wódkę w kuchni. A może coś innego? Koniak? Whisky? Nie potrafię rozróżnić zapachu konkretnego alkoholu, ale sam zapach wyczuwam na kilometr. W dodatku nie przyniósł pan alkoholu ze sobą, ale wziął go stamtąd, z mieszkania. To znaczy, że go pan ukradł. A mówiąc ściślej, dopuścił się szabru. Moim zdaniem to wystarczy, żeby stracić do pana sympatię.

– Przepraszam. – Fiedułow spuścił głowę i potarł czoło palcami. – Powinienem był się domyślić. Przepraszam. Nawet sobie pani nie wyobraża, jak się zdenerwowałem w domu Aidy Borisowny, bywałem przecież u niej wiele lat temu, w tym samym mieszkaniu, gdy pracowaliśmy razem nad niektórymi sprawami. Wszystko mi się przypomniało, jakby to było zaledwie wczoraj... Nie sądziłem, że to będzie tak bolesne. No i nie potrafiłem się opanować, nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Nie ma pani pojęcia, jaka ona była... Jeszcze raz przepraszam.

Nastię ogarnęły wyrzuty sumienia. Nawet nie przyszło jej do głowy, że powód może być tak oczywisty. Coś podobnego, Fiedułow z pozoru wygląda na brutalnego i gruboskórnego faceta, a tymczasem jest wrażliwy, łatwo go zranić. No i co ona teraz ma zrobić, też go przeprosić?

Stała w milczeniu i nie wiedziała, co powiedzieć. Nagle Fiedułow uśmiechnął się szeroko.

– Mam pomysł, Anastazjo Pawłowno. Co by pani powiedziała, gdybym panią do siebie zaprosił? Mam wspaniały dom nad brzegiem Tominki, pozna pani moją żonę i rodziców, pokażę pani trójkę moich

dzieci. Zobaczy też pani psy. Poczęstujemy panią pierogami, prawdziwymi, domowymi, mama dzisiaj od rana je lepi. No jak, przyjdzie pani? I uznajmy, że się pogodziliśmy.

Tylko wizyty u Fiedułowa teraz jej brakowało! Ale musi się z nim pogodzić, nie ma rady.

– Dobrze. Dziękuję za zaproszenie. Proszę powiedzieć, kiedy i gdzie mam przyjść.

– No to może pojedziemy od razu? Czemu nie? Już wpół do ósmej, godziny pracy się skończyły, trzeba korzystać z wolnej chwili, póki nie ma żadnej roboty. Sama pani wie, jak to bywa w naszej pracy: ledwie człowiek coś zaplanuje, a tu bęc, wyjazd na miejsce zdarzenia, ktoś komuś skrzył kark albo coś w tym rodzaju. To co, jedziemy?

– Jedziemy – zdecydowanie odparła Nastia.

No cóż, jak zgoda, to zgoda. No bo na dobrą sprawę niby czemu Nastia ma się gniewać na Dmitrija?

*

Nastia od razu się domyśliła, że Fiedułow uwielbia swój dom i jest z niego dumny. Z trudem powstrzymywała uśmiech, oglądając osobliwą jej zdaniem budowlę z żółtymi ramami okien i nedorzecznym kogucikiem na niebieskim dachu. Willowe osiedle było dobrze oświetlone, ale Fiedułow zainstalował dodatkowe latarnie na swojej posesji, więc nawet w zimowy wieczór cała gama kolorów była doskonale widoczna. Jako osoba dobrze wychowana Nastia jednak

milczała, kiwała głową i od czasu do czasu rzucała krótko: „świetnie”, „bardzo ładnie”. Wnętrze domu okazało się bardziej stonowane i całkiem praktyczne.

– Co za szczęście, że Mitia ma duży dom i wszyscy się w nim mieścimy. – Matka Fiedułowa, Zoja Michajłowna, szczerze się cieszyła. – Pewnie ma pani w Moskwie lepszy dom?

– Ależ skąd. – Nastia się roześmiała. – Mieszkamy z mężem w kawalerce.

– No tak. – Zoja Michajłowna nagle się zreflektowała. – Co ja plotę? Mitia mówił przecież, że pani też pracuje w milicyjnym fachu. A czy milicjanta stać na taki dom?

No właśnie, pomyślała Nastia, z milicyjnej pensji na pewno nie kupi się takiego domu. Tymczasem żona Fiedułowa, jak sam mówił, nie pracuje, zajmuje się dziećmi. Więc skąd pieniądze?

Jakby odpowiadając na pytanie Nasti, Zoja Michajłowna ciągnęła:

– Mitieńka też by nic nie kupił, nie można się teraz zapisać w kolejkę na mieszkanie, bo w budownictwie panuje zastój. Wegetowalibyśmy w dwupokojowej klitce. Dobrze, że Mitieńka ma dobrych przyjaciół, którzy pożyczili mu pieniądze i gotowi są czekać, aż je odda. Chciał oddać od razu, zamierzał sprzedać samochód, ale bandyci go spalili. Całe szczęście, że przyjaciele wczuli się w jego sytuację i nie domagają się zwrotu długu.

Tak, Starkow mówił jej o spalonym aucie. Coś takiego, ależ facet miał pecha: jeszcze dzień czy dwa i sprzedałby samochód, zapłacił za dom i pozbył się długu. A teraz zadłużenie wisi nad nim jak miecz

Damoklesa. Prawdziwy niefart! Właściwie cudze kłopoty finansowe nie robiły na Nasti wrażenia. Rodzina Fiedułowa jej nie interesowała, podobnie jak dom, przyjechała tutaj tylko po to, żeby rozładować napięcie panujące między nią a Fiedułowem.

Zajęli miejsca przy stole – żona Fiedułowa, Swietłana, pulchna i apetyczna laleczka, usiadła razem ze starszymi córkami, Warieńką i Ksiuszą, a najmłodszego synka, Wanieczkę, wzięła na kolana. Zjawił się też Wadim Aleksandrowicz, ojciec Dimy, który usiadł koło Nasti. U szczytu stołu ulokował się Dmitrij. No cóż, to zrozumiałe, jest głową rodziny i gospodarzem domu, o wszystkim tutaj decyduje, wszyscy żyją z jego dochodów, jeśli nie liczyć emerytur rodziców. Mimo że jego zarobki nie należały do rewelacyjnych, udało mu się kupić dom. A więc jest gospodarzem.

Zoja Michajłowna przyniosła olbrzymi półmisek z domowymi pierogami, później podała herbatę z ciastem. Dwa duże psy bliżej nieokreślonej rasy siedziały w milczeniu po obu stronach Fiedułowa i nie spuszczały z niego oczu, mając widocznie nadzieję, że dostaną smaczny kęs z jego królewskich, niemal boskich rąk. Ale musiały obejść się smakiem, Dmitrij nauczył psy dyscypliny i nie karmił ich przy stole. Ja bym nie wytrzymała, pomyślała Nastia. Nie mogłabym znieść błagalnego spojrzenia i odgłosów nerwowo przełykanej śliny. Pewnie niewłaściwie obchodzę się z Kumpelką, karmię ją tym, co sama jem, rozpieszczam. A powinnam tak jak Dima. Tylko to, co dozwolone, i tylko tam, gdzie wolno. Tyle że jego psy są młode, przygarnął szczeniaki zaledwie rok temu, więc jeśli teraz będą

niewłaściwie karmione, mogą mieć problemy zdrowotne przez długie lata. A Kumpelka jest już stara. Kostia Jeremiejew powiedział przecież, że teraz pies może już wszystko, na tym polega zaleta starości. A właśnie, Kostia... Skoro był kochankiem Jarcewej, niewykluczone, że zabił Pawłową. Kogo jeszcze Ała Iwanowna mogła poprosić o pomoc? Jeśli nie męża, to kochanka. A więc jego też należy sprawdzić. Ciekawe, czy Wtoruszyn sam się domyśli? Właściwie powinien...

Rozmowa przy stole utknęła, Fiedułowowie usiłowali zainteresować nią gościa, ale jedyną rzeczą, która łączyła Nastię i Dmitrija, była zbrodnia, a tego tematu nie mogli omawiać w obecności rodziny. Oprócz Ilji Wtoruszyna nie mieli wspólnych znajomych, a tym bardziej wspomnień. Należało ratować sytuację, więc Nastia posłużyła się wypróbowanym sposobem ożywienia pogawędki, który nieraz wybawiał ją z podobnej opresji: zapytała o rodzinne zdjęcia. Sposób był gwarantowany, ponieważ za każdym zdjęciem stoi historia, a za historią wspomnienia, które tak pochłaniają rozmówców, że zapominają o wszystkim. Nastia lubiła oglądać zdjęcia, próbowała analizować cudze doświadczenia, żeby wyciągnąć z nich pożyteczną naukę.

Swietłana skwapliwie wyjęła grube albumy, najpierw zaczęła prezentować zdjęcia Warieńki, Ksiuszy i Wanieczki, a później sięgnęła po album ze ślubnymi fotografiami. Okazało się, że Swieta jest niezwykle fotogeniczna, na wszystkich zdjęciach, zarówno ze ślubu, jak i tych zrobionych w domu, wyglądała jak prawdziwa piękność,

nawet gdy była bez makijażu i miała niedbale rozpuszczone włosy. Z Dmitrijem było inaczej, aparat go nie lubił, na wszystkich zdjęciach miał gniewną, ponurą i naburmuszoną minę, w dodatku wyglądał na starszego niż w rzeczywistości.

– Nasz Mitia zawsze tak źle wychodzi – wyjaśniła Swietłana, wertując album. – Jest tylko jedno zdjęcie, które pokazuję wszystkim, Mitka wygląda na nim po prostu cudownie, tak jak w życiu, a nawet lepiej. Gdzie ono się podziało? Zaraz pani pokażę, sama się pani przekona. Zostało zrobione nad Bajkałem, gdy Mitia pojechał do przyjaciela na połów ryb. O, jest. Proszę spojrzeć.

Zdjęcie było zwyczajne. Na pierwszym planie znajdował się Fiedułow, a w tle wielki i dziwaczny kamień. Trawa. Niebo. Chmury. W oddali widać było drzewa, a może wysokie zarośla. Ale twarz Dmitrija wyglądała tak jak w rzeczywistości, a nawet lepiej, łagodna, wyciszona, lekko uśmiechnięta. Niemal piękna.

– Widzi pani? Mitia wyszedł tutaj świetnie. A swoją drogą, nie wiem, po co w ogóle pojechał nad Bajkał? – ciągnęła Swietłana. – Wlec się tak daleko, żeby nałowić trochę ryb! Nie ma tam nic szczególnego, same kamienie, u nas też są miejsca, gdzie ryby dobrze biorą.

– A może warto wyjechać, żeby się tak wyciszyć – zaproponowała Nastia. – Proszę spojrzeć, Dmitrij wygląda na spokojnego i szczęśliwego. Podobny stan to wielka rzadkość, biorąc pod uwagę jego pracę, poza tym macie duży dom i dużą rodzinę, więc pewnie nie brakuje mu kłopotów. Czasami człowiek musi się zrelaksować, warto w tym celu pojechać nad Bajkał czy gdziekolwiek indziej.

– Ma pani rację – odparła Swietłana z westchnieniem. – Mitia rzeczywiście uwija się jak w ukropie, pracę ma zwariowaną, do tego trójka dzieci, w domu też nie brak zajęć, bez przerwy coś trzeba naprawiać, instalować, malować czy przybijać. Dom pochłania mnóstwo sił i wymaga nieustannej uwagi, to nie mieszkanie w mieście, tylko patrząc z boku, wydaje się, że posiadanie domu to wspaniała rzecz, nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, ile kłopotów i trosk się z tym wiąże.

Nastia uznała, że pora już kończyć kurtuazyjną wizytę, więc się pożegnała, mimo że Fiedułow namawiał ją, żeby jeszcze posiedzieli razem, napili się herbaty i pogawędzili.

– Muszę wyprowadzić swojego podopiecznego – powiedziała Nastia.
– Jako właściciel dwóch psów powinien pan mnie zrozumieć.

– W takim razie trudno – ustąpił Dmitrij. – Może zapakuję trochę ciasta, będzie pani miała rano do kawy.

Nastia nie odrzuciła propozycji. Jak na jej gust ciasto było za słodkie, ale jest przecież Kumpelka, która na pewno się z niego ucieszy. Dzisiaj już oczywiście za późno na spacer, schronisko jest zamknięte, no i w ogóle pora już się położyć, ale jutro rano pies będzie miał słodką niespodziankę.

Okazało się, że od willowego osiedla, na którym mieszkał Fiedułow, do dworu jest zupełnie niedaleko, więc już niecałe dwadzieścia minut później Nastia stała pod prysznicem. Właściwie mogła uznać dzień za udany. Wyglądało na to, że z Fiedułowem się pogodziła, choć na dobrą sprawę wcale się z nim nie kłóciła.

Coś jednak nie dawało jej spokoju. Leżała, próbując zasnąć, i miała przed oczami zdjęcie, na którym Dima Fiedułow uśmiechał się błogo i był tak niepodobny do Dimy, którego znała. A za nim, w tle, widać było kamień o niezwykłym kształcie, który przyciągnął jej uwagę i nie pozwalał o sobie zapomnieć. Były też niebo, trawa, drzewa w oddali i nic poza tym...

ROZDZIAŁ 14

Minęły trzy dni, podczas których prawie nic się nie działo. Fiedułow i Wtoruszyn sprawdzali alibi Ałły Jarcewej, jej męża Romana, a także geniusza komputerowego Kosti Jeriemiejewa i nie natrafili na żadne informacje, które potwierdzałyby powzięte wobec nich podejrzenia. Ustalono, że milicjanci nie zapytają ich wprost, gdzie byli 22 września ubiegłego roku – niezręcznie było pytać o dawne wydarzenia, minęły przecież cztery i pół miesiąca, tak więc zbierano informacje okrężną drogą. Podzielono obowiązki: Nastia podsuwała pomysły, gdzie i czego można spróbować się dowiedzieć, a wywiadowcy „próbowali” i „się dowiadrywali”. Ich metoda przyniosła pewne rezultaty, udało się na przykład ustalić, że w przeddzień zabójstwa Aidy Borisowny Pawłowej Ałła Iwanowna pojechała z mężem do stolicy obwodu, żeby odwiedzić przyjaciół, i oboje Jarcewowie wrócili dopiero 24 września. Należało oczywiście dokładnie sprawdzić wiarygodność tej informacji, ponieważ stolica obwodu to nie koniec świata i jeśli ktoś tam jedzie, może też wrócić na parę godzin, a później pojechać znowu. Jeśli chodzi o Jeriemiejewa, to jak wynika z dziennika odwiedzin w sali komputerowej, do dwudziestej drugiej był w pracy. Co robił później, nie udało się ustalić, ale po pierwsze, wszyscy zgodnie twierdzili, że Kostia bardzo rzadko jeździ do miasta, tylko gdy musi coś kupić, po

czym od razu wraca, więc gdyby postanowił opuścić dwór późnym wieczorem, gdy sklepy są już zamknięte, z pewnością ktoś by to zauważył i się zdziwił, a po drugie, jak wynikało z ekspertyzy sądowo-lekarskiej, Pawłowa zmarła między dziewiątą a dziesiątą wieczorem, na pewno nie później. Ale alibi Jeriemiejewa też należało jeszcze uściślić i sprawdzić.

W ciągu trzech dni Nastia odrabiała zaległości w spaniu i dużo spacerowała, każdą wolną chwilę poświęcając myśli, która ją wciąż niepokoiła: Pawłowa została zabita na budowie. Co tam robiła? Po co poszła na budowę, w dodatku w czasie, gdy nikogo tam nie ma? Można było założyć, że ktoś ją zabił w innym miejscu, a później przeniósł ciało na budowę, ale wyniki ekspertyz nie pozostawiały wątpliwości: w chwili śmierci ciało znajdowało się tam, gdzie je później znaleziono. Co się zaś tyczy ekspertyz, wyznaczono i przeprowadzono ich całe mnóstwo, tutaj śledczy stanął na wysokości zadania. Więc co panią podkusiło, szanowna Aido Borisowno, żeby wejść na tę cholerną budowę, i to nie przez bramę, ale przez dziurę w płocie, co potwierdziła ekspertyza ubrania i desek? Czy coś tam pani zobaczyła? Coś ciekawego? A może niezwykłego? Przeróżającego? Ale to niemożliwe, jako osoba rozsądna i z dużym doświadczeniem nie poszłaby pani na budowę sama, gdyby coś panią przestraszyło, raczej wezwałaby pani milicję, tym bardziej że miała pani ze sobą telefon komórkowy. No więc co ciekawego albo niezwykłego pani tam zobaczyła?

Tak czy inaczej, zabójcą nie była przypadkowa osoba. Ponieważ ktoś usunął z pani komputera korespondencję z Poliną Sołodko. A

może sama to pani zrobiła? Kiedy? I po co? A jeśli nie pani, to kto? I kiedy?

Nastia męczyła się nad tymi pytaniami przez trzy dni, a jej umysł, wolny od obowiązków służbowych i odurzony świeżym powietrzem, tworzył coraz bardziej wymyślne i niewiarygodne hipotezy.

Biegorski wyjechał i w restauracji znowu zaczęto podawać Nasti „niezdrowe” posiłki, do których była przyzwyczajona. Teraz jadła na śniadanie jajecznicę i racuchy, a na obiad i kolację zamawiała to, na co jej przyszła ochota, nie musiała zmuszać się do zalecanej przez Biegorskiego ryby gotowanej na parze z warzywami bez soli. W pewnej chwili Nastia odniosła nawet wrażenie, że znalazła się w raju: dużo snu, długie spacerowanie na mroźnym powietrzu, spotkania ze starym psem, który ją uwielbiał, smaczne posiłki, miłe wieczorne rozmowy z Tamarą przy filiżance herbaty z domowymi ciasteczkami... Jak długo potrwa jeszcze ten błogostan?

Okazało się, że niedługo.

*

Gdy zadzwonił Wtoruszyn, Nastia przechadzała się akurat po swoim apartamencie ubrana tylko w oszałamiająco różową bieliznę termoaktywną z filiżanką kawy w jednej ręce i z kawałkiem tortu w drugiej. Żeby chwycić słuchawkę, musiała podjąć szybką decyzję, co odstawić: kawę czy tort. Zwyciężyła kawa, więc tort wylądował na talerzyku.

Głos Wtoruszyna był pełen napięcia i niemal wibrował.

– Może pani teraz przyjechać na komisariat?

– Mogę – odparła szybko. – Coś się stało?

– Jarcewa i Jeremiejew nie żyją.

– Co?!

– Zatrzymaliśmy podejrzanego – ciągnął Ilja, jakby jej nie słyszał. – Romana Jarcewa. Jeśli chce pani zadać mu jakieś pytania, proszę przyjechać.

– Już jadę.

Nastia dopiła kawę jednym łykiem, parząc sobie usta, tortu już jednak nie skończyła. Wciągnęła dzinsy i czarny sweter, buty i kurtkę, po czym wybiegła z oficyny. W połowie drogi do garażu zorientowała się, że zapomniała rękawiczek, ale nie zawróciła. Dziesięć minut później była w komisariacie i biegła długim korytarzem do pokoju Wtoruszyna i Fiedułowa.

Dmitrij siedział przy biurku wyczerpany, z podpuchniętymi oczami. Na widok Nasti skinął głową zamiast powitania i od razu przystąpił do relacji.

O drugiej piętnaście w nocy ktoś zadzwonił do komisariatu i powiedział, że z tamy spadł samochód. Jakiś przechodzień poinformował, że wielki land rover wjechał z dużą prędkością na tamę, zepchnął samochód zaparkowany w bocznej zatoczce, wrzucił wsteczny bieg i popędził w kierunku centrum. Świadek nie zostawił swoich danych, zadzwonił z automatu w pobliżu tamy. Grupa dyżurna i ratownicy wyjechali niezwłocznie, dwie godziny później samochód

wyciągnięto z rzeki i znaleziono w nim zwłoki dwóch osób. Na podstawie dokumentów, które ofiary miały przy sobie, ustalono, że byli to Ałła Jarcewa i Konstantin Jeriemiejew. W bazie danych odszukano adres Jarcewej, okazało się, że mają z mężem mieszkanie w Tomilinie, to, które zajmowali przez lata i którego do tej pory nie sprzedali. Pod otrzymany adres wysłano patrol, a tam przed domem stoi land rover z pogiętym błotnikiem, rozbitą maską oraz kluczykami w stacyjce. Funkcjonariusze weszli do budynku, zadzwonili do drzwi mieszkania, a gdy nikt nie otworzył, wyłamali drzwi i znaleźli pijanego w sztok Jarcewa leżącego na kanapie. Rzecz jasna, zatrzymali go, dostarczyli na komisariat i wsadzili na dołek. Rano do pracy przyszedł Wtoruszyn, dowiedział się od dyżurnego o nocnym zdarzeniu i zadzwonił do Fiedułowa. Jarcewa i Jeriemiejew byli kochankami, a mąż pewnie się o tym dowiedział, wyszedł po pijaku żonę i sprzątnął słodką parę podczas romantycznej randki. Motyw jest oczywisty.

– Iljucha pobiegł do śledczego. Zaraz wróci i wtedy przesłuchamy rogacza – podsumował Dmitrij. – Ma pani jakieś życzenia?

– Nie, posiedzę tylko i posłucham. Jesteście przecież profesjonalistami, sami wiecie, jak i o co należy pytać – powiedziała nieco przypochebnie Nastia.

– Niby tak – niejasno potwierdził Fiedułow.

Parę minut później wrócił Wtoruszyn, a z izby zatrzymań przyproawdzono Romana Jarcewa. Mąż Ałły Iwanowny, a teraz wdowiec po niej, wyglądał nie najlepiej, ciężki kac nikomu nie dodaje

urody, a jeśli łączy się z przerażeniem i niepokojem, widok takiej osoby robi piorunujące wrażenie.

– Niczego nie pamiętam – mamrotał mężczyzna, wbijając nieruchomy wzrok w podłogę. – Byłem pijany i niczego nie pamiętam.

Okazało się, że coś jednak pamiętał. Na przykład to, że parę dni temu Ała zaproponowała, żeby pojechali do Tomilina na grób córki. Właściwie była to nie tyle propozycja, ile kategoryczne stwierdzenie.

„Musimy pojechać do Alisy – oznajmiła. – Dawno u niej nie byliśmy”.

Roman nie uznał za stosowne oponować, Ała zawsze grała pierwsze skrzypce w rodzinie, mimo że to on zarabiał pieniądze. Poza tym miał w Tomilinie sprawy do załatwienia, chodziło między innymi o sprzedaż mieszkania, tego, w którym go później zatrzymano. Ała powiedziała, że pojedzie rano swoją mazdą, a Roman może przyjechać później, gdy będzie wolny.

„Chcę jeszcze wpaść do koleżanek, pogadać, dawno się nie widziałyśmy. Gdy przyjedziesz, pójdziemy na cmentarz, później załatwisz sprawę mieszkania, przenocujemy w Tomilinie i nazajutrz wrócimy”.

Ała wyjechała bardzo wcześnie, już o piątej, a Romana zatrzymały pilne sprawy w firmie, którymi zajmował się do południa, po czym też udał się do Tomilina. Poszli razem na cmentarz, później Ała odwiedziła jakąś koleżankę, a Roman skontaktował się z pośrednikiem i omówił warunki sprzedaży mieszkania. Spotkali się w domu, Ała wyglądała na wytrąconą z równowagi i przybitą, nawet

plakała, zawsze tak się zachowywała po wizycie na cmentarzu. I to ona zaproponowała alkohol, który pomagał jej w takiej sytuacji. Wypiła niewiele, ale Roman nie znał umiaru, nie mógł się powstrzymać, wydawało mu się, że jeszcze jeden kieliszek, jeszcze jeden łyk i osiągnie upragniony stan lekkości, równowagi oraz własnej potęgi, dla którego sięgał po alkohol. Ale oczekiwany stan nie nadchodził, przeciwnie, serce przygniatał mu coraz większy ciężar i ból, aż wreszcie stracił przytomność... Ocknął się, gdy obudzili go milicjanci, którzy wpadli do mieszkania.

– Gadaj zdrow – gniewnie rzucił Fiedułow. – Tacy jak ty myślą, że wystarczy powiedzieć: „Niczego nie pamiętam, byłem pijany” i na tym koniec. Nie jesteś pierwszy ani ostatni, radziliśmy sobie z lepszymi cwaniakami. Zaraz przywrócę ci pamięć, nie wykręcisz się swoim „nie pamiętam”. Odpowiadaj na pytania: land rover discovery 3 przed domem należy do ciebie? Numer rejestracyjny 0903XM.

– Do mnie. – Jarcew skinął głową.

– Maski i błotnik są uszkodzone?

– Tak.

– Skąd wzięły się uszkodzenia?

– Nie wiem.

– Ała Iwanowna Jarcewa to twoja żona?

– Tak.

– Mazda o numerze rejestracyjnym E369TM to jej samochód?

– Tak.

– Facet, który był z nią w samochodzie, to jej kochanek?

Nastia nieznacznie się uśmiechnęła. Stary chwyt, ale dobry, prawie zawsze się sprawdza. Najpierw stawia się kilka prostych pytań, na które odpowiedzi są oczywiste i nie trzeba ich prostować. A później od razu pada pytanie, na które odpowiedź wymaga zastanowienia się i sprostowania. Jeżeli Roman Jarcew zaprzecza, że miał coś wspólnego ze śmiercią żony, musi również zaprzeczyć, że wiedział o kochanku, to znaczy podważyć motyw. Ciekawe, czy odpowie na pytanie Fiedułowa?

– Nie wiem. – Jarcew wreszcie podniósł oczy i spojrzał błagalnie najpierw na Dmitrija, a później na Wtoruszyna i Nastię. – Dlaczego mi nie wierzycie? Nie wiem, kim był ten mężczyzna.

– To Jeremiejew – szybko podpowiedział Wtoruszyn. – Konstantin Jeremiejew. Naprawdę nigdy nie słyszał pan tego nazwiska?

W odróżnieniu od Fiedułowa Ilja zwracał się do zatrzymanego per pan.

– Nie, nie słyszałem.

– A o tym, że pańska żona miała kochanka, też pan nie wiedział?

– Nie wiedziałem.

– Kłamiesz jak z nut – znowu włączył się Fiedułow. – Wiedziałeś o Jeremiejewie. W końcu nakryłeś żonę z kochankiem i załatwiłeś oboje. No? Przypomnij sobie, Jarcew, przypomnij, przecież wszystko jest oczywiste, dowody przemawiają na twoją niekorzyść. Upiłeś się i straciłeś przytomność. Ogarnęła cię wściekłość. Pojechałeś i zabiłeś oboje.

Milicjanci jeszcze długo przyciskali nieszczęsnego faceta na kacu, ale nic nie wskórali. Bolała go głowa, miał mdłości, czuł się źle i

niczego nie pamiętał.

*

W holu głównego budynku powieszono zdjęcie Kosti Jeriemiejewa przepasane czarną wstążką, a pod zdjęciem ustawiono stół z kwiatami. Zgodnie z przyzwyczajeniem nabytym podczas pracy detektywa Nastia wcześniej rano zajęła punkt obserwacyjny. Była ciekawa, jak ludzie zareagują na wiadomość o śmierci Konstantina, co będą mówili, jakie przedstawią teorie i hipotezy. Interesowała ją przede wszystkim reakcja małżonków Putilinów. Siedziała w kącie, ukryta za kolumną przed spojrzeniami osób wchodzących do budynku, i uważnie się wszystkim przyglądała.

Jako pierwsi pojawili się pracownicy klubu – recepcjonistka, informatycy, Wiera Aleksiejewna Biegorska, Sania Bielakow z żoną Leną, córką Andrieja Siergiejewicza. Później zeszli na śniadanie goście z pokoi na piętrze. Po jedenastej zaczęli się zjawiać członkowie klubu. Zdjęcie Kosti od razu przykuwało uwagę, wszyscy się zatrzymywali, kiwali głowami ze smutkiem, komentowali śmierć młodego mężczyzny z ożywieniem, ale półgłosem. Mimo to Nastia świetnie wszystko słyszała. Krótki nekrolog nie podawał przyczyny śmierci, informował jedynie, że Jeriemiejew „zmarł tragicznie”, jednak wysuwanych hipotez było niewiele: mężczyzna wpadł pod samochód, miał wypadek samochodowy, popełnił samobójstwo, bo nie wytrzymał ciężaru straty, która go dotknęła. Ani razu nie pojawiło się

przypuszczenie, że został zabity. A właśnie na to Nastia niecierpliwie czekała.

Koło pierwszej do holu weszli małżonkowie Putilinowie. Nastia zamieniła się w słuch. Nie musiała jednak nadstawiać ucha, przesywający krzyk Putiliny przeciął majestatyczną ciszę klubu. Kobieta chwyciła się za serce i upadła na podłogę, od razu zrobiło się zamieszanie, wszyscy zaczęli biegać, wzywano pogotowie, szukano kropli na serce, a jej mąż zachwiał się, odszedł na bok i opadł na kanapę stojącą w odległości trzech metrów od Nasti.

Nastia podeszła do niego, usiadła obok i wzięła za rękę.

– Juroczka, Juroczka, synku, jakże to tak... – mamrotał Putilin, jakby nie zauważając jej obecności.

A więc taka jest prawda. Kostia Jeriemiejew to Jurij Putilin. Bardzo ciekawe.

– To pański syn? – zapytała Nastia, żeby zacząć jakoś rozmowę.

Putilin skinął głową w milczeniu.

– Ukrywał się przed kimś? Miał dokumenty na inne nazwisko?

Putilin nagle się odwrócił i chwycił ją mocno za rękę.

– Nikomu pani nie powie? Nie powie pani, prawda?

– Ale to przecież nie ma sensu – łagodnie perswadowała Nastia, głaszcząc dłoń starszego mężczyzny. – Pańskiego syna już nie ma, więc prawda już mu nie zaszkodzi. Niech mi pan lepiej wszystko opowie, poczuje pan ulgę. Chce pan wiedzieć, jak zginął?

– Został zabity – bez wahania odparł Putilin. – W końcu go znaleźli i zabili.

Jurij Putilin był rzeczywiście geniuszem komputerowym i wyjechał do Moskwy, żeby należycie wykorzystać swoje zdolności. Ale geniuszy takich jak on nie brakuje w stolicy, więc nie udało mu się od razu znaleźć dobrze płatnej, ciekawej pracy. Zamiast tego zauważyli go i wciągnęli w swoje machinacje ludzie nie całkiem uczciwi, którzy uznali, że okradanie banków bardziej się opłaca niż zbieranie okruszków od osób prywatnych. Dobrze zapłacili Jurijowi za to, żeby włamał się na serwer dużego banku i przelał pieniądze na wskazane konta. W pewnym momencie Jurij się przestraszył i odmówił, gdy zaproponowano mu kolejną operację. Okazało się jednak, że jego pracodawcy nie przyjmują odmowy, w dodatku widzą w niej chęć „urwania się i zakapowania”. Zaczęli mu grozić, a gdy uświadomili sobie, że facet naprawdę się boi i w każdej chwili gotów jest przyznać się do winy, pogrożki przybrały taki charakter, że Jura zrozumiał: zabiją go bez zmrżenia oka.

Ukrył się w rodzinnym mieście, blisko rodziców, zdobył fałszywy dowód osobisty i znalazł pracę w posiadłości, gdzie bywali jego rodzice, którzy zapisali się na kurs komputerowy. Praca mu odpowiadała, bo gwarantowała też mieszkanie, więc nie musiał nigdzie wychodzić.

Mężczyzna bał się nie bez powodu, u rodziców zjawili się ludzie z Moskwy i zażądali adresu Jury. Nie przyszło im do głowy, żeby go szukać w klubie, niedaleko domu, wśród emerytów. Rodzice nie wydali syna, ale i oni się przestraszyli, zrozumieli, że to nie żarty, lecz poważna sprawa. Później ci sami ludzie przyjechali znowu, pytali, czy synek się nie pokazał, a więc nie zrezygnowali z prób odszukania

Jurija.

Teraz Putilinowie codziennie bywali w dworze, brali udział we wszystkich przedsięwzięciach, żeby usprawiedliwić swoją stałą obecność i widywać się z synem. Dożywiali go, przynosili domowe pierogi i kotlety, starali się wykorzystać każdą sposobność, żeby z nim побыć i porozmawiać. Syn bardzo ich kochał.

– Pewnego dnia wydarzyło się coś dziwnego – powiedział Putilin. – Nawet nie wiem, jak to powiedzieć... Ktoś chciał zlecić Jurze zabójstwo.

– Kto? – szybko zapytała Nastia.

– Nie wiem, Jura nie mówił.

– A kogo syn miał zabić?

– Tego też nie wiem. Ale czy to ważne? To oczywiste, że Juroczka odmówił. Ale bardzo się zdenerwował i przejął.

– Dlaczego? – Nastia nie zrozumiała.

– Mówił, że raz się pomylił, powinęła mu się noga, później musiał się ukrywać, posługiwać fałszywym dowodem i nazwiskiem, kłamać, że jego rodzina zginęła, usprawiedliwiając w ten sposób swoją małomówność i tryb życia, bał się wyjść poza teren posiadłości... I skończyło się tym, że uważa się go za osobę zdolną do zamordowania kogoś dla pieniędzy. To go ogromnie przygnębiło.

– Czy Jurij był naprawdę samotny? Przecież to młody mężczyzna.

– Miał tutaj romans z lekarką, wiedzieliśmy o tym z żoną. Ale kobieta jest zamężna, gdy jesienią ze sobą zerwali, wyjechała gdzieś z mężem.

– A czy ona знаła prawdę o pańskim synu? Podał jej swoje prawdziwe nazwisko?

– Ależ skąd! Ją też oszukiwał, że jego rodzina zginęła. Właśnie dlatego się do siebie zbliżyli, w jej rodzinie też doszło do nieszczęścia. Dwie zrozpaczone dusze wzajemnie się pocieszały.

Nastia obserwowała kątem oka krzątanicę przy Putilinie, nad którą pochyłili się lekarze pogotowia, i dziwiła się, że Putilin chyba zapomniał o żonie, o tym, że kobieta ma atak serca. Mężczyzna najwyraźniej nie boi się, że żona może umrzeć. Najważniejsze dla niego jest teraz jedno: jego syn nie żyje. A obok siedzi osoba, która gotowa jest słuchać, z którą może porozmawiać o Juroczce i cieszyć się złudzeniem obecności syna wśród nich. Natomiast żona z zawałem serca stanowi dowód nieodwracalnego nieszczęścia.

Co to wszystko znaczy? Ała Iwanowna usiłowała zlecić zabójstwo Aidy Borisowny swojemu kochankowi Kosti Jeremiejewowi? To całkiem możliwe. Kostia odmówił, więc Jarcewa znalazła kogoś innego. Pytanie brzmi: kogo? Niewykluczone, że właśnie ten człowiek zabił też Ałę i Kostię, to znaczy Jurija, ponieważ zacierał ślady i likwidował świadków. Może Roman Jarcew rzeczywiście nie ma z tym nic wspólnego?

A jeśli dawni chlebodawcy Jurija Putilina jednak go znaleźli i zabili, natomiast Ała Jarcewa zginęła przypadkiem, ponieważ przyjechała na randkę z kochankiem? Nie, to nie wchodzi w rachubę, jest przecież świadek, który widział land rovera Jarcewa, jest też land rover ze śladami uszkodzeń, które odpowiadają uszkodzeniom na

mazdzie Ałły. Chociaż... Roman Jarcew mógł przecież zostać wynajęty, mogli to zrobić ci sami ludzie, którzy chcieli rozprawić się z Jurijem. Czemu nie? Zaproponowali facetowi forszę, żeby sprzątnął kochankę żony, to znaczy usunął rywala. A jednocześnie rozprawił się z niewierną żoną. I się wzbogacił. Potrójna korzyść.

Putilinę zabrano do szpitala, mąż z nią pojechał, a Nastia zadzwoniła do Wtoruszyna i poprosiła o chwilę rozmowy z Romanem Jarcewem.

– O czym? – z niepokojem zapytał Ilja.

– O Aidzie Borisownie i Polinie Sołodko.

– Przesłuchuje go teraz śledczy. Niech pani przyjedzie za jakieś półtorej godziny, do tego czasu przesłuchanie pewnie już się skończy.

Nastia uznała, że zdąży zjeść obiad, zanim pojedzie na komisariat. Właśnie miała wejść do restauracji i przejrzeć menu, gdy zadzwonił Fiedułow.

– Iljucha powiedział, że chce pani jeszcze raz porozmawiać z Jarcewem – ni to zapytał, ni to skonstatował.

– Owszem. Ma pan coś przeciw temu?

– Po prostu nie rozumiem, co chce pani uzyskać. Jeżeli ma pani do niego pytania, proszę mi je przekazać, sam go zapytam i do pani oddzwonię. Po co ma pani znowu się tutaj tłuc?

– Nie chcę sprawiać panu kłopotu.

– Moim zdaniem pani nam zwyczajnie nie ufa – z niezadowoleniem stwierdził Dmitrij. – Sądzi pani, że my tutaj na prowincji nie potrafimy pracować i nie damy rady przesłuchać należycie

zatrzymanego, natomiast wy, stołeczni wywiadowcy, zawsze wiecie, jak i co trzeba robić. No pewnie, pozjadaliście wszystkie rozumy, macie tam akademię, i to nie jedną. A my jesteśmy do niczego, niewydarzeni prowincjonalni dyletanci.

– Dima, to jakieś nieporozumienie...

Nastia poczuła się zbita z tropu, bo nie spodziewała się usłyszeć takich słów i nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

– Wcale tak nie myślę. Chciałam tylko porozmawiać z Jarcewem o Polinie Sołodko.

– A po co o niej rozmawiać? Co ma do tego Polina, skoro Jarcew załatwił żonkę i jej gacha, używając do tego własnego samochodu? Może pani przyjąć, że to już dowiedzione. Facet powoli trzeźwieje i niebawem się przyzna.

– A co z zabójstwem Pawłowej? – zapytała Nastia z zakłopotaniem.

– Już was nie interesuje?

– Przecież wszystko się wyjaśniło – szczerze zdziwił się Fiedułow. – Sprawa jest jasna jak słońce. Pawłową zabiła Ała Jarcewa, a Jeremiejew był jej współnikiem.

– Od dawna pan to wie?

No właśnie, jak Fiedułow wpadł na ten pomysł? O tym, że Jarcewa usiłowała sprowokować swojego kochanka do zabicia Aidy Borisowny, wiedziała na razie tylko Nastia, Wtoruszynowi o tym nie wspominała, podobnie jak Fiedułowowi. A zresztą starszy Putilin zapewniał, że jego syn nie przyjął zlecenia na zabójstwo i bardzo się zdenerwował, że uznano go za osobę zdolną do tak niegodziwego czynu. Ojciec mógł

oczywiście nie znać całej prawdy, a syn mógł go okłamać, ale z drugiej strony, jeżeli Kostia, to znaczy Jurij, przyjął zlecenie i nawet je wykonał, to po jakie лихо opowiedział o tym tatusiowi, w dodatku udawał urażonego? Coś się tu nie zgadza. Jurij wykonałby czarną robotę i milczał jak zakłęty. Opowiadać na prawo i lewo o zleceniu mógł tylko kompletny idiota, a Kostia Jeriemiejew, to znaczy Jurij Putilin, wcale nie wyglądał na idiotę.

– Gdy tylko dowiedziałem się, że Jarcewa i Jeriemiejew siedzieli nocą w samochodzie, w dodatku zaparkowali auto na tamie, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć, bo w nocy ruch jest tam niemal zerowy, od razu się domyśliłem – powiedział stanowczo Dmitrij. – Dziecko by na to wpadło: skoro spotkali się potajemnie po tak długiej rozłące, to znaczy, że oprócz seksu łączy ich coś jeszcze. A zerwali ze sobą tylko dla pozorów. Tak naprawdę są związani na śmierć i życie. Inaczej po co mieliby się spotykać?

Było w tym ziarno rozsądku. Po emocjonalnej wypowiedzi Dmitrija Nastia poczuła się wobec niego winna: może rzeczywiście zachowała się tak głupio i nieuprzejmie, że Fiedułowowi przyszły do głowy niestworzone rzeczy? Oto co znaczy brak nawyku pracy z wywiadowcami, gdy jest się nikim i nie ma się żadnych uprawnień, a jedynym atutem jest własne doświadczenie. Okazuje się, że w nowej pracy Nastia musi się nauczyć zachowywać inaczej. Zapragnęła udowodnić Fiedułowowi, że nie jest lekkomyślną stołeczną damulką z pretensjami i może być użyteczna.

– A przy okazji, Dima, zna pan prawdziwe nazwisko Jeriemiejewa?

– Prawdziwe nazwisko? – zapytał z niekłamanym zdziwieniem.

– Tak. Naprawdę nazywał się Jurij Putilin, pochodził stąd, z Tomilina. Narobił sobie kłopotów w Moskwie, związał się ze złodziejami komputerowymi, później postanowił im się urwać i ukrywał przed nimi w dworze.

Fiedułow był chyba zaskoczony. No oczywiście, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, żeby sprawdzić tożsamość informatyka, nie pojawiał się nigdzie jako świadek, a co dopiero jako podejrzany.

Nastia mówiła bardzo cicho, żeby ani obsługa kawiarni, ani goście siedzący przy sąsiednich stolikach nie mogli jej usłyszeć. Kelner parę razy ruszał w jej stronę, żeby przyjąć zamówienie, ale na widok telefonu w jej ręce grzecznie się wycofywał.

– No więc pomyślałam sobie, że może to on miał być celem zabójcy, natomiast Ałła znalazła się z nim w tym samym samochodzie.

– Ale wiemy na sto procent, że to zrobił Jarcew – zaproponował Dmitrij.

– No i co z tego? Jarcew mógł dostać zlecenie na zabicie Jurija Putilina.

– Tak pani sądzi? – z powątpiewaniem zapytał Fiedułow.

– A czemu nie? – powtórzyła Nastia. – Chciałabym przyjechać i porozmawiać z Jarcewem. Powiem, że jestem z Moskwy, z Pietrowki, że rozpracowuję grupę komputerowych oszustów, którzy szukali Putilina. Nastraszę go. A nuż coś z tego wyniknie?

– No dobrze – ustąpił Fiedułow. – Niech pani przyjedzie. I proszę się na mnie nie gniewać, że na panią naskoczyłem... Musi nas pani

jednak zrozumieć, my też nie wypadliśmy sroce spod ogona.

– Puśćmy to w niepamięć. – Nastia postanowiła być wielkoduszną, zwłaszcza że też poczuwała się do winy.

Zjadła obiad, nie zwracając uwagi na to, co ma na talerzu i prawie w ogóle nie czując smaku. Musiała się skoncentrować i przygotować do rozmowy z Romanem Jarcewem.

*

Nazwisko Jurija Putilina wywarło na Jarcewie takie samo wrażenie jak nazwisko Konstantina Jeriemiejewa, to znaczy żadne. Przysięgał, że słyszy o Putilinie po raz pierwszy, i wyglądało na to, że nie kłamał. Za to o Polinie Sołodko i Aidzie Borisownie opowiadał ze szczegółami. Sprawiał wrażenie, że jest gotów powiedzieć wszystko, co tylko wie, byleby tylko wycofano wobec niego oskarżenie o podwójne morderstwo.

Ała zauważyła dziewczynkę, gdy ta spacerowała po mieście z Aidą Borisowną. Zauważyła i osłupiała na widok podobieństwa Poliny do nieżyjącej córki, Alisy. Podeszła, wdała się w rozmowę z Aidą, zawarła znajomość z dziewczynką, a później, nazajutrz, odszukała Pawłową w dworze i wypytała o Polinę. Gdy dowiedziała się, że Polina jest sierotą i ma opiekunkę, bardzo się ucieszyła i poszła prosto do Nadieždy Uszakowej. Nadieżda zgodziła się zrzec opieki, ale uprzedziła, że musi na to jeszcze zezwolić opieka społeczna. Ała zapewniła ją, że z urzędem nie będzie problemu, a kobiecie obiecała pieniądze, jeżeli

dziewczynka wejdzie w końcu do rodziny Jarcewów.

Wszystko rozbiło się jednak o Polinę, która na samo tylko wspomnienie o przeprowadzce do innego miasta z nowymi rodzicami stanęła okoniem i oznajmiła, że nie potrzebuje innej rodziny, że kocha ciocię Nadzię i babcię Aidę, a gdy dorośnie, zamieszka z babcią i będzie jej pomagać. Zostanie prawnikiem i śledczą jak Aida Borisowna. Ała Iwanowna próbowała spotkać się z dziewczynką i z nią porozmawiać, ale Polina nie miała ochoty na spotkanie, a gdy Ała Iwanowna odwiedzała Uszakowów, zamykała się w pokoju i nie pokazywała Jarcewej na oczy. Gdy Nadieżda Andriejewna zaczynała ją przekonywać, żeby wyszła i „przywitała się z ciocią”, dziewczynka odzywała się arogancko, a później zaczynała płakać. W końcu Uszakowa poprosiła Ałę, żeby ta więcej nie przychodziła, oszczędziła Polinkę, nie ma przecież serca z kamienia.

Wtedy Ała postanowiła wpłynąć na dziewczynkę przez Aidę, która była dla Poliny bezspornym autorytetem. Zaprosiła Aidę Borisownę do swojego gabinetu i opowiedziała o utonięciu Alisy, a także o tym, że Polina Sołodko jest podobna jak dwie krople wody do jej zmarłej córki. Ała chciała, żeby mąż był świadkiem rozmowy, więc Jarcew przyjechał do posiadłości o wyznaczonej porze. Ała nie ukrywała przed Pawłową, że chce zrobić z Poliny drugą Alisę, mówiła, nie owijając w bawełnę:

„Zachowałam wszystkie rzeczy Alisy, będą pasowały na Polinkę. Dziewczynka zajmie pokój Alisy, będzie spała w jej łóżku, czytała jej książki, korzystała z jej komputera. Dam jej takie wykształcenie, jakie

chciałam dać Alisie. A później zabierzemy Polinę do Moskwy, żeby nic nie przypominało jej przeszłości, żeby zaczęła z nami nowe życie i stała się Alisą. Wtedy znowu będę szczęśliwa. A pani, Aido Borisowno, musi nam w tym pomóc, ponieważ dobrze pani życzy Polince, prawda?”

Ta rozmowa poruszyła Pawłową do żywego, powiedziała, że nie da się zrobić z jednej osoby kopii drugiej, że to niewłaściwy pomysł, który nie przyniesie nic dobrego, Polina ma swoje życie, swój los i charakter, w żadnym wypadku nie wolno jej zmuszać, żeby stała się Alisą, brak szacunku wobec osobowości dziewczynki prędzej czy później doprowadzi do nieszczęścia. Rozmowa skończyła się awanturą, Aida Borisowna gwałtownie wstała i powiedziała na pożegnanie:

„Niech pani nie liczy na moją pomoc, co więcej, z góry zapowiadam, że zrobię wszystko, żeby Polina nie zgodziła się na adopcję i żeby opieka społeczna nie wyraziła na to zgody. Może pani być pewna, że tego dopnę. Podąża pani niewłaściwą drogą, zniszczy pani życie dziecku, robi to pani nie dla Poliny, nie po to, żeby była szczęśliwa, ale wyłącznie dla siebie. To jest nieetyczne, nie wolno tak postępować”.

Po tej rozmowie Ała była niezwykle wzburzona i rozdrażniona, zamknęła się w sobie, przez parę dni nie rozmawiała z Romanem, później nagle zaproponowała, żeby się zabawili i pojechali do stolicy obwodu odwiedzić przyjaciół. Podczas gdy gościli u znajomych, Aida Borisowna straciła życie. Ała powiedziała, że Bóg wszystko widzi i zabrał wstrętą staruchę, żeby im nie przeszkadzała. Roman nie podejrzewał, że Ała mogła być współniczką zabójcy Pawłowej, taka

myśl w ogóle nie powstała mu w głowie.

– Co było dalej? – zapytała Nastia.

– Ała znowu próbowała zbliżyć się do Polinki, miała nadzieję, że teraz nic nie będzie zatrzymywało dziecka w Tomilinie, ale jej rachuby się nie sprawdziły, Polinka powiedziała Nadzieździe Andriejewnie, że nie potrzebuje żadnej cici ani żadnego wujka, będzie mieszkała tutaj i odwiedzała grób Aidy Borisowny. Ała dość rychno zrozumiała, że poniosła fiasko, i oznajmiła, że ma dosyć tego miasta. Chciała wyjechać do Moskwy, ale taka przeprowadzka wymaga długich i starannych przygotowań, łatwiej się było przeprowadzić do stolicy obwodu, zdążyłem już przenieść tam część interesów. No więc wyjechaliśmy.

Im dłużej Nastia przyglądała się Romanowi Jarcewowi i go słuchała, tym bardziej była przekonana, że nie mógł „przyjąć zlecenia”, zresztą nikt by mu nie złożył takiej propozycji, jest zbyt słaby i niepewny. Ale mógł zabić żonę z zazdrości, w afekcie.

*

Było już całkiem późno, gdy Ilja Wtoruszyn wjeżdżał do Tomilina. Przez cały dzień zbierał w stolicy obwodu informacje o Romanie Jarcewie. Najpierw udał się do jego firmy, porozmawiał z sekretarką – brzydką kobietą w średnim wieku, na pierwszy rzut oka bardzo rzeczową, ale w rzeczywistości gadatliwą i lubiącą plotki. Niemal od razu postanowiła wyznać Wtoruszynowi całą prawdę: tak, Roman

Walerjewicz nadużywał alkoholu, popijał wieczorami w swoim gabinecie, zdarzało się, że rano też był wstawiony. Nie potrzebował towarzystwa, ale gdy się trafiało, upijał się do nieprzytomności. Sekretarka poradziła Wtoruszynowi, żeby porozmawiał z kierowcą Jarcewa, Witią.

– Zaczęłam pracować u Romana Walerjewicza dopiero jesienią, ale Witia jest z nim już od dawna, Roman Walerjewicz zabrał go ze sobą z Tomilina. Jeśli ktoś coś wie, to na pewno Witia.

Ilja znalazł kierowcę w domu, podczas nieobecności pracodawcy mężczyzna siedział bez zajęcia, więc z entuzjazmem oddawał się drobnym pracom remontowym, które nagromadziły się od chwili przeprowadzki z Tomilina, ale wciąż brakowało mu czasu. Za to teraz miał go co niemiara. Na widok milicjanta Witia, podobnie jak sekretarka, nieszczerólnie się zdziwił. O tym, że Jarcewa zatrzymano i podejrzewano o popełnienie przestępstwa, wiedziała już cała firma. Kierowca zdradził Wtoruszynowi, że szef zaczął pić po śmierci córki, najpierw tylko trochę, a później coraz więcej.

– Bardzo się martwił o żonę – mówił Witia, siedząc na taborecie przed Wtoruszynem i odruchowo obracając w rękach młotek. – Kobieta nie mogła się pogodzić ze śmiercią Alisy. A Jarcew pił, ponieważ bardzo jej współczuł, ale nie potrafił pomóc. Zresztą Ałła Iwanowna dawała nieustanne powody do niepokoju jeszcze przed śmiercią Alisy, ładna i atrakcyjna z niej przecież kobieta, podobała się mężczyznom i to wykorzystywała. Roman Walerjewicz coś podejrzewał, denerwował się, ale bardzo kochał żonę i wszystko jej

wybaczał. Ale to też dobry powód, żeby wpaść w nałóg, prawda?

Tak, Ała Iwanowna była kuta na cztery nogi. I dawała powody do zazdrości. Tak więc zaglądający do kieliszka Roman Jarcew mógł być zazdrosny o żonę, a pewnego pięknego dnia nie wytrzymał i zabił ją oraz jej kochankę. Tamtego dnia, gdy przyjechali do Tomilina i poszli na cmentarz, zachowanie Ały wydało mu się podejrzane, żona pierwsza zaproponowała alkohol i dolewała go mężowi, a sama tylko udawała, że pije. Jarcew domyślił się, że Ała wybiera się na randkę i czeka, aż Roman zaśnie, więc udał, że zapada w sen, a gdy tylko wyszła z mieszkania, ruszył za nią. Dotarł do tamy i natrafił tam na kochanków. Przycisnął pedał gazu i zepchnął ich do rzeki – akurat ta jej część nie była pokryta lodem, woda przez okrągły rok nie zamarza, ponieważ w pobliżu leżą zakłady chemiczne, które spuszczają tu odpady. Roman był tak pijany i przestraszony własnym czynem, że źle kojarzył, zostawił nawet kluczyki w aucie, całe szczęście, że nikt go nie ukraść.

Wszystko się zgadza. Jutro rano Wtoruszyn zamelduje Fiedułowowi o wynikach swojego wyjazdu. I zadzwoni do Kamińskiej. Oboje na pewno potwierdzą słuszność jego wniosków.

Ilja Wtoruszyn myślał też, że silni i apodyktyczni przedsiębiorcy, którzy potrafią postawić na nogi i rozkręcić własny biznes, często okazują się zupełnie bezradni wobec kobiet, do których żywią słabość. Tylko z pozoru tak się nie zdarza. W gruncie rzeczy owo zjawisko można zaobserwować na każdym kroku. Nierzadko okazuje się, że człowiek, który nienawidzi siebie za swoją słabość w domu i w

rodzinie, kompensuje to sobie okrucieństwem czy arogancją w pracy. Widocznie Jarcew jest osobą takiego pokroju, prowadzi własny interes, ale nie potrafi poradzić sobie z żoną.

*

– Ma pan rację, wszystko się zgadza – Nastia skinęła głową, wysłuchawszy Ilji Wtoruszyna. – Mogę obejrzeć rzeczy Jarcewa?

– Rzeczy? – Siedzący obok Fiedułow poderwał się ze zdziwieniem. – Jakie rzeczy?

– Rzeczy osobiste Jarcewa, które miał ze sobą w chwili zatrzymania.

– Na miłość boską! – Dmitrij wzruszył ramionami. – Co pani chce tam znaleźć?

Nastia właściwie nie wiedziała, czego szuka. Działała raczej pod wpływem wieloletniego przyzwyczajenia, które nakazywało jej wszystko sprawdzać i kontrolować. Myśl o ewentualnym zleceniu nie dawała jej spokoju i chociaż już prawie w nią nie wierzyła, owo „prawie” tkwiło w głowie jak zadra i domagało się podjęcia czynności operacyjnych. Może w rzeczach Jarcewa jest jakaś notatka, albo interesujący SMS w pamięci telefonu, albo... Tak czy inaczej, Nastia musi zobaczyć i się uspokoić.

Wtoruszyn zaprowadził ją do pomieszczenia, w którym przechowywano rzeczy zatrzymanych. Na biurku znajdowała się torba, obok niej leżały dokumenty, telefon komórkowy oraz portfel. W torbie

typowy zestaw na krótki wyjazd z noclegiem: przybory toaletowe, zmiana bielizny, książka, ładowarka do komórki. Telefon wyłączony – bateria się rozładowała. Dowód osobisty, prawo jazdy, dowód rejestracyjny samochodu. Nastia otworzyła portfel, była ciekawa, ile jest w nim pieniędzy. Okazało się, że sporo – osiemdziesiąt pięć tysięcy w pięciotysięcznych banknotach i jeszcze parę banknotów po tysiąc i po pięćset rubli. W bocznej kieszonce dwa zdjęcia – Alisy i Ałły. Ałła na zdjęciu była uderzająco piękna, bez wyzywającego jaskrawego makijażu, promiennie uśmiechnięta, z rozwianymi włosami i błyszczącymi oczami. Stała na tle równiny, na której pasły się owieczki. Krajobraz wydał się Nasti dziwny, jakiś nierosyjski. Ale nie stwierdziła nic podejrzanego, czegoś, co świadczyłoby o tym, że Jarcew planował popełnić morderstwo. Powinna jeszcze dla spokoju sumienia sprawdzić telefon, ale PIN do jego odblokowania zna tylko Jarcew.

– No i co? – z niepokojem zapytał Wtoruszyn, który przez cały czas stał za jej plecami. – Coś pani znalazła?

– Muszę sprawdzić telefon – powiedziała Nastia. – A właściwie chciałam jeszcze raz porozmawiać z Jarcewem.

– Znowu?! Po co tym razem?

– Nie wiem. Pracuję metodą prób i błędów – przyznała się. – Coś mnie niepokoi, ale nie mam pojęcia co. Coś nie pasuje. A zresztą mamy przecież nie tylko zabójstwo Jarcewej i Putilina, pozostaje jeszcze Aida Borisowna, która nam jakoś umknęła podczas tego całego zamieszania. Jeżeli Ałła Jarcewa wynajęła kogoś, żeby zabić Pawłową, mąż może o tym coś wiedzieć – nawet jeśli nie wszystko, to

przynajmniej cokolwiek. Chcę w tym pogrzebać. I jeszcze jedno, Ilja: zupełnie przeoczyliśmy, że zabójca Pawłowej znał szczegóły zabójstwa Koriaginy. To znaczy, że albo był obecny przy oględzinach miejsca zabójstwa Koriaginy, albo miał informatora w organach ścigania.

– Albo zabójcą jest funkcjonariusz milicji – podjął Ilja. – To miała pani przecież na myśli?

– To też.

– Krępowwała się pani powiedzieć? – zapytał kpiąco.

– Odniosłam wrażenie, że pański kolega Fiedułow nie aprobejuje tej sugestii, aż nim zatrzęsło, gdy wysunęłam ją po raz pierwszy, pamięta pan? Pomyślałam, że panu również nie odpowiada to przypuszczenie, więc pominęłam je milczeniem.

– Niepotrzebnie. – Wtoruszyn pokręcił głową. – Prawie nigdy nie myślimy z Dimką jednakowo, za bardzo się różnimy. Więc jeżeli jemu się coś nie podoba, może być pani pewna, że ja temu przyklasnę. On ma własne pojęcie etyki zawodowej i honoru firmy, nie cierpi, gdy się okazuje, że jakiś milicjant jest przestępcą, czuje się tym głęboko dotknięty.

– A pan nie? – z ciekawością zapytała Nastia.

– Ani trochę – odparł z uśmiechem Wtoruszyn. – Traktuję to jak rzecz oczywistą. Coś zwyczajnego i powszedniego. Milicjanci też są ludźmi, mają te same słabości i wady jak inni. Milicjant przestępca to nic niezwykłego. Tacy przestępcy są na całym świecie i nie należy zadrećcać się z tego powodu. Powinno się ich w porę demaskować i odsuwać od służby. No to jak, przyprowadzić Jarcewa?

– Niech pan przyprowadzi.

Jarcew nie był już w stanie odurzenia alkoholowego i mimo pobytu w celi wyglądał znacznie lepiej, zaczął nawet wykazywać oznaki agresji.

– Już pani mówiłem: nie znam żadnego Putilina. Jeriemiejewa też nie. W ogóle nie wiedziałem, że Ałła ma kochanka ani jak on się nazywa.

Coś takiego, pomyślała Nastia, facet był wstawiony, ale zapamiętał nazwiska. Niezłe ziółko z tego Romana Walerjewicza Jarcewa.

– Niech mi pan opowie o pańskim życiu z Ałłą – poprosiła Nastia ugodowym tonem.

Jarcew spojrzał na nią ze zdziwieniem, po czym uśmiechnął się krzywo.

– No jasne, wciąż jeszcze chodzi pani po głowie myśl, że zabiłem Ałłę z zazdrości. I czeka pani, aż zaraz zacznę opowiadać, że nam się nie układało, że często się kłóciliśmy, że mnie zdradzała. I wtedy mnie pani przyskrzyni.

– Proszę opowiedzieć, jak było naprawdę. Przecież się kochaliście i żyliście zgodnie i szczęśliwie, czyż nie?

Twarz Jarcewa przybrała poważny, a nawet zbolący wyraz.

– Nie uwierzy pani, ale rzeczywiście żyliśmy zgodnie. Cicho i spokojnie. Nie da się tylko powiedzieć, że szczęśliwie. Szczęście skończyło się tego dnia, gdy utopiła się Alisa...

Ałła Jarcewa oszalała z bólu, chciała bez przerwy rozmawiać o Alisie, oglądać jej zdjęcia i domowe filmy wideo, które nakręcili z

Romanem, chciała opowiadać o córce i ją wspominać. Ale on tego nie chciał. To go raniło. Przeżywał smutek inaczej, w milczeniu, starając się niczego nie wspominać i nie przysparzać sobie dodatkowych cierpień. Alkohol okazał się w tym pomocny – początkowo jeden kieliszek, później trzy, a wreszcie dziesięć. Małżonkowie powoli przestali się rozumieć, Ała uważała, że skoro Roman nie chce wciąż wspominać Alisy, to znaczy, że nie cierpi i nie czuje smutku. Jarcew usiłował być wsparciem dla zrozpaczonej żony, mimo to pojawił się między nimi rozdźwięk, który wciąż się pogłębiał i groził, że zamieni się w przepaść. Później Ała spotkała Polinę Sołodko i dostała bzika na punkcie adopcji, przestało ją cokolwiek interesować prócz dziewczynki. Romanowi było obojętne, czy Polina zamieszka z nimi, czy nie – byleby tylko Ała znowu stała się szczęśliwa i pogodna, taka, jakiej nie widział już od dawna.

– Jak na zdjęciu w pańskim portfelu? – zapytała Nastia.

– Widziała je pani? – Jarcew uśmiechnął się promiennie. – Prawda, że Ałoczka jest na tym zdjęciu niezwykle piękna? I szczęśliwa! Zrobiono je w Anglii, zaprosiła ją tam dawna koleżanka ze studiów, która wyszła za mąż za Anglika. Ała pojechała ją odwiedzić. Bardzo jej się spodobało za granicą! Tutaj, w domu, nigdy nie widziałem jej tak spokojnej i szczęśliwej jak na tym zdjęciu. Nawet zaczęła napomykać, że powinniśmy przeprowadzić się na stałe gdzieś do Europy.

– No cóż, to droga przyjemność – zauważyła Nastia. – Wymaga sporych pieniędzy.

W końcu udało jej się poruszyć temat, który ją interesował. Żeby wynająć zabójcę, trzeba mu zapłacić. Czy Ałła miała własne środki, którymi rozporządzała bez wiedzy męża? A może krótko przed zabójstwem Pawłowej poprosiła Romana o pieniądze, bo miała jakieś duże wydatki? A może Roman dał jej pieniądze, doskonale wiedząc, na co zostaną przeznaczone?

– Ałła miała swoje pieniądze. – Roman machnął ręką. – Dostała spadek po wujku, ważnym bankierze z Krasnojarska. Wujaszek zapisał jej przyzwoitą sumę, bo bardzo kochał Ałłoczkę. To były jej osobiste pieniądze, nie powiększyły naszego rodzinnego budżetu, ulokowała je w banku i nawet nie pobierała odsetek.

Tego akurat nie możesz wiedzieć, bo skoro pieniądze były własnością Ałły, mogła z nimi robić, co chciała. A tobie mogła wcisnąć bajeczkę...

– Chodziło o dużą sumę? – zapytała Nastia obojętnym tonem, udając, że ten temat nieszczególnie ją interesuje.

– Nie wiem – odparł Jarcew. – Ałła nie wymieniła dokładnej kwoty, ale wspomniała, że dostała ponad osiemset tysięcy euro. Bez przerwy marzyła, że adoptujemy Polinkę, że dziewczynka będzie się uczyć za granicą w najlepszych szkołach, college'ach i uczelniach. Pewnie w Anglii, bo Ałłoczce bardzo się tam podobało...

Ostatnie słowa Jarcewa Nastia ledwie słyszała. Nagle zrozumiała, co ją tak bardzo niepokoiło w ciągu ostatnich dni.

Tylko że to niemożliwe. Takie rzeczy się nie zdarzają. Bo jeśli to prawda, gorzej być nie może. A może Nastia znowu się myli?

*

Zzerała ją niecierpliwość, więc nawet nie zatrzymała się koło sklepu, żeby jak zwykle kupić sobie i Kumpelce coś „normalnego” do jedzenia. Wpadła do apartamentu, w biegu zrzucając kurtkę, włączyła komputer, weszła do Internetu, wpisała w wyszukiwarce słowo „Stonehenge” i wbiła wzrok w zdjęcia, które pojawiły się na ekranie. Oto co nie dawało jej spokoju i ćmiło jak chory ząb: kamień, na którego tle zrobiono zdjęcie Dmitrijowi Fiedułowowi. Kamień składający się jak gdyby z dwóch części i podobny do litery V, z jednej strony dłuższy, a z drugiej krótszy. Nastia nigdy i nigdzie nie widziała takiego kamienia, ale jego faktura coś jej przypominała. Dopiero gdy Jarcew dwukrotnie wspomniał o Anglii, doznała olśnienia. Stonehenge. Kamienny krąg w dolinie Salisbury. Nastia nie była tam, ale czytała o tym miejscu i widziała mnóstwo zdjęć. Wprawdzie nie mogła sobie przypomnieć żadnego kamienia w kształcie litery V, ale...

Przeglądała zdjęcia na stronie. Kamienny krąg sfotografowano w różnych ujęciach i w końcu udało jej się znaleźć to, czego szukała. Oto i one, dwa kamienie ustawione we względnie niedużej odległości, jeden pionowo, drugi nachylony pod kątem 60 stopni do powierzchni. Sfotografowane z tego miejsca wyglądają, jakby miały wspólną podstawę i tworzyły monolit. Nastia przejrzała wszystkie zdjęcia i upewniła się, że nie łamiąc regulaminu i nie wchodząc za ogrodzenie, da się sfotografować dwa kamienie w taki sposób, że cały kamienny krąg pozostanie za kadrem i uzyska się wrażenie dziwnej kamiennej

figury stojącej samotnie pośród rozległego zielonego pola okolonego drzewami na horyzoncie. To znaczy, że Fiedułow pojechał do Anglii, a swoją rodzinę oszukał, że wybrał się na połów ryb nad Bajkał. Nieładnie, Mitieńka. Czemu wymyśliłeś tę historyjkę? No tak, wszystko jasne, pojechałeś przecież z Ałłą, która też nie powiedziała mężowi prawdy. A więc byliście kochankami? Ojoj, Mitia.

Nastia zadzwoniła do Wtoruszyna. Miała w zwyczaju sprawdzać wszystko aż do samego końca.

– O ile dobrze zrozumiałam, Ilja, jest pan wielkim miłośnikiem podróży. Nie był pan przypadkiem w Anglii?

– Oczywiście, że byłem, babcia przez całe życie marzyła, żeby zobaczyć Londyńską Tower i przespacerować się po nabrzeżu Tamizy. A czemu?

– Może zawiózł ją pan do Stonehenge?

– Ma się rozumieć, że zawiózłem. Jak można być w Anglii i nie zobaczyć słynnego kamiennego kręgu. A dlaczego pani pyta?

Ale Nastia nie miała ochoty niczego tłumaczyć. Szkoda jej było czasu.

– Czy nie mógłby mi pan przynieść zdjęć ze Stonehenge?

– Mógłbym, jeśli powie pani, co się dzieje – odparł z gniewem. – Nie jesteśmy z Dimą chłopcami na posyłki, którzy robią, co im się każe, ale nie muszą o niczym wiedzieć.

Nastia stropiła się. Masz ci los, znowu zachowuje się, jakby pracowała na Pietrowce. A przecież tutaj nie ma podwładnych, nie może wydawać poleceń, nikt nie musi też spełniać jej próśb.

– Przepraszam, Ilja. Znalazłam w rzeczach Jarcewa zdjęcie Alfy. Jarcew twierdzi, że zostało zrobione w Anglii, w Stonehenge, ale ja mam wątpliwości i chcę to sprawdzić – skłamała.

Nie mogła przecież powiedzieć Wtoruszynowi, że podejrzewa jego kolegę. Kto wie, jak zareaguje? Nastia nie zauważyła szczególnej sympatii między wywiadowcami, ale nigdy nie wiadomo, jak się ktoś zachowa w nietypowej sytuacji.

– Mogła pani od razu powiedzieć – burknął Wtoruszyn. – Zdjęcia mam na pendrivie, jutro przyniosę.

– Dzisiaj – poprosiła Nastia.

– Ale pendrive jest w domu. Chce pani, żebym rzucił wszystko i po niego pobiegł?

Owszem, tego właśnie chciała. Ale to już przekraczało granice przyzwoitości.

– Jestem gotowa poczekać do wieczora, aż będzie pan wolny. Ale muszę koniecznie obejrzeć zdjęcia jeszcze dzisiaj.

Nastia zdawała sobie sprawę, że liczy się każda minuta. Za bardzo zbliżyła się do Fiedułowa i jeśli mężczyzna dotąd nie zdradzał oznak niepokoju, to wcale nie oznaczało, że go nie czuł. W każdej chwili może się zorientować, gdy tylko Jarcew przekaże mu treść rozmowy z Nastią. No a gdy Ilja powie mu o prośbie Nasti, żeby przyniósł zdjęcia Stonehenge, to już wszystko przepadło. Przyparty do muru, Dmitrij Fiedułow może się okazać zdolny do wszystkiego.

– I jeszcze jedna prośba, może nieco dziwna – ciągnęła. – Niech pan nie wspomina o tym Dmitrijowi.

– Dlaczego?

– Bardzo pana proszę. Tak trzeba. Niech mi pan zaufa – stanowczo oznajmiła Nastia.

– Dobrze – ze zdziwieniem wycedził Wtoruszyn. – Ale nie rozumiem, w co pani gra. To mi się nie podoba.

– Mnie też – odparła Nastia z westchnieniem. – Zróbmy tak: wieczorem da mi pan pendrive, przejrzę go w pańskiej obecności i jeśli okaże się, że mam rację, niezwłocznie panu wszystko powiem. Zgoda?

– A jeśli nie będzie pani miała racji?

– Mimo to powiem, a w dodatku przeproszę.

– No dobrze. – Ilja ustąpił. – Gdy będę wolny, zadzwonię do pani i podam swój adres, wtedy pani do mnie przyjedzie i wszystko pokażę.

– Kiedy mniej więcej to nastąpi?

– Proszę posłuchać, Anastazjo Pawłowno, zachowuje się pani jak natrętna żona, która spowiada męża z każdego kroku.

Nastia odniosła wrażenie, że Wtoruszyn uśmiechnął się przy tych słowach.

– Nie może pan tego ocenić – zaproponowała. – Nigdy nie był pan żonaty. Więc kiedy?

– Za jakieś dwie godziny. Odezwę się.

No proszę, jeszcze co najmniej dwie godziny. Trudno, trzeba wziąć się w garść i poczekać. Nic, tylko poczekać.

Nastia zadzwoniła do Czistiakowa. Zawsze tak robiła, gdy się denerwowała i nie mogła znaleźć sobie miejsca. Rozmowy z mężem, a właściwie sam dźwięk jego głosu, uspokajały ją i przywracały

wewnętrzna równowagę.

– Losza, nosisz w portfelu moje zdjęcie? – zapytała.

– Czyś ty zwariowała, kobieto? – Aleksiej wydawał się zdumiony. – Po co mi twoje zdjęcie? Mam stale przed oczami twoją twarz. Nie zdążę się stęsknić.

– Ale teraz nie ma mnie już dość długo, więc mnie nie widzisz – zaoponowała. – Naprawdę nie potrzebujesz mojego zdjęcia?

– Nie potrzebuję – wyznał. – Doskonale cię pamiętam. Czyżbyś ty nosiła moje zdjęcie?

– Nie.

– Więc czemu pytasz?

– Tak sobie. Wiele osób nosi zdjęcia swojej rodziny. Pewnie z tęsknoty.

– Aśka, z tobą naprawdę dzieje się coś niedobrego – oznajmił Czistiakow. – Długo jeszcze zamierzasz tam siedzieć?

– Nie wiem. – Nastia westchnęła. – Może parę dni, a może znacznie dłużej. To zależy.

– W takim razie co powiesz na to, żebym do ciebie przyjechał? – zapytał. – Już mi to przecież proponowałaś. Chcesz?

– No pewnie, Losza. Okropnie się za tobą stęskniłam.

– No to przyjadę. Tylko podgonię trochę robotę. Będziemy oglądać razem olimpiadę całymi nocami, masz pojęcie? Tak jak marzyłaś. Pamiętasz, że zaczęła się olimpiada?

– Zapomniałam – przyznała. – O wszystkim tutaj zapomniałam, w głowie mam tylko zabójstwa i tajemnice. Naprawdę przyjedziesz,

Losza? Będziemy razem spacerować, oglądać telewizję, no i poznam cię z Kumpelką.

– Z jaką znowu kumpelką?

– Tak wabi się pies, którym się opiekuję. Poznam cię też z Tamarą, narzeczoną Biegorskiego. Spodoba ci się, lubisz ludzi, którzy myślą niestereotypowo.

– To znaczy, że ten oligarcha ma też narzeczoną?

– No tak. A co w tym dziwnego?

– Myślałem, że oligarchowie mają tylko żony i kochanki.

– Narzeczone to etap przejściowy między kochanką a żoną – wyjaśniła Nastia ze śmiechem. – Tamara to naprawdę dobry człowiek. I w dodatku jest mądra. Przyjedź.

– No jeśli tylko ze względu na Tamarę... – Aleksiej się uśmiechnął.

*

Nastia czekała na telefon od Wtoruszyna i była poirytowana, że wywiadowca wciąż nie dzwoni. Czyżby zapomniał? Już wpół do dziesiątej. A może coś się stało, Ilja musiał pojechać na miejsce zdarzenia i nie ma teraz głowy do Nasti ani jej domysłów związanych ze zdjęciami?

Tymczasem Ilja niespodziewanie stanął na progu jej apartamentu.

– Przypomniałem sobie, że mam w mieszkaniu okropny bałagan. Spaliłbym się ze wstydu, gdybym panią do siebie zaprosił – wyznał. – Uznałem, że będzie lepiej, gdy sam przyjadę.

Podał jej pendrive, stojąc w drzwiach.

– Proszę wejść – zaproponowała Nastia.

– Chyba nie wypada, już późno. Zresztą jestem zmęczony. Pojadę do domu.

Nastia wzruszyła ramionami.

– Dobrze, jak pan chce. Dziękuję. Przykro mi, że musiał pan do mnie przyjechać.

– Nie szkodzi, nasze miasto jest nieduże, to przecież nie Moskwa. Można je przerzucić kamieniem, poza tym wieczorem nie ma korków.

– Ale chciał pan przecież usłyszeć moje wyjaśnienia – przypomniała Nastia. – Zdaje się, że tak się umawialiśmy.

– Pani chyba też jest zmęczona i chce odpocząć...

Czemu on nagle przejął się etykietą? Jakby nie był milicjantem, ale dobrze wychowanym chłopcem.

– Nie zamierzam odpoczywać, zanim nie obejrzę zdjęć i nie potwierdzę swoich domysłów. Jeśli jest pan ciekaw, proszę się rozebrać i wejść, a jeśli nie, to dobranoc – odparowała. – Nie zapomniał pan, że prawie trzydzieści lat przepracowałam tam, gdzie pan? Czemu się pan ze mną cacka? Można by pomyśleć, że nigdy nie widziałam nieposprzątanego mieszkania i chodzę spać o dziesiątej.

– Przepraszam.

Wtoruszyn szybko zdjął kurtkę i buty, po czym ruszył za Nastią do salonu.

Zdjęć zrobionych w Stonehenge było bardzo dużo, Ilja z babcią fotografowali nie tylko słynne kamienie we wszelkich możliwych

ujęciach, ale też pobliską okolicę. A oto i owieczki, kubek w kubek takie jak na zdjęciu znalezionym u Jarcewa. Drzewa na horyzoncie też są takie same, Nastia je doskonale pamięta. A zatem zdjęcie Ałły zrobiono też w Stonehenge i to nie tylko o tej samej porze roku, ale i dnia. Nastia mogłaby przysiąc, że tak jest, ponieważ uważnie studiowała oświetlenie zarówno na zdjęciu Fiedułowa, jak i Jarcewa. Teraz nie ulega wątpliwości, że Ałła i Fiedułow pojechali razem do Anglii. To był rozkwit ich romansu, więc twarze obojga promieniają szczęściem i spokojem. We dwoje, z dala od swoich rodzin, od pracy, trosk i problemów, należeli tylko do siebie...

Jeśli wierzyć Jarcewowi, Ałła miała własne pieniądze, i to spore. Jak się też okazało, łączyła ją intymna znajomość z Dmitrijem Fiedułowem. To całkiem oczywiste, że mogła być „przyjacielem”, który pożyczył mu pieniądze na kupno domu. Dmitrij zamierzał sprzedać samochód, żeby zapłacić za dom, ale wóz spalili bandyci, a na domu bardzo mu zależało, przecież jego matka Zoja Michajłowna mówiła, że rodzina cisnęła się w dwupokojowym mieszkanku – sześcioro dorosłych i trójka dzieci, na dodatek kolejne dziecko było w drodze. Tak więc Ałła dała pieniądze, a Dima je wziął, ponieważ marzenie o domu pochłaniało go bez reszty. Ałła nie domagała się zwrotu długu, wiedziała, że Fiedułow nie jest w stanie go oddać, bo jego dochody nie pozwalają mu szybko zwrócić pieniędzy, poza tym ich romans wszedł pewnie w taką fazę, w której nie myśli się o wzajemnych zobowiązaniach finansowych. Później umiera córka Ałły i przez pewien czas Jarcewa nie ma głowy do kochanka i do pożyczonych mu

pieniędzy. Może pogrążona w rozpacz w ogóle zapomina i o długi, i o Fiedułow. Kochankowie przestają się spotykać.

A później pojawia się mała Polinka Sołodko i Ała zaczyna snuć plany związane z adopcją, ale na drodze do jej szczęścia staje wstrętna Aida Borisowna, którą Polinka kocha i z którą za nic nie chce się rozstawać. Ała prosi Aidę, żeby przekonała dziewczynkę. Nie ukrywa przed Pawłową, że dziewczynka jest bardzo podobna do zmarłej Alisy i może dać Jarcewom iluzję odzyskania ukochanej córki. Takie podejście bardzo się nie podoba Aidzie Borisownie, która próbuje wytłumaczyć, że nie da się zastąpić jednej osoby drugą, że to niewłaściwy i nieetyczny pomysł, ale Ała nie słucha, całkowicie pochłonięta swoją idée fixe. Pawłowa uprzedza Jarcewów, że nie tylko nie pomoże przeprowadzić ich planu, ale zrobi wszystko, żeby im przeszkodzić. Wtedy Ała postanawia użyć radykalnego sposobu, który złamie opór Poliny.

Ojciec Jurija Putilina mówił, że ktoś chciał zlecić zabójstwo jego synowi. A jeśli to była Ała, która postanowiła pozbyć się Aidy Borisowny, bo kobieta uniemożliwiała adopcję? Jurij odmówił, a wtedy... Wtedy Ała musiała poszukać innego zabójcy i zwróciła się do dawnego kochanka. Każe mu oddać dług albo go odpracować. Fiedułow nie ma z czego oddać, więc nie pozostaje mu nic innego, jak przyjąć zlecenie. Mężczyzna podejmuje się zabicia Aidy. Do głowy wpada mu pierwszorzędnny pomysł: zainscenizuje zabójstwo Aidy Borisowny tak, jakby popełnił je szaleniec, który pół roku wcześniej zamordował Galinę Iljiczną Koriaginę. Dmitrij doskonale zna

szczegóły zbrodni, nawet te, które nie są znane szerokiemu ogółowi społeczeństwa, więc bez problemu organizuje wszystko w taki sposób, żeby drugie zabójstwo wyglądało na dokładną kopię pierwszego. A po zabójstwie Aidy zabiera klucze od jej mieszkania, zjawia się tam i niszczy korespondencję Pawłowej z Poliną Sołodko. Odtąd nikt nie będzie mógł powiązać śmierci dawnej śledczej z dziewczynką i usiłowaniami Jarcewów, żeby ją adoptować. Później Fiedułow wraca i odkłada klucze na miejsce, do torebki. Ale żeby to zrobić, musiał zabić Pawłową w takim miejscu, żeby ciało nie zostało od razu znalezione, w przeciwnym razie nie miałyby gwarancji, że uda mu się zwrócić klucze. Wybiera więc zaciszne miejsce, gdzie do rana nikt się nie zjawi. Jak Fiedułowowi udało się zwabić Aidę Borisownę na budowę? Jakoś mu się udało, przecież się znali, więc mógł to zrobić pod dowolnym pretekstem. Wszystko przemyślał i niczym właściwie nie ryzykował.

Co się dzieje potem? Polinka nadal odmawia adopcji, przeżywa śmierć Aidy i odwiedza ją na cmentarzu, więc Ała musi się pogodzić ze swoją porażką. Wyjeżdża z mężem do stolicy obwodu, ucieka od tragedii, która ją spotkała, i od całej tej strasznej historii, a jednocześnie od Kostia Jeriemiejewa, który doskonale rozumiejąc, z czyjej inicjatywy i dlaczego została zabita Aida Borisowna Pawłowa, staje się źródłem nieprzyjemnych emocji dla Ały. Ich romans wygasł, bo słaby, ale w gruncie rzeczy porządny Kostia Jeriemiejew, vel Jurij Putilin, nie potrafił pozostać w bliskim związku z kobietą zdolną do zorganizowania zabójstwa, ona zaś nie potrafiła i nie chciała być nadal kochanką mężczyzny o słabej woli, który nie jest dla niej gotów

na wszystko.

Jednakże wznowienie poszukiwań zabójcy oraz zainteresowanie Nasti Aidą Borisowną oraz Kostią obudziły czujność i niepokój Ałły, która dzięki Fiedułowowi świetnie wie, że Anastazja Kamińska nie jest żadnym socjologiem, tylko detektywem badającym zabójstwo Koriaginy i, co najbardziej przykre, Pawłowej. Jarcewa boi się, że jeśli ktoś przycisnie Kostię, ten wszystko powie. Więc podejmuje decyzję, że dawnego kochanka należy zmusić do milczenia. Znowu zwraca się do Fiedułowa, bo przecież mężczyzna nie odpracował jeszcze długu, zabijając Aidę. Dmitrij zdaje sobie sprawę, że musi powstrzymać Ałłę, inaczej sprawa nigdy się nie skończy. Wymyśla zatem morderstwo Ałły, a zarazem Kostii, ale zgodnie z jego planem sprawcą ma zostać Roman, mąż Ałły, na którego łatwo zrzucić zbrodnię popełnioną z zazdrości, bo przecież o romansie Ałły i Kostii było głośno w klubie Złoty Wiek, więc o zeznania świadków nie trzeba się martwić.

– Tak to mniej więcej wygląda – podsumowała Nastia. – Tylko na razie nie da się niczego udowodnić.

– Zgadza się – przyznał Wtoruszyn – wszystkie dowody są poszlakowe. Zaskoczyła mnie pani, Anastazjo Pawłowno. Nie mogę uwierzyć, żeby Dimka... Ale nie mogę też podważyć pani argumentów, jest pani bardzo przekonująca. Krótko mówiąc, mam mętlik w głowie.

– Fiedułow był na miejscu zdarzenia, gdy zatrzymano Jarcewa? – zapytała Nastia.

– Oczywiście. Ja też tam byłem.

– Brał udział w oględzinach samochodu?

– Tak, wsiadł do środka, coś tam oglądał, a potem wyciągnął kluczyki ze stacyjki.

– Niedobrze. – Nastia pokręciła głową z niezadowoleniem. – A więc żadna ekspertyza na nic się nie zda, wszystkie odciski Fiedułowa w aucie Jarcewa będą miały wyjaśnienie potwierdzone przez wielu świadków.

– A jeśli go zaatakować?

– To znaczy?

– Chyba pani wie, że gliniarze wpadają łatwiej i szybciej niż inni przestępcy. Jeśli już decydujemy się na przestępstwo, jesteśmy tak pewni, że nikt nas nie złapie, bo jesteśmy zawodowcami i wszystko należycie przemyśleliśmy, że nawet nie przygotowujemy sobie obrony i usprawiedliwienia. Oskarżenie jest dla nas zawsze wielką niespodzianką. Może warto spróbować przycisnąć Dimkę czymś niespodziewanym, żeby go zbić z tropu?

– Na przykład czym? A przy okazji – zreflektowała się – zwrócił się pan o billing telefoniczny Jarcewa?

– Tak, już go otrzymaliśmy. Nie ma tam nic szczególnego.

– A co z billingiem Ałły?

– Nie był nam potrzebny. – Wtoruszyn wzruszył ramionami. – Sądzi pani, że może się przydać?

– No oczywiście, Ilja! – Oczy Nastii zapłonęły. – Nie może pan wystąpić o billing Fiedułowa, to niebezpieczne, bo się od razu dowie, ale rozmowy telefoniczne Ałły to normalne działanie operacyjne. Wyjaśnimy, jak często i kiedy rozmawiała z Dmitrijem w ostatnim

czasie. A jednocześnie dowiemy się czegoś o jej kontaktach z Putilinem, czy były częste i czy też tylko ostatnimi czasy. Upora się pan z tym szybko i dyskretnie?

– To znaczy, nie występując oficjalnie? – Wtoruszyn się uśmiechnął. – No cóż, życie na prowincji ma pewne zalety w porównaniu z życiem w stolicy. Niemal każdy problem można rozwiązać dzięki osobistym kontaktom. Choć muszę przyznać, że jeśli chodzi o informacje, to one rozchodzą się u nas szybciej.

– Ale zaryzykuje pan? – Nastia spojrzała na Ilję z nadzieją.

– Zdaje się, że nie mam wyjścia.

Nastia zerknęła na zegarek i jęknęła: druga w nocy, brama już zamknięta. Jeżeli Ilja zechce opuścić teraz teren posiadłości, będzie musiał przejść przez posterunek ochrony, a tam z pewnością go wylegitymują. Nie wiadomo, czy któryś z ochroniarzy nie zna Fiedułowa i już z samego rana Dmitrij dowie się, że jego kolega był w nocy u Kamieńskiej. To całkiem prawdopodobne, Ilja mówił przecież niedawno o specyfice miasta. Co robić?

– Przepraszam, Ilja, ale będzie pan musiał zostać u mnie do rana – powiedziała stanowczo. – Jeżeli nie chcemy spłoszyć Fiedułowa, musi się pan poświęcić.

– A pani? – zapytał Ilja z uśmiechem. – Czy obcy facet za ścianą w nocy to dla pani normalka?

– Zgadza się, jestem przyzwyczajona. – Nastia też się uśmiechnęła. – Mam... to znaczy miałam kolegę, który regularnie kłócił się z żoną, więc musiałam przygarniać go na noc. No i jakoś mieściliśmy się

razem w mojej kawalerce.

– A kiedy będę mógł stąd wyjść?

– Nie wcześniej niż o dziesiątej. Do dziesiątej brama jest zamknięta i ochroniarze zapisują tych, co wchodzi i wychodzą. Takie panują tutaj zwyczaje.

– Fatalnie! O dziesiątej muszę być w komisariacie... No trudno, coś wymyślę. Zadzwoń i nawiń makaron na uszy. To dla mnie nie pierwszozna. Ale czy naprawdę nie sprawię pani kłopotu, zostając na noc?

– Zapewniam pana, że nie. Położę pana w tym pokoju na kanapie. W łazience jest czysty ręcznik i nowa szczoteczka do zębów. Nie wiem tylko, jak pan sobie poradzi z goleniem.

– To żaden problem. – Wtoruszyn machnął ręką. – Ogołę się w komisariacie, mam w gabinecie podręczny zestaw do golenia, sama pani rozumie, nigdy nie wiadomo, gdzie człowiek spędzi noc, w domu czy na zestawionych krzesłach w pracy.

– Jasne.

Nastia zdziwiła się, że obecność młodego i w gruncie rzeczy prawie nieznanego mężczyzny w apartamencie wcale jej nie peszy. Czyżby aż tak się postarzała? – pomyślała. W ogóle się nie przejmuję, że Ilja zobaczy mnie zaraz w szlafroku, a rano nieumytą i nieuczesaną. W młodości to by mnie krępowało. A może nie? Do licha, nie pamiętam już, co czułam w młodości. To było tak dawno...

Pozwoliła, żeby gość pierwszy skorzystał z łazienki, zaczęła, aż położy się na kanapie, zbyt krótkiej i wąskiej dla jego masywnego

ciała, po czym wzięła prysznic i wsunęła się do łóżka. Jutro rano wyśle Ilję do pracy, a sama...

Już wiedziała, co zrobi jutro rano.

*

Nastia odprowadziła Wtoruszyna, po czym zjadła pośpiesznie śniadanie w restauracji i zajrzała do apartamentu Tamary.

– Tamaroczko, postanowiłam przyjąć pani propozycję i spróbować – oznajmiła od progu.

– Zajmiemy się szyciem sukni? – Tamara się ucieszyła.

– Na razie nie – odparła Nastia ze śmiechem. – Jeszcze do tego nie dojrzałam. Ale jestem gotowa na zmianę uczesania.

– Znakomicie!

Tamara od razu się poderwała i zaczęła szykować, zmieniła luźną jaskrawą sukienkę domową na spodnie i ładną kolorową tunikę, wyjęła album i podsunęła Nasti.

– Podczas gdy będę robiła sobie makijaż, proszę przejrzeć pięć ostatnich stron, narysowałam tam wersje pani uczesania.

– Mojego? – Nastia się zdumiała. – Była pani pewna, że się zgodzę, i zawczasu wszystko przygotowała?

– Nie, nie miałam pewności, ale byłam ciekawa, jak to wypadnie, przynajmniej na papierze. Proszę przejrzeć i się zastanowić. Moim zdaniem są tam wersje godne uwagi.

Tamara zniknęła w łazience, a Nastia zaczęła wertować album. Z

jakiegoś powodu czuła niepokój na myśl o stronach z „jej” uczesaniem, więc zwlekała, przyglądając się znajomym twarzom gości i pracowników klubu z nowymi fryzurami. Oto Jelena Stanisławowna Murawjowa w finezyjnym uczesaniu, pasującym tylko do sukni wieczorowej. A tutaj Putilina, kobieta raczej niepozorna, Tamara wymyśliła dla niej uczesanie, dzięki któremu grube rysy twarzy od razu wyszlachetniały. A tutaj Lena Bielakowa, córka Biegorskiego, z włosami innego koloru, ale uczesana tak samo... A oto i ona, Nastia Kamieńska. Boże, skąd ten strach? Jakby siedziała na fotelu u dentysty.

Nastia zacisnęła powieki, a później powoli je otworzyła. Nie, to niemożliwe! Gdzie ona pójdzie w takim uczesaniu? Nie bywa na przyjęciach, a do tej fryzury potrzebna jest raczej suknia koktajlowa. Ogarnął ją śmiech, więc dziarsko przewróciła stronę. Ta wersja też jest nie do przyjęcia... Choć właściwie czemu nie, krótkie włosy, długa grzywka, spod której zerkają figlarne, wesołe oczy. Nastia nigdy nie nosiła grzywki. W sumie to nawet ciekawe. Ale skąd pomysł, że jej oczy mogą być tak roześmiane? Tamara świetnie rysuje, podobieństwo jest wprost zdumiewające, a przecież rysunek został zrobiony nie z natury, tylko z pamięci.

Nastia przejrzała pięć rysunków i zatrzymała się na asymetrycznym eleganckim uczesaniu. Nie wiadomo, jak wypadnie w rzeczywistości, ale na obrazku jej się spodobało.

– No i jak? – Tamara stanęła w drzwiach pokoju. – Na coś się pani zdecydowała?

– Owszem. – Nastia pokazała rysunek, który zwrócił jej uwagę. – Co pani na to?

– Uważam, że będzie pani wyglądała wspaniale – odparła Tamara z przekonaniem. – Chodźmy.

Dziesięć minut później Nastia siedziała w salonie fryzjerskim pod turkusową peleryną w kwiatki, Tamara zaś układała na stoliku nożyczki i grzebienie. Nastię znowu ogarnął strach. Co innego podjąć decyzję, siedząc na kanapie i oglądając rysunki, a zupełnie co innego pozwolić sobie obciąć długie włosy, to znaczy zniszczyć coś znanego, naturalnego i miłego sercu. Tamara domyśliła się nastroju Nasti i dotknęła jej ramienia.

– Niech się pani nie boi, Nastieńko, gwarantuję, że nie wyjdzie źle. Będzie po nowemu, inaczej, w pierwszej chwili zaskakująco, no i będzie pani zimno w szyję. Ale na pewno będzie pani wyglądała cudownie. Wspominała pani, że mąż zamierza przyjechać, tak?

– Zamierza, ale nie wiem, czy mu się uda.

– Naturalnie, że się uda. Przyjedzie i oniemieje. Proszę spojrzeć.

Ale Nastia nie chciała już na nic patrzeć. Zacisnęła powieki i oddała się w ręce mistrzyni. Nie otwierała oczu nawet podczas mycia głowy. To nic strasznego, przekonywała się w duchu, słuchając szczękania nożyczek nad uchem. Mogę sobie tylko pogratulować, że się zdecydowałam. Nie jestem jeszcze do niczego, na coś mnie jeszcze stać. Potrafię oswoić się z nowym uczesaniem, nie z takimi rzeczami radziłam sobie w życiu. Pułkownik Kamieńska z Pietrowki to przeszłość, trzeba się z tym pogodzić, ale kto powiedział, że Nastia

Kamieńska to też przeszłość? Wprawdzie nie jest to już ta sama, tylko inna Nastia, która jednak rozpoczyna życie od nowa. Nie ma znaczenia, że to już inne życie, mimo wszystko to nadal życie, które właśnie się zaczyna. Z nową pracą, nowym uczesaniem, nowymi znajomościami i nowym systemem wartości. To przecież wspaniałe! Nie ma powodu, żeby się bać. Trzeba otwierać wszystkie drzwi, które napotyka się na swojej drodze...

– Może pani otworzyć oczy – usłyszała głos Tamary. – To, co najgorsze, ma pani za sobą.

Z lustra spoglądała na Nastię kobieta dojrzała, zagadkowa i elegancka. Wizerunek dziewczyny z włosami ściągniętymi w koński ogon przestał istnieć raz na zawsze. Szkoda, że Starkow mnie nie widzi, przemknęła Nasti przez głowę figlarna myśl. Na pewno by to docenił.

– No i jak? – zapytała Tamara kpiąco. – Świat się nie zawalił? Wszyscy żyją?

– Nawet więcej – rześko odparła Nastia. – Nie poznaję samej siebie, ale wyszło doskonale. Tylko zimno mi w szyję.

– Uprzedzałam panią. Niedługo się pani przyzwyczai, uczucie chłodu nawet się pani spodoba. A co z suknią? Nie zmieniła pani zdania?

– Jeszcze nie. Nowa fryzura to zbyt wiele, proszę mi pozwolić otrząsnąć się z szoku.

– Dobrze – bardzo poważnie odparła Tamara. – Podczas gdy będzie pani dochodzić do siebie, zdejmę z pani miarę.

– Nie trzeba – zaprotestowała Nastia.

– A co to szkodzi? Do niczego to pani nie zobowiązuje, a ja będę miała na wszelki wypadek pani wymiary. A nuż się pani zdecyduje? Zajmę się tymczasem wykrojem, a później zobaczymy.

Nastia posłusznie pozwoliła zdjąć z siebie miarę, dziwiąc się niespodziewanej myśli, która ją uderzyła: właściwie w co się teraz ubierze? Nie ma przecież żadnej sukienki ani garsonki, tylko dzinsy, spodnie, swetry, pulowery i bluzki. Nie ma nawet spódnicy. Zaraz wezmę samochód i przejadę się po sklepach. I tak muszę czekać, aż Wtoruszyn zdobędzie wydruk rozmów Ałły Jarcewej. Przynajmniej będę miała jakieś zajęcie. Wprawdzie Biegorski uprzedzał, że w miejscowych sklepach nie ma rzeczy w dobrym gatunku, ale nie muszę przecież niczego kupować, tylko przymierzę, żeby się przekonać, jakie ubrania będą pasowały do nowego uczesania. Nowy wizerunek wymaga odpowiedniego stroju. Loszka przepędzi mnie na cztery wiatry, gdy zacznę wydawać pieniądze na ciuchy... Nie szkodzi, jakoś sobie poradzę. W końcu jestem jeszcze całkiem, całkiem! Za wcześnie, żeby mnie spisywać na straty, myślała z uśmiechem.

Nie wybrała się jednak na zakupy. Gdy wróciła do apartamentu i sprawdziła pocztę w komputerze, trafiła na list od Wtoruszyna: „Przesyłam pani billing rozmów A.J. od 1 grudnia 2009 roku. Zasłużyłem na ciastko z kremem. I.W.”

Kto by miał teraz głowę do sklepów! Nastia otworzyła załącznik do listu i zaczęła go analizować. Najpierw prześledziła rozmowy Ałły i Jurija Putilina, którego Ałła знаła jako Kostię Jeriemiejewa. Tydzień

temu Kostia zadzwonił do Ałły, odnotowano połączenie przychodzące z jego numeru, rozmowa trwała niedługo, cztery i pół minuty. Ałła i Kostia nie kontaktowali się od dwóch miesięcy i nagle Jeriemiejew do niej zadzwonił. Jakież dwadzieścia minut później Ałła do niego oddzwoniła, tym razem rozmawiali prawie osiemnaście minut. Rozmowa musiała być poważna. Później Ałła zadzwoniła do Jeriemiejewa w przeddzień śmierci, półtorej minuty. Następnie w dniu śmierci – dwie minuty. I ostatnia rozmowa – godzinę przed ich zabójstwem, najkrótsza, nawet nie pół minuty. Jakie wnioski się nasuwają? Najpierw Kostia, to znaczy Jurij Putin, zadzwonił do dawnej kochanki i podzielił się z nią swoimi obawami. Ałła się tego nie spodziewała, nie była gotowa na rozmowę, zareagowała obojętnie i szybko ją przerwała. Gdy jednak przemyślała to, co usłyszała, uświadomiła sobie, że Kostia jest w złym stanie i trzeba go uspokoić. Dwadzieścia minut później sama zadzwoniła do dawnego kochanka i przekonywała go, żeby się nie przejmował. Przekonywała przez niemal osiemnaście minut! Widocznie nie przekonała i doszła do wniosku, że problem z Kostią należy jakoś rozwiązać. Logicznie rzecz biorąc, zaraz potem powinna była zadzwonić do Fiedułowa. No więc sprawdźmy.

W tym momencie Nastię znowu obleciał strach. A jeśli się myli? Wymyśliła zgrabną historyjkę i nawet udało jej się przekonać o swojej słuszności Ilję Wtoruszyna, zmusić go, żeby podejrzewał swojego kolegę o straszliwe zbrodnie. A teraz tutaj, w dokumencie wyświetlonym na ekranie komputera, albo się potwierdzi, że ma rację,

albo wszystko się zawali. Nie, tak naprawdę nic się nie zawali, Ałła niekoniecznie musiała dzwonić do Fiedułowa pod numery znane Nasti i Wtoruszynowi. Fiedułow może mieć dwie albo nawet trzy komórki, dzisiaj wiele osób ma parę numerów i udostępnia je bynajmniej nie wszystkim. Jeśli jednak w wykazie figuruje telefon Ałły do Fiedułowa, będzie to oznaczało tylko jedno: przyłapanie go nie nastreczy trudności, ponieważ facet czuje się bezpieczny i niczego się nie obawia, jest pewien własnego sprytu i przezorności, a także głupoty i braku przenikliwości innych. To właśnie charakteryzuje większość przestępców, w przeciwnym razie nie popełnialiby zbrodni.

Tak, oto i on, telefon Ałły do Fiedułowa tego samego dnia co długa rozmowa z Kostią, dosłownie pół godziny później. Nastia odetchnęła z ulgą i dokładnie przeanalizowała wykaz. Przez cały grudzień żadnych rozmów między Ałłą i Fiedułowem. Przez cały styczeń tak samo. A na początku lutego... Nastia otworzyła notes i porównała ze swoimi zapiskami. Wszystko się zgadza, Fiedułow dzwonił do Ałły półtorej godziny przed rozmową Nasti z Jarcewą, a równo trzy minuty po zakończeniu rozmowy Ałła do niego zadzwoniła. To znaczy, że najpierw Dmitrij uprzedził Ałłę, że zadzwoni do niej Kamieńska i pewnie poinstruował: sprawa dotyczy Kosti Jeriemiejewa, nic się nie dzieje, może się nie przejmować, ale po rozmowie niech od razu do niego zadzwoni i powie, co i jak. Więc Ałła zadzwoniła. Zameldowała, zdała relację. Brawo, grzeczna dziewczynka.

Później w kontaktach Jarcewej i Fiedułowa znowu następuje przerwa. Aż do chwili, póki Kostia Jeriemiejew nie wyartykułował

swoich obaw. W czasie pomiędzy długą rozmową z Kostią a dniem podwójnego zabójstwa Jarcewa regularnie naradza się z Fiedułowem. Oto ostatnie telefony: Ała zadzwoniła do niego w przeddzień zabójstwa, później od razu skontaktowała się z Kostią, następny telefon był rano w dniu zabójstwa, zaraz potem Jarcewa znowu dzwoni do Jeremiejewa, później zdzwaniają się w ciągu dnia, rozmawiają bardzo krótko, później wieczorem i znowu rozmowa trwa niecałą minutę, no i wreszcie dwa ostatnie połączenia – o pierwszej w nocy, po czym Ała od razu telefonuje do Jeremiejewa, i o pierwszej dwanaście. Koniec. Jarcewa nie prowadziła więcej żadnych rozmów z Fiedułowem. A koło drugiej w nocy jej samochód został zepchnięty z tamy.

Ten pasjonujący obrazek świadczy o tym, że Jarcewa była w zмовie z Fiedułowem. Stale otrzymywała od niego instrukcje i wykonując je, dzwoniła do Kosti. Poprosiła Fiedułowa o rozwiązanie problemu z Jeremiejewem, Dima wymyślił schemat zbrodni i polecił Alle, żeby go słuchała, o nic nie pytając, a sam pewnie już od razu postanowił pozbyć się też dawnej kochanki, inaczej szantaż nigdy się nie skończy. Fiedułow dokładnie instruuje Ałę, która posłusznie wykonuje jego polecenia. Kobieta upiła męża do nieprzytomności, zadzwoniła do Fiedułowa, oznajmiła, że „klient jest gotów”, Fiedułow kazał jej zadzwonić do Kosti i zaprosić go na spotkanie, na które Ała właściwie już wcześniej umówiła się z Jeremiejewem, musiała tylko ustalić czas i miejsce. No więc kobieta je ustala. Dzwoni do Jeremiejewa i mówi, że zaraz po niego przyjedzie. Ale musi przekazać

Fiedułowowi kluczyki od land rovera Romana, więc parę minut później dzwoni do niego jeszcze raz, oznajmia, że udało jej się wyjść z domu i że ma kluczyki, tymczasem Kostia stoi w umówionym miejscu i czeka, aż ona po niego przyjedzie. Fiedułow każe jej dostarczyć mu gdzieś kluczyki, później zabrać Kostię i zawieźć go na tamę. Całkiem możliwe, że wszystko było jeszcze prostsze i Ała nie musiała nigdzie zawozić kluczyków, bo Fiedułow czekał na nią pod domem. Ała dzwoni, mówi, że wszystko gotowe, on zjawia się dosłownie chwilę później, zabiera kluczyki i Ała odjeżdża. Z całą resztą Fiedułow radzi sobie sam.

Wszystko się zgadza. Ciekawe, kto wezwał milicję i poinformował, że samochód spadł z tamy? Czyżby rzeczywiście jakiś świadek? Oj, raczej trudno uwierzyć, żeby w Tomilinie mieszkali tacy świadomi ludzie. To chyba robota Fiedułowa. Na wszelki wypadek zmienił głos, mówił przez chusteczkę i zadzwonił z automatu koło tamy, a nie ze swojej komórki, ponieważ na komisariacie identyfikowane są wszystkie numery. Chciał, żeby samochód został wyciągnięty z wody jak najprędzej, póki Jarcew się nie ocknął i nie zobaczył swojego auta z kluczykami w stacyjce i z rozbitą maską, bo nie wiadomo, jak by się zachował.

Wszystko poszło po myśli Fiedułowa. Samochód szybko znaleziono, wyciągnięto z niego zwłoki i je rozpoznano, namierzono Jarcewa, znaleziono jego mieszkanie i samochód... Wszystko się udało.

A jednak Fiedułow chyba nie wziął czegoś pod uwagę, skoro Nastia potrafiła rozszyfrować jego plan.

ROZDZIAŁ 15

Nigdy nie podejrzewał, że w celi może być tak niewygodnie i nie da się w niej zmrużyć oka. W głowie kłębiły się wspomnienia i gorączkowe myśli, jak do tego doszło...

Pod koniec 2006 roku żona Fiedułowa Swietłana była w ciąży z trzecim dzieckiem. Dmitrij bardzo go pragnął, bo lubił dzieci, w dodatku badanie USG pokazało, że będzie to chłopiec, więc cieszył się jak nigdy w życiu. Spokoju nie dawał mu tylko problem mieszkania. Rodzice, Dmitrij z żoną i dwoma córkami, młodsza siostra z mężem i dzieckiem – wszyscy cisnęli się w dwupokojowej klitce. A w drodze było jeszcze jedno dziecko...

Niespodziewanie Fiedułow otrzymał propozycję kupna parceli z wybudowaną już na niej drewnianą willą, w dodatku za grosze, ponieważ właścicielowi spieszyło się ze sprzedażą i miał już paru chętnych. Decyzję należało podjąć bez zwłoki, ale Dmitrij nie miał pieniędzy, miał za to drogi samochód, który dostał w prezencie od biznesmena wraz z upoważnieniem do korzystania. Upoważnienie nie pozwalało mu go jednak sprzedać, a biznesmena nie było akurat w mieście, wyjechał na miesiąc w interesach. Fiedułow zwrócił się więc do swojej kochanki Ałły Jarcewej, która dostała niedawno spadek i dysponowała dużymi pieniędzmi. Obiecał zwrócić dług w ciągu

miesiąca, gdy tylko biznesmen wróci i uda się sprzedać samochód. Ała chętnie się zgodziła, dała pieniądze, ale sporządziła umowę pożyczki z drakońskim zapisem mówiącym, że jeśli Fiedułow nie odda pieniędzy w terminie, ona ma prawo zabrać mu dom na poczet niespłaconego długu. Dmitrij akceptował każde warunki, ponieważ był absolutnie pewien, że odda dług nawet przed umówionym terminem. Tymczasem bandyci spalili mu samochód, więc nie miał co sprzedać i nie mógł zwrócić długu.

W połowie 2007 roku Ała straciła córkę Alisę, więc na pewien czas zapomniała o długu, w każdym razie zerwała kontakty z Fiedułowem i nie wspominała o pieniądzach. Dmitrij mieszkał w domu, starał się nie myśleć o najgorszym, co mu całkiem dobrze wychodziło. Nawet udało mu się sobie wmówić, że sytuacja się wyklarowała i może mieszkać w domu, za który nie zapłacił ani kopiejki.

We wrześniu 2009 roku nagle zjawiała się Ała i poprosiła o spotkanie. Powiedziała, że trzeba sprzątnąć pewną wstrętą babę, która nie pozwala jej adoptować dziewczynki bardzo podobnej do Alisy. Dziewczynka jest sierotą, ani jej prawna opiekunka, ani opieka społeczna nie mają nic przeciw zamiarom Ały, ale dziewczynka się upiera, bo wbiła sobie do głowy, że chce dorastać i mieszkać razem z Aidą Borisowną Pawłową. Na dźwięk nazwiska Pawłowej Fiedułow drgnął – bardzo dobrze pamiętał Aidę, pracowała jeszcze, gdy rozpoczynał karierę wywiadowcy, i nauczyła go wielu pożytecznych rzeczy. Dmitrij zaproponował Alie, żeby poszukała innego zabójcy, ale ona oznajmiła, że już próbowała i nawet poprosiła swojego obecnego

kochanka Kostię Jeremiejewa, informatyka z klubu Złoty Wiek, żeby zlikwidował Aidę, mężczyzna jednak kategorycznie odmówił.

„Czyżbyś zapomniał, Dima, że jesteś mi winien pieniądze? Musisz odpracować dług. Albo oddajesz pieniądze, albo zabieram ci dom. I zabieraj się szybko do roboty, póki baba nie zaczęła nam szkodzić”.

Fiedułowa ogarnęło przerażenie. Nie może stracić domu, lecz nie ma pieniędzy, zgodził się więc przyjąć zlecenie Ałły Jarcewej. Wydawało mu się, że wpadł na genialny pomysł: zainscenizuje zabójstwo, które będzie powtórzeniem zbrodni dokonanej na Koriaginie. Jeśli po mieście krąży szaleniec, drugie morderstwo spadnie na niego. Należy tylko wybrać odpowiedni moment. Przystępując do realizacji planu, poobserwował trochę Aidę Borisownę i przekonał się, że kobieta nosi kolczyki oraz rozmaite szale i chustki. To jeszcze bardziej utwierdziło go w zamiarze inscenizacji. Musiał tylko znaleźć miejsce. Najodpowiedniejsza wydała mu się niestrzeżona w nocy budowa niedaleko domu Pawłowej. Fiedułow wyśledził kobietę na ulicy, zawołał, podszedł. Aida Borisowna ucieszyła się na jego widok, a on powiedział, że na budowie doszło do przestępstwa, dokonano już oględzin miejsca zdarzenia, ale ma wrażenie, że nie zrobiono tego należycie, więc idzie tam, żeby obejrzeć wszystko ponownie. I poprosił Aidę Borisownę, żeby mu towarzyszyła, bo ma duże doświadczenie, bystre i wprawne oko. Pawłowa zdziwiła się, ale nie odmówiła. Weszli na teren budowy, gdzie tego wrześniego wieczoru już nikogo nie było, i Fiedułow udusił Aidę Borisownę szalem. Wyrwał z ucha kolczyk, rzucił obok ciała, na piersi

położył kupione wcześniej lusterko, które zabrał ze sobą, wyjął z torebki Pawłowej klucze od jej mieszkania, udał się tam, przejrzał zawartość komputera i zniszczył całą korespondencję z Poliną Sołodko, żeby nic nie łączyło Aidy z dziewczynką. Później wrócił na miejsce zbrodni i wsunął klucze do torebki. Tak jak się spodziewał, ciało znaleziono dopiero rano, gdy na budowie zaczęli się zjawiać pracownicy.

Drugie zabójstwo od razu zestawiono z pierwszym, mieszkańcy zaniepokoiли się, że po ulicach grasuje szaleniec zabijający osoby związane z dworem i z klubem, szczęśliwym trafem pojawił się też artykuł w „Kurierze Tomilińskim”, więc całe śledztwo poszło w kierunku poszukiwań psychopaty, co Fiedułowowi było tylko na rękę. Niezmordowanie bronił tej hipotezy i usilnie szukał szaleńca. Ała nie określiła, jaką właściwie sumę „zaliczyła” na poczet długu, ale Fiedułow z jakiegoś powodu był pewien, że zwrócił wszystko. Jednakże niebawem okazało się, że grubo się mylił.

Później przyjechała Kamieńska i początkowo ją też udało mu się przekonać, że należy szukać szaleńca. Na pewien czas to wystarczyło. A potem Kamieńska zaczęła węszyć w innych kierunkach, ale Fiedułow zbytnio się nie przejmował, ponieważ nie wierzył, żeby jakaś paniusia ze stolicy zdołała rozszyfrować jego przebiegły plan. Wykonywał polecenia Kamieńskiej i sprytnie, jego zdaniem, udawał, że nigdy nie znał żadnej Ały Jarcewej i dopiero teraz usłyszał jej nazwisko. Jednakże nagle zjawila się Ała i powiedziała, że dzwonił do niej Kostia, który jest zaniepokojony, ma dosyć wymyślania kłamstw,

gdy ktoś go pyta o Aidę Borisownę i Ałłę Jarcewą, ledwie panuje nad nerwami, i zagroził, że jeśli historia z Poliną wyjdzie na jaw i zaczną się pytania, zdradzi, że Ałła chciała mu zlecić zabójstwo. Z jego tonu Ałła wywnioskowała, że mężczyzna jest rzeczywiście na skraju załamania nerwowego, bała się, że Kostia ją wyda, i poprosiła Fiedułowa, żeby rozwiązał problem.

„Nie zwróciłeś mi jeszcze całego długu, więc licz się z tym, że zabiorę ci dom” – oznajmiła z krzywym uśmiechem. „Chyba nie sądzisz, że zabójstwem jednej żalosnej baby odpracowałeś cały dług. Będziesz musiał jeszcze długo harować za tę forszę”.

Dmitrij Fiedułow dobrze pamiętał pewne powiedzenie z powieści Paula Coelho: to, co się zdarzyło raz, może się więcej nie powtórzyć, ale to, co się zdarzyło dwa razy, na pewno zdarzy się po raz trzeci. Ałła znowu zwróciła się do niego z prośbą, żeby kogoś zabił, i to się nigdy nie skończy. Dmitrij nie jest w stanie zwrócić długu, Ałła ma w rękach umowę pożyczki i w każdej chwili może pozbawić go domu. Ten problem należy rozwiązać. Więc wymyślił, jak to zrobić.

Zadzwoił do Ałły i powiedział: „Opracowałem plan, ale musisz zrozumieć pewną rzecz. Dwa głośne zabójstwa w mieście nadal pozostają niewyjaśnione, więc kolejne podobne morderstwo jest wykluczone, bo góra podejmie radykalne działania. Ktoś musi pójść siedzieć. Nie masz nic przeciwko, jeśli to będzie twój mąż?”. Ałła nie miała nic przeciwko, zaglądający do kieliszka mąż bez charakteru dawno jej się znudził, a umowę małżeńską mieli spisaną tak, że jeśli on trafi do więzienia, ona zostanie pełnoprawną właścicielką – gdy

zechce, zajmie się biznesem, a gdy nie będzie miała ochoty, sprzeda firmę i będzie żyła z otrzymanych pieniędzy. Fiedułow kazał jej przyjechać do Tomilina razem z Romanem i zatrzymać się w ich dawnym mieszkaniu, Ałła miała też przekonać męża, żeby każde z nich przyjechało swoim samochodem. Powiedziała, że to żaden problem, umówi się z mężem, że wyjedzie wcześniej rano i na niego zaczeka, on tego dnia od rana prowadzi negocjacje, których nie może odwołać, więc przyjedzie dopiero, gdy się skończą, a w ogóle Roman to bezwolny i posłuszny idiota, który zrobi wszystko, co ona mu każe.

Dwa dni później Jarcewowie byli w Tomilinie. Zgodnie z instrukcjami Fiedułowa Ałła poszła z mężem na cmentarz, później odegrała depresję i zaproponowała Romanowi alkohol. Ten chętnie się zgodził, ona wypila kieliszek, on pięć, ona nie przestawała go zachęcać do dalszego picia, czekała, aż zaleje się w sztok i padnie nieprzytomny na kanapę. Na polecenie Fiedułowa Ałła zadzwoniła wcześniej do Kosti i oznajmiła mu, że wieczorem będą musieli się spotkać, żeby rozstrzygnąć pewną ważną kwestię. Gdy Roman zasnął, Ałła zabrała mu kluczyki od samochodu, wyszła z domu, wsiadła do swojego auta, spotkała się z Fiedułowem, dała mu kluczyki od land rovera męża, później pojechała po Kostię Jeriemiejewa i zawiozła go na tamę. Była pewna, że Dmitrij zabije Kostię, przecież dał jej jasno do zrozumienia, że wszystko przemyślał, i kazał nie zadawać zbędnych pytań. Nawet nie przyszło jej do głowy, że zginie razem z Kostią Jeriemiejewem.

Dalej wszystko było proste – Fiedułow zabrał samochód Jarcewa,

przyjechał nim na tamę, zepchnął do wody auto z Alłą i Kostią, wrócił do mieszkania Jarcewów, zaparkował rozbity samochód pod domem, zostawił kluczyki w stacyjce, dzwoniąc uprzednio na milicję i oznajmiając, że land rover zepchnął mazdę z tamy. Zależało mu, żeby ciała jak najszybciej wyciągnięto, a Jarcewa aresztowano, zanim się ocknie i zorientuje, że coś jest nie tak.

Tak właśnie się stało. Roman Jarcew był jedynym i najbardziej prawdopodobnym podejrzanym o zabójstwo z zazdrości swojej żony i jej kochanka.

O czym więc Dmitrij zapomniał? Gdzie popełnił błąd? Przecież wszystko starannie przemyślał i wykonał plan co do joty...

*

Nastia zerwała się z łóżka parę minut przed dzwonkiem budzika, który nastawiła na szóstą trzydzieści. O siódmej z minutami przyjeżdża pociąg, zanim mąż zjawi się w dworze, ona musi się umyć i ubrać... Boże, żeby tylko Tamara zdążyła! Ależ jestem głupia, ofuknęła się w duchu, myjąc się i wyciskając pastę do zębów na szczoteczkę, czemu tak długo opierałam się namowom Tamary? Mogłam się od razu zgodzić na nową suknię, nie protestować, wtedy suknia spokojnie wisiałaby już w szafie i czekała na przyjazd Loszki. Tamara obiecała, że zdąży ją skończyć. A jeśli się nie uda? Wtedy z niespodzianki nici.

Umywszy się, Nastia przesunęła szczotką po idealnie układających

się włosach, wciągnęła dres i popędziła na piętro do Tamary. Drzwi nie były zamknięte, to znaczy, że Winogradowa już wstała. Albo w ogóle się nie kładła.

– No jak, Tamaroczko? Zdąży pani? – rzuciła Nastia, wpadając do pracowni, w której Tamara oglądała jakiś materiał pod jaskrawym światłem lampy.

Ta spojrzała na Nastię znad okularów i się roześmiała.

– Już zdążyłam. Skończyłam dziesięć minut temu. Niech się pani przebiera, zobaczymy.

Nastia szybko zrzuciła dres, włożyła nową suknię i stanęła przed lustrem. Wspaniale! Nie doznała szoku, bo widziała się już podczas poprzednich przymiarek i zdążyła się przyzwyczaić. Ale mistrzostwo i wyobraźnia Tamary Winogradowej nadal ją zachwyciły. W tej sukni nie była już dawną Nastią Kamieńską, lecz jakąś inną kobietą, nową, nieznaną i bardzo ładną. Pewną siebie, niezależną, która niczego się nie boi.

– Jest pani czarodziejką! – powiedziała z uznaniem. – Udało się pani chociaż trochę przespać?

– Szczerze mówiąc, nie. Ale to nic. Jeszcze zdążę się wyspać. Samochód wyjechał na dworzec?

Nastia zerknęła na zegarek.

– Chyba tak. Za dziesięć minut pociąg będzie w Tomilinie.

– A więc za dwadzieścia minut pani mąż zjawi się w dworze. Chodźmy do kuchni, upiekłam wam coś na śniadanie.

– Ależ Tamaro – Nastia się spieszyła – po co?

– Jak to po co? Restauracja jest czynna od dziesiątej, a pani Aleksiej na pewno będzie głodny. Wypijecie kawę i zjecie bułeczki, wychodzą mi zawsze bardzo smaczne, według przepisu babci.

Wręczyła Nasti półmisek aromatycznie pachnących bułeczek z cynamonem i wanilią.

Bezgranicznie szczęśliwa, z nową suknią i świeżymi bułeczkami, Nastia wróciła do siebie. Miała ogromną ochotę ubrać się i wyjść na dziedziniec, żeby przyspieszyć chwilę spotkania z Loszką Czistiakowem, ale... Przecież nie włoży nieforemnej kurtki z kapturem na elegancką suknię. A na nogi „traktorów”. Boki zrywać. A jeśli włoży dzinsy i sweter, będzie musiała się przebrać i niespodzianka się nie uda. Co to, to nie, lepiej już zaczeka w pokoju.

Ale czekanie okazało się kłopotliwe. Suknia była cienka i delikatna, więc Nasti było zimno, gdy stała przy oknie. Nie mogła od niego odejść, bo to by oznaczało, że nie zobaczy Loszki idącego w towarzystwie kierowcy przez dziedziniec w kierunku oficyny. Mimo to pozostała przy oknie, narzuciwszy na suknię ciepły pled. Co może zobaczyć w połowie lutego parę minut po siódmej? Przecież jest ciemno! A jednak stała, wierząc, że zobaczy męża nawet w nieprzeniknionych ciemnościach.

I rzeczywiście go zobaczyła. Czistiakow szedł szybkim, sprężystym krokiem, kierowca niósł jego torbę sportową. Ależ Loszka jest jeszcze młody, z lekką zawiścią pomyślała Nastia. Ja nigdy nie poruszałam się w ten sposób, nawet w młodości. Pewnie urodziłam się już stara.

Zaczekała, aż Aleksiej i kierowca weszli po schodach, i znowu stanęła przed lustrem. Nowa. Obca. Nieznajoma. A nuż nie spodoba

się Loszce? A jeśli Czistiakow przestraszy się nowości? Zna ją od trzydziestu pięciu lat, szmat czasu, po którym człowiek nie ma ochoty na zmianę przyzwyczajień. A może ma? Nastia nagle zdała sobie sprawę, że przez trzydzieści pięć lat nie poznała męża do końca, nawet nie potrafi ocenić, czy jest gotów na zmiany i czy ich chce.

Drzwi się otworzyły, kierowca postawił torbę na podłodze.

– Aśka! – rozległ się miły sercu głos. – Jestem! Śpisz jeszcze?

Nastia wzięła głęboki oddech i wyszła z pokoju.

– O rany! – wycedził Czistiakow. – Ja chyba śnię! To ty, Aśka?

– Jeśli ci się nie podoba, Losza... – powiedziała przestraszona Nastia.

– ...to zdejmiesz suknię – dokończył Czistiakow ze śmiechem. – A obcięte włosy wyjmiesz z kosza i przykleisz z powrotem. Zaczekaj, muszę się dobrze przyjrzeć.

Zrobił krok w tył i mrużąc oczy, zaczął świdrować żonę wzrokiem. Na jego twarzy malowała się jedynie wesoła kpina, więc Nastia odniosła wrażenie, że jej nowy wizerunek mu się nie podoba. W ogóle. Ani trochę. Dobrze, Losza ma rację, suknię można zdjąć i nigdy więcej nie włożyć, ale co zrobić z włosami?

– Inaczej – zabrzmiał w końcu werdykt. – W tym uczesaniu bardzo ci do twarzy. Wydoroślałaś, stałaś się prawdziwą damą... Ale to dobrze. Naprawdę dobrze.

– A suknia? – Nastia nabrała śmiałości.

– No ale gdzie ty pójdziesz w tej sukni, Aśka? Przecież to śmieszne. Przy twoim trybie życia!

– No to zaproś mnie do restauracji. Albo do teatru.

– I kto to mówi? Wystarczy, że kupię bilety albo zarezerwuję stolik, a zaraz pojawią się kolejne zwłoki, znam cię, przerabialiśmy to wiele razy. Odwróć no się bokiem.

Nastia posłusznie się odwróciła i zamarła. Czistiakow kontynuował oględziny, później wydał ostateczną decyzję.

– Suknia jest ładna. I oryginalna. Nikt takiej nie ma, w każdym razie nie widziałem w naszym instytucie, żeby jakaś kobieta była tak ubrana. Będiesz w niej najpiękniejsza. A teraz przyznaj się: to sprawka Biegorskiego?

– Co ma do tego Biegorski? – Nastia nie zrozumiała.

– To jego wpływ? Zakochałaś się w nim i tańczysz, jak ci zagra?

– Zwariowałaś, Losza! – Nastia parsknęła śmiechem. – Jaki Biegorski? Jakie „zakochałaś się”? To Tamara, jego narzeczona. Jest fryzjerką i krawcową. I w ogóle to wspaniała kobieta, nie spała przez całą noc, żeby skończyć suknię na twój przyjazd. Nawiasem mówiąc, upiekła nam na śniadanie maślane bułeczki.

– Naprawdę? – Aleksiej się ożywił. – W takim razie chyba się rozbiore i udam do jadalni, a ty będziesz mnie obsługiwać w tym fantastycznym stroju. A właśnie, może wreszcie podejdziesz i pocałujesz męża po długiej rozłące?

Wyciągnął ręce, a Nastia mocno się do niego przytuliła. Jak to dobrze, że przyjechał!

Bułeczki okazały się niezwykle smaczne, nawet kawa rozpuszczalna nie wydała się Nasti tak wstrętna jak przedtem.

– Słuchaj, już zaczynam lubić i szanować tę twoją Tamarę – mówił Czistiakow z pełnymi ustami. – Jest nie tylko dobrą fryzjerką i zdolną krawcową, ale też znakomitą kucharką. Ma jeszcze jakieś inne zalety?

– Jest mądra. Ma duże poczucie humoru. A na dodatek jest na tyle stanowcza, żeby przeciwstawić się Biegorskiemu i mu się nie poddawać.

– Serio? – Aleksiej uniósł brwi. – To rzeczywiście skarbnica zalet. Niełatwo jest sprzeciwić się twojemu Biegorskiemu.

– Nie jest mój – zaprotestowała Nastia.

– Nieważne. Omal mnie nie wykończył przed wyjazdem. Zrobiłem głupstwo, dzwoniąc do niego, zostawił mi przecież swój numer, gdy dyktował spis rzeczy, które miałem ci przekazać. No więc zadzwoniłem i zapytałem, jak najlepiej dotrzeć do waszego Tomilina, pociągiem czy jakoś inaczej. Gdy się dowiedział, że się do ciebie wybieram, uznał, że musi natychmiast wziąć sprawę mojej podróży w swoje ręce, i zaczął szczegółowo opisywać, jak mam się ubrać, co zabrać, jaki kupić bilet, jednym słowem, zrobił mi wodę z mózgu. Jeżeli twoja Tamara jest naprawdę tak cudowna, to po jakie licho jej ten nudziarz?

Nastia wzruszyła ramionami.

– Pewnie to miłość. A w ogóle, o ile dobrze zrozumiałam, znają się od dziecka, odkąd mieli po trzynaście czy piętnaście lat, podobnie jak my. Pewnie się do niego przyzwyczaiła i nie drażnią jej jego dziwactwa.

– Chyba tak. – Losza kiwnął głową. – Można to zrozumieć, przecież ja też się do ciebie przyzwyczaiłem – i nic, żyję, chociaż żaden inny

facet nie wytrzymałby z tobą nawet trzech dni.

– Nie wiadomo, kto do kogo się przyzwyczaił – zauważyła Nastia urażonym tonem. – Ty też masz sporo przywar. No dobrze, zaplanujmy, co będziemy robić.

– Zgoda – ochoczo przytaknął Czistiakow. – Zaraz wezmę prysznic i się przebiorę, później opowiesz mi ze szczegółami, jakimi to strasznymi przestępstwami się tutaj zajmowałaś, a ja tymczasem, jak szejk arabski, rozsiądę się na kanapie i będę zajadał bułeczki. Potem pójdziemy na spacer, pokażesz mi posiadłość i poznasz ze swoim pieskiem. Później zjemy gdzieś na obiad. A później się zdrzemnę, bo człowiek mojego wzrostu raczej nie wyśpi się w pociągu.

– A ja?

– Ty będziesz strzegła mojego snu. Możesz coś poczytać – wielkodusznie zezwolił Czistiakow. – Gdy się wyśpię, weźmiemy samochód i pojedziemy obejrzeć miasto, pokażesz mi wszystkie miejsca związane z twoim śledztwem, później znowu wybierzemy się na spacer, wypijemy kawę w jakiejś kafejce i zamówimy pyszne ciastka. Później zjemy kolację, a po kolacji usiądziemy przed telewizorem. I do piątej rano będziemy oglądali olimpiadę. A właśnie, musimy się zaopatrzyć w jakieś przekąski, żeby mieć co pogryzać z nerwów, jakieś orzeszki, cukierki, herbatniki. I co powiesz na mój plan?

– Super! – zawołała Nastia z zachwytem. – Nie uwzględniłeś tylko jednego drobiazgu: wstałam o siódmej, więc mogę zasnąć przed telewizorem i nie wytrzymać do piątej rano.

Czistiakow zrobił niewinną minę.

– Więc co proponujesz? Nie oglądać olimpiady? Na to nie pójde, nawet nie pros.

– Proponuję, żebyś pozwolił mi się przespać po południu razem z tobą.

– A więc o to ci chodzi – wycedził. – Aleś sprytna, kobieto! Chcesz się wczasować? A kto będzie mnie pilnował?

– Przyprowadzimy Kumpelkę, ona nas popilnuje. Położy się na podłodze przy łóżku i będzie pilnować.

– Potrafi to robić?

– Potrafi – zapewniła go Nastia ze śmiechem. – Jest duża i mądra.

– W takim razie w porządku – ustąpił. – Pozwalam ci się przespać. A teraz wydaj mi ręcznik, pójde się umyć.

Podczas gdy Czistiakow brał prysznic, Nastia przebrała się i rozłożyła na biurku swoje notatki, przygotowując się do szczegółowej relacji o tym, jak spędziła czas w Tomilinie. Opowie Loszce wszystko od początku do końca, nawet o tym, jak jej się nie spodobał Wtoruszyn ze swoją opowieścią o obtartych udach babci, i o tym, jak spotkała się ze Starkowem, który wyznał, że ją kiedyś kochał, i o tym, jak dławiała się owsianką i kupowała w sklepie „niewłaściwe i niezdrowe” artykuły spożywcze. Nawet o różowo-zielonej lampie o wyszukanej nazwie Charlamp Akolutosjewicz. Jak to dobrze, że Nastia ma Loszkę, który lubi i umie słuchać i któremu może opowiedzieć wszystko, ponieważ jest najlepszy i najmądrzejszy, wszystko pojmuje w lot.

*

Kumpelka potraktowała Czistiakowa nieufnie, w ogóle nie mogła zrozumieć, co to za facet, a nuż to weterynarz, który zaraz wyjmie wielką strzykawkę i ją boleśnie ukłuje? Gdy jednak wyszli we trójkę ze schroniska i ruszyli tą samą co zwykle trasą w kierunku rzeki, pies uspokoił się i zajął swoimi sprawami, obwąchując się jednocześnie z innymi psami, które spacerowały z wolontariuszami.

– Sporo tutaj miłośników psów – zauważył Aleksiej.

– To ochotnicy, wyprowadzają tylko psy ze schroniska – wyjaśniła Nastia.

– A dlaczego wybrałaś akurat tego psa? – zapytał. – Mogłaś wybrać tamtego, zobacz, jaki sympatyczny. W dodatku jest młody i zdrowy.

Czistiakow pokazał biało-rudego kundelka, którego prowadziła na smyczy kobieta koło trzydziestki. Kundelek wesoło podskakiwał i żywo interesował się wszystkim, co się wokół niego działo.

– Wybrałam Kumpelkę, bo jest stara i chora. Wszyscy lubią młode i zdrowe psy, stare i chore nikomu nie są potrzebne.

Losza zerknął na nią z ukosa, później objął za ramiona i przytulił.

– Bardzo cię kocham – szepnął ledwie słyszalnie.

Dzień mijał zgodnie z planem, Nastia i Losza wrócili ze spaceru, zjedli obiad, zdrzemnęli się, ułożywszy Kumpelkę na podłodze koło łóżka, pojechali do miasta, gdzie Nastia pokazała mężowi komisariat, filharmonię i przechodnie podwórze, na którym została zabita Koriagina, a także dom, w którym mieszkała, później wypili kawę i

zjedli tort, pojechali do nowej dzielnicy, gdzie mieszkała i została zabita Aida Borisowna Pawłowa. Byli nawet na cmentarzu i Nastia pokazała Aleksiejowi dwa groby – Pawłowej i Alisy Jarcewej. Kolację zjedli w hotelu Zorza, tam, gdzie Nastia spotkała Połosuchina i jego wspólnika Arkadija Woldemarowicza.

Nastia była pewna, że nie wytrzyma do piątej rano, ale okazało się, że kibicowanie jest zajęciem niezwykle pasjonującym, więc nawet nie zauważyła upływu czasu. Coś takiego, a przecież nigdy przedtem nie interesowała się sportem... Czyżby rzeczywiście u progu pięćdziesiątki zaczynały się przed nią otwierać nowe strony życia, których istnienia nawet nie podejrzewała? Czy to znaczy, że po przekroczeniu pięćdziesiątki człowiek nie prowadzi dawnego życia, ale inne, zupełnie nowe?

Zasypiając, z żalem pomyślała, że dzisiaj nie zobaczyła gila. A tak chciała go pokazać Czistiakowowi!

*

Aleksiej wyrwał się z pracy na trzy dni, które szybko minęły. Razem z Nastią dużo spacerowali, w nocy oglądali zawody, a później spali do południa. Czistiakow poznał Tamarę, nie mógł się jej nachwalić i z przyjemnością siedział razem z nią i z Nastią przy filiżance herbaty i gawędził o wszystkim na świecie. Tamara namówiła go nawet na strzyżenie, z którego Aleksiej był bardzo zadowolony.

Pociąg do Moskwy odjeżdżał z Tomilina o szóstej wieczorem. Po

południu Nastia i Losza spakowali się i poszli do schroniska, żeby pożegnać się z Kumpelką. Przed boksem zastali Putilinów, oboje ubranych na czarno, oraz Wierę Aleksiejewną Biegorską.

– Mamy się z czego cieszyć, Nastieńko – oznajmiła Wiera Aleksiejewna. – Znaleźli się chętni, żeby zabrać Kumpelkę.

W pierwszej chwili Nastia się przestraszyła.

– Jak to zabrać? Dokąd?

– My ją zabieramy – włączył się Putilin. Drżały mu usta i trzęsły się ręce, widocznie jeszcze nie doszedł do siebie po pogrzebie syna. Jego żona miała łzy w oczach. – No cóż, chcemy się o kogoś troszczyć i kłopotać, a teraz nie mamy o kogo... Postanowiliśmy przygarnąć psa, starego, takiego jak my. Razem będziemy iść przez życie. Wieroczka powiedziała, że się pani z nim przyjaźniła, odwiedzała go, dała mu imię. Będzie nam towarzyszyć u schyłku życia.

– Jest przecież stary, bezdomny i nierasowy – dodała Putilina. – Nikt go nie chce. Kto się o niego zatroszczy? No bo ile mu zostało? Kto wie... Może dzień, a może dwa, trzy lata. Niech spędzi ten czas w ciepłym miejscu, otoczony opieką.

Nastia z trudem się opanowała – miała ochotę rozplakać się z wdzięczności dla tych ludzi, którzy niedawno stracili jedyne syna, a także z litości nad starą Kumpelką i nad sobą. Coś takiego, chyba zdążyła się przywiązać do psa, bo rozstanie było bolesne i smutne.

A pies wszystko rozumiał. I spoglądał na Nastię dużymi smutnymi oczami. Nawet nie machał ogonem.

*

Nastia i Aleksiej ulokowali się w wagonie sypialnym i oboje od razu wyciągnęli się na swoich miejscach. Znowu oglądali olimpiadę do rana, więc teraz okropnie chciało im się spać. Nastia już prawie zapadła w drzemkę, gdy przypomniała sobie, że miała zadzwonić. Musi to zrobić teraz, póki pociąg nie wjechał w strefę bez zasięgu.

Sięgnęła po telefon i wybrała numer Tatiany Koriaginy. Współczuła jej, w gruncie rzeczy nie była złą kobietą. Najpierw straciła matkę, później niewiernego kochanka, który okazał się zabójcą matki. Nastia chciała jej sprawić jakąś przyjemność.

– Nie gniewa się pani na mnie? – zapytała ostrożnie.

– Za co miałabym się gniewać? – Tatiana nie kryła zdziwienia.

– Przyjechałam i zrujnowałam pani życie. Leonid został aresztowany i w ogóle.

– Niech pani da spokój, sama jestem sobie winna, wciąż szukałam księcia na białym koniu, przebierałam, wybierałam, nie mogłam się zdecydować, no i w końcu, kompletna kretyńka, sprawiłam sobie kochasia, który zabił moją matkę.

– Jeżeli interesuje panią jeszcze Charłamp Akolutosjewicz, to wiem, gdzie go można znaleźć.

– Naprawdę?

Tatianie drgnął głos i Nastia domyśliła się, że wszystkie jej słowa to tylko bufonada, że jest jej smutno z powodu matki, bo pewnie ją jednak kochała. Po swojemu, ale kochała.

No i dobrze.

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE POLECA

ZAKŁADNIK

P R Z E M Y S Ł A W
BORKOWSKI

Niespodziewane zwroty akcji wybuchają jak bomby,
ale dopiero finał wysadzi cię w powietrze. Jeśli
masz ochotę się rozerwać, przewróć stronę!

ROBERT MAŁECKI

Z A K Ł A D N I K



Podczas porannego programu na żywo do studia telewizyjnego wkracza uzbrojony mężczyzna. Bierze zakładników, zabija jednego z nich, a następnie odczytuje bezsensowne oświadczenie i popełnia samobójstwo.

Był zwyczajnym człowiekiem – mężem, ojcem i dobrze prosperującym przedsiębiorcą.

Co popchnęło go do tego czynu? Czy był zwykłym szaleńcem, czy też człowiekiem realizującym precyzyjny plan? Psycholog Zygmunt Rozłucki i dziennikarka Karolina Janczewska – świadkowie tego wydarzenia – postanawiają odpowiedzieć na te pytania kręcąc reportaż. Ich podróż śladami zamachowca niespodziewanie zamieni się w śledztwo dotyczące tajemniczej śmierci sprzed lat. Czy zdołają rozwiązać zagadkę z przeszłości? Czas goni, a od wyniku ich poszukiwań zależy może życie kilku całkiem niewinnych młodych ludzi.

POWTÓRKA



POWTÓRKA

MARCEL WOŹNIAK



Czy gdybyś mógł wejść drugi raz do tej samej rzeki, popełniłbyś te same błędy?

Z końcem kariery policyjnej przed Leonem Brodzkim jeszcze jedno, najtrudniejsze zadanie. W serii niewyjaśnionych zbrodni, do których dochodzi w Toruniu, Brodzki odkrywa pewną prawidłowość – to powtórzone zagadki sprzed lat, które były najtrudniejszymi w jego karierze. Morderca, nazywający siebie Heraklitem, ewidentnie chce, by Brodzki ponownie przeszedł przez piekło makabrycznych zbrodni. Tylko tym razem mają to być zbrodnie doskonałe...

Kto brutalnie okalecza ofiary? Kto kryje się pod numerem telefonu 511 867 571? I co zrobi Brodzki, gdy w sprawę zostanie uwikłana jego córka? Jaką cenę zapłaci za odkrycie prawdy?

Brodzki co noc śni o wiślanej otchłani, w której toną ludzie...

Choć podobno dwa razy nie da się wejść do tej samej rzeki, policjant będzie musiał odbyć powtórkę swojej drogi zawodowej... i swojego życia.

ROZPOCZNIJ MORDERCZĄ GRĘ

EGZEKUCJA W DOBREJ WIERZE

Najnowsza powieść bestsellerowego cyklu
o MAJOR KAMIEŃSKIEJ

ALEKSANDRA
MARININA
**EGZEKUCJA
W DOBREJ WIERZE**



Seria tajemniczych zabójstw, psychologiczna rozgrywka i major Kamińska w zupełnie nowej odsłonie. Czy jej wieloletnie doświadczenie pozwoli wyprzedzić ruchy przeciwnika i powstrzymać egzekucje niewinnych osób?

Rok 2015. Nastia Kamińska po przejściu na emeryturę pracuje w agencji detektywistycznej swojego dawnego przyjaciela – Władysława Stasowa. Kolejne zlecenie, które ma wykonać w syberyjskim Wierbicku, z początku wydaje się nieskomplikowane. Na miejscu okazuje się jednak, że rosyjska prowincja postawi przed nią zupełnie inne zadanie. Kamińska trafia w sam środek lokalnych zatargów. W Wierbicku zbliżają się wybory na mera miasta. W szczytowym momencie przedwyborczych zmagani eskalację napięcia wywołuje fala zagadkowych zabójstw ekologów. Cień podejrzania pada na władze miasta, tym bardziej że mer i jego przyjaciele zawzięcie bronią fermy zwierząt ukrytej w głuchej tajdze. Kamińska rozpoczyna własne śledztwo, a to, co odkrywa, przechodzi jej najśmielsze wyobrażenia.

Aleksandra Marinina w swojej najnowszej powieści mistrzowsko kreśli ponury obraz rosyjskiej prowincji i po raz kolejny udowadnia, że nie bez powodu nazywana jest „carycą rosyjskiego kryminału”.